



**Anne Tyler**

**DRABINA CZASU**

Tytuł oryginalny *The Ladder of Years*



## Rozdział 1

### ZAGINEŁA MIESZKANKA BALTIMORE PODCZAS RODZINNYCH WAKACJI

Według porannego komunikatu policji stanu Delaware w Bethany Beach zaginęła przebywająca tam z rodziną na wakacjach Cordelia F. Grinstead, lat 40, żona lekarza internisty z Roland Park.

Panią Grinstead widziano po raz ostatni w ubiegły poniedziałek. Szła plażą pomiędzy Bethany i Sea Colony.

Wybrała się na spacer, czego świadkami byli: mąż, doktor Samuel Grinstead, lat 55, oraz trójka dzieci - Susan, lat 21, Ramsey, lat 19, i Carroll, lat 15. Twierdzą, że w pobliżu nie kręcił się nikt podejrzany. Ich zdaniem po prostu poszła na spacer. Kiedy nie wróciła do późnego popołudnia, zaczęli się niepokoić.

Rysopis zaginionej: sylwetka smukła, budowa drobnokoścista, włosy blond lub ciemnoblonde, kręcone. Wzrost: 157 – 162 cm, waga: 45-50 kg. Oczy niebieskie, szare lub zielone, nos lekko opalony, pokryty piegami.

Przypuszczalnie miała przy sobie dużą torbę z rafii, ozdobioną różową kokardą. Rodzina jednak nie pamięta, jak była ubrana. Mąż twierdzi, że prawdopodobnie w coś różowego lub niebieskiego, z falbankami czy koronką, w słodkim stylu.

Raczej wyklucza się możliwość utonięcia, ponieważ zaginiona unikała kąpieli w morzu i znana była jej awersja do wody. Siostra pani Grinstead, Eliza Felson, lat 52, opowiadała reporterom, że zaginiona „w jednym z poprzednich wcieleń była chyba kotem”.

Ktokolwiek by coś wiedział o losie zaginionej, proszony jest o natychmiastowy kontakt z policją stanu Delaware.

Wszystko zaczęło się w pewien majowy sobotni poranek jednego z tych ciepłych wiosennych dni, kiedy to powietrze pachnie jak czysta bielizna. Delia wybrała się do supermarketu na cotygodniowe zakupy. Stała w dziale z warzywami i niespiesznie wybierała pęczek selerów naciowych. Sklepy spożywcze zawsze pobudzały ją do refleksji. Zastanawiała się, dlaczego selerów naciowych nie nazywa się warzywami sztruksowymi. Brzmiałoby to o wiele barwniej. A główki czosnku powinny się nazywać sakiewkami, bo kształtem przypominają właśnie takie woreczki na złote monety, o jakich mowa w bajkach.

Klient obok grzebał w pęczkach dymki. Z powodu wczesnej pory w sklepie panowały pustki, a pomimo to mężczyzna jakby popędzał Delię. Kilka razy otarł się rękawem koszuli o rękaw jej sukienki. A właściwie z wyborem dymki wcale się nie spieszył. Jeden po drugim podnosił spięte gumką pęczki i z powrotem odrzucał. Miał długie i zwinne palce, pająkowate. Dostrzegła też, że mankiety jego koszuli były z żółtego płócienka.

- Wie pani, czy te nazywają się szalotki? - spytał.

- Hm, czasami - odparła. Chwyciła najbliższej leżący pęczek selerów i ruszyła po plastikową torebkę.

- A może dymki?

- Nie, to szalotki - potwierdziła.

Kiedy odrywała torebkę z rolki, usłużnie ją przytrzymał, chociaż nie było to konieczne. (Był od niej wyższy co najmniej o głowę). Wrzuciła seleri do torby i sięgnęła do puszki po drucik, by związać nim opakowanie, ale mężczyzna ją wyręczył.

- A właściwie to jakie są szalotki? - spytał. Mogłaby pomyśleć, że ją podrywa, ale kiedy się obejrzała, stwierdziła, że jest on co najmniej o dziesięć lat młodszy, a do tego naprawdę bardzo przystojny. Miał proste ciemnopłowe włosy i niebieskie mętne oczy, które nadawały jego twarzy senny, spokojny wyraz. Uśmiechał się do niej i jak na nieznanego stał nieco za blisko.

- Hm? - mruknęła, zbita z tropu.

- Szalotki - powtórzył.

- Szalotki są bardziej pękate - odparła, wkładając selery do wózka. - Leżą chyba nad pietruszką! - zawołała, odwracając się przez ramię, ale niepotrzebnie, bo szedł tuż za nią do stoiska z owocami cytrusowymi. Miał na sobie dzinsy, bardzo sprane, a na nogach mokasyny tak miękkie, że rozbrzmiewająca w sklepie piosenka - *King of the Road* - całkiem tłumiła jego kroki.

- Muszę też kupić cytryny - oświadczył. Zerknęła na niego.

- Proszę posłuchać - rzucił nagle. - Czy mogę panią prosić o przysługę? - spytał już o wiele ciszej.

- Tak...?

- Tam dalej, przy kartoflach, stoi moja była żona. To znaczy niezupełnie była, ale... powiedzmy, że jesteśmy w separacji. Może pani udawać, że przyszedliśmy tu razem? Dopóki się stąd jakoś nie wymknę?

- Dobrze, oczywiście - zgodziła się.

I bez zastanowienia, zupełnie jak za dawnych szkolnych czasów, natychmiast się poddała atmosferze romantycznej intrygi. Zmrużyła oczy, brodę wysunęła lekko do przodu.

- Już my jej pokazemy! - oświadczyła i popłynęła dalej wśród owoców, skręciła ostro do tyłu w następną alejkę i przystanęła przy warzywach bulwiastych. - Która to? - spytała głosem brzuchomówcy.

- W brązowej bluzce - szepnął i nagle zaskoczył ją, wybuchając głośnym śmiechem. - Ha! Ha! Świetnie to pani ujęła!

Nigdzie jednak w pobliżu nie było widać nikogo w czymś wyglądającym na „brązową bluzkę”. Kobieta, która odwróciła się, słysząc jego śmiech, miała na sobie tunikę z surowego jedwabiu w kolorze ecru, wyrzuconą na czarne jedwabne spodnie o nogawkach jak dwa ołówki. Włosy miała kruczoczarne, z jednej strony podstrzyżone krócej, twarz doskonale owalną.

- O, Adrian... - zdziwiła się.

Mężczyzna, który jej towarzyszył, też się odwrócił, ściskając w dłoni kartofel. Był ciemnowłosy, wyglądał na prostaka, skórę miał jakby pokry-

tą stiukiem, brwi zrośnięte. Absolutnie nie dorównywał klasą kobiecie, ale też ilu z nich to się udawało?

- Rosemary, nie zauważyłem cię - powiedział Adrian do swojej żony. I przesuając się dalej, zwrócił się do Delii: -Tylko nie zapomnij. - Położył rękę na jej wózku, by go skierować w alejkę numer trzy. - Przyrzekłeś, że dziś wieczór zrobisz tę swoją wyśmienitą galaretę migdałową.

- Ach prawda, moją... galaretę - powtórzyła jak echo, słabym głosem. Jakakolwiek była ta galareta, to jej nazwa kojarzyła się Delii z jej własnym samopoczuciem: kobiety bladej, bezbarwnej, kościstej, piegowatej, kędzierzawej, w wygniecionej różowej sukience z okrągłym dekoltem.

Minęli nabiał i rząd półek z sokami, gdzie Delia chciała kupić parę rzeczy. Nie wspomniała jednak o tym, ponieważ ten mężczyzna imieniem Adrian nie przestawał mówić.

- Najpierw galaretę migdałową, a potem, no, potem to twoje mięsko z jarzynami i tak dalej...

Głos jego odpłynął, podobnie jak głosy piosenkarzy, którzy jakby w roztargnieniu odsuwają się od mikrofonu.

- Patrzy na nas? - szepnął po chwili. - Niech pani sprawdzi, ale tak, żeby się nie zorientowali.

Zerknęła do tyłu, udając, że zwrócił jej uwagę ogromny wybór gatunków ryżu. Wprawdzie Rosemary i jej przyjaciel stali do niej plecami, lecz w ich postawie dało się wyczuć coś sztucznego. Nikogo nie mogłyby w takim stopniu zahipnotyzować brunatne kartofle.

- Hm, obserwuje nas w duchu- wymamrotała do Adriana i odwróciła się do swojego wózka z warzywami, który właśnie raptownie się wypełniał paczkami makaronu. Kluski kóleciska, kluski wstążki. - Adrian wrzucał je jak popadło. - Przepraszam, ale... - zaoponowała.

- Och, to ja przepraszam - powiedział. Wsunął ręce do kieszeni i pognął naprzód.

Delia pchała przed sobą wózek, lecz bardzo powoli, na wypadek gdyby Adrian już zrezygnował z jej towarzystwa. Na końcu alejki jednak przystanął i czekając na nią, oglądał puszki ravioli.

- Ten jej przyjaciel ma na imię Skipper. Jest jej księgowym- wyjaśnił.  
- Księgowym?! - zdziwiła się. Zupełnie na to nie wyglądał.  
- Był u nas w domu co najmniej kilka razy. Siedział w dużym pokoju i obliczał jej podatki. Rosemary ma firmę gastronomiczną. O nazwie „Przyjęcia dla Łakomczuchów”. Ha. „Łakome dania na każdą okazję”. A potem nagle do niego się wyprowadziła. Twierdziła, że po prostu potrzebuje kilku tygodni samotności. Ale kiedy dzwoniła, żeby mi to obwieścić, słyszałem, jak on jej podpowiada.

- To straszne - zauważyła Delia.

Stała przy nich kobieta z dzieckiem w wózku i chciała sięgnąć po makaron z parmeżanem. Delia ustąpiła jej miejsca.

- Jeżeli to nie sprawiłam zbyt wiele kłopotu - odezwał się Adrian, kiedy kobieta już odeszła - to dalej będę wędrował z panią po sklepie, bo gdybym nagle sam wyszedł, chyba wyglądałoby to podejrzanie. Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko temu.

Miałaby mieć coś przeciwko temu? Przecież przez długie lata nie zdarzyło jej się nic równie interesującego.

- Ale skądże! - odparła i pchnęła wózek w alejkę numer cztery.

Szedł obok.

- A w ogóle to nazywam się Adrian Bly-Brice - powiedział. - I chyba powinienem się dowiedzieć, jak pani się nazywa.

- Jestem Delia Grinstead. - Wzięła z półki przyprawę miętową.

- Chyba nigdy nie znałem żadnej Delii.

- Właściwie to mam na imię Cordelia. Tak chciał ojciec.

- I jest pani taka?

- To znaczy jaka?

- No, czy jest pani Cordelia, jakiej chciał ojciec?

- Nie wiem. Ojciec nie żyje - odparła.

- Och, przepraszam.

- Zmarł tej zimy.

Oczy jej napęłniły się łzami, co było idiotyczne. Cała ta rozmowa potoczyła się jakimś niewłaściwym torem. Wyprostowała ramiona i pchnęła



wózek, omijając starszą parę, która zastanawiała się, co wybrać zamiast substytutu soli.

- W każdym razie moje imię od razu skrócono do Delia. Jak w tej piosence.

- W której?

- No, wie pan, tej o tym, że Delia odchodzi, jeszcze raz... Ojciec śpiewał mi ją do snu.

- Nigdy jej nie słyszałem - powiedział Adrian.

Z głośnika leciała teraz piosenka *By the Time I Get to Phoenix*, a w głowie Delii huczał gruby głos ojca *Delia odeszła*.

- Tak to bywa! - rzuciła z ożywieniem.

Ruszyli następną alejką: kasze i płatki śniadaniowe po lewej, dmuchana kukurydza i słodycze po prawej. Delia chciała kupić płatki kukurydziane, ale uprzytomniła sobie, że to bardzo rodzinny zakup, więc zrezygnowała. (Z jakich

składników robi się galaretę migdałową?). Adrian leniwie przyglądał się torebkom pastylek toffi i rumowym kulkom. Skórę miał śniadawą, jaką czasem widuje się u blondynów, jakby bez faktury. Z pewnością nie golił się częściej niż dwa, trzy razy na tydzień.

- Ja dostałem imię po wujku. Bogatym wuju Adrianie Brisie. Ale pewnie na nic się to przyda. Jest wściekły, że po ślubie zmieniłem nazwisko.

- Zmienił pan nazwisko?

- Nazywałem się Adrian Brice Drugi, ale kiedy się ożeniłem z Rosemary Bly, oboje przyjęliśmy nazwisko Bly--Brice.

- Ach, pisze się z dywizem - uprzytomniła sobie.

- Proszę mi wierzyć, że to był wyłącznie jej pomysł. Jakby przywołana przez niego, na drugim końcu alejki

ukazała się Rosemary. Wrzuciła coś do czerwonego koszyka na zakupy, który Skipper trzymał w garści. Kobiety takie jak Rosemary nigdy nie używały wózka na zakupy.

- Ale jeżeli pójdziemy do kina, to przepadnie nam koncert - odezwał się nagle Adrian - a przecież wiesz, jak na niego się nastawiłem.

- Och, zapomniałam - powiedziała Delia. - Prawda, koncert! Będą grać...

Nie mogła jednak przypomnieć sobie nazwiska ani jednego kompozytora. (A może Adrian miał na myśli zupełnie inny koncert, na przykład rockowy. Był na to dostatecznie młody). Coraz bardziej zbliżała się z Adrianem do Rosemary, lecz na jej twarzy nie drgnął nawet mięsień. Delia pierwsza opuściła wzrok.

- To do kina pójdziemy jutro - rzucił Adrian. Skręcił wózkiem lekko w lewo. Delia poczuła się nagle przygnębiająco mała - nie filigranowa i drobna, lecz krępa, niewielka, nic nie znacząca. Nie sięgała Adrianowi nawet do ramienia. Przyśpieszyła kroku, by jak najszybciej pozostawić za sobą ten wizerunek. - Przecież są poranne seanse? - ciągnął Adrian.

- Oczywiście, że tak - odparła, odrobinę zbyt dobitnie wymawiając słowa. - Moglibyśmy pójść na drugą, zaraz po lunchu z szampanem.



Teraz już pędziła następną alejką. Adrian był musiał wydłużyć krok, by za nią nadążyć. Omal nie zderzyli się z mężczyzną, który miał wózek wyładowany gigantycznymi paczkami pampersów.

W alejce numer siedem przebrnęli przez dział dla smakoszy - z pastami sardelowymi, wędzonymi ostrygami - i znaleźli się przy żywności dla niemowląt. Tam Delia na tyle się pozbierała, że przypomniało jej się, iż musi kupić przecierany szpinak. Zwolniła kroku, by przyjrzeć się rzędom słoiczków.

- Tylko nie to! - syknął Adrian i popędzili dalej, skręcając ostro w alejkę numer osiem. - Przepraszam - powiedział - pomyślałem, że jeżeli Rosemary zobaczy panią z żywnością dla niemowląt...

Jeżeli zobaczy Delię z żywnością dla niemowląt, to pomyśli, że jest gospodynią domową, na której powrót czeka w domu malutkie dziecko. Tylko że, jak na ironię, w jej życiu już dawno minął czas na niemowlęta. Podejrzenie, że ma takie malutkie dziecko, tym bardziej więc jej pochlebiali. A szpinaku potrzebowała do zupy z groszku. Nie chciało jej się jednak tego wyjaśniać, wzięła więc tylko puszkę bulionu.

- O, rosół! - ucieszył się Adrian. - Właśnie chciałem go kupić.

Wrzucił puszkę do jej wózka - był to wymyślny gatunek rosółu, z połyskliwą białą etykietą. Ruszył dalej, wsuwając dłonie w tylne kieszenie spodni. Delii przyszło do głowy, że przypomina jej pierwszego prawdziwego chłopaka, którego właściwie miała jedyne, nie licząc męża. Will Britt był bowiem tak samo kanciasty, co czasem wydawało się pełne wdzięku, a niekiedy wręcz niezgrabne. Łokcie tak samo mu odstawały - jak jakieś guzowate, ostro zakończone skrzydła - i uszy też miał odrobinę odstające. Z ulgą stwierdziła, że Adrianowi odstają uszy. Nie ufała mężczyznom zbyt przystojnym.

Na końcu alejki rozejrzeli się, czy nie widać gdzieś Rosemary, bo mogła wyskoczyć w dowolnym miejscu, bez troski, nie skrępowana tym swoim koszykiem. Ale droga była wolna. Delia skierowała wózek w stronę artykułów papierniczych.

- Co jeszcze chce pani kupić? - spytał Adrian. Owszem, miała w planie jeszcze dużo zakupów. Prawie

drugie tyle. Ale zrozumiała, o co mu chodzi. Im dłużej będą się tu kręcić, tym większe prawdopodobieństwo, że dojdzie do kolejnego spotkania.

- Wychodzimy - postanowiła, ruszając w stronę najbliższej kasy, lecz Adrian wplótł palce w kratki wózka i pociągnął go w kierunku kas ekspresowych. - Raz, dwa, trzy... - zaczęła głośno liczyć zakupy. - Nie możemy tam iść! Mam szesnaście, siedemnaście...

Pociągnął wózek do kolejki, w której stawało się, mając nie więcej niż piętnaście kupionych rzeczy. Starsza kobieta przed nimi trzymała tylko torbę z karmą dla psów. Adrian zaczął więc wykladać paczki makaronu. Niech będzie. Delia przetrząsała torbę, szukając książeczki czekowej. Tymczasem starsza kobieta kładła monety na dłoni kasjerki. Najpierw jedną, a po chwili poszukiwań drugą. Do trzeciej przykleił się kawałek gazy, który starannie oderwała. Adrian nerwowo westchnął.

- Zapomniałam o puszkach dla kotów - powiedziała Delia. Nie dlatego, żeby miał się po nie cofnąć, bo nawet o tym nie marzyła, lecz dlatego, żeby odrobinę uspokoić go rozmową. -Spojrzałam na tę karmę i uświadomiłam sobie, że miałam kupić też dla kotów. Ale nie szkodzi. Później wyślę Ramseya.

Staruszka szukała czwartej monety. Twierdziła, że na pewno gdzieś ją ma.

- Ramseya? - powtórzył Adrian i znów westchnął. Nie, tym razem się roześmiał. - Założę się, że mieszka pani w Roland Park.

- Owszem - przyznała.

- Wiedziałem! Wszyscy tam mają imiona pochodzące od nazwisk.

- No to co? - mruknęła urażona. - Co w tym złego?

- Nie, nic.

- A tak w ogóle to wcale nie prawda - powiedziała. -Znam wiele osób, które...

- Ale proszę się nie gniewać! Ja też mieszkam w Roland Park - przerwał jej. - Tylko cudem nie dano mi imienia... Bennington czy McKinney. McKinney to nazwisko panięskie mojej matki. Założę się, że pani teściowej... a jeżeli dziś wieczór obejdziemy się bez galarety migdałowej, zawsze możemy ją sobie zafundować jutro wieczorem, prawda?

Przez moment czuła się zdezorientowana, lecz po chwili już wiedziała, że w pobliżu musiała się pojawić Rosemary. No i rzeczywiście - na ladzie za nimi stanął kosz wyładowany zakupami. Staruszka wreszcie podrep-tała dalej, dźwigając torbę z karmą.

- Torby plastikowe czy papierowe? - zwróciła się do nich kasjerka.

- Plastikowe - odpowiedział Adrian.

Delia już miała mu się sprzeciwić (zawsze prosiła o papierowe), ale nie chciała robić tego w obecności jego żony.

- Delio, chyba nie poznałaś jeszcze mojej... - powiedział Adrian.

Odwróciła się, przywołując na twarz uśmiech, który wyrażał miłe zdziwienie.

- To moja... hm, to Rosemary - Adrian przedstawił żonę. - A to jej... hm, to Skipper. A to jest Delia Grinstead.

Rosemary się nie uśmiechała i Delia poczuła się głupio. Za to Skipper skinął jej przyjaźnie głową. Ręce miał splecione na piersiach - krótkie muskularne ramiona, gęsto owłosione, jakby rozsadzały rękawki koszulki polo.

- Jest pani może spokrewniona z doktorem Grinstea-dem? - spytał.

- To mój... to mój mąż - odparła. Jak w takiej sytuacji mówić o tym, że się ma męża?

Lecz Skipper szybko poradził sobie z tą informacją.

- Doktor Grinstead - zwrócił się do Rosemary - leczy moją matkę. Od lat. Prawda? - spytał Delię.

- Zgadza się - odparła, chociaż nie miała o tym zielonego pojęcia.

Tymczasem Rosemary przyglądała jej się chłodnym wzrokiem. Trzymała głowę specjalnie pochyloną, by podkreślić asymetrię fryzury, włosy z jednej strony opadały jej pod kątem ostrym na policzek. Nie była to,

oczywiście, sprawa Delii, ale uznała, że Adrian zasługuje na kogoś bardziej sympatycznego. Nawet Skipper zasługuje na kogoś sympatyczniejszego. Żałowała, że nie włożyła rano butów na wysokim obcasie i ładniejszej sukienki.

- Doktor Grinstead - mówił Skipper do Rosemary - to chyba ostatni lekarz w Baltimore, który składa wizyty domowe.

- Ale tylko wtedy, gdy to absolutnie konieczne - dodała Delia. Refleksja: nigdy nie przestawała chronić męża przed pacjentami.

Z tyłu pobrzękiwał czytnik cen, rejestrując kolejne zakupy. Dopiero, teraz Delia zdała sobie sprawę, że już jakiś czas temu przestała grać w sklepie muzyka, stłumione szepty klientów dolatujące z oddali brzmiały więc złowieszczo.

- Trzydzieści trzy czterdzieści - oświadczyła kasjerka. Delia odwróciła się, by wypisać czek, lecz nagle Adrian podał jej pieniądze.

- Ale... - Chciała odmówić, uprzytomniła sobie jednak, że przecież Rosemary słucha.

Adrian uśmiechnął się do niej szeroko, przemiło. Wzięła od niego pieniądze.

- Miło, że się spotkaliśmy - powiedział do stojącej za nimi pary i odszedł, popychając wózek. Delia podreptała za nim.

Od kilku dni na przemian padało i rozpogadzało się, lecz dzisiejszy ranek był bezchmurny, parking wyglądał czysto i świeżo przez pryzmat cytrynowych promieni słońca. Adrian zatrzymał wózek przy krawężniku i wyjął dwie torby z zakupami, trzecią pozostawiając Delii. Miał problem, do czyjego

samochoodu się skierować. Ruszył w stronę swojego, stojącego przy pralni chemicznej, lecz Delia go powstrzymała.

- Niech pan poczeka, mój stoi tu obok.

- A jak nas zobaczą? Przecież nie możemy odjechać osobno, dwoma samochodami!

- Ale ja mam swoje życie - rzuciła. Uznała, że cała ta historia już przebrała miarę. Nie kupiła szpinaku dla niemowląt ani płatków kukurydzianych, nie wspominając już o wielu innych rzeczach. I to wszystko dla dobra jakiegoś nieznanego. Otworzyła bagażnik swojego plymoutha.

- No dobrze - powiedział. - W takim razie rozładujemy bardzo, bardzo powoli te zakupy, to oni zdążą odjechać. Nie mieli dużo rzeczy: dwa steiki, dwa kartofle, sałatę i pudełeczko czekoladek na deser. Szybko zapłacą.

Delię zdumiała jego zdolność obserwacji. Patrzyła, jak wstawia torby do jej bagażnika, a potem dobre pół minuty przekłada jakąś paczuszkę. Były to najdziwniejsze drobne kluseczki, które często widywała na półce, lecz nigdy ich nie kupiła. Uważała, że są podobne do ryżu, więc lepiej podać sam ryż, który jest bardziej odżywczy. Podała Adrianowi swoją torbę, a on z niezwykłą starannością umieścił ją między poprzednimi dwiema.

- Wychodzą już? - spytał.

- Nie - odparła, patrząc poza niego, w stronę drzwi sklepu. - Jestem panu winna pieniądze.

- Ja funduję.

- Ależ nie, naprawdę. Muszę panu oddać. Tylko wypiszę czek, bo nie mam gotówki. Przyjmie pan czek? Mogę pokazać panu prawo jazdy.

Roześmiał się.

- Mówię poważnie - nalegała. - Jeżeli przyjmie pan...

Przerwała, bo zobaczyła, że Skipper i Rosemary wychodzą z supermarketu. On przyciskał do siebie jedną jedyną brązową torbę papierową, ona miała tylko torebeczkę wielkości kanapki, zwisającą na błyszczącym złotym łańcuszku.

- Idą? - spytał Adrian.

- Tak.

Pochylił się nad jej bagażnikiem i znów zaczął przekładać zakupy.

- Proszę mi powiedzieć, kiedy odjadą.

Para szła w stronę niskiego czerwonego samochodu sportowego. Rosemary była co najmniej wzrostu Skippera, szła obojętnym, niedbałym krokiem modelki na wybiegu. Gdyby wpadła na ścianę, to najpierw uderzyłaby biodrami.

- Patrzą w naszą stronę? - spytał Adrian.

- Wcale nas nie widzą.

Skipper otworzył drzwi od strony pasażera, a Rosemary pochyliła się i zniknęła z pola widzenia. Podał jej torbę z zakupami i zamknął drzwi, przeszedł na stronę kierowcy, wsiadł i zapuścił silnik. Dopiero wtedy zamknął swoje drzwi. Mały samochód, ostrożnie lawirując i warcząc, zakręcił jakby w miejscu i wyrwał do przodu.

- Odjechali - zakomunikowała Delia.

Adrian zamknął pokrywę bagażnika. Wydawał się teraz starszy. Delia dostrzegła delikatne zmarszczki w kącikach jego ust.

- No tak - powiedział ze smutkiem.

Znów wspominać o pieniądzach wydawało jej się głupie, lecz musiała to zrobić.

- A czek...

- Proszę przestać, to ja jestem pani dłużnikiem - przerwał jej. - Jestem pani winien o wiele więcej. Dziękuję, że zgodziła się pani przez to wszystko ze mną przejść.

- Drobiazg - odparła. - Szkoda tylko, że nie był pan z kimś bardziej... bardziej odpowiednim.

- Jak to odpowiednim?

- Z kimś... no, wie pan - jąkała się. - Z kimś tak olśniewającym jak pana żona.

- O czym pani mówi? Przecież pani jest bardzo ładna. Ma pani taką twarzyczkę... jak kwiat.



Poczuła, że się rumieni. Na pewno pomyślał, że jest łasa na komplementy.

- W każdym razie cieszę się, że mogłam pomóc - powiedziała i cofnęła się, by otworzyć drzwi samochodu. - Do widzenia!

- Do widzenia. Jeszcze raz dziękuję.

Nie ruszył się z miejsca, dopóki nie wyjechała spomiędzy samochodów. Jakby był gospodarzem, a ona gościem. Oczywiście, przekonana, że on patrzy, czuła się okropnie spięta za kierownicą. Zbyt ostro szarpnęła i wspomaganie kierownicy zenująco zgrzytnęło. Lecz w końcu udało jej się wyjechać i potoczyła się dalej. We wstecznym lusterku widziała, jak Adrian podniósł rękę na pożegnanie i trzymał ją tak długo, aż na światłach skręciła na południe.

W połowie drogi do domu nagle uświadomiła sobie, że przecież powinna mu była oddać jego zakupy. Wszystkie te kluseczki malutkie jak ziarenka i rosół. Rosół *madrilène*. Nawet nie była pewna, jak to się wymawia. Jechała, wioząc czyjaś własność, i było jej wstyd, że czuje się taka zadowolona, taka szczęśliwa i taka bogata.

## Rozdział 2

Plastikowe torby miały to do siebie, że dzięki ich bardzo wygodnym uchwytom ulegało się pokusie, by więcej dźwigać na raz. Delia też się na to złapała. Uprzytomniła to sobie dopiero w połowie drogi przez frontowy ogródek, kiedy zaczęły ją boleć kłykcie. Nie mogła podjechać od tyłu, bo tam blokował drogę czyjś duży samochód. Na pniu największego dębu przybita była zardzewiała tabliczka z prośbą do pacjentów, by parkowali na ulicy, lecz często to lekceważyli.

Obeszła frontowy ganek i z boku minęła gąszcz przekwitłych forsycji. Jej dom był duży, lecz zniszczony - miał szalunek upstrzony plamami pleśni, okiennice wyszczerbione, bo przez lata powypadały tu i tam listewki. Delia nigdy gdzie indziej nie mieszkała. Ani jej ojciec. Matka przybyła ze Wschodniego Wybrzeża, zmarła z powodu niewydolności nerek tak wcześnie, że Delia nawet tego nie pamiętała. Wychowywał ją ojciec i dwie starsze siostry. Kiedy ojciec przyjmował pacjentów na przeszklonej werandzie obok kuchni, jako dziewczynka bawiła się w klasy na parkiecie w holu. Za męża wyszła za asystenta ojca, pobrali się pod rozłożystym mosiężnym kandelabrem, który do dziś dnia przypominał jej komarnice. Po ślubie też się nie wyprowadziła, tylko przyjęła męża do swojej sypialni urządzonej słodkimi meblami nastolatki. Kiedy urodziły się dzieci, często zdarzało się, że któraś z pacjentek wychodziła z poczekalni, wołając: „Delia? Gdzie jesteś, kochanie? Chciałabym zobaczyć, jak się mają twoje kochane maleństwa”. Na tylnej werandzie usadził się teraz kot i miauczał, wyraźnie roszcząc do Delii pretensje. Krótką szarą sierść miał gdzieniegdzie przylizaną, bo mu zmokła.

- A nie mówiłam ci? - upominała go, wpuszczając do domu. - Nie mówiłam ci, że trawa będzie jeszcze mokra? - Sama miała całkiem przemoczone buty, a przecież tylko przeszła przez trawnik. Cienkie jak papier podeszwy przepuszczały zimno. Jak tylko znalazła się w kuchni, zrzuciła buty. - Cześć, jak tam?! - zwróciła się do syna, który siedział rozwalony

przy stole, jeszcze w piżamie, i smarował masłem grzanekę. Postawiła torby na blacie. - Niesamowite, że tak wcześnie wstałeś!

- Nie miałem innego wyboru - odparł ponuro.

Był najmłodszym dzieckiem i najbardziej podobnym do niej samej, a przynajmniej do niedawna tak uważała. (Włosy miał jasnobrązowe, o fakturze postrzępionego sznurka, twarz bladą, upstrzoną piegami, pod oczami sine cienie). Ale w ubiegłym miesiącu skończył piętnaście lat i nagle wydał jej się bardziej podobny do Sama. Nagle strasznie wyrósł i miał ponad sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu. Broda, dotychczas szpiczasta, raptem nabrała kształtu kwadratowego, ręce stały się muskularne i niepokojąco zawadiackie. Nawet nożyk do masła trzymał z jakąś nową pewnością siebie.

I głos też miał podobny do Sama: głęboki i gładki, nie było w nim chropowatości, jak u jego starszego brata, kiedy był w tym wieku.

- Mam nadzieję, że kupiłaś płatki - powiedział.

- Hm, nie... chciałam...

- Oj, mamo!

- Poczekaj, zaraz ci opowiem, dlaczego nie kupiłam - uspokajała go. - Zdarzyło mi się, Carrollu, coś naprawdę zabawnego! Prawdziwa przygoda. Stałam sobie przy warzywach...

- W tym domu nie ma nic porządnego do jedzenia.

- Ale przecież w soboty na ogół nie jadasz śniadania.

- Powiedz to Ramseyowi! - krzyknął.

- Dlaczego Ramseyowi?

- Bo to on mnie obudził. Wpadł do mojego pokoju, kiedy już było całkiem jasno, po całej nocy z tą swoją panienką. Jak mógłbym potem zasnąć?

Delia skupiła się na torbach z zakupami. (Wiedziała, w jakim kierunku zmierza ta rozmowa). Zaczęła grzebać w torbach, jakby miała tam znaleźć płatki.

- Ale chcę ci opowiedzieć o mojej przygodzie - rzuciła przez ramię. - Zupełnie zniecka stanął przy mnie jakiś mężczyzna... Chyba nawet

przystojny. Podobny do mojego pierwszego chłopaka, Willa Britta. Zdaje się, że nigdy ci

o nim nie mówiłam.

- Mamo - przerwał jej Carroll. - Kiedy mi pozwolisz przenieść się na drugą stronę holu?

- Oj, daj spokój.

- Nikt z moich znajomych nie musi mieszkać w jednym pokoju z bratem.

- No", no. Mnóstwo ludzi na świecie musi mieszkać w jednym pokoju z całą rodziną.

- Ale nie z bratem studentem, który daje sobie w szyję.

1 nie w sytuacji, kiedy po drugiej stronie holu stoi pusty pokój.

Delia położyła paczuszkę z kluseczkami i spojrzała synowi w twarz. Powinien iść do fryzjera, ale nie była to pora na robienie tego typu uwag.

- Przepraszam cię, Carrollu, ale dla mnie jest jeszcze na to za wcześnie.

- A dla cioci Elizy nie! Dlaczego więc dla ciebie tak? Ciocia Eliza też jest córką dziadka, a mówi, że owszem, mogę zająć ten pokój. Nie rozumie, dlaczego jeszcze tego nie zrobiłem.

- Ty masz słuchać nas! - rzuciła radośnie. - Chcesz zepsuć taki śliczny dzień? Gdzie ojciec? Ma pacjenta?

Carroll nie odpowiedział. Odłożył grzanekę na talerz i wyzywająco przechylił się na krześle do tyłu. Na pewno znów się przez to zrobią wklęśnięcia w linoleum. Delia westchnęła.

- Kochanie, wiem, co czujesz. Już naprawdę niedługo będziesz mógł zająć ten pokój. Ale jeszcze nie teraz. Nie natychmiast! Jeszcze unosi się w nim zapach fajki dziadka.

- Kiedy tam zamieszkać, ulotni się - stwierdził Carroll.

- Właśnie tego się boję.

- Bomba, to zacznę palić.

Na te słowa roześmiała się z uznaniem.

- A tata? Ma pacjenta?

- Nie.

- To gdzie jest?

- Biega.

- Co robi?

Carroll wziął grzanekę i wgryzł się w nią tak, że głośno zachrząściła.

- Co robi tata?

- Mamo, biega.

- I nawet nie zaproponowałeś, że z nim pobiegiesz?

- Rany, on pobiegł tylko trasą Gilmana.

- Przecież prosiłam was, dzieci, błagałam, byście nie puszczali go samego. A jak mu się coś stanie i nikogo przy nim nie będzie?

- Spoko, tam na pewno nic mu się nie stanie - szapewnił Carroll.

- Przecież nie wolno mu biegać, może tylko chodzić.

- Ale bieganie dobrze mu robi. Tata się nie przejmuje, jego lekarz się nie przejmuje, więc o co chodzi?

Delia mogła go zasypać argumentami, lecz tylko przyłożyła dłoń do czoła.

O tym wszystkim nie powiedziała młodemu człowiekowi w supermarkecie - że jest smutną, zmęczoną, pełną niepokoju czterdziestoletnią kobietą, która od dziesiątków lat nie była na lunchu z szampanem. A męża miała jeszcze starszego, o dobre piętnaście lat, i teraz w lutym miał poważny atak bólu w klatce piersiowej. W pogotowiu powiedziano, że to angina pectoris. Toteż umierała ze strachu, kiedy sam dokądś się wypuszczał, nie znosiła, kiedy prowadził samochód, i wciąż znajdowała wymówki, aby w nocy się z nim nie kochać, bo bała się, że to go zabije. W nocy więc on spał, a ona leżała obok z otwartymi oczami, cała w napięciu, wsłuchując się w jego oddech.

Jej dzieci nie tylko wyrosły z niemowlęctwa, lecz były już naprawdę duże. Wspaniałe, radosne, niewychowane, butne stworzenia. Susie, która była na trzecim roku w Goucher College, przejawiała zdumiewający entuzjazm dla różnych sportów uprawianych na świeżym powietrzu. Ramsey, student pierwszego roku Uniwersytetu Hopkinsa, zagrożony wyłączeniem z uczelni przez związek z dwudziestoosmioletnią przyjaciółką sa-

motnie wychowującą dziecko. (Oboje, Susie i Ramsey, stroili zresztą niewiarygodne fochy, bo finanse rodziny zmuszały ich do mieszkania w domu). A słodziutki dzidzius Delii, ujmujący Carroll, przemienił się w tego gbu-rowatego podrostka, który wzdraga się przed uściskami matki, krytykuje jej ciuchy i przewraca ze wstrętem oczami, kiedy tylko ona się odezwie.

Właśnie tak jak teraz. Postanowiła jednak, że zacznie od nowa, zebrała się w sobie.

- Ktoś dzwonił, jak mnie nie było? - spytała.

- Po co mam odbierać telefon dorosłych - rzucił Carroll, nie zadając sobie nawet trudu, by na końcu postawić znak zapytania.

„Bo dorośli kupują seler do twojej ulubionej miętowej zupy z groszku” - tak powinna była odpowiedzieć, lecz lata obcowania z nastolatkami wyrobiły w niej postawę pacyfistyczną. Podreptała więc tylko w pończochach przez kuchnię i hol do gabinetu, w którym Sam miał telefon z sekretarką.

Nazywali ten pokój gabinetem, bo ściany zabudowane były od podłogi po sufit półkami na książki, ale właściwie to oglądało się tu telewizję. Welwetowe zasłony były na stałe zaciągnięte, przez co panował tu ciemnoczerwony półmrok, jak w staroświeckim kinie. Na stoliku poniewierały się puszki po napojach i puste torebki po chrupkach, stały też stosy wypożyczonych kaset wideo. Na kanapie siedziała rozwalona Susie i razem ze swoim chłopakiem Driscollem Averym oglądali poranne kreskówki. Tak długo już chodzili ze sobą, że wyglądali jak rodzeństwo. Oboje mieli gładką jasną karnację, krępe sylwetki pozbawione wcięcia w talii oraz identyczne luźne bluzy. Kiedy Delia weszła, Driscoll ledwie mrugnął okiem, a Susie nie zadała sobie nawet tyle trudu, tylko przełączyła kanał pilotem.

- Dzień dobry wam - powiedziała Delia. - Były jakieś telefony?

Susie wzruszyła ramionami i znów zmieniła kanał. Driscoll głośno ziewnął. W związku z tym Delia nie powiedziała „przepraszam”, przechodząc przed nimi do sekretarki. Pochyliła się i nacisnęła odpowiedni



guzik, lecz nic nie działała. Urządzenia elektroniczne zawsze ją przechytrzały.

- Jak mam...? - zaczęła, ale w tej samej chwili odezwał się chrapliwy głos starszego mężczyzny: „Doktorze Grin-stead, może pan zaraz do mnie zadzwonić? Tu Grayson Knowles. Mówiłem w aptece o tych tabletkach, ale spytano, czy...”

O co spytano, zostało zagłuszone przez muzykę z *Królika Bugsa*. To Susie nastawiła głośniej telewizor. Sekretarka brzęknęła i odezwał się głos siostry Delii: „Dee, tu Eliza. Potrzebny mi jest jeden adres. Możesz zadzwonić do mnie do pracy?”

- Co ona robi w sobotę w pracy? - spytała Delia, lecz nikt nie odpowiedział.

Znów brzęknęło.

- Tu Myrtle Allingham - zaczęła prosto z mostu starsza kobieta.

- O Boże! - jęknęła Susie.

- Pomyśleliśmy z Marshalllem, że może zechcecie zjeść z nami kolację w niedzielę. Skromną! Tylko my i wy! I proszę koniecznie przekazać Susie, by zabrała tego miłego Driscolla. Powiedzmy o siódmej?

Brzęknęło kilka razy. Koniec.

- Byliśmy tam ostatnim razem - odezwała się Susie, jeszcze bardziej rozwalając się na kanapie. - Dziś odpadamy.

- No, nie wiem - sprzeciwił się Driscoll. - Ten sos krabowy wtedy był prawie w porządku.

- I tak nie idziemy, nie ma o czym mówić.

- Czuje się samotna, to wszystko - powiedziała Delia. - Tkwi w domu przez to biodro, nie chodzi...

Nad ich głowami coś huknęło.

- Co to? - zdziwiła się.

Huknęło jeszcze kilka razy. Właściwie to walnęło. Naprawdę głośno. W równych odstępach, jakby nieprzypadkowo.

- Hydraulik? - rzucił Driscoll.

- Skąd tu hydraulik?

- Hydraulik na górze w łazience?
- Nie wzywałam hydraulika.
- A może doktor Grinstead?

Delia zerknęła na Susie, a ta posłała jej ironiczne spojrzenie.

- Nie wiem, co go naszło - skomentowała Delia. -Wciąż tylko... jak to się mówi?... reno... - I wyszła z pokoju, wiedząc, że nikt jej nie słucha. - Renowowuje - ciągnęła -ten dom w nieskończoność. Jeżeli teraz chodzi o to miejsce na suficie, to naprawdę...

Szła po schodach, w połowie drogi minęła się z kotem, który zbiegał na łeb, na szyję. Vernon nienawidził hałasów.

- Halo?! - zawołała i wsunęła głowę do łazienki, do której drzwi prowadziły z holu.

Na podłodze przy wannie, która miała nóżki w kształcie łap, przycupnął mężczyzna w kombinezonie, z kucykiem. Oglądał rury.

- Dzień dobry - powiedziała.
- Dzień dobry. - Odwrócił się do niej.
- Co się zepsuło?
- Jeszcze nie wiem. - I znów zajął się rurami. Poczekała chwilę, że on może jednak coś dopowie, ale najwyraźniej należał do fachowców, którzy rozmawiają tylko z mężami.

W sypialni usiadła na łóżku po stronie Sama, podniosła słuchawkę telefonu i wykręciła numer Elizy.

- Tu Biblioteka Pratt - odezwał się kobiecy głos.
- Poproszę Elizę Felson.
- Chwileczkę.

Oparła poduszkę o wezgłowie, zarzuciła nogi na różową kapę z falbankami. Hydraulik przeniósł się do łazienki pomiędzy jej sypialnią a ojca. Nie widziała go, tylko słyszała, jak łomocze. Właściwie czego można się dowiedzieć, bębniąc w rury?

- Przepraszam - odezwał się głos w słuchawce - ale nie możemy znaleźć pani Felson. Na pewno miała dziś być w pracy?

- Na pewno. Prosiła, bym zadzwoniła do pracy, a poza tym nie ma jej tu w domu.

- Przepraszam.

- To dziękuję.

Odłożyła słuchawkę. Hydraulik pogwizdywał *Clementine*. Wkroczył, gwizdząc, do sypialni, kiedy wykreślała numer pani Allingham. Skromnie wygładziła spódnice na kolanach. Przykucnął przy drzwiczkach, za którymi przebiegały rury w ścianie. „Zginęłaś, przepadłaś na zawsze” - gwizdał akurat ten fragment, a Delia w myślach podłożyła słowa. Pociągnął drzwiczki za drewnianą gałkę, i ta została mu w ręce. Delia wiedziała, że tak się stanie. Z pewną satysfakcją się przyglądała, jak zakławszy pod nosem, sięga po obcęgi do pasa z narzędziami.

Siedem dzwonek. Osiem. Nie rezygnowała. Pani Allingham kulała, zanim więc podeszła do telefonu, mijały całe wieki.

Dziewiąty dzwonek.

- Halo?

- Pani Allingham? Tu Delia.

- Och, kochanie, jak się masz?

- Świetnie, a co u pani?

- U nas wszystko dobrze. Cieszymy się śliczną wiosenną pogodą! Prawda, że do dziś można było całkiem zapomnieć, jak wygląda słońce?

- Tak, mnie też było go brak - powiedziała Delia. I nagle jakby zalała ją fala tęsknoty za domem. Ożywiony, lekko zachrypły głos pani Allingham przywołał obraz wszystkich kobiet na tej ulicy, na której Delia się wychowała. - Proszę pani, bardzo nam będzie miło z Samem przyjąć pani zaproszenie na jutro wieczór, ale, niestety, nie możemy przyjść z dziećmi.

- Oj, szkoda.

- Po prostu są bardzo zajęte. Wie pani, jak to jest.

- Tak, oczywiście - powiedziała pani Allingham słabym głosem.

- Może innym razem! Zawsze się cieszą na spotkanie z panią.

- A my na spotkanie z nimi.

- W takim razie jutro o siódmej - rzuciła z animuszem Delia, bo na dole usłyszała Sama, a musiała jeszcze zrobić tysiąc rzeczy. - Do zobaczenia.

Hdraulik już uporał się z drzwiczkami i zaglądał we wnętrzości ściany, ale Delia już wiedziała swoje i nie zadała mu żadnego pytania.

W kuchni zastała Sama opartego o blat, jak zdejmował buty do biegania, całe w błocie.

- ...jak wpadniesz na te cedrowe wióry, to suniesz jak na saniach... - mówił do Carrolla.

- Słuchaj - przerwała mu - jak mogłeś tak sam się wypuścić? Wiedziałeś, że będę się martwić.

- Cześć, Dee - powiedział.

Podkoszulek miał całkiem mokry od potu, aż przezroczysty, twarz o ostrych kościach policzkowych błyszczała, okulary zaciągnęły się mgłą. Włosy - koloru niby blond, niby siwego, bo nie wiadomo kiedy poblakły - przylepiły mu się w strąkach do czoła.

- Spójrz na siebie - upominała go Delia. - Zgrzałeś się, sam pobiegłeś, a doktor powtarzał ci ze sto razy...

- Czyj samochód blokuje wjazd?

- Jaki samochód?

- No, ten zaparkowany na wjeździe.

- A to nie samochód jakiegoś pacjenta?... No nie, raczej nie.

- Hydraulika - rzucił Carroll z za szklanki soku pomarańczowego.

- Ach, świetnie, przyjechał hydraulik - ożywił się Sam. Postawił buty na wycieraczkę i wyszedł z kuchni, już

niewątpliwie się ciesząc na jedną z tych lakonicznych męskich wymian zdań na temat zaworów, kolanek i uszczelek.

- Sam, poczekaj! - zawołała Delia, którą ruszyło poczucie winy. - Bo zapomnę...

Odwrócił się, miał bardzo czujne spojrzenie.

- Dzwonił pan Knowles, coś mówił o tabletkach.

- Myślałem, że już to wyjaśnił.

- I dzwoniła też pani Allingham. Pytała, czy możemy przyjść...

Jęknął.

- Nie, nie możemy.

- Ale nie dałeś mi dokończyć! To mała niedzielna kolacyjka. Powiedzia-  
łam...

- Ja na pewno się nie wybieram - przerwał jej Carroll.

- Już jej o tym powiedziałam. Powiedziałam, że wy, dzieci, macie inne  
plany. Ale Sam, my byśmy...

- Nie, nie pójdziemy - stanowczo stwierdził.

- Ale przyjąłem zaproszenie.

Już miał się odwrócić, lecz powstrzymał ten odruch i spojrzał na żonę.

- Wiem, że powinnam to z tobą najpierw skonsultować, ale jakoś tak  
przypadkiem od razu do niej zadzwoniłam.

- W takim razie będziesz musiała powtórnie zadzwonić i odwołać.

- No wiesz! Wyszedł.

Spojrzała na Carrolla.

- Jak on może być taki podły? - spytała, lecz syn tylko uniósł jedną  
brew w ten nowy wytworny sposób, który na pewno studiował przed lu-  
strem.

Niekiedy czuła się jak malutki komar brzęczący na o-brzeżu rodziny.

Linoleum pod jej nogami było gładkie i chłodne. Chętnie poszłaby na  
górze po pantofle, lecz przecież byli tam Sam i hydraulik. Powróciła więc  
do rozpakowywania toreb z zakupami. Wyjęła kilka kolejnych paczek  
makaronu. Może powie pani Allingham, że Sam się rozchorował. Zawsze  
to jednak była ryzykowna wymówka, bo mieszkali niedaleko siebie i mo-  
głaby go zobaczyć, rześkiego i zdrowego, jak na przykład wychodzi po  
poranną gazetę. Westchnęła i zamknęła drzwiczki szafki.

- Kiedy to się ze mną stało? - spytała Carrolla.

- Cooo?

- No to, że kochana i śliczna przeobraziła się w głupią i nieudolną?

Nie odniosła wrażenia, że Carroll ma na ten temat wyrobione zdanie.

W drzwiach stanęła jej siostra, zawijając rękawy bluzki.

- Dzień dobry wszystkim! - powiedziała.

- Eliza?

Bywały takie dni, kiedy Eliza wyglądała jak gnom, i dzisiejszy dzień właśnie do takich należał. Miała na sobie ubiór do prac w ogrodzie - hełm tropikalny, który właściwie tylko defasonował jej prostą, przystrzyżoną na pazia fryzurę, bluzkę khaki i rozszerzane u dołu brązowe spodnie, a na nogach brązowe chłopięce półbuty na bardzo grubej podeszwie, dzięki czemu miała wyglądać na wyższą. (Była najniższa z trzech sióstr Felton). Okulary w rogowej oprawie zdominowały jej drobną otwartą, ziemistą twarz.

- Pomyślałam sobie, że przesadzę tych kilka ziół, zanim wyschnie ziemia - powiedziała do Delii.

- Myślałam, że jesteś w pracy.

- W pracy? Przecież dziś sobota.

- Ale wydawało mi się, że dzwoniłaś z pracy.

Eliza spojrzała na Carrolla. Znów uniósł tak samo brew.

- Dzwoniłaś i nagrałaś się na sekretarce - nie ustępowała Delia. - Prosiłaś o jakiś adres.

- To było co najmniej dziesięć dni temu. Potrzebny mi był adres Jenny Coop. Pamiętasz?

- To dlaczego dziś to usłyszałam?

- Mamo, musiałaś cofnąć i odtworzyć stare nagrania - wyjaśnił Carroll.

- Hm, jak to możliwe?

- Po pierwsze, nie włączyłaś sekretarki, rozumiesz? A po drugie, to kiedy przycisnęłaś guzik NAGRANIA...

- O Boże, pani Allingham.

- Jest kawa? - spytała Eliza.

- Nie wydaje mi się. O Boże...

Podeszła do wiszącego na ścianie telefonu i wykręciła numer pani Allingham.

- Smacznie sobie śpię - mówiła Eliza do Carrolla - rozkoszując się myślą, że to sobota i mogę pospać do dwunastej, a tu kto wczółguje się przez te



drzwiczki w tylnej ścianie mojej szafy? Oczywiście, kolejny z tych cholernych fachowców twojego ojca.

- Pani Allingham? - powiedziała Delia do słuchawki. - Tu znowu Delia. Czuję się strasznie głupio, ale najwyraźniej pomieszały mi się nagrania rozmów. Pani zapraszała nas w ubiegłym tygodniu. I oczywiście, byliśmy u pani i było nam bardzo miło. Czy napisałam do pani podziękowanie? Naprawdę chciałam to zrobić. Ale przecież w tym tygodniu nie umawialiśmy się, to znaczy, właśnie sobie uprzytomniłam, że nie były to zaprosiny...

- Ależ, kochana Delio, naprawdę bylibyśmy szczęśliwi, gdybyście przyszli w tym tygodniu! Zawsze cieszymy się z waszej wizyty. Już posłałam Marshalla po zakupy.

- Och, przepraszam - powiedziała Delia, lecz nagle rozległ się ogłuszający hałas młynka do kawy, więc tylko krzyknęła: - Dziękuję, chcemy wkrótce zaprosić państwa do nas! Do widzenia.

Odłożyła słuchawkę i rzuciła groźne spojrzenie Elizie.

- Żeby tylko kawa tak pysznie smakowała, jak pachnie -pogodnie wyrecytowała jej siostra, kiedy młynek ucichł.

Sam i hydraulik schodzili na dół. Delia słyszała, że ten drugi przeciąga samogłoski, jak mieszkańcy wschodniej części Baltimore. Dochodziły ją jakieś poetyckie dyrdymałki na temat wody.

- To najbardziej zadziwiająca substancja - mówił. - Wytryska w jednym miejscu i płynie jakiś metr wewnętrzną częścią rury, aż nagle rozpoczyna się jej wyciek. W zupełnie nieoczekiwanym miejscu. Będzie tak sobie czekać stosownej chwili, uzbroi się w cierpliwość, aż wymaca jakąś malutką szparkę, której nikt inny by nie znalazł.

Delia wsparła ręce na biodrach i czekała. W chwili gdy obaj mężczyźni stanęli w drzwiach, powiedziała:

- Mam nadzieję, że będziesz zadowolony, Samie Grinstead.
- Cooo?
- Zadzwoiłam do biednej pani Allingham i odwołałam kolację.
- To dobrze - stwierdził, jakby nie miał pojęcia, o co chodzi.

- Nie dotrzymałam słowa, wymigałam się ze spełnienia obietnicy: Niewykluczone, że na zawsze zraniłam jej uczucia - wyrecytowała.

Lecz Sam nie słuchał. Podążał wzrokiem za palcem hydraulika, który wskazywał pas spulchnionego tynku na suficie. Eliza odmierzała kawę. Jedyną więc osobą, która odrobinę zwracała uwagę na Delię, był Carroll. Spojrzał na nią z absolutną pogardą.

Zakłopotana, odwróciła się do swoich toreb. Z czeluści jednej z nich wyciągnęła seler - jasnozielono-perłowy, o doskonałym zebrowaniu. Długo przyglądała mu się z namysłem. „Świetnie to pani ujęła!” - usłyszała głos Adriana. Uchwyciła się tych słów, przytuliła je do piersi i odwracając się, rzuciła synowi uszczęśliwiony uśmiech.

RS

### Rozdział 3

Świetnie to pani ujęła!" - powiedział i jeszcze: „Jest pani bardzo ładna!", i jeszcze: „Ma pani taką twarzyczkę jak kwiat". Czy chodziło mu o to, że ma twarz podobną do kwiatu, który akurat jest mały? Czy głównie o to, że jej twarz jest mała? Wolałaby, żeby chodziło mu o to pierwsze, ale chyba bardziej prawdopodobna była ta druga interpretacja.

Poza tym chwalił ją za cudowną galaretę migdałową. Oczywiście, że ta galareta nie istniała, ale mimo to Delia, przypominając sobie jego aprobatę, czuła, jak gra w niej duma.

Kiedy była sama, przyglądała się swojej twarzy w lustrze. Może rzeczywiście jest podobna do kwiatu? Oczywiście, jeżeli miał na myśli kwiaty w cętki. Zawsze chciała wyglądać bardziej dramatycznie, bardziej tajemniczo - w istocie, bardziej dojrzałe. To strasznie niesprawiedliwe jest mieć coraz więcej zmarszczek wokół oczu, a przez cały czas tę samą trójkątną dziecięcą twarz o zasadniczym, szczerym wyrazie. Ale widocznie Adrianowi wydała się atrakcyjna.

Chyba że powiedział tak przez zwykłą uprzejmość.

Szukała jego nazwiska w książce telefonicznej, ale musiał mieć zastrzeżony numer. Wypatrywała go na ulicy i w pobliskich sklepach. Przez następne trzy dni dwukrotnie jechała do supermarketu, za każdym razem ubrana w sukienkę z marszczonym gorsem, bo wyglądała w niej na mniej płaską. Adrian jednak nigdzie się nie pokazał.

A gdyby go spotkała, to co by zrobiła? Nie zakochała się w nim ani nic w tym rodzaju. Przecież nawet nie miała pojęcia, jakim jest człowiekiem! Na pewno też nie chodziło jej o to - jak to określała - żeby „coś się zaczęło". Odkąd skończyła siedemnaście lat, jej życie skupiało się wokół Sama Grinsteada. Kiedy go poznała, już nigdy nawet nie spojrzała na innego mężczyznę. Nawet w marzeniach była mu wierna. Należała do takich kobiet.

Kiedy jednak wyobrażała sobie, że nagle gdzieś spotyka Adriana, od razu - jak uświadamiała sobie - w sposób naturalny poruszała się lekko i

zwinnie. Czuła kontury ciała pod fałdami sukienki. Nie pamiętała, kiedy ostatnio tak bardzo zdawała sobie sprawę z własnego wyglądu zewnętrznego.

W domu czterech robotników zakładało klimatyzację -była to następna innowacja Sama. Kroili podłogi i ściany, uruchamiali wielkie ryczące maszyny, wciągali metalowe przewody i wielkie bele czegoś, co wyglądało jak szara wata cukrowa. Delia, leżąc w nocy w łóżku, widziała przez nowo powstały prostokąt w suficie nagie wiązanie poddasza. Wyobrażała sobie, że kiedy śpi, pikują na nią gromady jaskółek i nietoperzy. Wydawało się jej, że słyszy jęki rozpaczającego domu, który, taki skromny i delikatny, był nie przygotowany na zmiany.

Sam tymczasem aż kipiał radością. Ledwo utykał wizyty pacjentów między odwiedziny kolejnych fachowców. Przez jego gabinet przewijali się elektrycy, tynkarze, malarze i przedstawiali mu projekty kolejnych unowocześnień. Zjawił się też stolarz do okiennic i robotnik ze specjalnym sprejem zwalczającym pleśń na szalunku. Sam mieszkał w tym domu od dwudziestu dwóch lat. Czy przez cały ten czas był tak krytycznie do niego nastawiony?

Po raz pierwszy wszedł do poczekalni jej ojca w pewien poniedziałkowy poranek w lipcu, jakieś trzy tygodnie po ukończeniu przez Delię szkoły średniej. Siedziała wtedy na swoim stałym miejscu przy biurku, chociaż pora była dla niej niezwykła (na ogół pracowała po południu), lecz bardzo chciała poznać Sama. Od czasu kiedy doktor Felson oświadczył, że go zatrudnił, ona i siostry nie mówiły o niczym innym. Pytały, czy jest żonaty, ile ma lat i jak wygląda. (Ojciec odpowiadał, że nie jest żonaty, a lat ma trzydzieści dwa lub trzy, wygląda niczego sobie. Niczego sobie? No, to znaczy normalnie, bardzo dobrze - odpowiadał niecierpliwie ojciec. Dla niego najważniejsze było to, czy ten młody człowiek ulży mu w pracy - przejmie wizyty domowe i poranne godziny przyjęć). W ten letni ranek Delia więc wstała wcześniej i ubrała się w najładniejszą sukienkę z dekoltem w serduszko. Usiadła za zamkniętą klawiaturą szpinetu jak za biurkiem i ostentacyjnie zabrała się do przepisywania notatek

ojca. Punktualnie o dziewiątej wszedł do domu młody doktor Grinstead, niosąc przerzucony przez ramię biały wykrochmalony kitel. Promienie słońca odbijały się od jego solidnych okularów w przezroczystej oprawie i pokrywały glazurą jakby prześwietlone blond włosy. Delia do dziś dnia pamiętała, że wtedy przeszył ją ból pożądania i żołądek podskoczył jej do gardła, jakby pochyliła się nad kanionem.

Sam w ogóle nie pamiętał tego spotkania. Twierdził, że widział ją po raz pierwszy, kiedy przyszedł na obiad. Prawdą było, że tego samego dnia odbył się proszony obiad. Eliza upiekła pieczeń, a Linda ciasto (obie chwaliły się swoimi zdolnościami prowadzenia domu), a tymczasem Delia, to dziecko, które za dwa miesiące miało skończyć osiemnaście lat i prawdopodobnie nie żywiło nadziei na zwycięstwo, siedziała w saloniku naprzeciwko Sama i ojca i sączyła po dorosłemu kieliszek sherry. Alkohol smakował jej jak rodzyнки w płynie, spływał głęboko tam, skąd rozprzestrzeniało się nasilające się z minuty na minutę uczucie tęsknoty. Ale Sam twierdził, że kiedy przyszedł, wszystkie trzy dziewczyny siedziały na kanapie. Jak trzy księżniczki z bajki, usadzone według wieku - najstarsza najdalej po lewej. A on, niczym uczciwy syn drwala, wybrał najmłodszą i najładniejszą, tę małą i nieśmiałą, która nie miała nadziei wygrać.

Niech sobie myśli, co chce. W każdym razie skończyło się też jak w bajce.

Oprócz tego, że po zakończeniu toczy się prawdziwe życie. Teraz więc mają fachowców od klimatyzacji, co niszczą strych i kota, który chowa się pod łóżko. A Delia na kanapce przy oknie w poczekalni Sama czyta romans. To jej jedyne schronienie, bo i w gabinecie, i w poczekalni już założono klimatyzację. Rozciągnęła się na kanapce, opierając ramię o jedną poręcz, a stopy w różowych puszystych pantoflach o drugą. Nad nią wisiała oprawiona przez ojca reprodukcja obrazu Normana Rockwella, przedstawiająca miłego starego doktora przykładającego stetoskop lalce małej dziewczynki. A znad kruchej ścianki działowej nie sięgającej sufitu dolatywał głos Sama, który tłumaczył pani Harper, dlaczego cierpi na bó-

le łokcia. W stawach są zmiany - powiedział. I nastąpiła ogłupiająca cisza, ucichła nawet piła elektryczna. Aż nagle rozległ się okrzyk pani Harper:

- Ojej! Boże Najświętszy! To wstrząsające! Wstrząsające? Pani Harper miała dziewięćdziesiąt dwa lata. Czego się spodziewała? - mogłaby spytać Delia. Ale Sam łagodnie odpowiedział:

- No tak, wie pani...

Dalszych słów Delia nie dosłyszała, bo piła znów ruszyła, jakby o oznaczonej porze.

Przełożyła kartkę. Bohaterka objężdżała ogromną posiadłość bohatera, podziwiając wspaniały majątek i różne gustowne „urządzenia”. Kiedyś Delia stwierdziła, że bardzo wielu bohaterów tych książek to ludzie bogaci. Jeżeli chodzi o kobiety, to bywało różnie - niektóre były zamożne, niektóre biedne, lecz mężczyźni zawsze posiadali zamki i orszak oddanej służby. Kobiety, które za nich wychodziły, nigdy już nie musiały się borykać z trudnościami życia codziennego - z tym, że cieknie w piwnicy, że piecyk się zepsuł lub zginęły kluczyki od samochodu. Brzmiało to wszystko wspaniale.

- Delio, moje kochanie! - zawołała pani Harper, wychodząc chwiejnym krokiem z gabinetu. Była to elegancka kobieta, wyglądająca jak szkielet obciążony jedwabiem, o rękach jak pazury. Wyciągała je do Delii błagalnie. - Twój mąż właśnie mi oświadczył, że stawy powycierały mi się do szczętu!

- Oj, to nieprawda - zaprotestował Sam, wychodząc za nią. - Wcale tak nie powiedziałem, pani Harper.

Delia usiadła porządnie i wygładziła spódnicę. Myślała o tym, że ma kapcie z króliczymi uszami, a na okładce książki widnieje wamp.

- Pani Harper, bardzo mi przykro. Mam wyznaczyć pani następną wizytę?

- Nie, on mówi, że mam iść do specjalisty. Do kogoś, kogo zupełnie nie znam!

- Dee, zapisz pani numer telefonu Petersona - poprosił Sam.



Wstała i w pantoflach podreptała do biurka. (Pani Harper miała na nogach wąskie w palcach, zakończone szpicem szpilki, które demonstrowała na dywanie w jodełkę, chwając się swoimi zgrabnymi kostkami). Delia przebierała w fiszkach ułożonych nie według alfabetu, tylko specjalnościami - alergologów, reumatologów... Obecnie ich gabinet odgrywał rolę czegoś w rodzaju izby rozrachunkowej. Kiedyś jej ojciec przyjmował porody

1 nawet czasami wykonywał podstawowe zabiegi chirurgiczne, a teraz bywali tu wiosną głównie pacjenci z uządleniami, jesienią zaś przychodzili na szczepienia przeciw grypie. Co do porodów, to dawno już wszystkie pacjentki przekroczyły ten wiek. Większość ich Sam otrzymał w spadku po ojcu Delii. (Czasem żartował, że może nawet po dziadku, który otworzył gabinet w 1902 roku, kiedy to Roland Park było jeszcze wsią i nikomu nawet się nie śniło mieć praktyki poza miejscem zamieszkania).

Napisała numer telefonu doktora Petersona na karteczce i podała ją pani Harper, która nieufnie ją obejrzała i wsunęła do torebki.

- Mam nadzieję, że ten lekarz nie ma już mleka pod nosem.  
- Liczy sobie co najmniej trzydzieści lat - zapewnił ją Sam.  
- Trzydzieści! To mój wnuk jest od niego starszy! Czy nie mogłabym nadal przychodzić do pana? - Lecz wiedząc, jaką usłyszy odpowiedź, w tej samej chwili odwróciła się do Delii. - Ten twój mąż to prawdziwy święty - powiedziała. - Jest za dobry na to, by żyć na tej ziemi. Mam nadzieję, że o tym wiesz.

- O tak.

- I na pewno go doceniasz?

- Oczywiście, pani Harper.

Delia patrzyła, jak Sam odprowadza staruszkę do drzwi, po czym opadła z powrotem na kanapkę i wróciła do książki. „Beatrice, pragnę cię nad życie” - mówił bohater chrapliwym głosem desperata lub, jak to określił autor: „nie panując nad sobą”. „Poczuła, że jej smukłe plecy przesywa dreszcz, plecy otulone białym atlasowym neglizem”.

A może, zamiast gdzieś przypadkiem spotykać Adriana, powinna nie ruszać się z miejsca i poczekać, aż on ją odnajdzie. Niewykluczone, że teraz przypomina sobie jej twarz i krąży po ulicach. A może sprawdził, gdzie mieszka, bo przecież zna jej nazwisko. I gdzieś w pobliżu przystanął samochodem, by chociaż ją zobaczyć.

Zaczęła kilka razy dziennie wychodzić do ogródka od frontu. Chwytała się każdego pretekstu, żeby tylko usiąść na bujanej kanapce na frontowym ganku. Chociaż nigdy nie lubiła przebywać na świeżym powietrzu, a tym bardziej zajmować się ogrodnictwem, teraz spędziła pół godziny upozowana w irchowych rękawicach pośród upraw zielarskich Elizy. Raz ktoś zadzwonił, ale nie odezwał się, kiedy podniosła słuchawkę, tylko słychać było oddech. Odtąd podrywała się z miejsca na każdy dzwonek telefonu, zupełnie jak nastolatka. „Ja odbiorę! Ja odbiorę!” Kiedy telefon milczał, również jak podłotek pertraktowała z Losem. „Jeżeli nie będę o tym myślała, to telefon zadzwoni. Wyjdę z pokoju, będę udawała zajętą i wtedy na pewno telefon zadzwoni”. Kiedy w niedzielę prowadziła rodzinę do samochodu, bo wszyscy mieli jechać z wizytą do matki Sama, poruszała się płynnie, zmysłowo, jak aktorka czy tancerka świadoma, że na nią patrzą.

Gdyby jednak ktoś naprawdę jej się przyglądał, to co by zobaczył? Szarpaninę i nieład jej życia domowego. Oto Ramsey - niski, o kamiennej, ponurej twarzy - kopie z obrzydzeniem oponę. Carroll i Susie sprzeczą się, które z nich będzie siedzieć przy oknie. Sam sadowi się za kierownicą, podsuwa wyżej okulary na nosie, w niecodziennej koszuli z dzianiny wygląda na zbyt odstawionego cherlaka. A na miejscu przeznaczenia czeka Żelazna Mama (jak nazywała ją Delia) - stanowcza, bezbarwna Eleanor Grinstead, która łąta swój dach i strzyże trawnik. Syna jedynaka wychowała sama w tym wymuskanym domu szeregowym przy Calvert Street. Teraz czeka w nim z zaciśniętymi ustami, by usłyszeć, jaką też nową bzdurę wymyśliła synowa.

Nie, żadne z nich nie wytrzymałoby próby niebiańsko błękitnego spojrzenia Adriana Bly-Brice'a.

Najstarszy z facetów od klimatyzacji, imieniem Lysander, spytał, co to za wiązki - chyba siana - wiszą u belek na strychu.

- To zioła mojej siostry - odparła Delia. Miała nadzieję, że na tym się skończy.

Lecz stojąca przy niej Eliza, która obierała fasolkę na kolację, nie wytrzymała.

- Tak, palę je w małych garnuszkach i rozstawiam po całym domu.

- Podpala je pani? - dopytywał się Lysander.

- Każde z nich działa na coś innego - wyjaśniła Eliza. - Jedno chroni przed złymi snami, inne służy koncentracji, a jeszcze inne oczyszcza atmosferę po awanturze.

Lysander spojrzał na Delię, unosząc swoje szczotkowane brwi.

- Jak pan myśli? - rzuciła pośpiesznie. - Już prawie skończone?

- To tutaj? Skądże! - odparł i ciężkim krokiem podszedł do zlewu, by napełnić swój termos. Czekając, aż spłynie cieplejsza woda, soznajmił: - To potrwa jeszcze co najmniej kilka dni.

- Kilka dni? - spytała zachrypłym głosem i odchrząknęła. - Ale może chociaż skończy się ta okropnie hałaśliwa robota? Nawet kota rozboleła głowa.

- A skąd pani wie? - zainteresował się.

- Bo Delia potrafi czytać w jego myślach - odezwała się Eliza. - Wszystkich nas nauczyła, jak postępować z kotami. Kiedy jakim głosem się do nich zwracać, jak na nie patrzeć i jak...

- Elizo, potrzebna mi już ta fasolka - przerwała jej Delia.

Lecz za późno, bo Lysander podstawiał termos pod kran i parsknął:

- Ja tam psa mogę wziąć w każdej chwili, ale koty, jak dla mnie, za bardzo chodzą własnymi drogami.

- No, ja też bardzo lubię psy - stwierdziła Delia. (W istocie trochę się ich bała). - Tylko że po psach nie wiadomo czego i kiedy się spodziewać... Wie pan, o co mi chodzi?

- Ale są szczerze - odparł. Zabrzmiało to jak oskarżenie. - Mogę zwinąć kilka kostek lodu?

- Proszę, niech pan bierze - odparła.

Stał bezradnie, trzymając termos za szyjkę. Zorientowała się, że czeka, aż ona poda mu ten lód. Pewnie należał do tych mężczyzn, którzy nie mają pojęcia, gdzie żony trzymają sztuce. Otarła ręce o fartuch i podeszła do lodówki.

- Przedtem pracowaliśmy u takich - mówił - co to mieli... zakładaliśmy tam dmuchawę do ogrzewania... mieli psa obronnego. Takiego szkolonego. Ta pani ostrzegała nas, żebyśmy uważali.

Trzymał mocno termos, a Delia usiłowała wepchnąć do niego kostkę lodu. Nie udawało się, uderzyła więc w nią dłonią (Lysander nawet nie mrugnął okiem).

- Oj! - krzyknęła, bo kostka lodu wyskoczyła w powietrze. Po chwili spadła i prześlizgnęła się aż do drzwi.

Lysander patrzył na to żałośnie.

- Proszę mi dać tego uparciucha - zwróciła się do niego Delia i wzięła mu z rąk termos. Wstawiła go energicznie do zlewu. Włożyła pod wodę drugą kostkę. - Juuuż! - zapiszczała z radości, kiedy lód wpadł do środka. Zaczęła majstrować przy trzeciej.

- Któregoś dnia wyładujemy rzeczy z ciężarówki - zaczął Lysander - a tu z za domu wychodzi ten pies. Wielki stary pies ze zjeżoną sierścią na karku jak wilk. Charczało mu w gardle. Boże, myślałem, że umrę. W tej samej chwili idzie ta pani. Jakby na to czekała. „Do nogi” - mówi i bierze go za obrozę. Spokojniutko, jakby nigdy nic. Prowadzi psa do sąsiadów. „Pani Taka-to-a-taka, zastrzelę tego psa, jeżeli pani tu zaraz nie przyjdzie i go nie zabierze” - mówi bardzo wyraźnie, całkiem z zimną krwią. Wierzcie mi, panie, niesamowita z niej była kobietka.

Dlaczego opowiadał tę historyjkę? Chciał zawstydzić Delię? Wrzuciła trzecią kostkę, robiąc przy tym jak najmniej zamieszania. Nie wiadomo dlaczego nagle ta kobieta z opowieści skojarzyła jej się z Rosemary Bly-Brice. A może to rzeczywiście była Rosemary Bly-Brice? Miała przyklepiony do twarzy uśmiech osoby zachowującej spokój i dystans, pochyliła się z wdziękiem i jednym palcem chwyciła psa za kolczatkę. Delia poczuła, że ogarnia ją przemożne uczucie podziwu, jak gdyby jej zauroczenie Adrianem przeniosło się na jego żonę.

Odkręciła kran, wzięła termos i podała Lysandrowi.

- Oj, niech pani patrzy - zwrócił jej uwagę, bo termos przeciekał. - Stłukła go pani.

Delia nie powiedziała „przepraszam”, tylko poszła po swój termos, by go dać Lysandrowi. Myślała, że weźmie go i pójdzie sobie. Właśnie przypomniało jej się, jak to w supermarkecie nagle powiedziała coś o Ramseyu, a Adrian myślał, że to jej mąż. Nic więc dziwnego, że jeszcze się nie pojawił! Na pewno szukał pod Ramsey Grinstead, a nikogo takiego nie było w książce telefonicznej. No, ale prędzej czy później uprzytomni sobie, że to pomyłka. Na samą myśl o tym uśmiechnęła się i dalej stała, wyciągając rękę z termosem. W końcu Eliza cmoknęła i wstała po ścierkę.

Panowały ciemności, telefon zadzwonił dwa razy. Wyrwał Delię ze snu. Automatycznie pomyślała o dzieciach - gdzie są i co robią. Uprzytomniła sobie, że cała trójka bezpiecznie śpi we własnych łóżkach, ale mimo to serce jej waliło.

- Halo? - powiedział do słuchawki Sam. - Tak, tu doktor Grinstead. Aha, pan Maxwell.

Delia odetchnęła i odwróciła się na bok. Był mężem Potężnej Królowej Hipochondrii.

- Jak długo ma takie objawy? - spytał Sam. - Aha, to nie wygląda na nic poważnego. Tak, jestem przekonany, że to jej dokuczają, ale wątpię, czy...

Ze słuchawki doleciała stłumiona paplanina.



- Oczywiście, że musi źle się czuć - odezwał się w końcu Sam. - Rozumiem. Dobrze, jeśli pan uważa, że to takie ważne, przyjdę i ją zbadam.

- No wieszysz - syknęła Delia, siadając. Nie zwrócił na to uwagi.

- Będę za kilka minut - powiedział. Kiedy odłożył słuchawkę, Delia wybuchnęła:

- Samie Grinstead, ale z ciebie oferma! Wiesz, że to nic poważnego. Przecież jeżeli jest taka chora, to może ją zawieźć na pogotowie.

- Sama wiesz, że już żadne z nich nie prowadzi - wyjaśniał łagodnie. Spuścił nogi na podłogę i sięgnął po spodnie, które leżały złożone na oparciu bujaka. Zawsze sypiał w świeżych slipach, a ubranie na następny dzień miał pod ręką.

Delia przycisnęła rękę do piersi, która ledwie się uspokajała. Czy tak samo czuł się Sam, kiedy dostał tych bóli w klatce? Usiłowała to sobie wyobrazić. Siedział za kierownicą, samochód cichutko warkotał, wioząc go na spotkanie, aż tu nagle chwyciły go te bóle, więc spokojnie i gładko (jak sobie wyobrażała) skręcił do szpitala Sinai. Tam załatwił, by go przyjęto, i poprosił pielęgniarkę, aby zadzwoniła do Delii i przekazała jej wiadomość, dawkując informacje. („Pani mąż zawiadamia, że wróci do domu odrobinę później, niż planował”). A Delia w tym czasie czytała sobie spokojnie przy kominku *Kochanka Lucindy*.

Zapaliła lampę i wstała z łóżka. Na budziku była za dziesięć trzecia. Mrużąc oczy przed światłem, Sam sięgnął po okulary. Włożył je i spojrzał na żonę.

- A ty dokąd? - spytał. W okularach linie jego twarzy wydawały się bardziej wyraźne, mniej zamazane pod oczami, jak gdyby szkła korygowały wzrok Delii, a nie jego.

Zanim odpowiedziała, naciągnęła pognieciony szlafrok na koszulę i zaciągnęła zamek błyskawiczny.

- Jadę z tobą.

- Co?

- Podwiozę cię moim samochodem.



- Dlaczego, u licha?

- Bo chcę, i tyle - odparła. Mocno zawiązała pasek, mając nadzieję, że szlafrok ujdzie za ubranie. Kiedy wsuwała buty na płaskim obcasie, poczuła, że Sam na nią patrzy, ale tylko spytała: - No, jesteś gotów? - i wzięła kluczyki z sekretarzyka.

- Masz wątpliwości, czy nadal mogę sam prowadzić samochód? - spytał.

- Nie, skądże! Co za myśl! - odparła. - Ale obudziłam się i mogę z tobą pojechać. A poza tym mamy taką śliczną wiosenną noc.

Nie wyglądał na przekonanego, ale idąc za nią na dół, już nie protestował.

Na dworze wcale nie panowała śliczna wiosenna noc, tylko było zimno i wiał wiatr. Kiedy wyszli tylnymi drzwiami, pożałowała, że nie wzięła swetra. Po atramentowym niebie sunęły skłębione świetliste chmury. Ruszyła do samochodu wolnym krokiem, powstrzymując się od skulenia ramion z zimna. Latarnie uliczne tak jasno świeciły, że widziała swój cień, przypominający patykowatą postać z dziecięcego rysunku.

- Przypomina mi się ojciec - powiedziała. Musiała mówić głośno, bo Sam podszedł do swojego buicka, by wyjąć czarną torbę. Miała nadzieję, że nie dosłyszyci drżenia w jej głosie. - Wszystkie wizyty domowe odbywałam razem z ojcem. Tylko my dwoje! Jakby wróciły dawne czasy.

Wsunęła się za kierownicę i sięgnęła do drzwi pasażera, by je otworzyć. W samochodzie było zimno jak w lodówce. I nawet tak pachniało - zaduchem i wilgocią.

- Ojciec, oczywiście, nie pozwalał mi prowadzić - kontynuowała, kiedy Sam już wsiadł. Uświadomiła sobie jednak, że to może dać mu do myślenia, szybko więc dodała z uśmiechem: - Wiesz, jaki ojciec był zacofany! Zawsze twierdził, że kobiety za kierownicą... - Włączyła silnik, zapaliła światła, oświetlając podwójne drzwi garażu, a wyżej poszarpaną siatkę kosza do gry w koszykówkę. - Ale kiedy jeszcze byłam na nogach, pozwalał mi ze sobą jechać. Wiele nocy tak się z nim ciągałam. Elizy to nig-

dy nie interesowało, Linda, jak wiesz, nigdy nie znajdowała z nim wspólnego języka, a ja ruszałam na każde wezwanie. Uwielbiałam to.

Oczywiście, że Sam już wiele razy słyszał tę opowieść, postawił więc tylko torbę między nogami. Delia wyjeżdżała tyłem z podjazdu. Wyjechali na Roland Avenue.

- Teraz kiedy dzieci są już prawie dorosłe, właściwie powinnam częściej z tobą jeździć. Nie uważasz? - Zdawała sobie sprawę ze swojej paplaniny, ale ciągnęła dalej: - To mogłoby być zabawne, tym bardziej że przecież nie jesteś już wzywany co noc ani nawet co tydzień.

- Daję ci słowo, że jeszcze potrafię sam czasami jeździć do pacjentów, nie potrzebuję opiekunki - powiedział.

- Jakiej znów opiekunki?!

- Jestem zdrowy i silny jak byk. Przestań się denerwować.

- Wcale się nie denerwuję. Po prostu pomyślałam sobie, że to byłoby romantyczne. Robilibyśmy coś razem - odparła.

Nie była to cała prawda, lecz Delia, wypowiedziawszy te słowa, zaczęła być o tym przekonana, poczuła się więc lekko dotknięta. Sam tylko rozparł się na siedzeniu i wyglądał przez boczną szybę.

O tej porze prawie nie było ruchu, ulica wydawała się bezbarwna, pusta, lśniąca blado światłami latarni, jakby otulona żółtym szyfonem. Świeże liście podświetlone od dołu wyglądały jakby przekręcone do góry nogami. Gdzieś na pięterku paliło się ciepłe światło. Delia spoglądała na nie tęsknym wzrokiem.

Zatrzymała samochód przed domem Maxwellów. Zgasiła światła, ale nie zgasiła silnika, by mieć włączone ogrzewanie.

- Nie wejdiesz? - spytał Sam.

- Nie, poczekam w samochodzie.

- Zamarzniesz!

- Nie powinnam się pokazywać w tym stroju.

- Ale wejdź, Dee. Maxwellowie nie będą patrzeć na to, jak jesteś ubrana.

Uznała, że Sam chyba ma rację. (A poza tym ogrzewanie jeszcze nic nie dawało). Wyjęła kluczyki i wysunęła się z samochodu. Szła za nim frontową ścieżką w stronę rozłożystego domu z kolumnami, po którym tych dwoje samotnych staruszków objało się jak kości po kubku. We wszystkich oknach paliło się światło, a drzwi wewnętrzne stały otworem. Za nimi czekał postawny, przygarbiony pan Maxwell i gmerał przy haczyku, chcąc otworzyć drzwi siatkowe, bo przybysze szli już przez ganek.

- Doktorze Grinstead - odezwał się - bardzo dziękuję, że pan przyjechał. I tobie, Delio, też. Witajcie!

Miał na sobie poplamione jedzeniem spodnie, zapięte na pasek tuż pod pachami, i wytarty sweter rozpinany, wciągnięty na podkoszulek. (A kiedyś zawsze chodził wymuskany). Od razu odwrócił się i poprowadził Sama w stronę wyłożonych chodnikiem schodów.

- Kiedy ją widzę w takim stanie, naprawdę kraje mi się serce - powiedział, gdy ruszyli w górę. - Chciałbym móc cierpieć za nią.

Delia patrzyła za nimi, stojąc w holu, a kiedy zniknęli jej z oczu, usiadła na jednym z dwóch antycznych krzeseł stojących po obu stronach szyfonierki. Usiadła ostrożnie, bo wiedziała, że krzesła znajdują się tu głównie dla ozdoby.

Z góry dolatywały głosy - cieniutki należał do skarżącej się pani Maxwell, grzmiący - do Sama. Zegar stojący naprzeciwko tykał tak powoli, że każde tyknięcie zdawało się ostatnim. Z braku czegoś lepszego do roboty (bezmyślnie zostawiła torebkę w domu) rozłożyła na kolanach klucze i zaczęła je porządkować.

Ile godzin spędziła tak w dzieciństwie? Siedząc na krześle czy dolnym stopniu schodów, drapiąc się w pogryzione przez owady kolana albo przeglądając jakieś czasopismo, które ktoś z dorosłych podrzucił, zanim poprowadził jej ojca na górę. A z góry zawsze dochodził ten sam szmer głosów, które trudno było rozróżnić. Kiedy mówił ojciec, wszyscy pozostali milkli; rozpierała ją duma, że tak go szanują.

Schody zaskrzypiały, spojrzała w górę. Schodził tylko pan Maxwell.

- Doktor Grinstead ją bada - oświadczył, posuwając centymetr po centymetrze rękę uczeponą balustrady. Kiedy dotarł na dół, przysiadł, zasapany, na drugim antycznym krześle. Ponieważ pomiędzy nim a Delią stała szyfonierka, widziała tylko jego nogawki i skórzane klapki, z których wystawały stopy w kasztanowych jedwabnych skarpetkach przezroczyście na piętach.

- Mówi, że to chyba lekka niestrawność, ale powiedziałem, mówiłem, że w naszym wieku... że w naszym wieku lepiej uważać.

- Na pewno wszystko będzie dobrze - uspokajała Delia.

- Dziękuję Opatrzności za doktora Grinsteada. Wielu tych młodych z pewnością by nie przyszło.

- To pewne - nie mogła się powstrzymać.

- Może jakiś by się zdecydował.

- Żaden, niech mi pan wierzy.

Pan Maxwell pochylił się do przodu, by spojrzeć na nią zza szyfonierki. Nagle więc zobaczyła jego poznaczoną żyłkami, rumianą twarz.

- Ten mój Sam naprawdę o sobie nie myśli - odezwała się. - Wie pan, że ma anginę pectoris? W pięćdziesiątym piątym roku życia! Co to może oznaczać w przyszłości? Gdyby to ode mnie zależało, w tej chwili leżałby w domu w łóżku.

- Hm, na szczęście więc nie zależy to od ciebie - skwitował Maxwell odrobinę zirytowany. Oparł się o krzesło i zapadła cisza.

Delię doleciał z góry głos pani Maxwell, która przy czymś bardzo się upierała.

- To nam doktor Grinstead złożył swoją pierwszą wizytę domową. Mówił ci o tym? - odezwał się Maxwell. - Taaa, nam pierwszym. Twój ojciec powiedział wtedy: „Chyba spodoba się państwu ten chłopak”. Tak powiedział. Przyznaję, że odrobinę się wtedy obawialiśmy, bo tyle lat leczył nas twój ojciec.

Sam mówił już bardziej ożywionym głosem. Wyglądało na to, że kończy wizytę.

- Kiedy doktor Grinstead przyszedł do nas - ciągnął Maxwell rozmazony - powiedziałem do niego: „No, młody człowieku”. Pracował wtedy ledwie od kilku dni. Powiedziałem więc: „No, młody człowieku, z którą z dziewcząt Felsonów zamierza pan się ożenić?” Miałem niezłego nosa, prawda?

Delia zaśmiała się grzecznie i ułożyła klucze.

- „Och”, on na to, „chyba wpadła mi w oko ta najmłodsza”, powiedział. „Najstarsza jest za niska, a średnia za pulchna, za to najmłodsza jest akurat”, powiedział. No więc widzisz? Wiedziałem jeszcze przed tobą.

- No tak - mruknęła Delia.

W tej samej chwili Sam zaczął schodzić po schodach. W czarnej torbie wesoło pobrzękiwały narzędzia. Pan Maxwell natychmiast się podniósł, ale Delia nie ruszyła się z krzesła, tylko wpatrywała się w klucze. Wydawało jej się, że wyraźnie widać różnicę między nimi - matowe, nie pasujące do siebie, z wyrytymi króciutkimi esami-floresami nazwami firmowymi, jakby wyrazami z jakiegoś obcego języka.

- Stwierdziłem... - zaczął Sam - tylko lekkie... i zostawiłem leki na... - Uścisnęli sobie z Maxwellem dłonie. - Dee? - zwrócił się do żony.

Wstała bez słowa i wyszła przez drzwi, które Maxwell otworzył.

Na dworze trawa pobieliała od rosy, nawet powietrze wydawało się białe, jakby zbliżał się świt. Delia wsiadła do samochodu i włączyła silnik, zanim Sam się usadowił.

- Trzeba ich zrozumieć - powiedział, zamykając drzwi. - Są zupełnie sami ze swoją starością, więc wszystkim się przejmują.

Delia wyjechała z rozpędem na ulicę i dalej sunęła lekko, przekraczając dozwoloną prędkość. Skupiona na jeździe, nie odzywała się. Byli już prawie w domu.

- Pan Maxwell przypomniał, że u nich byłeś na swojej pierwszej wizycie domowej.

- Naprawdę?

- To był twój drugi dzień pracy tutaj.

- Zapomniałem.



- Mówił, że zapytał cię wtedy, z którą dziewczyną Felso-nów masz zamiar się ożenić, a ty powiedziałaś, że z najmłodszą.

- Hmm - mruknął, odsuwając zamek torby. Czegoś w środku szukał. - Delio, przypomnij mi jutro rano, bym wziął więcej...

- Najstarsza jest za niska, średnia za pulchna - stwierdził - ale najmłodsza jest akurat.

Sam się roześmiał.

- Powiedziałaś tak? - spytała.

- Oj, kochanie, jak mógłbym to pamiętać po tylu latach?

Zatrzymała samochód na podjeździe pod domem i wyłączyła silnik. Sam otworzył drzwi, lecz kiedy zauważył, że Dee się nie rusza, spojrzał w jej stronę. Mała lampka nad lusterkiem żłobiła bruzdy w jego twarzy.

- Na pewno tak to sformułowałaś. Brzmi to bajkowo, po twojemu.

- Może i tak. Dee, przecież nie ważyłem każdego słowa. Prawdopodobnie powiedziałem „za niska” i „za pulchna”, ale pewnie miałem na myśli „zbyt niekonwencjonalna” i „zbyt nia 1'rankofilka”.

- Wcale nie o to chodzi.

- Jak to? Przecież Linda przez pół wieczoru mówiła po francusku, pamiętasz? A kiedy twój ojciec zmusił ją, by przeszła na angielski, mówiła z akcentem.

- Chyba nie rozumiesz, dlaczego zaprzeczyłam, prawda? - spytała.

- Prawda, nie rozumiem.

Wysiadła z samochodu i szła w stronę tylnych drzwi. Sam zaniósł torbę do swojego buicka. Słyszała, jak zatrząskuje klapę bagażnika.

- A Eliza - nagle odezwał się za żoną - ciągle wypytywała mnie, co myśle o homeopatii.

- Od pierwszego dnia miałeś zamiar się ożenić z jedną z córek Felso-nów - nie ustępowała Delia.

Otworzyła drzwi, lecz nie weszła do środka, tylko odwróciła się do męża. Patrzył na nią ze zmarszczonym czołem.



- No, przecież było to chyba całkiem naturalne, że coś takiego przyszło mi do głowy - przyznał. - Byłem już po stażu, w odpowiednim wieku do małżeństwa, jak to się mówi. Osiągnąłem ten etap.

- Ale przecież mogłeś się zainteresować jakąś pielęgniarką, koleżanką ze studiów czy dziewczyną, którą znała mama.

- Moja mama? - Zamrugął.

- Bo miałeś na oku praktykę mojego ojca. Po prostu. Pomyślałeś sobie, że ożenisz się z jedną z córek doktora, odziedziczysz jego praktykę i ładny, stary wygodny dom.

- Kochanie, może i tak pomyślałem. Może i tak. Ale nigdy bym się nie ożenił z kimś, kogo bym nie kochał. Uważasz, że mógłbym? Uważasz, że nie ożeniłem się z miłości?

- Nie wiem, co uważam - odparła.

Zakręciła się na pięcie i zeszła po schodkach. - Dee?! - zawołał.

Nie zwalniając kroku, przeszła koło samochodu. Większość kobiet by odjechała, lecz ona wolała iść pieszo. Podeszwy jej płaskich czólenek rytmicznie zgrzytały po asfalcie, jakby na znaną nutę, lecz nie potrafiła jej sobie dokładnie przypomnieć. Jaką częścią siebie nasłuchiwała, co robi Sam (jakby jedno ucho nastawiła do tyłu niby kot), inną częścią siebie zaś cieszyła się, że go zostawiła i że potwierdziła swoje o nim zdanie. Przecież on nawet nie raczy mnie dogonić. Dotarła do ulicy, skrzyła w prawo i szła przed siebie. Szła od latarni do latarni, a cień o postrzępionym konturze raz wyprzedzał ją, raz cofał się, raz przesuwiał do tyłu. Już nie czuła chłodu. Rozgrzewał ją od środka gniew.

Teraz rozumiała, dlaczego Sam zapomniał, jak to było, kiedy widział ją po raz pierwszy. Po prostu dlatego, że był przygotowany na spotkanie dziewcząt Felsonów jako zestawu. W jego planach nie znalazła się możliwość spotkania najpierw pojedynczego egzemplarza. Istniała jedynie wieczorna okazja towarzyska, kiedy to miał poznać dziewczęta na wydaniu - jedną, drugą i trzecią, usadowione na kanapie w saloniku. Przypomniała sobie teraz ten obraz. Przywołanie wszystkiego wymagało tylko odpowiedniej perspektywy. Stały jej przed oczami przytulne poduszki

z czerwonego pluszu, przypominająca faktura kieliszka do sherry, z mrożonego szkła, i wiercąca się, napierająca na nią, irytująca pulchna siostra, która siedziała obok.

U góry na gałęzi głupi ptak z sąsiedztwa naśladował alarm przeciwwłamaniowy. „Piam, piam, piam!” - śpiewał najbardziej lirycznym z tonów, aż w końcu wyciszyła go fala muzyki rockowej nadlatująca z południa. Najwyraźniej nadjeżdżał samochód pełen nastolatków. Ich trąbienie i wycia zbliżały się coraz bardziej. Delii przyszło do głowy, że o tej porze nie jest bezpiecznie nawet w Roland Park. A ponadto jej szlafrok nikogo nie zwiedzie. Przecież lata po ulicy w stroju do spania. Postanowiła natchmianem skręcić w mniejszą i ciemniejszą uliczkę. Trzymała się tuż przy żywopłocie z bukszpanu, którego cień pochłaniał jej cień.

Sam na pewno już wrócił do łóżka, a z boku na bujaku wiszą jego złożone spodnie. Dzieci zaś nic nie wiedzą o tym, że jej nie ma. W galimatiasie codziennych obowiązków mogą tego nie zauważyć przez kilka dni.

Właściwie jakie życie wiecie, jeżeli każda z nagranych w ubiegłym tygodniu na sekretarce wiadomości równie dobrze mogłaby pochodzić z tego tygodnia?

Szła szybciej, w oddali milkła muzyka z samochodu. Dotarła do Bouton Road, przemaszerowała na drugą stronę i skręciła w lewo, po czym chwilę później z impetem z kimś się zderzyła. Trzasnęła w coś wysokiego i kościstego, owiniętego w ciepłą flanelę.

- Oj! - krzyknęła, odskakując gwałtownie, z bijącym sercem. Gdzieś wokół jej kolan kręcił się też pies, jeden z tych kudłatych psów myśliwskich.

- Butch! Leżeć! - rozkazał mężczyzna. - Nic się pani nie stało?

- Adrian? - spytała Delia.

W półmroku wyglądał całkiem bezbarwnie, lecz poznała jego twarz o wystających kościach policzkowych. Zauważyła, że usta ma szersze i pełniejsze, głębiej wyrzeźbione, niż to sobie wyobrażała, i zdumiało ją, że mogła zapomnieć coś tak istotnego.

- Adrian? To ja, Delia. - Pies nadal czekał. - Delia Grinstead. Z supermarketu?

- Och, to pani - powiedział zaskoczony. - Moja wyba-wicielka! - Roześmiał się, a pies w końcu się uspokoił. - Co pani tu robi?

- Ja...ja... - i też się roześmiała, spojrzała na swój szlafrok i wygładziła jego poły. - Po prostu nie mogłam spać.

Z ulgą stwierdziła, że on również nie był specjalnie dobrze ubrany. Miał na sobie coś w rodzaju ciemnego kaftana i jasną piżamę. Na nogach buty do biegania z rozwiązanymi sznurowadłami. Nie włożył skarpetek.

- Mieszka pan gdzieś w pobliżu? - spytała.

- Właśnie tutaj. - I wskazał ręką splątany gąszcz berberysu. Za nim widać było światło zapalone na ganku i kawałek białego szalowania. - Wstałem, by wysiusiać Butcha. Ma nowe hobby: budzi mnie w środku nocy i domaga się, bym z nim wyszedł.

Pies, słysząc swoje imię, usiadł na tylnych łapach i uśmiechnął się do Delii. Pochyliła się i nieśmiało poklepała go po mordzie. Oddech psa ogrzał jej dłoń, która zwilgotniała.

- Uciekłam wtedy z pana zakupami - powiedziała jakby do psa. - Było mi strasznie nieprzyjemnie.

- Z moimi zakupami? - spytał.

- No, kupił pan te drobniutkie kluseczki i rotini - wyprostowała się, ich spojrzenia się spotkały. - Już myślałam, żeby jakoś zdobyć pana adres i je odwiedzić.

- Hm... tak... kluseczki? Nieważne - powiedział. - Jestem pani po prostu wdzięczny za pomoc. Na pewno pomyślała sobie pani, że niezłe ze mnie dziwadło, prawda?

- Ależ nie, skądże! Było mi bardzo miło - odparła.

- Wie pani, jak to czasem zależy człowiekowi na zachowaniu przed kimś pozorów.

- Oczywiście. Powinnam wręcz otworzyć firmę Pozory, spółka z o.o.

- Randka na Zamówienie - rzucił. - Albo: Wynajem Oszustów.

- Blondynki udawałyby drugie żony, a gwiazdorzyc futbolu braliby uwiedzione dziewczyny na tańce w klubie studenckim...

- A piękne kobiety w czerni płakałyby na pogrzebach -dodał Adrian.

- A właściwie to dlaczego nie istnieją takie agencje? -nagle spytała Delia. - Nie ma nic gorszego niż... niż co? Niż ta wściekłość, ta urażona dumą i wściekłość, jaką się odczuwa, kiedy ktoś nas zrani, obrazi czy też uzna za pewnik...

Dość. Sama przerwała. Adrian przyglądał jej się tak natarczywie, że przestraszyła się, iż ma we włosach lokówki.

Niemal podniosła rękę, by to sprawdzić, ale przypomniała sobie, że przecież nie używa lokówek od czasów szkoły średniej.

- Boże, muszę wracać do domu - powiedziała.

- Proszę zaczekać! - wyrwało mu się. - A może chciałaby pani... może mógłbym zaprosić panią na kawę?

- Na kawę?

- Może herbatę? Może kakao? Może na drinka?

- Dzięki - odparła. - Może na kakao. Chętnie się napiję. To znaczy kofeina o tej porze pewnie by... Ale jest pan pewien, że to nie będzie dla pana kłopot?

- Jaki kłopot? Proszę do środka.

Poprowadził ją do przerwy w plątaniu berbersu. Wybrukowana ścieżka skręcała łukiem w stronę domu. Był to jeden z tych bogato zdobionych domów wiktoriańskich, tak bardzo teraz lubianych przez młode małżeństwa. Frontowe drzwi miały matowe szybki w kształcie rombów, w słodkich odcieniach migdałowych. Delia nagle doznała ukłucia niepokoju. Przecież nic nie wie o tym mężczyźnie! A nikt na świecie nie ma bladego pojęcia, gdzie ona się podziewa.

- Zwykle, jeżeli wstanę o tej porze, to już na dobre -mówił Adrian. - Więc robię sobie dzbanek...

- Oj, jaki ładny ganek! - wykrzyknęła. - Może tutaj wypijemy kakao?

- Tutaj?

Przystanął na najwyższym stopniu i rozejrzał się. Był to naprawdę przygnębiający ganek. Deski podłogi miały kolor stalowy, a meble zostały pomalowane na kolor jaskrawozielony.

- Nie będzie tutaj za zimno? - spytał.

- Ani odrobinę - odparła, chociaż teraz, kiedy nie była w ruchu, zaczęła znów odczuwać chłód. Wsunęła obie pięści do kieszeni szlafroka.

Patrzył na nią przez chwilę.

- Aha, rozumiem - rzucił i kąciki ust uniosły mu się w uśmiechu rozbawienia.

- Ale jeśli panu jest zimno... - zaczęła, rumieniąc się.

- Rozumiem. Zawsze należy zachować ostrożność.

- Ależ wcale nie o to chodzi!

- Absolutnie nie mam pani tego za złe. Dobrze, tu wypijemy kakao.

- Ależ naprawdę mogę wejść do środka - mówiła z zażenowaniem.

- Nie, proszę tu poczekać. Wszystko przyniosę.

- Ale pozwoli pan, że jednak wejdę - nalegała. I ponieważ uznała, że będą się tak spierać bez końca, wyjęła rękę z kieszeni i dotknęła jego nadgarstka. - Naprawdę chcę.

Miała na myśli to, że chce wejść, uczciwie tylko to, lecz kiedy wypowiedziała te słowa, zrozumiała, że zabrzmiały, jakby chodziło jej o coś więcej. Cofnęła rękę i odsunęła się od niego.

- No, może... - jąkała. - Tak, na... na ganku. Możemy wypić kakao na... - Poszukała ręką za sobą krzesła i usiadła. Siedzenie bez poduszki było tak lodowate, że zetknięcie z nim na chwilę zaparło jej dech. Jakby usłyszała zaskakującą nowinę czy też dostrzegła możliwość, jaka nigdy przedtem nie przyszła jej do głowy.

## Rozdział 4

Powiedziałam Elizie, kiedy przyjechała po nas na lotnisko -opowiadała Linda - „No cóż, taty już z nami nie ma. Ale w związku z tym nie będę musiała dłużej mieszkać z tobą w jednym pokoju”. Wiadomo przecież, jak ona chrapie.

- Tak, ale... - zaczęła Delia.

- „I bliźniaczki też nie będą musiały spać z Susie” -dodałam. Myślałam, że zmieszczą się ze mną w wielkim łóżku ojca. No i wracam do domu, i zgadnij, co zastaję.

- Najpierw naprawdę chciałam, byś zajęła ten pokój -powiedziała Delia.

- Ale to było takie... kiedy weszłam położyć łóżko, to było...

- W porządku, sama pościelę - stwierdziła Linda. - Powiem ci tylko tyle: nie mam najmniejszego zamiaru spać z Elizą, kiedy ten pokój stoi pusty.

Stały na progu pokoju ojca. Panował tu rozdzierający serce porządek. W mętym powietrzu roило się od pyłków kurzu, mechata narzuta leżała nienaturalnie naciągnięta na materacu łóżka. Linda, która jeszcze się nie rozebrała z podróznego stroju, pełna była skupienia i energii, jakie w niektórych osobach wyzwala podróż. Obejrzała pokój bez śladu wzruszenia, jak wydawało się Delii.

- Widzę, że nie traciliście czasu i wprowadziliście duże zmiany - stwierdziła. - Wszędzie klimatyzacja, faceci od ogrodu przetrzebili krzaki i nie wiem co tam jeszcze.

- No wiesz, to...

- Sam Grinstead chyba tylko na to czekał - ciągnęła Linda. - W końcu dostał dom w swoje łapy.

Delia nie wdała się w sprzeczkę. Linda spojrzała na nią kpiarsko i ruszyła w stronę komody ojca. Pochyliła się do wiszącego nad nią lustro i przesunęła palcami po ciemnych włosach ostrzyżonych krótko na pazia. Poprawiła notes wiszący na bandolierze, czyli na pasku, który miała po europejsku przewieszony przez pierś. Nie wyglądała na Amerykankę.



(Nie można się było domyślić, że mieszka w Michigan, rozwiedziona z profesorem literatury francuskiej, który nie spełnił jej marzeń i nie przeniósł się do swojego rodzinnego Paryża). Twarz pełną i pulchną miała upudrowaną na biało, a poza tym jedynie usta rozkwitały lepkiem szkarłatem. Nie była ubrana jakoś wyjątkowo, ale miała swój styl. Na przykład podniszczone brązowe pantofle na średnim obcasie w prowokujący sposób połączyła z granatowym kostiumem.

- Ale dlaczego tak stoimy? Nie wiadomo, co tam zmagstrowały Marie-Claire i Therese - przerwała milczenie. Kiedy wypowiadała imiona córek, głoskę „r” wymawiała niemal gardłowo. Przemknęła koło Delii i zapachniało samolotem.

W kuchni zastały Elizę, która robiła dla bliźniaczek lemoniadę. Dziewczynki jesienią kończyły dziewięć lat - były wyrosnięte, na etapie bocianich nóg i długich rąk. Miały ciemne włosy, podstrzyżone podobnie jak matka, lecz poza tym były podobne do ojca. Oczy niemal czarne, smutno opuszczone, usta w kolorze śliwek. Jedna pomagała drugiej wskoczyć na blat pokrywający szereg oszklonych od frontu szafek, to znaczy wciągała ją, kiedy sama już zdołała się tam usadowić. Aby mogły zręczniejsie poruszać, spódniczki staroświeckich mundurków szkolnych w stylu europejskim wsunęły w majteczki, przez co wydawało się, że mają jeszcze dłuższe nogi.

- Jak tylko pokaże się wasza kuzynka Susie, weźmie was na basen - mówiła Eliza. Stała przy suszarce i wyciskała cytryny. - Obiecała, że od razu was tam zabierze, ale widocznie poszła gdzieś ze swoim chłopakiem.

Uwaga na temat chłopaka na chwilę oderwała je od wspinania się na blat.

- Z Driscollem? - spytała Marie-Claire. - Susie nadal chodzi z Driscollem?

- Owszem, nadal.

- Chodzą razem na tańce? Całują się na dobranoc?

- Tego nie wiem - odparła cierpko Eliza i pochyliła się, by wyjąć dzbanek z szafki.

Bliźniaczki dopięły celu - mogły sięgnąć do słoja z mię-tówkami na najwyższej półce. Przesuwając nim centymetr po centymetrze, Therese jakoś go wyciągnęła przez uchylone drzwiczki. (Therese była tą z bliźniaczek, która miała odrobinę asymetryczną twarz, nierówne rysy, o mniej zrównoważonym wyrazie, i wyglądała na bardziej niespokojną. Delia zauważyła, że jest to regułą u bliźniąt). Na sekundę słój jakby zawisł, lecz po chwili wylądował w wyciągniętych rękach Marie-Claire.

- Czy Ramsey i Carroll też mają ukochane?

- Hm, Ramsey ma, niestety.

- Dlaczego „niestety”? - spytała Therese.

- Coś z nią nie tak? - rzuciła Marie-Claire.

Obie żadne były sensacji, na co Delia głośno się roześmiała. Therese zakręciła się w kółko.

- Ciociu Delio, ty też uważasz, że „niestety”? Może zabraniasz jej przejść przez próg? Jedźcie z nami nad morze?

- Nie, nie jedźcie - Delia odpowiedziała na najłatwiejsze pytanie. - Urządzamy tam wyprawę rodzinną.

Wyjazd na tydzień miał nastąpić nazajutrz rano, w niedzielę. Stał się już doroczną tradycją. Jak tylko kończył się rok szkolny w połowie czerwca, Linda przyjeżdżała z Michigan i wszyscy wyruszali na wybrzeże w Delaware do wynajętego domku. Frontowy ganek był już zawalony dmuchanymi materacami i raketkami do gry w badmintona. Zamrażarkę wypełniały garnki. Do Sama przychodzili tłumnie pacjenci na wizyty i konsultacje w ostatniej chwili, chcąc uniknąć korzystania z porad jego zastępcy.

- Delio, wsypiesz cukier? - poprosiła Eliza. - Nalewała wody do dzbanka. - Dziewczynki, a wy podajcie mi pięć kubków z szafki po prawej.

Delia, odmierzając łyżeczką cukier, dyskretnie zerknęła na zegar ścienny. Za dziesięć czwarta. Zerknęła na bliźniaczki i odchrząknęła.

- Jeżeli Susie nie wróci, kiedy już wypijecie lemoniadę, może ja zabiorę was na basen - powiedziała.

- Ty? - zdziwiła się Linda.

- Przecież ciocia nienawidzi pływać! - wykrzyknęły jednocześnie dziewczynki.

- Wcale nie będę wchodziła do wody. Po prostu was tam zawiozę, a Susie was odbierze.

Eliza wrzucała pobrzękujący lód do kubków. Linda usiadła u szczytu stołu, a bliźniaczki zajęły miejsca z obu jej stron. Delia postawiła przed nimi dzbanek lemoniady.

- Ojejku! Ale pełno w nim farfocli!

- Są zdrowe - powiedziała Linda i zaczęła napełniać kubki.

- O! I pełno dużych pestek!

- Nic ci się od nich nie stanie.

- Ciocia tylko tak mówi - zwróciła się Therese złowieszczym tonem do Marie-Claire. - A tak naprawdę to zapuszczą korzenie w twoim żołądku i wyrosną z nich drzewa cytrynowe.

- Och naprawdę, przestań - upomniała ją Linda.

Nie zwracając na nią uwagi, bliźniaczki spojrzały na siebie znacząco nad stołem.

- A właściwie to w ogóle nie chce nam się pić - oświadczyła Marie-Claire.

- Pójdziemy przebrać się w kostiumy - dorzuciła Therese.

Odsunęły krzesła i wybiegły z kuchni.

- A niech to! - westchnęła Linda. - Przepraszam cię, Lizo.

- Nic się nie stało - sztywno odparła tamta.

Bywało, że Delia na ułamek sekundy uprzytamniała sobie, iż Eliza rzeczywiście jest, jak to kiedyś mówiono, starą panną. Wyglądała bez nadziejnie w ekscentrycznym weekendowym stroju safari i stukających butach. Odsunęła krzesło, pochylając głowę, tak że równo obcięte czarne włosy zasłoniły jej twarz, usiadła i zdecydowanym ruchem położyła małe dłonie na stole.

- Ale mnie chce się pić! - powiedziała głośno Delia, po czym usiadła i sięgnęła po jeden z kubków.

Z holu doszedł ją hałas, to na pewno walizka bliźniaczek głucho stuknęła o stopnie schodów, ciągnięta na górę. Najwyraźniej, sądząc po trzeszczeniu podłogi po chwili na górze, dziewczynki nadal zamierzały spać w jednym pokoju z Susie.

W otwartym oknie pokazała się brodata twarz robotnika. Spojrzał na kobiety, zamrugał i zniknął. Delia i Linda widziały go, ale Eliza nie, bo siedziała tyłem do okna.

- Co on zamierza? - spytała Linda.

- Jaki on? - zdziwiła się Eliza.

- No, robotnik - wyjaśniła Delia.

- Nie chodzi mi o robotnika, tylko o Sama - sprostowała Linda. - Dlaczego kazał wyciąć krzewy?

- Twierdzi, że są stare i rzadkie.

- A nie wystarczyłoby ich przyciąć czy coś w tym rodzaju? A ta centralna klimatyzacja?! Wcale się nie nadaje do tego domu.

- Jestem pewna, że docenimy ją, kiedy nastaną upały - stwierdziła Eliza.

- Lindo, napij się.

Siostra wzięła kubek, ale nie zaczęła pić.

- Ja jestem tylko ciekawa, skąd miał na to pieniądze - powiedziała ponuro. - A ponadto ten dom należy do nas trzech, tata nam go zapisał.

Delia zerknęła w stronę okna. (Podejrzewała, że robotnik przyczął się pod oknem i zajął życiem innych, jak to robotnicy mają w zwyczaju).

- No! Lepiej wybierzmy się na ten basen. Potrzebujecie czegoś od Eddiego?

- Od Eddiego? - spytała Eliza.

- W drodze powrotnej mogłabym tam kupić owoce.

- Delio, zapomniałaś, że przychodzi na kolację matka Sama? A poza tym musisz jeszcze dokończyć rachunki. Przecież ja mogę zawieźć bliźniaczki, a potem wstąpić do Eddiego.

- Nie, nie! Naprawdę! - zaproponowała Delia. - Mam mnóstwo czasu, a poza tym sama muszę wybrać owoce, bo nie wiem...

Za bardzo się tłumaczyła, to zawsze błąd. Linda niczego nie zauważyła, ale Eliza potrafiła czytać w jej myślach, Delia wiedziała o tym. Teraz siostra patrzyła na nią z namysłem.

- No więc do zobaczenia niedługo. Dobrze? - Wstała. Słyszała, że bliźniaczki już zbiegają z tupotem na dół. -Możesz mi podać torebkę?

Eliza nadal jej się przypatrywała, lecz sięgnęła po torebkę stojącą na blacie i podała ją siostrze.

W holu dziewczynki kłóciły się o okulary do pływania, które wyciągnęły z walizki. Miały na sobie identyczne obcisłe kostiumy, tylko innego koloru - jedna czerwony, druga granatowy. A na długich, bladych, gruzłowatych nogach czerwono-no-granatowe klapki. Ani jedna, ani druga nie wzięła ręcznika, lecz Delia nie przypomniała im, by wróciły po ręczniki, bo musiałyby iść na górę.

- Chodźmy - powiedziała. - Samochód stoi przed domem.

- Dziewczynki! - wołała Linda z kuchni. - Macie przestrzegać wskazówek ratownika! Słyszycie?!

Delia ruszyła za nimi przez ganek, omijając kij do plażowego parasola. Przy schodkach młody człowiek w czerwonej bandanie wykopywał korzenie azalii. Wyprostował się, wytarł twarz w rękaw i uśmiechnął się do nich.

- Szkoda, że ja nie mogę iść popływać - powiedział.

- To niech pan z nami idzie - zaprosiła go Therese.

- Coś ty, przecież widzisz, że on nie ma kostiumu - zmitygowała ją Marie-Claire.

Podskakiwały przed Delią po ścieżce, podśpiewując piosenkę znaną Delii z dzieciństwa.

- Ha, takie jest życie.

- Jakie?

- Piętnaście centów za egzemplarz.

- Ale mam tylko dychę.

- Takie jest życie.
- Jakie?
- Piętnaście centów za...

Pogoda była cudowna, słoneczna, lecz nie upalna. Ponieważ jednak samochód Delii stał przy krawężniku dobrych kilka godzin, strasznie się nagrzał. Obie dziewczynki zapiszczały, gramoląc się na tylne siedzenie.

- Mogłaby ciocia włączyć klimatyzację?

- Ale ja nie mam klimatyzacji.

- Nie ma tu klimatyzacji?!

- Po prostu otwórzcie sobie okna - poradziła Delia, opuszczając swoją szybę. Włączyła silnik i wyjechała na ulicę. Kierownica była tak gorąca, że parzyła w dłonie.

Od razu widać było, że to weekend, bo wszędzie ludzie ▽biegali dla zdrowia. Inni pracowali przy domu, strzygli trawniki albo żywopłoty, w powietrzu więc unosił się gęsty zielony pył. Therese zaczęła kichać (miała alergię). Na skrzyżowaniu światło zmieniło się na żółte, lecz Delia się nie zatrzymała, lakoś straciła poczucie czasu. Długi pochyły odcinek ulicy pokonała z prędkością przekraczającą dozwoloną o jakieś piętnaście kilometrów, z piskiem opon skręciła w lewo w Lawndale i zaparkowała na pierwszym wolnym miejscu. Bliźniaczki też się śpieszyły, wyrwały przed nią do wejścia i zanim zdążyła zapłacić, zniknęły w tłumie pływających.

Jadąc z powrotem ulicą pod górę, bez przerwy wachlowała się z przodu bluzką i dmuchała spod nosa na wilgotne, zlepione potem włosy nad czołem. Szkoda, że nie może się zatrzymać przy domu i lekko odświeżyć! Ale drugi raz nie uda jej się uciec przed siostrami. Skręciła na południe, nawet niespecjalnie zerkając na północ w stronę sklepu Eddiego. Jechała cudownie chłodnym korytarzem pomiędzy dwoma rzędami rzucających cień drzew, a dotarłszy do Button Road, zaparkowała pod klonem. Zanim wysiadła, wytarła twarz chusteczką wyjętą z torebki. Wreszcie przeszła przez frontowy ogródek, dotarła po schodkach na ganek i zadzwoniła.



Pies znał ją już na tyle dobrze, że tylko podniósł się z wycieraczki i obwąchał jej spódnice.

- Cześć, Butch - rzuciła, poklepując go niepewnie po mordzie i cofając się odrobinę.

Otworzyły się drzwi frontowe.

- Wreszcie! - powiedział Adrian.

- Przepraszam - usprawiedliwiała się - ale nie mogłam się wyrwać przed przyjazdem Lindy, a samolot się spóźnił, a potem musiałam oczywiście zadbać, by ona i dziewczynki...

Za bardzo się rozgadała, lecz nie potrafiła się pohamować. Pierwsze chwile zawsze były dziwne. Adrian wziął jej z ręki torebkę i położył na krześle. Zamilkła. Pochylił się i ucałował ją. Pomyślała, że pewnie smakuje solą. Od dawna tak się nie całowali - a przynajmniej nie tak na poważnie. Zaczęli od muskania się w policzek, udając, że są wyłącznie przyjaciółmi. Z dnia na dzień jednak posuwali się coraz dalej, angażując w to wargi, otwarte usta, ramiona, którymi się otaczali, i całe ciała. Przylegali do siebie, aż w którymś momencie Delia (zawsze była to ona) cofała się i śmiejąc się lekko, mówiła: „No tak!”, po czym poprawiała na sobie ubranie.

- No tak! Udało ci się popracować? - spytała teraz. Patrzył na nią, uśmiechając się. Miał na sobie spodnie

khaki i spłowieła niebieską koszulę w kolorze oczu, tkaną w grubą białą kratę. Przez kilka słonecznych tygodni włosy jego nabrały niemal złotego odcienia, toteż kiedy stał w ciemnym holu, same wydawały się źródłem światła. Ten szczegół jeszcze tylko szybciej spowodował, że obróciła się gwałtownie i weszła dalej do domu, jakby śpiesząc się w jakiejś sprawie.

Dom Adriana zawsze wywierał na niej wrażenie wnętrza tylko częściowo zamieszkanego. Było to dziwne, bo przecież żona wyprowadziła się ledwie przed trzema miesiącami. Dlaczego więc pokoje wydawały się

nie zadbane i opuszczone od dawna? Widoczny z holu salonik nigdy jej nie wabił. Ściany w nim były nagie, tylko nad kominkiem wisiała słodka martwa natura. Zamiast kanapy stały trzy krzesła, ustawione do siebie pod wrogimi kątami. Na blatach stolików znajdowały się tylko rzeczy niezbędne: lampa, telefon. Żadnych drobiazgów dekoracyjnych, które by tchnęły odrobinę ciepła.

- Skończyłem drukować ten kawałek Adwatera - powiedział Adrian. - Może zerkniesz i powiesz mi, co o tym myślisz.

Prowadził ją po wąskich schodach na górę. Przeszli przez holik i znaleźli się w pomieszczeniu, które kiedyś pewnie nazywano cieplarnią lub oranżerią. Teraz miał tu swój pokój do pracy. Wzdłuż trzech ścian ciągnęły się okna o mlecznych szybach, na parapetach leżały wielkie stosy papierów. Wzdłuż czwartej ściany stało wbudowane w nią biurko, na którym znajdowały się trzy części sprzętu komputerowego. Na nim Adrian drukował swój biuletyn. Był to kwartalnik „Pośpiesz się, proszę”, utrzymywany z subskrypcji obejmującej trzydzieści cztery stany, poświęcony zagadnieniu podróży w czasie. Okładka była niebieska, błyszcząca, logo przedstawiało zegar kominkowy w drewnianej obudowie sklepionej łukiem, opartej na dwóch kółkach ze szprychami. Każdy egzemplarz czasopisma zawierał wybór materiałów science fiction i artykułów oraz recenzje powieści i filmów o podróżach w czasie. Niekiedy zamieszczona była w nim jakaś karykatura lub dowcip. A właściwie czym było samo czasopismo - żartem czy poważnie traktowanym periodykiem? Delia zawsze się nad tym zastanawiała, czytając listy do redakcji. Wydawało się, że wielu subskrybentów naprawdę w to wszystko wierzy. Co najmniej kilku twierdziło, że pisze o własnych przeżyciach. A teraz w artykule, który Adrian dał jej do ręki, doszukała się nawet podejścia antropologicznego. Autor, niejaki doktor Charles L. Adwater, twierdził, że przymiot zwany charyzmą jest po prostu cechą, walorem, którym obdarzeni są przybysze z przyszłości, przybywający w teraźniejszość. Doktor Adwater pisał: „Zastanówmy się nad tym, jak łatwo nawigowalibyśmy przez lata czterdzieste, teraz uważane za okres - ogólnie biorąc - dość na-

iwny, w którym ludzie naszego dziesięciolecia mogliby wywierać znaczne wpływy przy stosunkowo niewielkim wysiłku".

- Właściwie jak się mówi: „lata czterdzieste teraz uważane za okres...” czy „lata czterdzieste, okres uważany za...”? Każda z tych wersji ma swoje uzasadnienie - odezwał się Adrian.

Delia nie odpowiedziała. Spacerowała tam i z powrotem po pokoju, przygryzając dolną wargę i zerkając na wydruk brulionu, którego kropkowane litery składały się na wyrazy rozrzucone w takich odstępach jak gruźelki na starej miotle z witek.

- Hm... - mruknęła i udając roztargnienie, wyszła do holu, w którym zaczęła czytać drugą stronę.

Adrian poszedł za nią.

- Moim zdaniem Adwater pisze ciężkim stylem - mówił - ale nie mogę mu sugerować zbyt wielu poprawek, bo to jedno z największych nazwisk w tej dziedzinie.

Jak można wyrobić sobie nazwisko w dziedzinie podróży w czasie? To pytanie na chwilę zajęło myśli Delii. Przecież nawet Adrian musi wiedzieć, że odwiedziny w jego pokoju do pracy to tylko fortel z jej strony. W istocie chodziło o to, by znaleźć się na górze, by móc się tam włóczyć, tam, czyli na piętrze, na którym była sypialnia, i móc zaglądać do wszystkich pokoi. Po odejściu Rosemary Adrian sypiał w zabałaganionej ubieralni, Delia więc nie krępowała się wmaszerować wprost do głównej sypialni, by czytać tam stronę trzecią. Podeszła do komody, niby chcąc znaleźć się bliżej światła, które padało z okna powyżej. Stanąwszy za nią, Adrian odciągnął jej do tyłu kołnierzyk. Palce jego jakby zaszepotały.

- Dlaczego zawsze nosisz coś na szyi? - powiedział jej do ucha.

- Hmmm - mruknęła. Przewróciła następną stronę, nie patrząc.

- Zawsze masz sznurek pereł albo kameę na łańcuszku, a dziś to puzderko w kształcie serca. Zawsze coś rozkosznego na szyi, no i te niewinne kołnierzyki.

- To tylko nawyk - odparła, a w głowie miała gonitwę myśli. Czy chodziło mu o to, że wygląda głupio, niestosownie do wieku?

Nigdy jej nie pytał, ile ma lat. A ona, choćby nigdy mu nie skłamała, nie odczuwała najmniejszej potrzeby, aby go o tym poinformować. Kiedy sam oświadczył któregoś dnia, że ma trzydzieści dwa lata, ona powiedziała: „Trzydzieści dwa?! Mogłabym być twoją matką!” Umyślnie przesadziła, żeby go rozśmieszyć. Nawet bowiem nie mówiła nigdy, w jakim wieku ma dzieci. Ale on nie pytał, bo jako bezdziejny nie miał pojęcia o tym, ile przestrzeni zajmują dzieci w życiu rodziców.

Miał też lekko skrzywiony obraz jej męża. Z niektórych jego uwag mogła się zorientować, że uważa Sama za muskularnego i wysportowanego (bo biegał), o skłonnościach zazdrośnika. Nie starała się go wyprowadzić z błędu.

Wystarczyło doprowadzić do spotkania obu mężczyzn - na przykład zaprosić Adriana na kolację, powiedzmy jako sąsiada, który nie ma żony i musi sam gotować - a z całej tej sytuacji zniknęłoby napięcie. Sam od razu zacząłby mówić o Adrianie z tą swoją ironią „ten twój kolega Bly-Brice”. A kiedy ona rozmawiałaby z Adrianem zbyt długo przez telefon, dzieci przewracałyby oczami. Nie zdecydowała się więc zaaranżować takiego spotkania. Nawet nie zdarzyło się jej wymówić jego imienia przy rodzinie. Teraz obie dłonie Adriana przesunęły się z jej kołnierzyka na ramiona i przyciągnęły ją bliżej. Nie opierała się, tylko odchyliła głowę do tyłu i oparła ją na jego torsie.

- Jesteś taka malutka - powiedział. Słyszała, jak jego głos dudni pomiędzy żebrami. - Taka malutka, drobniutka i delikatna.

Pomyślała, że porównuje ją ze swoją żoną, i natychmiast się usztywniła. Odeszła od niego, z ożywieniem układając kartki. Okrążyła łóżko (łóżko Rosemary! przykryte dość podniszczoną satynową narzutą) i poszła do szafy.

- Chciałabym wiedzieć - rzuciła przez ramię - czy naprawdę możesz z tego wyżyć. Bo przecież to specjalistyczne czasopismo, prawda?

- Oj, nawet nie wychodzę na zero - powiedział bez ceremonii. - Chyba niedługo będę musiał je zamknąć. Przerzucić się na coś innego. Ale je-

stem do tego przyzwyczajony. Przedtem publikowałem biuletyn dla właścicieli różnów przy klubach baseballowych.

Szafa pełna była ubrań Rosemary - bluzek, sukienek, spodni. Wisiały według kolejności - od rzeczy krótkich do długich, w równych odstępach, a nie tak jak u Delii wszystkie ściśnięte razem. Adrian opowiadał, że żona zostawiła wszystkie swoje rzeczy. Wzięła tylko czarny jedwabny kombinezon, który miała na sobie w chwili odejścia, i niewielką czarną torebkę wsuniętą pod pachę. Dlaczego Delii wydało to się takie fascynujące? Już nie pierwszy raz stała jak zaczarowana przed szafą Rosemary.

- A jeszcze przedtem - ciągnął Adrian - wydawałem kwartalnik dla sympatyków programu MASH. - Ponownie stanął za nią. Jednym palcem pogłaskał ją po zgięciu łokcia.

- To z czego się utrzymujesz?

- Hm, Rosemary dostała mały spadek. Zamknęła drzwi szafy.

- Wiedziałaś o tym przed ślubem?

- Dlaczego pytasz?

- Bo ostatnio zastanawiam się, czy Sam ożenił się ze mną, mając na uwadze praktykę mojego ojca - odparła.

Nie powinna była tego powiedzieć. Adrian, teraz patrząc na nią, będzie myślał: „Tak, jest dość pospolita i skórę na łokciach ma popekaną”.

Ale on tylko się uśmiechnął i oświadczył:

- Ja ożeniłbym się z tobą dla twoich piegów. Podeszła do skraju łóżka po stronie, którą zajmowała Rosemary. Domyśliła się, że to właśnie ta strona, bo przy lampce stał flakon na perfumy, z dmuchanego szkła. Najpierw położyła na stoliczku artykuł doktora Adwatera, a potem - jakby to był następny logiczny krok - otworzyła jego szufladkę. Przypatrywała się leżącym tam w nieładzie nożyczkom do paznokci, pilnikom i buteleczkom lakieru do paznokci.

Jakże do tego wszystkiego pasuje imię Rosemary! Zupełnie jak rozmaryn, wyszukane zioło, o ostrym smaku, jakby spreparowane chemicznie. Dosyp go zbyt wiele do potrawy, a będziesz się zaklinać, że jesz pochod-



ną ropy naftowej. Nie było w nim ani odrobiny zwyczajności, łagodności czy mdłego smaku. I ani jednego piega.

Adrian podszedł i stanął za nią. Odwrócił ją twarzą ku sobie i otoczył ramionami. Tym razem nie odsunęła się, lecz objęła go w pasie i wyciągnęła się w górę w oczekiwaniu na pocałunki. Pocałował ją w usta, w powieki, znów w usta.

- Delio, połóż się ze mną - wyszeptał. Zadzwoił telefon.

Wydawało się, że on nie słyszy, nigdy nie słyszał. I nigdy nie odbierał. Powiedział, że to teściowa, która bardziej go lubi niż własną córkę i stara się ich pogodzić. Delia kiedyś spytała: „Skąd wiesz, że to nie dzwoni Rosemary?” A on, wzruszając ramionami, odpowiedział: „Bo Rosemary nie posługuje się telefonem”. Teraz też nawet nie drgnął, nawet nie zeszywniał. Poczulały to. Pocałował ją w nasadę szyi, już dotykała łydkami skraju łóżka. A telefon wciąż dzwonił. Dziesiąty dzwonek, jedenasty. Liczy je chyba podświadomie. Ta myśl jakoś pozwoliła jej odsunąć się odrobinę, chociaż nogi jakby zmagaly się z oporem wody.

- Oj! - jęknęła, z trudem łapiąc oddech, i podjęła trudne zadanie upchnięcia bluzki bezpiecznie w spódnice.

- Naprawdę powinnam już... Czy torebkę zostawiłam na dole?

On też z trudem łapał oddech. Nie odezwał się.

- Tak, rzeczywiście! Na krześle. Muszę się spieszyć. Matka Sama przychodzi na kolację.

Mówiąc to, już zbiegała po schodach. Telefon w dużym pokoju dzwonił po raz czternasty. Piętnasty. Była już w holu, chwyciła torebkę i od drzwi zawołała:

- Wiesz, że jutro wyjeżdżamy nad...

- Nigdy nie chcesz zostać dłużej - powiedział w końcu. - Zawsze wpadasz na chwilę i już cię nie ma.

- No wiesz, ja...

- Czego się boisz?

„Boję się rozebrać przy kimś, kto ma trzydzieści dwa lata” - nie powiedziała. Uśmiechnęła się do niego sztucznie.



- Pewnie zobaczymy się po moim powrocie - wymamrotała.

- Nigdy nie możesz zostać na dłużej? Na całą noc? Nie możesz powiedzieć, że jedziesz do przyjaciółki?

- Nie mam przyjaciółki - odparła.

Naprawdę nie miała, jakby się nad tym zastanowić. Kiedy wyszła za Sama, wpadła w inne pokolenie, a swoje zostawiła, wszystkie swoje koleżanki z klasy.

- To prawda, choć z wyjątkiem Bootsy Fisher - skorygowała się. (Którą Sam nazywał Bootsy Natrętka, nagle jej się przypomniało nie wiadomo dlaczego). - Podrzuciłyśmy na zmianę dzieci do szkoły.

- To nie możesz powiedzieć, że idziesz do Bootsy?

- Nie, jakże, nie dałabym...

Wsiadając do samochodu, uprzytomniła sobie, że to dziwne, jak często ostatnio myśli o szkolnych czasach. Pewnie budzi w niej te wspomnienia uczucie, z jakim wraca z tych potajemnych spotkań - uczucie oszołomienia, wilgoci, zmietoszenia. I widok zdradliwie zarumienionych policzków, zmiętych ust, kiedy sama odważy się zerknąć we wsteczne lusterko. Na czerwonym świetle upewniła się, czy ma zapięte guziki, i poprawiła puzderko wiszące na szyi. Przypomniały jej się słowa Adriana: „Dlaczego zawsze nosisz coś na szyi?” i „Delio, połóż się ze mną”. I tak jak za szkolnych lat, poczuła większy dreszcz teraz, niż kiedy to się działo. Gdyby nie siedziała, nogi by się pod nią ugięły.

A może rzeczywiście mogłaby powiedzieć, że idzie do Bootsy. Oczywiście, nie na całą noc, ale na wieczór. Nikt z rodziny na pewno by jej nie sprawdzał.

Zaparkowała na podjeździe, na którym stał już tylko samochód Sama. Zza domu buchał dym. Pewnie Sam rozpała grill na kolację.

Ruszyła za smugą dymu w stronę małego prostokąta z kamiennych płyt pod oknami gabinetu. Tak, Sam stał, spoglądając na termometr przy grillu, okulary przesunął w górę, na włosy. Nadal miał na sobie koszulę, krawat i spodnie od garnituru, zdjął tylko kitel. Miał taki oficjalny wy-

gląd, że Delia się zaniepokoiła. A może wiedział o wszystkim? Kiedy się wyprostował, zsunął okulary na nos i powiedział tylko:

- Cześć, Dee, gdzie byłaś?

- O, ja tylko... załatwiałam sprawunki - odpowiedziała. Zdumiało ją, że nie spytał, dlaczego w takim razie wraca z pustymi rękami. Lecz on tylko skinął głową i postukał palcem wskazującym w termometr.

Idąc po schodkach do drzwi kuchennych, miała uczucie, że wynurza się z mocnego snu, w który zapadła za dnia. Przeszła koło Elizy i przemknęła dalej do holu.

- Warzywa też będziecie piec na grillu czy wstawić je do piekarnika?! - zawołała za nią Eliza.

Na grillu nie będzie na nie miejsca, trzeba je wstawić do piekarnika. Chciała tak odpowiedzieć Elizie, ale zapomniała, słowa jakoś jej umknęły, po prostu popłynęła do gabinetu. Dzięki Bogu, był pusty. Musi zadzwonić. Droga do telefonu na górze wydawała jej się niemożliwie długa. Podniosła słuchawkę, wykręciła numer Adriana, przeczekała dwa dzwonki i odłożyła słuchawkę - w ten sposób dała mu znać, że to nie teściowa. Ponownie wykręciła numer i w połowie pierwszego dzwonka Adrian odebrał telefon.

- To ty? - spytał pośpiesznie, napiętym głosem. Opadła na podnózek i zacisnęła rękę na słuchawce.

- Tak - szepnęła.

- Wróc tu, Delio.

- Też bym chciała.

- Wróc i zostań ze mną.

- Chcę, naprawdę chcę - szeptała.

- Delia? - powiedziała matka Sama.

Delia rzuciła słuchawkę i skoczyła na równe nogi.

- Eleanora! - wykrzyknęła, wsuwając ręce w fałdy spódnicy, by ukryć ich drzenie. - Właśnie... ja właśnie...

- Przepraszam, że tak tu wpadłam - usprawiedliwiała się teściowa - ale nikt nie otworzył mi drzwi. - Podeszła, by cmoknąć w powietrzu obok

ucha Delii. Pachniała mydłem. Była kobietą „nie w pretensjach”, która się nie perfumuje, ubraną w szmizjerkę nie do prasowania i sportowe buty, twarz miała łagodną, włosy białe, podcięte jak u mnicha. -Nie chciałam przerywać ci rozmowy.

- Nic się nie stało, właśnie kończyłam - odparła Delia.

- Chyba ktoś zostawił jakieś artykuły na frontowym ganku.

- Jakie artykuły?

Przez sekundę Delia myślała, że chodzi o artykuł Adwa-tera o charyzmie.

- No, rakiety do badmintona, materace i różne takie, wszystko porzucane, trudno jest przejść.

Eleanora należała do tych gości, którzy czują obowiązek sygnalizowania niepokojących sytuacji w domu gospodarzy. Od jak dawna w toalecie tak kapie? Czy wiedzą, że gałąź zaraz się złamie? Delia w takich razach zawsze stawiała kontrę, sama udając gościa.

- Coś podobnego! - powiedziała teraz. - Chodź, pójdziemy do Sama. Jest przy grillu.

- Ojej, nie chciałam, byście sobie robili kłopot - rzuciła Eleanora, wychodząc pierwsza z gabinetu. Zamiast torebki miała piterek w pasie, z odblaskowego nylonu. Sterczał jej nad brzuchem niby udawana ciąża. Przez to sylwetkę miała lekko odchyloną do tyłu, chociaż normalnie trzymała się prosto.

- To nie kłopot, będzie tylko kurczak - oznajmiła Delia, kiedy szły przez hol. - Nic skomplikowanego.

- Wystarczyłaby zupa z puszki - stwierdziła teściowa. Na blacie pod wieszakiem dostrzegła brązowy ogryzek po jabłku. - Zwłaszcza że macie tyle roboty przed wyjazdem.

Czy to miała być wymówka? Co roku Sam wspominał o tym, by matkę zaprosić nad morze, i co roku Delia odwodziła go od tego zamiaru. Aby ugłaskać matkę, robili więc ten rodzinny obiad w przeddzień wyjazdu. Nie chodziło o to, że Delia nie lubiła swojej teściowej. Bo podziwiała ją. Wiedziała, że ona by sobie tak wspaniale nie poradziła w takiej sytuacji,

w jakiej znalazła się Eleanora - wcześniej owdowiała, musiała podjąć pracę sekretarki, by utrzymać siebie i dorastającego syna. (Sam opowiadał, że ojciec i tak nie należał do zaradnych, był typem rozlazłego nieudacznika). Chodziło o to, że w obecności teściowej Delia czuła się nieudolna. Taka lekkomyślna, rozrzutna i nieorganizowana. Tylko w czasie wakacji mogła otrząsnąć się z tego uczucia.

Poza tym nie potrafiła sobie wyobrazić Żelaznej Mamy rozłożonej na ręczniku kąpielowym.

- Linda przyjechała? - zadała pytanie Eleanora, kiedy wchodziły do kuchni. - Bliźniaczki pewnie strasznie wyrosły? Gdzie się wszyscy podziewają?

- Bliźniaczki są na basenie - odpowiedziała Eliza, która stała przy zlewie. - Linda właśnie poszła po nie z Susie. Jak się miewasz, Eleanoro?

- Och, doskonale. Czy to szparagi? Słowo daję, Delio, wiesz, ile kosztują szparagi?

- Kupiłam przecenione - skłamała Delia. - Upiekę je w piekarniku, nowym sposobem, bardzo prosto - dorzuciła sprytnie.

- Dla ciebie prostota to pieczone szparagi i gołębie?

- Nie gołębie, tylko kurczak.

- Mnie wystarczyłaby stara wyschła marchew - oświadczyła Eleanora.

Ruszyła do tylnych drzwi, a Delia potulnie za nią. W ogródku z boku domu Sam majstrował przy gałkach grilla.

- Temperatura jest chyba akurat - powiedział do Delii. - Dzień dobry, mamó. Cieszę się, że cię widzę.

- Synku, a co tu się dzieje z krzewami? - spytała Eleanora, sięgając wzrokiem za niego.

- Wykopujemy je - odparł. - Zasadzi się zupełnie nowe rośliny.

- Przecież to kosztuje majątek! Nie mogłeś starych doprowadzić do porządku, na miłość boską?

- Chcieliśmy urządzić wszystko od nowa - odparł. (Chcieliśmy? My? - zdziwiła się Delia). - Mieliśmy dość zajmowania się starymi. Dee, naprawdę mogę zaczynać pieczenie.

Delia ruszyła w stronę domu.

- Nie wiem, synu - usłyszała głos Eleanory - ale wiesz życie bogate jak na mój gust. Do tego na kolację szparagi i pieczony drób.

- Kurczak! - krzyknęła Delia przez ramię.

Eliza też musiała to słyszeć, bo kiedy Delia weszła do kuchni, uśmiechała się do siebie.

- Ty mu to zanieś. Ja nie wytrzymam sekundy dłużej.

- Oj, za bardzo bierzesz sobie ją do serca - powiedziała Eliza, podchodząc do lodówki. Dla niej Eleanora była tylko zabawna. Ale Eliza nie była jej synową. Nikt jej nie stawiał na co dzień Eleanory jako wzoru kobiety oszczędnej, która ma pod ręką skrzyneczkę z narzędziami, prowadzi książkę rachunkową z dwunastoma wypełnionymi kolumnami i trzykrotnie używa tych samych torebek śniadaniowych, bo myje je i suszy.

Czy Samowi przyszło kiedyś do głowy, że Delia i jego ojciec to mogą być dwie pokrewne dusze?

Wybrała dziesięć par sztuców i poszła do stołowego. Tu dochodziły ją tylko stłumione odgłosy z ogródka, mogła więc wrócić myślą do Adriana. Chodziła dookoła stołu, rozkładając po parze sztuców, przypominając sobie szmer palców Adriana na swoim kołnierzyku, ciepło jego oddechu, kiedy ją całował. Lecz nie czuła już naprawdę tego pocałunku. Wtargnięcie Eleanory poraziło jej uczucia, podobnie jak dawno temu, kiedy kochali się z Samem i zadzwonił telefon, całkiem ją to wytrąciło z nastroju i nie potrafiła potem wrócić do punktu wyjścia.

W kuchni zastała Elizę zamyśloną przed szafką ze szkłem.

- Co pijemy? - spytała siostra. - Mrożoną herbatę czy wino?

- Wino - rzuciła Delia.

Z ogródka płynął stanowczy głos Eleanory:

- Sprawdzaleś ostatnio cenę szparagów?

- Nieźle wygórowana, tak? - spytał Sam nieporuszony.

- Niebotycznie wysoka - stwierdziła matka. - Ale dziś na kolację mamy szparagi i pieczonego pawia.

Tylko Eliza się roześmiała.



Kolację z różnych względów zaczęli z opóźnieniem. Najpierw Linda i Susie nie wracały przez całe wieki z bliźniaczkami z basenu, potem Ramsey wrócił dopiero o siódmej, chociaż obiecał, że będzie najpóźniej o szóstej. A kiedy już przyszedł, okazało się, że ciągnie za sobą swoją dziewczynę i jej mizerną, milczącą sześciolletnią córeczkę. Bliźniaczki były oczywiście zachwycone, lecz Delia wściekła. Wszyscy od dawna wiedzieli, że to ściśle rodzinny wieczór. Nie chciała jednak narażać się na publiczne dyskusje z Ramseyem, kipiąc więc w środku z wściekłości, dostawiła na stole dwa nakrycia nie od kompletu i dopiero wtedy zawołała wszystkich.

Velma, dziewczyna Ramsey'a, była malutką i drobniutką kobietką o czuprynie szklistych włosów i wyzywającej figurze, uwydatnionej obcysłymi białymi szortami. Delia wiedziała, na czym polega jej urok. Po pierwsze, kiedy dziewczyna weszła do pokoju, udała się wprost do jednego z sierocych nakryć, jakby była przyzwyczajona do istnienia na marginesie. A po drugie, miała w sobie tyle niewyczerpanej radości życia, że rozjaśnił się w jej obecności nawet Carroll - gburowaty Carroll, a Sam wyróżnił ją największą porcją kurczaka. („Musisz nabrać trochę ciała” - powiedział, zupełnie nie w swoim stylu). Potem zjednała sobie Lindę, zachwycając się imionami bliźniaczek.

- Mam fioła na punkcie francuszczyzny, co chyba widać po imieniu mojej córki: Rosalie - powiedziała. - Rany, naprawdę marzę o wyjeździe do Francji. Najdalej byłam w Hagerstown, na pokazach fryzjerskich.

Velma była kosmetyczką. Pracowała w jednym z tych damsko-męskich salonów. Tak poznali się z Ramseyem. Przyszedł się ostrzyć i od razu zaprosił ją na podwieczorek u swojego doradcy pierwszego roku. Teraz siedział dumnie u jej boku, kładąc jedną rękę na oparciu jej krzesła, i promieniał, spoglądając na zgromadzoną wokół stołu rodzinę. Wprawdzie był niski (po dziadku, ojcu Delii), lecz u boku Velmy wyglądał męsko i okazale.



- Choć ubiegłej jesieni pojechałam do Pittsburgha na konferencję na temat kolorystyki - przypomniała sobie Velma. - Zostałam tam na noc, Rosalie musiałam powierzyć mamie.

Rosalie, usadzona przy drugim nakryciu nie od kompletu, spojrzała na mamę swoimi ogromnymi wilgotnymi oczami zrozpaczona, jak Delii się wydawało.

- Wszyscy w naszym salonie przeszli szkolenie w dziedzinie doboru kolorów - ciągnęła Velma.

Czy zwracała się do Eleanory, ze wszystkich wybrała właśnie ją? Ta skinęła zachęcająco głową, zachowując najbardziej życzliwy wyraz twarzy.

- Bo niektórym jest ładnie w zimnych kolorach, a niektórym w ciepłych - mówiła do niej Velma. - I nigdy, przenigdy nie powinni wybierać na odwrót, a robią to tak często, że aż trudno uwierzyć.

RS

- Kochanie, czy to zależy od temperamentu? - spytała Eleanora.

- Słucham, proszę pani?

Lecz w tej samej chwili Sam zaczął nakładać posiłek na talerz Eleanory.

- Dzięki, Sam, nie tak dużo, proszę - powiedziała do syna.

- Myślałem, że chcesz pierś.

- Owszem, ale małą. Ta jest za duża. Nadział na widelec drugą.

- Ta dobra?

- Oj, jest olbrzymia!

- Mamo, to już najmniejsza!

- To przekrój na pół. Nie zjem tyle.

Położył porcję z powrotem na półmisku i przekroił ją.

- Przychodzi jedna klientka - opowiadała nadal Velma - ubrana na różowo. Ja do niej: „Proszę pani, to niewłaściwy wybór, powinna pani nosić zimne kolory, pasujące do pani karnacji” - mówię jej. A ona na to: „Ale właśnie o to chodzi, dlatego noszę ciepłe. Wybieram na odwrót”. Aż podskoczyłam, to naprawdę nie do wiary.

- Sam, nałożyłeś mi z sześć razy więcej szparagów, niż dam radę zjeść - zauważyła Eleanora.

- Tylko trzy. Jak mogę nałożyć jedną szóstą tego?

- Proszę tylko o połówkę jednego, jeśli nie sprawi ci to kłopotu.

- Wie pani - mówiła Velma do Elizy - cudownie by było pani w karmazynowym. Z pani włosami czarnymi jak smoła? Ten odcień brązu jest zupełnie nie dla pani.

- Cóż, mam słabość do brązu - oświadczyła Eliza.

- A ty, Susie? Założę się, że już masz kolory z głowy, nie? Ta akwamaryna jest naprawdę twarzowa.

- Nie prałam kolorów - odparła Susie i linia jej ust nabrała usatysfakcjonowanego wyrazu.

- Rosalie ubieram tylko w akwamarynę, a przynajmniej prawie. W innych kolorach wygląda po prostu bezbarwnie.

- Sam, nie chcę cię zamećczać, ale oddam ci talerz -odezwała się Eleanora - żebyś zabrał z niego odrobinieczkę tej sałatki kartoflanej i dał ją komuś innemu.

- Mamo, niech zostanie na twoim talerzu.

- Ale to dla mnie za duża porcja, kochanie.

- To zjedz, ile chcesz, a resztę zostaw.

- Przecież wiesz, jak nie znoszę marnować jedzenia.

- Mamo, to zmusz się i zjedz całe to cholerstwo.

- Na miłość boską! - jęknęła Eleanora. Zadzwoił telefon.

- Carrollu, odbierzesz? - odezwała się Delia. - Jeżeli to pacjent, powiedz, że jemy kolację.

Nie wyobrażała sobie bynajmniej, że tak łatwo jest się pozbyć pacjentów.

Carroll poczłapał do kuchni, mrużąc coś pod nosem o telefonach do starszych. Delia wzięła do ust kęs udka kurczaka. Było wysuszone i żyłaste jak łyko, zbyt długo podgrzewało się w piekarniku.

- Mamo," do ciebie - rzucił Carroll, wsuwając głowę przez drzwi.

- Spytaj, kto to i czy mogę oddzwonić.

- On mówi, że to coś z machiną czasu.

- Och!

- Z machiną czasu? - spytał Sam.

- Zaraz wracam - powiedziała Delia, odkładając serwetkę.

- Ktoś chce ci sprzedać machinę czasu? - spytał Sam.

- Nie, nie mam o tym pojęcia, nie mam pojęcia... -zapadła się w krzesło.

- Powiedz, że nie potrzebujemy -rzuciła do Carrolla.

Chłopiec cofnął głowę.

Delia miała wrażenie, jakby kęs kurczaka uwiązł jej w przetyku. Sięgnęła po koszyczek z bułkami.

- Therese, Marie-Claire, weźcie sobie i podajcie to dalej, proszę - powiedziała do dziewczynek.

Kiedy Carroll wrócił do stołu, nawet na niego nie spojrziała. Po koszyczku z bułkami posłała dookoła stołu masło.

Dopiero wtedy podniosła wzrok i napotkała uporczywe spojrzenie Elizy.

To na nią musiała uważać. Eliza bywała tajemnicza.

- Ta porcelanowa zastawa należała do waszej prababci -mówiła Linda do bliźniaczek. - Cynthii Ramsey, tak się nazywała. Była sławną pięknoscią w Baltimore i całe miasto nie mogło wyjść z podziwu, dlaczego powiedziała „tak” temu niskiemu, grubemu nie-wiadomo-komu, Izaakowi Felsonowi. Ale rozumiecie, był lekarzem i przyrzekł jej, że jeżeli wyjdzie za niego, to nigdy nie zachoruje na gruźlicę. A prawie cała jej rodzina umarła właśnie na gruźlicę. No więc, oczywiście, wyszła za niego, wyprowadziła się do Roland Park i zdrowa jak koń przeżyła całe życie, a poza tym urodziła dwoje zdrowych dzieci, z których jedno to wasz dziadek. Pamiętajcie dziadka.

- Nie pozwalał nam jeździć na wrotkach po domu.

- Zgadza się. No więc wasza prababcia sprowadziła ślubną porcelanę z Europy. Właśnie te talerze, na których dzisiaj jecie.

- Ale Rosalie nie - zauważyła Marie-Claire.

- Słucham, kochanie?

- Talerz Rosalie nie należy do ślubnej porcelany.

- Nie, jej jest z Kmart - wyjaśniła Linda, podając masło Eleanorze, nie widząc, że oczy Rosalie jeszcze bardziej zwilgotniały.

- Na Boga, nie jadam masła, kochanie - zaprotestowała Eleanora.

Dlaczego zadzwonił do niej? - zastanawiała się Delia. To do niego zupełnie niepodobne. Pewnie miał jej coś bardzo ważnego do powiedzenia. Powinna podejść do telefonu.

Pójdzie do kuchni po wodę czy coś innego i zadzwoni.

Wstała, chwytając dzbanek. W tej samej chwili zadzwonił dzwonek do drzwi. Zamarła. Automatycznie przyszło jej na myśl, że to Adrian. Przyjechał po nią, nie chce dłużej słuchać głosu rozsądku. Od razu w myślach ułożyła cały scenariusz - zdumienie rodziny, że ona pozwala się wyprowadzić z domu, podróż z nim przez noc (chyba w powozie) i ich życie

razem w słonecznym, bielonym pokoju gdzieś na wybrzeżu Morza Śródziemnego.

- Przecież mówiłem, tyle razy mówiłem... - powiedział tymczasem Sam i ruszył przez hol, pewien, że to pacjent. Może rzeczywiście. Delia nadal stała, nasłuchując.

- Rosalie ma serwetkę ze zwykłego starego papieru - odezwała się jedna z bliźniaczek.

Delia pomyślała, że najchętniej stłumiłaby jej głos ręką.

Przyszła kobieta. Starsza utyskująca kobieta, która mówiła w niezrozumiały sposób. A więc pacjentka. Delia odczuła większą ulgę, niżby oczekiwała.

- Ktoś chce coś z kuchni? - spytała. Zanim jednak się ruszyła, Sam wprowadził gościa.

Weszła kobieta dobrze ponad siedemdziesiątkę, pulchna i pomarszczona pod warstwą różu i ciemnoczerwonej szminki, z czupryną farbowanych czarnych loków. Na nogach miała absurdalnie małe pantofle z otwartymi czubkami, z których wystawały gołe palce, wynurzając się spod rąbka czarnej bezkształtnej spódnicy. W obu rękach trzymała ściągnięty sznurkiem woreczek, na palcach miała pierścionki, a w obwisłych płatkach uszu brylantowe kolczyki w kształcie łez. Wszystko to Delia zarejestrowała w jednej chwili, jednocześnie dostrzegając zdumiony wyraz twarzy Sama, tuż za barkiem kobiety.

- Dee? - wykrztusił. - Ta pani twierdzi...

- Czy pani jest Delią Grinstead? - przerwała mu kobieta.

- Tak, to ja.

- Chcę, by zostawiła pani w spokoju mojego zięcia. Wszyscy przy stole jakby zastygli w oczekiwaniu, co będzie dalej. Delia mogła to tylko wy czuć, bo starała się nie spuszczać wzroku z kobiety.

- Nie mam pojęcia, o czym pani mówi - powiedziała.

- Pani wie, o kim mówię! O moim zięciu, Adrianie Bly-Brisie. A może straciła pani rachubę? Ma pani taką kolekcję kochanków, że już ich nie rozróżnia?

Ktoś parsknął. Ramsey. Delia poczuła się tym lekko obrażona, lecz zmusiła się, by jej to nie zdekoncentrowało.

- Proszę pani, hm... naprawdę...

Nienawidziła swojego głosu. Zabrzmiał tak, jakby się usprawiedliwiała mała dziewczynka.

- Rozbija pani szczęśliwe małżeństwo - powiedziała stara kobieta. Stała teraz przy drugim końcu stołu, tuż za pustym krzesłem Sama. Przewiercała Delię spojrzeniem spod rzęs tak grubo upačkanych tuszem, że ocieniały jej twarz jak markizy. - Przeżywają wzloty i upadki jak każde młode małżeństwo - ciągnęła - ale starają się przewyciężyć kłopoty, może być pani tego pewna! Znow się spotykają. Mówił pani o tym? Dwa razy byli razem na kolacji w lokalu, w którym się zaręczyli. Zaczynają myśleć o dziecku, bo może ono rozwiąże problemy. Ale tu, ile razy wyjrzę przez okno, co widzę? Pani samochód, zaparkowany po drugiej stronie ulicy. Pani przy drzwiach frontowych z nim się całuje, całego go całuje, nie ma pani dość, więc idzie pani na górę, by tam go chwycić w swe kleszcze i całować w oknie sypialni, na oczach wszystkich sąsiadów.

Teściowa Adriana mieszka naprzeciwko niego, po drugiej stronie ulicy?

Delia czuła, że gorąco uderza jej do głowy. Czuła też, że w innych jakby uderzył piorun.

- Delio, czy coś ci w tej sprawie wiadomo? - cicho spytał Sam.

- Nie, skądże! - wykrzyknęła. - Ta kobieta to wymyśliła! Pomyliła mnie z kimś innym!

- W takim razie co to jest? - spytała przybyła i zaczęła grzebać przy woreczku. Ściągający go sznurek zapięty był na coś w rodzaju zsuwanej klamry. Wydawało się, że zsunięcie jej trwa długie minuty, wszyscy czekali w grobowej ciszy. Delia uprzytomniła sobie, że wstrzymała oddech. Była przygotowana na to, że kobieta może wyjąć z woreczka dowolną rzecz - coś promieniującego, parującego, dymiącego seksem, ale właściwie co dokładnie miałyby to być? W końcu kobieta wyciągnęła zdjęcie. -



Proszę, proszę - wyrzuciła z siebie i zaczęła wymachiwać zdjęciem w lewo i w prawo.

Było to zdjęcie zrobione polaroidem, tak niedoświetlone, że wyglądało właściwie jak kwadrat porysowanej czerni. Lecz dopiero kiedy Ramsey znów parsknął, Delia zrozumiała, że jest uratowana.

- No więc, proszę pani - odezwał się Sam - wszystko będzie dobrze. Jestem przekonany, że pani córka jest bardzo szczęśliwa w małżeństwie... - I w najbardziej szarmancki sposób odwrócił kobietę i skierował do drzwi.  
- Mogę odprowadzić panią do samochodu?

- Och, tak, dobrze... tak, może... proszę - wykrztusiła. Nadal grzebała przy woreczku, lecz dała się wyprowadzić. Szła chroniona jego ramieniem, jakaś taka oszołomiona i niepewna, że nagle Delia poczuła dla niej litość.

- A kto to był? - spytała dobitnie Marie-Claire.

- To tylko ktoś do twojej cioci Delii. Wiesz, że niezła z niej syrena.

Wszyscy zaczęli się ruszać i chichotać.

Wiedziała, że postąpiła w sposób przewrotny. Wprawdzie przez chwilę się zastanawiała, czy nie przyznać się do wszystkiego - żeby wiedzieli - lecz milczała. Tylko uśmiechnęła się do zebranych, z powrotem usiadła przy stole i postawiła dzbanek na wodę po swojej lewej stronie.

- Kto chce jeszcze kurczaka? - spytała, patrząc bezwstydnie prosto w oczy mierzącej ją wzrokiem Elizy.

Dyżur przy zmywaniu miała tego wieczoru Susie, lecz Eleanora zaofiarowała się jej pomóc. Powiedziała, że Delii nie da już kiwnąć palcem po tym ekstrawaganckim posiłku. Synowa więc wycofała się z kuchni, udając, że się ociąga. Nie poszła jednak za innymi na ganek, tylko wbiegła po schodach na górę. Wpadła do sypialni, zatrzasnęła za sobą drzwi, przysiadła na skraju łóżka i podniosła słuchawkę.

Odebrał niemal natychmiast. Spięła się w sobie, by jakoś przetrzymać te bzdurne dwa dzwonki, gdy tymczasem on od razu się odezwał.

- Halo?
- Adrian?
- Och Boże, Delio, ona przyszła?
- Tak, przyszła.
- Chciałem cię ostrzec. Zadzwoiłem i odebrał twój mąż, a potem znów zadzwoniłem...
- Mój mąż odebrał? Kiedy?
- To nie był twój mąż?
- Nie, to mój syn Carroll.
- Miał stary głos.
- Stary? On nie jest stary!
- Miał głos dorosłego mężczyzny.
- Ale nie jest dorosły - rzuciła. - Adrian, dlaczego całujesz mnie w drzwiach i przy oknie, jeżeli twoja teściowa mieszka naprzeciwko?
- To znaczy zrobiła to, co mówiła, że robi?
- Przyszła i przed całą moją rodziną oświadczyła, że mam „kochanka”, jeśli o to ci chodzi.
- O Boże! A co oni na to?
- Chyba pomyśleli, że to jakaś wariatka, czy coś, ale... Adrian, ona twierdziła, że wasze małżeństwo jest szczęśliwe.
- Nic dziwnego. Chce w to wierzyć.
- Twierdziła, że znów się spotykacie, że dwa razy byliście teraz w restauracji, w której mieliście zaręczyny.
- Hm, to akurat prawda.
- Tak?
- Tylko by omówić sprawy. Mamy wiele wspólnych spraw. Długą wspólną historię.
- Rozumiem.
- Ale to nie było tak, jak myślisz. Spotkaliśmy się na kolacji! Tylko żeby razem zjeść kolację!
- I myślicie o dziecku.
- Tak powiedziała?

- Tak.  
- Naturalnie, to wypłynęło.  
- Naturalnie?! - krzyknęła Delia.  
- No, Rosemary przecież nie robi się coraz młodsza.  
- Owszem, to prawda, ma ze trzydzieści lat - przyznała z odrobiną goryczy. Skręcała w palcach sznur telefonu. Połączenie było niezbyt czyste, coś szemrało w oddali, jak w rozmowie międzymiastowej.

- Hm, raczej nie jest za bardzo macierzyńska - powiedział radośnie. - Dziwne, prawda? To, co przyciąga cię do kogoś, potem może cię odpychać. Kiedy się poznaliśmy z Rosemary, była taka... chłodna, chyba tak to należy nazwać, to znaczy o chłodnym sposobie bycia, to mnie urzekło, ale teraz rozumiem, że jak na dobrą matkę może być za chłodna.

- A ja? - spytała.  
- Ty?  
- A co we mnie cię przyciąga i odpycha?  
- Och, nic. Dlaczego pytasz?  
- Nic cię nie przyciąga?  
- Och! Hm, może... hm, kiedy się poznaliśmy, zachowywałaś się tak świeżo, słodko, dziecinnie, to znaczy dziewczęco, wiesz? A potem, jak doszliśmy do etapu, kiedy większość ludzi bardziej, na przykład, bardziej, hm, się angażuje, ty wciąż byłaś tak cholernie słodka i dziewczęca. Najpierw tracimy głowę, potem nagle mówisz, że musisz iść. Jakbyśmy byli nastolatkami czy coś takiego.

- Rozumiem - powiedziała.  
- Delio, a tak w ogóle, w jakim wieku jest twój syn?  
- W starczym - odparła. Ale miała na myśli siebie. Odłożyła słuchawkę i wyszła z pokoju.

Na dole dolatywały ją z kuchni: szum wody, brzęk naczyń i głos Eleanory.

- Susie, chyba nie masz zamiaru tego wyrzucić? Przeszła przez hol, stanęła przy drzwiach siatkowych, spoglądała na ganek. Nie widziała chłopców, którzy od lat nigdy nie zostawali pogadać po kolacji, nie wi-

działa ani Velmy, ani Rosalie. Siedzieli tylko Sam z Lindą i oddawali do siebie celne strzały.

- Niektóre z tych azalii sadził jeszcze nasz dziadek -powiedziała Linda - i to nie twój interes.

- Ani nie twój - odparował. - Chyba że zajmiesz się trochę tym wszystkim.

- Dajcie spokój, oboje dajcie spokój - rzuciła Eliza, bujając się na trzcinowym fotelu.

Na ścieżce pod lampą kręciły się bliźniaczki. Miały na sobie pełno poprzylepianych źdźbeł trawy, a nad nimi wirowały ćmy. Osiągnęły stan takiego podkręcenia, w jaki wpadają dzieci w letnie wieczory. Śpiewały z zawrotną szybkością:

- Jakie jest życie?
- Piętnaście centów za egzemplarz.
- Mam tylko dychę.
- Cóż, takie jest życie.
- Jakie jest życie?
- Piętnaście centów za egzemplarz.
- Mam tylko dychę.

## Rozdział 5

Pierwszy wieczór nad morzem był deszczowy. Okazało się, że przecieka dach ich domu. Nie był to domek w eleganckim stylu letniskowym, położony tuż nad brzegiem morza, ale przysadzisty mały dom położony na terenach, które od morza dzieliła szosa numer 1. Delia wyobrażała sobie, że jeszcze tydzień temu mieszkał tu zwyczajny urzędnik magazynu z paszą. Pod zlewem wisiała firaneczka z kwiecistego kretonu. W dużym pokoju podłoga **wyłożona** była niebieskim linoleum w zawijasy, które przypominały pofałdowany, przybity gwoździkami chodnik. Wszystkie łóżka, zapadnięte pośrodku, trzeszczały przy najmniejszym poruszeniu. Sam stwierdził, że do tego wszystkiego nie muszą jeszcze znosić kałuży w holu na górze. Natychmiast zadzwonił do pośrednika, wykręcając numer pogotowia czynnego po godzinach, i domagał się, by rano natychmiast zajęto się ich sprawą.

- Co?! - zaprotestowała Linda. - Nawet na wakacjach chcesz mieć tu robotników.

- Po prostu wytrzymajmy kałużę, i po wszystkim - wtrąciła się Eliza. - Na pewno nie będzie już padać, bo jeśli tylko zacznie, zaskarżę Boga do sądu.

Delia się nie odezwała. Nie miała siły.

W ich domu w Baltimore robotnicy mieli przez ten tydzień wycyklinować podłogi i pociągnąć je lakierem. To oznaczało, że Delia musiała zabrać nad morze kota. (Nie zniósłby oddania na przechowanie. Kiedyś, gdy tego spróbowali, niemal usechł z tęsknoty). Sam twierdził, że na pewno ich wyrzucą, ponieważ zabronione jest przywożenie ze sobą zwierząt, lecz Delia odparła, że to niemożliwe. Przecież nikt się nie domyśli, że mają go z sobą. Teraz, zestresowany podróżą samochodem, jak tylko znalazł się w wynajętym domu, pomknął do kuchni i schował się w szafce. Delia wiedziała swoje, taktownie więc tam go zostawiła, lecz bliźniaczki nie mogły usiedzieć na miejscu i po kolacji zaczęły krążyć przy szafce i podstawiać mu talerzyk z resztkami, by go przywabić.

- Masz tu, Vernon! Taki miłutki kotek.

Jedyną odpowiedzią była przygnębiająca głucha cisza, którą koty jakby promieniują, kiedy chcą, by pozostawiono je w spokoju.

- Oj, oj - zawodziła Marie-Claire - co teraz zrobimy? Zagłodzi się na śmierć!

- No i dobrze by było - odezwał się Sam. - Przecież zakaz przywożenia tu zwierząt dotyczy tylko żywych.

Delia zauważyła, że Sam przez cały dzień był nie w sosie.

Tak więc pierwszego wieczoru, zamiast przechadzać się po plaży albo pójść do miasteczka na lody, dorośli siedzieli w cuchnącym naftą, źle oświetlonym pokoju i czytali zniszczone czasopisma pozostawione przez poprzedników oraz słuchali, jak deszcz pluszcze o szyby. Bliźniaczki wciąż siedziały w kuchni i zadreślały kota. Susie i chłopcy wypożyczyli samochód i pojechali do Ocean City. Delia niepokoiła się, bo w jej pojęciu było to miejsce pełne poobijanych samochodów oraz pijanych studentów. Starła się jednak skupić na magazynie „Amerykańskie Werandy i Patia”.

- Jeżeli jutro nie będzie słońca - odezwała się Linda - może byśmy się wybrali na całodniową wycieczkę aż za Salisbury. Chciałabym, żeby bliźniaczki miały jakieś pojęcie o swoim dziedzictwie.

- Och, Lindo, tylko nie każ nam znów jechać na ten cholerny cmentarz - zaproponowała Eliza.

- Więc dobrze. To tylko pożyczcie mi samochód i sama z nimi pojedę. Tak jak w ubiegłym roku, o ile pamiętam.

- Tak. I w ubiegłym roku obie dziewczynki wróciły śmiertelnie znużone i rozkapryszone. Co je obchodzi jacyś tam zmarli Carrollowie i Weberowie?

- Była to dla nich świetna wyprawa! Teraz chciałabym znaleźć grób pradziadka Roscoe.

- Powiem tylko: to powodzenia, udanych łowów! Jestem przekonana, że od dawna już jest tam parking. A w ogóle to nasza mama nie bardzo go lubiła.



- Elizo, dlaczego za każdym razem musisz na mnie wjeżdżać? - oburzyła się Linda. - Wyśmiewasz się z każdej mojej propozycji, nawet najmniej istotnej.

- No, drogie panie - wtrącił się Sam, jakby nieobecny, przerzucając-- „Wędkarza na Morzu”.

- Samie Grinstead, tylko nie w ten sposób do mnie! - ofuknęła go Linda.

- Przepraszam - mruknął.

- Co za Księżę Zdrowego Rozsądku!

- Jeszcze raz przepraszam.

Podniosła się poirytowana i poszła zobaczyć, co robią bliźniaczki. Eliza zamknęła „Świat Żeglarza” i ponuro wpatrywała się w okładkę.

Linda i Eliza były w stanie Drugiego Dnia, jak Delia to w myślach określała, czyli były drażliwe i uszczypliwe, co zawsze następowało, kiedy odpływała pierwsza miła fala po przyjeździe Lindy. Raz spytała Elizę, dlaczego nie mogą być z Lindą sobie bliższe, na co ta odpowiedziała: „Ludzie, którzy mieli wspólne nieszczęśliwe dzieciństwo, rzadko kiedy są sobie bliscy”. Zdumiało to Delię. Ich dzieciństwo było nieszczęśliwe? Jej zdawało się idyllą. Powstrzymała się jednak przed powiedzeniem tego.

Linda wróciła z bliźniaczkami, które wciąż denerwowały się kotem, a Sam odłożył czasopismo i zaproponował grę w remika.

- Wzięłaś karty? - spytał Delię.

Nie wzięła. Uprzytomniła to sobie w chwili, gdy o to zapytał, lecz dla zachowania pozorów zaczęła grzebać głęboko w torbie na zakupy, leżące na stoliku. Wyciągnęła puzzle, monopol, warcaby, ale kart nie było.

- Hm... - mruknęła.

- No więc zagrajmy w warcaby - zaproponował Sam. Powiedział to tonem nadzwyczaj wyważonym, co było gorsze, niż gdyby krzyknął.

Na dnie torby natrafiła na świeżo wypożyczoną z biblioteki książkę *Uwięziona w zamku Clarion*. Zaczęła ją czytać w ubiegłym tygodniu, ale stwierdziła, że nie jest szczególnie fascynująca, mimo to jednak wolała książkę niż grę.

- Delio, grasz? - spytał Sam.
- Nie, chyba poczytam sobie w łóżku.
- O tej porze? Jeszcze nie ma dziewiątej.
- Ale jestem zmęczona - odparła. Powiedziała wszystkim dobranoc, zasłaniając przód okładki, chociaż nikt nawet nie próbował patrzeć, jaki książka ma tytuł.

Na górze spod przesiąkniętego wodą dywanika kąpielowego, ułożonego przy kominie, wyciekał nowy strumyk wody. Nie zwróciła na to uwagi, tylko poszła do pokoju, który zajmowała z Samem. Był mały i pachniało w nim stęchlizną. Miał jedno okno, bez firanki. Aby bez skrępowania się rozebrać i włożyć szlafrok, nie zapaliła światła. Umyła się w łazience po przeciwnej stronie holu. Wróciwszy do pokoju, zapaliła lampę i skierowała jej słabe światło na poduszkę. W końcu wsunęła się pod koce, rozkurczyła dla wygody palce u stóp i otworzyła książkę.

Bohaterką jej była kobieta o imieniu Eleanora, co niestety przypominało Delii o teściowej. Długie krucze sploty bohaterki i jej „pikantna” twarz ustępowały miejsca praktycznemu uczesaniu i linii szczęki Żelaznej Mamy. Kiedy bohater książki, Kendall, mocno przyciągał Eleanorę do siebie, Delia widziała za jego barczystym ramieniem surowe spojrzenie teściowej. Kendall był przyszłym szwagrem Eleanory, młodszym bratem jej łagodnego narzeczonego, arystokraty. Idąc za porywem serca, uprowadził dziewczynę, zobaczywszy ją po raz pierwszy w życiu, a stało się to kwadrans przed jej ślubem. „Nigdy cię nie pokocham! Nigdy!” - krzyczała bohaterka, bijąc w jego tors piąstkami, lecz Kendall ujął ją za nadgarstki i czekał, opanowany i pewny swego, aż się poddała.

Delia zamknęła książkę, zaznaczając wsuniętym w nią palcem miejsce, w którym przerwała. Patrzyła na objętą parę na okładce.

Odkąd poznała Adriana, on ani razu za nią naprawdę nie latał. Wszystko wydarzyło się na skutek zbiegu okoliczności. Zbieg okoliczności sprawił, że Adrian poprosił ją, by udawała jego dziewczynę (Kogo jeszcze mógłby o to poprosić? Kobieta z dzieckiem? Starszą kasjerkę w kasie?), i zbieg okoliczności sprawił, że kilka dni później spotkali się wie-

czorem na ulicy. W dodatku całe jego postępowanie wskazywało na to, że nadal kocha swoją żonę. Kochał ją tak bardzo, że w supermarkecie nie potrafił sam stawić czoła spotkaniu z nią, a po jej odejściu nie potrafił spać w ich wspólnej sypialni. Lecz Delia postanowiła tego nie zauważać, jak jakaś nastolatka, która naiwnie samą siebie oszukuje.

Nie zwróciła uwagi również na inne ważne szczegóły, szczegóły, które świadczyły o tym, jaki on ma charakter. Na przykład na to, jak się zachowywał za pierwszym razem: zmienił jej plany zakupowe, protekcjonalnym tonem mówił o nazwiskach mieszkańców Roland Park, kupił artykuły spożywcze będące w modzie. Na pewno nie należał do złych osób, lecz kierował się wyłącznie własnymi potrzebami. I był płytkawy.

Gdyby była bohaterką romansu i zdała sobie sprawę z takich rzeczy, natychmiast z wdzięcznością zwróciłaby się ku mężczyźnie, który cały czas czekałby na nią gdzieś za kulisami. W rzeczywistym życiu wszakże, kiedy usłyszała kroki Sama wchodzącego po schodach na górę, zamknęła oczy i udawała, że śpi. Czuła, że stanął nad nią, po czym wyciągnął jej z rąk książkę, zgasił lampę i wyszedł z pokoju.

Do rana przestało padać i wyszło słońce, tym jaśniejsze w czystym powietrzu. Cała rodzina wyruszyła nad ocean tuż przed południem - dorośli w buicku Sama, młodzież w wynajętym plymoucie, prowadzonym przez Ramseya. Kiedy przecinali szosę numer 1 i przemykali dalej wśród droższych domków położonych bliżej wybrzeża, woda w kałużach ze świstem wypryskiwała im spod opon. Na końcu drogi zaparkowali, wrzucili monety do liczników parkingowych i wyładowali bagaże: termosy, koce, ręczniki, chłodziarki ze styropianu, materace dmuchane i torby plażowe. Delia niosła naręczę ręczników i torbę z rafii, tak po brzeży wypchaną różnymi rzeczami zabranymi na wszelki wypadek, że paski wrzynały jej się głęboko w nagie ramię. Miała na sobie różowy kraciasty kostium kąpielowy ze spódniczką dziurkowaną na obrębie i granatowe

espadryle. Nie wzięła sukienki ani wdzianka, bo nie miało dla niej znaczenia, co powie Sam, a ona chciała przynajmniej odrobinę się opalić.

- Uważajcie, dziewczynki - powiedziała Linda do bliźniaczek, które dźwigały chłodziarkę po drewnianym chodniku. - Ciągniecie dnem po ziemi.

- To wina Therese. Na mnie zwała całą robotę!

- Wcale nie.

- Właśnie że tak.

- A nie mówiłam, byście wzięły coś lżejszego? - wtrąciła się Linda. - Przecież chciałam dać wam koce albo...

Wreszcie stanęli na szczycie małego piaszczystego wzniesienia i przed nimi roztoczył się widok oceanu, przypominając, po co tu w ogóle przyjechali. Delia jakby co roku o tym zapominała. O tej niezmiernie ciemnoszarej przestrzeni, tym żywym zapachu zgnilizny, podobnym do psiego oddechu, o tym nieskończonym przyplływającym i odpływającym szumie, który nigdy nie ucicha, nawet gdy ona sama znajduje się zupełnie gdzie indziej, trawiając czas na bagatelnych sprawach! Przystanęła, by wzrok jej mógł spocząć na cętkach żółtego światła, tańczących po wodzie. Nagle runęła na nią sterta dmuchanych materaców, które niósł Carroll.

- O rany, mamo!

- Przepraszam - powiedziała i ruszyła w dół po drewnianych schodach.

Był to sam początek sezonu, woda więc nie zdążyła się jeszcze nagrzać, lecz tak wczesny przyjazd niósł z sobą konkretne korzyści, bo na plaży jeszcze nie kłębił się tłum. Koc rozłożone były odpowiednio daleko od siebie. Na samym brzegu chlapało się w wodzie tylko kilkoro dzieci, a dalej, na głębinie, pływało niewiele głów, które Delia z łatwością mogła policzyć.

Razem z Elizą rozłożyły koc i usadowiły się na nim, a Sam tymczasem wbijał w piasek kij do parasola. Natomiast Susie i chłopcy założyli obóz co najmniej o trzy metry dalej. Od dobrych kilku lat trzymali się osobno, lecz to już nie raniło uczuć Delii, jakkolwiek zawsze dostrzegała ten fakt.

- Niech mi się żadna nie waży stąd ruszyć - powiedziała Linda do bliźniaczek. - Muszę was dokładnie wysmarować kremem z filtrem. - Przyciągnęła je kolejno do siebie i wysmarowała kościste ręce i nogi. Jak tylko skończyła, dziewczynki rzuciły się biegiem na koc młodzieży.

Susie nastawiła radio. Leciąca znajoma piosenka, którą Delia uważała za bardzo tęskną. Właściwie to z innych odbiorników, na innych kocach też wydobywały się te same dźwięki, tak więc Ocean Atlantycki zyskał bardzo melancholijny akompaniament.

- Ja tam idę pobiegać - oznajmił Sam, zwracając się do żony.

- Ojej, przecież jesteś na wakacjach!

- I co z tego?

Zsunął plażowe wdzianko i poprawił pasek zegarka. (Zegarek stał się jednym z jego nowych akcesoriów w czasie biegania, lecz Delia nie była pewna, jakie dokładnie miał zastosowanie). Ruszył ku brzegowi, skręcił i zaczął biec susami na północ - chuda postać w beżowych spodenkach i wielkich białych butach.

- Tutaj przynajmniej mają dobrze wyszkolonych ratowników - powiedziała Delia do sióstr, zwijając wdzianko Sama i wsuwając je do torby z rafii.

- Oj, nic mu nie będzie. Lekarze kazali mu biegać - stwierdziła Eliza.

- Ale bez przesady!

- Według mnie Sam zupełnie się nie zmienił - zauważyła Linda. - A to chyba o czymś świadczy. - Osłoniła oczy, by popatrzeć za nim. - Nigdy bym nie powiedziała, że miał zawał.

- To nie był zawał! Miał tylko bóle w klatce.

- Niech ci tam - rzuciła Linda.

Miała na sobie jednoczęściowy kostium z rulonikiem na szyi, umocowanym pośrodku. Przez to piersi po obu stronach rulonika zdawały się opadać niby para zmęczonych powiek. Eliza, która nie poniżyłaby się do kupienia nowej rzeczy potrzebnej jej tylko przez jeden tydzień w roku, ubrana była w dżinsowe szorty i czarny obcisły bezrękawnik zwinięty pod biustonoszem.



Delia zdjęła buty i wrzuciła do torby. Położyła się na plecach, jej skóra wchłaniała łagodne ciepło promieni słońca. Stopniowo dźwięki stawały się coraz cichsze, jak przywoływane na pamięć szmery - głosy plażowiczów, piskliwe i smutne krzyki mew, muzyka z radia (Paul McCartney śpiewał teraz *Uncle Albert*) i w tle niemal niesłyszalny szum oceanu, nieprzerwany i monotony jak w przyłożonej do ucha muszli.

Na tym wybrzeżu spędzili z Samem miesiąc miodowy. Zatrzymali się w miasteczku w zajeździe, który teraz już nie istniał. Co rano kładli się obok siebie na plaży i ledwie stykając się nagimi, pokrytymi meszkiem ramionami, osiągnęli taki stan, że musieli się zrywać i biec do swojego pokoju. Raz nawet tam było im za daleko, wskoczyli więc do morza i odpłynęli poza pas fal przybrzeżnych. Delia wciąż pamiętała swoje kontrastowe doznania - pod chłodną jedwabistą wodą Sam ocierał się o nią ciepłymi nogami, a kiedy się całowali, jego mokra twarz miała rybi zapach. Rok później byli już z dzieckiem (z malutką dwumiesięczną Susie, która grymasiła, grymasiła, grymasiła), a później przyjeżdżali też z chłopcami i rzadko kiedy mieli okazję rozciągnąć się razem na kocu, nie mówiąc już o wykradaniu się do pensjonatu. Zaczęła też przyjeżdżać Eliza i Linda, zanim wyszła za męża, i ojciec, który nie potrafił sam prowadzić sobie gospodarstwa. Delia spędzała całe dni po kostki w wodzie, opiekując się dziećmi, uważając, by się nie utopiły, i podziwiając każdą nową umiejętność, jaką nabyły. „Patrz, mamó”. „Nie, patrz na to”. Wtedy uważały, że jest bardzo ważną osobą w ich życiu.

Czyjeś stopy pocierały o piasek niby o aksamit. Delia otworzyła oczy i usiadła. Przez chwilę kręciło jej się trochę w głowie.

- Opaliłaś sobie twarz - powiedziała Eliza. - Lepiej się posmaruj.

Sama rozsądnie ulokowała się w cieniu parasola. Linda kąpała się przy brzegu, wyciągnawszy pulchne ramiona wysoko w górę i rytmicznie nimi wymachując niby skrzydłami, witała każdą kolejną falę. Bliźniaczki wróciły z drugiego koca i przy Delii bawiły się wiaderkami. Marie-Claire miała oblepione piaskiem oba kolana, a Therese dwa placki na płaskim siedzeniu opiętym kostiumem.



- Sam już wrócił? - Delia spytała Elizę.

- Idziesz się zanurzyć?

Delia nie raczyła odpowiedzieć. (Wszyscy w rodzinie wiedzieli doskonale, że mogła się na to odważyć tylko wówczas, gdy żar lał się z nieba, morze było jak lustro i przez cały dzień nikt nie widział ani jednego wodorostu). Teraz sięgnęła po torbę i spod espadryli, wdzianka Sama i książeczki czekowej wyciągnęła *Uwięzioną w zamku Clarion*. Spojrzawszy na okładkę, Eliza się przygarbiła.

- Chyba zostawię cię z tą twoją lekturą - powiedziała i wstała, otrzepując sobie szorty zdecydowanym gestem.

- Ciociu Elizo, możemy pójść z tobą? - zapiszczała Marie-Claire.

- Ciociu, poczekaj na nas!

Kiedy biegły za nią, rozbryzgując wodę, wyglądały z podskakującymi wysoko pupami jak dwa małe kraby.

Eleanora zaczynała rozumieć, że Kendall nie jest takim potworem, jak sobie wyobrażała. Do jej zamkniętej komnaty w wieży przynosił jej posiłki na tacy i dawał do zrozumienia, że wszystkie sam gotował. Udawała, że nie robi to na niej najmniejszego wrażenia, lecz kiedy wychodził, rozmyślała, że ktoś tak muskularny i męski musi niedorzecznie wyglądać, mieszając w garnkach przy kuchni.

- Cześć! - wykrzyknął Sam. Wrócił. Po żebrach spływały mu strużki potu, wyglądał na zmęczonego, sforsowanego i zadyszanego, jak zawsze kiedy wracał z biegów, co martwiło Delię.

- Sam, zabijesz się - powiedziała, odkładając książkę. - Usiądź tu i odpocznij.

- Nie, muszę powoli ochłonać - odparł. Zaczął chodzić dookoła koca, co pewien czas przystając i opierając ręce na kolanach. Krople potu kapały mu z czoła na piasek. - Co mamy do picia? - spytał.

- Lemoniadę, pepsi, mrożoną herbatę...

- Napiłbym się mrożonej herbaty.

Wstała, by napełnić mu papierowy kubek. Przynajmniej już tak ciężko nie oddychał. Opróżnił kubek jednym haustem i postawił na pokrywie chłodziarki.

- Spaliłaś sobie nos - zauważył.
- Chcę się trochę opalić.
- Dostaniesz czerniaka.
- Po lunchu nasmaruję się tym...

Ale on już zdążył wziąć do rąk należący do Lindy krem z filtrem.

- Poczekaj - powiedział, odkręcając tubę. Zaczął rozsmarowywać krem na jej twarzy. Pachniał zgniłymi brzoskwiniami, tandetnie, aż zmarszczyła nos. - Odwróć się, wysmaruję ci plecy.

Posłusznie się odwróciła. Stała twarzą w stronę lądu, za piaszczystym wałem płaszczyły się ciężkie dachy domków. Klucz ciemnych, drobnych jak punkciki ptaków przeciął w oddali niebieskie niebo; ten doskonały trójkąt wyglądał jak połączony niewidocznymi drucikami. Nagle ptaki zakręciły w samym słońcu, zbielewały, właściwie stały się niemal srebrne, niby welon z cekinów, i znów zakręciły, by ponownie zamienić się w zwyczajne czarne punkciki. Sam rozcierał krem na ramionach Delii. Krem był ciepły, lecz ochłodzony przez wiaterek, lekko szczypał.

- Delio? - odezwał się Sam.
- Ehm?
- Myślałem o tej starszej kobiecie, która przyszła do nas w sobotę wieczorem.

Zastygła pod dotykiem jego dłoni, ale czuła, że każdy jej nerw drży niby naprężony postronek.

- Wiem, że była... no, powiedzmy, dziwna - ciągnął. - Ale miała prawdziwe zdjęcie i chyba naprawdę była przekonana, że jesteś na nim ty z tym jak mu tam...

Odwróciła się, by mu zaprzeczyć, lecz nie zdążyła.

- No, z tym Adrianem Pętajcem.
- Z Bly-Brice'em.

Naumyślnie przekreślił nazwisko. Zawsze tak robił. O druhn timer na ich ślubie, Missy Pingle, mówił Prissy Szwindel. Cały on, deprecjonuje innych! Pogardza jej przyjaciółmi, i to z jaką ironią! Stało jej przed oczami całe jej małżeństwo: dawne urazy, upokorzenia i obrazy, które teoretycznie zostały zapomniane, lecz tylko czekały, by odżyć w chwilach takich jak ta.

- Nazywa się Adrian Bly-Brice - powtórzyła.
- Rozumiem - powiedział. Twarz miał bladą jak płótno.
- Ale ta kobieta wszystko pokręciła. To tylko zwykły znajomy.
- Rozumiem.

W milczeniu odłożył tubę kremu.

- Nie wierzysz mi.
- Skądże, nie powiedziałem tego.
- Ale sugerowałeś.
- Nie możesz mnie winić za coś, co według twego mniemania zrobiłem - oświadczył. - Oczywiście, że to tylko znajomy. Nie należysz do kobiet, które miewają romanse. Ale zastanawiam się, jak to wygląda z zewnątrz, Dee. Co o tym myślisz?

- Nie wiem - wycedziła. - I nie mam na imię Dee.
- W porządku - skapitulował. - Delia. A teraz postaraj się uspokoić.

Zrobił protekcyjnalny gest, jakby wygładzał dłońmi powietrze pomiędzy nimi, co zawsze doprowadzało ją do szału, i odszedł w stronę morza.

Każdą ich kłótnię zawsze przerywał i odchodził, zanim cokolwiek ustalili. Zawsze podjudzał ją, a potem z wyższością odchodził, by pokazać, że przynajmniej on potrafi się zachować jak dorosły. Dorosły? Raczej jak stary. Kto wszedłby do wody w butach, tak jak on? Kto by robił takie ceregiele przed zanurzeniem się, klepiąc się mokrymi dłońmi po klatce piersiowej i ramionach? I kto by patrzył na zegarek po wypłynięciu? Wydawało jej się, że odmierza czas falom, stosuje jakieś rygorystyczne i dziwne praktyki, które ją irytowały.

Chwyciła rafiową torbę z koca, obróciła się na gołej pięcie i ruszyła przez plażę.

Dopiero teraz zauważyła, że przybyło ludzi. Pomiędzy parasolami, leżakami i siatkowymi kojcami można było przejść, tylko starannie wybierając drogę, Delia więc po kilku metrach skręciła na sam brzeg, gdzie mokry ubity piach chłodził jej stopy.

RS

Ta część plaży należała do spacerowiczów. Szli przeważnie dwójkami - młode pary, stare pary, niemal wszyscy trzymali się za ręce, a przynajmniej dostosowywali do siebie krok. Od czasu do czasu pomiędzy te dwójki wpadały rozpędzone małe dzieci. Delia wyobrażała sobie widok całego Wschodniego Wybrzeża od Nowej Szkocji do Florydy - nieregularny pas beżowego piasku upstrzony drobnymi postaciami ludzkimi i przybrzeżne fale niebieskiego Atlantyku, z których tylko gdzieniegdzie wyruszały się malutkie główki. Sama też była jedną z tych ruchomych kropek, zmierzającą na południe. Postanowiła uparcie iść przed siebie, aż dotrze do końca kontynentu i runie z jego krawędzi. Po jakimś czasie Sam w końcu spytał: „Widzieliście Delię?” „Nie, skądże! Ciekawe, dokąd poszła” - odpowiedzą pozostali. A ona cały czas będzie w drodze, jak ktoś, kto biegnie pomiędzy kroplami deszczu. I nigdy, przenigdy nikt jej nie znajdzie.

Coś jednak już teraz powodowało, że zwolniła kroku. Wyrosło przed nią pierwsze z osiedli Sea Colony - brzydkie, obojętne jednobarwne wieżowce, które wyglądały jak siedziby z innej galaktyki. Mogłaby pójść dalej, lecz pomruk, jaki wydawały te budynki, niby budowle z *Gwiezdnych wojen*, zmroził ją do tego stopnia, że się zatrzymała. W jej dzieciństwie rozciągały się tu trawiaste mokradła i tylko gdzieniegdzie stały domy o zwyczajnych frontonach. W jej dzieciństwie, była tego niemal pewna, puszczała tu z ojcem latawce własnej roboty, dokładnie tam, gdzie teraz sterczały plastikowe pomarańczowe piramidy ocieniające modernistyczny taras. Przez chwilę czuła, jak pomocne palce ojca zaciskają się na jej paluszkach trzymających sznurek latawca. Przetarła ręką oczy, odwróciła się i zaczęła wracać.

Na krześle siedział niedbale ratownik, pilnując kąpiących się nieodgadnionym spojrzeniem ukrytym za ciemnymi okularami. Tłusty chłopak na materacu wylądował w pianie pod stopami Delii. Ominęła go i patrząc przed siebie, dostrzegła zielono-biały parasol swojej rodziny, a odrobinę dalej dzieci na kocu. Siedziały, a kawałek dalej stał Sam, wciąż błyszczący

po kąpeli. Z takiej odległości nie widać było, czy ktoś coś mówi, bo dzieci miały twarze zwrócone w stronę horyzontu, a Sam patrzył na zegarek.

Właśnie wtedy, zupełnie nagle Delia skręciła w stronę lądu. Pozostawiła za sobą ocean i szła, klucząc pomiędzy tunelami w piasku, fortecami i stertami zabawek. Kiedy przemaszerowała drewnianym chodnikiem prowadzącym do drogi, przystanąła, by otrzepać stopy i wygrzebać z torby espadryle. Pod nimi było wdzianko plażowe Sama - zwitek granatowej popeliny. Po chwili zastanowienia rozwinęła je, roztrzepała i włożyła na siebie. Ramiona miała już tak spieczone, że zdawały się promieniować żarem.

Mogłaby pojechać samochodem, gdyby pomyślała, by wziąć kluczyki Ramsey'a. Niespecjalnie jej się chciało iść pieszo do domu. Właściwie mogłaby wrócić po te kluczyki. Ale wtedy jeszcze ktoś mógłby chcieć się z nią zabrać, postanowiła więc iść pieszo.

Wydawało jej się, że ocean jest już bardzo daleko, że od dawna go nie widziała, stał się tylko jakby szeptem na tej słonecznej uliczce wśród cichych domów, pustych, prażących się samochodów i kostiumów kąpielowych wiszących w bezruchu na sznurkach. Przymaszerowała przez czyjeś podwórko - piaszczyste - i ominęła murek śmietnika, zza którego dolatywał z puszek smród krabów, a w górze unosiło się brzęczenie połyskliwych niebieskich much. Doszła do szosy numer 1. Panował na niej straszny ruch, samochody przemykały ze świstem, musiała odczekać kilka minut, zanim mogła przejść na drugą stronę.

Tam stukot jej kroków stał się najgłośniejszym z dźwięków - twarde słomiane podeszwy wybijały rytm. Być może dlatego, że myślała o ojcu, jej stopy wybijały rytm piosenki, którą często z nim w dzieciństwie śpiewała. Maszerowała dumnie przed zacienionymi gankami w rytm piosenki *Delia odchodzi* - padały pytania, gdzie się tak długo podziewała, ktoś się skarżył, że jej ukochany nie sypia po nocach, nasłuchując przy swoim łóżku kroków jej bosych stóp. Lubiła zwłaszcza ten ostatni wers, zawsze tak było. Ale czy ta Delia z piosenki nie zmarła? Owszem, na początku



piosenka mówiła o tym, że mała Delia nie żyje. Ona jednak wołała wierzyć, że ta kobieta po prostu odeszła. Tak było lepiej.

Czuła, że twarz jej się lepi, bolało opalone ramię od wrzynających się pasków torby. Przerzuciła torbę na drugie ramię. Do domu miała już blisko. Myślała o tym, że jak tylko przekroczy próg, wypije wysoką szklankę mrożonej herbaty, a potem weźmie chłodną kąpiel i odwiedzi kota. Najwyższy czas wywabić go spod łóżka, gdzie się zaszył w nocy. A właściwie powinna zrobić to na samym początku.

Uśmiechnęła się do kobiety, która wynosiła walizkę z sąsiedniego domu.

- Piękna pogoda na plażę! - zawołała kobieta. - Szkoda wyjeżdżać!

- Tak, cudowna! - odpowiedziała Delia. Ominęła furgonetkę zaparkowaną na podjeździe i weszła po schodkach.

W półmroku domu całkiem oślepla na chwilę. Popatrzyła w stronę schodów.

- Vernon?! - zawołała.

- Co? Zatkaną ją.

- O co chodzi? - spytał męski głos.

Ktoś ciężko zbiegał po schodach. Okazało się, że był to pyzaty młody człowiek z tabliczką na notatki, ubrany w dzinsy i czerwoną kraciastą koszulę. Jego okrągła jak księżyc twarz, pulchne różowe policzki i perkaty nos odrobinę ją uspokoiły, lecz pomimo to z trudem odzyskała oddech.

- Kim pan...?

- Jestem Vernon. Przecież pani mnie wołała. Przyszedłem w sprawie dachu.

- Och! - jęknęła. Niepewnie się roześmiała, przyciskając torbę do piersi.

- Ja wołałam kota.

- Przykro mi, nie widziałem kota. Przepraszam, że panią przestraszyłem.

- Wcale mnie pan nie przestraszył!

Zerknął na nią z powątpiewaniem. Jedwabista skóra pod oczami błyszczała od potu, co sprawiało, że wyglądał jak przejęty chłopiec.

- No to... więc - zaczął. - Chyba będę musiał naprawić dach wokół komina. Ale nie dzisiaj, przyjdę kiedy indziej. Więc jak ci od pośrednika będą dzwonić, to proszę powiedzieć, że się skontaktuję, dobrze?

- Dobrze - odparła.

Pomachał przyjaźnie tabliczką, minął Delię i wyszedł. Na schodkach odwrócił się.

- Jak się pani podoba mój wóz? - spytał.

- Jaki wóz?

- Prawda, że niezły?

Rzeczywiście samochód był imponujący. Zdziwiła się, że wchodząc, mogła go nie zauważyć. Duży jak przyczepa mieszkalna, polakierowany na metaliczny brąz, z namalowanym po jednej stronie krajobrazem pustyni, zajmował cały podjazd.

- Mam mikrofalówkę - mówił Vernon - i rozkoszną lodóweczkę...

- To może pan w nim mieszkać?

- Pewnie, po to jest.

- Myślałam, że w furgonetkach są tylko rzędy siedzeń.

- Nigdy nie była pani w środku takiego wozu? Rany, to niech pani wejdzie, wszystko pani pokażę.

- Ojej, ale nie wiem, czy...

- Proszę wejść. Oko pani zbieleje.

- Dobrze, zajrzę - powiedziała i weszła za nim, wciąż ściskając torbę.

Okazało się, że krajobraz pustyni namalowany jest częściowo na przesuwanych drzwiach. Vernon otworzył je i przepuścił Delię. Wsunęła głowę do środka. Na ścianach obitych do połowy wysokości złotą wykładziną wisały szafki, a w głębi było łóżko zabudowane od dołu szafkami. Przed przednią szybą stały dwa fotele o wysokich oparciach z zagłówkami - jedyne elementy, które świadczyły o tym, że to jest samochód.

- Ojej! - wydała okrzyk.

- Proszę wejść i zobaczyć moje centrum rozrywki.

- Ma pan tu centrum rozrywki?

- Mam krainę sztuki - odparł. I wszedł do samochodu, który pod jego ciężarem odrobinę się zachybotał. Podał jej rękę wielką jak rękawica do baseballu. Skorzystała z pomocy i wdrapała się po stopniach. W środku unosił się oleisty, podniecający zapach nowego dywanu, który skojarzył jej się z lotniskiem i podróżą.

- Ta ta! - wykrzyknął, otwierając szafkę. - Proszę: pod telewizorem jest wideo, widzi pani? To jedna całość. Wieczorem po prostu wysuwam to i w łóżku oglądam sobie najnowsze przeboje filmowe.

- To pan tu mieszka?

- Tak jakby - odparł. - To znaczy mniej więcej. To jest teraz tak. - Stojąc z pochyloną głową, zerknął spod oka na Delię. - Powiem pani prawdę, to furgonetka mojego brata.

Najwyraźniej jego zdaniem taka informacja mogła ją bardzo rozczarować. Patrzył na nią zaniepokojony i czekał, niemal wstrzymując oddech, co ona powie.

- Och, naprawdę? ,

- Chyba tak się zachowywałem, jakby to był mój wóz - tłumaczył się. - Ale, widzi pani, mój brat wyjechał na ryby, to znaczy on z żoną. Zostawił samochód przy domu mojej mamy w Nanticoke Landing. Prosił, by się nim opiekowała i nikomu nie pozwoliła jeździć. To znaczy mnie. Wraca dopiero dziś po południu, wczoraj więc pomyślałem sobie: „Jak rany, od tygodnia stoi u mamy ten świetnie urządzone wóz, a ja nawet nie wypróbowałem mikrofalówki”. Więc wczoraj w nocy tu spałem, a rano zacząłem go wypróbowywać. Mama mówi, że nawet nie chce o niczym słyszeć. Powiedziała, żebym ją w to nie wciągał. Ale co on może mi zrobić, nie? Co on może mi zrobić? Zaciągnie mnie do sądu?

- Może wcale się nie dowie? - wyraziła przypuszczenie Delia.

- Nie, na pewno się zorientuje. On jest taki, że na pewno zapisał sobie stan silnika - odrzekł ponurym tonem.

- Zawsze może pan powiedzieć, że trzeba było naładować akumulator.

- No tak.

- A on tu mieszka? To znaczy w tym samochodzie?

- Nie.

- Ja bym mieszkała - powiedziała Delia i pochyliła się, by podnieść siedzenie obitej tapicerką ławy. Zgodnie z jej przypuszczeniem pod spodem był schowek. Zauważyła jakieś wełniane rzeczy, koce czy kurtki. - Mieszkałabym tu okrągły rok - stwierdziła. - Naprawdę. Po co komu duży stary dom z tymi wszystkimi wolnymi pokojami?

- Taa, ale mój brat ma troje dzieci - zauważył Vernon.

- Widział pan te ekspresy do kawy, które chowa się w szafce? - spytała.

- Co?

Oglądała teraz część kuchenną, która była jakby miniaturowym modelem - zlew miał rozmiary miski na sałatę, obok zainstalowano dwupalnikową kuchenkę. Na jednej płytce stał metalowy dzbanek.

- Robią teraz takie ekspresy - wyjaśniała - które na stałe wmontowuje się pod blatem. Żeby nie tracić miejsca.

- To rzeczywiście coś.

- Właściwie to teraz jest pełno rzeczy do montowania pod blatem. Tostery, otwieracze do puszek... elektryczny otwieracz montuje się pod...

- Moim zdaniem brat używa po prostu takiego ręcznego - przerwał jej Vernon.

- Gdyby to był mój wóz, wszystko miałabym pod blatem.

- Ale takie ręczne otwieracze też nie zajmują miejsca, jeśli już o tym mowa.

- Ale nic się nie płące pod ręką - upierała się. - Nic nie przeszkadza, więc w jednej chwili można wskoczyć za kierownicę i jechać. Podróżować z domem na grzbiecie, jak ślimak. Można się zatrzymać, kiedy człowiek się zmęczy. Stawać na dowolnym kempingu, jaki się tylko podoba.

- Nie, z kempingami jest tak, że trzeba rezerwować miejsce - zaproponował.

- A następnego dnia powiedzieć sobie: „No dobra, to na tyle. Jadę dalej”.

- I opłaty są raczej powalające. To znaczy na dość przyzwoitym kempingu - mówił swoje. - O rany, to ta godzina?

Patrzył na zegar nad zlewem. Delia z zadowoleniem stwierdziła, że przynajmniej zegar jest przymocowany do ściany. Jej zdaniem wszędzie było za dużo leżących luzem rzeczy - nie tylko dzbanek, ale też byle jak złożone gazety, taśmy wideo powyciągane z pudełek i porozrzucane ubrania.

- Nie potrafię zrozumieć, jak pan może jeździć z tymi wszystkimi przewalającymi się rzeczami. Przecież muszą fruwać przy każdym ostrzejszym hamowaniu.

- Nie zauważyłem - powiedział. - Ale niech pani pamięta, że to nie mój wóz. No właśnie, brat wraca za jakieś dwie godziny, więc będę musiał już jechać.

- Chętnie bym z panem pojechała - stwierdziła.

- Taa. No tak. Miło mi się z panią rozmawiało...

- A może mogłabym z panem przejechać choć kawałek?

- Kiedy? Teraz?

- Żeby tylko zobaczyć, jak się trzyma drogi.

- Hm, całkiem dobrze się trzyma drogi - powiedział. - Ale, wie pani, ja jadę w głąb lądu. Nie wzdłuż morza. Jadę ze czterdzieści pięć za Ashford, mijam Ashford i dalej...

- To pojedę tylko do Ashford - przerwała mu. Wiedziała, że go zderwowała. Stał i patrzył na nią ze ściągniętymi brwiami i uchylonymi ustami, w jednej ręce trzymając tabliczkę do notatek. Nie szkodzi - za chwilę da mu odsapnąć. Roześmieje się na znak, że powrócił jej rozsądek, i powie, że po zastanowieniu nie może jechać do Ashford. Przecież ma rodzinę, która pewnie już się o nią martwi.

Ale jednak tuż obok stoi furgonetka, piękny, świetnie wyposażony wóz, całkowicie samowystarczalny, wóz, którym można już zawsze podróżować, bez angażowania się w cokolwiek. Może by zaproponowała, że go kupi? Ile on może kosztować? A może mogłaby go ukraść - odepchnąć Verno-na od drzwi, wystartować z piskiem opon i kierując się na zachód, mknąć małymi bocznymi drogami, na których nikt jej nie wytropi. Ale...

- No tak - powiedziała z żalem w głosie - przecież mam rodzinę.

- Rodzinę w Ashford? W takim razie proszę - powiedział Vernon.

Dopiero po chwili zrozumiała, co miał na myśli. Wyglądziły mu się zmarszczki pomiędzy brwiami, pochylił się tuż obok niej, by zasunąć drzwi. Rzucił tabliczkę na siedzenie.

- Jeżeli będzie pani miała czym wrócić...

Delia w milczeniu weszła do szoferki. Usadowiła się na przednim siedzeniu i postawiła torbę na kolanach. Tuż obok Vernon wskoczył za kierownicę. Kiedy włączył silnik, wóz ruszył z tak nagłym rykiem, że Delia pomyślała, iż musiał się nieźle zniecierpliwic.

- Słyszysz pani? - spytał.

Skinęła głową. Szczękała zębami, mając nadzieję, że to od wibracji silnika.

Jadąc szosą numer 1 w stronę granicy stanu Maryland, mijając olbrzymie sklepy z meblami i sprzętem plażowym, nowiusieńkie „wiktoriańskie” osiedla, byle jakie kafejki i wielorodzinne budynki Fenwick Island, Delia wciąż sobie powtarzała, że przecież da radę sama wrócić. Najwyżej czeka ją długi marsz (który z każdą chwilą się wydłużał). A kiedy wjechali do Ocean City - luz-blues, krzykliwy bon ton -uprzytomniła sobie, że chodzą tam autobusy. Mogłaby dojechać jednym z nich na sam północny skraj miasta, a potem wrócić pieszo. Uspokoila się więc i prawie rozluźniła. Vernon garbił się za kierownicą. Należał do tych kierowców, którzy rozmawiają z ruchem ulicznym czy drogowym.

- Przecież, kochasiu, wcale na ciebie nie napieram -powiedział, kiedy samochód przed nim pomknął, a on sam musiał zatrabic na czterech nastolatków, którzy przechodzili przez jezdnię z deskami do surfingu. - Optymiści, jak rany -rzucił w ich stronę.

Delia spojrzała za nimi. Najwyższy chłopak miał na sobie płócienne szorty w paski, identyczne jak Carroll - takie obszerne, według najnowszej mody, sięgające aż do połowy kolan.



Kiedy rodzina przekona się, że ona zniknęła, będzie zdumiona. Wprawiona w zakłopotanie. Jeżeli nieobecność Delii potrwa dłużej, rodzina zacznie się zastanawiać, czy nie przydarzył jej się wypadek. „A może po prostu celowo odeszła? - Sam w końcu powie do dzieci. - Czy może ktoś z was coś powiedziało mamie? A może ja coś powiedziałem? Pomyliłem się, twierdząc, że nie jest typem kobiety, która miewa romanse?”

Poczuła, że wzbiera jej w piersi beztroska radość. Nagle zrobiło jej się lekko na duchu.

A właściwie może do nich zadzwonić, zanim naprawdę zaczną się poważnie martwić. Przed zapadnięciem nocy znajdzie budkę telefoniczną. „To ja - oznajmi. - Zrobiłam sobie wypad. Czy ktoś może po mnie przyjechać?” Nie stało się nic złego.

Kiedy więc Vernon skręcił w drogę numer 50, prowadzącą w głąb łądu (mówił teraz coś o jakimś dyferencjale), nie powiedziała nic, by go powstrzymać. Metalowy dzbanek do kawy pobrzękiwał o płytę kuchenki, wóz turkotał teraz po moście, którego nigdy w życiu nie widziała, a potem wjechali w krajobraz wybielony, blady, zupełnie jej obcy. Patrzyła przez szybę. Mijali żółknące papierowe domki stojące pośrodku trawników, które wyglądały jakby ręcznie strzyżone, źdźbło po źdźble. Mknęli pośród lasów liściastych.

- Rąbnął się w jednym, w tym, że nie załatwił sobie telefonu komórkowego - odezwał się Vernon, mówiąc oczywiście o swoim bracie.

Lecz w tej samej chwili Delia wyobrażała sobie, że usta Sama układają się w linijkę, jak zawsze kiedy był zły. I że mówi do dzieci: „Cóż, nie ma jej, możemy więc wszystko załatwić za jednym zamachem”.

- A poza tym nie ma tu stereo - dodał Vernon. - Taki już jest mój brat. Nie słucha gość muzyki. Według mnie to takiemu facetowi musi czegoś brakować, jeżeli nie słucha muzyki.

Może wmiesza się Eleanora (i będzie wszystkich pouczała). O tak, ona chętnie przejęłaby przywództwo - zaplanowałaby posiłki z rocznym wyprzedzeniem i ustaliła budżet według swoich zasad Żelaznej Mamy.

- Pewnie pani uważa, że to okropne - znów odezwał się Vernon. - To, że obgaduję własnego brata.

- Nie, skądże...

Teraz gdzieś widać było mizerne stare i dostojne domy farmerów, stojące na końcu długich dróg dojazdowych. Dookoła nich rosły uprawy, a na dachach sterczały piorunochrony. Jakże wspaniale byłoby mieszkać w takim domu, jakże zdrowo! Delia widziała się już, jak karmi kurczęta, sięgając po żyto, pszenicę czy coś takiego do wielkiego wiejskiego fartucha. Ale najpierw musiałyby wyjść za farmera. Chyba zawsze trzeba zacząć od znalezienia mężczyzny, dzięki któremu coś się kręci.

- Będę jednak szczery - ciągnął Vernon. - Nigdy nie byliśmy sobie bliscy, jak to się mówi. Jest ode mnie o trzy lata starszy i nigdy nie da mi o tym zapomnieć. Ciągłe gada, że jest głową rodziny, a faktycznie to mijają miesiące, a on nawet niczym się nie zainteresuje. To ja biorę mamę na zakupy, to ja ją wożę na bingo, kolacyjki i tak dalej.

Dlaczego wszyscy twierdzą, że mężczyźni są mało komunikatywni? Delia miała zupełnie inne doświadczenia -zawsze gadali jak najęci, zwłaszcza fachowcy. Sam też nie był wyjątkiem. Świetnie potrafił powiedzieć, o co mu chodzi.

Przejeżdżali koło terenu z przyczepami mieszkalnymi. Widziała, że każda przyczepa jest jakby przykotwiczona markizą i schodkami z supo-

reksu. Niektóre miały dobudówki z siatki. Na małych podwóreczkach pełno było zwierząt z gipsu, całe menażerie.

- A na przykład, jak on wyjeżdża na ryby. Wie pani, kto opiekuje się jego dziećmi? Ja i mama. Oczywiście, że głównie mama. Ale jak wracam do domu wieczorem, to ona jest tak zmęczona, że resztę zostawia mnie. A myśli pani, że Vincent chociaż mi podziękuje? Nigdy w życiu! A jak się pokapuje, że jeździłem jego wozem, to już po mnie.

Delia miała w torbie pięćset dolarów wakacyjnych pieniędzy, z których część wsunęła w książeczkę czekową, a część - dla niepoznaki - do plastikowej kosmetyczki. Mogła więc spędzić noc poza domem, jeśli rzeczywiście chciała ich nastraszyć - wynająć pokój w motelu czy nawet jakimś stylowym zajeździe. Miała na sobie jednak tylko kostium kąpielowy. Och Boże, kostium z chrzęszczącą spódniczką, espadryle i wdzianko Sama. Ale gdyby mocno się w to wdzianko zawinęła... Na dobrą sprawę niespecjalnie się różniło od sukienki. Miało rękawy trzy czwarte, obrębek zakrywał jej kolana. A poza tym hotele w tej okolicy muszą być przyzwyczajone do turystów w kusych strojach.

Zbliżali się do rogatek miasta. Vernon zwolnił na światłach. Mówił teraz o swojej szwagierce Eunice.

- Naprawdę jest mi jej szkoda - powiedział. - Być żoną Vincenta to dopiero los!

- Co to za miejscowość? - spytała.

- To? Salisbury.

Światło się zmieniło i ruszyli. Delia zastanawiała się, czy nie wysiąść tutaj. Może na następnym czerwonym świetle. Lecz ciągle trafiali na zielone, a poza tym wjechali w dzielnicę mieszkaniową typową dla klasy średniej, stateczną. A potem pokazały się wielkie centra i byle jak rozrzucone biura handlowe, nic więc nie wydawało jej się specjalnie zachęcające.

- Jestem przekonany, że ją bije - ciągnął Vemon. -A przynajmniej jakoś tam używa siły. Tak czy siak, wiem, że często się kłóca, bo kiedy są u nas, to przeważnie ona nie patrzy mu w oczy.

Znów jechali przez otwarte tereny, Delia aż się przestraszyła, że straciła ostatnią szansę. Okolica była taka pusta, płaska jak tektura i wyludniona. Uchwyciła się klamki i siedziała, patrząc na nagą piaszczystą przestrzeń, na której leżały bezlitośnie powyrywane drzewa, każde inaczej, a ich korzenie i gałęzie wyciągały się ku niebu. Niespodzianie Vernon przyhamował i skręcił ostro w lewo, w wąską drogę.

- Trzysta osiemdziesiąta - poinformował ją. Chyba nie słyszał, że metalowy dzbanek kołacze się z tyłu. - Ale ta wycieczka na ryby, na którą pojechali, to taki ich drugi miodowy miesiąc.

- Miodowy miesiąc! - zdziwiła się Delia.

Patrzyła na pastwisko zarzucone zardzewiałymi samochodami. Za następnym zakrętem widać było walącą się stodołę, na wpół zwróconą ziemi - kalenica wygięta w łuk, powyginane szare deski, osuwające się w chwasty wysokie do pasa. Delia zdała sobie sprawę, że z każdą minutą oddala się od cywilizacji.

- No, a jak Eunice powiedziała o tym mamie? - ciągnął Vernon. - Powiedziała, że jadą sami na łódkę, tylko we dwójkę.

Pomyślała, że pływanie łódką tylko we dwoje wystawiłoby na próbę nawet najlepsze małżeństwo, ale powiedziała tylko:

- Życzę im szczęścia.

- To samo powiedziałem do mamy. - Ominął stary traktor, którego kierowca miał na sobie coś, co wyglądało jak prochowiec. - Powiedziałem do mamy... to znaczy tak powiedziałem: „Dużo szczęścia przy mężu takim jak szanowny Vincent Dweeb”.

- Powinna od niego odejść - wyraziła opinię Delia, zapominając, że to nie jest jej interes. - Zwłaszcza jeżeli ją bije.

- O, co do tego jestem pewien. Oczywiście, że ją bije.

Czy tam w oddali to budynek z cegły? Tak, lasek ciemnych drzew, pod którymi zrobiło się chłodniej, i Delia nie musiała tak wyęźać wzroku, a dalej iskrząca się biała wieża. Była pewna, że muszą tu być pokoje gościnne. Zabrała torbę i wygładziła wdzianko na kolanach.

- Raz Eunice wpadła do nas ze śliwą pod okiem -ciągnął Vernon. - A kiedy mama spytała, co jej się stało, Eunice odparła: „Wpadłam na ścianę”. Ja na jej miejscu już bym wykombinował coś innego.

- Powinna od niego odejść - powtórzyła Delia, ale myślała o miejscowości przed nimi. Jechali teraz przez przedmieścia - widać było białe domy, tanią restaurację, przy warsztacie samochodowym stała rozgadana grupka mężczyzn. - Nie ma sensu ratować małżeństwa, w którym doszło do rękoczynów - dodała.

Dojechali do budynku z cegły. Okazało się, że to szkoła. SZKOŁA ŚREDNIA DOROTHY G. UNDERWOOD. Ulica prowadząca dalej kończyła się najwyraźniej w parku, bo Delia dostrzegła w oddali zieleń i jakiś pomnik. Zbliżali się do kościoła, którego wieżę było widać przedtem.

- Nie wiem, może ma pani rację - odrzekł Vernon. - Ja też któregoś dnia mówiłem do mamy... powiedziałem, że...

- Chyba tu wysiądę - odezwała się Delia.

- Co? - Zwolnił.

- Chyba tu wysiądę.

Zatrzymał wóz i spojrzał na kościół. Pod tablicą ogłoszeniową dwie kobiety w słomkowych kapeluszach pełły grządkę geranium.

- Myślałem, że jedzie pani do Ashford. A to nie jest Ashford.

- To nic - skwitowała, zakładając paski torby na ramię. Otworzyła drzwi od swojej strony. - Dzięki za podwiezienie.

- Mam nadzieję, że niczym pani nie zdenerwowałem.

- Nie, skądże, naprawdę! Ja tylko pomyślałam...

- Chodzi o Eunice?

- Jak to o Eunice?

- No, to, co mówiłem, że Vincent ją bije i tak dalej? Już więcej nie będę o tym opowiadał, jeśli to panią denerwuje.

- Nie, skądże, naprawdę miło mi się rozmawiało - zaprzeczyła i zeskończyła na ziemię.

Zamykając drzwi, posłała mu promienny uśmiech. Ruszyła szybko w stronę, z której przyjechali. A kiedy doszła do ulicy, gdzie widziała po-

mnik, skrzyła w nią, nawet nie zwalniając kroku, jakby szła w określone miejsce.

Słyszała za sobą, jak jej towarzysz zmienia w wozie biegi i z rykiem odjeżdża. Zapadła głęboka cisza, zupełnie jak wtedy, gdy ktoś powie coś bulwersującego. To miasteczko wyglądało na tak zdumione jak sama Delia tym, dokąd przyjechała i co zrobiła.

RS



## Rozdział 6

Jakimi drzewami wysadzona była ta ulica? Doszła do wniosku, że chyba muszą to być buki, tworzyły bowiem korytarz o wysokim sklepieniu. Nigdy jednak dobrze się nie znała na drzewach.

Natomiast zidentyfikowanie miasta okazało się łatwe. Najpierw, mijając spory stary budynek, przeczytała napis w jednej z witryn: „Mike Potts - Najlepsza Agencja Ubezpieczeniowa w Bay Borough”, a zaraz potem na innym budynku zobaczyła tablicę „Bank Federalny w Bay Borough”. Kiedy zaś doszła do pierwszego skrzyżowania, przeczytała nazwę ulicy „Bay Street”. Ale czy słowo „bay” odnosiło się do Bay Chesapeake? Czy znajdowała się właśnie nad tą zatoką? Wydawało jej się, że nie zajechali aż tak daleko na zachód. A poza tym nic nie wskazywało, że miasto położone jest nad samym morzem. Pachniało w nim jedynie asfaltem.

Odpowiedź znalazła na placu. Tam, pod pomnikiem stojącym na mizernym trawniku, na którym rzadkie źdźbła trawy walczyły o byt z ziemiem babki, zobaczyła na postumencie napis:

W tym miejscu w sierpniu 1863 roku George Pendle Bay, żołnierz Unii, wraz ze swoim oddziałem rozłożył się obozem na noc 110 i przyśnił mu się potężny anioł, który oznajmił: „Siedzisz na fotelu cyrulika, fotelu nieskończoności”. Zrozumiał to jako wskazówkę, aby się wycofać z walki, zostać tu i założyć miasto.

Delia zamrugła i cofnęła się o krok. Pan Bay, mężczyzna o okrągłej twarzy, w obszernym garniturze, rzeczywiście siedział, ale w zwykłym fotelu, wcale nie fryzjerskim, jak jej się nieździe wydawało, w fotelu ozdobionym pofalowanymi frędzlami z brązu. Tak mocno trzymał się dłońmi poręczy, że rozpląszczały mu się opuszki palców. Najwyraźniej należał do tych, co obgryzają paznokcie. Wydało się to Delii komiczne. Prychnęła kilka razy ze śmiechu i aż się sama obejrzała, czy ktoś tego nie słyszy. Lecz plac był pusty, cztery zielone ławki stały nie zajęte. Po ob-

wodzie placu przejeżdżały samochody, raptem po kilka co pewien czas, a z niskiego ceglanego budynku i innych szalowanych drewnem wychodzili ludzie, inni zaś wchodzili do środka; tak czy owak, nikt nie zwracał na Delię uwagi.

A jednak nagle znów zaczęła myśleć o tym, jak jest ubrana. Nie tyle chodziło jej o wdzianko plażowe, ile o kostium, który miała pod spodem. Wydawał jej się pomarszczony, za luźny i obwisający. Dałaby wszystko, by mieć na sobie bieliznę. Przeszła więc przez mały plac i zaczęła się przyglądać rzędowni wystaw po przeciwnej stronie ulicy.

Niewątpliwie do miasta zawitała nowoczesność. W budynkach, które musiały mieć ze sto lat - z cegły tak wytartej jak stara gumka do ołówka lub szalowanych deskami pościeranymi do szarego drewna - mieściły się teraz „Sklep Wideo” „Dziki Brawo”, „Salon Fryzur Tricii” i „Pałac Potpourri”. Taki jak dawniej wydawał się jedynie sklep „Tysiąc i Jeden Drobiazgów” z czerwono-złotym zakrętasem w szyldzie i wystawą pełną ozdobnych flag.

Zawsze kupowała bieliznę tylko najwyższej jakości, choć inna pozwoliłaby jej zaoszczędzić trochę grosza. Teraz jednak była w wyjątkowej sytuacji, skierowała się więc do „Tysiąca i Jednego Drobiazgów”. Kiedy weszła, poczuła dookoła zapach karmelu, tanich kosmetyków i drewnianych podłóg. Oczywiście, nie zapanował tu jeszcze system kas przy wyjściu, tylko przy każdej ladzie stała kasa obsługiwana przez kobietę lub mężczyznę. Dziewczyna o jedwabistych włosach kasowała rachunek za książeczkę do kolorowania, starsza kasjerka pakowała folię do pieczenia kupioną przez młodą kobietę. Dziwne, że w dziale z bielizną obsługiwał mężczyzna. Delia więc szybko wybrała, co trzeba, i podała rzeczy, nawet na dobrą sprawę nie podnosząc wzroku. Zwykły biały bawełniany biustonosz i białe bawełniane figi. W opakowaniu znajdowały się trzy pary. W innych fasonach można było kupić pojedyncze sztuki, ale ona celowo wzięła opakowanie z trzema parami. „Na wypadek, gdybym dłużej została poza domem” - przemknęło jej przez myśl. A potem, kiedy odli-

czała pieniądze, pomyślała: „Przecież w domu też mogą mi się przydać. To bez znaczenia”.

Miała więc już bieliznę, lecz nie było gdzie w nią się przebrać, bo nigdzie nie widziała przymierzalni. Wyszła na ulicę, wciskając zakupy do torby, i zaczęła się rozglądać. Tuż obok zobaczyła „Butik z Sukniami”. Manekiny z lat czterdziestych, z namalowanymi włosami, prezentowały najnowszą modę - kostiumy biurowe o szerokich ramionach i lniane suknie futerały, wyglądające jak trójkąty odwrócone do góry nogami. Nie były w guście Delii, lecz miała nadzieję znaleźć tam przymierzalnię. Nabrala powietrza, by nadać sobie wygląd osoby zdecydowanej, chwyciła najbliższy wieszak z sukienką i ruszyła w stronę rzędu przymierzalni.

- Czym mogę służyć?! - zawołała za nią kobieta.
- Oj, dzięki, ja tylko... - mruknęła Delia i zniknęła za zasłoną.

Na szczęście bielizna pasowała. (Delia bardzo się starała nie szeleścić torbą). Odczuła wielką ulgę, że znów panuje nad sytuacją. Zwinęła kostium i włożyła do torby. Sięgnęła po wdzianko Sama, ale się zawahała. Nagle dotarło do niej, iż wyraźnie rzuca się w oczy, że to strój plażowy. Spojrzała na sukienkę na wieszaku - była z jakiejś szarej dzianiny. Od razu wydało się Dalii, że sukienka jest o wiele za długa, lecz mimo to zdjęła ją z ramiączka i wciągnęła przez głowę. Ogarnął ją kwaśny zapach nowej tkaniny. Wygładziła spódnicę, zasunęła z boku zamek i obróciła się, by spojrzeć na swoje odbicie.

Zakładała, że zobaczy w lustrze kogoś przypominającego dziecko bawiące się w przebieranki, ponieważ obręb ocierał jej się niemal o kostki. Lecz z zaskoczeniem stwierdziła, że widzi przed sobą ponurą i poważną kobietę przypominającą perłowoszarą smukłą kolumnę. Można by ją wziąć za bibliotekarkę czy sekretarkę lub jedną z tych zarządzających sekretarek, prowadzących zza kulis całe biuro. „Panie Smith, znajdzie to pan w teczce Jonesa - wyobraziła sobie, że mówi zdecydowanym tonem. - I proszę nie zapomnieć, że je pan dzisiaj lunch z burmistrzem. Będą panu potrzebne materiały o...”

- No, jak tam?! - zawołała do niej ekspedientka.

- Świetnie - odparła.

- Może przyniosę jeszcze coś do przymiarki?

- Nie - powiedziała Delia. - Jest idealna.

Wsadziła wdzianko Sama do torby i wyszła z przymierzami.

- Proszę tylko oderwać metki. Zostanę w niej.

Ekspedientka, zbytnio opalona blondynka w czarno-białej sukience o geometrycznym kroju, spojrzała na dół spódnicy Delii pełnym powątpiewania wzrokiem.

- Można u nas robić poprawki - oznajmiła. - Może chciałaby pani, żeby ją skrócić?

- Nie, dziękuję - odparła sztywno Delia, tonem sekretarki.

Ekspedientka przystosowała się niezauważalnie.

- Hm, bardzo pani w niej ładnie - powiedziała.

Delia podniosła lewe ramię, a ekspedientka sięgnęła po nożyczki i odcięła metki dyndające przy zamku błyskawicznym.

Siedemdziesiąt dziewięć dolarów dziewięćdziesiąt pięć centów - taka była cena bez podatku. Delia zapłaciła bez wahania i wyszła ze sklepu.

Siła rozpędu pchała ją jeszcze przez jakiś czas. Delia minęła „Tysiąc i Jeden Drobiazgow”, przeszła przez skrzyżowanie i znalazła się przed rzędem mniejszych zakładów -kserokopii, agencji podróży i kwiaciarni. Zauważyła, że ma teraz inny chód - już nie podskakuje, tylko idzie bardziej równym krokiem, na jaki pozwala jej wąska spódnica. O t o sekretarka, panna X, śpieszy się po lunchu do biura, gdzie musi przepisać na maszynie notatki dla zarządu.

Dla zabawy zaczęła się zastanawiać, w którym biurze mogłaby pracować. Podobnie jak przejeżdżając przez elegancką dzielnicę, bawiła się wybieraniem dla siebie domu. DENTYŚCI RODZINNI NICHOLS I TRIMBLE. Ale tu musiałyby czyścić zęby czy coś w tym rodzaju. OPTYK DOSKONAŁY. Czy jednak optyk potrzebuje sekretarki? KANCELARIA ADWOKACKA EZEKIELA POMFRETA. Prawdopodobnie zamknięta, na co wskazywała opuszczona roleta. Nigdzie nie widać było tabliczki POTRZEBNA POMOC. Nie miało to jednak znaczenia.

Na następnym skrzyżowaniu skręciła w lewo. Minęła sklep dla zwierząt i butik z antykami, rzekomy, bo wystawa pełna była tylko zastawy Fiesta i akwamarynowych plastikowych popielniczek w kształcie bumerangów. Dalej znajdowała się apteka. Dwa drewniane domy. Sklep spożywczy dla mamy i taty. Następny drewniany dom stojący tak blisko ulicy, że jego drewniany ganek wyglądał jak przedłużenie chodnika. Za brudną szybą stała tekturowa tabliczka POKÓJ DO WYNAJĘCIA, obramowana miękką gazową firanką.

Pokój do wynajęcia.

Oczywiście, musiał to być „pensjonat”. Słowo to przywołało w jej myślach obraz sekretarki, która ściele swoje białe staropanieńskie łóżko, podczas gdy pozostali mieszkańcy pensjonatu szurają w kapciach po holu, a ubrana na czarno gospodyni w podeszłym wieku nakrywa w jadalni stół do jutrzejszego śniadania. Przez parę chwil, kiedy Delia szła przez ganek i nacisnęła dzwonek, obraz ten tak głęboko w nią zapadł, że niemal nie czuła potrzeby przedstawienia się kobiecie, która ukazała się w drzwiach.

- Dzień dobry - powiedziała kobieta. - Czym mogę służyć?

Była inna niż wyobrażona gospodyni. Pulchna, około czterdziestki, ciężka i prostacka, z obfitą czupryną złotych loków niby ozdobnym tortem na głowie, miała na sobie jaskraworóżowy spodnium. Mimo wszystko jednak wyglądało na to, że jest gospodynią, Delia więc się odezwała:

- Ja w sprawie pokoju.

- Pokoju?

- Pokoju do wynajęcia - wyjaśniła Delia.

- No tak, pokoju. Hm, miałam nadzieję wynająć mężczyźnie.

Czy to teraz było w ogóle legalne? Delia nie miała pojęcia, co dalej powiedzieć.

- Aż do kwietnia zawsze miałam tu mężczyzn - oświadczyła kobieta, otwierając wybrzuszone drzwi siatkowe. - Zawsze to jakoś szło. Wie pani, wynajmuję tylko dwa pokoje, więc miałam dwóch mężczyzn: pana Lamba, który w dni powszednie podróżuje, i pana Larry'ego Wattsa, któ-



ry jest w separacji. Ale kiedy Larry wrócił w kwietniu do żony, wynajęłam ten pokój kobiecie. I bardzo tego żałowałam.

Odwróciła się i ruszyła po schodach w górę. Delia przytrzymała sobie drzwi i poszła za nią. Dom robił na niej wrażenie opuszczonego od wielu lat. Jaśniejsze owalne plamy na tapecie świadczyły o tym, że kiedyś wisiały tu obrazki, a na deskach podłogi w holu na górze widać było ślad po chodniku.

- Nazywała się Katie O'Connell - odezwała się kobieta. Wystarczyło jej wejść po tych schodach, a już była zadyszana.

Poklepała się po szerokiej różowej piersi. - Chyba była z Delaware. Przyjechała tu pracować u Zeke Pomfreta... właśnie wtedy zmarła jego droga stara panna Percy. Katie potrzebowała mieszkania, więc powiedziałam „dobrze”, zupełnie niczego nie przeczuwając, powiedziałam „dobrze”, myśląc, że to będzie tak samo, jakbym wynajęła mężczyźnie. Ale niestety, grubo się pomyliłam. „Gdzie jest to, a gdzie tamto, gdzie świeże ręczniki codziennie, gdzie mydełko...?” Niech pani pamięta, że to nie jest pensjonat ze śniadaniem. Mam nadzieję, że pani tak nie uważa.

- Oczywiście, że nie - odparła Delia.

- Tylko wynajmuję pokoje, rozumie pani? Kupiłam ten dom trzy lata temu. Do remontu, jak mówili. Kupiłam go po zdaniu egzaminu na pośrednika handlu nieruchomości. Myślałam, że go odremontuję i sprzedam, ale na rynku tak się porobiło, że nigdy nie uzbierałam na to pieniędzy. Więc mieszkam tu sama i wynajmuję dwa pokoje. Nie wydaję posiłków. Mam nadzieję, że nie zależy pani na posiłkach. Ta Katie była taka, że na przykład zapytała: „Pozwoli mi pani przechować to mleko w lodówce?”, a zanim się obejrzałam, ona już zaczęła u mnie gotować. No wie pani, ja sama nie gotuję! Zapewniam tu tylko podstawowe rzeczy.

To mówiąc, otworzyła drzwi na prawo od schodów. Delia weszła za nią do długiego i wąskiego pokoju, którego zewnętrzna ściana była pochylą jak na poddaszu, a na obu jej końcach znajdowały się okna. Pod jednym z nich stało żelazne łóżko, a przy ścianie wewnętrznej niska pomarańczowo--brązowa komoda. W pomieszczeniu unosił się zapach jak z



gniazda szerszeni - sucha, ostra woń stęchlizny, którą mogła wydawać podniszczona brązowa tapeta w malutkie różyczki.

- Katie miała tu firanki - powiedziała kobieta - ale zabrała je ze sobą. Wyprowadziła się w ubiegły czwartek, razem z Larrym Wattsem. Wszyscy podejrzewamy, że pojechali na Hawaje.

- tym Larrym Wattsem, który był w separacji? - spytała zdezorientowana Delia.

- Ojej, nie wiedziałam, że pani go zna. Tak, kiedy się nad tym wszystkim zastanawiałam, to przypomniałam sobie, że on wrócił po płaszcz od deszczu, płaszcz, który zostawił w szafie na dole. Chyba tak się poznali. Nic więcej nie wiadomo, prócz tego, że zupełnie zwariował, bo w ciągu dwóch lat dwa razy rzucał tę swoją żoneczkę. A Zeke Pomfret musi znów szukać nowej dziewczyny, już drugi raz w tak krótkim czasie po stracie biednej panny Percy.

Otworzyła na oścież drzwi płytkiej szafy z tyłu. Zabrzęczały trzy ramiączka.

- Łazienka jest tam, z wanną i prysznicem - poinformowała. - Tylko w weekendy nie będzie jej pani miała wyłącznie dla siebie, bo wtedy wraca pan Lamb ze swoich podróży służbowych. Ja mieszkam na dole. Czynsz czterdzieści dwa dolary na tydzień. Decyduje się pani?

Czterdzieści dwa dolary to mniej niż za jedną noc w większości hoteli. I w żadnym hotelu nie byłoby takich zadowolająco spartańskich warunków.

- To znaczy nie przeszkadza pani, że nie jestem mężczyzną? - spytała Delia.

Kobieta wzruszyła ramionami.

- Wie pani, nikt inny się nie pojawił - powiedziała. Delia podeszła do łóżka, które było zasłane białą pościelą

i białym kocem spranym na łyso. Kiedy nacisnęła jedną ręką materac, wydał dźwięk podobny do brzęku ramiączek.

- Decyduję się - oświadczyła.

- No to świetnie. A przy okazji, nazywam się Belle Flint.

- A ja Delia Grinstead - przedstawiła się i dopiero potem przyszło jej do głowy, że może powinna użyć fałszywego nazwiska. Absolutny brak zainteresowania ze strony Belle sprawił jednak, że poczuła się bezpieczna. Kobieta poprawiała sobie loki przed lustrem wiszącym nad komodą. - To znaczy... mam podpisać umowę?

- Jaką umowę?

- No... myślałam...

Chyba w sposób boleśnie przekonujący udowodniła tym pytaniem, że nigdy w życiu nie szukała jeszcze mieszkania.

- To znaczy... odnajmu czy coś w tym rodzaju? - jąkała.

- Chryste, nie, tylko niech pani płaci z góry, w każdą sobotę rano - powiedziała Belle, obnażając przednie zęby przed lustrem. - Policzmy... dziś jest poniedziałek... Za ten tydzień niech pani mi zapłaci trzydzieści dolarów. Na długo pani się tu zatrzyma?

- Zaraz, może... - wymamrotała Delia, specjalnie nie mówiąc nic dokładnie, i zaczęła grzebać w torbie.

Belle uniosła do góry brodę i oglądała wałek tłuszczu pod nią. Właściwie to cała jej twarz wyglądała jak poduszka z tłuszczu. Przypominała jeden z tych bujnych miękkich kwiatów - peonię lub dużego irysa o obwisłych płatkach.

- To proszę - odezwała się Delia - dziesięć, dwadzieścia...

Dopiero wtedy Belle odwróciła się od lustra. Jeżeli zdziwiła się, że Delia płaci gotówką, to wcale tego nie okazała. Zwinęła banknoty i wsunęła w kieszonkę na piersi.

- Chyba chce pani iść po swoje rzeczy - powiedziała - a ja położę pani klucz na komodzie, w razie gdyby mnie nie było, jak pani wróci. O czwartej trzydzieści pokazuję komuś dom. Mam nadzieję, że nie ma pani dużo tych rzeczy.

- Nie, ja...

- Bo w tym pokoju niespecjalnie jest gdzie chować rzeczy, a nie znoszę, jak pokój jest zagracony. Właśnie dlatego tak się stało z Larrym Wattsem i

Katie: jego płaszcz się nie zmieścił, więc powiesił go w szafie na dole i naturalnie zapomniał o tym, kiedy się wyprowadzał.

- Ja mam bardzo mało rzeczy - w końcu wtrąciła Delia. Nie wróci tu wcześniej niż, powiedzmy, o piątej, kiedy.

Belle na pewno nie będzie. W ten sposób gospodyni nie zobaczy, że ona nie ma żadnego bagażu. Teraz jest... Ukradkiem zerknęła na zegarek. Za piętnaście czwarta. Belle wychodziła z pokoju, stukając sandałami na korytarzach.

- Zasada jest taka, że parter należy do mnie - dorzuciła, przystając w holu. - Razem z kuchnią. Naprzeciwko jest całkiem dobra kawiarenka „Rick-Rack”. Przy East Street jest pralnia, a w piątki przychodzi sprzątać pani Auburn. Nigdy nie zamykamy drzwi frontowych, ale klucz do pani pokoju jest dobry i może go pani używać, jeżeli należy pani do nerwowych. Wszystko jasne?

- Tak, dzięki.

- I chyba nie będzie pani przyjmować gości? - Spojrzała na Delię taksująco. - To znaczy mężczyzn.

- Och, nie, skądże!

- Pani życie prywatne to pani sprawa, ale czterdzieści dwa dolary pokrywają tylko wynajem dla jednej osoby. Prześcieradła i ręczniki też dla jednej osoby.

- Nawet nie znam nikogo, kogo mogłabym zaprosić -zapewniła ją Delia.

- Nie jest pani stąd, prawda?

- Nie.

- Ja też. Nigdy nie słyszałam o Bay Borough. Dopiero kiedy przyjechałam tu z facetem - stwierdziła wesoło Belle. -Z facetem nie wyszło, ale zostałam tu.

Delia wiedziała, że powinna się zrewanżować jakąś informacją, lecz powiedziała tylko:

- Chyba trochę się umyję przed wyjściem po rzeczy.

- Proszę bardzo - rzuciła Belle, machając jej ręką. I po-klapała po schodach.

Delia grzecznie odczekała sekundę i weszła do łazienki. Nie robiła siusu od dziesiątej rano.

Tapeta w łazience - w morsy prychnające srebrnymi bańkami - odstawała od ściany na złączeniach, urządzenia były stare, z plamkami rdzy, lecz wszystko wyglądało czysto. Najpierw skorzystała z toalety, a potem poklepała się zimną wodą po twarzy i czekała, aż sama wyschnie. (Jedyny ręcznik należał chyba do poprzedniczki). Unikała patrzenia w lustro, wolała trzymać się takiego obrazu swojej twarzy, jaki widziała w przymierzalni. Zerknęła tylko na sukienkę, by się upewnić, że jest schludna, odpowiednia dla sekretarki. Tuż przed wyjściem ściągnęła obrączkę z palca i wrzuciła do torby.

Wróciła na chwilę do pokoju, ale nie weszła, tylko stanęła na progu, by przejąć go na własność - pławiła się jego surowością, miała go tylko dla siebie.

Klap-klap i znów znalazła się na ulicy. Patrzyła przed siebie, jakby wiedziała, dokąd idzie. Miasteczko rzeczywiście już zaczęło odkrywać przed nią znajome widoki - przed sklepem spożywczym „Kęs” stała spłowiała czerwona maszyna do napojów, minęła wystawę z poobijanymi naczyniami Fiesta w butik z antykami Boba, a potem stosy toreb z karmą dla psów z nadwagą w „Raju Zwierząt”. Na rogu skręciła w prawo, zielony placyk w oddali wydawał się taki znajomy i nawet lekko nudny, jakby Delia spędziła dzieciństwo u stóp ozdobionego frędzlami fotela pana Baya.

U Ezekiela Pomfreta roleta była nadal opuszczona, lecz kiedy Delia spróbowała otworzyć drzwi, ustąpiły. Zobaczyła przed sobą strome schody prowadzące na górę. Na mlecznej wzorzystej szybie drzwi z prawej widać było nazwisko Ezekiel Pomfret oraz napis TESTAMENTY I SPADKI - STANOWE PRAWO KARNE. Spróbowała otworzyć i te drzwi.

Udało się. Weszła do pokoju o ścianach pokrytych kasztanową boazerią. Na środku stało biurko recepcjonistki. Nikt za nim nie siedział, co Delia stwierdziła z zadowoleniem. Nigdzie nie było widać żywej duszy, lecz zza kolejnych drzwi ze zdobionymi drewnianymi panelami doleciał ją głos męczyzny. Głos umilkł, potem znów go było słycać, ponownie zapadała cisza, Delia więc się domyśliła, że ktoś rozmawia przez telefon.

Podeszła do biurka, na którym stały tylko telefon i maszyna do pisania. Podniosła róg szarego gumowego futerału nałożonego na maszynę. Ręczna, nawet nieelektryczna. (Martwiła się, że zobaczy komputer). Zakręciła na próbę obrotowym krzesłem, które stało za biurkiem.

„Dzień dobry - powie. - Przyszłam spytać, czy...”

Nie, nie „spytać”. „Spytać” brzmi zbyt niezobowiązująco.

Podniosła rękę, by poprawić sobie włosy, które były tak kruche jak suchy piach na plaży. (Och, plaża! Nie, nie może dopuszczać myśli o niej). Wygładziła spódnicę na biodrach i poprawiła torbę na ramieniu, aby nie było widać ozdobnej różowej kokardy, która wyglądała idiotycznie.

„Panie Pomfret, to chyba zrzędzenie losu, może palec boży, że dowiedziałam się o biednej panie Percy dokładnie w chwili, gdy...”

Głos za drzwiami stał się bardziej energiczny i głośny. Pewnie pan Pomfret kończy rozmowę.

„Zupełnie jakby coś nagle przerwało moje spadanie w dół. Czy to brzmi zrozumiale? Jak gdybym spadała i spadała przez cały dzień i nagle przypadkiem natrafiła na jakiś hak czy spadła na wystającą półkę. No i właśnie tu wylądowałam, więc chciałabym spytać, czy...”

Kłapnięcie odkładanej słuchawki, pisk kółek fotela, stukot ciężkich kroków, tłumiony dywanem. Drewniane drzwi się otworzyły i brzuchaty męczyzna w średnim wieku, w lekkim bawełnianym garniturze, spojrział na nią badawczo znad okularów.

- Tak mi się wydawało, że kogoś tu słyszę - powiedział.

- Panie Pomfret, nazywam się Delia Grinstead - wyrecytowała. - Przyszłam tu, by zostać pana sekretarką.

Piętnaście po czwartej weszła do „Tysiąca i Jednego Drobiazgów” i kupiła bawełniany szlafrok, biały, i dwie pary nylonowych rajstop. O czwartej dwadzieścia pięć szła, przez plac do sklepu z butami braci Bassett. Kupiła tam dużą czarną skórzaną torbę. Kosztowała pięćdziesiąt pięć dolarów. Kiedy zobaczyła cenę, zaczęła się zastanawiać, czy nie byłoby lepiej kupić plastikowej, lecz doszła do wniosku, że dla panny Grinstead nadaje się tylko torba z prawdziwej skóry.

RS



Panna Grinstead to była Delia, nowa Delia, ponieważ pan Pomfret, raz nazwawszy ją z cierpkim wyrazem twarzy „panią”, w dalszym ciągu rozmowy już trzymał się zwrotu „panna Grinstead”. Uznała za stosowne pójść na ten kompromis - zgodzić się na to, aby słowo oznaczające kobietę niezamężną poprzedzało jej nazwisko po mężu. Z pewnością pełne samozadowolenia, omotane fartuchem słowo „pani” nie było już w stosunku do niej odpowiednie, lecz równie trudno byłoby jej powtórnie się wcielić w rozchichotaną pannę Felson. Poza tym na karcie ubezpieczenia socjalnego miała wypisane nazwisko Grinstead. Wyciągnęła ją z portfela i odczytała numer panu Pomfretowi (przez ubiegłe lata zbyt rzadko z niej korzystała, by znać ten numer na pamięć). Powiedziała mu, że się przeprowadziła po śmierci matki. W powietrzu pomiędzy nimi zawisła cała jej historia - o zagraconym garnkami damskim gospodarstwie, o poświęceniu córki mniszki. Dodała, że przez całe dorosłe życie pracowała w gabinecie lekarskim.

- Dwadzieścia dwa lata - opowiadała Pomfretowi - więc kiedy wyjeżdżałam, było mi naprawdę smutno. Ale za nic nie mogłam pozostać w Baltimore. Zbyt wiele wspomnień.

Czuła się jakby zarażona sposobem wysławiania się panny Grinstead. Sama nigdy by nie użyła w swobodnej rozmowie wyrażenia „za nic”. A słowo „wspomnienia” sugerowało w tym kontekście wiele nie dopowiedzianych możliwości. Mówienie domyślnikami zupełnie nie było w jej stylu.

Gdyby poproszono ją o referencje, postanowiła powiedzieć, że jej pracodawca też niedawno zmarł. (Dziś stać ją było na szybkie uśmiercanie ludzi). Pan Pomfret jednak nie pytał o referencje. Interesował go jedynie zakres dotychczas wykonywanych przez nią obowiązków. Czy pisała na maszynie, czy prowadziła kartotekę, czy potrafi stenografować? Odpowiadała zgodnie z prawdą, lecz brzmiało to jak kłamstwa.

- Pisałam na maszynie wszystkie rachunki i korespondencję oraz karty pacjentów - powiedziała. Stała jej przed oczami zmęczona twarz Sama, jego pocerowany biały kitel i krawat w drobny wzorek, nazywany przez

niego krawatem w pantofelki. Siedziała wyprostowana na krześle. - Prowadziłam kartotekę i przyjmowałam telefony, prowadziłam też księgę przyjęć, ale, niestety, nie znam stenografii.

- Nie szkodzi - oświadczył pan Pomfret. - Panna Percy i panna Jak-Jej-Tam też nie znały. Zawsze marzyłem o sekretarce, która umiałaby stenografować, ale widać nie jest mi sądzona.

Kiedy spytał ją o adres, nastąpiła niezręczna cisza, lecz w końcu wystarczyło nazwisko Belle Flint.

- Ach tak, to przy George Street. - I dopisał to do swoich notatek. - Belle to świetna kompanka - dodał.

Oto plusy mieszkania w małym miasteczku - pomyślała Delia. A może minusy, zależy, jak się na to patrzy.

Powiedział, że pracę zacznie jutro. Będzie przychodzić na dziewiątą, kończyć o piątej. Przeprosił, że pensja będzie minimalna, i opuścił lekko wzrok, by delikatnie się przyjrzeć jej reakcji. Chciał też, żeby parzyła kawę, i miał nadzieję, że nie będzie to dla niej stanowiło problemu.

Oczywiście, że nie będzie to stanowiło problemu - szorstko odparła Delia i tym zakończyła z nim swoją rozmowę kwalifikacyjną. Pan Pomfret zrobił na niej wrażenie porządnego mężczyzny, łagodnego, lecz niespecjalnie interesującego. Ją to zadowalało. Nie bardzo jej się podobał, co też było dobre. To znaczy, zważywszy, że zamierzała pędzić bezosobowe nowe życie, do którego pan Pomfret idealnie pasował.

Na jej zegarku była za dwadzieścia piąta. Od śniadania nic nie miała w ustach. Dlatego też przed powrotem do domu wstąpiła do kafejki polecanej jej przez Belle. Okazało się, że mieści się trochę dalej, wcale nie dokładnie naprzeciwko, lecz kilka par drzwi dalej na zachód, przy sklepie żelaznym. Przez szybę jednak bez trudu widziała swój pensjonat. Zajęła więc miejsce, z którego miała najlepszy widok i mogła obserwować, czy Belle wraca do domu. Może powinna była kupić sobie walizkę, wtedy nie musiałaby się wprowadzać ukradkiem. Głupie jednak byłoby wydawanie pieniędzy dla utrzymania pozorów. I tak już pięćset dolarów stopniało do... jakiej to sumy? Szybko w myśli podliczyła wydatki i aż się skrzywi-

ła. Kiedy więc podeszła kelnerka, ograniczyła zamówienie do talerza zupy jarzynowej i szklanki mleka.

Kafejka „Rick-Rack” to był lokalik, w którym mogłaby się stołować w szkole średniej - właściwie tani bar z podłogą wyłożoną linoleum i ścianami pokrytymi kafelkami, z ośmioma większymi stołami przedzielonymi ściankami i rzędem wysokich stołków przy wysokim, pokrytym laminatem blacie. Obsługiwała tylko jedna rudowłosa kelnerka, posiłki przygotowywał młody człowiek o skórze tak czarnej, że aż wpadającej w granat, i całkiem ogolonej głowie. Przyrządzał grzanekę z serem dla jednego poza Delią klienta, chłopaka mniej więcej w wieku Ramsey’a. Od zapachu dolatującego z grilla zaczęło Delię skrecać z głodu, mimo że jadła podaną jej zupę. Tłumaczyła sobie jednak, że zupa kupiona za te same pieniądze zawiera więcej witamin. Zrezygnowała też z deseru, na który planowała zjeść ciastko domowej roboty. Kucharz wytarł ręce w fartuch i podliczył należność od niej, nie mówiąc ani słowa. Postanowiła, że następnym razem przyniesie tu sobie coś do czytania. Czuła się dziwnie, przeżuwając słoną papkę, tępo wpatrzona w okno.

W domu nie było ani śladu Belle. Delia nacisnęła klamkę i otworzyła drzwi frontowe, Ogarnęła ją martwa cisza. Wchodząc po schodach, myślała: „Oto szefowa sekretariatu wraca z samotnego posiłku do samotnego pokoju”. Ale to nie była skarga. Przeciwnie, chępiła się tym, triumfowała.

Kiedy otworzyła drzwi swojego pokoju, zapach jakby z gniazda szerszeni wydawał się jeszcze mocniejszy, może wzmógł go popołudniowy upał, który aż bił od pochyłej ściany poddasza. Postawiła rzeczy na komodzie i poszła podsunąć wysoko szyby w obu oknach. Z tylnego okna widać było malutkie podwórko i zaułek. Przez przednie - dach nad ganikiem i budynki po przeciwnej stronie ulicy. Delia oparła czoło o siatkę i wypatrzyła kafejkę (z szyldem B.J. „Rick” Rackley, właśc), sklep z artykułami żelaznymi i brązowy szalowany dom, w którego jednym oknie widać było sztachetki kołyski lub kojca. Jedyne dźwięki, jakie ją dochodziły, były kojące - od czasu do czasu szum samochodu i kroki na chodniku.

Na komodzie Belle zostawiła jej staroświecki szpiczasty klucz. Delia wsunęła go w zamek i przekręciła. Oderwała metki z nowej torebki, wrzuciła do niej portfel i powiesiła ją na haku w szafie. Inne zakupy schowała do komody. (Szuflady zacinały się i z trudem wysuwały, były tandetne, jak cały dom). Powiesiła na ramiączku wdzianko Sama. Saszetkę z kosmetykami włożyła do szuflady. Rafiową torbę plażową, razem ze wszystkimi szpargałami - kremami do opalania, kostiumem kąpielowym, gumkami do włosów i tym podobnymi drobiazgami wstawiła na półkę w szafie. Zamknęła jej drzwi, przeszła do łóżka i usiadła na skraju.

No.

Jest urządzona.

Mogła patrzeć do woli, a nigdzie ani śladu innego mieszkańca.

Kiedy Belle wróciła, zapadał zmrok. Delia słyszała brzęk drzwiczek samochodu i głośnie stukanie obcasów na ganku. Żadna z nich jednak nie zawołała do drugiej na powitanie. Delia, która nie wiadomo jak długo siedziała, patrząc przed siebie, teraz wstała z łóżka i cichusieńko, jak tylko potrafiła, podeszła na palcach do komody, wzięła rzeczy i ruszyła przez hol do łazienki, bacznie uważając, by nie zatrzeszczała któraś z desek podłogowych.

Kiedy czekała, aż z prysznicza zacznie lecieć ciepła woda, umyła zęby i rozebrała się, namaczając bieliznę w umywalce. Zobaczyła, że drugi ręcznik i myjka wiszą teraz na drugiej poręczy. Wzięła myjkę i weszła za zasłonę prysznicza, która kruszała ze starości i były na niej ślady pleśni.

Spływał z niej brud, pot i krem z filtrem, ukazywała się świeża warstwa skóry. Wydawało się, że podeszwy stóp, jakby całkiem spłaszczone od chodzenia przez cały dzień, wprost wchłaniają wodę. Podniosła twarz, wystawiając ją prosto pod prysznic, zmoczyła włosy. W końcu z żalem zakręciła krany i wyszła, by się wytrzeć. Na spalonych ramionach czuła powiewny nowy szlafrok.

Postanowiła nie zostawiać szczoteczki do zębów w uchwycie nad umywalką, tylko schowała ją do kosmetyczki i wszystko zabrała ze sobą do pokoju. Wykręciła bieliznę i rozwiesiła na ramiączkach w szafie. Oznaczało to, że będzie musiała zostawić na noc drzwi szafy otwarte - plama w sterylnym pokoju. Lecz lepsze to niż narobić bałaganu własnym praniem w łazience. Odpowiadały jej przedstawione przez Belle zasady utrzymania porządku w domu, nie zamierzała go zagracać.

Odrzuciła prześcieradło z kocem i położyła się, naciągając na siebie tylko prześcieradło. Powiew od okna chłodził jej mokre włosy, "lecz nie na tyle, by potrzebowała nakryć się kocem.

Na dworze bawiły się dzieci. Jeszcze nie było nawet całkiem ciemno. Leżała na plecach, z otwartymi oczami, umysł miała tak nie skażony myślą jak czysty sufit, w który się wpatrywała. Jednakże raz, chyba kilka godzin później, przemknęła jej przez głowę jedna myśl: „Och, Boże, jak ja się z tego wykaraskam?" Lecz zaraz zamknęła oczy i w końcu zasnęła.



## Rozdział 7

*Zaginęła mieszkanka Baltimore* - przeczytała Delia i nagle poczuła się tak, jakby ktoś dał jej pięścią w brzuch. *Zaginęła mieszkanka Baltimore podczas rodzinnych wakacji.*

Codziennie przeglądała baltimorskie gazety poranne i popołudniowe. Nic nie znalazła we wtorek, środę ani w czwartek rano. Lecz w wydaniu czwartkowym popołudniowym, które znalazło się w sprzedaży w małym kiosku przy placu akurat w porze lunchu, natrafiła w dziale Metro na notatkę: *Według porannego komunikatu policji stanu Delaware...*

Rozglądając się dookoła, złożyła gazetę na stronie, na której zamieszczono tę notatkę. Na parkowej ławce naprzeciwko młoda kobieta podawała berbeciowi jakieś okruchy, którymi on karmił gołębie. Na ławce po prawej staruszek przeglądał czasopismo. Nikt nie zwracał na Delię uwagi.

*Panią Grinstead widziano po raz ostatni w ubiegły poniedziałek. Szła plażą pomiędzy...*

Być może według jakiegoś przepisu policyjnego ludzi uznawano za zaginionych dopiero po pewnym czasie. I dlatego notatka ukazała się dopiero teraz. (Przeszukując wcześniejsze gazety, odczuwała zarówno ulgę, jak i ukłucie bólu. Czy nikt nie zauważył, że zniknęła? A może nie zniknęła? Cała ta sytuacja była jak ze snu. Może nadal żyła swoim dawnym życiem, a ta Delia w Bay Borough była tylko częścią tamtej, pierwotnej).

Bolało ją to, jak opisano jej wygląd: *Włosy blond lub ciemnoblond... Oczy niebieskie, szare lub zielone...* Na miłość boską, czy nikt z rodziny nigdy na nią nie patrzył? I jak Sam mógł tak głupio opisać jej ubiór? *W słodkim stylu* - dobre sobie! Ponownie rozłożyła gazetę zamaszystym ruchem i znów rozejrzała się dookoła. Berbec odstawiał teraz taniec złego humoru, w milczeniu tupiąc nogami, bo skończyło mu się jedzenie dla gołębi. Staruszek lizał palec, aby przerzucić kartkę czasopisma. Delia patrzyła na to z obrzydzeniem. Przychodził tu codziennie w porze lunchu i czytając cza-



sopismo, dzięki lizaniu palca posuwał się dalej. Mogła mieć tylko nadzieję, że już nikt inny nie będzie czytał tego magazynu.

Delii wystarczyły tylko trzy dni, by ustalić dla siebie stały tryb postępowania - zupełnie jak ktoś dojeżdżający do pracy, kto zawsze siada na tym samym miejscu, czy jak gość, który zawsze zajmuje to samo krzesło w dużym pokoju. Śniadanie jadła w „Ric-k-Rack”, czytając poranną gazetę. Lunch na placyku - był to jogurt i świeże owoce kupione wcześniej w sklepie spożywczym „Kęs”. Zawsze siadała na ławce od strony południowo-wschodniej, zawsze czytała popołudniową gazetę. Potem, przez pozostałą część godziny, miała za zadanie zrobić zakupy - we wtorek nabyć czarne buty na płaskim obcasie, bo od espadryli zrobiły jej się bąble na piętach, w środę esowatą lampkę do czytania. Dzisiaj zaplanowała poszukać grzałki, aby rano robić sobie herbatę w domu. Po przeczytaniu jednak się wahała. Nagle poczuła się taka wystawiona na widok publiczny. Miała ochotę od razu uciec do biura.

Wrzuciła śmiecie po lunchu do drucianego kosza, a pod nie wepchnęła gazetę. Przedtem pozostawiała gazetę na ławce, by ktoś mógł z niej skorzystać, lecz dzisiaj nie.

Mama usiłowała usadzić dziecko w wózku spacerowym. Berbecz zaparł się i, sztywno stając, nie chciał usiąść. Staruszek skończył czytać czasopismo i zaczął ceremonialnie wkładać okulary do futerału. Kiedy Delia przechodziła, żadna z trzech osób nawet na nią nie spojrzała. A może wszyscy ci ludzie tylko udawali, nawet ten maluch? Może zostali poinstruowani, że mają nie wzbudzać jej podejrzeń? Nie, wzruszyła ramionami. „Zbierz się w sobie”. Przecież nie popełniła przestępstwa. Postanowiła działać według wcześniej założonego planu i wpaść do „Tysiąca i Jednego Drobiazgów”.

Zabawne, jak samo życie powoduje, że obrastamy warstwami rzeczy. Delia miała już esowatą lampkę, bo żarówka pod sufitem nie wystarczała do czytania w łóżku, a na półce w szafie trzymała papierowe kubki i opakowanie herbaty w torebkach, dotychczas zadowolając się gorącą wodą z kranu w łazience. Stawało się jasne, że coraz bardziej potrzebuje

drugiej sukienki. Poprzedniego wieczoru, pierwszego naprawdę ciepłego letniego wieczoru, pomyślała: „Powinnam kupić wentylator”. Lecz powstrzymała się - „Stop! Nie możesz wydać wszystkich pieniędzy”.

Weszła do „Tysiąca i Jednego Drobiazgów” i przystanęła. Sprzęt domowy. Może tu? Starsza kobieta, ekspedientka w tym dziale folii do pieczenia i garnków, stała beczynnym, bawiąc się sznurem koralu. Delia do niej podeszła.

- Czy są grzałki? - spytała. - To, co się wkłada do kubka, by zagotować wodę?

- Wiem, o co pani chodzi - odparła kobieta. - Rozumiem tak dobrze, jak widzę pani nos. Chodzi o grzałkę elektryczną?

- Zgadza się - potwierdziła Delia.

- Mój wnuk zabrał taką do college'u, ale, nie uwierzy pani, nie przeczytał instrukcji. Chciał podgrzać zupę w kubku, a można tylko wodę. Co za smród! Mówił, że trudno sobie wyobrazić! Ale my nie mamy grzałek. Może w dziale z artykułami żelaznymi.

- Dzięki - szorstko powiedziała Delia i odeszła.

Oczywiście, grzałkę znalazła w dziale z artykułami żelaznymi. Wisiała pomiędzy przedłużaczami a rozgałęźnikami. Delia zapłaciła drobnymi dokładnie tyle, ile grzałka kosztowała. Kasjer - siwy mężczyzna w muszce - zerknął na nią, podając torebkę.

- Miłego dnia dla młodej pani - powiedział.

Delia uznała to za komplement, dlatego nawet się nie uśmiechnęła.

Zauważyła, że panna Grinstead nie jest zbyt przyjazną osobą. Ludzie, z którymi miała kontakt na co dzień, pozostawali dla niej dwuwymiarowi, jak postacie z rysunków w książeczkach dla dzieci, opowiadających o różnych zawodach. Jej stosunki z ludźmi nie były swobodne i żartobliwe, do jakich była przyzwyczajona.

Wyszła ze sklepu, przemknęła przez Bay Street, minęła rząd sklepików. Zegar na wystawie optyka wskazywał pierwszą czterdzieści pięć. Zawsze starała się wypełnić całą godzinę przerwy na lunch - od pierwszej do drugiej - lecz jeszcze jej się to nie udało.

A co zrobi w zimie, kiedy będzie zbyt zimno na spędzanie przerwy na placu? Panna Grinstead patrzyła bowiem aż tak daleko naprzód, na nie kończący się łańcuch nie oznakowanych, niezmiennych dni.

W Bay Borough jednak panowało zawsze lato. Tylko tę porę roku potrafiła sobie tu wyobrazić.

Otworzyła frontowe drzwi do kancelarii Pomfreta, następnie wewnętrzne z wzorzystego szkła. Pracodawca już powrócił z lunchu i jak zwykle rozmawiał przez telefon. *Wurlitzer, wurlitzer* - brzmiało, jakby to było tuż obok. Delia zamknęła torbę w dolnej szufladzie biurka, wygładziła spódnicę na siedzeniu i usiadła na krześle obrotowym. Zostawiła nie dokończony list, wróciła więc do pisania. Plecy miała wyprostowane, ręce ułożone niemal poziomo, tak jak nauczono ją w szkole średniej.

*Raczej wyklucza się możliwość utonięcia* - podawała gazeta. Delii nie przyszło do głowy, że można by to podejrzewać. *Ponieważ zaginiona unikająca kąpiel...* - jakże oni napisali? - *znana była jej awersja do wody.* Czy coś w tym rodzaju. Brzmiało to tak, jakby nigdy się nie kąpała. Cofnęła zamek bardziej zamasyście, niż należało. A ta historia z Elizą, która powiedziała, że Delia była chyba kotem! Na pewno ludzie myślą, że obie zwariowały.

Maszyna do pisania chodziła bardziej twardo niż Sama. Pierwszego dnia Delia złamała w pracy dwa paznokcie. Wieczorem obcięła wszystkie przy skórze, co w ogóle bardziej pasowało do stylu panny Grinstead. A poza tym zajęło jej dwadzieścia minut. Wiele myślała teraz o tym, jak wieczorami spędzać czas.

- No więc zrobmy tak! Musimy się spotkać i tak zrobić! - mówił Pomfret, nagle podnosząc głos, kończąc w sposób bardziej zaangażowany.

Delia napisała formułkę grzecznościową na zakończenie listu (Pomfret używał wobec siebie określenia „mecenas”) i wykręciła kartkę z wałka. Pracodawca wpadł do pokoju.

- Panno Grinstead, kiedy przyjdzie pan Miller, będę pani potrzebował do robienia notatek - powiedział. - Wyślemy... A co to pani trzyma?

- List do Geralda Elliotta - przypomniała mu.
- Elliotta! Spotkałem się z nim jeszcze... Sprawdziła datę na górze kartki.
- W maju - podpowiedziała. - Czternastego maja.
- Cholera!

Okazało się, że poprzedniczka Delii schowała bardziej kłopotliwe sprawy do teczki z napisem „Bie\*żące”. Wszystko, co pan Pomfret poznał, czył czerwonym długopisem, zniknęło dla wygody. (A porobił wiele uwag, bo Katie O'Connell nie potrafiła pisać ortograficznie i najwyraźniej nie dzieliła pism na akapity). Kiedy Delia pokazała Pomfretowi plik takich spraw, zrobił się purpurowy, lecz ona była zadowolona. Dzięki temu sama wyglądała na bardziej kompetentną -sprawną i zaradną. (Czuła się trochę jak lizuska w szkole). Poza tym przepisywanie listów było łatwym kurs podstawowy. Będzie żałowała, kiedy się skończy.

- Pan Miller przyjdzie o drugiej trzydzięci - oświadczył. Pochylił się nad jej biurkiem, aby podpisać list. - Proszę zanotować słowo w słowo, co będzie mówił.

- Dobrze, panie Pomfret.

Wyprostował się, zamknął pióro i spojrzał na nią ostro spod jaszczurkowatych powiek. Miała wrażenie, że czasem przesadza w wykonywaniu swych obowiązków sekretarki. Rzuciła mu nieszczerzy uśmiech i zabrała się do listu. Podpis Pomfreta był zamaszysty, zakrętasy się zamazały. Pisał jednym z tych kosztownych niemieckich wiecznych piór, które zalewały.

- Będziemy też pić kawę; więc może zawczasu ją pani przygotuje.
- Tak, oczywiście - odparła.

Weszła do jego pokoju po karafkę i powędrowała z nią do damskiej toalety. Kiedy wróciła, Pomfret siedział przy kredensie, rozstawiwszy na zewnątrz krótkie uda, i pukał w klawiaturę komputera. Bo on miał komputer. Kupił go niedawno i całkiem się poddał czarowi elektroniki, co mogłoby tłumaczyć brak zainteresowania poczynaniami Katie O'Connell, jeśli chodzi o prowadzenie kartoteki. W teorii miał najpierw sam zgłębić

tajniki maszyny, a potem nauczyć wszystkiego Delię. Już pierwszego poranka zresztą zorientowała się, że nie ma czego się obawiać. Komputer zawsze będzie tam, gdzie został tymczasowo ustawiony, a Pomfret będzie się radośnie zmagał z makro-poleceniami i kopiami plików. Teraz zajmował się rejestrem wszystkich obiadów, jakie kiedykolwiek wydali wraz z żoną -robił listy gości, listy dań, win i nawet sposobów usadzenia gości - poszczególne warianty więc będzie opracowywał w nieskończoność. Delia zerknęła z pogardą na ekran i szerokim łukiem okrążyła komputer, zmierzając do ekspresu do kawy, który stał na drugim końcu kredensu.

Woda, filtr, kawa palona na sposób francuski. Ten ekspres należał do najlepszych - sam mełł kawę. Domyślała się, że pracodawca ma go dzięki jednemu z katalogów, które stanowiły o ciężarze urzędowej poczty. Kiedy tylko Pomfret wypatrzył coś, co mu się podobało, kazał Delii wysłać zamówienie. („Tak jest, panie Pomfret...”). Wydzwaniała po całym kraju, prosząc o mówiący zegar na nocny stolik, o kieszonkowy elektroniczny słownik, o czarny skórzany futerał na mapę do wożenia w schowku w samochodzie. Zachłanność pracodawcy, podobnie jak jego wielki brzuch sprawiały, że Delia czuła się zgrabna i pełna zalet. Nie miała nic przeciwko składaniu zamówień. Podobało jej się wszystko w tej pracy, a zwłaszcza jej beznamietność. W kancelarii prawnej nikt nigdy się nie dowiadywał, że ma nieoperacyjnego raka. Nikt nie opowiadał Delii, jak to jest, kiedy się straci wzrok. Nikt nie twierdził, że pamięta ją jako niemowlę.

Nacisnęła guzik na obudowie ekspresu i zaczęło się mielenie kawy.

- Pomocy! - wrzasnął Pomfret pośród hałasu. Wytrzeszczał oczy w ekran, na którym linijki tekstu drżały i falowały. Z jakiegoś powodu nigdy do niego nie dotarło, że zdarzało się to zawsze wtedy, gdy działał młynek. Delia wyszła z pokoju, dyskretnie zamykając za sobą drzwi.

Pisała na maszynie następny list, tym razem przedstawiający regulamin firmy prowadzącej księgowość. (Katie O'Connell napisała *rególamin*). *W nawiązaniu do naszej rozmowy - pisała - i biorąc pod uwagę odpowiedzialność finansową oraz zgodę uzyskaną od nieobecnych...* Postawiła na dokład-



ność kosztem szybkości, jak przystało pannie Grin-stead. Kiedy zdarzyło jej się zrobić błąd, a były to niezwykle rzadkie przypadki, zamalowywała literę białym korektorem, zarówno na oryginale, jak i na kopii.

Przyszedł pan Miller - duży, przystojny mężczyzna o oliwkowej skórze i wąskim paśmie czarnych włosów. Delia poszła za nim do gabinetu Pomfreta, by podać kawę. Następnie przysiadła na krześle, trzymając w pogotowiu blok do notatek i długopis. Martwiła się, że nie potrafi pisać dostatecznie szybko, lecz okazało się, że ma niewiele do zanotowania. Problem dotyczył kwestii, jak często była żona Millera może widywać się z ich wspólnym synem. Odpowiedź Millera brzmiała *Nigdy*, co pan Pomfret poprawił na *Raz w tygodniu i co drugie wakacje; dokładne godziny ustalone będą zgodnie z życzeniem klienta*. Następnie rozmowa zeszła na temat komputerów, a skoro po pewnym czasie pierwszy temat nie powrócił, Delia odchrząknęła.

- Chyba nie będę już potrzebna? - spytała.

- Hmm? - mruknął Pomfret. - Ach tak, nie, dziękuję, panno Grinstead. - A kiedy wychodziła, doleciało ją: - Niezwłocznie tego dopilnujemy. Moja sekretarka wyśle to dziś po południu.

Usiadła na swoim fotelu obrotowym, wkręciła kartkę papieru w maszynę i zaczęła pisać. Na grzbietach jej dłoni z powodzeniem można było ustawić po szklance wody.

Jedynym następnym spotkaniem wyznaczone było na czwartą -przyszła kobieta z akcjami giełdowymi należącymi do jej zmarłej matki - lecz obecność Delii nie była przy tym potrzebna. Adresowała koperty i wsuwała w nie listy podpisane przez Pomfreta. Zaklejała koperty, lizała znaczki. Odebrała telefon od pani Darnell, która prosiła o spotkanie w poniedziałek. Pan Pomfret przeszedł koło niej, wciskając ramiona w rękawy marynarki.

- Dobranoc, panno Grinstead - powiedział.

- Dobranoc, panie Pomfret.

Posortowała kopie listów i włożyła do segregatora. Resztę spraw „bieżących” wsunęła do szuflady. Odebrała telefon od mężczyzny, który oka-



zał rozczarowanie, że pana Pomfreta już nie ma, i miał dzwonić do niego do domu. Wymyła ekspres do kawy. Punktualnie o piątej opuściła wszystkie rolety, pozbierała listy, wzięła torebkę i wyszła z biura.

Pomfret dał jej klucz, znała już też sposoby zamykania szklanych drzwi - najpierw trzeba było lekko przyciągnąć je do siebie, a dopiero potem przekręcić klucz.

Na dworze wciąż świeciło słońce, powietrze było ciepłe i duszne w porównaniu z klimatyzowanym. Delia szła powoli, pozwalając, by inni ją wyprzedzali - mężczyźni w garniturach wracali z pracy do domów, kobiety śpieszyły z plastikowymi siatkami z „Króla Żywności”. Wrzuciła listy do skrzynki na rogu, lecz, zamiast skręcić w lewo, poszła dalej, na północ, do biblioteki - był to kolejny przystanek zgodny z opracowanym planem zajęć.

Zdażyła już się zorientować w rozkładzie ulic. Tworzyły idealną siatkę, plac znajdował się dokładnie pośrodku - pomiędzy trzema ulicami biegnącymi na północ od niego i trzema po stronie południowej, dwiema od strony wschodniej i dwiema od zachodniej. Kiedy na skrzyżowaniu patrzyło się na zachód, widać było pastwisko, a na nim nawet czasami krowę. (Kiedy rano Delia się budziła, słyszała w oddali pianie kogutów). Chodniki były nierówne, miejscami wyrastały ze szpar kępy trawy, a tam, gdzie rosło drzewo, były całkiem popękane. Ulice bardziej oddalone od placu miały chodniki pochyłe, zsuwające się ku gruzłowatemu asfaltowi, na skraju poprzerastanemu trawą, zupełnie jak na szosach.

Biblioteka Publiczna w Bay Borough mieściła się przy Border Street, stanowiącej północną granicę miasteczka; biblioteka przycupnęła pomiędzy kościołem a Dworcem Exaon. Był to niewielki domek, lecz gdy Delia wstępowała w jego progi, od razu wyczuwała panującą tu oficjalną atmosferę powagi. Nad czterema stołami, wokół których stały drewniane krzesła, nad wysoką fornirowaną ladą bibliotekarza i nad półkami zapchanymi starymi książkami unosił się zapach starego papieru i kleju drukarskiego. Nie było tu płyt kompaktowych ani kaset wideo, nie było półek z kieszonkowymi wydaniem powieści, tylko gładkie ciężkie tomy

oprawne w płótno, z numeracją w systemie Deweya, ręcznie wypisaną białym tuszem na grzbietach. Delia doszła do wniosku, że to wszystko ma związek z kondycją finansową, bo wydawało się, że przez ostatnie dziesięć lat nic tu się nie zmieniło. Nigdzie nie było widać bestsellerów, lecz tylko powieści Jane Austin, Edith Wharton i poważne prace biograficzne i historyczne. Kącik dziecięcy aż błyszczał taśmą, którą posklejano porwane książeczki z obrazkami.

Zamykano o piątej trzydzieści, co oznaczało, że bibliotekarka była teraz bardzo zajęta. Delia mogła więc bez pogawędek położyć na ladzie książkę wypożyczoną poprzedniego dnia i poszukać nowej, nawet nie zauważona, bo przy stołach już nikogo nie było. Lecz co miała wybrać? Szkoda, że brakowało tu romansów. Dickensa czy Dostojewskiego nie przeczyta w jeden wieczór (powiedziała sobie, że będzie co wieczór czytać nową książkę). George Eliot, Faulkner, Fitzgerald...

Zdecydowała się na *Wielkiego Gatsby'ego*, którą to powieść pamiętała jak przez mgłę jeszcze z drugiego roku studiów. Podeszła z nią do lady. Bibliotekarka, kobieta po pięćdziesiątce, o czekoladowym kolorze skóry, przerwała układanie na półkach, podeszła i czekała.

- O, *Gatsby*! - wykrzyknęła.

- Taaa - mruknęła Delia, podając kartę.

Na karcie był jej nowy adres: George Street numer 14. W rubryczce na telefon widniała kreska. Jeszcze nigdy w życiu nie złożyło się tak, żeby nie miała telefonu.

Włożyła książkę do torby i ruszyła na południe. Na wystawie sklepu „Za Grosik” zmieniła się dekoracja. Wisiała granatowa sukienka z dzianiny, a przy niej smoking w kolorze muszli. Czy kupno drugiej sukienki „za grosik” będzie w złym guście? W takim małym miasteczku na pewno wszyscy znają jej poprzednią właścicielkę.

Lecz właściwie co jej zależy? Zanotowała w pamięci, że jutro ma przyjść tu i przymierzyć sukienkę w przerwie na lunch.

Skrećając w prawo, spotkała mamę z berbeciem, który karmił gołębie na placu. Kobieta uśmiechnęła się, a Delia bez namysłu odwzajemniła jej uśmiech. Natychmiast jednak odwróciła wzrok.

Następny przystanek miała w kafejce „Rick-Rack”. Przechodząc koło pensjonatu, zerknęła, czy stoi przed nim zaparkowany samochód. Z zadowoleniem stwierdziła, że nie. Może będzie jej sprzyjać szczęście i Belle wróci późno. Robiła wrażenie kobiety bardzo zajętej.

W kafejce pachniało krabami w cieście, lecz już nie było śladu po osobie, która to jadła. Drobna rudowłosa kelnerka napełniała solniczki. Kucharz skrobał wielką patelnię.

- Cześć! - zawołał, odwracając się, kiedy Delia weszła.

- Cześć! - odparła z uśmiechem. (Nie miała nic przeciwko prostym grzecznościom, lecz oby nie posuwano się dalej). Usiadła tam, gdzie zwykle. Zanim podeszła kelnerka, zdążyła już się zagłębić w lekturze wypożyczonej książki.

- Poproszę mleko i pieróg z kurczakiem - rzuciła i powróciła do czytania.

Poprzedniego wieczoru jadła zupę i grzanekę z pełnoziarnistego chleba, wieczór wcześniej sałatkę z tuńczyka. Zaplanowała, że raz będzie jadła zupę, a raz potrawę, która zapewni jej spożycie białka. Taniego białka. Nie mogła bowiem pozwolić sobie na kraby w cieście, a przynajmniej nie przed pierwszą wypłatą.

Płacąc we wtorek za nowe buty, żałowała, że nie może skorzystać z karty kredytowej, którą miała w portfelu. Karta kredytowa bowiem pozwalała najszybciej kogoś wytropić! I wtedy przyszła jej do głowy osobliwa myśl. „Najtrudniej jest wytropić kogoś zmarłego”.

Nie chodziło jej jednak o to, na co ta myśl mogłaby wskazywać.

Książka miała takie duże litery, że Delia przestraszyła się, iż nie starczy jej, by wypełnić cały wieczór. Zmusiła się do bardziej wolnego czytania, a kiedy przyniesiono posiłek, całkiem przestała czytać. Pomimo to trzymała książkę przy talerzu, otwartą, na wypadek gdyby ktoś podszedł.

Kelnerka rozkładała podkładki pod talerze, wycięte w ząbki, w oczekiwaniu na tłum, który ściągnie na kolację. Kucharz mieszał coś na płycie. U podstawy czaszki miał dwie poziome zmarszczki, na wygolonej czarnej skórze zbyt wiele ozdobnych supełków. Podejrzewała, że pieróg z kurczakiem zrobił z resztek. Pod widelcem trzaskała wypieczona skórka. A kartofle były ręcznie tłuczone, nie maszynowo.

Zastanowiła się, czy jej rodzina pamiętała, by rozmrozić spakowane przez nią własnoręcznie garnki.

- Jak on przyjdzie - mówił kucharz do kelnerki - to ty sama go zabawiaj. Ja ni mam zamiaru.

- Ale musisz tu być - powiedziała.

- Ni mówię, że ni będę, mówię tylko, że ni będę go zabawiał.

Kelnerka zerknęła na Delię, zanim ta zdążyła odwrócić wzrok. Miała te przewiercające oczka, często spotykane u rudzielców, i pucołowatą niewinną twarzyczkę.

- Ma tu przyjść mój tata - zwróciła się do Delii.

- Ach tak - mruknęła w odpowiedzi, sięgając po książkę.

- Wcale nie był taki zachwycony, kiedy pobraliśmy się z tym tu Rickiem.

To kelnerka z kucharzem są małżeństwem? Delia przestraszyła się, że jeżeli zaraz zacznie czytać, to mogą sobie pomyśleć, że ona też nie pochwała tego związku. Założyła więc palcem miejsce w książce i odezwała się:

- Na pewno w końcu zaakceptuje to małżeństwo.

- Już zaakceptował, wszystko jest w porządku! Albo mówi, że zaakceptował. Ale teraz Rick, jak tylko zobaczy tatę, od razu przypomina sobie, jak brzydko tata zachował się na początku.

- Nie mogę znieść jego widoku - ze smutkiem stwierdził kucharz.

- Jak tylko tatę wchodzi, to Rick już łuuups, od razu zamyka buzię.

- A Teensy uważa, że musi to nadrobić, i zaczyna traj-kotać jak katarzynka, same bzdury.

Delia wiedziała, jak to jest. Bo kiedy jej siostra Linda wyszła za Francuza, ich ojciec też go nie znosił...

Lecz nie mogła im tego powiedzieć. Siedziała przy stoliku sama, zupełnie sama, nie było przy niej ojca, który poklepałby ją po ramieniu w rozmowie, nie było sióstr, męża, dzieci. Była osobą bez przeszłości. Nabrała powietrza w płuca, by się odezwać, ale nie miała nic do powiedzenia. W końcu Teensy przerwała milczenie.

- No - zaczęła - przynajmniej mamy kilka dni, by się do tego przygotować. - I odeszła obsłużyć parę, która właśnie się pojawiła.

Kiedy Delia wyszła z kafejki, czuła, że powietrze dookoła jest lżejsze niż zwykle - bardziej rozrzedzone, bardziej przejrzyste - i przeszła przez ulicę bardziej tanecznym krokiem. Za drzwiami frontowymi znalazła na podłodze listy wrzucone przez otwór na pocztę, lecz nie podniosła ich, nawet nie sprawdziła nazwisk na kopertach, bo wiedziała, że żaden z nich nie jest adresowany do niej.

Na górze oddała się zwykłym o tej porze czynnościom - odłożyła na miejsce rzeczy, wzięła prysznic, zrobiła przepierkę. Cały czas nadstawiała ucha, czy Belle wróciła, bo wtedy zachowywałyby się tak cicho, żeby jej nie przeszkadzać. Cały dom jednak nadal należał tylko do niej.

Kiedy już wykonała wszystkie prace, weszła do łóżka z książką. Gdyby było tu krzesło, czytałaby na siedząco, ale nie miała wyjścia. Zastanawiała się, czy pokój pana Lamba jest lepiej wyposażony. Pomyślała, że przecież może poprosić Belle o krzesło. Musiałaby jednak przeprowadzić rozmowę, a Delii nie było to na rękę. Niech Bóg broni, żeby stały się zażyłymi, rozgadanymi przyjaciółkami, które co wieczór opowiadają sobie o tym, co się wydarzyło w pracy.

Oparła poduszkę o żelazne wezgłowie i usadowiła się wygodnie. Początkowo wystarczało jej światło padające przez okno - ukośne ciepłe złote promienie, które ją rozleniwiały. W domu po przeciwnej stronie ulicy płakało dziecko. Gdzieś w oddali kobieta wołała: „Robbie! Kenny!”, co brzmiało jak bicie dzwonu, jak powstała z dwóch dźwięków melodia, którą matki wszędzie na świecie wzywają dzieci do domu. Delia czytała,



przewracane strony kojąco szemrały. Historia Gatsby'ego była interesująca, lecz jej nie porwała. Niemniej jednak dzięki niej jakoś spędzi ten wieczór.

Światło gasło, zapaliła więc nocną lampkę, która zwisała jej nad ramieniem z parapetu. Teraz dzieci po przeciwnej stronie ulicy wypuszczono po kolacji na dwór i bawiły się w coś, co wymagało wznoszenia okrzyków. Przez jakiś czas słuchała odgłosów ich zabawy, lecz w końcu zapomniała, że miała słuchać, a kiedy po jakimś czasie przypomniała sobie, pewnie już dawno poszły spać. Zapadła noc, ćmy obijały się o siatkę w oknie. Na dole na ulicy trzasnęły drzwiczki samochodu, po ganku zastukotały obcasy. Do domu weszła Belle i od razu skierowała się do frontowego pokoju, w którym zaczęła rozmawiać przez telefon.

- Wiesz, to ma prawdziwą wartość przy odsprzedaży - usłyszała Delia, zanim i tego zapomniała słuchać. Potem na chwilę przerwała czytanie, ale na dole i na zewnątrz panowała już cisza, tylko z odległej szosy numer 380 dolatywał szum samochodów. Zrobiło się chłodniej, odczuwała wdzięczność, że znajduje się w ciepłym kręgu światła lampy.

Dotarła do końca książki, lecz ostatnie zdanie odczytywała kilka razy, aż przestała wyraźnie widzieć, bo łzy zalały jej oczy. Odłożyła książkę na podłogę, sięgnęła, by zgasić lampę, bo chciała płakać w ciemnościach - to ostatni punkt jej dziennego programu.

Płakała, nie myśląc o niczym, bezgłośny szloch wstrząsał jej piersiami i wykrzywił usta. Co kilka minut wycierała nos w kawałek papieru toaletowego, który trzymała pod poduszką. Kiedy poczuła się całkiem wyczerpana, głęboko westchnęła, aż nią wstrząsnęło.

- No i tak - powiedziała głośno.

Po raz ostatni wytarła nos i ułożyła się do snu. Zdumiewało ją, że zawsze tak twardo śpi.

Berbeć chciał, by gołębie jadły mu z rączki. Przykucnął pośród ptaków, luźne sztruksowe spodenki niemal sięgały ziemi, i wyciągał rączkę z



grzankami. Gołębie jednak dreptały dookoła, popatrując na niego przebiegle i unikając jego wzroku. W końcu, kiedy dotarło do niego, że nigdy nie przyjdą bliżej, nagle bez żadnego ostrzeżenia rzucił się na plecy i z wściekłością zaczął wymachiwać nogami w powietrzu. Delia uśmiechnęła się, ale za zasłoną z gazety.

Dziś już nie pisano o jej zaginięciu. Zastanawiała się, czy odpowiednie czynniki tak szybko o niej zapomniały.

Złożyła gazetę na dziale Metro i położyła obok na ławce. Sięgnęła po stojący po lewej kubek jogurtu i nagle kątem oka zobaczyła, że kilka metrów dalej stoi kobieta, która jej się przygląda.

Serce jej zabiło.

- Eliza? - spytała.

W tej samej chwili Eliza ruszyła do przodu, jakby właśnie coś postanowiła.

Nikogo przy niej nie było. Nie było też nikogo za nią. Nikogo.

Miała na sobie jasnobrązową szmizjerkę szytą na miarę jeszcze w czasach, kiedy istniał dom towarowy Stewart. Eliza prawie nigdy nie nosiła sukienek. To musi być specjalna okazja - pomyślała Delia i natychmiast sama znalazła odpowiedź - owszem, ja jestem tą okazją. Wstała, niezdarne trzymając kubek z jogurtem, nie wiedząc, co z nim zrobić.

- Cześć, Elizo - powiedziała.

- Cześć, Delio.

Stropione, stały naprzeciwko siebie, Eliza ścisnęła w obu dłoniach kuferkowatą skórzaną torebkę. Nagle Delia przypomniała sobie o staruszkę siedzącym na ławce od strony wschodniej. Robił wrażenie bardzo zajętego czytaniem czasopisma, lecz to jej w najmniejszym stopniu nie zwiódło.

- Przejdziemy się? - spytała Elizę.

- Dobrze, możemy - sztywno odparła tamta.

Chyba jest zła. Hm, na pewno jest zła. Wrzucając resztki po lunchu do kosza na śmieci, Delia czuła się jak mała dziewczynka, która usiłuje zatrzeć ślady jakiejś psoty. Miała wrażenie, że się rumieni. Wszystko przez tę cholerną delikatną skórę, która zawsze zdradza jej sekrety. Zarzuciła

pasek torby na ramię i ruszyła przez plac, a Eliza pół kroku za nią, jakby podkreślając samowolę siostry i brak rozwagi z jej strony. Kiedy doszły do ulicy, Delia przystanąła i spojrzała na Elizę.

- Chyba, twoim zdaniem, nie powinnam tego zrobić -odezwała się.

- Nie powiedziałaś tego, czekam, aż mi wyłuszczysz powody.

Delia znów zaczęła iść. Gdyby przewidziała, że siostra wyskoczy z czymś takim, wymyśliłaby jakieś argumenty. To idiotyczne nie mieć nic do powiedzenia.

- Pan Sudler uważał, że jesteś kobietą, którą mąż bije -odezwała się Eliza.

- A kto to?

- Ten od dachu. Vernon Sudler.

- Ach tak, Vernon - uprzytomniła sobie. Oczywiście, musiał przeczytać w gazecie.

Przeszły przez ulicę i skierowały się na północ. Delia miała zamiar iść dzisiaj do sklepu „Za Grosik”, lecz teraz nie miała pojęcia, dokąd idzie.

- Zadzwoił do nas do Baltimore - powiedziała Eliza. - Pytał, czy...

- Do Baltimore? A co wy robiliście w Baltimore?

- Po twoim zniknięciu spakowaliśmy się i wyjechaliśmy. Chyba nie myślałaś, że zostaniemy nad morzem.

Owszem, tak właśnie myślała. Lecz teraz uprzytomniła sobie, że rzeczywiście wyglądałoby to dziwnie - wszyscy jak zwykle nakładaliby na siebie tony kremu do opalania i cierpliwie nadmuchiwali materace, a tymczasem policja podsuwałaby psom tropicielom do powąchania pantofle Delii.

- Najpierw myśleliśmy, że ty pojechałaś do Baltimore -mówiła Eliza. - Wyobrażasz sobie zamieszanie z fachowcami od lakierowania podłogi, kiedy wszyscy weszliśmy. A kiedy się okazało, że ciebie nie ma... Hm, dzięki Bogu zadzwonił Sudler. Zadzwoił wczoraj wieczorem, pytając, jak może się skontaktować osobiście ze mną, a na szczęście to ja odebrałam telefon. Powiedział, iż może przysiąc, że nie zostałam porwana, ale miał wątpliwości, czy powiadomić policję, bo uważał, że miałaś wystar-

czający powód, by uciec. Powiedział, że wysiadł przy kościele, przy którym znajduje się poradnictwo dla bitych kobiet.

- Naprawdę?

Delia przystanąła przed kwiaciarnią.

- Powiedział, że kiedy zobaczyłaś ten szyld, poprosiłaś, by cię wysadził.

- Jaki szyld?

- I mówił też coś o jakiejś rozmowie, to znaczy waszej rozmowie, po której potem się zastanawiał, czy... Nie chciał jednak powiedzieć, gdzie dokładnie cię zostawił, ze względu na to, że twój mąż może być niebezpieczny. „Jak to niebezpieczny?! - zdziwiłam się. - Przecież Sam Grinstead to najlepszy człowiek na świecie!" Ale Sudler bardzo się upierał przy swoim. Powiedział, że zadzwonił tylko dlatego, by mnie powiadomić, że wszystko z tobą w porządku i że kiedy cię wiozł, nie miał pojęcia, że ty uciekasz. „Po prostu poprosiła mnie, bym ją podrzucił do tego miasta - powiedział - i twierdziła, że ma tam rodzinę, więc nie widziałem w tym nic dziwnego". Prosił też, bym nic nie mówiła Samowi, ale oczywiście wcale go nie posłuchałam. Jak bym mogła trzymać to w tajemnicy? Powiedziałam Samowi, że najpierw ja pojedę i zobaczę, co się dzieje.

Czekała. Chciała, by Delia zadała jej pytanie. Dobrze więc, zada.

- A co na to Sam?

- Powiedział, że, naturalnie, powinnam pojechać. Oczywiście, nie miał nic przeciwko temu.

- Aha.

Znów milczenie.

- I rozumiał, że nie mogę mu zdradzić nazwy miasta, dopóki nie zobaczę się z tobą.

- Rozumiem - odrzekła Delia. Ale po chwili dodała: -Ale skąd znałaś nazwę?

- No przecież powiedziałaś Sudlerowi, że masz w tym mieście rodzinę.

- No, ale...

- Rodzinę ze strony mamy! W Bay Borough.

- W Bay Borough mieszka rodzina mamy?

- Kiedyś tu mieszkała. Może jeszcze ktoś pozostał, ale nie mam pojęcia, kto ewentualnie. Przecież wiedziałaś o tym. No, Bay Borough? Mieszkała tu ciocia Henny? A wujeczny pradziadek Roscoe miał farmę kurcząt na zachód od miasteczka?

- To było w Bay Borough?

- No, a gdzie?

- Nie miałam pojęcia - stwierdziła Delia.

- Nie rozumiem, dlaczego. Przecież jest tu nawet Weber Street. To nazwisko panińskie babci Carroll. Przecięłam tę ulicę, jadąc od szosy trzy-sta osiemdziesiątej. A na południe stąd jest Carroll Street, jeśli dobrze pamiętam. Mam rację?

- No tak - odparła Delia. - Ale myślałam, że to po tych innych Carrollach. Tych od Deklaracji Niepodległości.

- Skądże, serduszek, to nasi Carrollowie - powiedziała łagodnym tonem Eliza. Udowodniła swoją rację, miała więc lepszy humor.

Znów zaczęły iść. Minęły gabinet dentystyczny i optyka.

- Właściwie to moim zdaniem jesteśmy krewnymi założyciela tego miasta - powiedziała Eliza. - Ale tylko po kądzieli.

- Założyciela... to znaczy George'a Baya?

- No tak.

- Dezertera George'a Baya?

- No, akurat nie tobie o tym tak mówić. Delia wycofała się.

- Więc jeździłam tu - mówiła Eliza - i pytałam o ciebie, gdzie mogłaś się zatrzymać. Okazało się, że jest tu tylko jeden zajazd, nie licząc tego marnego moteliku przy Union Street. Ale kiedy tam cię nie znalazłam, postanowiłam rozejrzeć się na placu, bo wygląda na to, że każdy mieszkaniec musi przez niego przechodzić kilka razy dziennie.

Były już przed kancelarią Pomfreta. Jeżeli już wrócił z lunchu, może zerkać przez frontowe okno i zobaczyć, że Delia przechodzi obok. Panna Grinstead w towarzystwie! Potrafi być towarzyska! Miała nadzieję, że on jeszcze siedzi ze swoimi przyjaciółmi w restauracji „Pod Herbem Bay”.

Przy George Street poprowadziła Elizę w lewo. Przeszły koło „Raju Zwierząt”, gdzie na wystawie chłopiec układał zabawki do gryzienia przy torbach z karmą.

- Delio - zaczęła Eliza - prawda, że Sudler się mylił? To znaczy, czy jest coś, o czym chcesz mi powiedzieć?

- Nie, skądże!

- Ach - odetchnęła z ulgą. Wyglądała niemal ślicznie. -Widzisz? Mówiłam mu! - wykrzyknęła. - Mówiłam, iż jestem przekonana, że chciałaś po prostu odetchnąć. Wiesz, co na to policja? Kiedy zadzwoniliśmy, jeden policjant powiedział: „Założę się o każdą sumę, że nic jej się nie stało. Zaskakująco wiele kobiet bierze sobie do serca, że musi zniknąć w czasie rodzinnych wakacji”. Wiedziałaś o tym? Czy to nie dziwne?

- Hm - mruknęła Delia. Czuła, że ma okropnie ciężkie nogi. Ledwie nimi powłóczyła.

- Musi chyba mieć doświadczenie, jeżeli pracuje w Be-thany Beach i tak dalej.

- No, na pewno - odparła Delia.

- No więc zabierzemy twoje rzeczy, Dee?

- Moje rzeczy - powtórzyła Delia i zatrzymała się.

- Zaparkowałam tam niedaleko placu. Masz jakiś bagaż? Coś podeszło Delii do gardła - chyba wezbrał w niej

dławiający upór. Zaskoczyło ją, jak mocne to było uczucie.

- Nie! - zaproponowała. Przełknęła ślinę. - To znaczy nie, nie jadę z tobą.

- Słucham?

- Chcę... potrzebuję... Mam teraz swoje miejsce, to znaczy pracę, posadę i mieszkanie. Widzisz? Mieszkam tam -wskazała w stronę domu Belle. Zauważyła, że gazowe firanki w oknach na dole wyglądają jak bandaże.

- Masz dom? - spytała Eliza z niedowierzaniem.

- Hm, no, mam pokój. Chodź, zobacz! Wejdźmy! Wzięła Elizę pod łokieć i pociągnęła na ganek. Siostra zaparła się, usztywniła ramię niby skrzydło kurczęcia.

- To własność agenta nieruchomości - poinformowała ją Delia, otwierając drzwi. - To kobieta, ten agent od nieruchomości, bardzo miła. Czynn timer niezwykłe umiarkowany.

- Nic dziwnego - odparła Eliza, rozglądając się dookoła.

- Pracuję w kancelarii prawnej, tu niedaleko. To jedyny prawnik w mieście, zajmuje się wszystkim, testamentami, spadkami... a ja prowadzę mu kancelarię. Założę się, że nigdy byś nie pomyślała, iż potrafię, prawda? Pewnie uważałaś, iż w domu prowadzę sprawy biurowe tylko dlatego, że byłam pupilką tatusia, ale teraz bardzo mi tu...

Wchodziły po schodach na górę, Delia prowadziła. Żałowała, że Belle nie powiesiła kilku obrazków. Albo przynajmniej mogła dać nową tapetę.

- To całe piętro właściwie należy do mnie - wyjaśniła - bo drugi lokator w dni powszednie podróżuje. Mam więc łazienkę dla siebie, widzisz? - Machnęła ręką w tamtą stronę. Przekręciła klucz w drzwiach do swojego pokoju i weszła. - Wszystko to moje - podkreśliła, stawiając torbę na komodzie.

Eliza powoli weszła do środka.

- Prawda, że doskonały pokój? - spytała Delia. - Wiem, że odrobinę tu pusto, ale...

- Delio, chcesz mi powiedzieć, że masz zamiar tu mieszkać?

- Ale ja już tu mieszkam!

- Chodzi mi o to, czy na zawsze?

- Tak, a dlaczego by nie? - Znow poczuła potrzebę przełknięcia śliny, lecz zapanowała nad tym. - Siadaj - powiedziała. - Napijesz się herbaty?

- Och, ja... nie, dzięki. - Eliza mocniej ścisnęła torebkę. Nie pasowała do tego otoczenia, była kimś związanym z domem i miała ten pokorny, wyblakły wyraz twarzy, jaki zawsze mają domownicy. - Chcę się tylko upewnić, czy rozumiem to wszystko.

- Mogę szybciotko zagrzać wody. Proszę, usiądź na łóżku.

- Chcesz powiedzieć, że na zawsze nas opuszczasz? - spytała Eliza, stojąc wciąż w tym samym miejscu. - Masz zamiar na zawsze zamieszkać w



Bay Borough. Opuszczasz męża, opuszczasz trójkę dzieci, z których jedno jeszcze uczy się w szkole średniej.

- Tak, w szkole średniej i ma piętnaście lat, i **świetnie** sobie radzi beze mnie - odpowiedziała Delia. Ku **swojemu** przerażeniu poczuła, że do oczu napływają jej ciepłe łzy. -W gruncie rzeczy lepiej niż przy mnie - ciągnęła **stanowczo**. - A właśnie, jak się mają dzieci?

- Są oszołomione, a co sobie wyobrażałaś? - odparła Eliza.

- Ale oprócz tego wszystko dobrze?

- A obchodzi cię to? - spytała Eliza.

- Oczywiście, że tak!

Siostra postąpiła kilka kroków i Delia już myślała, że ustąpi i usiądzie, lecz Eliza podeszła do frontowego okna.

- Jak możesz sobie wyobrazić, Sam jest po prostu osłupiały - oświadczyła, stojąc tyłem.

- Tak, pewnie teraz żałuje, że nie wybrał Córki Pierwszej czy Drugiej - odparła Delia.

Eliza gwałtownie się obróciła.

- Co ci jest, Delio? Zupełnie oszalałaś? Masz wspaniałego męża, który wałęsa się teraz po domu, jakby już był półtrupem, dzieci nie mają pojęcia, co się dzieje, sąsiedzi zdenerwowani, a w telewizji i gazetach nasze nazwiska ogłaszane na cały stan Maryland...

- Było w telewizji?

- We wszystkich kanałach Baltimore! Duże kolorowe zdjęcie na cały ekran i *Czy ktoś widział tę kobietę?*

- A jakie zdjęcie pokazali?

- To ze ślubu Lindy.

- Przecież jest strasznie stare!

- No, ale przeważnie to ty robiłaś zdjęcia. Mieliśmy więc niewielki wybór.

- Ale tamto w tej okropnej sukni druhny! Ramiona wyglądają tak, jakbym nie wyjęła wieszaka!

- Delio - zaczęła Eliza - odkąd zadzwonił Sudler, cały czas się zastanawiam, co cię skłoniło, by tak od nas odejść. Dotychczas mi się wydawało, że idzie ci wszystko zbyt łatwo. Najmłodsze dziecko. Słodka jak cukierek. W szkole średniej Miss Popularności. Faworyta tatusia. Owszem, wychowywałaś się bez matki, ale nigdy nie zauważyłam, żeby ci jej brakowało. Kiedy zmarła, miałaś zaledwie cztery latka, a przez całe twoje życie była przykuta do łóżka. Ale teraz uważam, że cztery latka to dużo! Oczywiście, że ci jej brakowało! Popołudniami na ogół bawiłaś się w jej pokoju, na miłość boską!

- Nie pamiętam - powiedziała Delia.

- Oj, na pewno pamiętasz. Miałyście z mamą te papierowe lalki. Leżały w pudełku po butach na dole jej szafy i codziennie po południu...

- Niczego podobnego nie pamiętam! - zaproponowała Delia. - Dlaczego tak się upierasz? W ogóle nie pamiętam mamy!

- A potem to, że byłaś ulubienicą taty, okazało się nie takie całkiem dobre. Namówił cię, byś nie szła na studia, założył, że będziesz mu prowadziła sprawy biurowe... hm, nie zdziwiłabym się, gdybyś miała mu to za złe.

- Nie miałam mu tego za złe!

- A potem jego śmierć. Na pewno bardziej tobą wstrząsnęła niż....

- Zupełnie nie rozumiem, dlaczego, na Boga, wszystko to wywlekasz! - oburzyła się Delia.

- Ale wysłuchaj mnie. Proszę cię. Wiesz, że wierzę, iż ludzie przeżywają wiele wcieleń.

W normalnej sytuacji Delia by jęknęła, lecz teraz była zadowolona, że rozmowa schodzi na inne tory.

- Wierzę, że każde życie to specjalne zadanie do spełnienia - mówiła Eliza. - Za każdym razem, kiedy przychodzisz na świat, masz wyznaczony zakres przeżyć, z jakimi powinnaś się uporać. Więc nawet jeżeli przypadnie ci życie pełne trudności, to właśnie chodzi o to, że tym razem z nimi masz sobie dać radę.

- A skąd wiesz, że moje zadanie nie obejmuje życia w Bay Borough? - spytała Delia.

Na czole Elizy pokazała się zmarszczka wyrażająca niepewność.

- Słuchaj, zastanawiałam się... - odezwała się Delia.

- Tak? - ochoczo podchwyciła Eliza.

- Możesz mi powiedzieć, czy zabrali do domu kota? Błąd. W głębi oczu Elizy coś się zamknęło.

- Kota? Tylko on cię obchodzi?

- Oczywiście, że nie. Ale kiedy wychodziłam, wlaźł gdzieś pod któryś mebel, więc nie wiedziałam, czy pamiętali...

- Tak, pamiętali - rzuciła Eliza. - Co prawda nie rozumiem, po co go zabrali. Ten cholernik jest taki stary, że chrapie nawet, kiedy nie śpi.

- Jak to stary? - zdziwiła się Delia.

- Spakowali wszystkie twoje ubrania i garnki - opowiadała Eliza. - Biedna Susie musiała spakować twoje... Delio? Ty płaczesz?

- Nie - odparła stłumionym głosem.

- Płaczesz z powodu kota?

- Powiedziałam, że nie!

Cóż, wiedziała, że nie jest już młodym kociakiem. (A był taki wesoły - kotek z poczuciem humoru, skradał się pod zakazanymi kwiatami i potem głupio do niej się uśmiechał). Lecz zawsze uważała go za kota w sile wieku, dopiero teraz przypomniała sobie, jak zatrzymywał się przed najmniejszym skokiem, jakby chcąc zebrać siły. Jak przegoniła go z blatu, a on spadł niezdarnie, drapiąc łapami, by o coś się zatrzymać, i wyładował na podłodze w okropnej pozie, i zaraz zaczął lizać tylną łapę, jakby już chciał na zawsze pozostać w tej pozycji.

Otworzyła szerzej oczy, aby łzy nie zaczęły spływać po policzkach.

- Delio - zaczęła Eliza - może nie chcesz mi czegoś powiedzieć? Czy ma to coś wspólnego z tym... mężczyzną tam w Baltimore?

Delia nie zadała sobie trudu, by udawać zdumienie.

- Nie, to nie chodzi o niego. - Podeszła do łóżka, a Eliza musiała się cofnąć o krok. Wsunęła rękę pod poduszkę i wyciągnęła kawałek papieru toaletowego. Wytarła nos. - Chyba zaczynam tracić zmysły.

- Nie, nie tracisz zmysłów! Może jesteś trochę, no, zmęczona. Trochę wykończona. Wiesz, o co mi chodzi? - spytała Eliza. - Chyba opieka nad tatą, kiedy był ostatni raz chory, kosztowała cię więcej, niż wszyscy myśleliśmy. Może masz też anemię. Po prostu musisz odpocząć fizycznie. Sama pojechać gdzieś na wakacje. Tak, przyjazd do Bay Borough to wcale nie był zły pomysł. Za kilka dni, za parę tygodni wrócisz do domu, całkiem odnowiona.

- Może i tak - odparła niepewnie Delia.

- Właśnie to powiem policji. Powiem: „Wyjechała do miasta, gdzie mamy rodzinę, na wypoczynek”. Bo, jak wiesz, muszę poinformować policję.

- Wiem.

- I będę musiała powiedzieć Samowi.

- Tak.

- Chyba będzie chciał przyjechać tu na rozmowę. Delia wytarła papierem toaletowym jedno oko, potem drugie.

- Ja nie najlepiej sobie radzę w takich sytuacjach - oświadczyła Eliza. Zdjęła jedną rękę z ucha torebki i położyła na ramieniu siostry.

- Dobrze sobie radzisz. To nie twoja wina.

Nagle zrobiło jej się smutno, bo uprzytomniła sobie, że Eliza ma umalowane usta. (Szminką cukierkowo-różową, karnację zaś miała ciemną). A z reguły nigdy się nie malowała. Musiała więc odczuwać potrzebę dodania sobie odwagi na tę wizytę.

- Powiem Samowi, by ci przywiózł trochę ubrań, dobrze? - spytała.

- Nie, dzięki.

- Może choć ze dwie sukienki?

- Nie, nie chcę. Eliza opuściła rękę.

Wyszły z pokoju, Eliza przodem, zaczęła schodzić na dół.

- A jak twoje prace w ogródku? - spytała Delia z wymuszoną wesołością.

- Oj... - mruknęła Eliza, stojąc już na dole w holu. - Będziesz potrzebowała pieniędzy.

- Nie, dziękuję.

- Gdybym wiedziała, że nie wrócisz ze mną... Nie mam przy sobie dużo, ale służę tym, co mam.

- Naprawdę nie chcę - odparła Delia. - Mam bardzo wysoką, naprawdę wysoką pensję w kancelarii. Kiedy mi powiedział, ile, wprost nie mogłam uwierzyć. - Wypuściła Elizę na dwór. - I wiesz, że wzięłam wakacyjne pieniądze. Pięćset dolarów. Już i tak źle się przez to czuję.

- Ale daliśmy sobie radę - zapewniła ją Eliza, patrząc na włóknisty kawałek w jednej z desek podłogowych ganku.

Delia mogłaby ją odprowadzić do samochodu czy przynajmniej do swojej kancelarii, lecz to tylko przedłużyłoby ich rozstanie. Dlatego też zostawiła na górze torbę, a teraz stała na ganku z ramionami splecionymi na piersi jak ktoś, kto ma zamiar wrócić do środka.

- Wiem, że daliście sobie radę, ale nie o to chodzi - powiedziała. - Czuję się źle, bo nie zaczynam całkiem od początku. To znaczy... nie wiem... na równi.

- Na równi?

- No, na równi z bezdomnymi, czy coś w tym rodzaju. Nie wiem - odparła Delia. - Nie wiem, o co mi chodzi!

Eliza pochyliła się i przyłgnęła policzkiem do policzka siostry.

- Wszystko będzie dobrze - zapewniła. - Odpoczniesz odrobinę i ten wypoczynek zdziała cuda, masz moje słowo. A tymczasem... - Już miała się odwrócić, lecz ostatnia myśl przyszła jej do głowy. - Tymczasem pamiętaj, jakie miał ulubione credo wujeczny pradziadek Roscoe.

- No jakie?

- Nigdy nie rób niczego, czego nie mogłabyś odrobić.

- Będę pamiętała - przyrzekła Delia.

- Pradziadek Roscoe może i był gdera, ale od czasu do czasu nie brakowało mu zdrowego rozsądku.

- Dobrej drogi - powiedziała Delia.

Stała, patrząc za siostrą - tą niską, oszczędną, energiczną osobą - aż zniknęła w oddali. Delia wróciła do domu po torbę.

Idąc po schodach, myślała: „Ale jeżeli nigdy nie zrobisz niczego, czego nie mogłabyś odrobić - położyła rękę na pełnej drzazg poręczy - skończy się na tym, że w ogóle niczego nie zrobisz”. Kusiło ją, by pobiec za Elizą i powiedzieć jej to, lecz nie potrafiłaby znieść drugiego pożegnania.

RS



## Rozdział 8

Tego wieczoru czytała *Słońce też wschodzi*, lecz nie dokończyła książki, bo wciąż coś odciągało jej uwagę. Był piątek, początek weekendu. Szum samochodów pod jej oknem nabrał żywszych, bardziej świątecznych tonów, a przechodnie rozmawiali głośniej.

- Hej! Już idziemy! - wołał jakiś nastolatek. Delia straciła na chwilę wątek. Około ósmej ktoś przeszedł przez ganek - nie była to Belle, tylko ktoś, kto stąpał powoli w butach na płaskich obcasach, jakby zmęczony czy smutny. Delia opuściła książkę i nasłuchiwała. Otworzyły się frontowe drzwi, ten ktoś wszedł do domu, stopnie schodów zaczęły kolejno trzeszczeć. Potem usłyszała szcęk gałki u drzwi po przeciwnej stronie holu. „Och, to drugi lokator” -pomyślała.

Powróciła do książki, lecz co pewien czas wciąż coś jej przeszkadzało - głuchy kaszel, przesuwanie ramiączek po metalowym pręcie w szafie. Kiedy usłyszała szum prysznic, wstała i na palcach podeszła do drzwi, by sprawdzić, czy są zamknięte na klucz. Następnie wróciła do łóżka i powtórnie przeczytała akapit, który chwilę wcześniej skończyła.

Jakąś godzinę później wróciła Belle. Z mężczyzną. Delia słyszała jego serdeczny tubalny śmiech - nie był jej znajomy.

- No, bądź poważny - w jakimś momencie upomniała Belle.

Włączyli na dole telewizor, drzwiczki lodówki głucho trzasnęły.

Pan Lamb okazał się wymizerowanym mężczyzną po czterdziestce, o prostych ciemnych włosach i zapadniętych oczach. Delia spotkała się z nim nazajutrz rano w holu na górze, kiedy wychodziła załatwić kilka spraw.

- Dzień dobry - powiedziała, uprzednio podjąwszy postanowienie, że ograniczy z nim kontakty do minimum. Nie miała jednak powodów do obaw. Pan Lamb przykleił się plecami do ściany i mizernie się uśmiechnął, patrząc na swoje buty i niezrozumiale coś mamrocząc. Prawdopodobnie jemu tak samo nie bardzo odpowiadało to, że mają wspólną łazienkę.

Szukała banku otwartego w soboty. Chciała zrealizować otrzymany w piątek czek z pierwszą wypłatą. Był wystawiony na Pierwszy Bank Rolny, który mieścił się w budynku na północ od placu. Ten bank okazał się zamknięty, poszła więc dalej, do Banku Federalnego. Dzień był chłodny, wietrzny, na niebie kłębiły się ciemne chmury, które sprawiały, że powietrze nabrało niemal liliowego koloru. Przez to część miasta, której nie widziała od dnia przyjazdu, wydawała jej się całkiem inna. Wyglądała zupełnie niewspółcześnie. Budynki sprawiały wrażenie wyblakłych, jakby nie były malowane, tylko kolorowane pędzlem. Wszystko przypominało starą fotografię.

- Czy będzie pani mogła zrealizować ten czek? - spytała kasjerkę w Banku Federalnym.

Kasjerka - kobieta w okularach o wydłużonym skośnie w górę kształcie, w oprawce z kryształu górskiego - tylko rzuciła okiem na podpis i skinęła głową.

- Zeke Pomfret? Oczywiście - powiedziała.

Delia więc podpisała pierwszy w życiu prawdziwy czek z własną wypłatą i w zamian otrzymała kilka szeleszczących banknotów. Ze zdumieniem skonstatowała, ile odpada na podatek i wszystkie pozostałe płatności.

Weber Street, East Street. Szła po przekątnej placu. Trzymała wysoko głowę i uważnie stawiała kroki. Mogłaby być bohaterką jakiejś sztuki czy filmu. A widownię, przed którą chciałyby się pokazać, stanowił oczywiście Sam.

Nie oznaczało to, że z niecierpliwością czekała na jego wizytę. Bała się, że będzie zmuszona się tłumaczyć. Zdawała sobie bowiem sprawę, jak kulawo i sprzecznie będą dla niego brzmiały jej argumenty. A jednak już od wczorajszego popołudnia jakąś częścią swojego umysłu dokonywała przemyślnych kalkulacji. „Do Baltimore jest, powiedzmy, dwie godziny. Eliza mogła więc dojechać do domu o jakiejś wpół do piątej, a Sam może być tutaj najpóźniej o wpół do siódmej. Może o siódmej. Ale jeżeli będzie chciał na przykład najpierw uporać się z robotą papierkową albo kupić benzynę...” Późnym wieczorem jednak inna myśl przyszła jej do głowy: „Pewnie czeka na weekend. Tak byłoby o wiele rozsądniej”.

Co by było, gdyby natknął się na nią teraz, kiedy idzie do biblioteki po książkę na dzisiaj, na sobotę. Albo kiedy w drodze do domu staje przy stoliku wystawionym przed sklepem „Sprzęt Kuchenny u Katy” i szpera wśród kubków. Albo kiedy wychodzi ze sklepu „Za Grosik” z granatową sukienką z dzianiny w torbie. Co by było, gdyby patrzył na nią z ganku pensjonatu, jak wchodzi z za rogu w George Street. Zobaczyłby, jak sunie ulicą, ubrana w zawodową szarość, swobodna w tym mieście, którego on nigdy nie widział na oczy. Pomyślałaby wtedy: „Czy to rzeczywiście Delia?”

Albo co by było, gdyby wchodziła po schodach na górę, a on czekałby pod drzwiami jej pokoju? „Ach Sam, to ty?” -zdziwiłaby się pogodnym tonem. Wyciągnęłaby klucze z torby - służbowe klucze na chromowanym kółku od pana Pomfreta, jeden do jej pokoju, drugi do biura - i przechyliłaby głowę, zapraszając męża do środka. Albo może zastałaby go już w

pokoju, bo przekonał Belle, by go wpuściła. Stałby wtedy przy oknie. Odwróciłby się i zobaczył ją, jak wchodzi, niosąc książkę z biblioteki, kubek i nową sukienkę. I powiedziałby wtedy: „Oj, daj, pomogę ci”. A ona na to: „Dzięki. Nie trzeba”.

Nie było go jednak. W absolutnej ciszy rozłożyła rzeczy na łóżku.

Zeszła na dół, by zapłacić czynsz. Wiedziała, że Belle jest w domu - zza prowadzących z holu drzwi koloru selera dochodziły ją różne dźwięki. Zapukała.

- Proszę! - zawołała gospodyni pośród zgrzytów i furkotów.

Kiedy Delia weszła, okazało się, że Belle siedzi na rowerze do ćwiczeń i pedałuje jak szalona. Była cała czerwona i zgrzana, miała na sobie różowy kostium ozdobiony małutkimi satynowymi kokardkami.

- Ho, ho! – wykrzyknęła, widząc Delię. Jej duży pokój, podobnie jak inne pomieszczenia, umeblowany był najwyraźniej rzeczami pozostawionymi przez poprzednich lokatorów. Przed telewizorem stała odrapana pluszowa kanapa, na stoliku do kawy widać było jakby zapętlony deśń krążków po wodzie.

- Chciałam tylko zapłacić za pokój - oznajmiła Delia.

- O, dzięki - odparła Belle i wciąż pedałuując tak samo szybko, wsunęła za rękaw złożone banknoty. - Wszystko dobrze?

- Tak, świetnie.

- To wspaniale - stwierdziła Belle, pochylając się pilnie nad kierownicą, kiedy Delia zamykała drzwi.

Zamierzała iść po zakupy na lunch do sklepu spożywczego „Kęs”, lecz gdy wychodziła z domu, na ganek akurat wstępował młody mężczyzna w mundurze. Wpierw pomyślała, że to jakiś żołnierz, bo mundur miał koloru khaki, a włosy krótko przystrzyżone na jeża.

- Pani Grinstead? - spytał.

- Tak.

- Nazywam się Chuck Akers, jestem z policji. Chwilę trwało, zanim zrozumiała.

- Mogę z panią zamienić słówko? - spytał.

- Oczywiście - odparła. Odwróciła się, by wprowadzić go do środka, aż nagle zdała sobie sprawę, że nie ma dokąd go wprowadzić. Jej pokój nie wchodził w rachubę, a z dużego pokoju Belle też nie mogła skorzystać. Odwróciła się więc z powrotem i spytała: - Czym mogę służyć?

Pozostało im załatwić sprawę na ganku.

- To pani jest Cordelią F. Grinstead? - spytał.

- Tak.

- Rozumiem, że przyjechała pani tu z własnej nieprzymuszonej woli.

- Tak, zgadza się.

- Nikt pani nie porwał, nie zmusił do tego...

- Nikt nie miał z tym nic wspólnego.

- Hm, szkoda, że nikogo nie powiadomiła pani o swoich planach przed wyjazdem.

- Przepraszam - powiedziała. - Następnym razem będę o tym pamiętać. Następnym razem!

Ciekawa była, kiedy to mogłoby się zdarzyć.

Sobota, niedziela. Kunsztowne wypełnianie pustych białych godzin, rzucanie się z zadowoleniem na najbardziej błahe zadania. W sobotę wieczorem jadła w domu, chińskie danie na wynos, i do późna czytała *Daisy Miller*. Na niedzielne śniadanie piła w łóżku herbatę i jadła kupioną w sklepie bułkę, lecz z lunchu zrobiła większe wydarzenie. Wybrała się bowiem do restauracji „Pod Herbem Bay”, urządzonej w zbyt napszonym stylu, z ciężkimi zasłonami i dywanami. Wszystkie stoliki zajęte były przez rodziny w kościolowych strojach. Miała ochotę zjeść posiłek jak najszybciej, lecz zmusiła się do tego, by zamówić zupę, drugie danie i deser. Przetrwiała to wszystko w sposób zrównoważony i swobodny, siedząc ze wzrokiem wbitym w jeden punkt w oddali.

Kiedyś Susie, przeżywając szczególnie feministyczny okres w życiu, oświadczyła, że każda kobieta powinna umieć zjeść samotnie posiłek w eleganckiej restauracji, nie wspierając się książką. Delia żałowała, że córka jej teraz nie widzi.

A może Sam przyjedzie z dziećmi? Może wejdą wprost tu, do „Pod Herbem Bay”. Przecież to możliwe, że wpadliby na ten pomysł. Miała na sobie nową granatową sukienkę ze sklepu „Za Grosik”. Była zdania, że wygląda bardzo stosownie. Poprosiła o drugą filiżankę kawy i dłużej posiedziała.

Nagle zapragnęła papierosa, chociaż nie paliła od dziesiątej klasy.

Kiedy wyszła z restauracji, skierowała się w stronę biblioteki, wybierając w myślach książkę na wieczór. Biblioteka jednak była na głucho zamknięta, żaluzje opuszczone. Powinna była przewidzieć, że w niedzielę jest zamknięta. Będzie więc musiała kupić książkę, zainwestować.

W drogerii przy George Street znalazła stojak z książkami kieszonkowymi - w większości były to powieści z gatunku fantastyki, dostrzegła też kilka romansów. Wybrała sobie *Księżyc nad wrzosowiskiem Wydham*. Na okładce omdlewała kobieta w długim płaszczu, niepewnie podtrzymywana w talii przez brodatego mężczyznę. Podtrzymywał ją lewą ręką, a w prawej dzierżył miecz. Delia zapłaciła za książkę i schowała ją do torebki. Szła w stronę domu, stawiając kroki pewnie i szybko, aby każdy, kto na nią patrzył, mógł pomyśleć: „Ta kobieta wygląda na całkiem niezależną”.

Nikt jednak na nią nie patrzył.

Przypomniało jej się, jak to w dzieciństwie zasiadała przed domem w oczekiwaniu na gości. Pewnego razu spodziewali się dziadka Roscoe, ze strony matki. Ustawiła wtedy na trawie kołyskę z lalką i stanęła obok, przyjmując śliczną pozę. Trwała w niej, dopóki gość nie wysiadł z auta. „No patrzcie tylko! - zawołał dziadek. - Nasza mała dama Delia”. Pachniał pastylkami na kaszel, tymi gorzkimi. Myślała, że teraz już nie pamięta, jak dziadek Roscoe wyglądał, aż tu, proszę, wyskoczył gdzieś z zakamarków, przekładając do drugiej ręki żylasty skórzany sakwojaż, aby



móc trzymać ją za ramię, kiedy razem kroczyli w stronę domu. Ale co to była za okazja? Dlaczego przyjechał z wizytą, w tym swoim zru-działym czarnym garniturze? Podejrzewała, że nie znajdzie odpowiedzi. „Śpiewa-łam lalce kołysankę” - powiedziała do niego poufnym tonem.

Zawsze była takim podrobionym dzieckiem, tak chętnie dostosowu-jącym się do swojego wizerunku w oczach dorosłych.

Książka *Księżyc nad wrzosowiskiem Wydham* okazała się jednym wielkim rozczarowaniem. Jakoś nie wydawała się szczególnie wiarygodna. Delia często odrywała od niej wzrok, by tępo utkwic go w mrocznych kątach pokoju. Sprawdzała też, ile jeszcze pozostało jej stron. Nastawiała ucha, aby posłuchać radia, którego dźwięki dolatywały ją z pokoju pana Lam-ba. Radio grało przez cały weekend, lecz nigdy na tyle głośno, by mogła rozróżnić słowa spikera. O dach ganku uderzały jedna po drugiej krople deszczu. Brakowało jej odgłosów życia rodzinnego z domu po przeciwnej stronie ulicy. Pewnie zamknięto okna ze względu na pogodę.

„Czy on w ogóle nie przyjedzie?”

W poniedziałek rano pan Pomfret dał jej do zrozumienia, że zna praw-dę.

- Widzę, pani Grinstead, że ma pani nową sukienkę -powiedział, pa-trząc na nią znacząco.

Ona jednak udawała, że nie wie, o co chodzi, od południa więc znów zaczął zwracać się do niej „panno”. Niespecjalnie jej to robiło różnicę. By-ła jakaś przygaszona. Deszcz nie pomógł. Musiała kupić parasolkę w drogerii, a w przerwie wybrała się do sklepu „Za Grosik” i kupiła niedro-gi szary sweter rozpinany, z jakiegoś syntetycznego włókna. Wyglądało na to, że panna Grinstead spuszcza z tonu. Zniechęcona, wsunęła ręce w oblepiające rękawy wąskie jak rurki.

Z powodu deszczu nie mogła sobie jak zwykle urządzić pikniku na ławce w parku, a ponieważ nie była w dostatecznie towarzyskim nastroju, by wybrać się do „Pod Herbem Bay” czy kafejki „Rick-Rack”, wróciła z kubkiem jogurtu do siebie. Otworzyła drzwi frontowe, przestąpiła nad leżącą na podłodze świeżą pocztą i ruszyła schodami w górę. Nagle zatrzymała się i wróciła, by ponownie spojrzeć na jedną z kopert.

Była kremowa, a właściwie tak dobrze jej znana brązowa. Dobrze znane jej było też nazwisko wytłoczone na brązowo w lewym górnym rogu: DR SAMUEL A. GRINSTEAD.

Postanowił, że wystarczy jej list? Pochyliła się, by go podnieść. Zaadresowany był następująco: Pani Delia Grinstead (tu panna Bon Ton by się zdumiała), George Street, dom z niskim gankiem, obok sklepu spożywczego „Kęs”, Bay Borough, Maryland.

Otworzyła kopertę dopiero w pokoju. *Delio* - pisał. Nie było „Kochana”. *Delio, z relacji Elizy wynika, że...*

Pisał na maszynie biurowej, tej z przekrzywionym „e”, i nawet nie zmienił rozstawu marginesów, odkąd ona wypełniała kiedyś rachunki. Kartka była więc zapisana raptem na szerokość dziesięciu centymetrów.

*Delio, z relacji Elizy wynika, że postanowiłaś spędzić jakiś czas sama, ze względu na to, że przeżywasz różnego rodzaju napięcia, a zwłaszcza chcesz się uporać ze stresem po niedawnej śmierci ojca i tak dalej.*

*Oczywiście, wolałbym, żebyś nas o tym uprzedziła. Nie możesz nie zdawać sobie sprawy z tego, jak bardzo się niepokoiłiśmy, gdy po prostu poszłaś sobie plażą i zniknęłaś. Czy masz pojęcie, jak można się czuć*

*Nie bardzo też rozumiem, o jakie „napięcia” chodzi. Wiem oczywiście, że byliście sobie z ojcem bardzo bliscy. Ale przecież zmarł już cztery i pół miesiąca temu. ~~i naprawdę uważam~~ Może to we mnie widzisz źródło któregoś z tych napięć. Jeżeli tak, to jest to godne pożałowania, lecz przecież ~~zawsze usiłowałem być dostatecznie dobrym mężem~~ przysięgałem sobie w młodym wieku, że dla żony i dzieci będę stanowił ostoję, i o ile wiem, dotrzymałem tego przyrzeczenia i nie ro-*

~~zumiem,~~ Ale jeżeli masz jakieś powody do narzekań na mnie, to chętnie wysłucham, czego dotyczą.

Tymczasem odpoczywaj sobie spokojnie i nie martw się, że naruszę twoją prywatność. XXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXX

XX  
XX  
XXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXX Sam

Pierwszych czterech skreśleń dokonał klawiszem „myślnik”, Delia więc mogła bez trudu wszystko przeczytać, lecz ostatnie zdanie zakrzyżykował tak dokładnie, że nawet próbując czytać pod światło, nie mogła niczego odcyfrować. Zresztą może tak było lepiej, bo prawdopodobnie napisał tam coś jeszcze bardziej wskazującego na tępotę niż w tych pozostałych przypadkach, którym też niczego nie brakowało.

Nie będzie naruszał jej prywatności! Po prostu rozsiądzie się w fotelu i machnie na nią ręką, jakby była zgubionym psem czy kotem, rękawiczką czy nędznym groszem!

Doszła jednak do wniosku, że przecież powinna się była tego spodziewać. Tym bardziej więc miała rację, odchodząc.

Szczękała zębami, nowy sweter nie wystarczał. Zamiast jeść lunch zsunęła buty i wdrapała się na łóżko. Leżała, trzęsąc się pod jedynym kocem, okryta aż pod brodę, ściskając żebra ramionami, mocno tuląc sama siebie.

## Rozdział 9

Nic dziwnego, że nie potrafiła sobie wyobrazić zimy w Bay Borough! Podświadomie oczekiwała - jak sobie uprzytomniła - że Sam przyjedzie po nią grubo wcześniej. Przypominała dziecko, które mimo że uciekło z domu, to nawet bardzo daleko ód niego odjeżdżając, nigdy tak naprawdę nie chciało uciec.

Jest, jak jest. Mieszka sobie tutaj, a przed nią rozciąga się cała pustka przyszłości.

Wieczorami siadywała na łóżku i patrzyła bez celu przed siebie. Przesadą byłoby twierdzić, że wtedy rozmyślała. W głowie miała pustkę, a jeżeli już coś jej przemknęło przez myśl, to nie było to nic istotnego. Na ogół po prostu wpatrywała się w powietrze, co często robiła też w dzieciństwie. Godzinami obserwowała różnokolorowe pyłki, których roje krążą w atmosferze pokoju. Kiedyś Linda wyjaśniła jej, że to pyłki kurzu. To jej odebrało całą przyjemność. Kogo obchodzi zwykły kurz? Teraz jednak była przekonana, że Linda nie miała racji. Delia przyglądała się powietrzu, jak jego nieograniczona objętość bez końca się przemieszcza. A im dłużej oddawała się tej czynności, tym bardziej kojąco to na nią wpływało, tym bardziej była oczarowana, tym spokojniejsza.

Uczyła się, jaką wartość ma nuda. Oczyszczała sobie umysł. Zawsze wiedziała, że jej ciało jest tylko skorupą, w której ona sama żyje, lecz teraz uprzytomniła sobie, że umysł również jest skorupą, tak więc kim jest ona sama, Delia? Oczyszczała sobie umysł, by się przekonać, co w nim pozostanie. Może nic.

Często zaczynała czytać dopiero około dziewiątej czy wpół do dziesiątej, co oznaczało, że jednego wieczoru nie mogła przeczytać całej powieści. Przerzuciła się więc na opowiadania. Czytała jedno, potem obserwowała powietrze, a następnie brała się do czytania drugiego. Zaznaczała stronę zakładką z bibliotecznego numerka i przysłuchiwała się odgłosom

z zewnątrz - szumowi samochodów, brzęczeniu owadów, głosom dzieci z naprzeciwka. W gorące noce starsze dzieci spały na ganku na piętrze. Zawsze rozmawiały, dopóki rodzice nie kazali im być cicho. „Mam przyjść na górę?” -tak brzmiała najstraszniejsza pogrożka ojca. Wtedy milkły, lecz tylko na chwilę.

Delia zastanawiała się, czy Sam wie o lekcjach tenisa załatwionych dla Carrolla na dwa środkowe tygodnie lipca. Bo na pamięci Carrolla nie można było polegać. A czy któreś z nich pamięta, że to miesiąc wizyt u dentysty? No, może Eliza nie zapomniała. Gdyby nie ona, Delia tak łatwo nie zostawiłaby rodziny.

Zastanawiała się, czy powinna się czuć za to wdzięczna.

W rzeczywistości Delia była zbędna. Stanowiła dodatek. Przeżyła tyle lat małżeństwa jak dziewczynka, która bawi się w dom, a w razie czego zawsze jest przy niej osoba dorosła -siostra, mąż czy ojciec.

Na logikę powinna taką sytuację uważać za wygodną. (Kiedy dzieci były małe, bardzo się bała, że może umrzeć). Tymczasem reagowała na to zazdrością. Dlaczego na przykład w sytuacjach kryzysowych wszyscy zwracali się do Sama? On zawsze był tym rozsądnym, solidnym i odpowiedzialnym, ona stanowiła tylko dekorację. Jak do tego doszło? Dlaczego nie zauważyła, że sytuacja zaczyna się rozwijać właśnie w tym kierunku?

Przeczytała następne opowiadanie, w którym było kilka długawych opisów przyrody. Lubiła przyrodę nie mniej niż inni, lecz tu jej zdaniem autor najwyraźniej przeholował.

A czy ktoś dba o zdrowie Sama? Ostatnio przesadzał z tymi biegami. Nagle jednak przypomniała sobie: „Przecież to nie moja sprawa”. Jego list uwolnił ją od tego. Już więcej nie musiała obliczać zawartości cholesterolu, bezsensowne wydawało się zwracanie uwagi na fakt, że w „Kęsie” sprzedawano majonez beztłuszczowy.

Przywołała na pamięć kilka sformułowań z listu: *Nie możesz nie zdawać sobie sprawy* i *Nie bardzo też rozumiem*. To słowa bez życia, bez uczuć. Po-

dejrzała, że pewnie wszyscy sąsiedzi wiedzą, iż ożenił się z nią nie z miłości.

Znów **stanęły** jej przed oczami trzy córki usadzone na kanapie - ten obraz właściwie należał do wspomnień Sama, lecz najwyraźniej go zapożyczyła. Zobaczyła ojca w fotelu i Sama na bujaku. Rozmawiali o nowym leku na artretyzm, a Delia popijała sherry, rzucając ukradkowe spojrzenia na ręce Sama. Wydawały jej się niezwykle zręczne - ręce lekarza, znające się na rzeczy. Najprawdopodobniej to przez sherry, do której zupełnie nie była przyzwyczajona, czuła, że kręci jej się w głowie.

Pomyślała, że kilka wyrwanych chwil może się złożyć na podsumowanie czyjegoś życia. Zaledwie pięć czy sześć żywych obrazów, które wciąż się pojawiają i zaraz potem znikają, podobnie jak wizerunki na ciągle tawowanych i przekładanych kartach tarota. Plama słońca na siedzeniu we wnęce okna, gdzie ktoś duży szorował szmatką rączki Delii. Konkurs poprawnej pisowni w szkole, gdzie Eliza pokazała się bez zapowiedzi i Delia przez chwilę patrzyła na nią jak na obcą osobę. Połysk jasnych włosów Sama na tle brązowego jak melasa drewna bujanego fotela. Ojciec oparty na poduszkach, z trudem mówi. I Delia idąca na południe brzegiem Oceanu Atlantyckiego.

Na tym ostatnim obrazku miała na sobie szarą sukienkę sekretarki. (Te kadry z przeszłości nie zawsze są wierne). Była w czarnych skórzanych butach kupionych w sklepie braci Bassett. Ubiór był inny, lecz wygląd właściwy -wrażenie pewności, stanowczości. Ten obraz dawał jej wsparcie.

„Kiedy tylko słyszę słowo *lato* - mówiła jedna z panien na wydaniu (oczywiście Eliza) - czuję ten piekący zapach, ten żółty, rozgrzany piekący zapach". Linda zawtórowała: „Tak, ona taka jest! Potrafi wyczuć gałkę muszkatołową na stoisku z przyprawami w mieście! Również gniew". A Delia uśmiechała się do kieliszka sherry. „Ach tak" - mruknął w zamyśleniu Sam. Czy domyślał się ich ukrytych motywów? Tego, że Eliza chciała wypaść interesująco, że Lindzie zależało, by uwypuklić dziwac-



twa siostry, że Delia miała nadzieję pokazać mu dołek w prawym policzku?

Szmatka, którą szorowano jej rączki, była szorstka i ciepła jak język kociej matki. Krępa młoda kobieta o niezadowolonym wyrazie twarzy, podchodząca do biurka panny Sutherland, zamieniła się w siostrę Delii. „Szkoda” - szepnął ojciec, a jego spękane wargi wydawały się bardziej rozrywać niż rozdzielać, po czym odwrócił od córki twarz. Tego wieczoru, gdy zmarł, przed pójściem spać zażyła tabletkę na sen. Tak mocno reagowała na leki, że rzadko kiedy brała nawet aspirynę, lecz tę tabletkę daną jej przez Sama połknęła z wdzięcznością i spała całą noc. Tylko że to bardziej przypominało przedzieranie się przez noc, kopanie tunelu jakimś tęnym, nieodpowiednim narzędziem podobnym do łyżki do zupy. Obudziła się rano zamroczone i zmęczona, przekonana, że coś jej umknęło. Teraz uprzytomniła sobie, że umknęła jej wtedy żaloba. Po co ten pośpiech, aby zapomnieć? Po co szybko przeskakiwać przez okres smutku, by od razu się znaleźć na następnym etapie?

Zastanawiała się, czego ojcu było szkoda. Nie potrafiła się wtedy domyślić, może więc uznał, że jej to nie obchodzi. W oczach stanęły jej łzy i popłynęły po policzkach. Nie starała się ich powstrzymać.

Czy nie często zdarza się właśnie tak, że starzy rodzice umierają ci dokładnie w tej chwili, kiedy inni (mąż, dorastające dzieci) już tak się nie cieszą na twój widok? A rodzice zawsze się cieszą, zawsze z miłością patrzą na twoją twarz, kiedy coś mówisz. To jedna z wielu ironii życia.

Sięgnęła do zapasu papieru toaletowego i wytarła nos. Czuła, że coś w jej wnętrzu się obluzowuje, miała nadzieję, że będzie płakać przez całą noc.

W domu naprzeciwko zawołało dziecko: „Mamo, Jerry mnie kopie!” Lecz głos ten dolatywał z oddali, jak we śnie, a w odpowiedzi tylko łagodnie: „Słuchaj, Jerry...” Dzieci chyba stopniowo zapadały w sen. A te, które jeszcze czuwały, odzywały się po coraz dłuższych chwilach milczenia, mówiły coraz bardziej ospale, aż w końcu dom ogarnęła cisza, wszyscy zamilkli.

Dzień Niepodległości minął w Bay Borough prawie niezauważalnie - nie było parad, nie było fajerwerków, tylko kilka wystaw sklepowych przystrojono czerwono- biało- niebieskimi flagami. Uroczyście uczczono dopiero Dzień Baya. Obchodzono go w pierwszą sobotę sierpnia. Odbyły się rozgrywki baseballowe i piknik na placu. Delia znalazła się wśród osób wtajemniczonych w sprawy organizacyjne, ponieważ pan Pomfret był przewodniczącym Komitetu Rekreacyjnego. Prosił ją o napisanie listu, w którym proponował zastąpić rozgrywki baseballowe zawodami sportowymi wymagającymi mniej przestrzeni - na przykład podkuwaniem koni. Twierdził, że plac jest za mały i zbyt niewygodnie zadrzewiony. Lecz burmistrz Frick, syn i wnuk poprzednich burmistrzów miasta, miał przeważający głos, a jego zdaniem - jak odpisał - rozgrywki baseballowe stanowią „tradycję uhonorowaną przez czas” i powinny się odbyć.

- Tradycja! - oburzył się Pomfret. - Bill Frick nie dbałby o tradycję, gdyby miała go ugryźć w tyłek. Przecież kiedyś, na początku zawsze były to zawody w kuciu koni. Dopiero jak Ab Bennett wrócił po zawodach drugiej ligi z podkulonym ogonem, Bill Frick wprowadził tu rozgrywki baseballowe, by mu zrobić dobrze. Ale Ab już nawet nie jest zawodnikiem! Jest za stary. Ma kiosk z lemoniadą.

Delia nie interesowała się obchodami Dnia Baya. Ranek chciała spędzić, załatwiając różne sprawy, i z daleka ominąć plac. Najpierw jednak okazało się, że wszystko jest zamknięte, a potem szczególnie pogoda (mgła tak gęsta jak owsianka, niemal namacalnie miękka) podziałała na nią jak wabik. Skoro więc w końcu Delia natknęła się na tłum, tak bezpiecznie się czuła w swojej pelerynie z mgły, że pozostała wśród ludzi.

Cztery ulice otaczające plac były zamknięte dla ruchu. Usłano je kocami piknikowymi. Wzdłuż chodników stały stoiska z żywnością. Wędrowni sprzedawcy głośno zachwalali proporce i balony. Delia jednak z trudem to wszystko widziała, bo wszędzie kłębiła się gęsta mgła. Zbliżający się ludzie jakby materializowali się i odzyskiwali swoje rysy dopiero w

ostatniej chwili. Szczególnie niepokojące wrażenie robili chłopcy na deskorolkach. Fakt, że ulice zostały zamknięte, stanowił dla nich dodatkowy bodziec, bezwzględnie więc slalomowali przez tłum, nagle się wynurzali i znów roztapiali. Mgła tłumiała odgłosy, jakby wygłuszała przestrzeń wacikami, a jednak wszystko niesamowicie wyraźnie było słychać. Nawet zapachy stały się bardziej intensywne - woń bergamot tworzyła jakby namiot nad dwiema starszymi paniami, które nalewały herbatę z termosy.

- Delio! - ktoś zawołał.

Odwróciła się i ujrzała Belle Flint, która rozkładała fotelik z pasiastego płótna. Miała na sobie jaskraworóżowy kombinezon, a na przedramieniu naręcze bransolet, które pobrzękiwały, kiedy siadała. Dopiero teraz Delia przekonała się, że Belle pamięta jej imię, zareagowała więc ze zdziwieniem.

- Ojej, cześć, Belle.

- Znasz Vanesę?

Kobieta, na którą wskazała ruchem ręki, była mamą z placyku. Siedziała tuż za Belle na narzucie w kolorze mgły, a między kolanami trzymała małe dziecko.

- Proszę tu ze mną usiąść - zaproponowała Delii.

- Dzięki, ale... - chciała się wymówić, lecz po chwili dodała: - Dziękuję, chętnie skorzystam. - I usiadła obok.

- Wyciągaj piknikowy lunch - zwróciła się Belle do Delii. - Ma się ponoć odbyć konkurs, powinni dawać nagrody. Co przyniosłaś?

- Hm, nic - odparła Delia.

- No proszę, kobieta mojego pokroju - stwierdziła Belle, po czym pochyliła się i szepnęła: - Selma Frick przyniosła zestaw przystawek w komplecie bambusowych koszyczków. Polly Pomfret przyrządziła całe świeże karczochy na langustach z curry.

- A ja tam jak nastolatki - oświadczyła Vanessa, podając synkowi ciasteczko w kształcie zwierzątka. - Jak jestem głodna, kupuję coś w budce.

Delii przypominała jedną z tych gwiazd filmowych w stylu „dziewczyna z sąsiedztwa”, lansowanych w latach czterdziestych - była szczupła, ciemnowłosa, ładna, ubrana w białą bluzkę i rozkloszowane czerwone szorty, miała czarne włosy do ramion i usta umalowane jaskrawoczerwoną szminką. Synka ubrała - zdaniem Delii - za ciepło, co jest typowe dla matek mających pierwsze dziecko. Wyglądało na to, że skręca się ze złości i gorąca w sztruksowych długich spodenkach i koszulce z długimi rękawami. I nic dziwnego, Delia bowiem czuła, jak żar bijący od chodnika przenika przez płótno narzuty.

- Ile ma mały? - spytała Vanessę.

- W ubiegłą środę skończył półtora roczku.

Półtora roczku! Tak myślała. Pamiętała, jak to jest, kiedy dziecko jest w tym wieku. Kiedy Ramsey miał półtora roku, to... a Susie w tym wieku nauczyła się...

Poczuła ogromną pokusę, aby się przyznać, że też należy do klubu matek - że wie, co to bóle porodowe, wyrzynanie się ząbków, że pamięta okres, kiedy potrafiła podać wiek swojego dziecka z dokładnością do jednego dnia. Lecz oparła się pokusie. Uśmiechnęła się, patrząc na jasny puch na głowie chłopca, i powiedziała:

- Kolor włosów ma pewnie po ojcu.

- Najprawdopodobniej - zauważyła Vanessa.

- Vanessa sama wychowuje dziecko - Belle poinformowała Delię.

- Aha!

- Nie mam pojęcia, kto jest ojcem Greggiego - powiedziała Vanessa, wycierając chusteczką usta dziecka. - To znaczy mogę się domyślać, ale dokładnie nie wiem, kto.

- Hm, rozumiem - mruknęła Delia i zaczęła się przyglądać grze w baseball.

Niewiele jednak było widać we mgle. Najwyraźniej baza wyjściowa znajdowała się w południowo-wschodnim narożniku. Właśnie z tamtej strony Delia usłyszała głuchoe kłapanięcie uderzenia. Dojrzeć mogła jednak tylko drugą bazę oznaczoną ławką. Widziała, jak zawodnik biegnie, by

na niej usiąść, a ten, który już na niej siedział, wstaje, łapie piłkę nadlatującą nie wiadomo skąd i odbija ją z powrotem we mgłę, po czym znów siada. Ten, który przybiegł, pochylił się do przodu, oparł łokcie na kolanach i patrzył zawzięcie w stronę bazy wyjściowej, co niezmiernie dziwiło Delię, bo jakże mógł mieć nadzieję, że coś zobaczy?

- To Derek Ames - poinformowała ją Belle. - Jeden z naszych najlepszych pałkarzy.

- Ten pomnik to chyba im przeszkadza - zauważyła Delia.

RS

- Oj, George stoi między bazami - zachichotała Belle. -Nie, poważnie, jest taka zasada, że jak rąbniesz w pomnik, to przechodzisz do pierwszej bazy. Kiedyś liczyło to się jako automatyczne, ale zmieniło się, od kiedy sprowadził się tu Rick Rackley. Wiesz, jacy są zawodowi sportowcy: doskonali w każdym sporcie. W końcu doszło do tego, że za każdym razem, kiedy Rick wybijał pałką, to dowalał staremu George'owi.

- To Rick Rackley jest zawodowym sportowcem?

- Był, ale nawaliło mu kolano. Gdzie ty mieszkasz, na Marsie? Oczywiście, grał w futbol, ale wierz mi, że Niebiescy mają szczęście, iż gra po ich stronie. Bo na wypadek, gdybyś nie wiedziała, kogo oglądamy, to Niebiescy grają przeciwko Szarym. Niebiescy to nowi w mieście, Szarzy to starzy mieszkańcy. Łups! To chyba z bazy wyjściowej.

Od strony południowo-wschodniej doleciało następne głuchoe plaśnięcie. Delia spojrzała w górę, lecz zobaczyła tylko mętną białą flanelę. Poza boiskiem, jakim tu dysponowano, czyli trójkątem trawnika za drugą bazą, jeden zawodnik wołał do drugiego:

- Gdzie poleciała?

- Nie wiem, do cholery! - odpowiedział drugi. Aż nagle wydał z siebie jęk zdumienia i złapał piłkę, która znalazła się na wprost przed nim.

- Mam ją! - zawołał do pierwszego zawodnika.

- Widzisz ją?

- Złapałem!

- Już spadła?

- No tak.

- Bobby złapał! - pierwszy zawodnik zawołał w stronę bazy wyjściowej.

- Co mówisz?

- On złapał - ktoś przekazał dalej. - Pałkarz wyeliminowany.

- Co?

- Wyeliminowany.

- Gdzie jest pałkarz?

- Kto jest pałkarzem?

Vanessa podała synkowi następne ciasteczko w kształcie zwierzątka.



- Mgła w Dzień Baya to już prawie reguła - powiedziała do Delii. - Nie wydaje mi się, żeby ktoś był w stanie cokolwiek zobaczyć, jak grają. No tak. Ale, Delio, jak ci się pracuje u Zeke'a Pomfreta?

- Hm... no... w porządku - odparła. Przyszło jej do głowy, że powinna wziąć pod uwagę, iż wiele osób będzie wiedziało, gdzie pracuje.

- Wiesz, to naprawdę dobry prawnik. Jeżeli chciałabyś się rozwieść, to naprawdę można gorzej trafić niż do niego.

Delia zamruwała.

- Rzeczywiście, świetnie poprowadził sprawę mojego byłego faceta - odezwała się Belle. - A brata Vanessy, Jipa, wyciągnął z więzienia, kiedy powinęła mu się noga.

- Ja właściwie się nie zastanawiałam nad hm... rozwodem - wydusiła z siebie Delia.

- No pewnie! Nie ma co się śpieszyć! Ale przecież sprawa mojego byłego faceta zupełnie się różniła od twojej.

Zaraz. A właściwie jak wyobrażały sobie jej sprawę? Postanowiła jednak nie pytać.

Belle grzebała w dużej torebce. Wyciągnęła jasnozieloną butelkę i papierowe kubki.

- Wina? - spytała swoje towarzyszki. - Jest na zakrętkę. Tylko nic nie mów Polly Pomfret. Tak, sprawa Nortona była zupełnie prosta. Po pierwsze, był żonaty tylko rok. Poznaliśmy się w jego pierwszą rocznicę. W Atlantic City na Specjalnym Weekendzie Hazardzistów. Przywiózł tam żonę właśnie na pierwszą rocznicę. On i ja... jakbyśmy się wzajemnie przyciągali, wiecie? - podała Delii kubeczek z białym winem. - Poszło dość łatwo, bo jego żona należała do tych, co to ich przykuwa do automatów do gry. Więc potem raz- dwa przeprowadzam się do Bay Borough, wynajmujemy małe mieszkanie, a Zeke Pomfret zabiera się do sprawy rozwodowej Nortona.

Wino miało metaliczny posmak, jak sok grejpfrutowy pity z puszki. Delia ujęła kubeczek w obie dłonie.

- Ja jeszcze nie zamierzam robić żadnych konkretnych kroków.

- Pewnie, że nie.
- Naprawdę czuję się taka jakby... pusta. Wiecie?
- Pewnie, że wiemy! - obie kobiety jednocześnie odpowiedziały.

Na placu musiała się zakończyć kolejna część rozgrywki. Ci, którzy dotychczas grali, zniknęli, a nowi się materializowali, nowy drugi bazy podpływał coraz bliżej, aż na ławce wcielił się w postać.

Śniło jej się, że Sam prowadzi ciężarówkę przez ich frontowy trawnik w Baltimore, a dzieci bawią się w chowanego dokładnie na jego drodze. Były jeszcze małe, nie w tym wieku co w rzeczywistości. Usiłowała wołać, by ostrzec je przed niebezpieczeństwem, lecz nie mogła wydobyć z siebie głosu i wszystkie przejechała ciężarówka. Potem Ramsey nagle wstał, trzymając się za nadgarstek, a Sam wysiadł z ciężarówki i upadł, usiłował się podnieść, ale znów upadł, niemal zdołał się podnieść, lecz ponownie upadł. Widząc to, Delia poczuła się tak, jakby w jej piersi otwierała się wielka poszarpana rana.

Kiedy się obudziła, miała mokre policzki. Myślała, że już nie płacze w nocy, a tymczasem łzy płynęły jej strumieniami. Poddała się szlochowi. Prześladował ją obraz Ram-seya w tych małych brązowych sandałkach, o których już zapomniała. Widziała swoje dzieci w szeregu na trawie, w tym ich dziecięcym wydaniu, zanim stały się twarde i najeżone, zanim chłopcom posypał się zarost, a Susie kupiła pamiętnik zamykany na mosiężny zameczek. Do tamtych dzieci tęskniła.

Któregoś wrześnieowego wieczoru, kiedy wróciła z pracy, zastała na podłodze w holu kilka kopert zaadresowanych na jej nazwisko. Wiedziała, że to muszą być kartki urodzinowe - nazajutrz kończyła czterdzieści jeden lat - i wiedziała też, że przysłała je rodzina, ponieważ były zaadresowane w sposób rozbudowany. (*Dom z niskim gankiem...*). Pierwsza kartka przedstawiała taczkę pełną stokrotek. ŻYCZENIA URODZINOWE

brzmiały: *Przyjaźni i zdrowia, śmiechu i radości - na cały rok niech szczęście zagości.* W podpisie tylko *Ramsey*, z wymuszonym zakrętasem przy „y”, wielkim na całą pozostałą część kartki.

Resztę zabrała ze sobą do przeczytania na górze. Nie było sensu stawić temu czoła w miejscu publicznym.

Druga kartka była podpisana *Susie*. (*Najserdeczniejsze gratulacje i wszystkiego najlepszego*). Od Carrola nie było życzeń, chociaż dwukrotnie przetrzymała wszystkie koperty. Łatwo było się domyślić, co się stało. Na pomysł wysłania kartek wpadła Eliza. Nakłaniała i namawiała całą rodzinę. „Tylko o to proszę” - na pewno mówiła. Albo: „Nikt nie powinien spędzać urodzin bez...” Lecz uparty Carroll kategorycznie odmówił. A Sam? Teraz Delia otworzyła kopertę od niego. Kolorowe zdjęcie róż w niebiesko-białym porcelanowym wazonie. *Beczek szczęścia, hektolitrów radości...* podpisano *Sam*.

Był też list od Lindy, z Michigan. *Chcę, byś wiedziała, że szczerze Ci życzę wszystkiego najlepszego - pisała. - Nie mam pretensji, że ot, tak sobie po prostu uciekłaś, chociaż to oznaczało, że musieliśmy skrócić wakacje, a dla bliźniaczek to jedyna okazja, aby co roku mogły poznać kawałek swojej przeszłości. Życzę Ci jednak wszystkiego najlepszego.* Pod jej podpisem były też imiona Marie-Claire i Therese - wyszukany kaligraficzny wężyk i zapętlone koślawce dziewczynki leworęcznej.

Na jeszcze jednej kartce z rymowanką pisała Eliza. *Kochana Delio!*

*Wszyscy mamy się dobrze, ale żywimy nadzieją, że niedługo wrócisz do domu. Chwilowo ja zajmuję się robotą papierkową. Cała trójka już zaczęła szkołę.*

*Kilka razy dzwoniła Bootsy Fisher, dzwoniли też różni sąsiedzi, ale wszystkim mówię, że jesteś w odwiedzinach u rodziny.*

*Mam nadzieję, że miło spędzasz urodziny. Pamiętam noc, w którą się urodziłaś, jakby to było przed tygodniem. Tatuś pozwolił mnie i Lindzie czekać w poczekalni z ojcami innych dzieci, a kiedy weszła pielęgniarka, powiedziała: „Dziewczynki, gratulacje. Teraz możecie założyć trio piosenkarek”. Tak się dowiedziałyśmy, że urodziła się dziewczynka. Naprawdę brakuje mi Ciebie.*

*Ściskam*

*Eliza*

Delia ten list zatrzymała, pozostałe życzenia wyrzuciła. Jakiś czas potem postanowiła wyrzucić też list Elizy. Zrobiwszy to, siedziała dłuższą chwilę na łóżku, przyciskając palce do ust.

Dokładnie w dniu jej urodzin przyszła przesyłka od matki Sama. Była mniej więcej rozmiarów książki, zbyt gruba jednak, by można ją było wrzucić przez otwór w drzwiach, ustawiono więc pakiet za drzwiami z siatki. Tam zastała go Delia, wróciwszy do domu. Patrząc na charakter pisma, jęknęła. Eleanora słynęła z nadzwyczaj praktycznych prezentów - potrafiła podarować na przykład taśmę z miarką z przelicznikiem na system dziesiętny albo prostownik do ładowania akumulatora. Prezenty te zawsze zawijała w marszczony papier zachowany po podarunkach na Boże Narodzenie. Na górze Delia stwierdziła, że tym razem dostała miniaturową lampkę do czytania, na króciutkim sznurze. Wsunęła ją pod poduszkę, tam gdzie trzymała zapas papieru toaletowego.

Był też list, pisany na zwykłej płożożółtej papeterii: *Kochana Delio!*

*Przesyłam ten drobiazg, mając nadzieję, że Ci się przyda.*

*Rzadko kiedy podróżuję, lecz jak już mi się to zdarza, to zawsze trafiam na nędzne lampki do czytania. Może Ty również masz podobny problem. Jeżeli nie, to po prostu przekaz ją do punktu Twojej ulubionej organizacji filantropijnej. (Ostatnio bardzo się rozczarowałam Dobrą Wolą, lecz nadal uważam za dobrą organizację Opóźnionych Obywateli).*

*Najlepsze życzenia z okazji urodzin. Ucałowania*

*Eleanora*

Delia odwróciła kartkę na drugą stronę, ale znalazła tam tylko napis PAPIER Z MAKULATURY PAPIER Z MAKULATURY PAPIER Z MAKULATURY. Myślała, że znajdzie słowa oburzenia czy przynajmniej kilka wymówek.

Przypomniało jej się, jak to zaraz po zaręczynach z Samem zaczęła wiązać z Eleanorą wielkie nadzieje. Myślała, że w końcu będzie miała matkę. Ale nadzieje te rozplynęły się, kiedy ją poznała. Eleanora przyszła na kolację do Felsonów, jadąc prosto z Domu dla Samowolnych Dziewcząt, gdzie jako wolontariuszka prowadziła dwa razy w tygodniu lekcje maszynopisania. Kiedy już wszyscy się sobie nawzajem przedstawili, ledwie zwracała na Delię uwagę. Cały czas mówiła tylko o strasznej, strasznej biedzie, w której żyją wychowanki domu, i uderzająco kontrastującej z nią wystawności właśnie spożywanej kolacji - a składało się na nią tylko duszone mięso w sosie przyrządzonym z koncentratu zupy cebulowej i z kruchej zielonej sałaty. „Spytałam jedną z tych biedaczek - mówiła Eleanora - «Kochanie, czy twoi rodzice kupią ci maszynę do pisania, byś po urodzeniu dziecka mogła pracować w domu?» A ona na to: «Pszę pani, moja rodzina jest taka biedna, że nie stać jej nawet na kupno szamponu»". Przed Eleanorą pojawił się koszyczek z bułeczkami. Spojrzała na nie ze zdumieniem i podała koszyczek dalej. „Nie wiem, czemu użyła właśnie tego przykładu, czemu wymieniła właśnie szampon" - powiedziała.

(Dlaczego w ostatnim czasie przyływało do niej tyle głosów z przeszłości? Niekiedy, zasypiając, słyszała, jak gderają jej nad głową, jakby wszyscy kiedykolwiek poznani przez nią ludzie siedzieli dookoła łóżka i rozmawiali. Zupełnie jak zebrani w pokoju chorego. W pokoju umierającego).

Eleanora sprezentowała jej kiedyś jeszcze malutki parowy przyrząd do odświeżania ubrania w czasie podróży. Od tego czasu minęło kilka lat i Delia nie pamiętała, co z nim zrobiła. Tu w Bay Borough mógłby jej się nawet przydać. Odświeżyłaby nim sukienki, w których chodziła do pracy i które po kilkunastu ręcznych praniach pomarszczyły się na szwach. Wolałaby mieć ten przyrząd niż kupować żelazko i deskę do prasowania. Dlaczego gdzieś go nie schowała? Dlaczego nie przywiozła go tu z sobą? Jak mogła być taka krótkowzroczna, taka niewdzięczna?

Nie odpowiedziała na żadną z kartek urodzinowych, lecz savoir-vivre wymagał, by podziękowała Eleanorze. *Lampka jest bardzo wygodna - pisała. - O wiele lepsza od mojej na kabłąku, przy której dotychczas czytałam. Przetawiałam ją więc na komodę i nie muszę już używać górnego światła. Dzięki temu pokój wygląda o wiele cieplej. W ten sposób udało jej się zapełnić całe miejsce przeznaczone na korespondencję na typowej amerykańskiej poczówce, a właściwie niczego nie napisała.*

RS



Następnego dnia rano, kiedy wrzucała kartkę do skrzynki nieopodal biura, nagle sobie uprzytomniła, że przecież Eleanora też kiedyś pracowała w biurze. Utrzymywała syna przez okres studiów właśnie z pensji sekretarki w szkole średniej - niemałe to osiągnięcie, jak teraz Delia mogła stwierdzić. Żałowała, że pisząc kartkę z podziękowaniami, nie wspomniała, jaką ma teraz pracę. Ale może Eliza coś nadmieniła. „Delia pracuje u prawnika - mogła powiedzieć. - Prowadzi mu wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Powinnaś ją widzieć całą ubraną specjalnie do pracy. Gdybyś spotkała ją na ulicy, na pewno byś jej nie poznała”.

„Naprawdę? - spytałby Sam. (Jakoś słuchacz się zmienił z Eleanory na Sama). - Wszystko mu prowadzi, mówisz. I nie stawia byle gdzie ważnych skoroszytów? Nie wałęsa się po poczekalni, czytając szmirowate powieści?”

Ponad połowę życia spędziła, usiłując zyskać aprobatę Sama. Wiedziała, że trudno jej będzie wyzbyć się tego zwyczaju z dnia na dzień.

Nadszedł październik, zrobiło się chłodniej. Plac zapełnił się żółtymi liśćmi. W niektóre noce Delia musiała zamykać okna. Kupiła sobie flanelową koszulę nocną i dwie sukienki z długimi rękawami - jedną szarą w prążki i jedną ciemnozieloną. Zaczęła się też rozglądać za używanym płaszczem. Jeszcze nie było aż tak zimno, lecz chciała być przygotowana.

W deszczowe dni jadała teraz lunch w barze „Kij Bilardowy i Cola” przy Bay Street. Zamawiała kawę i kanapkę i przyglądała się grze przy jedynym stole bilardowym. Często Vanessa wprowadzała do środka wózek i jej towarzyszyła. Greggie słał się wśród nóg krzeseł jak jaskrawokolorowy bąk, a Vanessa przedstawiała Delii krótkie opisy graczy.

- Widzisz tego faceta, co trafił? To Buck Baxter. Przyjechał tu z osiem, dziesięć lat temu. Baxter tak jak w nazwie Usługi Portierskie Baxtera, ale mówią, że ojciec go wydziedziczył. Nie, Greggie, ten pan nie chce twojego ciastka. A tej tam nie znam - mówiła. Miała na myśli drobną, ciemnowłosą młodą kobietę, która pochylała się nad stołem, stojąc na palcach, i

szycowała do strzału. Nie zdjęła z ramienia fioletowej płóciennej torebki. - Musi być nietutejsza. Greggie, zostaw pana. A ten facet w kowbojskich butach to były chłopak Belle. Norton Grove. Belle chyba zwariowała, że chciała z nim być. Niestały. To dzięki niemu to słowo znajduje się w słowniku.

Delia zaczynała mieć wrażenie, że Bay Borough to miasto wyrzutek. Prawie wszyscy skądś uciekli albo zmuszono ich do ucieczki. Już nie wydawało jej się, że panuje tu idylla. Ricka i Teensy Rackley niektórzy starsi obywatele miasta traktowali bardzo chłodno. Jedyni dwaj geje, o których wiedziała, zawsze chodzili tylko we dwóch. W okręgowej szkole średniej podobno panowała narkomania. Terminarz pana Pomfreta pełen był nazwisk osób, które sądziły się w sprawach majątkowych, i takich, które broniły się przed wyrokami za jazdę po spożyciu alkoholu.

Mimo wszystko jednak czuła się tu zadowolona. Żyła według wygodnego rozkładu zajęć, miała swój kącik na planie ogólnym spraw tego świata. Idąc z biura do biblioteki, z biblioteki do kafejki, miała wrażenie, że jej zewnętrzne „ja” przeprowadza szkolenie jej wnętrza, tak jak ktoś zamykający oczy i udający sen powoduje, że w końcu sen nadchodzi. Smutek jej nie opuścił, lecz zaczęła funkcjonować na gładkiej powierzchni kilka centymetrów ponad warstwą smutku. Co sobota deponowała czek, co niedziela jadła obiad w restauracji „Pod Herbem Bay”. Ludzie już jej się kłaniali, co rozumiała nie jako pozdrowienie, lecz jako potwierdzenie. „Ach tak, to panna Grinstead, dokładnie na swoim miejscu”.

Od czasu do czasu jednak coś zadawało jej cios. Na przykład piosenka z okresu, kiedy Ramsey interesował się grupą Deadhead, o pukaniu-pukaniu-pukaniu do niebiańskich wrót. Albo scena przed domem po przeciwnej stronie ulicy - matka i mała córeczka się ściskają. „Zostawia mnie! -wołała żartobliwie mama do Delii. - Idzie sobie na pierwszą imprezę z noclegiem!”

Może Delia potrafiłaby udawać sama przed sobą, że żyje w okresie sprzed małżeństwa. Że wcale nie tęskni za dziećmi, bo jeszcze się nie urodziły.

Lecz w retrospekcji okazywało się, że nawet wtedy za nimi tęskniła. Czy to możliwe, że był taki czas, kiedy nie znała swoich dzieci?

*Droga Delio* - pisała Eleanora. (Tym razem zaadresowała list George Street numer 14).

*Twoja kartka sprawiła mi prawdziwą przyjemność. Miło jest wiedzieć, że przydaje Ci się ten drobny prezencik ode mnie. Cieszę się również z tego, że czytasz.*

*Ja nie potrafię zasnąć, jeżeli przedtem nie przeczytam przynajmniej kilku stron, najchętniej czegoś kształcącego, jak biografia czy sprawy bieżące. Kiedy zmarł ojciec Sama, przez jakiś czas czytywałam słownik. Jedyne on był podzielony na dostatecznie krótkie ustępy, bym dała radę nad nimi się skupić. No i informacje były takie konkretne.*

*Może Sam ma jakąś skazę przez to, że stracił ojca w tak młodym wieku. Chciałam to napisać w tamtej kartce, ale chyba tego nie zrobiłam. Poza tym jego ojciec nie miał silnej osobowości. Był takim człowiekiem, co to pozwoli, by cała woda wypłynęła, zanim on sam wyjdzie z wanny. Często chłopiec się martwi, że może wyrosnąć na kogoś podobnego.*

*Mam nadzieję, że nie przekroczyłam dopuszczalnych granic.*

*Ucałowania*

*Eleanora*

Delia nie wiedziała, jak rozumieć ten list. Zrozumiała więcej dopiero, kiedy przyszedł następny, jakieś dwa tygodnie później. *Proszę, wybacz, jeżeli wydałam Ci się za bardzo „teściową”.* Pewnie dlatego nie odpisałaś na mój list. Nie chodziło mi o to, by usprawiedliwiać swojego syna. Zawsze mówiłam, że miał czterdzieści lat już w chwili narodzin, i wiem, że trudno z tym żyć.

Delia kupiła drugą pocztówkę - tym razem widokówkę przedstawiającą nieskazitelnie biały prostokąt z napisem *Dzień Baya w Bay Borough*, miała więc jeszcze mniej miejsca na korespondencję. *Droga Eleonoro* - pisała. - *Nie znalazłam się tutaj z powodu Sama, tak do końca. Jestem tu dlatego, że*

Wyprostowała się, bo nie wiedziała, jak dokończyć to zdanie. Zastanawiała się, czy nie napisać nowej kartki, lecz przecież one kosztują. W końcu więc zdecydowała się na: *Jestem tu dlatego, że jakoś mam ochotę, by zacząć wszystko od zera*. Podpisała: *Ucałowania, Delia* i wysłała kartkę nazajutrz rano w drodze do pracy.

Bo na dobrą sprawę, czy to nie był ten prawdziwy powód? W rzeczywistości bardziej prawdziwy, niż kiedy formułowała go na piśmie. Jej odejście miało niewiele wspólnego z jakąkolwiek osobą.

Otwierając drzwi do biura, złapała się na tym, że z o-gromną przyjemnością wita pustkę panującą w pokoju. Podciągnęła białe rolety, przerzuciła kalendarz na nową stronę, usiadła i wkłęciła w maszynę czystą kartkę papieru. Można było dokonać przeglądu czynności wykonanych przez nią w ten ranek i nie doszukać się żadnego uchybienia.

Pan Pomfret zatrudniał niekiedy detektywa nazwiskiem Pete Murphy. Nie był to pyszałkowaty mężczyzna, jakiego Delia mogła sobie wyobrażać, lecz tęgi chłopak o dziecinnej twarzy, pochodził z Easton. Wyglądało na to, że rzadziej wynajmowany jest w celu odnalezienia kogoś niż w celu nieodnalezienia. Kiedy tylko sprawa spadkowa czy o tytuł własności wymagała jego usług, wkraczał do kancelarii, pogwizdując coś bez melodii, dokonywał wibracji pulchnymi palcami w stronę Delii i szedł dalej do drugiego pokoju. Nigdy do niej się nie odzywał, pewnie nawet nie wiedział, jak się nazywa.

Lecz w pewne deszczowe popołudnie wszedł w wiatrówce, która była wypchana z przodu i coś w niej się szamotało.

- Mam dla pani prezent - powiedział do Delii.

- Dla mnie?

- Znalazłem go na ulicy.

Rozpiął zamek błyskawiczny i na podłogę skoczył mały, mokry kot w szaro-czarne pręgi. Czmychnął pod grzejnik.

- Ojej! - zdziwiła się Delia.

- A niech go! - wykrzyknął Pete. - Wyłaż stamtąd, ty mały łotrze.

Pod grzejnikiem panowała cisza.

- Nigdy nie wyjdzie, jak mu się rozkazuje - wyjaśniła Delia. - Musi pan odrobinę się cofnąć. Odwrócić się. Udawać, że pan nie patrzy.

- To niech już pani sama sobie z nim radzi - odparł. Strzepnął kocią sierść z rękawów i ruszył do gabinetu.

- Jak to ja?! Niech pan... poczeka! Ja nie mogę! -zawołała za nim Delia. I zwróciła się do Pomfreta, który stanął w drzwiach swojego gabinetu, ciekaw, co się dzieje. -Przyniósł kota znajdě! Nie mogę opiekować się kotem!

- No, no, jakoś sobie pani poradzi - stwierdził jowialnie Pomfret. - Wiesz, panna Grinstead była w poprzednim wcieleniu kotem - zwrócił się do Pete'a.

- Klamka zapadła - orzekł Pete. Obaj weszli do gabinetu i Pomfret zamknął drzwi.

Przez następne pół godziny Delia pracowała, cały czas zerkając na grzejnik. Widziała, jak szaro-czarny tygrysi ogon wystający spod rury w miarę wysychania robi się coraz bardziej puszysty. Czuła, że jest pod nadzorem.

Kiedy Pete wyszedł z gabinetu, powiedziała do niego:

- Może ten kot ma właściciela. Pomyślał pan o tym?



- Wątpię - odparł. - Nie miał obróżki. - Wykonał trela palcami i wyszedł. Kiedy zatrzasnął za sobą drzwi, ogon się podkurczył.

Delia wstała i poszła do gabinetu.

- Przepraszam - zaczęła.

- Hmmm? - mruknął Pomfret. Siedział już z powrotem przy komputerze. Tego ranka odkrył coś, co nazywało się *wyszukaj i zastąp* i co najwyraźniej go zafascynowało. Pyk, pyk - tańczył palcami po klawiaturze, a pochyloną głowę wyginał na łukowatej szyi w stronę ekranu.

- Panie Pomfret, ten kot wciąż siedzi pod grzejnikiem. Ja nie mogę go zabrać. Nawet nie mam samochodu!

- Może więc weźmie pani pudło z szafy z zapasowymi materiałami - powiedział. - Cholera! - Uderzył jednocześnie w kilka klawiszy. - Bardzo proszę się tym zająć, dobrze panno Grinstead? Proszę mnie usłuchać.

- Ale ja mieszkam w pensjonacie! - wykrzyknęła Delia. Pomfret sięgnął po podręcznik i zaczął przerzucać kartki.

- Kto napisał to cholerstwo? - złościł się. - To nie jest dla ludzi! Niech pani posłucha! Może pani wyjdzie wcześniej i zabierze tego kota, dokąd tylko pani chce. Ja wszystko pozamykam. Co pani na to?

Delia westchnęła i mszyła w stronę szafy.

„Raj Dla Zwierząt” - tam mogliby jej pomóc. Opróżniła karton z brązowymi kopertami i zaniósła go do drugiego pokoju. Uklękła przy grzejniku i położyła dłoń na podłodze.

- Kci-kci - zachęciła kota. Czekwała. Po chwili poczuła drgnienie zimna na wierzchu serdecznego palca. - Kci-kci! - Kot wyjrzał, wysuwając tylko wąsy i nos w kształcie serduszka. Delia delikatnie zawinęła dłoń wokół kruchego ciała i przyciągnęła je do siebie.

Był to malutki kociak - chudy samiec o dużych łapkach i wrzecionowatych nóżkach. Futerko miał zdumiewająco miękkie. Przypominało dmuchawiec. Kiedy głaskała kotka, kurczył się pod jej dłonią, lecz zdawał się rozumieć, że nie ma dokąd uciec. Wzięła go w ręce, wsadziła do pudełka i zamknęła klapy. Wydał z siebie jeden rozpaczliwy miauk i ucichł.



Nadal padało, a nie miała wolnej ręki, by otworzyć parasolkę, pędziła więc chodnikiem, wystawiona na deszcz. Pudełko kołysało jej się w rękach, jakby miała w nim kulę do gry w kręgle. Jak na tak małe stworzenie kotek naprawdę był ciężki.

Na rogu skręciła i wpadła w drzwi „Raju Dla Zwierząt”. Za ladą stała siwowłosa kobieta i sprawdzała jakąś listę.

- Czy przypadkiem nie wie pani, czy w Bay Borough jest Towarzystwo Ochrony Zwierząt? - spytała Delia.

Kobieta patrzyła na nią przez chwilę, powoli akomodując soczewki wyblakło niebieskich oczu.

- Nie, nie ma. Najbliższe jest w Ashford.

- A jakieś inne miejsce dla bezdomnych zwierząt?

- Niestety.

- A może pani chciałaby kotka?

- Boże wielki! Gdybym przyniosła do domu jeszcze jednego kota przybłądę, mój mąż by mnie zabił.

Delia więc dała za wygraną. Kupiła torebkę karmy i woreczek z wykładziną do kuwety na odchody - oba opakowania najmniejsze, tylko takie, by wystarczyły na jedną noc -i potaszczyła kota do domu.

Belle wróciła przed nią, rozmawiała przez telefon w kuchni. Delia słyszała, jak się śmieje. Wbiegła na palcach po schodach, otworzyła drzwi swojego pokoju, postawiła pudełko na podłodze i zamknęła drzwi. W lustrze wyglądała jak osoba szalona. Do czoła miała poprzyklepane kosmyki mokrych włosów, sweter na ramionach aż czarny od deszczu, torebkę całą w plamach i zaciekach.

Pochyliła się nad kartonem i otworzyła klapy. W środku siedział kotek z grzbietem wygiętym tak, że wyglądał jak ślimak, i wpatrywał się w Delię. Cofnęła się, usadowiła na łóżku i przeniosła spojrzenie zdecydowanie w innym kierunku. W końcu kot wyskoczył z pudełka. Zaczął obwąchiwać deski podłogi. Delia nie ruszała się z miejsca. Dał nurka pod komodę i powrócił stamtąd z zakurzonymi wąsami. Zbliżył się okrężną drogą do łóżka, lecz patrzył w inną stronę. Delia odwróciła głowę. Po

chwili poczuła, że materac leciutko opada - kot wskoczył. Znalazł się za nią, lekko ocierając się całym ciałem o jej plecy, jakby działo się to przypadkiem. Delii nawet nie drgnął mięsień. Czowała się tak, jakby odprawiali razem taniec - wymyślne, pełne godności zaloty.

A przecież naprawdę nie mogła go zatrzymać.

Nagle usłyszała na schodach klekot butów Belle, która wchodziła na górę. Prawie nigdy tu nie bywała, ale dzisiaj widocznie postanowiła złożyć wizytę. Delia rzuciła wzrokiem na kota, chcąc dać mu sygnał, by się schował. On zaś tylko zamarł w bezruchu i szeroko otwartymi oczami wpatrywał się w drzwi. Puk, puk. Kot bęcnął na środek poduszki, naprężył pionowo ogon, który sterczał jak szczotka do butelek. Oczywiście, że nie sposób było go nie zauważyć.

Delia wzięła kotka pod małe ciepłe i puszyste pachy. Czowała szybkie bicie jego serca.

- Chwileczkę! - zawołała. Sięgnęła po pudełko.

Belle musiała jednak nie dosłyszeć, bo wpadła do środka.

- Delio, mam tu... - zawołała śpiewnie. - A co to? Delia się wyprostowała.

- Właśnie chcę go komuś oddać - powiedziała.

- Ojej. Ale słodki!

- Nie przejmuj się, wcale nie chcę go zatrzymać.

- Ale czemu nie? Przecież jest... nauczony czystości, prawda?

- Na miłość boską, wszystkie koty są nauczane czystości! - odparła Delia.

- No coś ty! Nie chcesz zatrzymać tych małych słodziutkich łapek? Tych rozkosznych małych łapeczek? - Belle pochyliła się teraz nad kotkiem, podsuwając mu do powąchania swoje lakierowane paznokcie. - Mój ty mechaty nosku - piała. - Moja ty potargana główko. Moja ty puszysta kuleczko.

- Detektyw pana Pomfreta znalazł go na deszczu - wyjaśniła Delia. - Po prostu mi go zostawił. Nic nie mogłam na to poradzić. To znaczy wie-

działam, że nie mogę sama go zatrzymać. No bo na przykład: gdzie bym miała postawić kuwetę na odchody?

- A w łazience? - spytała Belle. Zaczęła drapać kotka za uszkami.

- Ale jak by tam chodził?

- Mogłabyś zostawiać uchylone drzwi. Żeby mógł wchodzić i wychodzić, kiedy chce - odparła Belle. - Ojej! Wiesz, jaki mięciutki? Właściwie nie mam pojęcia, po co w ogóle je zamykasz? W takim małym miasteczku. Myślisz, że kto tu cię obrabuje? Kto tu się zakradnie i cię zgwałci?

- No, ale...

- Wierz mi, Lamb na pewno nie miałby dość ochoty. Belle głaskała kota pod pyszczkiem, a on odrzucił do tyłu główkę w błogiej rozkoszy. Zaczął mruzczyć, jak ford, model T.

- Nie wiem, czy chcę sobie aż tak komplikować życie - powiedziała Delia.

- Czy on może coś komplikować? Czy może sprawiać kłopot?

Delia widziała kopertę w wolnej ręce Belle. Pewnie to z nią wybrała się na górę. Na kopercie maszerowały dumne litery pisane ręką Eleanory. Delia nagle poczuła się przeciążona. Wszystko tak na nią napierało!

A jednak kiedy Belle spytała:

- Zatrzymasz tego słodziutkiego puchu-puchu? Delia odparła:

- Chyba tak.

- No to świetnie. Nazwijmy go Puchatek, co ty na to?

- Hmm - mruknęła Delia, udając, że się zastanawia.

Nigdy nie lubiła pieszczotliwych imion dla kotów. A poza tym chyba w którymś momencie zaczęła już o nim myśleć jako o George'u.

List Eleanory zaczęła czytać dopiero w łóżku. Był podobny do innych: podziękowania za kartkę Delii, nowiny o pracy przy Posiłkach Na Kółkach. *Naprawdę możesz liczyć na empatię z mojej strony, naprawdę rozumiem, że chcesz zacząć od nowa!* - pisała. (Starannie dobrane sformułowanie mo-

żesz liczyć na empatię z mojej strony wskazywało na to, że starała się wyrazić precyzyjnie).

*I z ulgą przyjmuję, że właśnie z tego powodu wyjechałaś. Myślałam, że chodzi o Sama. Zastanawiałam się, czy nie dawał Ci wyraźnie do zrozumienia, że chce mieć bojową żonę, bo w takim wypadku Ciebie naprawdę trudno byłoby winić.*

*A czy myślisz, że kiedy skończysz okres zaczynania od nowa, to będziesz się starała dogonić terażniejszość i wrócić do domu? To tylko pytanie.*

*Kochanie, bardzo mocno Cię ściskam*

*Eleonora*

Puszysta łapka pacnęła o kartkę. Delia odłożyła list. Kotek znalazł sobie miejsce na kocu obok niej. Zjadł ogromną porcję i złożył dwie wizyty w prowizorycznej kuwecie na odchody, ustawionej w łazience. Widziała, że kotek zaczyna się czuć jak u siebie w domu.

Sięgnęła po książkę - Carson McCullers - otworzyła ją w miejscu, w którym skończyła czytać poprzedniego wieczoru. Przeczytała dwa opowiadania i zaczęła trzecie. Stwierdziła jednak, że ogarnia ją senność, położyła więc książkę na parapecie, zgasła małą lampkę i umieściła ją na okładce książki. Przez uchylone okno sączyło się światło, rzucając złote pasmo na podłogę. Zsunęła się niżej na łóżku, lecz bardzo ostrożnie, żeby nie niepokoić kotka. Właśnie urządził sobie kąpiel. Poruszając się miarowo, za każdym razem opierał się na jej żebrach niby przypadkiem, lecz Delia była pewna, że robi to specjalnie.

To naprawdę dziwne, że zwierzęta chcą razem z ludźmi dzielić schronienie. Gdyby Delia znalazła się w leśnej głuszy, absolutnie by się zdumiała, jakby jakieś stworzenie zaczęło się do niej tulić.

Ziewnęła, zamknęła oczy i naciągnęła koc na ramiona.

Jedno z przeczytanych dzisiaj przez nią opowiadań nosiło tytuł *Drzewo, skała, chmura*. Bohater twierdził, że ludzie powinni najpierw nauczyć się kochać mniej skomplikowane obiekty, a dopiero potem drugiego człowieka. Proponował, by zaczynali od czegoś mniej złożonego. Jak drzewo.

Albo skała. Albo chmura. Rytm tych słów dudnił Delii w głowie: drzewo, skała, chmura.

Najpierw sama, potem niezobowiązująca jedna czy druga znajomość, następnie małe niewymagające zwierzę. Zastanawiała się, co nastąpi później i do czego dojdzie.

RS

## Rozdział 10

W niedzielę poprzedzającą Święto Dziękczynienia Belle czatowała na Delię u podnóża schodów.

- Cześć, Dee - powiedziała. - Co robisz w święta?

- No... hmm.

- Przyjdiesz do mnie na obiad?

- Dzięki, z wielką ochotą - odparła Delia.

- Będzie typowe danie: indyk, sos z żurawin...

- Nie wiedziałam, że zajmujesz się kuchnią!

- Bo się nie zajmuję - odparła ponuro Belle. - Ale uknułam spisek. Usiłuję pokazać się również jako gospodyni domowa temu facetowi, z którym się spotykam.

W tej chwili ani trochę nie wyglądała jak gospodyni domowa. Niedziela zawsze była ruchliwym dniem dla agentów od nieruchomości, Belle więc stała ubrana do wyjścia. Miała na sobie wielki fioletowy płaszcz z ramionami tak bardzo wypchanymi, że sterczały na boki niby naramienniki kombinezonu przybysza z kosmosu. Na dole falowały jej liliowe spodnie, a dookoła unosił się pikantny zapach zbyt ciężkich perfum.

- Przyjdzie też Vanessa z Greggiem - powiedziała po chwili. - Miło, że będzie dziecko, prawda? I ci nietutejsi, którym sprzedałam dom, to znaczy małżeństwo. Zawsze dobrze jest...

- A ja pomogę w kuchni - domyśliła się Delia.

- Och, tak między nami, to wszystko kupię gotowe. Myślę, że ty nadasz temu wszystkiemu... jak by tu powiedzieć... elegancji. Ten facet musi mnie widzieć jako kobietę na poziomie i szanowaną. Mogłabyś też mi poradzić w tych wszystkich drobiazgach, o które dba żona: jak udekorować środek stołu i tym podobne. Bo chyba robiłaś to u siebie, prawda? Masz ten jakiś jakby koszyk, co wygląda jak róg obfitości?

- No, nie tutaj - odparła Delia. - Ale chętnie coś wymyślę.

- Świetnie - ucieszyła się Belle. Odsunęła kota czubkiem buta - zszedł na dół za Delią - i otworzyła frontowe drzwi. Obie wyszły na chłodne



powietrze o blaszanej barwie. - Ten facet nazywa się Henry McIlwain, mówiłam ci o tym? - odezwała się. - Spotykamy się od kilku tygodni i chciałabym zacząć to bardziej ukierunkowywać. Nie chcę, żeby uważał mnie tylko za jakąś rozrywkową kobitkę! Mogłabyś coś tam przy nim nadmieniść? Wiesz, na przykład: „Ojej, Belle, mam nadzieję, że zrobiłaś tę swoją słynną potrawę z brukselki”.

- Zapiekasz mu brukselkę?

- Nie mam wyjścia. To jedyna zielona jarzyna z Garmażerii Copp, jaka mieści mi się w piekarniku.

- A kiedy mieszkałaś z Nortonem, to jak sobie radziłaś z gotowaniem?

- Jadaliśmy poza domem. Ale teraz chcę, żeby wszystko było inaczej. Może kiedy by słuchał, poprosiłabyś mnie o jakiś przepis?

- Już nawet nie mogę się doczekać, co mi na to odpowiesz - roześmiała się Delia.

- Obiad jest o pierwszej, ale może być przyszła chwilę wcześniej i pomogła mi nakryć? I włóż tę szarą w prążki. Ta szara w prążki jest taka... no, szara, wiesz, o co mi chodzi?

W Święto Dziękczynienia Delia spała do późna i przebałaganiła cały ranek, pijąc herbatę i czytając w łóżku, mając u boku zwiniętego w kłębek kota. Po przeciwnej stronie holu, w pokoju pana Lamba, monotonnie buczał głos prezentera. Zorientowała się, że to głos prezentera telewizyjnego, a nie radiowego. Teraz, kiedy trzymała drzwi uchylone, dolatywały ją raz wznoszące się, raz cofające się fale muzyki, zupełnie bez wyraźnego powodu, w odpowiedzi na jakiś wizualny sygnał. Dziś za każdym razem, gdy wychodziła po wodę na herbatę, słyszała konkretne fragmenty zdań. Na przykład: „Matka niedźwiedzica prowadzi małe...” albo: „Pajęczycza użądła swoje ofiary...” Najwyraźniej pan Lamb oglądał filmy przyrodnicze.

Tuż po dwunastej wstała i zaczęła się ubierać. Żałowała, że nie ma sznurka pereł, w którym by wyglądała bardziej uroczyście. A przecież miała apaszkę w drobny wzorek, z szarymi przecinkami na obrębie. Tak,

miała, w Baltimore. Widziała, jak leży złożona w babcinym lakierowanym pudełku na rękawiczki.

Umalowała usta bardziej jaskrawą szminką i pochyliła się do lustra, by przyglądać włosy. Były teraz dłuższe, dzięki czemu jej loczki stały się mniej niesforne - bardzo odpowiednie dla panny Grinstead. Lecz kiedy cofnęła się od lustra, by się przekonać co do efektu całości, na myśl wcale jej nie przyszła panna Grinstead, tylko Rosemary Bly-Brice.

Gwałtownie odwróciła się od lustra i chwyciła wazon jesiennych kwiatów, które kupiła poprzedniego dnia.

Kiedy wyszła, kot ruszył za nią. Pędził z góry po schodach, a gdy pukała do drzwi dużego pokoju, ocierał jej się o kostki. Nikt nie odpowiedział, spróbowała więc pod następnymi drzwiami, tymi na prawo, aż w końcu przekręciła gałkę i wsunęła głowę do jadalni.

- Jest tu kto? - spytała.

Na miłość boską, Belle naprawdę potrzebowała jej pomocy, bo stół - jeden z tych długich, wąskich, ze sklejki, jakie widuje się na bazarach Stowarzyszenia Rodzice-Nauczyciele - nawet nie był jeszcze nakryty. Delia postawiła kwiaty i weszła dalej, do kuchni.

- Belle? - zagadnęła.

Belle stała oparta o zlew. Ręce miała splecione na karczku wzburzonego falbankami białego fartuszka. Po twarzy spływały jej łzy.

- Belle? Co się stało? - spytała.

- Nie przyjdzie - odparła Belle ochryłym głosem.

- Twój facet?

- Wrócił do żony.

- Nie miałam pojęcia, że jest żonaty.

- Niestety, tak.

- Bardzo mi przykro.

W istocie była wstrząśnięta, lecz próbowała tego nie okazać. Nic dziwnego, że Belle tak bardzo chciała wyglądać na szacowną! Delia lekko ją pogłaskała, w razie gdyby potrzebowała pocieszenia. Okazało się, że tak,

bo natychmiast rzuciła się Delii w ramiona, gorzko szlochając przy jej szyi.

- Był akurat dla mnie! - łkała. - Akurat taki, jakiego potrzebowałam! A tu dzwoni dziś rano i... och, powinnam się zorientować po jego cichym mówieniu, tak tajemniczo mamrotał, jakby się bał, że ktoś go usłyszy...

Wysunęła się z objęć Delii i oderwała papierowy ręcznik z rolki nad zlewem. Osuszając najpierw jedno oko, potem drugie, powiedziała:

- Mówi do mnie: „Belle, w związku z dzisiejszym dniem. Coś się wydarzyło”. A ja pytam: „Tak? Co takiego?” Myślałam, iż chodzi o to, że nie może zapalić samochodu albo że chce przyprowadzić kogoś znajomego. Ale on mówi: „Wiesz, no, chyba Róża i ja znów będziemy razem”.

- Róża to jego żona? - domyśliła się Delia.

- Tak, a dzidziusia nazwali Żonkil. Dasz wiarę?

- To mają dziecko?

- Tak, ale wcale nie urodziło się na wiosnę, tylko w październiku!

- Chcesz powiedzieć, że w tym roku w październiku? Belle skinęła głową, głośno wycierając nos.

- To znaczy, że ma miesiąc?

- No, sześć tygodni.

- Aha.

Belle włożyła nowy fartuszek, tak nowy, że dało się zauważyć ślady po szpilkach, którymi był spięty w opakowaniu. Fryzurę miała wyższą niż zwykle i po raz pierwszy Delia widziała ją w sukience - to znaczy domyślała się, że ma na sobie sukienkę, bo spod fartuszka wyglądały nogi w nylonowych pończochach z białym jak mróz połyskiem niby nalot na śliwkach. Lecz twarz wyglądała okropnie - szminka rozmazała się, a tusz spod oczu spływał czarnymi łzami po policzkach.

- Musisz się umówić z kimś innym - powiedziała, ocierając łzy. - Nie przeżyję tego obiadu.

- Przecież wszystko gotowe - zaproponowała Delia. Patrzyła na owinięte w folię jednorazowe półmiski stojące na blacie, talerze i srebro ustawione na kuchennym stole, na puste półmiski i salaterki, które czekały, by je

napełniono. Przez szybkę oświetlonego piekarnika widziała brązowego indyka, chociaż z jakiegoś powodu nie czuła jego zapachu. -Ten indyk jest prawie gotowy - stwierdziła.

- Bo przywieźli go upieczonego. Ja tylko miałam go podgrzać. Musiałam go schować na noc do lodówki.

- To przecież możemy zrobić to przyjęcie. Może się rozweselisz.

- Nic mnie teraz nie rozweseli - żaliła się Belle.

- Oj, daj spokój. Usiądź, 'a ja wszystkim się zajmę.

- Naprawdę wolałabym umrzeć - jęknęła Belle, przyciągając sobie jedno z kuchennych krzeseł. Opadła na nie i sięgnęła po kota. - Jestem za stara na to, by mnie wystawiać do wiatru. Męczą mnie te ciągle pierwsze randki.

Delia nie odpowiedziała, bo usiłowała znaleźć obrus. Nie miała pojęcia, gdzie Belle może trzymać takie rzeczy. Kuchnia była urządzona w stylu lat pięćdziesiątych - połyskliwe ściany świeciły pustkami, przy nich stały ogromne białe lodówka i zmywarka, białe metalowe szafki, niektóre z szufladami, całe w rdzawych plamkach. Wysuwała po kolei pobrzękujące szuflady. Większość z nich była pusta. W końcu natrafiła na tłumok materiału pod zlewem.

- Aha! - wyrwało jej się. Strzepnęła pognieciony adamaszkowy obrus. Zniosła go do jadalni i nakryła nim stół, a na środku postawiła kwiaty. - Na pewno masz gdzieś świeczniki! - zawołała.

- Spotkaliśmy się wiosną tego roku - powiedziała Belle. - To ja sprzedałam ich dom. Przeprowadzili się do większego ze względu na to, że miało się urodzić dziecko. Nie uwierzysz, że w tej sytuacji na rynku zabrało mi to pół roku.

Delia otworzyła wszystkie szuflady zielonej jak jabłko komody, która służyła za bufet. Znalazła dwa świeczniki, które leżały w krążku zwiniętych przedłużaczy. Ustawiła świeczniki po obu stronach wazonu z kwiatami. Tymczasem w kuchni Belle była na etapie sprzedawania domu akurat wtedy, gdy urodził się dzidzius Zonkil.

- Data podpisania umowy wypadła dwa dni przed porodem - mówiła.  
- Maleństwo urodziło się trzy dni później. Naturalnie więc wpadłam do szpitala z prezencikiem. Za te rzeczy można sobie odpisać od podatku. No, był tam Henry, cały dumny, prawdziwy tatuś. Poprowadził mnie korytarzem tam, gdzie można oglądać noworodki przez szybę, i pokazał swoje maleństwo. Takie śliczne i rozkoszne i tak dalej. Po prostu coś do niego poczułam, no wiesz. Stałam tam i nie słyszałam ani słowa, tylko patrzyłam, jak poruszają mu się usta. Nagle pomyślałam: „A jakbym tak podeszła i go pocałowała? Co by wtedy zrobił?”

- A świece? - wtrąciła Delia.

- Zobacz w szafie na szczotki. - Belle wydmuchała nos, trąbiąc tak głośno, że kot czmychnął jej z kolan. - A tak w ogóle to wcale nie jest w moim typie - ciągnęła. - Był chudy! Błady! Jak od komputera! No, ale stałam tam i myślałam: „A jakbym tak rozpięła bluzkę przed tą szybą z noworodkami? Cały czas wpatrywałam się w jego usta i lizałam językiem dolną wargę”.

Świece nie znalazły się w szafce na szczotki, tylko na lodówce, w pożółkłym białym pudełku. Nawet same świece też pożółkły i lekko się wygięły. Lecz Delia mimo to wstawiła je w świeczniki. Potem wzięła z kuchni talerze i sztucę i nakryła w jadalni. Belle opowiadała właśnie o kolce niemowlęcia, głupich kłótniach młodych rodziców, współczuciu i kojącym zrozumieniu z jej strony.

- Knułam i spiskowałam, przyczałam się - ciągnęła. - Powiedziałam mu, że moje drzwi zawsze są otwarte. O drugiej, trzeciej, czwartej w nocy mógł się wyrywać od tego zapachu bawarki i brudnych pieluch i przychodzić tu, gdzie czekałam w swojej wąskiej jak ołówek koszulce nocnej z „Sekretu Wiktorii”.

I pomyśleć tylko, że wszystko to działo się wtedy, gdy Delia twardo spała! Sprawdziła, czy indyk jest gotowy. Chyba zapadł się przy mostku. Wzięła oblepiony folią półmisek z brukselką i włożyła do piekarnika na tosty, nastawionego na 350 stopni. Były też ciasteczka, lecz z odgrzaniem ich poczeka do ostatniej chwili.



- Aż tu dwa tygodnie temu Róża wraca do swojej mamy - mówiła Belle. - Zabiera z sobą Żonkila i wynosi się. Czułam się niebiańsko. Nie zauważyłaś, że ostatnio promieniałam? Och, Delio, jak ty możesz wytrzymać bez miłości?

Delia, trzymając w ręce paczkę serwetek papierowych we wzorek przedstawiający pielgrzymów, zawahała się nad odpowiedzią.

- Hm, chyba brakuje mi przytulania, uścisków - powiedziała. - Ale kiedy teraz się nad tym zastanawiam, tylko jakoś mnie to zdumiewa, to znaczy ta cała reszta. Zadaję sobie pytanie: „Dlaczego kiedyś dawno temu wydawało się to takie strasznie ważne?” Myślę, że to chyba...

Zadzwonił dzwonek u drzwi.

- Och, Boże, nie odwołałyśmy obiadu - przeraziła się Belle, jakby nie była przez cały czas świadkiem krzątania Delii. - Cholera! Nie wytrzymam tego! Proszę cię, zobacz, kto to, a ja coś zrobię z twarzą.

Idąc przez jadalnię do holu, Delia czuła się jak szara, chuda dziewczyna, jak stara panna będąca czyjąś ciotką, która miała specjalne zadanie do wypełnienia.

W drzwiach stała Vanessa. Ubrana była w skórzany blezer i dżinsy. Na biodrze trzymała Greggiego. Za nią właśnie wysiadali z samochodu kobieta i mężczyzna, którzy pewnie byli zaproszonym przez Belle małżeństwem. Zanim weszli na ganek, Delia miała tylko króciutką chwilę, by szepnąć do Vanessy, co się stało.

- Henry McIlwain wrócił do żony.

- Oj, oj, a kto to taki? - zaczął mężczyzna Greggiego.

Był młody, miał nie więcej niż ze trzydzieści lat, ale zdaniem Delii wyglądał tak statecznie jak mężczyzna w średnim wieku. Czupryna czarnych włosów przerzedzała mu się na czole, miał na sobie długi czarny płaszcz. Jego żona była zadbaną atrakcyjną brunetką w schludnym kostiumiku z czerwonej wełny, przypominającym ubranko Barbie.

- Jestem Delia Grinstead - przedstawiła jej się. - A to Vanessa Linley... znacie się, panie?... A to Greggie.



- Nazywamy się Hawserowie - oznajmił mąż za ich oboje. - Donald i Melinda.

- Proszę do środka.

Chciała zaprowadzić ich do dużego pokoju, lecz kiedy się odwróciła, w drzwiach jadalni ujrzała Belle. Ta szczyrzyła zęby w uśmiechu i poprawiała sobie głęboki dekolt kwiecistej sukienki zapinanej z przodu na guziczki.

- Wszystkiego dobrego z okazji Święta Dziękczynienia! - wyśpiewała. Poprawiała sobie makijaż, lecz niewiele to dało, bo nadal widać było szare zacieki na policzkach, a oczy miała czerwone i napuchnięte. Niemniej jednak dalej śpiewnie witała gości: - Jakże się cieszę, że przyszliście! Wejdźcie, siadajcie!

Usiąść można było tylko przy stole.

- Donaldzie, siadaj po mojej prawej - dysponowała Belle - a Vanessa po lewej. Greggie będzie siedział przy tobie. W kuchni są książki telefoniczne, można je podłożyć, żeby miał wyżej. A ty, Melindo, usiądź z drugiej strony Greggiego.

No cóż, może zasiadanie od razu do posiłku to miejscowy zwyczaj, lecz nawet Vanessa wyglądała na zdziwioną, a mąż (nadal w płaszczu) stał przez chwilę i dopiero potem ruszył na swoje miejsce.

- Czy... spóźniliśmy się? - spytał Belle.

- Czy się spóźniliście? Nie, skądże! - odparła i perliście się roześmiała. - Delio, a ty usiądź koło... - Przerwała. -Ojej! - zawołała po chwili. - Delio! No co ty?!

- O co ci chodzi? - spytała Delia.

- Rozpędziłaś się, jest za dużo nakryć!

W istocie tak było. Delia bowiem skrzętnie przyniosła z kuchni wszystkie przygotowane nakrycia, w tym przeznaczone dla Henry'ego McIlwaina. Belle zerknęła w stronę krzesła przy końcu stołu, do oczu znów napłynęły jej łzy.

- Przepraszam - powiedziała do niej Delia. - Możemy po prostu...

- Idź po pana Lamba - rozkazała Belle.

- Po Lamba? Tego z góry?

- Ale pośpiesz się. Wszyscy czekamy. Powiedz, że zaczniemy jeść bez niego, jeżeli zaraz tu nie przyjdzie.

Delia nie miała pojęcia, co by mieli zaraz zacząć jeść, bo w pokoju nie widać było ani kęsa. Lecz Vanessa, wracając z kuchni z książkami telefonicznymi, zwróciła się do niej:

- Ty idź, a ja wszystko ustawię na stole.

Delia wyszła do holu, który wydawał jej się bardzo cichy w porównaniu z jadalnią. Kiedy wspinała się po schodach, kot kręcił się jej pod nogami. Zapukała do drzwi pana Lamba.

- Łososie rzucają się pod prąd - oznajmiał poważny głos.

Drzwi się uchyliły, ukazała się wąska jak drzazga, wychudzona twarz pana Lamba.

- Tak? - spytał, a po sekundzie wydał okrzyk: - Ojej! - Bo kot wemknął się przez szparę.

- Belle przysłała mnie, bym zaprosiła pana na świąteczny obiad.

- Ale chyba pani kot wpadł do mojego pokoju!

- Przepraszam - powiedziała Delia. - George, chodź tutaj.

Wyciągnęła rękę, by złapać kota, na co Lamb niechętnie otworzył drzwi o kilka centymetrów szerzej. Delia poczuła orzechowy zapach noszonych ubrań, które nie uprane zostały wciśnięte do szuflady. W mroku błyskało lodowate światło telewizora. Podniosła George'a i wycofała się do holu.

- Już jakiś czas temu chciałem zwrócić uwagę na urządzenia toaletowe pod umywalką w łazience - odezwał się Lamb.

- Na urządzenia...?

- Czy pani kot nie może robić tego na dworze?

- W nocy to niemożliwe - odparła Delia. Mocniej uchwyciła George'a. - To przyjdzie pan na obiad czy nie?

- O której?

- Hm... teraz?

- Chyba się wybiorę - powiedział Lamb.

Spojrzał na swoje ubranie - wyciągnięty podkoszulek, wypchane ciemne spodnie - i ze smutkiem zamknął jej drzwi przed nosem.

Delii wydało się to dziwne, że ktoś, kto tak lubi oglądać programy przyrodnicze, ma zastrzeżenia do obecności nieszkodliwego kota.

Na dole Vanessa skończyła ustawiać wszystko na stole -indyka, brukselkę, sos z żurawin, tłuczone pataty posypane małutkimi kolorowymi groszkami, wszystkie potrawy na półmiskach, na których zostały kupione. Nadal ubrana w skórzany blezer, zaczynała wyjmować łyżką nadzieje z indyka. Greggie siedział niedbale na stosie książek telefonicznych i ssąc kciuk, patrzył na matkę spod ciężkich powiek. Musiała to być dla niego pora drzemki.

Belle rozmawiała z Hawserami o Henrym.

RS

- Zupełnie nie rozumiem - mówiła - kiedy to mogło się stać. Wczoraj o dziesiątej wieczorem wszystko grało. Byliśmy z Henrym na naprawdę miłej kolacji w Ocean City. A tu nagle dziś w południe taki telefon, że niech to. Zupełnie się zmienił.

- Wynika z tego, że rano pojawiła się żona - oświadczył tonem mędrca Donald Hawser. Przerzucił płaszcz przez oparcie swojego krzesła i zapalał świece srebrną zapalniczką. - Pewnie wstała dziś rano z łóżka i powiedziała do siebie: „No i tak, Święto Dziękczynienia, a ja daleko od domu. To przecież rodzinne święto”.

Delia postawiła kota na podłodze i usiadła obok Donalda. „Rodzinne święto - pomyślała - a ja jem kupionego pieczonego indyka w gronie nieznamych”. Czuła się jak przeżywająca przygodę trzpiotka.

- „Siedzę tu z mamą, a powinnam być razem z mężem”, powiedziała do siebie - ciągnął Donald - i szybciotko spakowała walizkę. Wróciła do niego, a on nie mógł powiadomić cię wcześniej niż około południa, bo co miał zrobić? Od razu pobiec do telefonu, jak tylko weszła?

- Donald jest ekspertem w każdej dziedzinie - oświadczyła jego żona i sucho się zaśmiała.

Siedziała bardzo spięta, nie opierała się plecami o krzesło. Włosy miała wywinięte na końcach w zakrętasę podobne do efów w pudle skrzypiec.

- Zgadza się, można to nazwać darem - niewzruszony Donald przyznał rację żonie. - Mam zdolność przedstawiania wydarzeń. Rozumiecie, najpierw cała sprawa jej zagospodarowania się w domu. Nie zapominajcie, że ma ze sobą dziecko, torbę z pieluchami, no i pewnie takie krzeselko dla dziecka do samochodu...

- Ale przecież mógł ją odesłać z powrotem! - wybuchła Belle. - On jej nie kocha! Powiedział mi, że jej nie kocha!

- Hm, a co innego miałby powiedzieć? - skomentował Donald, rozpie-  
rając się na krześle.

Vanessa skończyła dzielenie indyka na porcje. Delia zaczęła podawać inne potrawy. Poczowała, że brukselka jest ledwie letnia. Pataty były zimne jak prosto z lodówki, lecz mimo to każdy po trochu ich sobie nałożył.

- Masz rację - powiedziała Belle. - Oj, kiedy ja się nauczę? Zupełnie jakby mi się to zdarzało co drugi tydzień. Norton Grove był jedynym, który rozwiódł się dla mnie, ale jak to się skończyło!

- No, jak się skończyło? - spytała Delia.

- Zakochał się w hydrauliczce, która przyszła przepchać nam zlew.

Donald skinął głową, jakby chciał powiedzieć, że to było do przewiedzenia.

- Tak samo twierdzi Ann Landers w swojej rubryce -zauważyła Belle. - Mówi, że mężczyzna, który porzucił żonę, najprawdopodobniej po jakimś czasie ciebie też porzuci.

- Może więc powinnaś się rozejrzeć za kimś, kto nie jest żonaty - rzuciła Vanessa, podając synkowi skrzydełko indyka.

- No tak, ale mi chyba brak wyobraźni. To znaczy nie potrafię wyobrazić sobie, że wychodzę za jakiegoś mężczyznę, póki nie zobaczę go żonatego z inną. Wtedy sobie mówię: „Przecież to byłby dobry mąż dla mnie!”

Otworzyły się drzwi prowadzące z holu i stanął w nich Lamb, ubrany w połyskliwy czarny garnitur, przy którym jego skóra wyglądała jak popiół.

- Och, Boże, ma pani gości - powiedział.

- Tak jest, proszę pana. Pan też jest moim gościem -odparła Belle. - To Donald Hawser, Melinda Hawser... Vanessa i Greggie, których na pewno już pan tu widział. A to pan Horace Lamb - zwróciła się teraz do pozostałych. Niedbale machnęła ręką w stronę jedyne go wolnego krzesła, mówiąc: - Proszę siadać.

- Nie mogę zostać zbyt długo.

- Ależ, panie Lamb, proszę siadać.

Wszedł do środka, lekko szurając, aż Delia spojrzała w dół na jego stopy. Był w papierowych kapciach, które dostaje się za darmo w szpitalach.

- Dziś po południu będzie tylko sport, sport i sport -oznajmił, opadając na krzesło. - Wszystkie codzienne programy są zmienione. Jestem skazany na kanały edukacyjne.

- No proszę! - odezwał się Donald. - A komu pan będzie kibicował?

- Słucham? W dni powszednie lubię popołudniowe opery mydlane. Tak, przyznaję się do tego. Kiedy jestem w drodze, to w każdy boży dzień zarządzam sobie postój i oglądam *Wszystkie moje dzieci*.

- A czym się zajmujesz, Horace? Mogę mówić ci po imieniu?

- Sprzedaję okna zimowe - odpowiedział Lamb. Wziął do ręki podaną mu salaterkę patatów i zajrzał do niej. - Wygląda to na niezmiernie pożywne - zauważył. Długie przednie zęby miał tak wystające, że usta z trudem mu się na nich rozciągały. Skóra na twarzy wyglądała na naciągniętą i w nader skomplikowany sposób podwieszoną na zuchwie. Podniósł na Belle głęboko osadzone oczy i powiedział: - Żałuję, ale, niestety, mam wrażliwy żołądek.

- Ależ niech pan to zje - rzuciła Belle. - Dobrze panu robi. Rozmawiamy o żonatyh mężczyznach.

- Słucham?

- Mam w sobie jeszcze coś takiego, że patrzę na żonatego mężczyznę i nie mogę uwierzyć, że nie uzna mnie za porywającą.

- Porywającą?

- Panie Lamb, mówię do wszystkich tu przy stole. Proszę jeść obiad. Widzę takiego mężczyznę z żoną, myszowatą i nudną, która nawet nie stara się zadbać o siebie, i myślę sobie: „Dlaczego nie miałby woleć mnie? Jestem o niebo zabawniejsza i w dodatku ładniejsza”. Ale te żony... nie wiem... dziwnym sposobem trzymają tych mężów, a ja nie potrafię ich oderwać. Czy jest w tym jakiś tajemny chwyt? Jakiś sekret, który wszystkie sobie przekazujecie?

Zwróciła się do Melindy Hawser, lecz ta znów tylko wydobyła z siebie urywany śmiech i zaczęła skubać biskwit na talerzu.

- Coś takiego jest, prawda? - zwróciła się do Delii.

- Nie, skądże! - odparła zapytana. - Tu chodzi raczej o... jak by tu powiedzieć? Jest takie słowo... termin naukowy. Siła rozpędu?

- Inercja - wtrącił Lamb.

- No właśnie. - Spojrzała na niego. - Chodzi po prostu

o to, że ludzie pozostają na swoim miejscu.



- No, ale jeśli chodzi tylko o to - dociekała Belle - to dlaczego Katie O'Connell odfrunęła na Hawaje z Larrym Wattsem? Ona odkryła ten sekret. Przecież kiedy Larry tu wynajmował pokój, to nigdy na mnie nawet nie spojrział! Prawie mnie unikał. Jak go kiedyś zaprosiłam na dół na małego drinka, to zachował się tak, jakbym była jakąś zdzirą!

Usta jej się wykrzywiły, zakryła oczy dłonią.

- No, co ty! Hej! - zawołał Donald.

- Ojej, Belle, nie płacz - prosiła Vanessa.

A Lamb zaczął gwałtownie skubać się za nos.

- Prawdę mówiąc - odezwała się Melinda kryształowym głosem - zupełnie nie rozumiem, czego możesz chcieć od czyjegoś męża.

Zapadła cisza, w której wszyscy biesiadnicy jakby ponownie zaczęli się zastanawiać.

- Kto pierwszy wymyślił małżeństwo, jak myślisz? -zwróciła się Melinda do Greggiego. Wytrzeszczył na nią oczka zza tłustej piąstki, która ścisnęła skrzydełko indyka. -Wszyscy tak się do niego pchają. Zwłaszcza kobiety. Twoja matka i ciotki, i przyjaciółki. A potem, jak już wyjdiesz za mąż, dopiero potem widzisz, jaki on jest cały przejęty sobą i ciągle za czymś goni, ciągle ma te swoje teorie

1 stwierdzenia, ciągle pieje o tych swoich triumfalnych zwycięstwach w pracy. „Powiedziałem im, że to, powiedziałem im, że tamto”. A ty: „A co ci odpowiedzieli?” On wtedy: „No, wiesz co, a potem powiedziałem im to i to i wszystko wygarnąłem, wszystko bez ogródek, powiedziałem...” A kiedy opowiadasz o tym matce, ciotkom i tak dalej, one mówią: „No tak, zgoda, małżeństwo to udręka”. A ty chciałabyś wtedy spytać: „Jeżeli tak uważacie, to dlaczego nie powiedziałyście mi tego przedtem? Gdzie byłyście, kiedy ogłaszałam swoje zaręczyny?”

- Ha. No tak - skonstatował jej mąż. Powiódł wzrokiem po wszystkich zebranych przy stole. - Kochanie, jeszcze pomyślą, że mówisz o naszym małżeństwie.

Wszyscy czekali, lecz Melinda tylko nadziała brukselkę na widelec.

- Ależ skądże, nikt z nas nigdy by tak nie pomyślał -zapewniła go Belle. Siedziała teraz wyprostowana, łzy zasychały jej na policzkach. - Przecież taki wspaniały z ciebie mężczyzna. Nigdy byśmy tak nie pomyśleli. - I zwróciła się do pozostałych: - Donald i Melinda są moimi klientami. Kupili stary dom Meersów, naprawdę śliczny. Donald ma wysokie stanowisko w fabryce mebli.

Melinda bardzo głośno przeżuwała brukselkę, a może tak się tylko wydawało, bo w pokoju panowała cisza.

- Pani Meers od jakiegoś czasu była w domu opieki -dodała Belle - ale jej mąż nadal mieszkał u siebie. Sam pokazał nam cały dom, uczył nas, jak korzystać z młynka do śmieci. Powiedział: „Tu w zamrażarce są sto czterdzieści cztery białka z jajek, bezpłatnie”.

- Ci ludzie robili domowy majonez - domyślił się Lamb. Belle chciała dalej opowiadać, lecz zawahała się i spojrzała na niego.

- Nie sądzę, by interesował cię rynek okien zimowych -Lamb zwrócił się do Donalda.

- Zgadza się, nie - odparł zapytany, patrząc na żonę.

- No, tak myślałem.

- Ten dom jest taki zadbane - odezwała się Belle. -Meersowie mieli bziaka na jego punkcie. A Donald, Don... - Uśmiechnęła się do niego. - Don natychmiast to zauważył. Jak tylko wszedł do środka.

- Nasze małżeństwo z Melindą jest naprawdę dobre. Minęło nam już siedem lat - oświadczył Donald, cały czas patrząc na żonę. - Byliśmy jedną z tych znanych par jeszcze w college'u. Chodziliśmy ze sobą, nazywano nas „Tryby”.

- To wiem już, jaką byliście parą - powiedziała Belle.

- A Melinda już tak długo mnie zna, ale wciąż mówi na mnie Sokół. Sokół Hawser - dodał i w końcu przekreślił odrobinę głowę, by napotkać wzrok Belle. - Grałem w drużynie koszykówki. Chyba byłem gwiazdą, jak to się mówi, chociaż byłem za niski, żeby przejść na zawodowstwo.

- Naprawdę?! - wyraziła zdumienie Belle.

- Sokół Hawser - powtórzył przeciągle.

- Niewykluczone, że o tobie słyszałam.

- To całkiem prawdopodobne, jeżeli zdarzyło ci się być w Illinois.

Znasz Jerry Bingle College?

- Jerry Bingle. Hm, tak.

- Grałem na środku.

- No rzeczywiście!

- A w połowie ostatniego roku...

- Chcę groszków! - domagał się Greggie. - Nie miał jak inne dzieci kłopotów z głoską „r”, wymawiał ją bardzo wyraźnie i w sposób wyrafinowany. - Mamo, chcę groszków!

W końcu Delia zebrała trochę kolorowych groszków z patatów i położyła je na talerzu chłopca. Wszyscy pozostali patrzyli na Belle. Z rozchyłonymi ustami, z zapartym tchem, cudownie ozdrowiała, jak w hipnozie gładka okrężnym ruchem najwyższy guzik i urzeczona wpijała się wzrokiem spod wilgotnych rzęs w usta Donalda.

## Rozdział 11

Czasami pan Pomfret polecał Delii, żeby wyszła i wrzuciła za klienta monety do parkometru. Zdarzało mu się strzelać palcami, kiedy chciał ją przywołać. Raz rzucił w jej stronę płaszcz i polecił zanieść do ekspresowej pralni chemicznej kilka domów dalej.

- Tak jest, proszę pana - mruknęła wtedy.

Po powrocie położyła mu na dłoni kwit z precyzją asystentki chirurga, która kładzie skalpel.

Teraz jednak zaczął się w niej rodzić bunt.

- Panno Grinstead, nie widzi pani, że właśnie robię „połącz” - upomniał ją, kiedy przyszła do niego z listami do podpisania.

- Przepraszam - powiedziała neutralnym tonem, zbyt gładko, z kamiennym wyrazem twarzy, lecz kiedy wróciła do swojego biurka, aż zawrzała, wymyślając szefowi w duchu: „Ty bubku, z tym swoim byle jakim komputerem! Ty bubku, z tym swoim *połącz* i tym *wyszukaj i skasuj!*”

Pewnego piątku na początku grudnia przyszedł przygarbiony siwy mężczyzna w kurtce baseballowej. Nie miał umówionego spotkania.

- Nazywam się Leon Wesley - powiedział do Delii. -Przychodzę w sprawie mojego syna Juwala. Myśli pani, że pan Pomfret znajdzie dla mnie chwilkę?

Drzwi do gabinetu szefa były zamknięte - wczesnym rankiem studiował bowiem nowe katalogi. Kiedy Delia spytała Pomfreta, czy przyjmie klienta, odparł jednak:

- Leon? Kładł mi nową nawierzchnię na podjeździe. Proszę go wprowadzić. Proszę zaparzyć nam dzbanek kawy.

Niemożliwością było nie podsłuchać przypadkiem, z jaką sprawą przyszedł Wesley. Wyrzucił to z siebie, zanim jeszcze usiadł. Młynek do kawy jednak tak warczał, że Pomfret musiał prosić gościa, by wszystko powtórzył. Wesley opowiadał, że Tuval zamierzał wstąpić do marynarki zaraz po Bożym Narodzeniu. Miał przed sobą bardzo obiecującą przyszłość,

specjalnie bowiem zadbano o to, by zdobył wysokie kwalifikacje, które dotyczyły jakiejś dziedziny techniki, niezbyt znanej Delii. Aż tu, całkiem jak grom z jasnego nieba, wczoraj wieczorem Juval został aresztowany za włamanie. Złapano go o dziesiątej, jak wchodził przez okno stołowego pokoju do domu Hanffów.

- Do Hanffów! - zdumiał się Pomfret. Byli właścicielami fabryki mebli, o czym wiedziała nawet Delia, jedyne zakładu przemysłowego w mieście. - Ładne rzeczy, że musiał, do diabła, włamywać się właśnie do nich!

Delia poszła do szafy po cukier, a kiedy wróciła, Pomfret nadal się zdumiewał, że chłopak wybrał sobie akurat takie ofiary.

- Przecież ten Reba Hanff nie uznaje biżuterii i nie ma nawet grama srebra - mówił. - Każdego centa oddaje jakiemuś kacykowi religijnemu w Indiach... Co ten chłopak miał nadzieję ukraść, na miłość boską?

- A ja chciałbym też wiedzieć, dlaczego - powiedział Wesley. - Tego już zupełnie nie potrafię zrozumieć. Potrzebował pieniędzy? Na co? Przecież nawet nie pije, nie mówiąc już o narkotykach. I nie ma dziewczyny.

- Nie wspominając już o tym, że tylko Hanffowie w całym mieście mają założony w domu alarm - zastanawiał się Pomfret.

- A miał przed sobą taką superkarierę! - ubolewał Wesley. - A teraz na pewno wszystko przepadnie. Jak to możliwe, żeby ot, tak sobie, wszystko nagle zniszczyć tuż przed wyjazdem?

- A może właśnie o to chodziło? - wtrąciła Delia, ustawiając dwa kubki na tacy.

- To znaczy?

- Może wszystko zniszczył, bo wcale nie chciał wyjeżdżać.

Wesley wpatrywał się w nią zdumiony.

- Panno Grinstead, może pani już iść - powiedział Pomfret.

- Tak jest.

- I proszę zamknąć za sobą drzwi.

Zamknęła je z nadzwyczajną dbałością, aż cała klamka dała temu wyraz.

„Odnosnie do ustanowienia wskazanego funduszu...” -pisała na maszynie. Nagle Pomfret wynurzył się ze swojego gabinetu, wciskając ręce w rękawy płaszcza i torując drogę Wesleyowi.

- Proszę odwołać to o dziesiątej - rzucił do Delii.

- Rozumiem, panie Pomfret.

Otworzył drzwi na zewnątrz, przepuścił Wesleya, zamknął drzwi i wrócił do jej biurka.

- Panno Grinstead, od tej chwili w czasie prowadzonych przeze mnie konsultacji proszę nie pozwalać sobie na komentarze.

Patrzyła na niego z uporem, oczy miała szeroko otwarte, spojrzenie niewinne.

- Wynagradzam panią za wykonywanie obowiązków sekretarki, a nie wyrażanie opinii - ciągnął.

- Tak jest, proszę pana. Wyszedł.

Wiedziała, że zasłużyła na to, lecz kiedy już go nie było, nadal wrzała gniewem, poruszona taką niesprawiedliwością. Pisała szybko, ciągle się myląc i tak gwałtownie przesuając wałek, że maszyna aż zmieniała położenie na biurku. Kiedy zadzwoniła, żeby odwołać umówione spotkanie, głos jej drżał. A gdy wyszła z kancelarii na lunch, kupiła lokalny tygodnik „Trąbka” i zaczęła szukać innej pracy.

Nie chodziło jej o to, że zaraz miałyby ten pomysł wcielić w życie, lecz musiała na chwilę puścić wodze fantazji.

Na dworze panowała ślota, było ponuro. Delia nie wzięła z domu jedzenia, lecz mimo to poszła na plac, bo dzisiaj nie zniosłaby wizyty w „Kiju Bilardowym i Coli”. Ławki na skwerze były puste. Postać na pomniku kulila się jak ptak, który z zimna stroszy pióra. Delia owinęła się płaszczem i usiadła na krawędzi wilgotnej i zimnej deski.

Z jaką satysfakcją oświadczyłaby, że rezygnuje z pracy! „Z przykrością chcę pana powiadomić, panie Pompatyczny...” - tak by zaczęła. Byłby bezradny. Nawet nie miał pojęcia, gdzie leży kalka.

Rozłożyła „Trąbkę” i zaczęła szukać działu ogłoszeń drobnych. Z reguły nie czytywała tego tygodnika, który był głównie biuletynem ogłosze-



niowym - miał kilka stron reklam informujących, co można kupić za pół ceny, oraz ściśle miejscowych wiadomości, co tydzień umieszczanych pod różnymi winietami. Przeleciała przez wezwania chóru do zgromadzenia się na placu na wigilijne śpiewanie kolęd, zawiadomienie o jednodniowej wyprzedaży pod hasłem „dwie pary za cenę jednej” w sklepie obuwniczym oraz relację o postępach na Mitten Drive. Na przedostatniej stronie znalazła cztery ogłoszenia typu POTRZEBNA POMOC: do dziecka, do dziecka, tokarz i „kobieta na stałe”. W tym mieście musi panować bezrobocie. Następnie natrafiła na ogłoszenia NA SPRZEDAŻ. Ktoś nazwiskiem Dwayne chciał sprzedać obrączki ślubne, tanio. Delia odruchowo powróciła spojrzeniem do „kobieta na stałe”.

*Samotny ojciec potrzebuje pomocy przy żywym, inteligentnym, wymagającym opieki dwunastoletnim synu. Powinna budzić chłopca rano, podać śniadanie, wyprawić do szkoły, trochę sprzątnąć / załatwić różne sprawy / zrobić zakupy, pomóc w odrabianiu lekcji, podwieźć do dentysty / lekarza / dziadka / kolegów, chodzić z nim na zajęcia sportowe i dopingować odpowiednią drużynę, przyjmować w domu grupy jedenasto-, dwunastolatków, przygotowywać kolacje, interesować się programami sportowymi / grami komputerowymi / powieściami wojennymi, wstawać w nocy, w razie gdyby miał koszmary / był chory. Konieczne prawo jazdy. Tylko osoby niepalące. Własny pokój, utrzymanie, sowite wynagrodzenie. Weekendy i większa część dnia wolne, oprócz ferii / choroby / śnieżycy. Zgłoszenia: Miller, Underwood High 8-5 od pon. do piąt.*

Delia cmoknęła. Co za bezczelny typ! Niektórym marzy się gwiazdka z nieba. Gwałtownie zaszeleściła gazetą i ponownie ją złożyła. Nie można oczekiwać, by najęta kobieta zastąpiła prawdziwą matkę, a przecież właśnie tego oczekiwał ten mężczyzna.

Wstała i wrzuciła „Trąbkę” do kosza na śmieci. To by było na tyle.

Przechodząc przez West Street, spoglądała na witryny sklepów - „Debbi”, „Za Grosik” i kwiaciarni. A może by tak spróbować w handlu? Nie, była z natury zbyt spokojna. Jeśli chodzi o kelnerowanie, to z kolei wie-

działa, że kiedyś w drodze z pokoju do kuchni potrafiła zapomnieć, co który członek rodziny chciał na deser. Od pani Lincoln z biblioteki zaś wiedziała, że miasto musi walczyć o utrzymanie choćby jednej bibliotekarki.

Mijając sterylnie białe żaluzje Kliniki Paznokci, zaczęła się jednak zastanawiać, czy najęta kobieta nie może właściwie być wręcz lepsza od matki - mniej uczuciowo zaangażowana, może przecież wyrządzać mniej szkód. A bezsprzecznie sama dozna mniejszego uszczerbku. Najęta na stałe kobieta nigdy nie będzie się czuła osobiście odpowiedzialna za to, że dziecko uważa się za nieszczęśliwe.

Skreśliła do „Wizji Wartości” i wzięła ze stojaka w drzwiach drugi egzemplarz „Trąbki”.

- Nie chciałbym, aby mój syn myślał, że ktoś mu się przygląda - powiedział pan Miller. - Że chce się przekonać, czy syn spełnia wymagania. Dlatego też poprosiłem, aby przyszła pani pod jego nieobecność. Jeżeli uzna pani, że jest zainteresowana, proszę zostać i na niego poczekać. Syn został u kolegi na kolacji, ale wróci za jakieś pół godziny.

Siedział naprzeciwko niej w fotelu krytym kwiecistym kretonem. Fotel wydawał się przy nim malutki, podobnie jak cały przeładowany meblami i ozdobami pokój dzienny w jego małym domu, w stylu ranczerskim, na skraju miasta. Ku swemu zdumieniu Delia stwierdziła, że to ktoś jej znajomy. Tak, to Joel Miller, który przed kilku tygodniami korzystał z porady Pomfre-ta w sprawie wizytacji. Przypomniało jej się, z jak ogromnym podziwem przyglądała się jego nie zamaskowanej łysinie. Mężczyźni, którzy gardzili stosowaniem fortelu artystycznego układania sobie na niej włosów, w odczuciu Delii promieniowali męską pewnością siebie. Pan Miller, który miał grube regularne rysy i oliwkową skórę, wyglądał w luźnym szarym garniturze na kogoś zdecydowanie spokojnego. Delia jednak wyczuwała w nim podskórne napięcie. Trzykrotnie jej powtórzył - zaprzeczając treści swojego ogłoszenia - że syn będzie spędzał w szkole

zdecydowanie większą część dnia, a właściwie cały dzień, kiedy zaś nawet będzie w domu, to wystarczy, żeby dorosła osoba znajdowała się gdzieś za kulisami. Delia odniosła wrażenie, że nikt poza nią się nie zgłosił.

- Właściwie często jada u kolegów - mówił. - A w lecie... chyba o tym nie wspominałem... wyjeżdża na dwa tygodnie na obóz. Poza tym ma codziennie zajęcia komputerowe, treningi piłki nożnej...

- Ach, lato! - z zachwytem powiedziała Delia i odchyliła się do tyłu na bujanym fotelu wyłożonym poduszkami z kwiecistego kretonu.

Lato to pora spokojnych, leniwych popołudni, pobrzękujących szklanek z lemoniadą, dziecięcych brzoskwiniowych ciał w kostiumach kąpielowych!

- Panie Miller - odezwała się. - Prawda jest taka, że chyba przeżywam akurat okres przejściowy. Zastanawiam się więc, czy mogę się aż tak... zaangażować.

- Poza tym w lecie ja też więcej jestem w domu - ciągnął Miller, jak gdyby ona niczego nie powiedziała. - To nie znaczy, że przez cały dzień... dyrektor ma tyle luzu co jego podwładni nauczyciele... ale też całkiem sporo.

- Pewnie nie powinnam była tu przychodzić - oświadczyła Delia. - Dziecko w takim wieku jak pana syn wymaga stałej opieki.

W takim razie dlaczego pani przyszła?- mógłby spytać, lecz biedak uchwycił się jej ostatniego zdania.

- Wyczuwam w pani osobę doświadczoną - ciągnął. - Ma pani własne dzieci, panno Grinstead? Och, co ja... - Kąciki ust lekko mu opadły. - Przepraszam. Oczywiście, że nie.

- Ależ naprawdę mam - odparła.

- To znaczy, że goszczę panią Grinstead?

- Wolę „pannę”.

- Rozumiem.

Zastanawiał się nad tym przez chwilę.

- Więc wynika z tego, że jest pani doświadczona -powiedział w końcu. - To świetnie! Pochodzi pani gdzieś z tej okolicy?

Najwyraźniej nie znał najnowszych plotek z Bay Borough.

- Nie - odparła.

- Aha.

Widziała, że intensywnie myśli. Był w ogromnej potrzebie, lecz nie chciał postąpić lekkomyślnie. Nie miał zamiaru najać morderczynie.

- Jestem z Baltimore - zdecydowała się w końcu. - Zapewniam pana, że jestem osobą uczciwą, ale tamtą część życia pozostawiłam za sobą.

- Aha.

Och, Boże, teraz wyobraża sobie jakieś dramatyczne przejścia. Patrzył na nią badawczo, z zainteresowaniem, lekko pochylając głowę.

- Ale - zaczęła - jeśli chodzi o pracę u pana...

- Wiem, nie chce jej pani - zakończył ze smutkiem.

- Nie ma to jednak nic wspólnego z samą pracą. Jestem przekonana, że pański syn jest bardzo miłym chłopcem.

- Och, bardziej niż miłym - stwierdził. - Naprawdę to bardzo dobre dziecko, panno Grinstead. Jest wspaniały! Ale chyba przeceniłem nasze siły, sądząc, że sami sobie świetnie poradzimy. Uważałem, że wystarczy, byśmy wiedzieli, jak używać pralki... Tymczasem wszystko wymknęło mi się z rąk.

Wskazał ręką na pokój, co zdumiało Delię, bo wydawał jej się wypucowany aż do bólu. Na kanapie wykończonej długą falbaną stały pod odpowiednim kątem pękate poduszeczki z guzikami pośrodku. Błyszczące magazyny mody leżały na stoliku do kawy, zachodząc na siebie z matematyczną dokładnością. Miller podążył za jej wzrokiem.

- O tak, w mniej ważnych sprawach daję sobie radę. Powiesiłem w kuchni rozkład prac. Codziennie jakaś konkretna robota. Dziś po południu odkurzaliśmy, wczoraj ścieraliśmy kurze. Ale są inne sprawy. W ubiegły weekend, na przykład, syn spytał, czy może zjeść zupę grosikową. „Zupę grosikową!” - zdumiałem się. Nazwa jakoś dziwnie mi brzmiała. A on na to, że kiedy był mały, mama robiła ją na lunch. Spytałem, jak

ją gotowała, i okazało się, że chodzi o zwykłą warzywną. Pewnie nazywają ją „grosikową”, bo tanio kosztuje. Powiedziałem więc: „W porządku, zaraz ją ugotuję”. Podgrzewam puszkę zupy Campbell, a on patrzy i co robi? Zaczyna płakać. Dwanaście lat, a zupełnie pęka, dzieciak, który kiedy złamał sobie rękę, ledwie pisnął. Pytam więc: „O co chodzi? Co źle zrobiłem?” On na to, że musi być domowej roboty. Ja zaś: „Boże Wszechmocny, Noah!” Ale przecież nie jestem głupi, wiem, że ta zupa ma dla niego specjalne znaczenie. Wyciągam więc książkę kucharską i zabieram się do gotowania. Ale kiedy zobaczył, co robię, kazał mi przestać. „Daj sobie spokój z tym - powiedział. - Nie jestem głodny”. I poszedł do swojego pokoju, zostawiając mnie ze stertą marchewki pokrojonej w kostkę.

- W talarki - poprawiła go Delia. Uniósł proste czarne brwi.

- Powinien pan pokrajać w talarki - wyjaśniła - także cukinię, dynię, młode kartofle... wszystko w talarki podobne do monet. Dlatego zupa nazywa się grosikowa. Nie chodzi o to, że jest tania. Wątpię, czy znajdzie ją pan w książce kucharskiej, bo to raczej... matczyzny przepis, wie pan?

- Panno Grinstead, chciałbym pokazać pani pokój, który by ewentualnie należał do pani, gdyby się pani zdecydowała podjąć tę pracę.

- Ależ nie... ja...

- Proszę tylko zerknąć! To pokój gościnny. Ma osobną łazienkę.

Wstała za nim, lecz tylko po to, by uciec. Kiedy tu szła, co właściwie myślała? Miała wrażenie, że jej złożone w pączek palce aż się rwą, by kroić w plasterki warzywa tak, jak powinny być krojone, by stawiać przed chłopcem zupę i szybkoitko się odwracać, udając (dwunastolatek jest za duży, by go przytulać), że nie widzi jego łez.

- Jestem przekonana, że to śliczny pokój - powiedziała. - Komuś na pewno się bardzo spodoba! Może komuś młodemu, kto jeszcze ma dość...

Szła w ślad za Millerem krótkim, wyłożonym dywanem korytarzem z szeregiem otwartych drzwi. Przy ostatnich Miller zatrzymał się i ustąpił jej miejsca, by mogła zajrzeć do środka. Uznała, że w takim pokoju można spędzić nie więcej niż jedną, dwie noce. Po obu stronach dużego dwu-



osobowego łóżka z wezglowiem pozostawało nie więcej niż około metra wolnego miejsca. Na stoliku nocnym zgromadzono przemyślany zestaw lektury dla gości (przeważały czasopisma, były też dwie książki wyglądające na antologie). Na ścianie wisiał w ramce plakat z napisem WITAJ w sześciu językach.

- Duża garderoba - poinformował Miller. - Osobna łazienka, jak już chyba wspomniałem.

W innej części domu trzasnęły drzwi.

- Tato?! - zawołał dziecięcy głos.

- No - mruknął Miller. - Już idę! - zawołał. - Teraz pozna pani Noaha - powiedział do Delii.

Cofnęła się o krok.

- Tylko się pani z nim przywita - zapewnił. - Przecież to nie zaszkodzi. Nie miała wyboru, musiała znów pójść za nim korytarzem.

W kuchni (szafki miały kolor toffi, tapeta była w maselniczki) stał żylasty chłopiec i ściągał czerwoną kurtkę. Miał zmierzwioną czuprynę ciemnych włosów, szczupłą, piegowatą twarz i ciemne oczy ojca, o wydłużonym kształcie. Zaczął mówić, kiedy tylko weszli.

- Cześć, tato! Zgadnij, co mama Jacka dała nam na kolację. Takie jakby kostki mięsa, które wkłada się do tego... - Zarejestrował obecność Delii, zerknął na nią i ciągnął: ...wkłada się do tego garnka, a potem...

- Noah, chcę ci przedstawić pannę Grinstead - przerwał mu ojciec. - Możemy mówić do pani Delia? - spytał ją. Skinęła głową, bo nie miało to prawie znaczenia. - Ja mam na imię Joel, a on Noah. Mój syn.

- Ee... dobry wieczór. - Miał kamienny wyraz twarzy, który dzieci na ogół przybierają w chwili poznania nowej osoby. - No więc w tym garnku jest wrzący olej, no chyba tak, i każde z nas...

- To fondue - odpowiedział mu ojciec. - Mówisz o fondue.

- Właśnie. I każde z nas dostało własny widelec, żeby na nim smażyć mięso, widelec miał, no, każdy miał na tym widelcu innego jakby zwierzaka, żebyśmy się nie pomylili, który jest czyj. No i ja miałem tę żyrafę, a zgadnij, co miała młodsza siostra Jacka?



- Nie mam pojęcia - odparł ojciec. - Synku, Delia przyszła tu, bo...
- Świnie! - wrzasnął Noah. - Jego młodsza siostra miała świnie!
- No proszę.
- Płakała przez to, ale Carrie płacze o wszystko. A na deser dostaliśmy po torebce tych czekoladowych marmurków, ale ja podziękowałem. To znaczy grzecznie. No to poszedłem do jego mamy i tego...
- Powiedziałem.
- Co?
- Powiedziałeś do jego mamy.
- Jasne, tak powiedziałem: „Proszę pani, bardzo dziękuję, ale tak się najadłem, że chyba z tego zrezygnuję”.
- Wydawało mi się, że lubisz czekoladowe marmurki -zauważył ojciec.
- Coś ty! Przeszło mi, jak się tego wszystkiego dowiedziałem. - Zwrócił się do Delii. - Te czekoladowe marmurki mają na wierzchu mielone pancerze chrząszczy - oświadczył.
- Niemożliwe! - zdumiała się.
- Właśnie, niemożliwe - przytaknął jej Miller. - Kto ci naopowiadał takich rzeczy? - spytał syna.
- Kenny Moss mi powiedział.
- No tak! Skoro to Kenny Moss, to czy możemy mieć wątpliwości?
- Ale to prawda. Jemu powiedział o tym wujek, który prowadzi interesy.
- Jakie interesy? Brukowce?
- Co?
- W czekoladowych marmurkach nie ma żadnych pancerzy chrząszczy. Daję słowo. Ministerstwo zdrowia nigdy by nie wydało na to zezwolenia.
- A wiesz, co jest w tych chrupkach kukurydzianych? -Noah spytał Delię. - W tych żółtych chrupkach? Kupa mew.
- Pierwszy raz słyszę!
- Dlatego są takie chrupkie.
- Noah... - upomniał go ojciec.
- Naprawdę, tato. Kenny Moss przysięga, że to prawda!

- Noah, Delia przyszła do nas porozmawiać o prowadzeniu domu. Spojrzała na Millera, marszcząc brwi. Lecz on miał nic nie mówiący wyraz twarzy, jakby nie rozumiał, co zrobił.

- To znaczy - zwróciła się do Noaha - ja przyszłam tylko... dowiedzieć się.

- Delia ma się zastanowić - dokończył Miller.

- Byłoby super! Teraz muszę sobie sam robić drugie śniadanie do szkoły.

- To rzeczywiście straszne - skomentował ojciec. - Zamelduj w Komitecie opieki nad dziećmi, że jesteś zmuszany do pracy!

- Wiesz, a jak ty byś się czuł? No, otwierasz śniadaniówkę: „Rany, jaką sobie dziś zrobiłem niespodziankę?”

Delia się roześmiała.

- Chyba już pójdę - rzekła. - Noah, cieszę się, że cię poznałam.

- Do widzenia - odpowiedział i niespodzianie wyciągnął do niej rękę. - Mam nadzieję, że zdecydujesz się na tak.

Miał małą dłoń, lecz miejscami szorstką. Kiedy spojrzał na Delię, w głębi oczu miał złoto, niby słońce widziane przez brązową wodę.

Przestąpiwszy próg drzwi frontowych, Delia zwróciła się do Millera:

- Podobno nie chcesz, by pomyślał, że ktoś mu się przypatruje.

- Tak - mruknął. - Tak, no cóż.

- Myślałam, że chcesz mu tego oszczędzić! A tu nagle wszystko mu mówisz, po co przyszłam.

- Zgoda, niepotrzebnie powiedziałem - odparł. Automatycznie położył sobie dłoń na głowie, całkiem rozwartą, nakrył nią głowę niby czapką. - To tylko dlatego, że tak bardzo chciałem, byś powiedziała, że się decydujesz.

- Ale przecież nawet nie widziałeś moich referencji! Kompletnie nic o mnie nie wiesz!

- Zgadza się, ale podoba mi się twoja angielszczyzna.

- Angielszczyzna?

- Nie mogę znieść, że on mówi tak niechlujnie. Bez przerwy tylko „ten, ta”, „jakby” i „no to” zamiast „więc”. Dostaję od tego obłądu.

- Hm, bywają gorsze rzeczy - powiedziała. Odwróciła się, by odejść.

- Panno Grinstead? Delio?

- Proszę?

- Czy chociaż się zastanowisz?

- Oczywiście - odparła.

Ale wiedziała, że nic z tego nie będzie.

Vanessa powiedziała, że Joel Miller to najbardziej zasługujący na litość mężczyzna, jakiego zna.

- Odkąd opuściła go żona, ledwie sobie radzi - opowiadała Delii.

- Czy w Bay Borough nie mieszka nikt, czyje małżeństwo jest udane?

- Owszem, pełno jest takich - odparła Vanessa. - Ale to nie ci, z którymi możesz mieć coś wspólnego.

Siedziały w jej kuchni nazajutrz rano. Była sobota, zimna i słoneczna. W rzeczywistości kuchnia należała do babci Vanessa. Trzej bracia i ona sama mieszkali bowiem u babci ze strony ojca. Teraz Vanessa wypisywała etykiety staroświeckim piórem ze stalówką. NIEZWYKLE SKUTECZNY ŚRODEK OWADOBÓJCZY pisała brązowym drobnusieńkim pismem na owalnych etykietkach koloru kości słoniowej. Od dawna rodzina ta sprzedawała podobne środki przygotowywane według własnej starej receptury. Kiedy Vanessa kończyła dzienną porcję etykietek, jej brat przelepiał je na wysmukłych flakonikach, w których były przeróżne suszone gałązki i jagody pływające tajemniczo pod wodą. Delia wprost nie mogła uwierzyć, że rodzina Linleyów potrafi z tego się utrzymać, lecz najwyraźniej całkiem dobrze jej się powodziło. Dom był przestronny i wygodnie urządzone, a babcia co roku jeździła do Disneylandu. Vanessa twierdziła, że cała tajemnica polega na właściwościach tego zioła - *Hedeoma pulegioides*.

- Tylko tego nie rozpowiadaj - powiedziała do Delii -ale owady nienawidzą *Hedeoma pulegioides*. Pozostałe zioła dajemy głównie dla ozdoby.

Greggie siedział na podłodze i budował wieżę z korków. Po skończeniu wypisywania etykietek Vanessa, w towarzystwie Delii, miała się wybrać z nim do Mikołaja. Potem Delia zamierzała zrobić drobne świąteczne zakupy. A może wcale nie będzie niczego kupować, nie była jeszcze zdecydowana. Nigdy nie lubiła Bożego Narodzenia, bo w wielu wypadkach nie udawało się spełnić najskrytszych marzeń rodziny. A ten rok miał być najgorszy ze wszystkich. Może powinna po prostu nie brać pod uwagę, że to święta? Oj, dlaczego nie istniał podręcznik savoir- -vivre'u dla zbiegłych żon?

Tu powróciła myślą do Millera.

- Jak to się stało, że opuściła go żona? Wiadomo, dlaczego? - spytała Vanessę.

- Pewnie, że tak. Wszyscy o tym wiedzą. Byli razem długie lata, słodki synek, ładny dom, a tu pewnego dnia Ellie, to znaczy jego żona, stwierdziła, że ma guz w piersi. Poszła do lekarza, ten powiedział, że... hm... wygląda to na raka. Wróciła do domu i powiedziała o tym mężowi: „Ten czas, który jeszcze mam przed sobą, chcę przeżyć jak najlepiej. Chcę robić dokładnie to, o czym zawsze marzyłam”. Do wieczora się spakowała i odeszła. Właśnie to było jej najgłębszym, najskrytszym marzeniem. Słyszałaś coś podobnego?

- To znaczy, gdzie jest teraz?

- W Kellerton, pracuje w telewizji jako prezenterka prognozy pogody - odparła Vanessa. - Okazało się, że to nie był rak. Ten guzek usunięto jej, stosując tylko miejscowe znieczulenie. A Miller z synem mogą teraz co wieczór nastawić telewizor i ją oglądać. Można też ją zobaczyć w „Boardwalk Bulletin”. W sierpniu ukazała się tam jej sylwetka. Naprawdę śliczna blondynka. Włosy jak ta pocięta słoma, w którą pakujemy nasze flakoniki. Oczywiście, na nikim tu nie zrobiło to wrażenia... to osoba, która porzuciła własne dziecko. Delia opuściła wzrok na kolana.

- Wszystkie kobiety w mieście próbowały pomóc Millerowi - ciągnęła Vanessa. - Znosiły rondle z lasagne, brały chłopca na popołudnie. Ale jakoś tuż przed latem chyba zrozumiał, że to nie wystarczy, bo wtedy dał ogłoszenie do „Trąbki”.

- To ogłoszenia ukazują się od lata?

- No tak, ale jego sąsiadką mówi, że zgłaszały się tylko nastolatki ze szkoły średniej. Wszystkie dziewczyny z Dorothy Underwood strasznie są napalone na Millera. Ja zresztą też. Cała szkoła w nim się kocha. Ja byłam w ostatniej klasie, kiedy został dyrektorem. Uważałam go za najbardziej seksownego mężczyznę na świecie. Ale oczywiście nie może przyjąć do pracy jakiejś podfruwajki, więc wciąż daje to ogłoszenie. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że ty możesz chcieć u niego pracować.

- Właściwie to nie - powiedziała Delia. Patrzyła, jak Greggie prowadzi po linoleum pociąg z korka. Jego małe rączki przypominały jej kształtem biskwity, te z rządkiem dziurek od widelca. Zapomniała już, jaką radość sprawia patrzenie na własne małe dzieci. - Wiesz, tylko mam po prostu dość Pomfreta. Myślisz, że może będą nowe wolne miejsca w fabryce mebli?

- Tam? - spytała Vanessa, maczając pióro. - Tam to tylko zawsze potrzeba olejarzy. Stoi się cały dzień i wciera olej w nogi krzesel. W takich wielkich rękawicach.

- Ale przecież muszą potrzebować ludzi do biura. Maszynistki, archiwistki...

- Ale dlaczego nie chcesz tej pracy u pana Millera?

- Po prostu nie chcę ot tak wchodzić w życie małego chłopca, bo może zdecyduję się stąd wyjechać - odparła Delia.

- Ty zawsze kończysz i odchodzisz?

Delia nie miała pewności, jaka intencja kryje się w tym pytaniu. Spojrzała podejrzliwie na Vanessę.

- Nie, nie zawsze - odparta.  
- Chodzi mi o to, że nigdy nie powiedziałaś złego słowa o Pomfrecie, a teraz chcesz odejść.  
- On jest strasznie apodyktyczny. Zachowuje się tak protekcyjnie. A poza tym pensję mam idiotycznie niską - wyjaśniła Delia. - Kiedy zaczęłam, nie zdawałam sobie z tego sprawy. I nawet mnie nie ubezpieczył. A jak bym się tak rozchorowała?  
Vanessa przerwała pracę i spojrzała na znajomą.  
- No tak - nagle stwierdziła Delia - zgadza się. Chyba często kończę i odchodzę.  
Kiedy to mówiła, widziała samotną wyprostowaną postać, która idzie plażą. Poczowała coś dziwnego, ten obraz wzbudził w niej ciepłe uczucia.

Postanowiła nic nie kupować rodzinie na święta. Niewykluczone, że tak na nią wpłynęła wizyta Greggiego u Mikołaja. Kiedy tam z nim się wybierały, wydawało się, że chłopiec wszystko rozumie, lecz na miejscu zaczął krzyczeć i musiały go wynieść. Vanessa była zdruzgotana, nawet Mikołaj wyglądał na załamane. W wyprawie na zakupy brakowało więc ducha. Greggie siedział niedbale w wózku, czekał płaczliwie i nadymał się ze złości. Delia powiedziała do Vanessy, że ona na tym zakończy spacer.

- Muszę jeszcze iść do pralni - powiedziała, co było lichą wymówką.  
Kiedy dotarła do domu, Belle powitała ją, stając na progu dużego pokoju.  
- Był do ciebie telefon - oznajmiła.  
- Tak?  
Kolana się pod nią ugięły. Najpierw pomyślała o dzieciach, potem o sercu Sama.  
- Dzwonił Miller ze szkoły średniej. Prosił, byś oddzwoniła.  
- Aha.  
- Nie wiedziałam, że znasz Joela Millera.



Delia o niczym jej nie wspomniała, bo podjęcie pracy u niego oznaczałoby wyprowadzkę stąd, a jak mogłaby się na to zdecydować? Nawet Pomfret miał swoje plusy. Uprzytomniła jej to wizyta u Mikołaja. Z non-szalancją wzięła od Belle numer telefonu nabazgrany na rogu karty z menu na wynos. Może i dobrze, od razu zakończy ten temat. Przysiadła na poręczu kanapy, sięgnęła do telefonu i wykręciła numer. Belle tymczasem kręciła się na uboczu, być może zaabsorbowana kotem.

- Taki śliczny mały kotek. Naprawdę śliczny mały kotek - piała.

Delia słuchała dzwonek na drugim końcu linii, błędząc z wdzięcznością wzrokiem po białych pustych ścianach i gołych deskach podłogi.

- Halo? - nagle usłyszała głos Noaha.

- Tu Delia Grinstead - powiedziała.

- A, cześć, mam cię przeprosić.

- Przeprosić? A za co?

- Tata mówi, że facet nie powinien mówić przy damach o kupie mew.

- Ojej, naprawdę... Usłyszała w oddali męski głos.

- Przy kobietach - wtrącił się Noah.

- Słucham?

- Chciałem powiedzieć „przy kobietach”, nie „przy damach”.

Wszystko to było, oczywiście, pretekstem. Miller na pewno nie uważał, że mogła się poczuć dotknięta tym, iż w jej obecności padło słowo „kupa”. Ani tym, że Noah mówił o „damach”. Wszystko to było tylko taktycznym ruchem. Może sam chłopiec niczego się nie domyślał, Delia więc powiedziała:

- Naprawdę nic się nie stało.

- Wujek Kenny Mossa rozwozi ciężarówką słodczyce ichrupki i dlatego Kenny wie różne rzeczy o tym-no-wiesz.

Ale tata twierdzi, że wujek po prostu z nim żartuje. No to tata: „W porządku, możesz być pewien, że fabryka chrupek wozi robotników z szuflami na plażę”. Z oddali znów doleciało mruknięcie.

- No dobrze, „tata mówi” - poprawił się Noah. - A do tego jeszcze tak tata powiedział - tu zastosował odpowiedni akcent i nastąpiła wy-

mowna chwila milczenia - no więc powiedział, że to niemożliwe, bo przecież w spisie składników nie ma kupy mew. Nooo.

- Oj, ale wiesz, jak robią te spisy - zaproponowała Delia. -Stosują te wszystkie nazwy naukowe. Pod nazwą jakiegoś niby związku chemicznego może się kryć wszystko.

- Naprawdę?

- Pewnie, że tak! Nazwą to na przykład „dwuwoderek metalsodowy” czy coś w tym rodzaju.

Noah zachichotał.

- Tato - głos jego lekko się oddalił - Delia mówi, że to może być w spisie i mieć na przykład nazwę dwuwoderek...

Belle przeniosła kota na okno. Trzymała go przy szybie, która była niemal nieprzezroczysta od brudu. W górnej części firanek wisiała chmura pajęczyn, a filodendron na parapecie był zaszargany i przypominał patyk. Cały pokój wyglądał tak, jakby pozbawiono go barw i istniał tylko w czeluściach pamięci Delii.

## Rozdział 12

Wyprowadza się pani dalej? - zapytał Pomfret, nawet nie zmieniając wyrazu twarzy. (Można by pomyśleć, że Delia jest po prostu meblem biurowym). Dodał tylko tyle, że zależy mu, by została do końca tygodnia i uporządkowała wszystkie zawieszane drobne sprawy. Na to, oczywiście, się zgodziła, chociaż nie było co porządkować, miała tylko normalną codzienną pracę - odpowiadanie na listy, automatyczne odbieranie telefonu oraz robotę przy przejrzanych przez Pom-freta i oznaczonych katalogach.

Nagle się okazało, że Pomfret gwałtownie potrzebuje dziurkowanych skórkowych rękawiczek do prowadzenia samochodu. Anteny radiowej rozmiarów talerzyka deserowego. Stojaka z drewna kasztanowca na pa-miątkowe piłki golfowe.

Kiedy w piątkowe popołudnie zwracała klucz do biura, Pomfret stwierdził, że jej zastępstwa poszuka dopiero po Nowym Roku.

- Tym razem - powiedział - chyba wynajmę sobie komputer, jeżeli mi się uda.

Przez chwilę Delia nie wiedziała, jak to rozumieć. Myślała, że on mówi o wynajęciu maszyny. Niech więc sobie prosi maszynę, by naradzała się z telefonistką pod numerem 800, jakimi dysponuje rękawiczkami w jego rozmiarze. Potem nagle uprzytomniła sobie, że źle go zrozumiała. Mimo to poczuła się jednak dotknięta, zarzuciła więc gwałtownie torebkę na ramię i wyszła bez pożegnania.

Wszystko, co miała, z łatwością się mieściło w kartonie, o który poprosiła w „Rick-Rack”. Wystawała tylko lampa na kabłąku. Mogłaby ją tak pozostawić, gdy jechała samochodem z Belle, lecz wolała mieć wrażenie, że jej życie mieści się w jednym pudełku. Tak długo więc przekładała

rzeczy, aż klapy kartonu zupełnie się zamknęły. Następnie wzięła z łóżka płaszcz i torebkę, podniosła pudło i wyszła.

Nie było sensu odwracać się i patrzeć wstecz. Znała na pamięć każdy szczegół tego pokoju - gdzie jest dziurka po gwoździu, gdzie łączenie tapet i jak wygląda staroświecki grzejnik w słabym mechatym świetle chmurnego sobotniego ranka: zupełnie jak kościotrup zwierzęcia przycupniętego na tylnych łapach.

Na dole schodów postawiła swój bagaż i włożyła płaszcz. Słyszała, jak Belle rozmawia w kuchni z George'em. Miał zostać u niej jeszcze ze dwa tygodnie, aż Delia się urządzi. Uważała, że najpierw nowe miejsce musi przesiąknąć jej zapachem, bo w przeciwnym razie kot uciekałby na stare.

Miller stwierdził, że bardzo chcą mieć kota, nawet kiedyś myślał już o tym, by go kupić. (Nie omieszkała zauważyć, jak wypowiedział słowo „kupić”, najwyraźniej nie zdając sobie sprawy z tego, że prawdziwych miłośników zwierząt nie widuje się w sklepach zoologicznych).

Zapinając płaszcz, przeszła przez jadalnię i zapukała do drzwi prowadzących do kuchni.

- Już idę! - zawołała Belle.

Delia wróciła do holu. Na górze Lamb trzeszczał deskami podłogi, a jego telewizor zaczął miarowo i płynnie szemrać. Zastanawiała się, kiedy Lamb dostrzeże, że ona się wyprowadziła. Może nigdy - pomyślała.

Jeszcze nie było za późno, by zmienić zdanie.

- Dałam George'owi puszkę tuńczyka - oświadczyła Belle, pokazując się w końcu. - Będzie więc miał zajęcie.

- Oj, Belle, rozpuścisz go.

- Mój kotek musi mieć wszystko najlepsze! Mam nadzieję, że nie będzie chciał się ze mną rozstać. „Nie, nie, mamusiu - zapiszczała. - Chcę tu zostać z ciocią Belle!”

Tymczasem miotała się, wkładając płaszcz, poprawiając loki, pobrzękując kluczykami od samochodu.

- Wszystko gotowe? - spytała.

- Gotowe.

Wyszły do jej ogromnego starego forda. Delia ustawiła karton w bagażniku, pomiędzy rozrzuconymi znakami agencji handlu nieruchomościami, i obie wsiadły do samochodu. Belle uruchomiła silnik. Odjechały od krawężnika, z podzwaniającym ciągle sygnałem, przypominającym o zapięciu pasów.

Delia już od paru miesięcy nie jechała samochodem. Krajobraz za oknem umykał tak szybko i gładko! Na zakręcie uchwyciła się rączki na drzwiczkach, no i raz, raz, raz i już minęły dentystę, sklep „Za Grosik” i „Pałac Potpourri”. Nie wiadomo kiedy skręciły w Pendle Street i już parkowały na wysypanym żwirem podjeździe Millera. Była to podróż, którą za pierwszym razem przebyła pieszo w dziesięć minut.

- Moi rodzice mieszkają w takim domu - powiedziała Belle. Zerknęła przez przednią szybę na wycięty w okiennicach wzór z wozów konnych przykrytych budami. - Na przedmieściu Yorku w Pensylwanii. Dee, jesteś pewna, że dobrze robisz?

- Tak, oczywiście - odparła słabym głosem.
- Będiesz po prostu służącą!
- To lepsze niż być maszynistką - odparła Delia.
- Dobra, jeżeli tak na to patrzysz.

Delia wysiadła z samochodu, Belle podeszła, by jej pomóc wyjąć karton z bagażnika.

- Dzięki, masz mój numer telefonu - powiedziała Delia.
- Mam.
- Dam ci znać, kiedy będę mogła zabrać kota.
- Ale odezwij się wcześniej - prosiła Belle. - Może będziesz chciała jednak wrócić! Poczekać kilka dni z wynajmem twojego pokoju.

Mogłyby tak rozmawiać bez końca, lecz nagle wyskoczył z domu Noah.

- Cześć, Delio! - zawołał.
- To dla ciebie „pani Grinstead” - wymamrotała Belle pod nosem. - Nie pozwól, by cię traktowali jak niewolnicę - zwróciła się do Delii.

Ta uścisnęła znajomą i ruszyła w stronę domu. Pomyślała, że Belle nie ma nic do tego, jak panowie Millerowie będą ją traktować. Ważne było to, jak ona, Delia, ma ich traktować - jaki dystans powinna zachować między sobą a tym chłopcem w dzinsach, z czupryną jak szczotka. Przecież z wielką łatwością może popaść w matkowanie mu! Uśmiechnęła się do niego, kiedy wziął jej z rąk karton.

- Dzięki, sama dam radę.

- Ale to ja mam nieść twój bagaż. Tak powiedział tata. Masz jeszcze coś? - spytał.

Belle wycofywała już samochód z podjazdu.

- Nie, to wszystko - odparła Delia.

- Tata jest w szkole, mam więc ci pokazać, gdzie co jest. Przygotowaliśmy twój pokój. Nawet zmieniliśmy pościel, chociaż była czysta.

- To dlaczego ją zmienialiście?

- Bo tata powiedział, że jeżeli nie będzie pachnieć świeżością, to możesz pomyśleć, że już ktoś w niej spał.

- Wcale tak bym nie pomyślała - zapewniła go. Przeszli przez pokój dzienny, w którym poduszki na kanapie leżały dokładnie tak samo ułożone jak przed tygodniem, a czasopisma nie zmieniły swojego położenia ani o centymetr. Lecz dywan w holu był świeżo odkurzony. Nosił jeszcze ślady kółek odkurzacza. A kiedy weszli do pokoju gościnnego, Noah postawił jej karton na składanym stojaku na bagaż, którego przedtem zdecydowanie tu nie było.

- Jest nowy - powiedział, zauważywszy jej spojrzenie. - Kupiliśmy go w „Ognisku Domowym”.

- Bardzo ładny.

- I zobacz tutaj - dodał. Na komodzie stał malutki telewizor. - Kolorowy! Z „Urządzeń Lawsona”. Tata mówi, że kobieta na stałe zawsze ma własny telewizor.

- Ja nie potrzebuję...

- Radio z zegarem - ciągnął Noah - i specjalne pudełko chusteczek...



Najbardziej wzruszyło ją jednak to, że odwinęli prześcieradło z kocem, układając je w pracochłonny biały trójkąt.

- Oj, naprawdę niepotrzebnie. - I rzeczywiście tak myślała, bo nagle poczuła się im zobowiązana.

Podeszła za Noahem do szafy, w której pokazywał jej wieszaki.

- Trzy tuziny wieszaków w komplecie, z grubego plastiku, koloru różowego. Ani jeden nie jest drucziany. Mieliśmy do wyboru różowe, białe i brązowe.

- Różowe są doskonałe - powiedziała.

Trzy tuziny! Rozczarują się, kiedy zobaczą, jak niewiele ma ubrań.

- Teraz powinienem cię zostawić samą. Ale jeżeli czegoś będziesz potrzebowała, to jestem w swoim pokoju.

- Noah, dziękuję.

- Wiesz, gdzie jest mój pokój?

- Jakoś znajdę.

- Powinnaś się rozpakować, ułożyć wszystko w szufladach itepe.

- Tak zrobię - przyrzekła.

Wychodząc, zerknął na nią niepewnie, jakby się martwił, że nie wykona wszystkiego zgodnie z instrukcją.

Jej karton wyglądał bardzo nędznie na ostrym pręcie stojaka. Podeszła do niego, otworzyła klapy i poczuła samotny stęchły zapach jakby gniazda szerszeni, przyniesiony z pokoju przy George Street. No dobrze. Zdjęła płaszcz, powiesiła na jednym z wieszaków. Zarzuciła pasek torebki na hak. Wyciągnęła z kartonu kabłąkową lampę, lecz nie miała gdzie jej postawić, bo w pokoju już były dwie lampki z abażurkami z naciągniętej białej satyny. Nadal trzymając kabłąkową lampę (klosz miała z metalu koloru khaki, a na podstawie wgniecenie po upadku którejś nocy, spowodowanym przez kota), Delia usiadła niezdarnie na skraju łóżka. Musiała zaprzeć się nogami, by nie zjechać po śliskiej narzucie. Było to łóżko podobne do hotelowych, gdyż jednocześnie wydawało się zbyt sprężyste i zbyt twarde. Nie wyobrażała sobie, jak się do niego przyzwyczai.

Usłyszała, jak w głębi domu otwierają się drzwi, potem doleciał ją odgłos kroków i męski głos wołający Noaha oraz po chwili odpowiedź chłopca. Pomyślała, że musi zadbać o wyraz twarzy i pójść do nich. Jeszcze przez chwilę siedziała jednak, ściskając w rękach swojską lampę i zbierając się na odwagę.

W tylnej części domu był pokój, który Millerowie nazywali rodzinnym, oddzielony od kuchni tylko blatem. Zrezygnowano w nim z przeładowanego stylu i wewnątrz urządzono bardziej niezobowiązująco. Naprzeciwko telewizora stała długa, niska kanapa, pod jedną ścianą biurko, a w kącie trzy krzesła. W ciągu następnych kilku dni właśnie ten pokój stał się terytorium Delii. (Zawsze chciała mieć bardziej nowoczesny dom bez zacisznych kątków, zakątków i kryjówek). Rano, kiedy kończyła sprzątanie, siadała przy biurku i pisała listę zakupów. Następnie wychodziła na kilka godzin - szła zazwyczaj na piechotę, mimo że miała do dyspozycji samochód. Po południu miotła się między pokojem rodzinnym a kuchnią, podczas gdy Noah oglądał telewizję. Czasami pan Miller też siedział przed telewizorem, to znaczy Joel, jak Delia powinna go nazywać, o czym musiała sobie przypominać. Wówczas ona wcześniej przenosiła się do swojego pokoju z książką. Wobec Millera, to znaczy Joela, zachowywała się nieśmiało. Sytuacja była dziwna - praca łączyła się z nieuniknioną w tym przypadku intymnością. On często jednak wychodził na różne spotkania albo spędzał wieczory w swoim warsztacie w garażu. Podejrzewała, że on także odczuwa dziwność sytuacji. Uważała, że to niemożliwe, aby kiedyś też tyle czasu spędzał poza domem.

Obaj lubili proste posiłki, przygotowane w prosty sposób - rostbef, pieczone kurczaki i kotlety. Noah nienawidził warzyw, lecz wymagano od niego, by co wieczór jadał ich łyżkę. Jego ojciec prawdopodobnie też ich nie lubił w takim samym stopniu jak syn, lecz sumiennie wszystko spożywał i zawsze mówił: „Delio, to było naprawdę bardzo smaczne”. Podejrzewała, że zawsze mówiłby tak samo, niezależnie od tego, co by podała.

Przy każdym posiłku zadawał jej kilka grzecznościowych pytań (czy dobrze jej minął dzień? czy warunki spełniają jej oczekiwania?), lecz czuła, że nie słucha jej odpowiedzi. Był to smutny, o smutnym wnętrzu mężczyzna. Czasami, kiedy mówił do niego nawet własny syn, zbierał się do odpowiedzi dopiero po chwili milczenia.

- Wiesz co? - mówił Noah. - Kenny Moss właśnie dostał wielgastego psa myśliwskiego. Tato, możemy sobie też kupić psa myśliwskiego?

Długie milczenie. Pobrząkiwanie porcelany. W końcu:

- Nie ma słowa „wielgasty”.

- Owszem jest, przecież dopiero go użyłem.

I na tym obaj zakończyli jedną ze swoich sprzeczek. Delia nie знаła nikogo tak wyczulonego na sposób wyrażania się jak Joel Miller. Nienawidził wszelkich powiedzeń na fali, łącznie z samym „na fali”. Absolutnie nie uznawał powiedzenia „dokładnie” w znaczeniu „właśnie”. Kiedyś przerwał Noahowi jedną z najbardziej barwnych opowieści, zwracając uwagę, że nie można odbywać wypraw „do gór”. Zawsze jednak robił podobne uwagi z poczuciem humoru, dzięki czemu zapewne Noah jeszcze decydował się otwierać usta.

Na drzwiach łazienki Delia miała długie lustro, pierwsze, w jakim się przeglądała od pół roku. Ze zdumieniem stwierdziła, że bardzo schudła. Kości biodrowe sterczały jej jak dzioby, staniki sukienek wyglądały na puste. Na kolację więc nakładała sobie duże porcje i co dzień rano jadła śniadanie z Noahem, a w południe chodziła do „Rick-Rack” na coś pożywczego - choćby na zapiekane w cieście kraby. Mogła sobie teraz na to pozwolić, bo dobrze zarabiała i nie wiedziała, na co wydawać.

Rick miał też w jadłospisie pieczoną na ruszcie peklowaną wieprzowinę, która Delii, jak się okazało, bardzo smakowała.

- Wie pan - powiedziała do niego - nigdy przedtem nie jadłam u pana pełnego posiłku. Wiedziałam, że jest pan dobrym kucharzem, ale nie miałam pojęcia, że t a k dobrym.

- A jadała pani w niedziele w tej pre-ten-sjo-nal-nej „Pod Herbem Bay”!  
- zawołał.

Czy to miasto naprawdę wiedziało o niej wszystko?

Po lunchu przeszła przez ulicę, by odwiedzić George'a. Był na nią naburmuszony za to, że go zostawiła. Przyleciał, jak tylko weszła, lecz po chwili odwrócił się tyłem i odmaszerował.

- George? - przymilała się do niego.

Nie było odpowiedzi. Wkroczył do pokoju Belle i zniknął. Delia czekała w holu. Po chwili zza drzwi wychyliła się podejrzana miotełka wąsów. Potem nos, ucho, zielone oko o pełnym wyrzutów spojrzeniu.

- George, koteczku! - zawołała.

Wysunął się cały, wycierając futrem drzwi z kurzu, i podszedł, ociągając się, do niej, żeby pozwolić się pogłaskać. Dlaczego dzieci Delii tak za nią nie tęskniły?

W całym mieście ulice udekorowano szczeciniastymi srebrnymi łańcuchami i czerwonymi dzwonkami z bibuły splatanej w plaster miodu. W bibliotece nad biurkiem pani Lincoln wisiał wieniec. Vanessa zawiązała czerwoną kokardę na wózku Greggiego.

Myśl o spędzeniu Bożego Narodzenia z Millerami - kiedy biedny Noah będzie dźwigał cały ciężar tej sytuacji -przepełniała Delię strachem. A może oni w ogóle nie obchodzą świąt? Może są żydami czy jakimiś fundamentalistami, którzy krzywo patrzą na pogańskie obrządki. Prawda była taka, że dotychczas - a do świąt pozostał tylko tydzień - nic nie wskazywało na to, że wiedzą, jaka nadchodzi pora.

Delia poszła do garażu porozmawiać z Millerem.

- Hmm, Joel? - chrząknęła.

Właśnie mierzył w warsztacie deskę. Miał na sobie wystrzępiony czarny sweter i wytarte sztruksy. Delia czekała jakąś minutę, aż podniesie wzrok.

- Chciałam spytać o święta.

- Aha, święta. - Zwinął miarkę.

- Obchodzicie święta?

- Hm, tak. Normalnie tak - odparł.

Przez „normalnie” rozumiał, że kiedy jeszcze miał żonę. Bo to było ich pierwsze Boże Narodzenie bez niej. Delia patrzyła, jak myśl o tym przebiegła mu przez twarz, pogłębiając bruzdy przy ustach.

- No, ale poczekaj, pogadajmy. Oczywiście będziesz miała wolny dzień. Noah będzie u swojej mamy, a mnie zaprosili znajomi z Wilmington. Szkoła jest zamknięta aż do po Nowym Roku, więc jeżeli chciałabyś zostać dłużej w Baltimore...

- Nie jadę do Baltimore. Zamilkł.

- Po prostu zastanawiałam się, jak obchodzicie święta - wyjaśniła. - Macie choinkę? Czy mam zabrać Noaha do miasta po prezenty?

- Aha, prezenty.

- Może po coś dla jego mamy?

- Och, Boże - jęknął i opadł na wysoki stołek, który stał za nim. Położył sobie wielką dłoń na głowie, co było u niego oznaką strapienia. - Tak, oczywiście, dla jego mamy i dla Nata, to znaczy ojca Ellie. On i Noah są sobie bliscy. I chyba dla mnie, bo zdaje się, że powinniśmy dzieci do tego zachęcać? No i ja powinienem kupić coś dla niego. Och, Boże wszechmocny!

- To jutro z nim się wybiorę - oświadczyła Delia. Nie było jej zamiarem wpędzanie go w rozpacz.

- Jutro sobota. Twój weekend.

- Nie szkodzi.

Siedząc na stołku, Miller znalazł się bardziej na poziomie oczu Delii. Przez chwilę patrzył na nią.

- A ty nie masz żadnej rodziny? - spytał. - Żeby odwiedzać ją w weekendy i tak dalej?

- Nie mam.

Pomyślała, że fakt, iż nie słyszał słowa o jej przeszłości, tylko dowodzi, w jakiej żyje izolacji. W jego pojęciu Delia spadła z nieba. Oczywiście, że chciałby jej zadać więcej pytań, lecz w końcu powiedział tylko:

- Dzięki ci. Choinką nie musimy się przejmować, bo Noah w pierwszy dzień świąt i tak nie będzie w domu.

Gdyby to od niej zależało, mimo wszystko kupiłaby choinkę. Ale się nie spierała. Kiedy wychodziła, nadal siedział bezwładnie na stołku, patrząc na miarkę, którą trzymał w ręce.

Noah zrobił z nią wszystkie zakupy w sklepie żelaznym -ciemnym staroświeckim, z drewnianą podłogą - który mieścił się naprzeciwko domu Belle. Chłopiec miał bardzo konkretne pomysły, jak Delia się przekonała. Dla mamy wybrał śrubokręt ze zmieniającymi wkładami, bo mieszkała teraz sama i sama musiała dokonywać różnych napraw. Dla dziadka, który miał kłopoty ze schylaniem się, kupił coś w rodzaju szczypiec nazywanych „chwytacze”, do podnoszenia upuszczonych rzeczy. Dla taty przyrządek do trzymania gwoźdźca, kiedy go się wbija.

- Tata zawsze uderza się w kciuk - wyjaśnił Delii. - Nie jest najlepszym stolarzem.



- A co teraz buduje? - spytała.

- Pudełka widma.

- Pudełka widma? - spytała zdumiona, bo na ułamek sekundy zobaczyła, jak Charlie Chaplin, w swoich szerokich spodniach, walczy z widmem przeciwnika.

- No wiesz, te takie jakby drewniane półeczki z przegródkami. Wiesz, jakie? Te takie do wieszania na ścianie.

- Aha, już wiem.

- Bo mama zbiera miniaturki. Takie malutkie różne przybory kuchenne, mebelki i takie tam. Tata zawsze robił jej te półeczki. - A teraz? - chciała spytać Delia. Noah jakby czytał w jej myślach. - Teraz po prostu chowa je za oponami w garażu.

- Rozumiem.

Z tonu jego głosu nie mogła wywnioskować, jak traktuje separację rodziców. O matce wspominał tylko przy okazji i miał jechać do niej po raz pierwszy, odkąd Delia z nimi mieszkała.

- Chcę "jeszcze wybrać jedną rzecz - oświadczył. - Poczekaj chwilkę przed sklepem.

A więc dla niej też kupował prezent. Wolałaby, żeby tego nie robił. Będzie musiała się z tego cieszyć, będzie musiała pokazać, że tego używa, a przede wszystkim teraz też musi coś kupić dla niego. Coś, co również będzie tylko niezobowiązującym drobiazgiem. Jak to się stało, że zabrnęła aż tak daleko? Powinna była pozostać u Belle. Wiedziała o tym od samego początku.

Lecz kiedy Noah wypychał ją na dwór, był taki uszczęśliwiony, że się uśmiechnęła.

- Będziesz potrzebował pieniędzy? - spytała.

- Oszczędzam z kieszonkowego.

Zamknął za nią drzwi i zza szyby zaczął żartobliwym gestem ją przepędzać.

Czekała na chodniku, obserwując przechodniów. Trudno było nie podać się ogólnie panującej atmosferze. Wszyscy nieśli torby z zakupami i pakunki w kolorowym papierze.

Z sąsiedniego baru „Rick-Rack” dolatywały rozkoszne zapachy bekonu i gorących placuszków i rozwiewały się w mroźnym powietrzu. W końcu Noah stanął obok niej, przyciskając do siebie torbę.

- Może się napijesz wody sodowej tu obok? - zaproponowała.

Zawahał się.

- A zapiszesz to w notesie? - zapytał.

Chodziło o notes, który Joel dał Delii, by zapisywała wydatki do zwrotu. Noah bowiem zawsze się martwił, że ona zostanie bez pieniędzy. (W jego pojęciu była osobą mniej zamożną, co ją bawiło, lecz zarazem lekko upokarzało).

- Dziś ja stawiam - stanowczo oświadczyła i popchnęła go w stronę kafejki, mimo że otworzył usta, by zaprotestować.

Rick pomachał im łopatką. Był zajęty przy grillu. Lecz Teensy zaraz narobiła zamieszania.

- O, pani Delia! Z synkiem pana Millera! Tato, spójrz! -zaćwierkała, zwracając się do starszego mężczyzny, który siedział przy ladzie. - To Delia Grinstead! Mieszkała tu naprzeciwko! A to mój tata, nazywa się Bregg - zwróciła się do Delii. - Przyjechał do nas na trochę.

Ojciec Teensy, jak przypomniała sobie Delia, był gdera, który niezbyt łaskawie potraktował swojego zięcia. Zaskoczył ją więc widok mężczyzny o mizernej postawie i nieśmiałym, potulnym wyrazie twarzy. Siedział wyprostowany, jak dziecko przysunięty blisko do lady, na której stało jego śniadanie. Kiedy powiedziała do niego „dzień dobry”, trwało z minutę, zanim wydobył z siebie odpowiedź.

- Piję kakao - powiedział w końcu.

- To bardzo dobrze! - Jej głos zabrzmiał równie fałszywie jak przedtem Teensy.

- To pani synek? - spytał.

- To... ma na imię Noah - odparła, nie zadając sobie trudu, żeby udzielić pełnej odpowiedzi.

- Chodź, chłopcze, usiądź tutaj.

- O, dziękuję, usiądziemy sobie w „łóży”, bo mamy tyle zakupów. - Delia wskazała na torbę Noaha. Rączki szczypiec dla dziadka wystawały z niej na dobre pół metra.

W głębi w kącie siedział w „łóży” Lamb z głową pochyloną nad talerzem płatków. Przy stoliku koło okna siedziały dwie nastolatki - uczennice szkoły Underwood, jak domyśliła się Delia, sądząc po ich ożywieniu na widok Noaha. (Kilka dziewcząt już odprawiła spod drzwi domu Millerów, energicznie dziękując im za salaterki domowego kajmaku i udając, że nie zauważa, jak zerkają na stojącego za nią Joela).

- Hej! Noah!

Chłopiec przewrócił oczami, patrząc na Delię.

- Co ci podać? - spytała go Teensy, stojąc przy stole.

- Poproszę kawę - odparł.

- Kawę!

- Czy mogę? - Zwrócił się do Delii. - Tata czasem mi pozwala.

- No dobrze. To proszę dwie - zwróciła się do Teensy.

- Jasne - odpowiedziała dziewczyna. I tak nisko pochyliła się nad Delią, że ta poczuła zapach krochmalu jej fartucha. - Kiedy będzie pani wychodzić, może pani głośno się pożegnać z Rickiem, żeby tata usłyszał?

- Oczywiście - odparła Delia.

- Tata czasem traktuje go per noga.

- Wiesz, że i tak bym się pożegnała.

- Wiem, ale... - Teensy pomachała do ojca. Nadal wyglądał na nieszkodliwego. Na pochylonych plecach odciskały mu się szelki.

Noah należał do ludzi, którzy lubią cieszyć się dokonanymi zakupami, zanim zdążą donieść je do domu. Szeleścił więc torbą, najpierw wyciągając śrubokręt, potem dokopał się do dna, ukradkiem na coś popatrzył i zerknął szelmowsko na Delię. A kiedy przechyliła się przez stół, udając, że chce podejrzeć, co on ma, zaśmiał się, uradowany, i zgniótł torbę, żeby

nic nie było widać. Dwa przednie zęby, które nie tak dawno mu wyrosły, wciąż jakby nie mieściły mu się w ustach.

Na oczy opadały mu włosy - sprężyste i gęste, o delikatnym połysku, aż jej ręka sama się wyrywała, by je odgarnąć. Koniuszek nosa miał spłaszczony, na zgięciu palca wskazującego, którym objął ucho kubka postawionego przed nim przez Teensy, pokazały się gruzełki chłopięcych kurzajek. Jeden róg kołnierza jego kurtki sterczał wywinięty. Na dzianinowej koszulce pod spodem pełno było zarysowań długopisem. Delia wiedziała, że dzinsy ma rozerwane na kolanach, a na nogach miękkie wysokie, pufiaste buty, które nadawałyby się do chodzenia po Księżycu.

Opowiadał jej swój sen - tak nudny, że nie sposób było go słuchać. Jego nauczyciel zamienił się w psa, ten przyszedł z wizytą do domu Noaha, a dom okazał się też szkolną salą. Czy Delia wie, co to może znaczyć?

Skinęła głową, uśmiechając się, uśmiechając. Ręce mocno splotła, żeby nie wyciągnąć ręki i dotknąć chłopca. Kiedy wychodzili, powiedziała Rickowi do widzenia z takim uczuciem, że załamał jej się głos.

Belle twierdziła, że kot ma coś z żołądkiem. Przywiozła go w kartonie z napisem ORZECZY-WINOGRONA w poniedziałek późnym rankiem, żeby mógł się przyzwyczaić do domu, kiedy Delia jest sama. Zaniosły go w pudełku prosto do jej pokoju i postawiły na podłodze.

- Chyba ma bulimię - mówiła Belle. Usiadła na łóżku i patrzyła, jak kot wydostaje się z pudełka. - Jak tylko do połowy opróżni miskę, już zaczyna się dopominać o więcej. Przysięgam, iż nie miałam pojęcia, że kot potrafi planować z takim wyprzedzeniem. A jeżeli, uchowaj Boże, zdarzy mu się wylizać miskę do dna, to gdy wchodzę do domu, on już zaczyna swoje rozdzierające serce przedstawienie. Rozlega się wycie, drapanie pazurami, a jak tylko napełnię miskę, czołga się do niej na miękkich z osłabienia łapach i zaczyna obrzydliwie mlaskać. Niech mnie diabli, jeśli zaraz po nazarciu się nie idzie gdzieś w kąt i nie wymiotuje.

- Och, George, to wszystko przeze mnie? - jęknęła Delia.

Zwiedzał teraz pokój. Zatrzymał się, by obwąchać podejrzliwie stojak na bagaże.

- Z sześć razy na dzień idzie do kredensu i patrzy na swoją torbę karmy, sprawdza, czy mam dość w zapasie.

- Przez całe życie - odezwała się Delia - byłam dobrą panią dla kotów. Mieszkałam w jednym domu, moje dni miały ustalony porządek. Tak naprawdę to nie ruszałam się z miejsca. Teraz bez przerwy je zmieniam... Musi mu brakować poczucia bezpieczeństwa.

Pochyliła się, by pogłaskać czarne M na kocim łebku. Belle jej się przyglądała.

- Ten pokój jest strasznie mały, prawda? - powiedziała. - U mnie był o wiele większy.

- Wystarczy mi. - Delia usiłowała zwabić George'a do łazienki. - Widzisz? Tu masz swoją skrzynkę - mówiła. - Kupiona w sklepie, to nie pudełko.

- Co robisz w święta? ! - zawołała do niej Belle.

- Będę tutaj.

- Boże Narodzenie u obcych ludzi?

- Nie będzie ich tu. Właśnie w pierwszy dzień świąt.

- To jeszcze gorsze - stwierdziła Belle.

- Nie, wręcz z tego się cieszę.

George wszedł do skrzynki, jakby chcąc pokazać, że wie, do czego służy.

- Pojedź ze mną do mojej rodziny - zaproponowała Belle. - Wszyscy bardzo się ucieszą.

- Nie, dzięki. Naprawdę.

- To może niech Vanessa zaprosi cię do swojej babci.

- Już mnie zapraszała, ale odmówiłam.

- No, na pewno byłoby tam zamieszanie - przyznała Belle. - Ostatnio jakoś działa mi na nerwy.

- Tak? Dlaczego?

- Wiesz, jaka była bezczelna i o co mnie zapytała? - Belle wstała i poszła za Delią do holu. Szły do kuchni po miskę z karmą dla kota. George przemykał się za nimi ukradkiem i niezdecydowanie. - Narzekałam na swoje życie miłosne - ciągnęła Belle. - Że nie mogę spotkać mężczyzny, który ocali moją duszę, powiedziałam. A ona na to, dlaczego nigdy nie pomyślałam o Lambie.

- O Lambie?!

- Wyobrażasz sobie? To okropny ponurak, to... Kłapo-uch! Tak odparłam: „Vanesso, co ty właściwie o mnie myślisz? Naprawdę wyobrażasz sobie, że mogłabym spotykać się z mężczyzną, który całe swoje dorosłe życie spędził w wynajmowanych pokojach?” No przecież pomyśl, że nikt nigdy nie zwraca się do niego po imieniu, zauważyłaś? No, szybko: jak Lamb ma na imię?

- Hmm...

- Horace - odparła ponuro Belle. Rzuciła się ciężko na krzesło przy stole kuchennym. - Żyję sama, ale jeszcze nie dojrzałam do samobójstwa. A co to ja widzę na lodówce?

Chodziło jej o plan dużego pokoju, narysowany przez Millera.

- Chciał, żeby wszystko w pokoju układać tak jak jego żona - wyjaśniła Delia. - Pozaznaczał, gdzie ma leżeć każdy duperel, dokładnie tam, gdzie ona wszystko poustawiała.

Belle pochyliła się, by lepiej się przyjrzeć. Na trójkącie, który oznaczał gzyms kominka, było napisane - drobnymi drukowanymi literami: „niebieski wazon, świeca w kształcie szyszki, zdjęcie w piaskownicy, zegar”.

- To po prostu żalosne - stwierdziła Belle. - Po co mu to? Dlaczego uważa, że to wszystko się pogubi, na miłość boską?

- Nie zadawałabyś tego pytania, gdybyś go sama widziała, jak chodzi po domu - odparła Delia. - Jak na takiego pedanta to jest okropnie... roztrzepany. Właściwie zupełnie nie ma o niczym pojęcia! Na zewnątrz to wszystko jeszcze jako tako wygląda, ale kiedy zajrzysz w głąb szafki, zo-



baczysz, że leżą tam garnki z zarośniętymi brudem dnami, których nigdy się nie uda domyć, w ściereczkach pełno wypalonych dziur...

Belle spoglądała na rysunek stolika do kawy. „Duży przycisk do papierów, mały przycisk do papierów, czasopisma” - przeczytała.

- Nadal do domu przychodzą czasopisma na jej nazwisko, o modzie, cellulitis i takie różne.

- Elli Miller w życiu nie miała śladu cellulitis - wtrąciła Belle.

- Kiedy przychodzi nowe czasopismo, on kładzie je na miejscu nieaktualnego, a tamto wyrzuca.

- Tak to jest, kiedy się kogoś uwielbia - stwierdziła Belle. - Biedaczysko, patrzył w nią jak w obrazek! A ona była właściwie głupawa, ale wiesz, jak czasem świetni mężczyźni potrafią stracić głowę dla idiotek! Jak odeszła, zaprosiłam go kiedyś na piknik i wiesz, co powiedział? „Oj, obawiam się, że nikogo tam nie będę znał. Ale bardzo dziękuję”. Przecież mówimy o dyrektorze szkoły średniej! Powinien znać całe miasto! W takich sprawach jednak zawsze się na nią zdawał. Ellie była naprawdę przedsiębiorcza i towarzyska. Wydawała te swoje przyjęcia w różnym stylu, na przykład „W hawajskim ogrodzie”, „Ognisko na Dzikim Zachodzie”... i podwieczorek dla matek abiturientów zawsze jesienią. Ale Joel tego nie podtrzymuje. W tym roku podwieczorek dla matek abiturientów utknął w martwym punkcie, chociaż wszystkie dziewczyny w mieście szalały, by pomóc Joelowi.

- Szkoda.... - zaczęła Delia.

Było jej szkoda, że Sam Grinstead nie darzył jej podobnym uczuciem. Chciała to powiedzieć, lecz się powstrzymała.

- Oj, tobie na pewno pozwoli, żebyś mu pomogła - zauważyła Belle, opacznie sobie tłumacząc jej intencję. - Ale musisz się do tego wziąć stopniowo, wiesz? A niedługo okażesz się nie do zastąpienia.

- Tak, oczywiście - przyznała jej rację.

Z tego bowiem od razu zdawała sobie sprawę. A teraz, ledwie minęło dziesięć dni, odkąd się wprowadziła, a Miller już poprosił o „jej” mięsną roladę, już odłożył bez słowa koszulę, aby przyszyła guzik, już nie od-

czuwał potrzeby pozostawiania rano na stole w kuchni list z instrukcjami.

Nie było to jednak dziwne, że z założenia wiedziała, iż tak się stanie. Jak gdyby przeobraziła się w inną osobę -kobietę, u której inni automatycznie szukają pomocy.

Kot ocierał się o jej kostki i mruczał.

- Widzisz? - odezwała się Delia. - Wcale nie ma kłopotów z żołądkiem. Tylko z grzeczności zjadł kilka kulek karmy.

- Jesteś niesamowita - stwierdziła Belle.

Belle przywiozła jej też pocztę - paczuszkę od Eleanory i list od Elizy. Eleanora przysłała jej robioną na drutach narzutkę do czytania w łóżku. Eliza powiadamiała w liście, że zaprosiła Allinghamów na świąteczny obiad. *Nie będę nalegała, ale sama wiesz, że Ty też byłabyś bardzo mile widziana* - pisała i pośpiesznie przeszła do nowinek o Lindzie. - *Twierdzi, że bliźniaczki już są w tym wieku, kiedy lubi się spędzać święta w domu, chyba więc będą tylko Allingha-mowie i my, no i, oczywiście, Eleanora...* Papeteria pachniała delikatnie goździkami (na pozytywne myśli), który to zapach zawsze czuło się w sypialni Elizy.

Noah ogromnie się cieszył, że będą mieć w domu kota. Wrócił więc ze szkoły prosto do domu, rzucił książki, gdzie popadło, i popędził przez hol, wołając:

- George?! George?!

Kot oczywiście się schował. Delia musiała chłopcu wyjaśnić, jaką naturę mają koty - że nie powinno się za nimi uganiać, nie powinno się patrzeć im prosto w oczy, lecz zawsze wszystko robić, jakby tu powiedzieć, po przekątnej z kotem.

- Usiądź na jego poziomie - poinstruowała go, kiedy George w końcu się pokazał. - Patrz odrobinę w bok. Mów śpiwnym tonem.

- Mam mówić? A co mam mówić?

- Powiedz, że jest naszym ulubieńcem. Koty lubią słowo „ulubieniec”. Chyba po prostu lubią ton głosu, kiedy ktoś wymawia to słowo, bo przecież nie samo słowo, którego nie rozumieją. Ale kiedy „u” wymawia się przeciągle, grubo i nosowo...

- Uuu-luu-bie-niec - śpiewnie wypowiedział Noah i po chwili George zmrużył oczy w gładkim połyskliwym uśmiechu samozadowolenia.

W Wigilię Delia odebrała Noaha ze szkoły i odwiozła do matki. Millerowie mieli volkswagena garbusa. Jeszcze nie całkiem przyzwyczała się do przekładni biegów, jazda więc była szarpana. Noah okazał się na tyle miły, że nie robił komentarzy. Siedział z przodu i wypatrywał skrętu do Keller-ton.

- Przeważnie mama sama przyjeżdża po mnie - powiedział - ale teraz jej samochód jest w warsztacie. Przez ostatnie dziewięć miesięcy miała pięć zderzeń.

- Pięć? - zdumiała się Delia.

- Ale żadne nie było z jej winy.

- Rozumiem.

- Ma jakoś tak pecha. Ostatnim razem jakiś facet cofnął się na nią, jak szukała miejsca do zaparkowania. Tu skręcamy.

Delia włączyła migacz i skręciła w prawo w pełną nierówności szosę, która biegła wśród zmarzniętych ściernisk. Jechali przez równinę, Delia więc przynajmniej nie musiała często zmieniać biegów. Kierowali się na wschód, czyli w stronę wybrzeża. Miller powiedział jej, że to jest pół godziny jazdy.

- Dziś o szóstej możesz oglądać prognozę pogody na WKMD - odezwał się Noah. - Nie chodzi o to, że będzie mnie tam widać czy coś w tym rodzaju, ale będziesz wiedziała, że jestem w budynku telewizji.

Oglądać co wieczór nieobecną matkę, jak podaje prognozę pogody, to byłoby dziwne. Delia jednak nigdy o tej porze nie widziała Noaha przed

telewizorem. A Miller zawsze oglądał o szóstej wiadomości na innym kanale.

Pola ustąpiły miejsca budkom z hamburgerami, cmentarzyskom samochodów i sklepom monopolowym, które wskazywały na to, że samochód zbliża się do miasta. Niebawem jednak Delia zorientowała się, że już do niego wjechali - budynki stały rozrzucone wśród pól uprawnych. Noah wskazał palcem stację telewizyjną, która mieściła się pod wieżą z nadajnikiem. Pokazał Delii, gdzie mama kupuje żywność, gdzie chodzi do fryzjera, a następnie skierował ją dwie przecznice dalej pod niski budynek mieszkalny z kremowej cegły.

- Mam z tobą pójść? - spytała, kiedy zaparkowali przy krawężniku.

- Nie. Mam klucz, jeśli jej nie będzie. Była rozczarowana, lecz się nie spierała.

- Jutro rano, jak się obudzisz - powiedział do niej, kiedy otwierała bagażnik - poszukaj na półce u mnie w szafie. Jest tam dla ciebie prezent.

- A ty po przebudzeniu zajrzyj do wewnętrznej kieszeni swojej sportowej torby.

Uśmiechnął się i wziął od niej bagaż.

- No to dobrze, do zobaczenia chyba niedługo.

- Dobrych świąt!

Nie przytuliła go, tylko zmierzwiła mu włosy. Już od dawna miała na to ogromną ochotę.

Kiedy wróciła do domu, Miller czekał, wyglądając przez frontowe okno. Ledwie wyminęli się na progu. Wyciągnął rękę po kluczyki, życzył jej wesołych świąt, dodał, że wraca nazajutrz wieczorem razem z Noahem. I odjechał. Kot z niecierpliwością miauczał i prowadził ją do jej pokoju.

Na komodzie zastała kartę świąteczną i czek na sto dolarów. „Życzenia świąteczne” - było wydrukowane na kartce, a pod tym Miller dodał swoim drobnym drukowanym pismem: *W dowód wdzięczności za uporządkowanie nam życia. Serdecznie dziękujemy - Joel i Noah.*

Miło z jego strony - pomyślała. Okazał również sporo taktu, usuwając się teraz z domu. Stresowałaby ją rola bufora pod nieobecność Noaha.

Popołudnie spędziła na kanapie, czytając strasznie grubą książkę z biblioteki *Doktor Żiwago*. Wiatr zawiewał liśćmi w panoramiczne okna. George spał zwinięty u jej stóp. Zapadł zmierzch, jej lampa tworzyła krąg miodowego światła.

Kilka minut przed szóstą sięgnęła na stolik po pilota i włączyła telewizor. Na kanale WKMD jednooki pirat reklamował atrakcyjne działki nad morzem. Potem pokazała się gospodyni domowa, która rozpyłała w pokoju jakiś zapach. Następnie siedzący za biurkiem prezenterzy wiadomości - czarny mężczyzna z brodą, biały mężczyzna o różowej twarzy, atrakcyjna blondynka w biznesowym kostiumie. Delia pomyślała najpierw, że ta blondynka to jest Ellie Miller, lecz po chwili czarny zwrócił się do niej: Doris. Opowiedziała o napadzie na bank w Ocean City, podczas którego włamywacz był w stroju świętego Mikołaja. Miała taki sposób mówienia, że nigdy szminka nie dotykała jej zębów.

Delię niepokoiło szybkie tempo, w jakim wszystko się działo. Straciła umiejętność oglądania telewizji. Czuła, że jej oczy otrzymały zbyt wielki ładunek informacji, kiedy więc znów zaczęły lecieć reklamy, odwróciła wzrok.

- A teraz Elli i prognoza pogody - nagle powiedział brodacz. - Powiedz no nam, Ellie: istnieje szansa na białe Boże Narodzenie?

- Nie ma co o tym marzyć, Dave - odpowiedziała kumplowskim tonem, jakiego nabywają prezenterzy telewizyjni. Jej twarz jednak nie pasowała do głosu. Miała zbyt miękki wyraz, zbyt otwarty - ładna twarz o dużych czerwonych ustach, zdumiewająco niebieskich oczach i rumieńcach z różu. Włosy miała srebrzyste i napuszone. Biały sweter z angory, z głębszym dekoltem, wyglądał jakby bez konturów.

Delia podniosła się i stanęła przed telewizorem. Ellie przesuwiała mapy pogody. Gdzieś za tą dekoracją malowaną w moczary i nieprawdopodobne bazy leśzczyny siedział No-ah, lecz Delia teraz o nim nie myślała.



Usiłowała zapamiętać, jak wygląda Ellie, i dostrzec, co się kryje w jej błękitnych lalkowatych oczach.

- Nadal zimno... porywiste wiatry... - Słuchała, podpierając dłonią przekrzywioną głowę tak, że końce palców dotykały policzka.

Po pogodzie nadawano sport, Delia więc odwróciła się i wyszła z pokoju rodzinnego, przeszła przez kuchnię i hol, aż znalazła się w głównej sypialni. Otworzyła drzwi szafy i przyglądała się wiszącym ubraniom. Garnitury Millera wisiały na drążku luźno rozsunięte w stronę wolnej przestrzeni po prawej. Górna półka też była pusta po prawej stronie. Wyglądało na to, że Ellie, odwrotnie niż Rosemary Bly-Brice, odchodząc, wzięła wszystko ze sobą. Mimo to Delia zabrała się do szuflad w komodzie. Wyciągała jedną po drugiej, lecz znalazła jedynie guzik z kawałkiem niebieskiej nitki.

Wróciła do pokoju rodzinnego, gdzie w telewizorze zobaczyła, że nadają ogólnokrajowe wiadomości. Od miesięcy już nie oglądała wiadomości, lecz przekonała się, że niczego nie przegapiła: planeta nadal pędziła ku zagładzie. Wyłączyła telewizor w połowie zdania i poszła zrobić sobie kolację.

Kiedy obudziła się nazajutrz rano, świeciło słońce. Silne ostre światło miało w sobie coś takiego, że zorientowała się, iż musi być bardzo zimno. George również leżał skulony pod jej ramieniem, czego by nie robił, gdyby było cieplej.

Dopiero pijąc herbatę, zastanowiła się, że to przecież Boże Narodzenie. W Boże Narodzenie zupełnie sama! Przypuszczalnie większość ludzi uznalaby to za coś tragicznego, tymczasem ona wręcz się z tego cieszyła. Z przyjemnością chodziła z filiżanką w ręce po cichym domu, nadal w koszuli nocnej i plażowym wdzianku, i nuciła sobie *My, Trzej Królowie*. Nikt jej nie słyszał. W pokoju Noaha wygrzebała z najwyższej szuflady parę wełnianych skarpetek, aby włożyć je zamiast kapci. Przypomniała sobie, że zostawił dla niej prezent, sięgnęła więc na półkę w szafie i wzię-



ła coś kwadratowego, owiniętego w czerwoną folię. Na przyklejonej karteczce napisał: *Bo nie masz domowych ubrań*. Była bardzo zaskoczona, dopóki nie rozdarła folii i nie zobaczyła płóciennego stolarskiego fartucha z kieszeniami z przodu. Uśmiechnęła się i przerzuciła pasek przez głowę. Dotychczas używała koktajlowego fartuszka, który znalazła między ścieżkami, lecz chronił on sukienki ledwie na brzuchu.

Ona podarowała Noahowi zestaw ratunkowy kupiony w sklepie „Kemp Kamping”. Chłopcy uwielbiają takie rzeczy. A ten zestaw był naprawdę pomysłowy - niewiele większy od karty kredytowej, sprawnie wyciągały się z niego różne rozkładane części, łącznie ze szkłem powiększającym do rozpalania ognia.

Nakarmiła George'a, ubrała się i znów usadowiła na kanapie z *'Doktorem Żiwago*. Od czasu do czasu podnosiła oczy znad książki i błędziła wzrokiem po pokoju. Na dywan padało niemal białe zimowe słońce. Kot mył się, leżąc w kwadracie światła na-niebieskim fotelu. Wszystko robiło przyjemnie płytkie wrażenie, jakby to był obraz.

W domu pewnie teraz otwierają prezenty. Dawno minęły czasy, kiedy wszyscy wstawali przed świtem. Teraz zbierali się na dole w połowie ranka i elegancko rozdawali po kolei prezenty. Na obiad zawsze mieli gęś, podarunek od jednego z pacjentów Sama, myśliwego. Na deser jadali pudding śliwkowy z gęstym sosem. Zawsze narzekali, że jest bardzo ciężkostrawny, lecz wszystko zjadali i przez resztę popołudnia jęczeli, trzymając się za brzuchy.

Co pewien czas aż jej zapierało dech, kiedy uprzytomniała sobie, że rodzina tak łatwo się pogodziła z jej odejściem.

Chociaż po zastanowieniu potrafiła uznać, że jest to sytuacja do zaakceptowania. Chyba była niemal nieunikniona. Niemal... jej przeznaczona. Patrząc wstecz, widziała wszystkie wydarzenia mijającego roku - śmierć ojca, chorobę Sama, pojawienie się Adriana - jakby to były fale popychające ją jedna po drugiej naprzód, jedna coraz bliżej następnej. Nie spychały jej na boki, tylko gnały naprzód, teraz bowiem uważała, że przeprowadzka do Millerów z pewnością jest jakimś postępem.

Myślała, że jeden wolny dzień nie bardzo jej wystarczy, lecz kiedy o zmierzchu Joel i Noah skręcili na podjazd, już stała przy oknie. Firankę opuściła, jak tylko zobaczyła reflektory. Pośpieszyła otworzyć drzwi i przywitać przybyłych w domu.

RS

## Rozdział 13

Raz w tygodniu, na ogół w środę po południu, Delia odwoziła Noaha kilkanaście kilometrów na zachód drogą numer 50 do dziadka. Starszy pan mieszkał w miejscu o nazwie Miasto Seniorów, a był to trzypiętrowy budynek z czerwonej cegły, na skraju podmokłego pola golfowego. Zatrzymywała się na podjeździe w kształcie litery U, wysadzała Noaha i odjeżdżała, manewrując wśród stada olbrzymich buicków i cadillaców. Po godzinie wracała odebrać chłopca sprzed domu. Czasu było za mało, aby jej się opłacało wracać do Bay Borough, toteż zaczęła jeździć do pobliskiego centrum handlowego, co powoli stało się zwyczajem. Wertowała książki w księgarni albo szła do sklepu dla smakoszy kupić coś dobrego na kolację.

Którejś środy w połowie stycznia, kiedy jak zwykle podwiozła Noaha do dziadka, chłopiec oświadczył, że powinna razem z nim tam iść.

- Ja? A po co? - spytała.

- Dziadek chce cię poznać.

- Dobrze, ale...

Spojrzała w dół. Pod płaszczem miała na sobie domową sukienkę, z ciemnej wzorzystej bawełny, kupioną na poświętecznej wyprzedaży.

- A może lepiej w przyszłym tygodniu? - zaproponowała.

- Prosił, byś przyszła dzisiaj. Zapomniałem ci powiedzieć.

Zatrzymała się na jednym z miejsc dla gości.

- Gdybyś mnie uprzedził, ładniej bym się ubrała - wyjaśniła.

- To przecież tylko dziadek.

- Ale okropnie wyglądam! Jak się nazywa?

- Nat.

- Ale chodzi mi o nazwisko. - Wysiadała z samochodu. Wieloletnie doświadczenie nauczyło ją, że nie można polegać na przedstawianiu kogoś przez dzieci. - Muszę przecież odpowiednio się do niego zwracać.

- Wszyscy mówią po prostu Nat.

Zaniechała dalszej rozmowy i ruszyła za Noahem wzdłuż rzędu tablic rejestracyjnych dla inwalidów.

- Czy chce mnie poznać z jakiegoś konkretnego powodu? - spytała.

- Mówi, że nie potrafi sobie ciebie wyobrazić, jak mu o tobie opowiadam.

Podeszli do rozsuwanych drzwi, które otworzyły się przed nimi. Hol był wyłożony jakąś grubełkowatą twardą wykładziną, prawdopodobnie ze względu na wózki inwalidzkie. Pod naciskiem stóp Delii i Noaha wykładzina wydawała zgrzytliwy dźwięk. Po prawej był oszklony kiosk z prezentami, za drzwiami po lewej Delia dostrzegła jadalnię, pustą o tej porze, lecz dolatywał z niej dobrze znany zapach gotowanych jarzyn. Kilka staruszek czekało przed windami. Jedna siedziała na wózku z napędem, dwie podpierały się „chodzi-kami”. Delia pomyślała, że przypomina to wizytę w strefie wojennej. Kobiety jednak były elegancko uczesane i ubrane, a na widok Noaha ich twarze rozjaśniły się uśmiechem. Delii ten uśmiech wydawał się przejawem odwagi. Obserwując przez długie lata pacjentów Sama, dobrze poznała strapienia starych ludzi.

Winda otworzyła się i ukazała się w niej szczupła stara kobieta o niebieskich włosach, ubrana w suknię ze specjalnej kolekcji.

- Przepraszam - zaśpiewała. - Zjeżdżam na dół.

- Pooky, przecież jesteś już na dole - zwróciła się do niej kobieta na wózku. - To parter.

- Hm, zapraszam do środka, ale niestety, nacisnęłam już pierwszy guzik.

- No to dobrze, bo jesteśmy na parterze.

Pozostałe nie wdały się w rozmowę. Wsiadały do windy z wysiłkiem, przeważnie trzymając się ściany czy drzwi. Noah i Delia wsiedli na końcu. Drzwi zamknęły się i ruszyli w górę. Tymczasem wszystkie kobiety patrzyły na Noaha rozpromienione - nawet Pooky, która wcale nie wyglądała na zaniepokojoną faktem, że nie zjeżdżają w dół. Na pierwszym piętrze wysiadła kobieta z torbą na zakupy. Na drugim Noah powiedział:

- Teraz my.

Znaleźli się na długim korytarzu. Za nimi wysiadło kilka kobiet. Słychać było metaliczne pobrzękiwania i furkot kółek. Pooky jednak została w windzie i kiedy drzwi się zamykały, patrzyła z zadowoleniem wprost przed siebie.

- Czasem przez cały dzień jeździ w kółko - powiedział Noah do Delii.

Nic nie wyglądało tu inaczej niż w standardowym budynku mieszkalnym, prócz tego, że wzdłuż ścian po obu stronach biegły poręcze. Co pewien czas mijali jasne płaskie drzwi z wizjerem na poziomie oczu. Noah zatrzymał się przed czwartymi po prawej. NATHANIEL A. MOFFAT, FOTOGRAF napisane było na wizytówce, na której skreślono adres w Cambridge, stan Maryland. Kiedy Noah nacisnął dzwonek, z wnętrza doleciał jeden złoty dźwięk.

- Czy to mój ulubiony wnuk?! - zawołał mężczyzna.

- Tak, to ja - odpowiedział głośno Noah i chichocząc, wyjaśnił Delii: - I jedyny, jakiego ma.

Drzwi się otworzyły, lecz nie stał w nich stary mężczyzna, jak oczekiwała Delia, tylko niska, klockowata, uśmiechnięta do nich kobieta. Nie

mogła mieć czterdziestki. Twarz miała okrągłą jak morela i farbowane na różowo loczki. Ubrana była w pomarańczową wełnianą sukienkę z dekoltem z łezką. Buty też miała pomarańczowe - malutkie baleriny z otwartymi palcami, co Delia zobaczyła, zerkając odruchowo w dół, przekonana, że ujrzy buty pielęgniarki. Szukała tego, co by usprawiedliwiało obecność tej kobiety.

- Cześć, mam na imię Binky - powiedziała do Delii. -Cześć, Noah. Wchodźcie, proszę.

Duży pokój, do którego weszli, był zapewne tak samo nowoczesny jak cały budynek, lecz Delia nie dostrzegła nic poza meblami - ciemne, ciężkie i stare, zawały całe pomieszczenie. Znajdowało się tu ich o wiele za dużo, stały stłoczone, a kiedyś zapewne wypełniały kilka większych pokoi. Delii przez chwilę trudno było dostrzec dziadka Noaha. Nagle zobaczyła, że męska postać podnosi się z kasztanowego, krytego aksamitem fotela o giętych jak winorośl poręczach. Obok niego stała metalowa laska, lecz podszedł do Delii o własnych siłach i podał jej rękę.

- Wiem, że jesteś Delia - powiedział. - Mam na imię Nat.

Należał do tych mężczyzn, którzy na starość są o wiele bardziej przystojni, niż byli przedtem. Nat miał przystrzyżoną siwą brodę, czerstwą twarz i smukłą, pełną energii sylwetkę. Ubrany był w tweedową sportową marynarkę i szare spodnie. Dłoń Delii uściśnął mocno, z werwą.

- Dziękuję, że przyszedłeś - dodał. - Chciałem zobaczyć osobę, z którą tak się zaprzyjaźnił mój wnuk.

- Dziękuję za zaproszenie.

- Proszę, daj Binky swój płaszcz.

Już chciała powiedzieć, że woli w nim zostać, bo ma tylko chwilę, lecz nagle zauważyła, że stół przed kanapą nakryty jest do podwieczorku. Stały na nim talerze z ciastkami, cztery porcelanowe filiżanki i spodki oraz dzbanek z parzącą się herbatą, w kapturze z beżowawego lnu. Bogu dzięki, że Noah przypomniał sobie, że ją zaproszono.

Podowała więc płaszcz Binky i usiadła na wskazanym jej przez Natę miejscu na jednym końcu kanapy. On sam usiadł ponownie w tym samym fo-



telu, a Noah obok niego na małym bujaku. Binky powróciła od szafy na płaszcze, usadowiła się na drugim końcu kanapy i pochyliła, by zdjąć kaptur z dzbanka.

- Noah woli miętową herbatę od zwykłej - zwróciła się do Delii. - Mam nadzieję, że nie robi ci to różnicy.

- Absolutnie nie.

Czy w takim razie szykowano taki podwieczorek przy każdej wizycie Noaha? Delia wyobrażała sobie, że grał po prostu w warcaby lub coś w tym rodzaju. Spojrzała na starszego pana, który z powagą skinął głową.

- Noah jada ze mną podwieczorek od najmłodszych lat, kiedy pił ze specjalnego kubeczka - wyjaśnił. - Jest jedynym chłopcem w całej rodzinie! My, mężczyźni, musimy trzymać się razem.

Binky podała Delii filiżankę.

- Jak ci się podoba prowadzenie domu dla taty Noaha?

- Bardzo to lubię.

- Joel to dobry człowiek - spokojnie stwierdził Nat. - Postanowiłem nigdy nie brać niczyjej strony w sprawach rodzinnych mojej córki - powiedział do Delii. - Kiedy jeszcze wszystkie były małymi dziewczynkami, przysiągłem sobie, że zaakceptuję każdego, kogo sobie wybiorą na mężów.

Po tych słowach zapadła dostatecznie długa cisza, by Delia czuła się zmuszona odezwać.

- No i przestrzegasz tego?

- Oczywiście - odparł i zaśmiał się. Broda sprawiła, że chichot wszyscy usłyszeli z pogwizdem. - Moich zięciów kocham na zabój! A oni mają o mnie wspaniałe zdanie.

- No bo jesteś wspaniała - stwierdziła lojalnie Binky. Skłonił się do pasa.

- Dziękuję, szanownej pani.

- Ale może nie całkiem taki wspaniały, jak myślą... Skrzywił się do niej, a ona szelmowsko zerknęła na Delię.

Czy ta Binky to opłacana dama do towarzystwa? A może jedna z córek? Nie była jednak w ogóle podobna do Nata. I robiła wrażenie osoby niespecjalnie związanej z Noahem.

- Posmaruj masłem - przypomniała mu, nie zauważając, że chłopiec nie trzyma w ręce niczego, co mógłby posmarować.

- Posmaruj tym miksem roślinnym, który nie podnosi poziomu cholesterolu - poprawił ją Nat. - Najpierw pożeram to „trudno uwierzyć, że to nie masło” - zwrócił się do Delii - a potem idę umyć głowę w „ojej, włosy ci zabójczo pachną”.

Delii ta uwaga wydała się mistyfikacją, a Noah zachichotał. Dziadek spojrzał na niego, usta mu drżały, jakby powstrzymywał uśmiech.

- Podobno pochodzisz z Baltimore - zwrócił się do Delii.

- Tak.

- Masz tam jakąś rodzinę?

- Tak, kilka osób.

Uniósł brwi, lecz ona niczego nie dopowiedziała.

- Dziewięćdziesiąt procent mieszkańców tego budynku pochodzi z Baltimore - powiedział w końcu.

- Naprawdę?

- Zamożni emeryci wynoszą się na Wschodnie Wybrzeże. To znaczy z Roland Park i Guilford.

Delia przybrała maskę na twarz i nie dała po sobie poznać, czy w ogóle kiedyś słyszała o Roland Park i Guilford.

- Chyba się domyślasz, że wszystkie te damulki nie są miejscowe - kontynuował. - Skądże znowu! Mnie też by tu nie było, gdybym się nie wzenił w Murrayów. Murray tak jak w przyprawie do krabów Murraya. Czy myślisz, że taki zwykły fotograf mógłby sobie pozwolić na te wygórowane ceny?

- Podobno w lipcu znów ma wszystko iść w górę - zauważyła Binky.

Delia rozglądała się po pokoju. Wzmianka o fotografowaniu zachęciła ją do przyjrzenia się porozwieszanym wszędzie obrazkom - dużym czarno-białym zdjęciom w profesjonalnych ramkach.

- To twoje? - spytała.

- Te? Dobrze by było.

Wstał i tym razem sięgnął po laskę.

- Te robili mistrzowie - powiedział, kuśtykając w stronę zmysłowego studium wielkiej zielonej papryki. - Edward Weston, Margaret Bourke-White... - Obrócił się, by popatrzeć na fotografię po lewej, przedstawiającą kominy fabryczne uszeregowane niby nuty. - A ja robiłem zdjęcia pannom młodym. Przez czterdzieści dwa lata panny młode. I od czasu do czasu pary obchodzące złote wesele. A potem zaczęły mi się te, jak je nazywam, nawroty - powiedział i wskazał brodą w dół. Delia myślała, że wskazuje na chodnik. - Dopadła mnie choroba z dzieciństwa, Heine-Medina - wyjaśnił. - Thelma, to znaczy moja żona, już wtedy nie żyła... ale kiedyś dawno temu wpisała nas na listę oczekujących, gdy tworzone pierwsze plany Miasta Seniorów. Dlaczego, nie wiem, bo za nic nie chciała się ruszyć z naszego dużego starego domu, nawet długie lata po wyprowadzeniu się dorosłych córek. Zawsze powtarzała, że może kiedyś będą chciały wrócić z jakiegoś powodu, i co wtedy? No i wracały, wiadomo, że wracały... wszystkie cztery, pędziły do domu za każdym razem, gdy przeżywały nawet najmniejszy kryzys. Bo po prostu miały dokąd wracać. Tak uważam, jeśli mam być szczery. „Boże, Thel - mówiłem do niej - przecież nie możemy przez całe życie zajmować się córkami! Spójrz, jak postępują kotki - mówiłem jej. - Wychowują małe i odstawiają je od piersi, a kiedy spotkają się z nimi po kilku miesiącach w jakimś zaułku, nawet nie wiedzą, że to ich dzieci. Uważasz, że z ludźmi koniecznie musi być inaczej?”

- Oczywiście, że tak - zaprotestowała Binky i obie z Delią wymieniły uśmiechy.

Nat jednak syknął z ironią gdzieś w plątaniu brody.

- Bzdury - powiedział do Noaha, który zlizwał lukier z kciuka. - W każdym razie - ciągnął - zaczęły mi się te nawroty. Były okresy, kiedy jedna noga zaczęła mi wieczorami odmawiać posłuszeństwa. I ledwie wtedy dawałem radę wejść po schodach. Wiedziałem więc, że nie mogę dalej

mieszkać w naszym domu. Zadzwoiłem tu i powiedziałem: „Moja żona chyba dawno temu wpisała nas na listę oczekujących”. I tak wylądowałem w Mieście Seniorów. Boże, co za obrzydliwa nazwa!

- Ale wszystko jest tu chyba... dobrze zorganizowane? -odezwała się Delia.

- No właśnie. Zorganizowane. Trafiłaś w samo sedno! -Określił się dookoła (nawet w ruchach, które zadawały mu najwięcej bólu, było coś nieopanowanego, trudnego do pohamowania) i wrócił do fotela. - Zupełnie tak, jak układa się akta w kartotece - zauważył, usadzając się stopniowo. - Zorganizowano nas pionowo. Im słabsi się stajemy, tym wyżej mieszkamy. Piętro niżej jest dla całkiem jeszcze krzepkich. Niektórzy jego mieszkańcy nadal chodzą do pracy albo odcinają kupony lub robią coś innego. Korzystają z pola golfowego i stołów do ping-ponga, jeżdżą na południe na Boże Narodzenie. To piętro zostało przeznaczone dla umiarkowanie, hm, potrzebujących. Dla tych z nas, co muszą mieć blaty na takim poziomie, by sięgać do nich z wózka, i dla tych, którym wystarcza niewielka pomoc. Trzecie piętro przeznaczone jest dla wymagających pełnej opieki. Pielęgniarki, łóżka z poręczami... Każdy ma nadzieję umrzeć, zanim odeślą go na trzecie.

- Nieprawda! - oburzyła się Binky. - Na trzecim jest ślicznie! Noah, zjedz babeczkę.

- Słowo „ślicznie” mnie na pewno nie nasuwa się na myśl - zwrócił się Nat do Delii. - Nie żebym teoretycznie nie chwalił Miasta Seniorów, bo na pewno lepiej być tu niż obciążać dzieci. W całym tym układzie jednak uderza mnie coś nad wyraz, jak by tu powiedzieć, symbolicznego. Rozumiesz, zawsze wyobrażałem sobie życie jako jedną z tych drabinek prowadzących na zjeżdżalnię na placu zabaw... jako coś w rodzaju drabiny czasu, po której wspinasz się coraz wyżej, a potem nagle łuups! i zjeżdżasz, za tobą zaś inni przesuwiają się wyżej. Wciąż zadaję sobie pytanie: czy Thelma nie mogła znaleźć dla nas takiego miejsca, które miałyby o kilka szczebli więcej?

Delia się roześmiała, a Nat rozparł się w fotelu i uśmiechnął do niej.

- No, ale nie daj mi już ciągnąć tego wyводу. Cieszę się, że w końcu mogliśmy cię poznać. Noah opowiadał, jak wiele zrobiłaś dla nich obu.

Zorientowała się, co to za sygnał.

- Ja też się cieszę, że was poznałam - odwzajemniła się, wstając.

- Teraz zawsze już wpadaj, kiedy będziesz przyjeżdżała po Noaha, do brze?

- Tak, oczywiście - przyrzekła.

Wsunęła ręce w rękawy płaszcza podanego jej przez Binky, Noah włożył kurtkę.

- Jedź uważnie - powiedziała Binky, otwierając drzwi. W łezce dekoltu ukazała się pulchna upudrowana różowość przepołowiona wąską szczeliną pomiędzy piersiami. Czy to, czy wspomnienie szelmowskiego uśmiechu Nata nagle dało Delii do myślenia, że może Binky jest jego przyjaciółką?

Joel powiedział jej, że nie ma pojęcia, kto to jest Binky. Nawet nie wiedział o jej istnieniu.

- Binky? Jaka Binky? - pytał. - Co to za imię?

Jedli kolację w kuchni, tylko we dwoje. Noah został nagle zaproszony do Mossesów. Delia znalazła sposób, by cały czas być na nogach, lecz w końcu Joel zaprotestował.

- Siadaj, Delio - poprosił uprzejmym tonem, po którym rozpoznała, że ją przejrzał. - Opowiedz mi, jak tam sobie radzi Noah.

Zabrało jej to jakieś trzy sekundy. (Noah świetnie sobie radzi). Musieli więc znaleźć nowy temat i dlatego Delia pomyślała, by spytać o Binky.

- Ile ona może mieć lat? - spytał.

- Ze trzydzieści pięć, trzydzieści sześć...

- A więc za młoda jak na sąsiadkę. A wątpię, żeby Nat potrzebował pielęgniarki. Co o niej mówił Noah?

- Powiedział, że jest tam. Pytałam, kto to jest, a on na to: „Nie wiem, ona po prostu tam często jest”.

- Aha.

- Właściwie wszystko jedno - skonstatowała Delia. - To naprawdę nie moja sprawa. Sama nie wiem, dlaczego o nią pytałam.

Szybko jednak sobie przypomniała, dlaczego, znów bowiem powróciła krępująca cisza.

- Jego żona była wzorem doskonałości - stwierdził Joel, sięgając po następną bułkę. - To znaczy babcia Noaha.

- Naprawdę?

- Sama tak twierdziła.

- Aha.

- Nigdy nie potrafiłem wytrzymać z tą kobietą. Zawsze się wtrącała. Wścibiała nos w nasze życie. Dopytywała się, co się dzieje z jej prezentami. „Czy używacie tego to a tego?” „Jak to możliwe, że nigdy nie widzę was w tym a tym?”

Delia się roześmiała.

- Jeżeli więc ta Binky jest jego kochanką - ciągnął Joel, używając tego dosadnego słowa, co lekko wstrząsnęło Delią - to tylko dobrze dla niego. Należy mu się odrobina szczęścia.

- Hm... nie chciałam...

- Przecież to nic takiego. Ma dopiero sześćdziesiąt siedem lat. Gdyby nie te cholerne nawroty, nadal by żeglował tą swoją łódką.

Delia nie wiedziała, że Nat jest żeglarzem, lecz bez trudu mogła go sobie wyobrazić: kanciasta postać miota się po pokładzie, jest wszędzie naraz.

- Z upodobaniem powtarzała, że zawsze służy ludziom -wspominał Joel, znów powracając do osoby babki Noaha. -Od niej pierwszej słyszałem to powiedzenie, chociaż potem bardzo się rozpowszechniło. - Zawsze służyć moim córkom -przedrzeźniał teściową. - Aż się prosi, by spytać, czym. To jedno z moich najmniej ulubionych zdań.

Delia miała nadzieję, że sama nigdy go nie użyła. Była niemal pewna, że nie.



- Nie znoszę też słowa „przeżyć” - ciągnął Joel. - Chyba że w dosłownym znaczeniu.

- Przeżyć?

- Teraz ciągle mówi się o przeżyciu, jeżeli komuś udało się przebrnąć przez dzieciństwo.

- Aha.

- Nie znoszę też słowa...

Na szczęście miał wiele bardzo konkretnych przekonań. Dzięki temu Delia nie musiała podtrzymywać rozmowy. Wystarczyło, że siedziała, patrząc na jego usta - długie, mięsiste, o delikatnym obramowaniu, z wyraźnym wrębem pośrodku górnej wargi - i myślała, że jak na kogoś tak zainteresowanego problemami języka, to podejmował niewiele kwestii. "'

Teraz chodząc do sklepu dla smakoszy po podwiezieniu Noaha w środowe popołudnia, Delia zawsze kupowała jeszcze coś ekstra - kwaśne francuskie korniszony czy galaretkę z ostrej papryki. Płaciła za to własnymi pieniędzmi i zanosila na podwieczorek do Nata.

- Skąd wiedziałaś, że lubię takie rzeczy? - pytał. - Ludzie na ogół przyносят czekoladki, przetwory owocowe, słodyczne.

Nie przyznała się, że to dlatego, iż jej ojciec też lubił marynaty. Odrobina szarmanckości i kokieterii w zachowaniu Nata bowiem kazała jej myśleć, że nie uważa się jeszcze za takiego starego. Często stroił sobie żarty z Miasta Seniorów, jakby chcąc pokazać, że tak naprawdę to nie jest jego częścią. Nazywał je „Domem Żywych Trupów”. Twierdził, że mewy krążące nad budynkiem to sępy, i żartobliwie się wyrażał o „drogich biedaczyskach” na trzecim piętrze. I miał romans z Binky.

Binky naprawdę była jego kobietą, Delia już nie miała żadnych wątpliwości. Trzy razy wpadając na podwieczorek, zastawała Binky siedzącą na jego kanapie, grającą rolę gospodyni. A za czwartym razem, kiedy Binky nie było, Nat uznał za konieczne wyjaśnić, że nagle ją wezwano do syna, który ułamał sobie ząb.

- To Binky ma syna? - spytała.

- Ma dwóch synów.

- Nie wiedziałam.

- Tak że dziś honory pana domu sprawuje Noah. Delia usadowiła się na kanapie, przerzucając płaszcz przez poręcz. Patrzyła, jak Noah nalewa nierównym strumieniem herbatę.

- Nawet nie wiedziałam, że jest zamężna - stwierdziła.

Starannie dobierała słowa. Nie powiedziała: „była zamężna”, bo przecież Binky nadal mogła być mężatką. Odpowiedź Nata niczego jej nie wyjaśniła.

- Ależ tak. Wyszła za dentystę. - To wszystko, co powiedział.

- No to odłamanie zęba nie powinno stanowić wielkiego problemu - zauważyła zainspirowana.

- Zgadza się - odparł. Błysnął okiem spod krzaczastych siwych brwi. Po chwili jednak złagodniał. - Zakładając, że nie miałaby nic przeciwko wysłaniu syna do gabinetu w Wyoming.

- Aha.

- Są rozwiedzeni.

- Ach, rozumiem.

- Przykro rozwiedzeni - dodał Nat z pewnym upodobaniem. - Całe miesiące w sądzie, prawnicy, potem następni prawnicy, czterdzieści tysięcy dolarów wydanych, by zdobyć pięć tysięcy... już masz cały obraz.

- Przykro mi.

- Skończyła niemal bez grosza, musiała podjąć pracę w Mieście Seniorów, w sklepie z upominkami.

- To pracuje w sklepie z upominkami?

- No tak, tymczasowo.

Zerknął na Noaha, który podawał talerzyk z ciastkami w czekoladzie, niebezpiecznie go przechylając.

- Właściwie to Binky i ja mamy się pobrać - oświadczył Nat.

Noah jeszcze bardziej przechylił talerz.

- O, to gratuluje - powiedziala Delia i pochyliła się, by podnieść ciastko z dywanu.

- Naprawdę? - spytał Noah dziadka.

- Naprawdę. Ale jeszcze nie mów o tym paniom, dobrze? Twojej mamie i ciotkom pierwszy powinienem o tym powiedzieć.

- To wtedy stąd się wyprowadzisz?

- Obawiam się, że nie, synu. - I Nat zwrócił się do Delii: - Noahowi bardziej się podobał mój stary dom.

- W starym domu na tyłach był ten kławy domek na drzewie - wyjaśnił jej Noah.

- Ale nie było windy. Ani uchwytu nad wanną. Ani sali do ćwiczeń dla starych dziwaków.

- Ty nie jesteś starym dziwakiem! - zaproponował Noah.

- A do tego dochodzi jeszcze ten zapis w mojej umowie z Miastem Seniorów - Nat zwrócił się do Delii. - Dyrekcja widzi w tym całkiem spory problem, co łatwo możesz sobie wyobrazić. W tym mieszkaniu utopiłem wszystkie swoje oszczędności, a najniższy wiek uprawniający do zamieszkania tutaj wynosi sześćdziesiąt pięć lat. Binky ma trzydzieści osiem.

- A co z jej synami? - spytała Delia.

- To dopiero byłaby kłopotliwa sprawa! Muzyka rockowa w jadalni, rolki na korytarzach... Ale synowie mają mieszkać u jej rodziców. Jeden jest już w college'u, a drugi prawie. A jednak dyrekcja aż syczy ze złości, a do tego jeszcze wścieka się na mnie kilka sąsiadek, bo przecież tu mężczyzna to prawdziwa rzadkość. Według planu miałem się ożenić z jedną z mieszkanek, a nie z jakąś tam słodką lalą ze sklepiku z upominkami.

- Hm, wydaje się, że dokonałeś świetnego wyboru - skomentowała Delia.

I naprawdę tak myślała. Zdążyła polubić Binky, która obramowywała wszystkie ich rozmowy koronkami pełnych podziwu pomruków i zachęcających uwag.

Kiedy więc Delia wpadła w następnym tygodniu, postawiła sobie za zadanie powiedzieć Binky, że Nat jest szczęśliwcem.

- Hm, dziękuję - odparła Binky, cała rozpromieniona.

- Wyznaczyliście już datę?

- Mówiliśmy, że może w czerwcu.

- Albo w marcu - poprawił ją Nat.

Binky żartobliwie zrobiła duże oczy do Delii. Marzec już był za pasem, bo minęła połowa lutego.

- On nie ma pojęcia, co należy przy tym wszystkim załatwić - skonstatowała.

- Planujecie uroczysty ślub?

- Hm, niespecjalnie uroczysty, ale... Mój pierwszy ślub odbył się potajemnie. Byłem na pierwszym roku w Washington College i miałem na sobie ubranie, które tego dnia nosiłem na zajęciach. Tym razem więc chciałbym, żeby odbyło się to ze wszystkimi ozdóbkami.

- Ja. będę drużbą - zwrócił się Noah do Delii.

- No proszę!

- Będę podawał obrączki.

- Delio, ty też przyjdiesz, prawda? - spytał Nat.

- Jeżeli zostanę zaproszona, to zrozumiałe.

- Oczywiście, że zostaniesz zaproszona - zapewniła Binky, poklepała Delię po dłoni i uśmiechnęła się do niej, pokazując dołeczki.

Później jednak, w drodze do domu, Noah opowiedział Delii, że kiedy przyszedł, Binky płakała.

- Płakała? Dlaczego?

- Nie wiem, ale miała zaczerwienione oczy. Udawała, że nic się nie stało, ale poznałem. A potem, kiedy była w kuchni, zadzwonił telefon i dziadek krzyknął: „Nie odbieraj!” I nie odebrała. On też nie odebrał. Telefon dzwonił i dzwonił. Więc w końcu spytałem: „Chcicie, bym odebrał?” Ale on odpowiedział: „Nie, nieważne. To pewnie tylko Dudi”.

- A kto to jest Dudi?

- Jedna z moich ciotek.

- Aha - odparła, ale zaczęła się zastanawiać. - Dlaczego nie chciał z nią rozmawiać?

Wzruszył ramionami.

- Nie mam zielonego pojęcia. Delio, lepiej spójrz na licznik.

- Dzięki.

W ciągu ostatnich trzech tygodni dostała trzy mandaty. Stwierdziła, że musi to mieć coś wspólnego z otwartą przestrzenią. Prędkość jakby sama jej się narzucała i nie wiadomo kiedy samochód zaczynał fruwać.

W Bay Borough Joel już też wrócił do domu i czekał na nowiny. Wiadomość o planowanym ślubie Nata przyjął raczej z radością.

- Noah ma być drużbą - powiedziała Delia, wieszając płaszcz.

- No to nieźle! - I zwrócił się do syna: - A gdzie urządzisz wieczór kawalerski?

- Wieczór kawalerski?

- A wymyśliłeś już toasty?

- Jakie toasty?

- Nie zwracaj na to uwagi - Delia pocieszyła Noaha, który miał stroskowaną minę.

Przyszło jej do głowy, że na ślubie bez wątpienia spotka się z Ellie. To skandal, że jeszcze się nie poznały, skoro Delia opiekuje się jej synem. Jaka matka powierza syna nieznajomej?

Kilka tygodni wcześniej, przechodząc przez sypialnię Nata do łazienki, Delia zauważyła na szyfonierce kolorowe zdjęcie jego córek. A przynajmniej uznała, że to są jego córki - Ellie i trzy pozostałe blondynki splecione ramionami, roześmiane. Ellie była najbardziej żywa ze wszystkich, właśnie na nią patrzyło się od razu. Miała na sobie kremową sukienkę w truskawki pasującą do jej truskawkowych ust. Buty jednak nosiła nieszczególnie wymyślne - płaskie baleriny, czarne płaskie baleriny, papierowe i rozczłapane, z odciśniętymi palcami. Nogi w kostkach wyglądały w nich grubo.

Dlaczego Delii sprawiło to przyjemność? Nie miała nic przeciwko Ellie, nawet jej nie znała. Pochyliła się jednak nad zdjęciem i przez kilka minut

szukała jeszcze innych wad. Nie znaczy to, że je dostrzegła ani że zamierzała wyliczyć je kiedyś Joelowi.

RS



## Rozdział 14

W piątkowy ranek pod koniec lutego - w dzień tak ciepły i słoneczny, że można by sądzić, iż nastąpiła już wiosna, gdyby nie brać pod uwagę wybryków zimy - Delia szła do „Sklepu Młodego Mężczyzny”, żeby wymienić piżamę kupioną dla Noaha. (Kupiła mu piżamę podobną do stroju drużyny Orioles, nie zdając sobie sprawy, że niestety, chłopiec woli Phillies). A potem, skoro tak przyjemnie było przebywać na dworze tylko w samym swetrze, postanowiła pójść do biblioteki odwiedzić na chwilę panią Lincoln. Przecięła więc plac i ruszyła West Street. Zwolniła przy wystawie kwiaciarni, by podziwiać narcyzy, a przechodząc koło okna Pomfreta, zerknęła spod oka, jak się prezentuje jego nowa sekretarka. Rozeszła się plotka, że męczy się on z siostrzenicą własnej żony, nie umiejącą nawet pisać na maszynie, a co dopiero korzystać z komputera. Lecz światło tak odbijało się w szybie, że musiałyby podejść bliżej, by zobaczyć, co jest w środku. Widziała tylko kontur własnej postaci i tuż za nim następnej, a na obu deseni bluszczu - nowej rozrastającej się rośliny, którą nowa sekretarka musiała ustawić na parapecie. Delia przyśpieszyła kroku i przeszła przez George Street.

Na wystrój wystawy w sklepie „Za Grosik” składały się w tym tygodniu dziewczęce sukienki, tym razem więc dwie odbite sylwetki wypełnione były wzorami w różyczki i szkocką kratę. Zauważyła, że druga sylwetka ma bocianie dyndające kończyny, jak dorastający chłopak. Jak Carroll.

Odwróciła się i zobaczyła go. Wyglądał na jeszcze bardziej zdumionego niż ona, jeżeli to w ogóle było możliwe. Rysy twarzy mu stężały, gwałtownie się cofnął, ręce miał wciśnięte w kieszenie wiatrówki, łokcie odstawały.

- Carroll? - spytała.
- Co?
- Och, Carrollu! - zawołała.

Przeszyło ją tak gwałtowne uczucie, jakby wnętrzości rozdarł jej ból zadany przez zaciskającą się gdzieś głęboko pięść. Po raz pierwszy zrozumiała, jak strasznie tęskniła za synem. Jego twarz mogłaby być jej twarzą - nie dlatego, że ją przypominała (choć tak było), lecz dlatego, że Delia przez ostatnie piętnaście lat wchłaniała każdy jej szczegół - piegi jak gwiazdki rozsypane na nosie o subtelnym kształcie, ciemniejące w chwilach napięcia cienie pod oczami. (Teraz były niemal fioletowe). Carroll uniósł brodę jakby w samoobronie, tak że Delia w ostatniej sekundzie zdążyła wyciągnąć rękę i położyć ją na ramieniu syna, zamiast go pocałować.

- Jakże się cieszę, że cię widzę - powiedziała. - Jak tu się dostałeś?

- Przyjechałem.

Zapomniała, że przeszedł mutację. Musiała się od nowa przyzwyczaić.

- A co tu robisz na West Street? - spytała.

- Najpierw sprawdziłem w twoim pensjonacie, ale nikogo tam nie było, a potem przypadkiem zobaczyłem cię, jak przechodziłaś przez plac.

Widocznie nic nie powiedział rodzinie o planowanej podróży. (Delia wysłała Elizie swój nowy adres już kilka tygodni temu).

- Coś się stało w domu? - spytała. - U ciebie wszystko dobrze? Przecież to dzień szkoły!

- Tak, wszystko dobrze - odparł.

Delikatnie usiłował się wysunąć spod jej ramienia. Rzucił zakłopotane spojrzenia na przechodniów. Toteż Delia wbrew własnej woli zdjęła rękę z jego barku.

- Hm, chodźmy... zjadłbyś lunch?

- Lunch? Dopiero jadłem śniadanie.

Racja, nadal był ranek. Czuła się oszołomiona i dezorientowana, jakby pijana.

- A może napijesz się coli czy czegoś innego? - spytała.

- Dobra.

Odwróciła go w stronę baru „Rick-Rack”, co zarazem było dla niej okazją, by znów dotknąć syna. Uwielbiała to twarde ścięgno w zagłębieniu

jego ramienia. O tak, mogła się była spodziewać, że to właśnie Carroll po nią w końcu przyjedzie! (Najbardziej przywiązane z jej dzieci, cokolwiek by o tym mówić - najbardziej kochające, najbliższe. Chociaż pewnie to samo by myślała, gdyby pojawiło się któreś z dwojga pozostałych).

- Musisz mi uaktualnić wiele spraw - powiedziała. - Jak tam w dziesiątej klasie?

Wzruszył ramionami.

- Czy ojciec nadal miewa bóle w klatce piersiowej?

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- U Ramseya i Susie w porządku?

- Oczywiście.

O co więc chodzi? - chciała spytać, lecz milczała. Zaczynała się znów chować za woal dwulicowości przeznaczoną dla dorastających dzieci. Prowadziła go ulicą na zachód, niemal wstrzymując oddech.

- Czy Ramsey nadal widuje się z tą rozwódką? Z tą Velmą? - spytała.

Znów tylko wzruszył ramionami. Oczywiście, że tak.

- A co u Susie?

- Jak to u niej.

- Wymyśliła już, co chce robić po dyplomie?

- Co? - spytał, zajęty patrzeniem na plakat Bon Jovi w sklepie muzycznym.

Zachowywał się tak samo frustrująco jak zwykle. Nie wyzbył się nawyku ostentacyjnego powstrzymywania ziewnięcia po każdej wypowiedzi. Delia zmusiła się do okazania cierpliwości. Przeprowadziła go koło sklepu z alkoholem, potem koło sklepu z artykułami żelaznymi i w końcu wprowadziła do kafejki.

- Dee, cześć, kochanie! - pozdrowił ją Rick, opuszczając tygodnik „Sports Illustrated”.

Po sposobie, w jaki z nią się przywitał, zorientowała się, że przy ladzie siedzi jego teść. (Rick zawsze odstawiał przed nim przedstawienie).

- Z kim przyszedłeś? - spytał.

- To mój syn Carroll. - I zwróciła się do chłopca: - A to jest Rick Rackley.

- Ho, ho, twój syn! Proszę, proszę!

Carroll wyglądał na oszołomionego. Delia poczuła się odrobinę poirytowana. Czy nie mógłby się przyzwoicie zachować?

- Usiądźmy przy większym stole - powiedziała szorstko. Nigdzie nie było widać Teensy, Delia więc sama chwyciła

dwie karty ze stosu na stołku. Kiedy usiedli, jedną z nich podała Carrollowi.

- Wiem, że jest wcześnie, ale może zjadłbyś kanapkę z pieczoną wieprzowiną? Na sposób z Północnej Karoliny, nie na słodko ani...

- Mamo - szepnął Carroll.

- Co?

- Mamo, czy to Rick-Rack?

- Co?

- Ten Rick Rackley, futbolista?

- Hm, chyba tak.

Carroll wpatrywał się w Ricka, który napełniał teściowi kubek kawą. Odwrócił się znów do Delii i szepnął:

- To ty znasz Rick-Racka osobiście? A on zna ciebie? Układało się lepiej, niżby mogła sobie wymarzyć.

- Tak, oczywiście - odparła niedbale. - Rick, a gdzie się podziewa Teensy?! - po chwili zawołała na pokaz.

- Poszła do Salonu Fryzur - odparł, odstawiając dzbanek z kawą na miejsce. - Musicie teraz wszyscy zamawiać, wołając do mnie.

- A czy jest za wcześnie, by zamówić pieczoną wieprzowinę?

- Nie, jakoś sobie poradzimy - odparł Rick.

- Mamo, ale ja dopiero jadłem śniadanie. Mówiłem ci - odezwał się Carroll.

- Tak, ale tego byś żałował, gdybyś nie spróbował - stwierdziła. - Ani kropli sosu pomidorowego! A do tego naprawdę dobre frytki i domowej roboty surówka z kapusty!

Nie miała pojęcia, dlaczego robi takie zamieszanie. Carroll najwyraźniej nie był głodny, nadal wpatrywał się w Ricka. Mimo to zawołała:

- Rick, proszę dwa nakrycia i dwie duże cole!

- Robi się.

Teść obrócił stołek, aby móc im się przyglądać. Rzadkie włosy przystrzyżone na króciutkiego jeża całkiem stały dęba, nadając mu wygląd człowieka zdumionego.

- Ojej! - zawołał. - Jak to się stało z tym chłopcem? Delia przerażona spojrzała na syna.

- Jakże on tak szybko wyrósł? - spytał pan Bragg. - Tak nagle zrobił się taki wysoki?

Zastanawiała się, czy stary nie czyta czasem w jej myślach.

- Na Boże Narodzenie był taki malutki - w końcu stwierdził i wyciągnął rękę mniej więcej na poziomie swoich goleni.

- Ach, to pan ma na myśli Noaha.

Wszystkim było wiadomo, że stary Bragg ma coraz słabszą pamięć, i dlatego biedni Rick i Teensy nie mogą go odesłać tam, skąd przyjechał.

- A kto to jest Noah? - spytał.

- To ten chłopiec, z którym... - Nagle przerażona się, jakby przyłapano ją na nielojalności. - To syn mojego pracodawcy - dokończyła. - No, Carrolle, teraz opowiedz mi, co słyhać w domu. Czy Harem Rondli zstąpił na stół? Jadacie mnóstwo szarlotek?

- Nie zapytałaś o ciocię Lizę - zauważył syn.

- O Elizę? No, wszystko u niej w porządku?

- Tak, chyba w porządku - odparł.

- Co to ma znaczyć? Jest chora?

- Nie, nie jest chora.

- Na Boże Narodzenie był z ciebie jeszcze taki malec! - zawołał Bragg. - Piliście razem kawę i naradzaliście się nad prezentami.

- Eliza nadal prowadzi dom? - nie ustępowała Delia. Bragg wpłynął dekoncentrująco na Carrolla.

- O kim on mówi? - spytał.

- Mówiłam ci: o synu mojego pracodawcy.

- To dlatego masz tę torbę? „Gustowne Ubiory Dla Roztropnego Młodego Mężczyzny”? Kupujesz temu dziecku ubrania? Naradzacie się razem? I co ty, na miłość boską, masz na sobie?

Delia spojrzała na siebie. Nie była ubrana w nic dziwnego, tylko w rozpinany sweter panny Grinstead i granatową sukienkę domową we wzorki.

- Co masz do mojego ubioru?

- Jesteś taka... wyglądasz na taką skuloną.

Przed nimi pojawiły się dwa talerze, zabrzączały o blat.

- Podać ketchup? - spytał Rick.

- Nie, dzięki. - I zwróciła się do Carrolla: - Kochanie, ja...

- Ja chciałbym ketchup - oświadczył wojowniczo.

- O, przepraszam. Rick, tak, prosimy.

- Zapomniałaś, że masz syna, który polewa frytki ketchupem? - spytał Carroll.

- Kochanie, wierz mi, że nigdy bym nie mogła zapomnieć. No, może o ketchupie, ale nigdy o...

Rick podał plastikową butelkę z ketchupem oraz dwie cole w wysokich kartonowych kubkach.

- Dzięki - powiedziała.

Odczekała, aż Rick odejdzie, a potem wyciągnęła przez stół rękę i dotknęła dłoni syna. Była porowata niczym wyprawiona skóra. Usta zaciśnięte. Wydawał jej się jakiś bardzo scementowany, inny niż ten jakby za mgłą, o niewyraźnych konturach Carroll, do którego się przyzwyczaiła w swoich snach na jawie.

- Nigdy nie potrafiłabym zapomnieć, że mam dzieci - oświadczyła.

- No tak. To dlatego odpłynęłaś plażą i ani razu nawet na nie się nie obejrzałaś.

- Delia? - usłyszała czyjś głos.



Podskoczyła. Przy ich stole stanęły dwie nastolatki - Kim Brewster i Marietta jakaś-tam. Schwartz? Schmidt? (Przyniosła Joelowi kajmak domowej roboty tak słodki, aż pulsowało w skroniach).

- No proszę! Dzień dobry! - zawołała Delia.

- Nie powiesz panu Millerowi, że nas tu widziałaś, prawda? - poprosiła Kim. Dziewczyna była jedną z uczennic Delii, która niedawno jako wolontariuszka zaczęła udzielać w szkole korepetycji z matematyki. - Gdyby się dowiedział, toby nas zabił!

- Uciekłyśmy z lekcji - wtrąciła Marietta. - Zobaczyłyśmy cię tutaj i pomyślałyśmy, żeby cię spytać, bo wiesz, że niedługo pan Miller ma urodziny.

Delia nie miała o tym pojęcia, lecz zrobiłaby wszystko, żeby tylko ich się pozbyć.

- No więc zrzućmy się w kilka na prezent i pomyślałyśmy, że może ty nam powiesz, co mu kupić.

- Hm, no...

- Chodzi o to, że ty najlepiej go znasz. On nie pali, prawda? A dużo prezentów dla facetów to właśnie różne rzeczy dla palaczy.

- Zgadza się, nie pali - odparła Delia.

- Nawet fajki?

- Nawet fajki.

- Zawsze jest taki, no wiesz, dystyngowany i w ogóle. Naszym zdaniem wspaniale by wyglądał z fajką. Może więc mimo wszystko powinnyśmy mu ją kupić.

- Nie, moim zdaniem naprawdę by jej sobie nie życzył - powiedziała Delia stanowczym tonem. - No, dziewczyny, miło się z wami rozmawiało.

Kim patrzyła teraz na Carrolla zza długich jedwabistych rzęs.

- Nie chodzisz do Starej Halki - stwierdziła. Carroll się zaczerwienił.

- Do jakiej Halki?

- Do naszej szkoły średniej, Starej Halki... to znaczy Dorothy Underwood - wyjaśniła, strzelając gumą. - Nie jesteś tutejszy.

- No.

- Wiedziałam, że się tu nie kręcisz.

Delia zaczęła jeść surówkę z kapusty. Czowała, że ze względu na Carrolla nie powinna na niego patrzeć. On jednak po prostu wziął do ręki butelkę z ketchupem i zaczął wyciskać sos systematycznie na każdą po kolei frytkę.

- Hm... - w końcu mruknęła Kim i razem z koleżanką ruszyły w stronę pustego stolika, mamrocząc pod nosem nie wypowiedziane zdania. - Dee, dzięki za... no wiesz... A jeżeli coś ci przyjdzie na myśl...

Delia wypła łyk coli.

- Więc kim jest ten facet? - spytał Carroll, odstawiając ze stukiem ketchup.

Zdezorientowana, rozejrzała się po kafejce.

- No, mamó, ten facet z fajką. Ten taaaki dystyngowany facet, którego znasz taaak bardzo, bardzo dobrze.

- Aha - powiedziała i roześmiała się nie całkiem naturalnie. - To zupełnie o co innego chodzi! To jest mój pracodawca.

- Jasne.

Odepchnął talerz.

- Teraz wszystko się zgadza - powiedział. - Nic dziwnego, że nie wróciłaś do domu na Dzień Pracy.

- Jak to na Dzień Pracy?

- Tata mówił, że do tego dnia już będziesz w domu, ale teraz to chyba jasne, dlaczego nie wróciłaś.

Wpatrywała się w niego.

- Tata mówił, że wrócę na Dzień Pracy?

- Mówił, że potrzebujesz przez jakiś czas być sama i że wrócisz do domu z końcem lata. Liczyliśmy na to. Przyrzekł nam. Susie mówiła, że powinniśmy po ciebie przyjechać, ale on powiedział: „Nie, zostawcie ją. Zapewniam was, że wróci na nasz piknik w Dzień Pracy”. No i zobacz, co się stało: nie dotrzymałaś słowa.

- Jak to nie dotrzymałam słowa! - zawołała Delia. - To on dał wam słowo, nie ja! A jakie miał do tego prawo? Za kogo on się uważa, że zapewnia was, kiedy wrócę?

- Mamo - powiedział Carroll cichym głosem, zerkając ukradkiem na Ricka. - Nie róbmy z tego wielkiej hecy, dobra? Proszę cię, uspokój się.

- Nie będziesz mi mówić, żebym się uspokoiła! - zawołała i w tej samej chwili złapała się na tym, że się zastanawia, ile razy w życiu wypowiedziała to zdanie. „Nie będziesz mi mówić, żebym się uspokoiła!” I jeszcze: „Jestem absolutnie spokojna i opanowana”. Ale to mówiła do Sama, nie do Carrolla. Wszystko powróciło falą: uczucie, że jest stroną, która nie ma racji, że jest kapryśna, niestała, pobudliwa. (A im bardziej protestowała, tym bardziej wychodziło na to, że jest pobudliwa). Chwyliła krawędź stołu obiema rękami i oświadczyła: - Jestem absolutnie spokojna i opanowana.

- No to dobrze. Cieszę się, że to słyszę - powiedział Carroll. Wziął w palce nasączoną czerwienią frytkę i wsunął do ust z wystudiowaną objętnością.

„Cieszę się, że to słyszę” to była jedna z ulubionych ripost Sama. Poza tym często mówił: „Jeżeli tak uważasz, Dee” i „Niech ci będzie”. Powiedziawszy swoje, potrafił spokojnie przewrócić kartkę książki albo zacząć rozmawiać z chłopcami na zupełnie inny temat. Zawsze był taki pewny, że ma rację. I rzeczywiście na ogół miał rację. Kiedy krytykował ludzi, których Delia lubiła, nagle dostrzegała ich wady, a kiedy krytykował ją samą, nagle zaczynała się czuć jak zupełne zero, za jakie ją uważał. Podobnie teraz, na przykład przyrzekł im, że ona wróci do domu przed końcem lata. Wizja tego pokornego powrotu była na tyle przekonująca, że Delia niemal poczuła się tak, jakby do tego rzeczywiście doszło. Nawet nie potrafiła we właściwy sposób porzucić rodziny! Po prostu miała muchy w nosie i tylko musiała się ich pozbyć.

W istocie jednak nie powróciła ukradkiem do domu. Nie zrobiła tego ani przed końcem lata, ani później. Do dziś dnia. Ułożyła sobie życie w miasteczku, z którym Sam nie miał nic wspólnego.

Wparadowała Belle, wołając:

- Cześć, Dee, dobrze myślałam, że to ty! Delia specjalnie wstała i wylewnie ją objęła.

- Belle! - zawołała.

A przyjaciółka (jej na fioletowo ubrana postać miękko jak poduszka poddawała się ramieniu) okazała tyle przyzwoitości, że również ją przytuliła.

- Kim jest twój nowy towarzysz? - spytała.

- To mój syn Carroll. A to Belle Flint - zwróciła się do niego. Obejmowała przyjaciółkę w talii. - Co u ciebie słychać?

- No, w życiu się nie domyślisz, co, nawet za milion lat.

- No powiedz! - zawołała Delia z przesadnym entuzjazmem.

- Ale przysięgnij, że nic nie powiesz Vanessie. Niech to zostanie między nami.

Całe przedstawienie jednak poszło na marne, bo nagle Carroll wstał i odszedł od stolika.

- Na razie - wymamrotał z opuszczoną głową.

- Carrollu?

Zdjęła rękę z talii Belle.

- Na jutrzejszy wieczór - mówiła Belle - zaprosiłam Horace'a Lamba do kina.

Horace'a Lamba? Poczuli się naprawdę zaskoczona, mimo że śpieszyła za Carrolllem, który już wypadł z kafejki.

- Carrollu, kochanie! - zawołała.

Chodnikiem szła w ich stronę, drobiąc malutkimi kroczkami, Teensy w gigantycznej czapie wzburzonych rudych loczków. Carroll niemal na nią wpadł.

- Oj! - wykrzyknęła i cofnęła się, dotykając fryzury, jakby w obawie, że mogła jej odpaść. - Delio, powiedz prawdę, czy myślisz, że wyglądam głupio?

- Wcale nie - odparła zapytana. - Carrollu, zaczekaj! Chłopak odwrócił się, brwi miał nastroszone.

- Nie przejmuj się mną, zajmij się swoimi znajomymi! - wyrzucił z siebie. - Tą tu sierotą Annie i panem Dystyngowanym, i małym pitygryli chłopcem, i Veranda czy kimś tam...

Vanessa - niemal poprawiła go Delia.

- Nic się nie stało, Delio? - w tej samej chwili spytała stojąca za nią Tensy.

- Bo właśnie takie chyba są dzieciaki - skomentowała od progu kafejki Belle.

- Chciałem oddać ci przysługę - powiedział Carroll.

- Jaką, kochanie?

- Chciałem ci donieść, co się dzieje w domu, ale nieważne. Już nieważne.

Nie odwrócił się jednak i nie odszedł. Jakby zawisł, kołysząc się na skrzypiących gumowych podeszwach butów gimnastycznych. Delia ostrożnie nie podeszła bliżej. Stała jakieś dwa, trzy metry od niego, przybrawszy na twarz maskę łagodności.

- No więc co słyhać w domu? - spytała.

- Nic takiego. W ogóle nic! Oprócz tego, że twoja własna rodzona siostra uwodzi twojego męża - powiedział.

- Eliza?

- A tata zupełnie nie zwraca na to uwagi, po prostu śmieje się, kiedy mu o tym mówimy. Ale wszyscy to zauważyliśmy, ja, Susie i Ramsey widzimy to jak na dłoni, i łatwo się domyślić, jak to się skończy, możemy się założyć.

- Eliza nigdy by tego nie zrobiła - powiedziała Delia, lecz mówiąc to, chciała coś sprawdzić. Przywołała więc w pamięci scenę w saloniku na kanapie, na której siedziały szeregiem panny na wydaniu. „Kiedy tylko

słyszę słowo *lato*, czuję ten piekący zapach". Teraz jednak wydawało jej się, że Sam posłał wtedy Elizie szybkie, czujne spojrzenie pełne uznania i pomyślała, że wcale nie było to niemożliwe.

- Na pewno wam się wydaje - powiedziała jednak do Carrolla.

- No pewnie, bo co to ciębie obchodzi?! - wybuchnął syn, obrócił się na pięcie i zaczął biec w stronę West Street.

- Carrollu, nie odchodź!

Ruszyła za nim szybkim krokiem. (Ale właściwie, jak daleko mógł uciec?). Przebiegł przez George Street, zatrzymawszy się na chwilę przed ciężarówką, i zniknął za rogiem. Delia znów ruszyła szybciej. Widziała, że syn biegnie susami przez West Street i mijając Pomfreta, który stoi przed swoją kancelarią i rozmawia z gońcem firmy kurierskiej. Sama też przebiegła koło byłego pracodawcy, odwracając głowę, żeby kolejna osoba nie zawołała jej po imieniu. Na chwilę straciła Carrolla z oczu, aż znów dostrzegła go koło kwaciarni. Zeskakiwał z krawężnika i z powrotem na niego wskakiwał, czekając na przerwę w ruchu. Najwyraźniej kierował się w stronę placu. To dobrze - będą mogli razem usiąść na ławce. Złapać oddech. Wszystko omówić.

Po przejściu przez ulicę Carroll zatrzymał się przy jednym z samochodów zaparkowanych wzdłuż skweru. Był to szary samochód, plymouth. Jej plymouth. Za kierownicą siedział Ramsey. Poznała jego kochany kancaasty profil. Carroll otworzył drzwi od strony pasażera i wsiadł. Zawarował silnik i samochód włączył się do ruchu.

Nawet teraz mogła za nimi pobiec, ponieważ musieli jechać bardzo powoli. Nie ruszyła się jednak z miejsca, jakby wmurowało ją w chodnik. Jedną ręką chwyciła się za gardło.

Ramsey był w mieście. Przejechał tyle kilometrów i nawet się nie pofatygował jej odwiedzić. Pewnie Susie też, chociaż Delia dostrzegła w plymoucie tylko dwie głowy.

Zasłużyła sobie na to. Trudno było zaprzeczyć.

Odwróciła się i ruszyła z powrotem do „Rick-Rack” zupełnie automatycznie.



Tak wiele jej się zdarzyło, a tymczasem kiedy dotarła do kafejki, Belle i Teensy jeszcze stały przed drzwiami i rozmawiały, Kim i Marietta gwałtownie wydychały w środku wstążki dymu, a Rick wsuwał jej rachunek za lunch pod pojemnik z ketchupem. Powoli odliczyła pieniądze i zapłaciła, nie zapominając zostawić na stole napiwku. Wzięła torebkę i torbę Młodego Mężczyzny i wyszła na zewnątrz. Przepełnęła przez ostry chemiczny zapach fryzury Teensy, przez trajkotanie, paplanie i klekotanie Belle.

- Zauważyłaś - mówiła przyjaciółka - że Horace Lamb ociupineńkę, odrobineńkę jest podobny do Abrahama Lincolna?

Na rogu skręciła na południe. Zegar na wystawie optyka wskazywał kwadrans po jedenastej. Do lunchu było więc jeszcze daleko, a mimo to żałowała, że zostawiła danie z pieczonej wieprzowiny. I surówka z kapusty była wyśmienita. Z tej cukrowej, z masą nasionek selera. Kilka z nich pozostało jej jeszcze w ustach, zdrewniałych i pachnących przy rozgryzaniu. Delektowała się ich smakiem na języku. Nagle poczuła wręcz zdumiewający głód. Miała wrażenie, że jest zupełnie pusta. Można by pomyśleć, że nic nie jadła od miesięcy.

## Rozdział 15

Przez krótki czas po wizycie Carrolla kilka miejsc w mieście pozostało jakby naznaczonych jego obecnością. A to wypełniona bluszczem szyba, w której pokazał się po raz pierwszy, a to stół w barze „Rick-Rack”, przy którym siedział, a to ganek przed domem Belle, na którym musiał spędzić kilka minut, czekając, by ktoś otworzył drzwi. (Czy zauważył, że farba się łuszczy i pod nogami chyboczą deski podłogi?). We wspomnieniach Delii nie pozostał zgryźliwy, tylko smutny, a jego jeżozwierzowate zachowanie uważała za oznakę zranionych uczuć. Pomyślała, że odchodząc, powinna była go ze sobą zabrać. Musiałaby wówczas zabrać też Susie i Ramseya. W przeciwnym razie wyglądałoby na to, że go faworyzuje. Zobaczyła siebie maszerującą plażą z całą świtą - ścisła cienkie jak lina nadgarstki chłopców, a Susie pędzi, by za nimi nadążyć. „Dokąd idziemy, mammo?” „Ciii, nie pytajcie. Uciekamy z domu”.

Wprawdzie stało się tak, że to właśnie od dzieci po części uciekła.

Potem uprzytomniła sobie, że Carroll właściwie nie wydawał się zdruzgotany jej odejściem. Świetnie to wszystko zniósł, podobnie jak jego brat i siostra. Przypomniała jej się filozofia Nata: powinniśmy tak szybko jak koty zapominać o swoim dorosłym potomstwie. Uśmiechnęła się do siebie. No, może nie byłoby to dla nas równie łatwe.

A jednak czy to nie prawda, że przez ostatnie lata jej dzieci przeobraziły się w nieznajomych, w końcu też to najmłodsze? Że nie tylko ona przestała być dla nich centralną i najważniejszą osobą, lecz także i one stały się dla niej odrobinę mniej przejmująco istotne?

Siedziała nieruchomo, wpatrzona w dal, zastanawiając się, od jak dawna już o tym wie.

Następnie, jak już zobaczyła, że dzieci samodzielnie odchodzą, zajęła się tym, kto jej pozostał: mężem.

Jeżeli rzeczywiście jej pozostał.

Oczami wyobraźni widziała, jak siedzi przy śniadaniu, a Eliza nalewa mu kawy. Miała na sobie brązową sukienkę safari, a na policzkach nawet

odrobinę różu. Nie była nieatrakcyjna, pod pewnymi względami. Jej gładka żółtawa skóra nie kruszała z wiekiem, a róż sprawił, że ciemne oczy miały żywy blask. Wkradnie się w jego życie, przejmie karty pacjentów i rachunki, zapewni gorące posiłki i zorganizuje dom. „No, Elizo, dzięki” - powie wzruszony Sam. Mężczyźni bywają tacy łatwowierni! A miał z Elizą o wiele więcej wspólnego, niż można by podejrzewać. Wprawdzie Eliza twierdziła, że wciąż od nowa zaczyna życie, aż w końcu ułoży jej się jak należy, podczas gdy Sam uważał, że od razu chciał je sobie ułożyć, lecz oboje zdecydowanie zakładali, że „ułożenie życia jak należy” jest możliwe. Delia natomiast w pewnym stopniu zrezygnowała z ponawiania prób.

Poza wszystkim Eliza była siostrą Delii. Miała tę samą drobną budowę kości i fenomenalnie zdrowe zęby, potrafiła stracić panowanie nad sobą po zjedzeniu czegoś słodkiego i często nie kończyła zdań, które gdzieś się rozplýwały. Miłość do Elizy mogłaby tak naturalnie zawładnąć Samem jak polubienie teraz piosenki, którą już kiedyś słyszał.

Delia poczuła impuls, by wskoczyć do samochodu i popędzić do Baltimore, lecz zdawała sobie sprawę, jak banalna jest jej potrzeba odzyskania mężczyzny tylko dlatego, że stał się obiektem zainteresowania innej kobiety. Zmusiła się do pozostania na miejscu. „Przecież sama tego chciałaś” - powiedziała do siebie.

Również tego głęboko zranionego męża i dziecka innej kobiety, tego zbyt nowego ranczerskiego domu o ścianach, które dudniły jak tektura, kiedy się w nie stukało, tego marnego miasteczka sterczącego pośród krajobrazu płaskiego i wyblakłego jak kartka papieru.

Któregoś ranka nagle obudziła się przed świtem, być może umęczona snem, którego nawet okruchy nie pozostały jej w pamięci. Leżała w łóżku, przypominając sobie pierwszą kolację, jaką wydała po ślubie z Samem. On chciał zaprosić swoich dwóch dawnych kolegów z klasy wraz z żonami. Delia ślęczała całe dni, wymyślając zestaw dań. Odrzuciła pro-

pozycje sióstr, że jej pomogą, wydusiła z rodziny przyrzeczenie, że przez cały wieczór nikt nawet się nie pokaże. Koniecznie musiała udowodnić, że jest dorosła. A jednak kiedy tylko przyszło pierwsze z zaproszonych małżeństw, od razu poczuła, że grzęźnie w dzieciństwie. „Cześć, Łajzo” - powiedział mężczyzna do Sama. Łajzo! Czy kiedyś będzie z nim w tak zażyłych stosunkach, że również będzie mogła go tak nazwać? - zastanawiała się, miętosząc spódnice. „Cześć, Joe - odparł Sam. - Delio, poznaj Joego i Amy Rehotów”. Nie poinformował jej przedtem, jak się nazywają, a ona nigdy w życiu nie słyszała nazwiska Rehot. Tak ją rozbawiło, że wybuchnęła śmiechem. Wprost się zanosila, nie mogła się powstrzymać ani złapać oddechu, powietrze pischowało jej w gardle, z oczu tryskały łzy, policzki ją bolały. Zupełnie jakby znów była w szóstej klasie. Pokładała się ze śmiechu, a goście przyglądali jej się życzliwie, Sam zaś powtarzał: „Delio? Kochanie?”

„Przepraszam - powiedziała, kiedy w końcu zrobiło jej się tak głupio ze wstydu, że otrzeźwiała. - Przepraszam, naprawdę nie wiem, co mi...”

W tej chwili pojawiła się druga para. „No proszę, jesteście! - zawołał Sam z ulgą. - Kochanie, oto moi najstarsi przyjaciele, Frank i Mia Miaukowie”.

O Boże!

Sam jednak był bardzo wyrozumiały. Po przyjęciu wziął ją w ramiona i szepcząc ciepło w loczki na czubku jej głowy, powiedział, że każdemu może się zdarzyć coś podobnego.

Jaki był wtedy młody! Nie zdawała sobie wówczas z tego sprawy. Wydawał jej się w pełni ukształtowany, odporny na zwątpienie, ten nieosiągalny, opanowany mężczyzna, który przybył na koniu, by uratować ją przed pozostaniem na wieki córką. Wokół oczu rysowały mu się już lekkie zmarszczki, które dla niej były zarówno ujmujące, jak niepokojące. „Jeżeli pierwszy umrze, nie chcę żyć bez niego - myślała wtedy. - U ojca w szafce znajdę jakąś śmiertelną truciznę”. W tamtych czasach nie miała jeszcze dzieci, mogła więc mówić takie rzeczy. Wyobrażała sobie wtedy przeróżne katastrofy. Prawdę rzekłszy/później też to robiła. Cóż, zawsze

była strachliwa, pełna podejrzeń i przeczuć. Co się jednak stało potem? Dostał w nocy bóli w klatce piersiowej, a ona nie miała żadnego przeczucia. Siedziała sobie pogrążona w lekturze *Kochanka Lucindy*, głucha jak pień. I nagle zadzwonił telefon.

Wiadomość jednak nie została jej podana w sposób wywołujący wstrząs. Słuchając dyplomatycznego wywodu pielęgniarki, Delia myślała: „No tak, oczywiście”, a w jej wnętrzu tężało wilgotne i ciężkie uczucie pewności. „Najpierw tata, teraz Sam”. Umrze i pochowają go na cmentarzu na Krowim Wzgórzu. Będzie leżał tam sam, aż kiedyś Delia wsunie się i położy obok niego, podobnie jak w te wieczory, kiedy nie spała, oglądając jakiś głupi film, a potem wchodziła na górę i wsuwała się do łóżka, kładąc śpiącemu Samowi rękę na piersi.

Usiadła, opierając się o wezglowie, potrąciła kota i włączyła radio z zegarem. Leciał o tej porze jazz. Dużo samotnych klarnetów i brzdąkających fortepianów. Po każdym utworze prezenter podawał miejsce i datę nagrania. Nowojorski bar w sierpniowy wieczór 1955 roku. Hotel w Chicago, Sylwester 1949 roku. Delia zastanawiała się, jak ludzie mogą żyć w świecie, w którym upływ czasu ma tak ogromne znaczenie.

W końcu Nat i Binky nie mieli się pobrać w czerwcu. Przesunęli datę ślubu na jedną z marcowych sobót. Nat powiedział, że skorzystał z prawa, jakie daje mu wiek.

- Zastosowałem waszą podstawową zasadę: ile-mi--jeszcze-pozostało - zwierzył się Noahowi i Delii. - I drugą: ulituj-się-nad-starym-prykiem.

Binky radośnie dostosowała się do nowych planów.

- W ten sposób - powiedziała Delii - zostanę panią Nathanielową Moffatową o trzy miesiące wcześniej, i tyle. Co z tego, że zrezygnujemy z niektórych ceregieli? Nic takiego się nie stanie. - Były same w kuchni Nata i Binky mówiła to, przerzucając książki kucharskie. (Jedną z tych ceregieli, z których mieli zrezygnować, był tort weselny). - I naprawdę zamierzam zostać panią Nathanielową Moffatową - oświadczyła. - A nie żadną



tam panią Moffat. To w moim życiu pierwszy mężczyzna, który tak całkowicie mnie pokochał. -Skóra wokół jej oczu się zaróżowiła, jakby oczy miały napełnić się łzami. Kobieta szybko powróciła do przerzucania książki kucharskiej.

- W takim razie powinnaś natychmiast za niego wyjść -stwierdziła Delia.

- No, ale jego córki się nie zgadzają - odparła Binky. -Słyszałaś, że Dudi obcięła sobie włosy?

- Jak to obcięła sobie włosy?

- Kiedy Nat powiadomił ją o naszych zaręczynach, dostała napadu. Pobiegła do jego łazienki, chwyciła małe nożyczki, którymi on strzyże sobie brodę, i całkiem obcięła sobie włosy.

- To mi dopiero! - jęknęła Delia.

- Z kolei Pat i Donna nie przyjęły zaproszenia na ślub. A kiedy zaprosiłam Ellie na drużnę do orszaku... ot, tak, z grzeczności, bo mam już zaproszoną siostrę i siostrzenice... powiedziała, że może też nie przyjdzie, że nie jest pewna, może tak, może nie, więc lepiej od razu odmówi. Po czym przysłała do Nata i zarządziła, żeby wziął prawnika i sporządził intercyzę. Chyba wszystkie myślą, że jestem jakąś... poszukiwaczką złota. Nie dociera do nich, jaki popełniają nietakt wobec ojca, nie wierząc, iż jakaś kobieta może go pokochać dla niego samego.

- Są po prostu odrobinę zaskoczone - skomentowała Delia. - Przejdzie im.

Binky potrząsnęła głową, wygładzając kartkę książki.

- Dzwonią do niego i od razu pytają: „Czy ona jest tam?” Nazywają mnie „ona”. Kiedy tylko mają okazję, nie używają mojego imienia. Prawie nigdy nie odwiedzają ojca. Donna twierdzi, że to przeze mnie, bo wciąż tu jestem. Twierdzi, że nigdy nie mogą być z nim same, ale ja staram się, tylko po prostu...

Przerwała, rumieniąc się. Delię zaciekawilo, dlaczego, lecz Binky zaraz wymamrotała zakończenie zdania.

- Po prostu jakoś lubię tu teraz mieszkać.



- To oczywiste - Delia szybko skomentowała. - A czego one oczekują?  
- No tak. Ale nie chciałam cię zanudzać wszystkimi swoimi kłopotami. Wiesz, dlaczego tak lubię z tobą rozmawiać? Bo ty nigdy nie przerywasz, by opowiedzieć o sobie. Nic dziwnego, że jesteś taka rozrywana!

- Jestem taka rozrywana?  
- Nie bądź za skromna. Noah opowiadał nam, że jesteś zaprzyjaźniona z połową Bay Borough.

- Dobrze sobie! Prawie nikogo tam nie znam - powiedziała Delia.  
Wprawdzie teraz, kiedy podliczyła swoich znajomych, ze zdumieniem stwierdziła, że naprawdę ma wielu.

- Kiedy opowiadam, nie zwracasz uwagi, ile minęło czasu - ciągnęła Binky. - Ani nie czaisz się, by w którejś chwili wskoczyć z historią swojego życia.

- Bo nie bardzo mam z czym wskakiwać - zauważyła Delia.  
W ubiegłym tygodniu przy kolacji Joel spytał ją, z jakiej dzielnicy Baltimore pochodzi. „Z tej czy z tamtej, nieważne” - odpowiedziała, on zaś dał za wygraną, a przynajmniej tak jej się wydawało. Później jednak odezwał się: „Dziwne, prawda? Ktoś, kto nie mówi o swojej przeszłości, jest automatycznie uznawany za osobę z przeszłością, to znaczy z przeszłością odbiegającą od przeciętnej, jakąś bogatą i egzotyczną”.

„Naprawdę?” - skwitowała to neutralnym tonem. Zainteresowała ją wyrażona przez niego teoria. Przez chwilę zastanawiała się nad nią, aż zdała sobie sprawę z panującej ciszy. Podniosła wzrok i napotkała jego spojrzenie. „Co takiego?” - spytała. „Nie, nic” - odparł. I wtedy Noah pochylił się pomiędzy nimi, sięgając po sól, właściwie to zrobił wypad, kiwając się na dwóch nogach krzesła -i chwila prysła.

Jadąc na ślub, Delia cały czas zerknęła we wsteczne lusterko. Obawiała się, że ma przesadny makijaż.

- Jak ci się podoba moja szminka? - spytała Noaha.

- W porządku - odparł, nawet nie patrząc na nią. Miał własne zmartwienie. Co pewien czas wpychał palce w przerwę pomiędzy guzikami zimowej kurtki, by sprawdzić, czy ma obrączkę w kieszonce koszuli.
- Na pewno nie umalowałam się za mocno? - spytała.
- Cooo?
- Czy nie za mocno się umalowałam?
- Nieee, w porządku.
- Ty wyglądasz ładnie - powiedziała.
- Hm, nie wiem, dlaczego musiałem się tak wystroić.
- Jak to wystroić! Uważasz, że koszula bez krawata to taka elegancja?
- Wyglądam jak jeden z tych mydłków, co śpiewają w szkolnym chórze.
- Powinieneś dziękować, że Nat nie zmusił cię do kupienia garnituru - zauważyła.
- A co będzie, jeżeli obrączka wypadnie mi z ręki? Wiadomo, że będą mi się trzęsły ręce. Upuszczę obrączkę, zabrzęczy naprawdę głośno i potoczy się po posadzce do jednej z tych krutek „brzęk-u-brzęk-u-u-u” i już będzie po niej.
- Szkoda, że nie mam na sobie niczego bardziej atrakcyjnego - powiedziała Delia. - Wyglądam jak jakaś cioto-wata stara panna. - Pod płaszczem miała szarą sukienkę w prążki. - Mogłabym chociaż włożyć naszyjnik, wisiorek czy korale.
- Wyglądasz w porządku.
- W szkatułce na biżuterię, pozostawionej w Baltimore, miała naszyjnik z czterech sznurów pereł. Oczywiście, była to imitacja, lecz doskonale by pasowała do sukienki w prążki.
- Ile jeszcze upłynie czasu, zanim będzie mogła powiedzieć, że jej rzeczy w Baltimore i tak wyszłyby z mody czy się zużyły, gdyby pozostała w domu? Kiedy jej tutejsze rzeczy staną się dla niej rzeczywiste?
- Włączyła migacz i skręciła w drogę numer 50.
- Uuuch - jęknął Noah, chwytając za klamkę u drzwiczek.

- Przepraszam. - Zwolniła. - A więc chyba w końcu poznam się z twoją mamą.

- Nooo.

- Zdaje się, że w końcu zdecydowała się przyjechać?

- Tak ostatnio słyszałem.

Niedawno na dnie szafy chłopca Delia znalazła „Board-walk Bulletin”. (Artykuł zaczynał się od słów: *Kim jest ta przepiękna nowa dziewczyna od pogody w WKDM?*). Obserwując teraz Noaha, nikt by się nie domyślił, że kiedykolwiek wspomina matkę. Ziewał, patrząc przez okno na pozostałości zwariowanej śnieżycy, która nawiedziła okolicę w ubiegłym tygodniu. Lasy wyglądały jak czarne esy-floresy na tle bieli -jak na fotografii artystycznej.

„Ostrzeżenie przed śnieżycą może być kwestią życia lub śmierci - powiedziała Ellie w swoim wywiadzie. - Świadomość tego, że mam swój wkład w życie naszej społeczności, sprawia, że czuję jakiś ciepły prąd”.

Delia była ciekawa, co by powiedział Joel, słysząc o tym „ciepłym prądzie”.

Wyrosła przed nimi ceglana bryła Miasta Seniorów. Delia włączyła migacz i skręciła na parking.

- A jeżeli będą chcieli, bym wygłosił mowę? - niepokoił się Noah.

- Nie będziesz musiał wygłaszać żadnej mowy.

- A jeżeli ktoś zemdleje czy coś w tym rodzaju, to będę musiał pomagać?

- Wszystko naprawdę pójdzie ci jak po maśle. Wyszli z samochodu i przeszli przez plac, który był

niezbyt zadbany. Delia nie miała kaloszy, musiała więc wesprzeć się na ramieniu Noaha. Szli razem, klucząc pomiędzy zamarzniętymi kałużami.

- Widzisz? Już musisz być pomocny!

Jego ramię było szczupłe, lecz zarazem mocne jak żelazo. W holu spytali starszego mężczyznę o drogę do kaplicy.

- Prosto, a potem na końcu w lewo - poinformował ich. - Państwo chyba na ślub?

Skinęli głowami.

- Ja też zaraz tam idę. Chcę być na tym ślubie. Wszyscy tutaj zostali zaproszeni.

Delia podziękowała mu, a następnie ruszyli przez hol. Przechodząc koło wind, zerknęła na swoje odbicie w błyszczących stalowych drzwiach. Wydawała się sobie blada i uszargana, płaszcz wisiał na niej ponuro, jak zbyt długa, oblepiająca łydki szmata.

„Ciuchy są moją największą słabością - powiedziała Elli w wywiadzie dla „Boardwalk Bulletin”. - Na szczęście mam taką figurę, że wszystko na mnie dobrze leży, nie muszę więc wydawać majątku, żeby nieźle wyglądać”.

Na końcu holu skręcili w lewo i przez boczne drzwi weszli do kaplicy. Podłoga wyłożona była od ściany do ściany beżową wykładziną, na której stały gładkie beżowe ławki. Niemal wszystkie były już zajęte przez starsze kobiety, a mężczyzn przyszło raptem ze czterech. Większość kobiet włożyła eleganckie sukienki, lecz kilka miało na sobie szlafroki. Z tyłu jakby osobny rząd tworzyły osoby na wózkach. Delia z Noahem przez chwilę stali, rozglądając się, aż podszedł do nich ciemnowłosy młodzieniec w garniturze i podał Delii ramię.

- Wszystkich sadzamy tam, gdzie akurat jest miejsce - poinformował.  
- Noah nie potrzebuje miejsca. Jest družbą.  
- Cześć, Noah. Mam na imię Peter. Jestem synem panny młodej - przedstawił się chłopak. Nie odziedziczył po Binky jej niskiej, krągłej postury ani różowawej karnacji, tylko swobodę w kontaktach z ludźmi. - Powinieneś wejść tamtymi pierwszymi drzwiami. Czeka tam twój dziadek - poinstruował Noaha.

Chłopiec posłał Delii ostatnie błagalne spojrzenie. Uśmiechnęła się do niego szeroko i odgarnęła mu włosy z czoła.

- Powodzenia! - powiedziała.

Następnie Peter odprowadził ją na jedno z pozostałych miejsc pomiędzy kobietą w brązowo-białej sukience a starszym mężczyzną, który manipulował przy aparacie słuchowym. Siedział na skraju rzędu, przy sa-

mym przejściu. Tylko skręcił w bok kościste kolana, żeby ją przepuścić. A rozebrać się z płaszcza pomogła jej kobieta.

- Prawda, że to przejmujące? - zwróciła się do Delii. - Miała piegowatą twarz w drobniutkie zmarszczki, rozjaśnioną życzliwym uśmiechem, i ufryzowane włosy w kolorze pomarańczowego sorbetu, kiedyś pewnie rude. - To pierwszy ślub w Mieście Seniorów! Nie liczymy Paula i Ginny Mellors, bo uciekli. Jest pani kimś z rodziny?

- Nie, tylko znajomą.

- Nasi dyrektorzy mają zawrót głowy. Chcą, żeby Binky płaciła wyższe stawki, bo jest młodsza. Boją się, że w przeciwnym razie młodzi będą tu walić drzwiami i oknami, chcąc korzystać z tutejszego bezpieczeństwa i służby zdrowia. Przy okazji, mam na imię Aileen.

- A ja Delia.

- Miło mi. A ja tam uważam, że to trele-morele. Binky to taka nasza słodka babeczka, że to my powinniśmy płacić jej! Nasze spotkania niedzielne dzięki niej ogromnie zyskają.

W tej chwili w bocznych drzwiach stanęła Ellie.

Delia natychmiast ją poznała - wyfiokowana fryzura, wydatne czerwone usta. Miała na sobie długi kremowy płaszcz o odcień ciemniejszy niż jej karnacja, stała jakoś tak wyprostowana, że wyglądała na bardziej spokojną niż inne kobiety. Podszedł do niej jeden z mistrzów ceremonii, lecz nie był to Peter, tylko jego brat, co rzucało się w oczy - miał takie same ciemne włosy, ale wydawał się bardziej postawny. Ellie wzięła go pod ramię i ruszyli naprzód - dół jej płaszcza elegancko się kołysał. Gdzie jednak znajdzie się dla niej miejsce? Wszystkie ławki były zapchane. Prowadzący ją chłopak chyba jej to wyjaśniał, słuchała, wydymając usta i marszcząc brwi. Przeszli przed pulpitem. Po drugiej stronie stało pod ścianą kilka osób - w większości był to personel kuchenny w fartuchach. Ellie stanęła pośród nich. Jaka szkoda! Jedyna córka, która przyszła, musiała stać!

Po chwili jednak okazało się, że druga córka też jest obecna - mizerna, wyglądająca jak własny cień kobieta wstała z miejsca i ruszyła wzdłuż



rzędu kolan, aby dołączyć do Ellie. Również miała jasne włosy, lecz tak brutalnie krótko obcięte, że miejscami wydawały się zdrapane z głowy. Przysłoniwszy usta ręką, szeptała coś do Ellie. Potem obie zwróciły wzrok wprost na Delię.

Ta w poczuciu winy spuściła oczy. Powinna się do nich uśmiechnąć, lecz udawała, że jest zajęta rozmową z Aileen.

- Na organach gra Mary Lou Simms - mówiła sąsiadka. Delia nawet nie zauważyła, że są organy, lecz teraz rzeczywiście dotarły do jej uszu dźwięki *Błogostawionych zapewnień*. Z prawej, od strony mężczyzny rozległ się przesywający świst, prawdopodobnie coś się działo z aparatem słuchowym. - O, idzie ojciec Merrill - powiedziała Aileen. - Prawda, że jest oszalamiający?

Zdaniem Delii ojciec Merrill wcale nie prezentował się oszalamiająco, tylko nonszalancko nosił sutannę. Podszedł do pulpitu, wymachując trzymaną w jednej ręce Biblią. Za nim szli Nat i Noah. Nat trzymał się sztywno wyprostowany, dziś nie pomagał sobie laską. Delia nagle dostrzegła, jaki Noah jest wysoki. Dopiero teraz, patrząc na niego obok Nata, uświadomiła sobie, jak wyrósł przez te kilka miesięcy, odkąd go poznała.

Organy gładko przeszły na *Marsza weselnego*. Oczy wszystkich zwróciły się do tyłu.

Najpierw szła bardziej postawna i mniej atrakcyjna wersja Binky - mistrzyni ceremonii w szerokiej niebieskiej sukni, o siwych, zwyczajnie przystrzyżonych włosach i szerokiej sympatycznej twarzy. Za nią kroczyła sama Binky, na biało. Wyglądała ślicznie. Płynęła do ołtarza, z bukietem różowych róż, cała rozpromieniona radością. Za nią dreptały dwie siostrzenice, podobnie otyłe jak ich matka, trzymając w garści fałdy trenu.

- Oj, co za widok! - zachwyciła się Aileen. - Widziałaś kiedyś coś bardziej uroczego?

Sąsiad z drugiej strony otwierał zębami zatopione w folii baterie. Pod ścianą jaśniała nieruchoma biała twarz Elli, która najwyraźniej nie przyglądała się Binky.



Orszak panny młodej dotarł do ołtarza, gdzie Nat z dumą i prostotą podał Binky ramię. Zwrócili się w stronę pastora.

Uroczystość była krótka - tylko przysięgi i wymiana obrączek. Noah świetnie się sprawił. We właściwej chwili wyciągnął obrączkę i jej nie upuścił. Delia jednak obserwowała to wszystko nie bardzo uważnie, albowiem skierowany na nią niewzruszony wzrok Ellie Miller porażał najgłębsze, najbardziej napięte i przezorne pokłady jej świadomości.

Następnie wszyscy goście zostali zaproszeni do mieszkania Nata - wszyscy, którzy chcieli przyjść. Wątle postacie wypływały zwartym strumieniem przed kaplicę. Delia oferowała wsparcie ramionom zwiędłym i miękkim jak balony nadmuchane dzień wcześniej. Pakowała pachnące naftaliną wełny do windy, a potem na górze usadzała więcej kobiet, niżby mogła sobie wyobrazić, na miękkich jak trzęsawisko poduchach kanapy Nata. Wszyscy czekali na tort Binky. Woleli jeść domowej roboty, cieszyli się więc, że panna młoda nie miała czasu zamówić ogromnej pagody, o której marzyła.

- W kafeterii zawsze możemy sobie kupić gotowe ciasto - powiedziała jedna z kobiet do Delii. - Dostarcza je Piekarnia Brinharta. Smakuje jak plaster.

Delia rozglądała się za Ellie, lecz nigdzie nie było jej widać. Dudi też. Właściwie w tym tłoku wszyscy gdzieś ginęli.

Utorowała sobie drogę do Binky, która kroїła tort na kwadratowe porcje. Tren miała zarzucony na ramię.

- Jak myślisz? Wszystko dobrze poszło? - spytała. Stroik z różowych róż przekrzywił jej się na jedno ucho i wyglądał niczym aureola na bacier.

- Naprawdę poszło doskonale - odparła Delia. Zaczęła nakładać tort na talerzyki. Tymczasem Nat nalewał szampana. W podawaniu pomagali mu dwaj synowie Binky i jej dwie siostrzenice. Skończyły im się kieliszki i musieli rozpakować jednorazowe kubki.

Kiedy już wszyscy zostali obsłużeni, Nat zaproponował toast.

- Za moją przepiękną, świeżo poślubioną żonę! - zawołał i powiedział kilka słów o tym, jak życie może być skomplikowane. Niekiedy prowadzi nas w dół, niekiedy w górę albo jednocześnie w górę i w dół, albo wiedzie nas linią mniej regularną: zygzakiem czy też spiralą, a czasem esem-florem. - A czasami - mówił - docieramy tam, gdzie naszym zdaniem miał być koniec, a tymczasem właśnie tam otwiera się coś nowego. - Podniósł kieliszek, kierując toast w stronę Binky. Oczy podejrzenie mu błyszcząły.

Jedna z kobiet na kanapie stwierdziła, że Binky dodała do wszystkiego własnego świeżego cytrynowego smaku.

- Zawsze potrafię rozpoznać świeży smak - powiedziała. - Nie ma sensu zastępować czymś brązowego osadu, który osiada w butelkach. - W zamyśleniu zlizwała resztki z widelca. Jej twarz miała już za sobą okres starzenia się, wyglądała po prostu jakby ukształtowana z osobnych części, bez widocznych linii podziału. Czy dochodzi więc do takiego momentu, kiedy to przeżywszy wszystkich przyjaciół, można zacząć myśleć, że po prostu uciekło się w ogóle przed śmiercią?

Wzięła ód Binky nóż do tortu i zaczęła kroić kolejne porcje, które roznosiła na tacy, proponując dokładki. W sypialni młoda kobieta w białym spodniem pielęgniarce rozprawiała o różnych szpitalach, nazywając je poufale „Świętym Józkiem” lub „Świątą Trójką”. Otaczający ją krąg rezydentów słuchał jak zaczarowany. W kącie dwóch mężczyzn grało w szachy. Jeden spytał Delię, czy może wziąć jeszcze jeden kawałek tortu dla żony na trzecim piętrze. Aileen, sąsiadka z kościoła, kiwała potakująco głową i uśmiechała się, słuchając ubranej w futro kobiety, która opowiadała o innych ślubach.

- No i wyobraź sobie Loi: miała szczęście! Wyszła za mężczyznę, który w swoim domu posiadał wszystkie podstawowe urządzenia, łącznie z piecem nawiewowym.

Wszedł Noah z kieliszkiem szampana, który starał się ukryć, kiedy spostrzegł Delię.

- Daj mi to - rozkazała.

- Ojej, Delio.

Wyjęła mu kieliszek z rąk i postawiła na tacy, która właśnie ich mijala.

- A w ogóle powiedz mi, gdzie jest twoja mama.

- Nie wiem.

- Nie przyszła tutaj? Wzruszył ramionami.

- Chyba miała coś innego do roboty - odparł. Obrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju, zanim zdołała cokolwiek powiedzieć. Nie znaczy to jednak, że chciała się zachować aż tak nietaktownie.

Nagle usłyszała głos niosącej tacę siostry Binky.

- Widziałam, jak wychodziła zaraz po przysiędze - szepnęła tubalnym głosem. - Wyszły obie z siostrą. Ma na imię Dudu, prawda?

- Nie, Dudi.

- Tyle krzyku o to, jak zareaguje jego rodzina! A my co? Wiele moglibyśmy powiedzieć. Naprawdę. Wychodzi za męża za mężczyzną, który mógłby być jej ojcem.

- Ja po prostu cieszę się, że odnaleźli się w życiu - stwierdziła Delia.

- No właśnie - przytaknęła siostra z westchnieniem. Nagle u boku Delii pojawił się Nat.

- Poznałaś moją szwagierkę? - spytał. - To znaczy Bernice? Możesz sobie wyobrazić, że ktoś w moim wieku nagle ma nową szwagierkę? - Mówił w sposób wylewny, głos mu drżał, skórę na twarzy miał tak mocno naciągniętą i rozpromienioną, że wyglądał jak przebrany za starca uczeń szkoły średniej, występujący w przedstawieniu. Zauważył, że córki zniknęły, lecz to nie zaćmiło jego szczęścia.

W drodze do domu Delia powiedziała Noahowi, że ma bardzo ładną mamę, choć wcale tak do końca nie uważała. Doszła bowiem do wniosku, że w Ellie jest coś oślepiającego. A przez to oślepiające wrażenie nadawała się bardziej do telewizji niż do osobistych kontaktów. Delii właściwie

chodziło o pretekst, by móc o niej mówić. Noah jednak tylko coś mruknął i bębniąc palcami, nadal patrzył przez boczne okienko.

- A ty wyglądałaś naprawdę elegancko - powiedziała.

- Pewnie.

- Nie wierzysz? To popatrz - droczyła się z nim. - Następne wesele, w którym będziesz uczestniczył, może być twoim własnym.

Jednak nawet się nie uśmiechnął.

- Nikłe szanse.

- To znaczy, że nie masz zamiaru się ożenić?

- Tata i ja mamy przerąbane z kobietami - oświadczył ponuro. - Wygląda na to, że czegoś w nich nie rozumiemy.

W innych okolicznościach może by ją to rozbawiło, lecz teraz wzruszyło. Spojrzała na niego. Wyglądał przez okno. W końcu wyciągnęła rękę i poklepała go po kolanie. Resztę drogi przejechali w milczeniu.

RS

## Rozdział 16

Jeżeli X oznacza obecny wiek Jenny, a Y jej wiek, kiedy wyjechała do Kalifornii... - mówiła Delia.

T.J. Renfro położył głowę na kuchennym stole.

- Słuchaj, T.J., to nie takie trudne! Rozumiesz, wiemy, że była o trzy lata starsza od koleżanki, do której pojechała z wizytą do Kalifornii, i wiemy, że kiedy jej koleżanka miała...

- W normalnym życiu to nie jest warte funta kłaków - poinformował Delię T.J.

Włosy jego, ostrzyżone jakby do połowy głowy - średniej długości na czubku, z tyłu zwisały tłustymi strąkami. Na obu przedramionach miał wytatuowane bransolety z zakrzywionymi końcami, a w kamizelce z czarnej skóry tyle zamków błyskawicznych, ile nie znalazłoby się we wszystkich ubraniach większości ludzi. Z wszystkimi uczniami Delia prowadziła konsultacje w szkole, ale T.J. przychodził do domu. Został zawieszony bowiem do pierwszego maja i nie miał prawa wstępu do szkoły. Zamiast tego co czwartek o trzeciej po południu stawał przed tylnymi drzwiami Millerów. Delia nie chciała wiedzieć, za co został zawieszony.

- Normalnie w życiu masz wiele podobnych problemów! - mówiła. - Wiele razy staniesz przed koniecznością odnalezienia niewiadomego.

- Na przykład będę musiał stanąć przed jakąś lalą i spytać, ile ma lat - powiedział, unosząc głowę. - A ona na to powie: „No, dziesięć lat temu miałam dwa razy tyle lat, ile moja kuzynka, kiedy...”

- Nie, mój drogi, wszystko ci się pomyliło - upomniała go Delia.

- To jak to się stało, że ta Jenny odwiedziła kogoś o trzy lata młodszego? To zupełnie nie trzyma się kupy.

Zadzwoił telefon. Delia wstała, by podnieść słuchawkę.

- Pewnie ona tylko tak mówiła, że odwiedziła tego kogoś, a naprawdę ukryła się w jakimś motelu z chłopakiem - skomentował T.J.

Delia podniosła słuchawkę.

- Halo? Milczenie.

- Halo?!

Ktoś odłożył słuchawkę.

- Teraz często są te pomyłki - stwierdziła Delia i odłożyła słuchawkę. Wróciła do swojego krzesła.

- To kocioł elektryczny - wyjaśnił T.J.

- Jaki kocioł elektryczny?

- Jeżeli przez jakiś czas nie korzystasz ze swojej linii, to w niej koncentruje się jakby taka siła, która potem się wylewa i powoduje, że telefon dzwoni.

Delia przekrzywiła głowę.

- U mojej mamy to się zdarza kilka razy w tygodniu - powiedział T.J.

- No, tutaj to się zdarza częściej, jakieś kilka razy na dzień.

Telefon znów zadzwonił.

- Widzisz? - spytała.

- To niech pani nie odpowiada.

- Nie znoszę nie odpowiadać.

Zapadł się głębiej w krzesło i zaczął uważnie jej się przyglądać. Telefon zadzwonił po raz trzeci, czwarty. Nagle otworzyły się drzwi wejściowe i wpadł Noah, a z nim powiew świeżego powietrza.

- Cześć, T.J.! - zawołał. Rzucił plecak szkolny i podniósł słuchawkę. - Halo?

Panowała cisza. Delia i T.f. z napięciem przyglądali się chłopcu.

- Nieee, chyba nie mogę - powiedział. Odwrócił się od nich. - Po prostu nie mogę, tyle. - Znów milczenie. - Nie, wcale nie o to chodzi, naprawdę! Mam dużo lekcji i w ogóle. Już muszę kończyć. Cześć. - Odłożył słuchawkę.

- Kto to? - spytała Delia.

- Nikt.

Zarzucił plecak na ramię i odmaszerował do swojego pokoju.

T.J. i Delia popatrzyli na siebie.



Nazajutrz po południu, w chłodny słoneczny piątek, Delia wybrała się z Vanessa na wyprzedaż swetrów w „Młodym Mężczyźnie”. Wiosna była za pasem, a Noah wyrósł z ubiegłorocznej garderoby. Wyprawa przebiegała niesamowicie powoli, bo dwu- i półletni Greggie miał okropnie trudny okres i nie chciał jeździć wózkiem. Musiał iść pieszo. Delia czuła się tak, jakby nigdy przedtem nie oglądała miasta tak szczegółowo - każdej plastikowej pokrywki poniewierającej się na chodniku, każdego wróbla, który dziobał folię w rynsztoku. W drogę powrotną wyruszyli więc dopiero około trzeciej.

- Oj, patrz, która godzina. Noah wróci do domu przede mną - jęknęła Delia.

- A nie jedzie do mamy? - spytała Vanessa.

- W tym tygodniu nie.

- Wydawało mi się, że jeździ co piątek.

- Ale dziś coś tam się musiało stać. Dotarły do rogu, gdzie miały się rozstać.

- Pa, Greggie, pa, Vanesso.

- Do zobaczenia - powiedziała przyjaciółka. - Musimy spytać Belle, czy chce się z nami spotkać w weekend.

- Ja mogę.

Belle rezerwowała teraz weekendy dla Lamba, lecz zobowiązała Delię do trzymania tego w tajemnicy.

W szkole dzieci już wylewały się strumieniem na boisko. Delia jednak nie usiłowała wypatrzeć wśród nich Noaha. Wiedziała, że będzie chciał wracać do domu z kolegami. Ominęła deskorolkę, która komuś uciekła, uśmiechnęła się do dziewczynki zbierającej rozrzucone kartki i z grzeczności udawała, iż nie widzi, że matka i syn kłócą się przy samochodzie.

Jednak po chwili uprzytomniła sobie, że synem jest Noah, a matką Ellie.

Miała na sobie kremowy płaszcz, ten sam co na ślubie, lecz wyglądała na zmęczoną i niezadbaną. Siłowała się z No-ahem, chcąc go ulokować na

siedzeniu pasażera. Syn się wyrywał, kurtka zsunęła mu się do połowy ramion.

- Mamo - powtarzał - mam, przestań.

- Noah? - odezwała się Delia.

Oboje rzucili jej identyczne roztargnione spojrzenia i nadal się szarpali. Ellie zaczęła wpychać Noahowi głowę w sposób, w jaki robią to w telewizji policjanci pakujący do furgonetek zakuty w kajdanki podejrzanych.

- Co tu się dzieje? - spytała Delia, chwytając Ellie za nadgarstek. - Proszę go puścić!

Ellie odepchnęła Delię tak gwałtownie, że niechcący uderzyła ją w twarz, drapiąc po czole ostrym kamieniem pierścionka. Tymczasem Noah zdołał się uwolnić. Zatoczył się kilka kroków do tyłu, poprawił kurtkę. Z rozpiętego plecaka wypadały mu kartki. (Właśnie te kartki zbierała dziewczynka!). Wytrzeł nos pięścią.

- No, ładnie, mam - powiedział.

Ellie stała wyprostowana, ciężko dyszała, patrzyła na niego piorunującym wzrokiem.

Dziewczynka z szacunkiem podała mu kartki. Wziął je, nie patrząc. Teraz Delia spostrzegła, że nieopodal kręcą się jego dwaj koledzy - Kenny Moss i drugi chłopak, którego imienia nie pamiętała. Przyglądali się scenie, lecz udawali, że nie patrzą, kopiąc w chodnik. Pozostałe idące grupkami dzieci robiły wrażenie nie zorientowanych, że dzieje się coś niedobrego.

- Tylko chciałam, byś do mnie pojechał! Jak zawsze! Normalnie mnie odwiedził jak co piątek! - krzyczała Ellie. - Żądam zbyt wiele? - Zwróciła się do Delii. - Czy to takie...?

Coś sprawiło, że przerwała. Szczeka jej opadła.

- Rany! - zawołał Noah, patrząc na czoło opiekunki. - Rany! Delio! Leci ci krew!

Podniosła rękę do czoła. Opuściła ją i spojrzała: cała dłoń była we krwi. Delia jednak nie odczuwała bólu, tylko lekkie pieczenie na skroni, gdzie wyczuwa się tętno.

- Oj, nic się nie stało - powiedziała. - Pójdę do domu i... Noah stał z szeroko otwartymi oczami.

- Jak rany! - wykrzyknął Kenny Moss i chwycił za rękaw koleżkę.

- Jak widzę krew, odpływam - stwierdziła rzeczowym tonem dziewczynka.

Naprawdę wyglądała tak, jakby miała zemdleć - usta poblady jej jak popiół, Delia więc, chcąc zadbać najpierw o sprawę najważniejszą, poleciła jej krótko:

- To nie patrz. - Jej zupełnie nie kręciło się w głowie. Była to jedna z tych ran, które wyglądają na poważniejsze, niż są w rzeczywistości. Nie chciała jednak ubrudzić sobie ubrania. -Gdzieś tu... - mruknęła, szukając w torebce chusteczki. Przeszkadzała jej torba z „Młodego Mężczyzny”, podała ją więc Noahowi, pozostawiając na szeleszczącym paśmie u góry krwawe ślady palców. - Jestem pewna, że gdzieś tu...

Pod brodę podsunięto jej garść miękkich, rozchylających się chustek - to Ellie zdecydowała się pomóc.

- Bardzo przepraszam - powiedziała. - To zdarzyło się przypadkiem! Naprawdę, Delio, nie chciałam cię skaleczyć.

- Hm, wiem o tym - odparła Delia, biorąc od niej chustki. To, że Ellie zwróciła się do niej po imieniu, nagle wydało jej się dziwnie pochlebiające. Przycisnęła chustkę do skroni, czuła pulsujące tętno.

- O Boże, musimy cię zawieźć do lekarza - powiedziała Ellie.

- Nie, nie trzeba.

- Skąd możesz wiedzieć? Jesteś w szoku - stwierdziła Ellie. Wprawdzie to ona wyglądała jak ktoś wytracony z równowagi, ciągle wpychając Delii garście nowych chustek (nosiła je luzem w kieszeni czy co?) i wszystkim wydając ostrym tonem rozkazy. - Odsunąć się! Zróbcie miejsce! Noah, ty jedziesz z tyłu, Delia niech siada z przodu.

- Może w szkole jest pielęgniarka czy ktoś taki? Poszukajmy pielęgniarki - protestowała Delia.

- Chyba nie chcesz mieć potem blizny? - upierała się Ellie. - Brzydkiej, szpecącej blizny?

Nad tym już należało się zastanowić, Delia więc pozwoliła się podprowadzić na miejsce pasażera. Noah najpierw pochylił fotel, by wsiąść do tyłu, a potem ustawił go z powrotem dla Delii. Kiedy już usiadła, przechylił się przez jej ramię i podał szary podkoszulek wyciągnięty z plecaka.

- Proszę - powiedział. - Przez te chustki leje się jak z kranu.

Spierałaby się z nim (krew tak trudno było wyprać), lecz rzeczywiście zużyła wszystkie chusteczki. Przycisnęła więc podkoszulek do czoła i wciągnęła nosem zapach świeżego potu i butów gimnastycznych. Tymczasem Ellie usiadła już za kierownicą i włączyła silnik.

- Niewykluczone, że będą musieli założyć ci szwy - powiedziała, włączając się do ruchu. - Ostatnio wszystko wymyka mi się z rąk! A ja tylko patrzę w zdumieniu!

- Wiem, o czym mówisz - zauważyła Delia. Zerknęła na nią spod podkoszulka. Z bliska wydała się bardziej sympatyczna. Szminka jej się wytarła, pozostały tylko kontury, kąciki oczu przy skroniach lekko obwisały.

- Zupełnie nie wiem, co się ze mną dzieje - stwierdziła Ellie. - Bardzo często ludzie tak mówią, ale dla mnie dotychczas były to tylko słowa. Teraz jakby stają obok siebie i zadają pytanie: „O czym też ona myśli?”

Skręcili w lewo w Weber Street. Delia na nowo złożyła podkoszulek, by przyłożyć go inną stroną. Zaczynała rozumieć, dlaczego często sady się czerwone róże koło szarych kamiennych murów. Plamy krwi tak żywo odbijały od koloru podkoszulka, że chciała pokazać je towarzyszom podróży. Ellie jednak ciągle mówiła.

- Przyznaję, że to ja porzuciłam męża - powiedziała. (Delia powtórzyła sobie w myśli kilka ostatnich zdań, by móc zrozumieć, kiedy doszło do zmiany tematu). - Nikt mi nie musi tego przypominać! Zaczęłam sobie wyobrażać, jak to będzie, kiedy dostanę się do nieba i Bóg powie do mnie

tak: „Co za marnotrawstwo! Posyłam cię na świat, a ty wcale tego nie wykorzystujesz, tylko siedzisz w jednym miejscu i narzekasz, że się nudzisz". Więc skończyłam z małżeństwem. Ale kiedy zobaczyłam cię na ślubie, kiedy zobaczyłam, jak... hm, chyba myślałam, że jesteś starsza, grubsza i nosisz fartuchy na zamek błyskawiczny czy coś w tym rodzaju. Wiem, że odstawiłam przedstawienie, kiedy zadzwoniłam do Joela...

Ellie zadzwoniła do Joela?

- Właściwie to było tak, jakbym patrzyła na siebie, kiedy wykręcałam numer. I nawet pomyślałam, że to głupota. Ale i tak wykręciłam do końca. I w ogóle miałam zamiar być zimna jak lód. Chciałam tak powiedzieć: „Joelu, zastanawiałam się nad tym wszystkim. Chyba teraz mnie powinieneś oddać opiekę nad dzieckiem, skoro masz przyjaciółkę". Ale chyba powiedział ci, jak to wszystko wyszło? Kiedy usłyszałam jego głos, to jakby we mnie coś wstąpiło. „Jak śmiesz robić to Noahowi! Wystawiać niewinne dziecko na to wszystko, co dzieje się w tym waszym zakichanym gniazdku miłosnym!"

W jakim gniazdku miłosnym?! Delia z wrażenia znieruchomiała.

- I jakby tego wszystkiego było mało, to ja jeszcze wciągam w całą sprawę Noaha. Przepraszam cię, kochanie! -zwróciła się do syna, patrząc we wsteczne lustro. Nie czekała jednak na odpowiedź. - A wiesz, jak bezlitosne potrafią być dzieci. Jak tylko pokażesz, że coś cię denerwuje, zaraz udają, że nie istniejesz. Nie widzą cię, jakbyś była przezroczysta. Od razu mają tysiące wymówek, że nie mogą do ciebie przyjechać.

- Mamo - jęknął Noah.

Delia była ciekawa, jak właściwie chłopiec zareaguje, lecz powiedział tylko:

- Mamo, właśnie minęłaś gabinet doktora Normana.

- Tak, wiem - odparła Ellie. Jechali teraz Border Street w stronę drogi numer 380. - Codziennie rano budzę się i tak sobie mówię: „Dziś się z tym wszystkim uporam. Przestanę o tym myśleć". A tu nagle się pojawia, ta tajemnicza kobieta, o której nikt nic nie wiedział, akurat w typie Joela, Założę się, że poza tym bardzo poprawnie się wysławiasz, prawda?



- Ale to wszystko wygląda zupełnie inaczej - powiedziała Delia, chociaż bynajmniej nie była tym zachwycona. - Jest całkiem inaczej, niż ty...

- Mamo? Dokąd jedziesz? - przerwał Delii Noah, bo skręcili drogą 380 na północ.

- W Easton jest mnóstwo lekarzy - powiedziała Ellie.

- Jak to w Easton? - zdumieni się oboje razem.

- Chyba nie myślicie poważnie, żeby iść do doktora Normana. Przyjmuje w tym mieście! I wszyscy będą uważać, że zrobiłam to specjalnie.

- A nie możemy mu po prostu powiedzieć, że nie zrobiłaś tego specjalnie?

- Ha! Widać, że nie znasz Bay Borough tak jak ja. Ludzie tu potrafią zrobić skandal z najmniejszej drobnostki.

- To może spróbujemy w drogerii - powiedziała Delia. Zaczynała się czuć nieswojo. - Potrzebuję to tylko zabandażować.

- Oj, Delio, Delio, Delio - jęknęła Ellie. - Jesteś taka naiwna. Jak dwa razy dwa równa się cztery, tak farmaceuta na pewno okaże się absolwentem szkoły Underwood. Nie będzie się mógł doczekać, żeby pobiec do telefonu i wszystko wypaplać: „Zgadnij, co się stało! - Tu zrobiła odpowiednią minę. - Ta zwariowana żona Millera chciała zamordować jego przyjaciółkę”.

- Ja nie jestem jego...

- Założę się, że nigdy nie używasz słowa „dzielić się”, prawda?

- Jak to „dzielić się”?

- No, w znaczeniu „przekazywać”. Na przykład: „Taki--to-a-taki podzielił się ze mną swoimi uczuciami”. Joel zgrzytał zębami, kiedy tak mówiłam. I zawsze dopowiadał dopełnienia do moich czasowników. „Cieszysz się, ale z cze-g o?” - pytał. „Opiekujesz się, ale k i m? Ellie, przecież nie skończyłaś zdania”.

Delia patrzyła na uciekające za oknem pole martwych samochodów. Z tyłu Noah siedział w milczeniu.

- Zabawne - ciągnęła Ellie - iż mężczyźni zawsze z góry się martwią, że małżeństwo narzuci im ograniczenia. Kobiety nigdy o tym nie myślą.



Dopiero potem spada na nie cios. Ugrzęznąć na całe życie! Uwięziona! Na zawsze w potrzasku z mężczyzną, który nie pozwoli ci mówić „rodzicielstwo”!

Zahamowała. Stanęli na światłach na skrzyżowaniu z szosą numer 50. Czekali na zielone. Ellie zaczęła grzebać w torebce.

- Masz przy sobie pieniądze? - spytała Delię. - Nie chcę płacić czekiem. Nawet w Easton moje nazwisko może się kojarzyć.

Zwariowała - doszła do wniosku Delia. Dotychczas rozumiała stanowisko Ellie w całej sprawie, nawet jej współczuła. Teraz jednak doznała uczucia przerażenia. A poza tym zaczęła ją boleć rana. Niemal widziała, jak się rozwierają brzegi i twardnieją, zamieniając się w trwałą bliznę.

Powinni pędem to załatwić, jak tylko uda jej się wyrwać Noaha z tylnego siedzenia. Może kiedy dojadą już do jakiegoś gabinetu. Jeżeli w ogóle dojadą, bo siedzą tu bez końca na tym wiecznie palącym się czerwonym świetle.

- Zielone, zielone - zaczęła je popędzać, pochylając się do przodu, jakby to miało dopomóc.

Ellie źle to zrozumiała.

- Oj, przepraszam - powiedziała i zdjęła nogę z hamulca.

Wyskoczyli na drogę numer 50. Pędząca cysterna zaczęła trąbić jak szalona, wyminęła ich i wyniosło ją na przeciwną stronę szosy. Delia była tak przerażona, że nie mogła wydobyć z siebie głosu. Skręcili na pobocze, podskakując przejechali po kawałku uschłej trawy i dopiero tam się zatrzymali.

- Myślałam, iż mówisz, że jest zielone światło!!! - wrzasnęła Ellie.

- Chciałam tylko... o Boże - jęknęła Delia. Odwróciła się, by sprawdzić, co z Noahem. - Nic ci się nie stało? - spytała.

Przełknął ślinę i dopiero wtedy skinął głową. Ukradkiem, tak cicho, jakby naoliwiła wszystkie swoje ruchy, sięgnęła do klamki, delikatnie przesunęła ją w dół i uchyliła drzwi.

- Wyskakuj, Noah! Szybko! - I sama wypadła z samochodu, jednocześnie przechylając oparcie fotela do przodu, żeby Noahowi było łatwiej

wysiąć. Zrobił to w okamgnieniu. Miał prawidłowe odruchy. Wylądował prawie na niej, bo przypadkiem trafiła nogą na zasłoniętą przez trawę dziurę czy rów. Wykręciła sobie prawą nogę w kostce, Noah uderzył ją w ramię, do rany na skroni wciąż miała przyciśnięty podkoszulek, lecz przynajmniej byli bezpieczni.

Tymczasem Ellie otworzyła drzwi od swojej strony. Przejeżdżająca ciężarówka zaczęła na nią trąbić. Delia odczuła hałas klaksonu aż w pierśiach. Serce jej nagle się zapadło, jak gdyby dopiero teraz zdała sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Przecież przejechali na czerwonym świetle! Wparowali na szosę szybkiego ruchu, nawet nie oglądając się w żadnym kierunku! Skóra jej ścierpła na samo wspomnienie tej chwili. Czowała się tak, jakby najbardziej wysuniętą na zewnątrz częścią ciała otarła się o to, co szczęśliwie przemknęło.

- Mogliśmy się zabić! - krzyknęła.

- Wiem! Nie mogę uwierzyć, że żyjemy! - odkrzyknęła Ellie, podbiegając. Otoczyła ramionami Delię i Noaha.

- Mamo - jęknął chłopiec, uwalniając się z jej objęć. Delia jednak przytuliła się do niej. Obie popadły w płaczliwy nastrój.

- O Boże, Boże - powtarzała Ellie, na zmianę to śmiejąc się, to wycierając łzy z oczu.

- Mamo - znów powiedział stojący z boku Noah - możemy pojechać do doktora Normana?

- Powiemy mu, że uderzyłam się głową - podsunęła Delia. - Nic innego nawet nie przyjdzie mu do głowy.

- Hm, no dobrze - odparła Ellie. - To jedźmy tam. Chodźmy, jeżeli będę jeszcze miała siłę prowadzić.

Wszyscy troje wsiedli więc do samochodu. Był to ply-mouth, tylko o kilka lat nowszy niż Delii. Teraz jednak Ellie odczekała, aż w zasięgu wzroku nie widać było żadnego samochodu, i dopiero wtedy powoli wjechała na szosę i zawróciła. Po raz pierwszy zdecydowała się odezwać, kiedy już jechali drogą numer 380. Cała skupiła się na prowadzeniu. Spytała Noaha, co zamierza powiedzieć ojcu.

Noah przedłużał milczenie, lecz w końcu się odezwał:

- Chyba to samo, co powiemy doktorowi Normanowi. Podwoziłaś nas ze szkoły do domu i Delia w którymś momencie jakoś uderzyła się w głowę?

- Kiedy wsiadałam, uderzyłam się o drzwi - zaproponowała.

- No dobrze - zgodziła się Ellie. Ręce trzymające kierownicę rozluźniły się.

Najprawdopodobniej niepokoiło ją to, co ewentualnie zrobi Delia, bo na pewno wiedziała, że Noah nie wypaple.

Zachowywał zenująco chłodny stoicyzm i dyskrecję, jakie często spotyka się u dzieci z rozbitych rodzin.

- No bo właściwie prawie tak się stało - stwierdziła Ellie. - Po prostu porwał nas, jak to się mówi, bieg wydarzeń, prawda? Dobrze mówię?

- Tak, oczywiście - odparła Delia.

Ellie zwolniła przed skrzyżowaniem w Border Street.

- Pewnie nie uwierzysz - powiedziała - ale należę do bardzo zrównoważonych osób. Tylko że ostatnio żyję w dużym stresie. Praca przed kamerą wywołuje o wiele więcej napięć, niż sobie wyobrażałam! Przez cały czas muszę uważać, ile ważę, czy śpiam pełne osiem godzin, czy mam dobrą cerę. Widzisz to? - Była w trakcie parkowania przy chodniku, lecz zatrzymała się i chwyciła w rękę pasmo włosów. - Rozjaśniane, robione pasemka, robiona trwała, farbowane... - Naciągnęła pasmo i puściła. - Widzisz, jak się daje naciągnąć, a potem po prostu opada, pyk i już? To już nie włosy, to jakiś, sama nie wiem, kit. I żeby mi dali urlop, dopóki nie odrosną mi brwi!

Jedna opona otarła się o krawężnik.

- A poza tym mam stukniętą siostrę, która całkiem zwariowała przez ten ślub taty - ciągnęła - sufit mi przecieka, nie wiadomo dlaczego, a o tacie nawet nie warto mówić. Co to za interes dla niego zaczynać w tym wieku wszystko od nowa? Ma sześćdziesiąt siedem lat i do tego bez przerwy żyje z bólem, wiedziałaś o tym? Jak myślisz, dlaczego wizyty Noaha

u niego trwają tak krótko? To jego ukochany wnuk, ale po godzinie ojciec jest wykończony!

- Oj, to mu współczuję - powiedziała Delia. Otworzyła drzwi i wysiadła, cały czas trzymając podkoszulek przy skroni. Czuła, że wizyta u lekarza przestała być taka nagląca. Pochyliła fotel, robiąc miejsce dla Noaha. Wygrzebał się za nią.

- Jak pomyślę, ile się namęczyłam, by go przenieść do tego domu! - ciągnęła Ellie, zatrzaskując drzwi. - Ile pudeł spakowałam! Czułam się tak, jakbym wysyłała go na obóz, czy coś w tym rodzaju. „Masz odpowiednią garderobę na taką okazję? Jak będą ubrane inne dzieci?” A teraz grożą mi, że go stamtąd usuną.

- Jak to usuną? - oburzyła się Delia.

Wchodzili po schodkach na werandę biegnącą dookoła drewnianego domu. Noah prowadził. Delia szła ostatnia, ponieważ bolała ją noga w kostce.

- Myślałam, że pozwolili mu tam zostać po ślubie! -zawołała.

- Tak było, zanim się dowiedzieli, że jego żona spodziewa się dziecka - odparła Ellie.

Delia stanęła jak wryta na ostatnim stopniu i wpatrywała się w Ellie. Nawet Noah patrzył na matkę, oniemiały.

- Czego się spodziewa? - spytała głupawo Delia.

- Zastanów się! Jak sądzisz, dlaczego przesunęli ślub już na marzec?

- No, na przykład... czy sami ci to powiedzieli, czy tylko podejrzewasz?

- Sami, do cholery, mi powiedzieli - odparła Ellie. -Zrobili z tego całe przedstawienie. W ubiegłym tygodniu. Tata mówi do Binky: „Kochanie? Czy ty powiesz, czyja mam to zrobić?” A Binky na to: „Ty to zrób, słodziutki”. Przecież człowiekowi się chce tylko zatkać im usta. Takie gadanie, wydaje mi się, no nie wiem, jakieś fałszywe, bo to przecież drugie małżeństwo. Ale tata chrząka i mówi: „Ellie, będziesz miała siostrę”. A ja jakoś nie zaskoczyłam i mówię: „Przecież mam już siostrę. Kilka sióstr”. A on na to: „Mówię o nowej siostrze. Jesteśmy w ciąży”. Tak dokładnie

powiedział: „jesteśmy”. Założę się, że za pierwszymi czterema razami na pewno tak tego nie ujął.

- Ale...kiedy to ma nastąpić? - spytała Delia.

- We wrześnieu.

- We wrześnieu!

Ellie majestatycznie przepłynęła przez drzwi. Delia pozostała na werandzie, z otwartymi ustami. Binky zawsze była okrągłutka, brzuch też miała okrągłutki, ale... Spojrzała na Noaha.

- Wiedziałeś o tym? - spytała. Potrząsnął głową.

- No więc... No więc będziesz miał ciocię dzidziusia. Wyobrażasz sobie?!

Kuśtykając przez drzwi, usłyszała niezartobliwe prychnięcie Ellie.

U doktora Normana Delia była po raz pierwszy, chociaż jego numer telefonu widniał przy kuchennym aparacie w domu Millerów. Z chwilą gdy poczuła mieszany zapach pasty do podłogi i alkoholu izopropylowego, ogarnęło ją coraz bardziej klarujące się uczucie - że powróciła na swoje właściwe miejsce, że wszystkie inne miejsca są niewłaściwe, tymczasowe, obce jej prawdziwej naturze. Zatrzymała się w holu (sznurkowy chodnik orientalny, na stole ciemnomiodowa lampa). Wreszcie Ellie wzięła ją za ramię i poprowadziła do poczekalni.

- Jest doktor? - spytała kobietę siedzącą za biurkiem. Kobieta była o wiele starsza od Delii i ze dwadzieścia

kilogramów -cięższa, lecz i tak Delia mogła się z nią utożsamiać, patrząc na jej palce zawieszony nad klawiaturą starej maszyny do pisania o klawiszach z chromowanymi obwódkami.

- Przyszliśmy po wypadku! - oświadczyła Ellie.

No tak, po wypadku. Delia prawie zapomniała. Ellie zaczęła opisywać, jak doszło do zranienia („ostry metalowy kant... j a nic nie mogłam poradzić... usiłowałam ją ostrzec, ale...”), a ona tymczasem odjęła od skroni podkoszulek. Okazało się, że krew już jej nie leci. Plamy na podkoszulku wyschły, były matowe, czarniawe. Spojrzała na innych pacjentów. Sie-



dzące dwie kobiety i dziewczynka patrzyły na nią z zainteresowaniem, pośpiesznie więc przyłożyła podkoszulek z powrotem do skroni.

Kiedy sekretarka wprowadziła je do gabinetu, doktor Norman odkładał właśnie słuchawkę telefonu. Był przysadzistym mężczyzną z puchem siwych loczków nad uszami.

- Z czym przychodzimy? - spytał, wstając i wychodząc zza biurka, by odjąć podkoszulek wprawna ręką. Oddech jego pachniał tytoniem fajkowym. Delia zapragnęła wziąć go za rękę i przyłożyć ją sobie do policzka.

- Hm - mruknął, oglądając skaleczenie. - Od tego się nie umiera.

- Czy zostanie blizna? - spytała.

- Nie powinna. Trudno stwierdzić z całą pewnością, zanim tego nie umyję.

- Oczywiście, zrobiłam wszystko, co w mojej mocy - oświadczyła Ellie. - Kilka razy ją ostrzegałam. „Uważaj, jak będziesz wsiadała”. I nie powiedziałam tego raz, tylko z dziesięć razy...

- Dobrze, w porządku, Ellie, rozumiem - przerwał jej zniecierpliwiony doktor. Zamilkła. - Poproszę do sąsiedniego pokoju - zwrócił się do Delii i poprowadził ją do drzwi.

Ellie i Noah poszli za nimi, co chyba nie było zgodne z życzeniem doktora.

W tym pokoju stał stół do badania, obity popękana czarna skórą. Delia zwinnie usiadła na jego końcu, kładąc torebkę na kolanach. Norman, grzebiąc w metalowej szufladzie koloru skondensowanego mleka, spytał ją o pogodę, a Noaha o drużynę softballową, potem zaś powiedział jej, że słyszał, iż jest złą korepetytorką.

- Złą?! - zdumiała się.

- To znaczy dobrą. - Spojrzał znad gumowych rękawiczek, które naciągał. - U T.J. Renfra „zły” oznacza „dobry”, podobnie jak „wstrętny”. Twierdzi, że pani uczy wstrętnych równań.

- Aha - mruknęła Delia z ulgą.



Ellie, która przyglądała się plakatowi przedstawiającemu metodę Heimlicha ratowania dławiącego się przed uduszeniem, odwróciła się i spojrzała na nią.

- Uczysz w Underwood?

- Tak.

Pociągnęła nosem.

- Joel musi być wniebowzięty - stwierdziła. - Zawsze chciał, bym spróbowała jako wolontariuszka.

Doktor Norman zerknął na Ellie, czego pewnie nie zauważyła.

- Przepraszam cię, synu - powiedział do Noaha i ominął go, chcąc obejrzeć Delii czoło. Kiedy podszedł, przestała machać nogami.

- No, nieźle, nieźle - mruknął, otwierając płyn dezynfekujący. Ostry, jednoznaczny zapach wzbudził w niej tęsknotę. „Nie jestem tylko pacjentką - mogłaby mu powiedzieć. - Znam ten gabinet jak własną kieszeń! Wiem, że usiądziesz dziś do kolacji i opowiesz rodzinie, że ta Ellie Miller zachowuje się nadzwyczaj zaborczo wobec Joela, zważywszy, że są w separacji. Wiem, że powiesz, iż w końcu poznałeś tę kobietę, która u niego mieszka. I zależnie od tego, jak dalece potrafisz być dyskretny, może nawet wyrazisz pewne podejrzenia co do sposobu, w jaki doszło do tego, że odniosła obrażenia. Nie myśl sobie, że jestem jedną z tych zupełnie nieznających się na rzeczy osób, które nie dostrzegają nic poza białym fartuchem!”

Oczywiście jednak nic nie powiedziała. Norman przetarł ranę tamponem, po czym zbadał ją opuszkami palców, sprawiając, że Delia poczuła po obu jej stronach pozostawione przez gumę kropelki ciepła.

- Jest to - odezwał się - powierzchowne zadrapanie na czole, ale na skroni głębsze cięcie. Nie trzeba zakładać szwów, bo wątpię, żeby pozostała blizna, jeżeli podczas zrastania się brzegi rany utrzymamy złączone. - Odwrócił się do szafki. - Zastosujemy przyklepiec w kształcie motyla. Taki szykowny opatrunek...

Owszem, Delia wiedziała, co to jest taki przyklepiec -sama skleiała nim więcej niż kilka skaleczeń u swoich dzieci. Zamknęła oczy, a lekarz zro-

bił, co należy. Słyszała obok oddech Noaha. Chłopiec pochylał się, by lepiej widzieć.

- Super! - wykrzyknął.

- Jeżeli pani sobie życzy, przepiszę coś przeciwbólowego - zaproponował doktor. - Ale nie wydaje mi się...

- To prawie mnie nie boli - oświadczyła, otwierając oczy. - Niczego nie potrzebuję.

Zanim odprowadził ją do drzwi, nabazgrał notatkę dla sekretarki, poklepał Noaha po ramieniu i powiedział:

- Ellie, zawsze z przyjemnością patrzę, jak dobrze wszystko na tobie leży.

- Och, przestań - zachnęła się Ellie. - Wszyscy sobie żartują z tego, co powiedziałam dla „Boardwalk Bulletin”.

- Ach tak? - Delia nie chciała się zdradzić, że to czytała.

- Ale źle to napisali - broniła się Ellie. - A na pewno chodziło mi o coś zupełnie innego. O to, że ubieram się oszczędnie.

Kiedy doszli do biurka sekretarki, nadal wyjaśniała No-ahowi, że na przykład jej spódnica kosztowała trzydzieści dziewięćdziesiąt pięć w sklepie dla nastolatków. Delii tymczasem pozostawiła zapłacenie rachunku. Ta uważała, że Ellie powinna chociaż zaproponować, że zapłaci, na co Delia by zaoponowała. Postanowiła jednak nie komentować tej sprawy.

Na werandzie złożyła podkoszulek i wcisnęła do torby. Ruszyła za Ellie i Noahem po schodkach. Matka opowiadała synowi o tym, ile wydaje na ubrania kobieta imieniem Doris. Doris? Ach, to ta prezenterka w WKMD.

- Ile wydaje na same opaski do włosów - ciągnęła. - Nie mówiąc już o apaszkach, które nosi, by zakryć pomarszczoną szyję...

Delia myślała o tym, że właściwie powinna była wziąć tę receptę nie ze względu na skroń, tylko na zwichniętą nogę w kostce. Całkiem zapomniała, że skręciła sobie nogę. Dokuśtykała z bólem do samochodu i z hukiem opadła na siedzenie.

- Chyba chcesz teraz jechać do domu? - spytała Ellie.
- Tak, bardzo proszę.
- A ty, kochanie? - spytała Noaha, patrząc we wsteczne lusterko.
- Ja też - odparł.
- Nie chcesz zmienić zdania i mnie odwiedzić?
- Muszę się uczyć do tej klasówki z historii. Ramiona Ellie opadły. Nawet nie skomentowała tego zdaniem, że przecież mógłby się uczyć w dowolnym czasie w weekend.

Sunęli Weber Street, minęli garmazerię Copp, w której Belle kupiła dania na obiad w Święto Dziękczynienia, i „Ściek”, do którego wszyscy uczniowie Underwood chodzili coś zjeść. Delia miała uczucie, że gdy się jest w towarzystwie Ellie, miasteczko nabiera innej barwy. Nie wygląda tak wesoło jak zawsze. Kobiety wracające do domu z torbami zakupów robiły w sposób niezamierzony śmieszne wrażenie, zupełnie jak prezentujące urządzenia kuchenne gospodynie domowe na reklamach z lat pięćdziesiątych, z przyklejonymi na twarzach plastikowymi uśmiechami. Delia jednak odpędziła tę myśl i zwróciła się do Ellie:

- No tak! Może kiedyś spotkamy się u twojego ojca?
- Jeżeli w ogóle jeszcze kiedyś tam się wybiorę - odparła ponuro Ellie.
- O, na pewno! Dlaczego nie? Tak przyjemnie z nim się rozmawia.
- Tobie łatwo mówić - zauważyła Ellie. - Nie jesteś jego córką.

Skreśliła w Pendle Street, przyhamowała, by nie wpaść na roztargnionego owczarka collie, i wjechała na podjazd przed domem Millera. (Fakt, że rzuciła spojrzenie w stronę okien, mógł być bez znaczenia).

- Cześć, No-No - rzuciła do syna, jednocześnie posyłając mu w powietrzu pocałunek. - A ciebie, Delio, przepraszam za wszystko.
- Nic się nie stało.

Kuśtykając za Noahem po chodniku, nagle przypomniała sobie, kiedy już słyszała wypowiedziane przez nią zdanie: „Tobie łatwo mówić”. Tak samo mówiły do niej siostry. „Naturalnie, ty rozumiesz się z tatą. To dlatego, że tak późno się urodziłaś. Nie nazbierało ci się tak dużo jak nam”.

Nigdy jednak nie precyzowały, co im się na niego uzbierało. Nawet gdyby je o to zapytała, i tak by nie potrafiły tego nazwać. I mogłaby się założyć, że z Ellie też by było podobnie.

Kiedy zmieniała obuwie na domowe, okazało się, że pasek pantofla wrzynał jej się w podbicie prawej stopy. Tak jej spuchła, że teraz wyglądało to, jakby nadal miała na niej pantofel, który wrzyna się w ciało. Kostka zrobiła się jakby wklęsła. Miała jednak nadzieję, że kość nie pękła, ponieważ poruszanie palcami nie sprawiało jej trudności.

Nalała zimnej wody do miski, wrzuciła do niej kilka kostek lodu i usiadła na kuchennym krześle, by wymoczyć nogę w kostce. Jak jeszcze mogłaby sobie pomóc? Tyle razy słyszała rady Sama udzielane pacjentom, że powinna pamiętać. Przypomniała sobie skrót OLBP, zawsze przez niego powtarzany. Usiłowała go sobie przypomnieć na głos.

- Odpoczynek, lód...

Ale co oznaczało B? Nie mogła sobie przypomnieć.

- Odpoczynek, lód... - powtórzyła.

- Odpoczynek, lód, bandaż, podnieść - wyrecytował Jo-el, stawiając teczkę na blacie. - Co ci się stało? Wyglądasz jak sierota wojenna.

- Oj, no wiesz, drzwiczki samochodów mają te ostre kanty... - I nagle uprzytomniła sobie, że przecież to nie wyjaśnia, dlaczego skręciła sobie nogę w kostce. - Wiesz, mam pechowy dzień - zakończyła tajemniczo.

Nie nalegał. Otworzył drzwiczki górnej szafki i zaczął po omacku szukać czegoś na najwyższej półce.

- Wiem, że gdzieś mamy apteczkę - mruknął. - Muszę pójść na kurs... No, jest. - Ściągnął szarą metalową puszkę. - Kiedy już ją wymoczysz, zbandażuję ci.

- Już wystarczy - orzekła. Może powinna dłużej potrzymać nogę w misce, lecz dostała dreszczy, bo woda była zimna od lodu. Podniosła nogę i osuszyła ściereczką. Joel pochylił się i aż zagwizdał.

- Może powinnaś ją prześwietlić? - spytał. - Jesteś pewna, że to nie złamanie?

- Jestem przekonana, że nie. Wszystko jest dobrze.

Odsunął miskę, ukląkł i zaczął rozwijać cielisty bandaż elastyczny. Delia czuła się skrępowana, patrząc na opuchliznę i czarne zasinienie, lecz on nie zwracał na to uwagi. Zaczął bandażować stopę, przeplatając bandaż na podbiciu i prowadząc go w górę tak, że wychodziła doskonała jodełka.

- Oj, jak sprytnie. To znaczy ładnie - zauważyła. - Świetnie to robisz.

- Dyrektor musi to umieć - odparł. Koniec bandaża zawinął wokół jej łydki i przypiął dwoma metalowymi klipsami w kształcie motyla, podobnego, jak miała na skroni. - No i co? - spytał. Przytrzymał jej stopę, jakby ją wąż w ręce. - Dostatecznie mocno?

- Tak, czuję...

Czuła, że jest wspaniale. Nie chodziło tylko o bandaż - chociaż ściśnięcie nim nogi przyniosło ogromną ulgę - lecz o dotyk dużej dłoni, której ciepło czuła przez bandaż na podbiciu. Miała ochotę mocniej odczuć ten dotyk. Była spragniona uczucia stałości. Po raz pierwszy w życiu przekonała się, że podbicie może być strefą ero-genną.

Jakby domyślając się wszystkiego, Joel nadal klęczał, patrząc jej w oczy.

- Delio? - rozległ się głos Noaha. - Mogę zaprosić...? Oboje podskoczyli. Joel puścił jej stopę i wstał.

- Noah? Myślałem, że jesteś u mamy. Chłopiec stał w drzwiach, marszcząc czoło.

- Bandażowaliśmy właśnie Delii nogę - wyjaśnił ojciec. - Chyba zwichnęła ją w kostce.

Odpoczynek, lód, bandaż, podnieść! To memo... mnemo... - Roześmiała się, zdyszana. - O Boże, nigdy tego nie potrafię wymówić.

Noah tylko na nią patrzył.

- Mogę zaprosić na kolację Jacka? - w końcu się odezwał.

- Oczywiście! - odparła. - Bardzo dobry pomysł. Patrzył na nią przez chwilę, potem na ojca, odwrócił się

i wyszedł.

Tego wieczora Joel nie pozwolił jej niczego gotować na kolację. Posadził ją na kanapie w pokoju rodzinnym, z podniesionymi nogami i kotem na kolanach, a sam poszedł zamówić pizzę. Tymczasem Noah z Jackiem rozłożyli się na podłodze przed telewizorem. Nadawano jakiś thriller. W czasie scen o większym napięciu pobrzękiwał w tle fortepian. Hipnotycznie. Delii zjechała ręka z grzbietu George'a, głowa opadła do tyłu, oczy się zamknęły.

Pod powiekami widziała, jak pędzi na nią zwirowata nawierzchnia drogi numer 50. Zobaczyła plymoutha przecinającego pasmo ruchu, cudem unikającego zderzenia, jak w grze na wideo. Podskoczyła, przytomniejąc, otworzyła oczy i patrzyła przed siebie, znów wstrząśnięta świadomością, jak niewiele brakowało...



## Rozdział 17

Skaleczenie na skroni Delii szybko się zagoiło i pozostała po nim tylko biaława blizienka, cieniutka jak haczyk na ryby. Noga w kostce jednak dłużej jej dokuczała. Musiała ją oszczędzać przez kilka tygodni. „Normalnie tak nie chodzę” -miała ochotę informować przechodniów, bo czuła, że wygląda niekorzystnie, jakby była w drugim gatunku, gorsza. Zastanawiała się, jak znoszą to ludzie, którzy wiedzą, że zawsze już pozostaną niepełnosprawni. Na przykład rezydenci Miasta Seniorów.

Tylko tam nie zwracano uwagi na to, że kuleje. Mogła się nie spieszyć, kuśtykając do windy, ponieważ miała pewność, że pozostali pasażerowie na nią poczekają. A kiedy już w końcu wsiadła, widziała, że rozmawiają ze sobą, nie okazując odrobiny zniecierpliwienia, wręcz przeciwnie - jedna z kobiet z roztargnieniem nadal naciskała na guzik otwierający drzwi i Delia musiała jej przypomnieć, by go puściła. Ich niedomagania również przestały jej się rzucać w oczy, podobnie jak zmarszczki i siwe włosy. Przez ostatnie miesiące zmieniła jej się ostrość widzenia.

A jak zupełnie inaczej wyglądała Binky! Teraz już wyraźnie było widać, że jest w ciąży. W maju zaczęła nosić specjalne ciążowe ubrania. Na początku czerwca, wstając z krzesła, podtrzymywała już sobie brzuch rękami, niby fartuch pełen owoców.

- Tym razem o wiele więcej mnie przybyło - powiedziała do Delii. - Kiedy byłam w ciąży z chłopcami, do samego końca prawie nic nie było widać. Nosiałam rozpięte dzinsy i długą koszulę męża. A teraz muszę się bokiem wciskać do samochodu, mimo że jeszcze zostały mi trzy miesiące.

Nie było wątpliwości, że dziecka nie zaplanowano. Binky opowiadała, że dopiero po dwunastu tygodniach się zorientowała, a do tego czasu wszystkim razem i każdemu z osobna mówiła, że ślub odbędzie się w czerwcu.

- Zorientowałam się, że coś jest nie tak, i poszłam do lekarza. Kiedy mi powiedział, że jestem w ciąży, po prostu patrzyłam na niego. A on oświadczył, że teraz trzydzieści osiem lat nie ma znaczenia. Wiele kobiet

rodzi w wieku trzydziestu ośmiu lat. Ale ja na to: „A co pan powie na sześćdziesiąt siedem lat? Bo tyle lat ma ojciec dziecka?” Wtedy on mruknął: „O, aha... hm”.

- Mam na ten temat swoje zdanie - powiedział Nat do Delii. - Czy dziecko może się urodzić w lepszym miejscu niż dom dla starców? Przecież mamy tu tylu lekarzy i tyle pielęgniarek. Na trzecim piętrze tylko czekają.

Delia się przeraziła.

- Skorzystałbyś w takiej sytuacji z trzeciego piętra?

- On się z tobą drażni - wtrąciła Binky.

- Salę intensywnej terapii zamienimy w porodową -ciągnął Nat szelmowskim tonem. - A jedno z tych szpitalnych łóżek z prętami przeznaczymy na kołyskę. A pieluszek, dzięki Bogu, jest tam dosyć. Prawda, Noahu?

Chłopiec uśmiechnął się, lecz patrzył na filizankę. Był w tym wieku, kiedy jakakolwiek wzmianka o czynnościach fizjologicznych wprawiała go w ogromne zażenowanie.

- Najlepsze z tego wszystkiego jest to - ciągnął Nat - że gdy ustanawiano zasady panujące w Mieście Seniorów, nikomu nawet się nie śniło o takiej ewentualności. W naszych umowach jest tak napisane: „Kandydaci na członków muszą mieć skończone sześćdziesiąt pięć lat”. Przecież to dziecko nie jest kandydatem. Mimo to nie zezwolono nam na przeniesienie się piętro niżej. Słyszałaś, że prosiliśmy, aby nam na to zezwolono? Przecież Binky będzie się mną opiekować. Tak im tłumaczyłem, ale dyrekcja odmówiła. Twierdzi, że ten dom funkcjonuje według odwrotnych zasad. Mieszkańcy przenoszą się w górę, nie w dół.

- Ale może tak jest i lepiej - odezwała się Binky. - Naszym sąsiadom na drugim złamałoby to serce, jakbyśmy się stąd wynieśli z dzidziusiem.

- Tak, na pewno nie zabraknie nam opiekunek do małej - zauważył oschłym tonem Nat.

Upierał się przy dziewczynce. Ustalili jednak, że nie będą robić badań, by się dowiedzieć, jakiej płci jest dziecko. Nat twierdził, że ma doświad-

czenie tylko z dziewczynkami. Usiłował przekonać Noaha, że wszystkie dzidziusie są dziewczynkami, a dopiero potem, w tym samym czasie kiedy barwa oczu im ciemnieje, niektóre przeobrażają się w chłopców.

- Nie uwierzysz, ile starszych pań pracuje teraz nad wyprawką - zwrócił się do Delii. - Robią na drutach malutkie pantofelki, skarpetki, wyszywane sukieneczki... Malutka będzie wyglądała jak Imelda Marcos niemowlęcej garderoby.

Delia jednak była przekonana, że oboje, Nat i Binky, muszą mieć jakieś obawy. Przerazało ją to, że tak się obnoszą ze swoim dobrym samopoczuciem. Że Binky mówiła do wszystkich: „Naprawdę nie mogliśmy się już bardziej cieszyć”, jak gdyby podpowiadając im, co mają myśleć. Że Nat był taki troskliwy, mimo iż sam kuśtykał, ledwo trzymał się na nogach i w każdej chwili mógł się przewrócić niby wieża z klocków.

- Kiedy umierała moja pierwsza żona - opowiadał Delii któregoś popołudnia - siedziałem przy jej łóżku i myślałem: „To jest jej prawdziwa twarz”. Była zapadnięta, rysy wyostrome. W młodości żona była bardzo ładna, a teraz zobaczyłam, że ta młodsza twarz stanowiła jakby tylko zarys. W starszym wieku jej twarz osiągnęła ostateczny pełny kształt, do którego przez cały czas zmierzała. „W końcu jest prawdziwa” - pomyślałem wtedy. Nie potrafię nawet wypowiedzieć, jak uświadomienie sobie tego zabarwiło potem moje spojrzenie na te sprawy. Atrakcyjni młodzi ludzie, których spotykałem na ulicy, wyglądali dla mnie... tymczasowo. Zadawałem sobie pytanie, po co tak się stroją. Czy nie rozumieją, dokąd zmierzają? Ale tak już jest, ludzie tego nie rozumieją. W dzieciństwie przez cały czas pragnąłem, żeby w końcu nadeszła „moja kolej”, ale nigdy nie przyszło mi do głowy, że kiedyś moja kolej minie. I nagle pojawiła się Binky. Poczulem się jak nowo narodzony.

Powiedział to przy Binky. Pochyliła się i ucałowała go w policzek.

- Ja też, kochanie - oświadczyła.

Delia nagle poczuła, jaka jest sama, pojedyncza. Siedzi sztywno wyprostowana, z łokciami przesadnie ściągniętymi, w fotelu, który ma tylko dla siebie.

Po długiej chłodnej wiosnie nastąpiło lato - ciepłe, zielone, rozbrzmiewające granie cykad. Szkoła się skończyła, Noah zaczął sypiać długo i walać się po domu z kolegami, narzekając na nudę. Joel przestawił się na wakacyjny cykl i wracał do domu w połowie popołudnia. Na klonie przed domem para dzieciaków zbudowała sobie gniazdo. Delia od czasu do czasu słyszała ich nawoływania - podekscytowane piski podobne do popiskiwań dziewcząt z żeńskiej szkoły, idących na pierwszą koedukacyjną zabawę. Drogą numer 50 coraz więcej samochodów zdążyło nad morze, wioząc na dachach rowery z wirującymi kołami, a na tylnych siedzeniach tłumy dzieci, na półkach z tyłu zaś płataninę łopatek do piasku, gumowych płetw i pudełek z ziemniaczanymi chipsami Utz.

Czy rodzina Delii również wybierze się nad morze? Zastanawiała się nad tym. W końcu był czerwiec. Miał rok, odkąd opuściła rodzinę, chociaż wydawało jej się, że upłynęło o wiele więcej czasu. Zdążyła dotychczas co najmniej raz przeżyć ważne daty sama - urodziny, Święto Dziękczynienia, Boże Narodzenie i Nowy Rok. Zapłaciła podatek dochodowy (rozliczając się jako kobieta zamężna, ale osobno). Zarejestrowała się jako wyborca. Była z kotem u weterynarza. Stała się pełnoprawną obywatelką Bay Borough.

I wtedy przyszedł list od Susie.

Na kopercie widniał prawidłowy adres, co oznaczało, że Susie musiała się w tej sprawie skontaktować z Elizą lub Eleanorą. Pismo było takie krągłe, że „Borough” wyglądało jak rząddek baloników nanizanych na jeden sznurek. Delia niemal ukradkiem otworzyła kopertę, właściwie odklejając ją z tyłu, zamiast rozrywać, jakby to miało złagodzić wrażenie, kiedy zobaczy, co czeka na nią w środku.

*Cześć, Mamo!*

*Piszę krótko, tylko żeby Ci dostarczyć najnowszych wiadomości! Co u Ciebie? Dzięki za kartkę z gratulacjami z okazji dyplomu! Uroczystość wręczenia była*

*raczej beznadziejna, ale potem Tacky Pearson urządziła wręcz niesamowitą imprezę na farmie, na której jej rodzina prowadzi hodowlę koni!*

*Nic takiego ważnego się nie dzieje, oprócz tego, że z Tatą baaardzo trudno jest się ostatnio porozumieć! Wiem, że mnie zrozumiesz, jak to wygląda z mojej strony, więc może byś mogła do niego zadzwonić? Tylko mu nie mów, że Cię o to prosiłam - powiedz po prostu, że dostałaś ode mnie list i chcesz pogadać z nim o moich planach. Nie uwierzyłabyś, jaki zrobił się okropny! A może sama doskonale o tym wiesz. Naprawdę, Mamo, czasem zupełnie Cię nie winię za to, że odeszłaś! To na razie!*

*Ściskam*

*Susie*

Delia poczuła się nagle całkiem wyczerpana. Złożyła list i wsunęła z powrotem do koperty.

No tak.

Nie mogła zadzwonić z domu. Nie chciałyby, żeby rozmowa została zarejestrowana na rachunku Joela. Nie miała też ochoty zamawiać rozmowy R, bo mogłoby to sugerować, że ma kłopoty finansowe. Zaczęła więc szukać drobnych w torebce i po kieszeniach, a potem wyruszyła na róg Bay i Weber Street, do automatu. Musiała przejść spory kawałek. Kroczyła z prędkością, na jaką pozwalała jej jeszcze nie całkiem wygojona noga w kostce. Śpieszyła się, bo dzwoniąc między wpół do dwunastej a dwunastą, miała szansę zastać samego Sama. Potem zawsze robił przerwę na lunch. Chyba że pod jej nieobecność zaszły większe zmiany, niż mogłaby przewidzieć.

Stanęła w budce z automatem telefonicznym - jednej z tych zabudowanych tylko do połowy, czyli głośnych, w których słycać było hałas uliczny - ułożyła na blacie monety i wykręciła numer. W życiu nie prowadziła rozmowy międzymiastowej z automatu. Zdenerwowało ją, że musi czekać na wrzucenie monet, aż do chwili kiedy odezwie się rozmówca. Po dwóch dzwonkach odebrał Sam.



- Tu doktor Grinstead.

Nagrany głos poinstruował ją, co ma robić, wrzuciła więc monety. Brzdęęę! Brzdęęę! Było to upokarzające - niemal tak samo fatalne jak zamawianie rozmowy R. Tym gorsze, że Sam nie zorientował się, o co chodzi.

- Halo? - powtarzał. - Kto mówi?

Jego głęboki zrównoważony głos zawsze miał w pytaniach intonację opadającą.

- Sam? - odezwała się Delia.

- Skąd dzwonicz? - natychmiast spytał. Uprzytomniła sobie, że założył, iż ona dzwoni z prośbą o pomoc. Myślał, że chce się przyznać do porażki i poprosić: „Przyjedź po mnie”. Pewnie od miesiący tego oczekiwał. Wyprostowała się.

- Dzwonię w sprawie Susie - powiedziała. Zapadła głucha cisza.

- Aha, chodzi o Susie.

- Ciekawam, czy się orientujesz, jakie ma zmartwienie.

- Myślę, że mój słaby umysł jest w stanie to pojąć - powiedział lodowatym tonem. - Ale chyba i tak chcesz mi wszystko wyjaśnić.

- Co? - Przyłożyła sobie rękę do czoła. - Nie, poczekaj... naprawdę chciałam tylko spytać! Napisała mi, że ma jakiś problem, ale niczego nie wyjaśniła.

- Aha. - Znow zapadła cisza. - Hm - mruknął - chyba chodziło jej o ślub.

- Susie ma wyjść za mąż?

- Chce wyjść za mąż. A ja się sprzeciwiam.

- Ale... - Delia chciała zaprotestować, że przecież córka o niczym jej nie wspomniała. Nawet o nic nie spytała. Lecz protestowanie nie byłoby rozsądną reakcją, postanowiła więc powiedzieć coś innego. - No, ale Driscoll to bardzo miły chłopak. Bo chodzi o niego, tak?

- Zgadza się - odparł. - Ale nie w tym problem. Niech sobie wychodzi, za kogo chce, oczywiście, powiedziałem jej jednak, że przedtem musi na rok zamieszkać sama.

- Jak to na rok? Dlaczego?



- Nie zgadzam, się, żeby skakała wprost z uczelni w małżeństwo, do domu ojca prosto do domu męża.

Z domu ojca? On się nie zgadza? A ona, matka? I co to znaczy do domu męża?

A najbardziej obraźliwe było to, że on nie chce, by Susie skończyła tak jak Delia, która przed wyjściem za mąż nawet przez jedną noc nie mieszkała sama. No i popatrzmy na rezultaty.

Na pewno zastanawiał się nad tym przez cały rok. I ukuł własną osobistą teorię.

- Ale jeżeli zamieszka sama - odezwała się - to nie będzie miała żadnej... ochrony. A poza tym mogą razem z Driscollem... to znaczy, jeżeli na przykład zaczną razem sypiać czy coś w tym rodzaju?

- A nie wydaje ci się, że na pewno już ze sobą spali?

Opadła jej szczęka.

- Proszę wrzucić następną monetę... - odezwał się metaliczny głos z taśmy.

- Poczekaj, spróbuję załatwić, żeby rozmowa była na mój rachunek - powiedział Sam.

Nie spierała się. Usiłowała zebrać myśli. No pewnie, niewątpliwie już ze sobą spali. Właściwie to jakoś z tym się liczyła. Poczuli się jednak, jakby jej coś zabrano. Wyobrażała sobie, że macha ręką na pożegnanie, a Susie z Driscollem odpływają w dal, ani razu nie obejrzawszy się za siebie.

- Przecież wiesz, że ona jeszcze nie ma pracy - powiedział Sam, kiedy już załatwił z telefonistką.

- Właśnie się zastanawiałam, czy ma. Zdumiewające, jak łatwo było przejść na ten rzeczowy ton niemal zwyczajnej pogawędki. Ta zwyczajność uderzyła ją jako coś surrealistycznego.

- Sypia nie wiadomo do której - mówił - potem idzie na basen. Nie umówiła się na żadne rozmowy wstępne, nawet nie wspomina, gdzie chciałaby pracować...

„No bo jeżeli wychodzi za mąż” - pomyślała, lecz tu również dokonała cenzorskiego cięcia.

- A Driscoll? Ma pracę? - spytała.

- Pracuje u swojego ojca.

Usiłowała sobie przypomnieć, kim z zawodu jest ojciec Driscolla, lecz jej się nie udało. Chyba był jakoś związany z biznesem.

- A rozmawiałeś o tym z Susie? Rozmawialiście, jaka praca mogłaby ją interesować?

- Nie - odparł.

- A gdzie mogłoby ją być stać na mieszkanie? Chodzi mi o to, że jeszcze nie zarabia.

- Nie wdawaliśmy się w takie rozmowy - odpowiedział.

- To, na miłość boską, Sam, w jakie się wdawaliście?

- W żadne. - Zakasłał. - Właściwie nie rozmawiamy ze sobą.

Delia westchnęła.

- A Eliza? Jestem pewna, że Susie musiała z nią rozmawiać.

- Niekoniecznie - odparł Sam.

- Jak to?

- Nie wydaje mi się, żeby ze sobą rozmawiały, prawdę mówiąc.

- Pokłóciły się?

- Nie jestem pewien. Hm, chyba tak, ale nie wiem, czy już się pogodziły, czy nie. Bo właściwie to Eliza wyjechała.

- Jak to wyjechała?

- Z wizytą do Lindy. Delia to przetrawiła.

- Nie jedziecie wszyscy w tym roku nad morze? - spytała po chwili.

- Nie, Delio - odpowiedział głosem, który znów stał się lodowaty.

Delia zrozumiała, dlaczego, zupełnie jakby jej to dokładnie wyłożył: - „Naprawdę wyobrażasz sobie, że moglibyśmy znów pojechać nad morze po zniszczeniu przez ciebie wszystkiego na zawsze?”

- Nikt więc nie usiadł z Susie i nie porozmawiał o tym, jakie ma możliwości - pośpiesznie powiedziała.

- Nie wiem, jak rozmawiać z kimś, kto wychodzi z pokoju w tej samej chwili, kiedy ja wchodzę - oświadczył.

„Powinieneś za nią wyjść, taki jest na to sposób” - chciała powiedzieć. - Po prostu wyjść za nią. Co w tym trudnego?” Wiedziała wszak, że dla niego była to rzecz nie do pomyślenia. Nie należał do ludzi, którzy naraziliby się na odmowę. Nie lubił prosić ani targować się, ani ponosić porażek. Przez całe życie nie popełnił ani jednego błędu. (Czy dlatego otaczający go ludzie popełnili ich tak wiele?).

Przemknęła ciężarówka, Delia zakryła sobie wolne ucho.

- Dobrze - powiedziała - chcę coś zaproponować. Napiszę do niej, że jeżeli chce, byś opłacił ślub, będzie musiała przyjąć twoje warunki. A jeżeli nie przyjmie twoich warunków, sama musi zapłacić za ślub. Musisz to załatwić albo tak, albo tak.

- Ja?

- Tak, ty.

- Ale ona może powiedzieć, że chce za niego wyjść jutro.

- Jeżeli tak powie, to tak się stanie - odparła Delia. - To jej sprawa.

Sam milczał. Delii zaczęła pulsować noga w kostce, lecz nie ponaglała męża.

- A jak sobie poradzić z tym jej niemówieniem?

- Co znaczy jak?

- Mogłabyś jej powiedzieć, żeby wszystko ze mną omówiła?

- Mogę jej to podsunąć - zaproponowała.

- Dziękuję.

Czuła się niezręcznie w tej nowej roli.

- No dobrze! A reszta w porządku? - powiedziała szybko.

- Tak.

- U chłopców dobrze?

- Świetnie.

- Kto zajmuje się sprawami biurowymi pod nieobecność Elizy?

- Ja sam.

- A może to robota dla Susie?

- Za nic - odrzekł głuchym głosem.

Następny cios w samo serce. Chciał powiedzieć: „Za nic nie pozwolę, żeby moja córka poszła w ślady nieszczęsnej matki”. I nawet nie miałyby na to argumentów.

- Chyba muszę już kończyć - oznajmiła.

- Aha, dobrze, do widzenia.

Kiedy odwiesiła słuchawkę, przyszło jej do głowy, że z drugiej strony może Sam chciał tylko powiedzieć, iż Susie by sobie nie radziła w prowadzeniu biura. Bo przecież to prawda, że była beznadziejna w sprawach organizacyjnych. W przeciwieństwie do Delii, która miała do nich smykałkę.

Czy to możliwe, żeby mu o to chodziło?

W liście do Susie wyłuszczyła jedną prośbę, o której nie wspomniała Samowi. *Kiedy zdecydujesz się na ślub - pisała - jakikolwiek to będzie ślub, to czy pozwolisz mi przyjechać? Zrozumiem, gdybyś nie chciała, ale...*

Pisała tego samego popołudnia przy biurku w pokoju rodzinnym, korzystając z pory, kiedy była zupełnie sama w domu. Zanim skończyła, wrócił Joel.

- A, tu jesteś - powiedział. Stał przy niej przez chwilę, bawiąc się monetami w kieszeni. W końcu przestała pisać i spojrzała na niego.

- Czy potrzebujesz czegoś ode mnie? - spytała.

- Nie, nie - odparł i poszedł sobie aż w drugi koniec domu, lecz jak tylko skończyła list, wrócił. Musiał słyszeć, że zaczyna przygotowywać kolację. Stał w drzwiach kuchni, znów bawiąc się monetami.

- Widziałem cię dzisiaj na Weber Street - napomknął.

- Na Weber Street?

- Rozmawiałaś z budki.

- Aha.

- Wiesz, że... bardzo proszę, możesz korzystać z tego telefonu.

Delia doznała jednego z tych przeblysków, kiedy patrzy się na siebie czyimiś oczyma: ściska w rękę słuchawkę, a drugą dłonią zakrywa sobie ucho. O mało się nie roześmiała. Tajemnicza Kobieta Znów Uderza.

- Oj, ja tylko... musiałam zadzwonić właśnie wtedy, nic poza tym.

Czekał, jakby mając nadzieję, że usłyszy coś więcej, lecz nic już nie powiedziała.

Czasami zdarzało jej się zauważyć jakiś szczegół u niego - na przykład, jak na przedramieniu grają mu pod skórą mięśnie albo jak nagle na plecach naciąga mu się marynarka -i wtedy odczuwała tak głęboki pociąg do niego, iż musiała sobie powtarzać, że przecież prawie nie zna tego mężczyzny. W gruncie rzeczy niemal ze sobą nie rozmawiali. Od czasu kiedy bandażował jej nogę w kostce, obojgu jakby zasznurowało usta, stali się nieśmiali wobec siebie. A poza tym musieli myśleć o Noahu.

O Noahu, który miał na nich oko i był podejrzliwy! Bez przerwy czytał i szukał na ich twarzach oznak winy. Któregoś wieczoru, kiedy Joel i Delia wrócili do domu z kolacji korepetytorów wolontariuszy (składkowej, wszystkie kobiety więc jadły głównie przyniesione przez siebie dania), zastali Noaha na progu. Stał ze splecionymi na piersiach rękami.

- Dlaczego byliście tak długo? - domagał się odpowiedzi. - Ta kolacja miała się skończyć o dziewiątej. Już dziewiąta trzydzieści trzy, jak rany, a przecież od domu Brooksów idzie się krócej niż pięć minut!

Niestety, był w trudnym wieku, w październiku miał skończyć trzydzieści lat. Delia doskonale wiedziała, co to znaczy. Już się zaczynało. Na przykład z pogardą wyrzucił wszystkie ubrania, które kupiła mu wiosną. Mówił, żeby od teraz zostawiała mu pranie w holu przed jego drzwiami, żeby nie wносиła niczego do pokoju. A pewnego ranka, kiedy wyszli koledzy, którzy zostali na noc, powiedział do niej: „Czy musisz przy śniadaniu być w tej plażowej narzutce? Nie masz szlafroka jak wszyscy normalni ludzie?”

Było więc jasne, czego należy po nim oczekiwać.

- Nagle tak wyrósł. Któregoś dnia podeszłam, by go pocałować, i okazało się, że jest prawie równy ze mną -mówiła Ellie. (Kiedy telefonowała,

często teraz rozmawiały przez chwilę, zanim Delia zawołała Noaha). - Za każdym razem, kiedy go widzę, jest już w nim jakaś odmiana! Zaczął słuchać w samochodzie tej okropnej muzyki, a ci piosenkarze to jakby szepotali między sobą, tylko od czasu do czasu można wychwycić kilka słów.

- Mówi, że zakłada zespół rockowy. Razem z Kennym Mossem - poinformowała ją Delia.

- Ale on nie uczył się grać na żadnym instrumencie!

- Hm, nie wiem. Już nawet wybrali nazwę: „Czy Twoja Matka Ma Dzieci?”

- To ma być nazwa tego zespołu?

- Tak twierdzi.

- Nic nie rozumiem - jęknęła Ellie.

- Bo chyba nie masz rozumieć. A słyszałaś, że nie chce już latem jechać na obóz?

- Ale przecież go uwielbiał!

- Mówi, że to dla małolatów.

- To dokąd pojedzie?

- Chcąc nie chcąc, musi tam pojechać - odparła Delia. - Joel mu każe. - Poczuli się dziwnie, mówiąc do niej tak poufale o Joelu, szybko więc podała jej następną informację. - Mówi, że już wpłacił zaliczkę, a poza tym mnie tu nie będzie, więc Noah nie miałby opieki. Wyjeżdżam na wakacje.

- Wyjeżdżasz? Dokąd?

- Do Ocean City, na dwa środkowe tygodnie lipca. Belle Flint załatwiła pobyt u swojej znajomej, która prowadzi motel.

- Powinnyśmy się tam spotkać - zaproponowała Ellie. - Zjedźmy któregoś wieczoru obiad w mojej ulubionej restauracji. Ja bez przerwy latam po kominkach w Ocean City!

Najwyraźniej już nie uważa, że Delia jest przyjaciółką Joela. Delia zastanawiała się, jak do tego doszło. Czy zmieniła zdanie, gdy poznała ją bliżej?

Prawdę mówiąc, poczuła się odrobinę rozczarowana.



Śniło jej się, że spotkała Sama przed Miastem Seniorów. Stał przed dwuskrzydłowymi drzwiami, w wykrochmalonym kitlu, z rękami w kieszeniach. Podeszła prosto do niego i powiedziała najbardziej stanowczym tonem: „U Millerów mam normalnej wielkości rower, który sama zrobiłam z wycinków z gazety”. Popatrzył na nią z namysłem. „Jeździ ten rower?” -spytał. „Nie”.

Obudziła się, nadal mrużąc oczy przed słońcem, które odbijało się od jego ciemnych okularów. Przypomniła sobie, że Sam miał na szyi stetoskop, który zwisał jak ręcznik używany przy goleniu. Po pierwszym tygodniu pracy u jej ojca nigdy już nie nosił stetoskopu. Nosili go tylko lekarze nowicjusze, a Sam był nowicjuszem, pomimo swojego wieku, ponieważ nauka na uczelni trwała długie lata. Nigdy jednak przy pierwszym spotkaniu nie spojrzałby na nią tak surowo i taksująco.

A może wręcz przeciwnie?

Może był taki od samego początku. Może Adrian miał rację, twierdząc, że to, co najbardziej cię denerwuje potem, na samym początku właśnie najbardziej cię pociąga.

Na podróż nad morze kupiła sobie walizkę - tanią walizkę ze sklepu „Za Grosik”, ale dostatecznie dużą, żeby zmieściła się w niej torba z rafii. Belle odwoziła ją wczesnym rankiem w sobotę. Kiedy zatrąbiła, podjeżdżając od frontu, Noah był jeszcze w domu (przed południem wyjeżdżał na obóz). Delia uścisnęła go na pożegnanie, jakoś to zniósł. A do Joela powiedziała:

- Pamiętaj, żeby karmić Vernona.

- A kto to jest Vernon?

Przez chwilę nie mogła się zorientować, dlaczego zadał to pytanie, lecz nagle wszystko do niej dotarło.

- Oj, chciałam powiedzieć George'a - poprawiła się. To było naprawdę idiotyczne z jej strony, przecież George i Vernon w ogóle nie byli do sie-

bie podobni. - To znaczy kota! -dodała, jak gdyby Joel się pomylił. - No to na razie - jeszcze rzuciła i szybko wyszła, objając sobie walizką łydki.

Belle była w ogromnych okularach, jakby odwróconych do góry nogami, z zausznikami umocowanymi u dołu.

- Mam obrzydliwego kaca - od razu zwierzyła się Delii. - Do końca życia nie tknę już ani kropli szampana.

- Piłaś szampana?

- Zgadza się. Wypiłam całą butelkę, bo wczoraj wieczorem Horace mi się oświadczył.

- Och, Belle!

- Ale on nie wypił ani odrobiny, bo jest uczulony -wyjaśniła Belle. - Siedział tylko i patrzył, jak ja pochłaniam bąbelki, śledząc każdy łyk tymi swoimi oczkami psa myśliwskiego. No właśnie, tak robimy różne rzeczy we dwoje. Ale mimo to miły gest. Szampan, dwanaście róż i pierścionek z brylantem, i tyle. - Zdjęła lewą rękę z kierownicy, żeby pokazać coś ma-lutkiego, co się zaiskrzyło. Następnie skrzyła w ulicę. - O ile sobie przypominam, to przyjął go. Tylko pomyśl: Belle Lamb. Brzmi to jak pac-nięcie w jakiejś komicznej historyjce. Plam! - Za ciemnymi okularami twarz jej nie zmieniała wyrazu, lecz w linii ust było coś błogiego i sytego. - Chyba teraz będę musiała całą sprawę doprowadzić do końca.

- A nie chcesz doprowadzić jej do końca?

- No tak, pewno, że tak. Skrzyła w drogę numer 380. -Naprawdę mi na nim zależy. Może nawet go kocham. No bo kiedy wsiadając do mojego samochodu, uderza o coś głową, to aż mnie coś ściska w żołądku. My-ślisz, że można to nazwać miłością?

Delia zastanawiała się nad odpowiedzią, lecz Belle już mówiła dalej.

- Niemniej wciąż się nad tym zastanawiam, Dee, jak to jest. Większość ludzi pobiera się, bo dochodzi do wniosku, że nadszedł na to czas. Nawet wtedy, gdy nie mają jeszcze wybranej osoby. I dopiero ją wybierają. Te małżeństwa są jakby zaaranżowane, podobnie jak gdzieś za granicą... z tą różnicą, że tutaj aranżują je sami narzeczona i narzeczony.

Delia się roześmiała.

- Hm, teraz już nie wiem, co powiedzieć. Mam ci gratulować czy nie?  
- No pewnie, że tak - odparła koleżanka. - Pogratuluj mi. - I na chwilę zdjęła lewą rękę z kierownicy, żeby popatrzeć z podziwem na pierścienek z brylantem.

Okazało się, że „Komnaty Syreny” to łuszczący się z turkusowej farby motel po niewłaściwej stronie szosy, pomiędzy sklepem z podkoszulkami a monopolowym. Delia jednak postanowiła tam zostać, tym bardziej że Belle załatwiła jej dużą zniżkę, a poza tym przecież niezbyt wiele czasu spędza się w pokoju.

Codziennie rano przechodziła przez szosę, niosąc torbę z rafii, narzutę na łóżko i steropianowy kubek kawy. Na plaży wynajmowała parasol i sadowiła się w tłumie, który gęstniał w miarę upływu dnia - piszczące dzieci, niemożliwie piękne nastolatki, rodzice w dowolnym wieku i o dowolnej wadze, żyłaści biali dziadkowie. Najpierw piła kawę, wpatrując się w horyzont, a potem wyciągała z torby książkę i brała się do czytania.

Tu w Ocean City powróciła do romansów, pochłaniając przeciętnie jeden dziennie. W porównaniu z książkami, które wypożyczała z biblioteki, romanse wydawały się przesadne i ckliwe. Czytała je, prawie nie myśląc o tym, co czyta, bardziej zważając na żółte ciepło sącące się przez parasol, na okrzyki mew i dzieci, na opalone nogi chrzęszczące obok w piasku. Pewnego dnia zaczęła czytać książkę o narzeczonej, którą porwał brat narzeczonego, i w połowie zdała sobie sprawę, że czytała to w ubiegłym roku, też tutaj na wakacjach. Sprawdziła tytuł, zgadza się, *Uwięziona w zamku Clarion*. Spojrzała na morze. Matka trzymała dziecko z pieluszką tuż nad falą. Radia dookoła grały *Under the Boardwalk*. Delii wydawało się, że zobaczyła siebie, jak idzie na południe wzdłuż morza ozdobionego festonami piany.

Bliżej południa wstawiała i szła drewnianym chodnikiem na lunch. Jadała w tej czy innej byle jakiej kafejce - w barku z kanapkami czy z pizzą - mrugając w nagłym mroku, bo pod powiekami mieniło jej się fioletem.

Potem wracała pod parasol i ucinała sobie drzemkę, po której jeszcze na trochę zabierała się do czytania. Następnie szła na krótki spacer plażą, ponieważ przy obciążeniu nogi nadal czuła w kostce igielki bólu. I wtedy też decydowała się na swoją codzienną kąpiel.

Zanurzanie się trwało bez końca, przypominało stopniowe bolesne odrywanie plastra. Grymaśnie unosiła ramiona, wciągała brzuch, wstrzymując oddech, żywo posuwała się bokiem w morze, żeby na fale wystawiać się najwęższą częścią ciała. Wreszcie jednak zanurzała się, lecz - jeżeli dobrze wszystko rozegrała - nie moczając sobie ani jednego włosa na głowie. Wypływała daleko w morze i wielce zadowolona ze swojego osiągnięcia, popatrywała z wyższością i rozbawieniem w stronę brzegu, za każdym razem, kiedy fala, na którą wskoczyła, rozbijała się o piskliwe tłumy. Zawsze też czekała na najbardziej łagodną, żeby na niej wrócić do brzegu, chociaż czasami źle oceniła jej możliwości i nagle fala powalała ją z nóg i ciągnęła za sobą niby skotłowany tobołek bielizny.

Zataczając się, wstawiała na brzegu, cała ociekając wodą, wykręcając sobie spódniczkę kostiumu. Wówczas nie miała już na skórze ani odrobiny kremu z filtrem, i jej twarz stawała się coraz bardziej zaczerwieniona i upstrzona piegami. Pierwszą rzeczą, jaką co dzień robiła po powrocie z plaży, było sprawdzenie w lustrze, jak wygląda, i w miarę upływu czasu popatrywała na nią z naprzeciwka osoba o coraz bardziej zaognionej skórze. Kiedy ściągała z siebie kostium, wyzierała spod niego druga warstwa białej jak rybi brzuch skóry, a pod prysznicem okazywało się, że stopy na podbiciu mają barwę szkarłatu.

Wyciągała się we wdzianku Sama na łóżku, wycierała ręcznikiem włosy. Opiłowywała paznokcie. Oglądała wiadomości. A później, kiedy zaczynało ją chłodzić pachnące stęchlizną powietrze klimatyzacji, ubierała się i szła na kolację -co wieczór do innej restauracji. Niedziele spędzane w restauracji „Pod Herbem Bay” okazały się bardzo pożyteczne, bo teraz potrafiła ze spokojem sama siedzieć przy stoliku i przyglądając się sąsiednim - zjeść trzy dania. Następnie siadywała na chwilkę na molo, oczywiście, jeżeli znalazła wolną ławkę. Z tyłu uderzał ją w plecy huk

gier wideo i muzyki rockowej, przed nią rozciągał się pusty czarny ocean z białą smugą pod częściowo skasowaną tarczą księżyca.

Wracała do pokoju na ogół przed dziewiątą. Szła spać przed dziesiątą. Wyłączała klimatyzację i spała tylko pod prześcieradłem, lekko pocąc się w ciepłym powietrzu, które wpadało przez okno.

Jeden dzień był chmurny, popadywało i mżyło, została więc w motelu i oglądała telewizję. Przeważnie talk-show. Ukazał jej się cały nowy świat. Stwierdziła, że w telewizji ludzie potrafią mówić o wszystkim. Członkowie rodzin, którzy od lat nie rozmawiają ze sobą, nagle otwierają się przed kamerami. Kobiety publicznie płaczą. Zanim wyłączyła telewizor, rozboleła ją twarz, jak po zbyt wielu spotkaniach towarzyskich. Wyszła na spacer, kupiła nową książkę - nie romans, ale coś poważniejszego i bardziej wiarygodnego, o biedakach żyjących w stanie Maine. Na spacer włożyła rozpinany sweter panny Grinstead, opinający jej się delikatnie na ramionach, tak że czuła się jak wypieszczone dziecko.

Wysłała dwie kartki do Noaha na obóz. *Ładna pogoda, śliczne fale* - pisała. W takim stylu. Kupiła też kartkę, żeby napisać do Joela, lecz nie potrafiła się zdecydować, co. W końcu więc napisała do Belle. *To był naprawdę dobry pomysł. Dzięki za załatwienie wszystkiego.* Mineola, znajoma Belle, farbowana brunetka w szortach do kolan i pantoflach na wysokich szpilach, zawsze przyjaźnie z Delią się witała, lecz pozostawiała ją samej sobie, co było jej bardzo na rękę.

Od czasu do czasu coś działało na jej zmysły - dolatująca woń olejku kokosowego, chrzęst piasku w szwach kostiumu - i przywoływało na pamięć dawne rodzinne wyprawy nad morze. Któregoś popołudnia, kiedy zwracała parasol do wypożyczalni, nagle doleciał ją dziecinny głos: „Mamo, a dlaczego Jenny nic nie niesie?” Ogarnęło ją wspomnienie chwil, gdy codziennie tuż przed zachodem trzeba się było zacząć pakować, a dzieci prosiły, żeby zostać jeszcze chwilę, na co dorośli popędzali je, pokrzykując: kto będzie niósł materace, gdzie jest zielone wiaderko, może ktoś weźmie termos? Przypomniały jej się sprzeczki, ukłucia niedbale odrzucanego zbyt opaloną stopą piachu i ociążałość miękkich zmęczonych



kości. Przywoływała na pamięć wszystkie te niedoskonałe szczegóły, czując, iż oddałaby wszystko, aby teraz móc powrócić do jednej z takich chwil.

Czyje to buty? Ktoś zapomniał butów! Żeby nikt mi jutro nie jęczał, że nie ma butów!

Kupiła kartkę z delfinem i napisała: *Kochani Samie i Dzieci, jestem na krótkich wakacjach, myślę o Was*. Nagle uprzytomniła sobie jednak, że mogą to odnieść do całego minionego roku, nie do dwóch krótkich tygodni w Ocean City. Nie była pewna, jak to jednoznacznie napisać, podarła więc kartkę i wyrzuciła.

W ostatni wieczór miała się spotkać z Ellie w „Marzeniu Marynarza”. Żałowała jednak, że się umówiła. Poczowała bowiem, że prowadzenie rozmowy będzie dla niej ogromnym wysiłkiem. Odwołanie spotkania byłoby też ogromnym wysiłkiem, stawiała się więc przed restauracją o umówionej porze. Ellie już stała pod markizą. Miała na sobie białą sukienkę z wydekoltowanymi plecami, na których krzyżowały się ra-miączka, przetykaną srebrnymi nitkami, toaletę widywaną na statkach wycieczkowych, a w ręku białą torebkę w kształcie muszli. Przyglądali jej się wszyscy przechodzący mężczyźni.

- No, Delio! - zawołała. - Ale ty wyglądasz! Samo zdrowie i uroda!

Delia już zapomniała, jak dobrze się człowiek czuje na widok kogoś, kto zna go po imieniu, okazała więc radość ze spotkania.

W „Marzeniu Marynarza” panowała atmosfera klubu dżentelmenów, pośród ścian wykładanych skórzaną tapicerką. Zauważało się jednak pewne różnice. Na przykład dywan zalaatywał tym samym grzybim zapachem co w motelu Delii. Poza tym kelnerzy byli opalem na brąz.

- No powiedz - zaczęła Ellie, jak tylko usiadły - dobrze ci tu?

- Cudownie.

- To twoje pierwsze wakacje w pojedynkę?

- O tak - odparła Delia. - To znaczy...

Nie była pewna, czy samodzielną podróż do Bay Borough również można było zaliczyć do wakacji. (A jeżeli tak, to kiedy skończyły się te



wakacje i zaczęło normalne życie?). Napotkała wzrok Ellie, utkwiony w niej wyczekująco.

- To zabawne kąpać się samej? - spytała.

- Czy zabawne? Nie.

- A posiłki? Przez cały czas jadasz w pokoju?

- Broń Panie Boże! Jadam w restauracjach.

- Ja nie znoszę jadać sama w lokalu - stwierdziła Ellie. -Nie masz pojęcia, jak cię za to podziwiam.

Musiały przerwać rozmowę, żeby zamówić - Delia kraba po królewsku, a Ellie dużą sałatę z sosem. Lecz zaraz po odejściu kelnera spytała:

- Czy już przedtem to praktykowałaś? To znaczy, zanim wyjechałaś z poprzedniego... miejsca zamieszkania?

- Co miałam praktykować?

- No, czy tam również jadałaś sama w lokalach? Delia zaczynała rozumieć, o co chodzi Ellie - chciała

usłyszeć coś, co mogłoby być dla niej wskazówką, jak sobie radzić z życiem w pojedynkę.

- Ja nigdy nie jadałam sama - stwierdziła szybko Ellie. -Nawet prawie nie chodziłam sama po ulicy! Zawsze miałam eskortę u boku. Jako dziewczyna miałam niebywałe powodzenie. Teraz żałuję tego, wołałabym mieć mniejsze. Wiesz, jak dawno temu po raz pierwszy przyszła mi do głowy myśl, żeby opuścić Joela? Trzy miesiące po naszym ślubie.

- Trzy miesiące!

- Ale cały czas myślałam: „Jak sobie sama poradzę?" Wszyscy będą mi się przyglądać, zastanawiać się, co jest ze mną nie tak.

Pochyliła się bliżej Delii. Zniżyła głos.

- Dee?

- Tak?

- Musiałaś wyjechać? Delia lekko się odsunęła.

- To znaczy... znalazłaś się w... sytuacji nie do wytrzymania? Musiałaś wyjechać? Nie wytrzymałabyś już ani minuty dłużej?

- Hm, nie - odparła Delia.

- Nie chcę wtykać nosa! Nie wypytuję cię o tajemnice. Chcę tylko się dowiedzieć, na ile ktoś musi się czuć beznadziejnie, żeby mieć pewność, iż musi się wynieść?

- Na ile beznadziejnie? No, nie wiem, nie powiedziałabym... hm, nie jestem pewna, naprawdę.

- Nie jesteś pewna?

- To znaczy tak naprawdę to nie była decyzja - odparła Delia.

- Weź, na przykład, mnie - ciągnęła Ellie. - Myślisz, że popełniłam błąd? No bo mieszkasz teraz w domu mojego męża. Myślisz, że opuszczając go, przesadziłam?

- Ja nie jestem jego żoną. To różnica.

- Niemniej teraz już musisz się orientować, jaki jest. Wiesz, jaki jest drobiazgowy i jaki... przekonany zawsze o swojej racji, i jaki krytyczny.

- Joel krytyczny? - zdziwiła się Delia. - Belle Flint mówi, że on ciebie uwielbia! Usiłuje wszystko w domu zachować na tym samym miejscu, gdzie ty to zostawiłaś... nikt ci o tym nie mówił?

- No tak, ale to dopiero teraz, jak odeszłam. Bo kiedy tam mieszkałam, to ciągle słyszałam tylko: „Ellie, nie możesz tego zrobić tak?” albo: „Dlaczego nie robisz tego tak?” A jak go nie usłuchałam, to tylko milczał i posyłał mi groźne spojrzenia.

- Naprawdę?

Zobaczyła Sama, jak stoi przed lodówką i wygłasza jeden ze swoich wykładów na temat właściwego obchodzenia się z surowym drobiem. Sam miał coś w rodzaju fobii na punkcie zatrucia pokarmowego, jakby mieszkali w jakiejś republice bananowej. Joel nigdy nawet nie wspomniał o takich sprawach. Nie, Joel miał przyjemniejsze dziwactwa - mapy topograficzne domu i rozkłady zajęć. W sposób oczywisty brały się one u niego z potrzeby stabilizacji. Tak naprawdę to zależało mu jedynie na tym, by mieć pewność.

A może to samo można by powiedzieć o Samie?

Przyniesiono potrawy. Kelner wywijał pieprzniczką wielką jak balas.

- Czy któraś z pań potrzebuje...? - spytał.

- Nie, nie, proszę sobie iść - odprawiła go Ellie, machając ręką. Zostały same. - W trzy miesiące po naszym ślubie -zwróciła się do Delii - Joel pojechał na konferencję do Richmond. „Wolna!” - powiedziałam do siebie. Chciało mi się tańczyć po domu. Jakbym fruwała po pokojach. Urządziłam sobie taką własną zabawę: wyjęłam wszystkie ubrania z jego szuflad i spakowałam je do pudełek. Również to, co wisiało w szafie. Udawałam, że mieszkam sama i nikt mi nie zagląda przez ramię. Miał wrócić do domu w środę, miałam wszystko z powrotem poukładać we wtorek wieczorem, żeby się nie domyślił, co zrobiłam. No, ale wrócił wcześniej - we wtorek w południe. „Ellie, co to znaczy?” -spytał. A ja na to: „Tylko chciałam zobaczyć, jak by to było, gdybyśmy mieli więcej wolnych szuflad”. Właśnie tak kobiety wyrabiają sobie opinię bezmyślnych. Z tym że mną bynajmniej nie kierowała bezmyślność. Kto jednak by mu wyłuszczył prawdziwe motywy?

Jeszcze nie tknęła sałaty. Delia zdjęła z języka kawałek chrząstki kraba i odłożyła na skraj talerza.

- W pewnym sensie całe to małżeństwo było jakby podzielone na poszczególne etapy okresu żałoby - ciągnęła Ellie. - Zaprzeczanie, gniew... tak, naprawdę przypominało żałobę. Chodziłam na przyjęcia i rozglądałam się, zadając sobie pytanie, czy wszystkie kobiety czują się tak jak ja. A jeżeli nie, to jak im się to udaje? A jeżeli im się to udaje, to może tylko ze mnie jest taki mazgaj. Może wszystko takie właśnie normalnie powinno być i wszyscy prócz mnie spokojnie sobie z tym radzą.

Wreszcie nadziała na widelec liść sałaty. Zeskubywała go przednimi zębami jak królik, przez cały czas świdrując Delię pełnymi nadziei niebieskimi oczami.

- To zupełnie jak Melinda Hawser - odezwała się Delia. - Taka kobieta, którą poznałam u Belle w Święto Dziękczynienia. Na podstawie tego, co mówiła, mogłabym sądzić, że rozwiedzie się jeszcze przed Bożym Narodzeniem! Teraz wpadam na nią czasami w mieście i widzę, że nadal w najlepsze jest mężatką. Wygląda naprawdę dobrze.

- No właśnie - powiedziała Ellie. - Trudno więc przestać myśleć: „A może ze mną też byłoby wszystko dobrze? Może powinnam była wytrzymać?” I zaczynasz sobie przypominać wszystkie dobre rzeczy. Sposób, w jaki uwielbiał się przyglądać, kiedy malowałam się na przyjęcie, więc zawsze czułam się tak, jakbym odprawiała jakieś czary. Albo kiedy po urodzeniu dziecka nie mogliśmy się kochać przez sześć tygodni, więc tylko się całowaliśmy, w najcudowniejszy sposób się całowaliśmy... - Niebieskie oczy zalały się łzami. - O, Delio. Popełniłam błąd. Prawda?

Delia taktownie patrzyła na mosiężną lampę.

- Przecież możesz go naprawić. Wskakuj do samochodu i wracaj do domu - powiedziała.

- Przenigdy! - rzuciła Ellie i otarła oczy chusteczką. - Nigdy nie dam mu tej satysfakcji.

Co stałoby się z Delią, gdyby Ellie inaczej odpowiedziała?

Belle stwierdziła w rozmowie z Delią, że nie ominęło jej nic ważnego z wydarzeń w Bay Borough, absolutnie nic.

- Martwo było jak w grobie - mówiła, prowadząc ospale samochód jedną ręką. - W radzie miejskiej drobne rozróby... Zeke Pomfret chce w tym roku zrezygnować z rozgrywek baseballowych w Dniu Baya, zamiast tego miałyby się odbyć kucie koni czy coś w tym rodzaju, ale Bill Frick chce utrzymać rozgrywki. Czyli nic nowego, zgadza się? A Vanessa przysięga, że od samego początku wiedziała o mnie i Horace, ale ja jej nie wierzę. I wyznaczyliśmy datę ślubu: osiemnasty grudnia.

- O, w okresie świąt! - zawołała Delia.

- Chciałam mieć pretekst, żeby móc się ubrać w czerwony aksamit - powiedziała Belle.

Pozostawiły już za sobą blichtr miejscowości nadmorskich i jechały przez zwyczajne, bezbarwne tereny. Delia patrzyła na umykające nędzne domki, stateczne gospodarstwa, nikomu niepotrzebną stertę zbiorów, wyglądającą teraz jak kupa gnijących odpadów. Nigdy by nie pomyślała,

iż teraz, jadąc po raz pierwszy tą drogą, stwierdzi, że taki krajobraz do niej przemawia.

Trawnik przed domem Millerów był zbyt krótko przystrzyżony i nadzwyczaj zadbany, każdy krzew świeżo podsypany strużynami twardego drewna. Najwyraźniej Joel miał zbyt dużo wolnego czasu. Kiedy weszła do środka, kot przyjął ją ozięble i ruszył za nią krok w krok przez puste pokoje, w sposób wywołujący w niej poczucie winy. W domu panował porządek, lecz było jakoś smutno, dawało się zauważyć drobne ślady kawalerskiego życia, na przykład na kranie w kuchni wisiała wielka mokra ścierka, zamiast specjalnej ściereczki do zmywania, a na gałkach kuchenki i uchwytach szafek widać było warstewkę tłuszczu (mężczyźni nie zauważają takich rzeczy i nigdy ich nie myją). Na swojej komodzie zastała liścik: *Delio, pojechałem po Noaha. Nie rób kolacji, potem coś razem przegryziemy.* / . Czekala na nią też poczta: ręcznie pisane zaproszenie na twardeym kremowym papierze. *Driscoll Spence Avery i Susan Telson Grinstead zapraszają na swój ślub, który odbędzie się dnia 27 września (poniedziałek) o godzinie 11.00, w domu rodziny Grinstead. R.S.YP.*

Ile rzeczy można wyczytać z kilkunastu słów! Począwszy od tego, że pismo należało do Susie (niebieski, obficie spływający atrament), aż po fakt, że nie zostali wymienieni rodzice - dowód na to, że Susie sama wszystko organizuje. Sam musiał się jednak przychylić do jej decyzji, bo ślub miał się odbyć w domu. Rozszyfrowanie daty było jednak trudniejsze. Dlaczego we wrześniu? Dlaczego w poniedziałek rano? I czy Susie znalazła już pracę, czy nie?

Delia chciała zadzwonić i spytać o wszystko, lecz czuła, że nie ma do tego prawa. Będzie musiała odpowiedzieć listownie, jak pozostali goście.

Oczywiście, miała zamiar stawić się na uroczystości.

Podniosła wzrok i zobaczyła własną twarz w lustrze komody - oczyszeroko otwarte, nieprzytomne, wyraziste piegi.

Dowiedziawszy się, że jej dziecko pierworodne jest dziewczynką, nie posiadała się z radości. W skrytości ducha bowiem marzyła o tym, by to była dziewczynka. Robiła plany, jak będzie ją ubierać w marszczone su-



kieneczki. Potem jednak okazało się, że jak tylko Susie nauczyła się mówić, od razu domagała się dzinsów. Delia robiła plany, jak to razem będą się zajmować kobiecymi sprawami (szyciem, pieczeniem pasztecików, stosowaniem takiego czy innego kosmetyku), lecz Susie wolała zajęcia sportowe. A co będzie teraz -zamiast eleganckiego ślubu na biało, na którym Susie wystąpiłaby w starych koronkach, a jej oboje rodzice, zgodnie z nową modą, promienieliby radością, oddając ją panu młodemu - zastanawiała się Delia, stojąc w ranczerskim domu na Wschodnim Wybrzeżu; w jakim stylu odbędzie się ta uroczystość, na którą zaprasza ją córka.

Noah urósł na obozie jakieś pięć centymetrów. Sznurkowe bransoletki na obu nadgarstkach podkreślały świeżą opaleniznę i kanciastość jego dłoni. Nabył także nawyku powtarzania: „No, czujesz?“, czym Joel wydawał się już zmęczony. Siedzieli w łożu kafejki „Rick-Rack” - Joel i Noah z jednej strony stołu, Delia z drugiej, a więc mogła, w przeciwieństwie do chłopca, obserwować grymasy na twarzy jego ojca.

- Zapewniam cię - oświadczył w końcu Joel - że udało mi się zrozumieć, co masz na myśli, ale na pewno nie będę ci tego przekazywać w żargonie obozowym.

- Co? W każdym razie na obozie kazali nam codziennie rano robić po pięćdziesiąt pompek - opowiadał niespeszony chłopiec. - Po pięćdziesiąt! Czujesz? Chyba chcieli nas wykończyć i zwinąć forszę z naszych opłat. Więc ja i Roland poszliśmy do gabinetu...

- Roland i ja - poprawił go Joel.

- Dobra, i chcieliśmy sobie załatwić zwolnienie. Ale ta debilka pielęgniarka nie chciała nam napisać. No i rozumiesz, no to ona...

- Ona powiedziała, że...

- Powiedziała, że jakby...

Podano im potrawy - dla Joela i Noaha burgery, dla Delii kanapkę z pieczoną wieprzowiną.

- Dzięki, Teensy - rzucił Noah.



- Jasna sprawa! - wesoło zawołała młoda kobieta.
- Dla ciebie to jest pani Rackley - pouczył go ojciec. Noah zerknął na Delię. Tylko się uśmiechnęła.
- Tata pytał, gdzie się podziewasz od dwóch tygodni -zwróciła się do niej Teensy.
- Byłam w Ocean City.
- Tak mu też powiedziałam, ale nie zapamiętał. Sprzeczał się ze mną: „Wcale o tym nie mówiła! Po prostu wyszła i pojechała sobie!” Bardzo mu się ostatnio popsuka pamięć.
- Współczuję mu w takim razie - powiedziała Delia.
- Twierdzi, iż wszystko wokół niego dzieje się tak szybko, że nie może tego zapamiętać. Na to Rick mówi mu... po prostu tak, żeby okazać współczucie... mówi mu: „Tak, dobrze wiem, co musisz...” A tata na to: „Nie wtryniaj się do tego, ty ciemny typie!” Ja na to aż krzyknęłam na ojca... - Teensy przerwała, zerkając na Joela. - Chyba powinnam wrócić do pracy. - Wsunęła ręce do kieszeni fartucha i szybko odeszła.
- Hm, szczególnie to - zauważył Joel.
- Chyba zupełnie nie zdawał sobie sprawy, że przepędził ją swoim kamiennym wyrazem twarzy.
- Może pan Briggs powinien zamieszkać w Mieście Seniorów - powiedział Noah.
- Nie wydaje mi się, żeby go było na to stać - zauważyła Delia.
- Może mają tam jakieś stypendia? Albo dofinansowania czy coś w tym rodzaju. Czujesz?
- Joel przewrócił oczami.
- Więc jeżeli chodzi o mnie i Ronalda - Noah wrócił do opowieści, podnosząc burgera - to potem wymyśliliśmy, że będziemy udawać kontuzjowanych. Tylko że nie mogliśmy zrobić tego obaj naraz, bo wyglądałoby ślisko.
- Wszystko to źle wymyśliliście - stwierdził Joel. - Nigdy nic dobrego nie wychodzi, jeżeli ktoś ucieka się do fortelu.
- Do czego?

- Do fortelu.

- Co to znaczy?

Joel patrzył przez stół na Delię. Brwi uniósł tak wysoko, że czoło wyglądało jak kawałek sztruksu.

- To jest coś, co robi się skrycie - wyjaśniła Delia chłopcu. - Coś pokrętnego.

- Aha.

- Tata uważa, że powinniście otwarcie się sprzeciwić temu zadaniu. Przynajmniej ja tak to rozumiem. - Oczekiwała, że Joel pociągnie dalej jej wywód, lecz on nadal siedział z otwartymi ustami. - O to ci chodziło? - spytała wreszcie.

- On nie ma pojęcia, co to jest fortel! - w końcu wyrzucił z siebie Joel.

Rozłożyła kanapkę i zaczęła nakładać sobie surówkę z kapusty.

- Nigdy nie słyszał słowa „fortel”! Nie do wiary! Nie odezwała się.

- To takie wielkie halo? O rany! - jęknął Noah.

- Wcale nie takie wielkie halo! - zawtórował mu Joel. - Czy dzisiaj w szkole to już niczego nie uczą? „Fortel” nie wymaga przecież wprowadzania w arkana wiedzy o języku, na miłość boską.

Delia widziała, że Noah postanawia nie spytać, co znaczą „arkana”.

- Czasami mam wrażenie, że język kurczy się do rozmiarów suszonej ulęgalki - zwrócił się do niej Joel. - Prym wiodą byle jakie słowa, a te prawdziwe znikają. Któregoś dnia okazało się, że kierownik naszej stołówki nie wie, co znaczy słowo „sztuće”.

- Sztuće? - zdziwiła się.

- Wydaje się, że słowo to wyszło z użycia.

- „Sztuće” wyszło z użycia?

- Nie widzę innego wyjaśnienia. Powiedziałem do niego, że musimy zamówić nowy zapas sztucców, a on na to: „A co to są sztucce?”

- O, to jakaś bzdura - stwierdziła. - Ty wiesz, co to sztucce? - spytała Noaha.

Skinął potakująco głową, lecz nie zaryzykował zademonstrowania swojej wiedzy.

- Widzisz? Wcale nie wyszło z użycia! Teensy! - zawołała. - Możesz nam przynieść więcej sztuczków?

- Już idę - odparła tamta, a spod lady dobiegł brzęk noży i widelców.

Delia z triumfem spojrzała na Joela.

- Hm, no... - mruknął. Noah szeroko się uśmiechnął.

- Dobra robota, Dee - powiedział. I w końcu nawet Joel się uśmiechnął.

Delia też się uśmiechnęła, z powrotem złożyła kanapkę i poklepała ją. Pod nosem sobie mruzczała - cieniutko, słodko, bezbarwnie mruzczała, zupełnie jak zadowolona kotka.

RS

## Rozdział 18

Binky urodziła dziecko w Dzień Pracy. Nat orzekł, że to bardzo stosowny dzień na takie wydarzenie. Zadzwoił w ten sam dzień po południu. Obwieścił nowinę, tak podnosząc głos, że w każdej chwili mógł mu się załamać.

- Cztery kilogramy i trzydzieści dekagramów - zapiał. -James Nathaniel Moffat.

- James! - wykrzyknęła Delia. - To znaczy, że chłopiec!

- No tak, chłopiec. Nie do wiary! - Rozległ się jego tłumiony przez brodę chichot. - Nie jestem pewien, czy będę wiedział, jak się obchodzić z chłopcem.

- Na pewno dasz sobie radę - pocieszyła go. - Noah jest teraz gdzieś na pikniku, ale oszaleje z radości, kiedy mu powiem. Jak się czuje Binky?

- Doskonale. Po prostu przez to przepłynęła. Zresztą podobnie James. Delio, musisz go zobaczyć. Ma okrągłutką buźkę, zupełnie jak zegarek z dewizką, i masę blond włosków, ale Binky mówi, że...

Słuchając go, trudno było sobie wyobrazić, że już cztery razy w życiu przeżywał podobne wydarzenie.

Delia przesadziła, twierdząc, że Noah oszaleje z radości. Nowina bowiem zainteresowała go, lecz w stopniu umiarkowanym - chciał wiedzieć, jak dzidzius wygląda i co na to powiedziała dyrekcja. Kiedy jednak nadszedł środowy poranek, spytał, czy nie może odłożyć swojej regularnie składanej dziadkowi wizyty. Szkoła właśnie się zaczęła i chciałby się zapisać na treningi zapasów.

- A może byśmy wpadli tylko na chwilkę zobaczyć dziecko i zaraz bym cię podrzuciła na próbę?

- Nie możemy jechać jutro?

- Jutro mam korepetycje, a pojutrze podwieczorek dla matek abiturientów. Jeżeli będziesz się zbyt długo ociągał, to dziadek pomyśli, że nic cię to nie obchodzi. Zadzwoń wcześniej i powiem mu, że możesz wpaść tylko na chwilkę.

- No dobrze - zgodził się Noah bez entuzjazmu.

Kiedy podjechała po niego pod szkołę, właśnie usiłował łokciem zepchnąć z chodnika Jacka Newella i musiała zatrąbić, by zwrócił na nią uwagę. Rozebrał się, szarpnięciem otworzył drzwi od strony pasażera i wpadł do samochodu.

- Cześć! - rzuciła.

A on tylko zsunął się na siedzeniu i mocniej wcisnął czapkę na głowę. Odezwał się dopiero, kiedy jechali już szosą.

- Muszę z tym skończyć - oświadczył.

- Z czym?

- Nie mogę bez przerwy wszystkich odwiedzać! Mamy i dziadka... Jestem już w ósmej klasie! Mam ważne zajęcia!

Głos mu zaskrzeczał na „zajęciach”. Delia zerknęła na niego. Niedługo zacznie przechodzić mutację. O Boże, znów ma kolejnego chłopca w wieku dojrzewania. Powiedziała tylko:

- Może przesunąć te wizyty na weekendy.

- W weekendy spotykam się z kolegami! Wszystko to by mi przepadło.

- Hm, więc nie mam pojęcia - powiedziała. - Pogadaj o tym z Natem i mamą.

- A czy mogłabyś teraz jechać mniej niż sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę? Bo jeszcze mnie zabraknie i już niczego nie będę mógł obgadać przez to, że jeżdżę z maniaczką prędkości.

- Przepraszam - powiedziała i zwolniła. - Zerknij, co kupiłam dzidziusiowi - dodała. - Jest na tylnym siedzeniu.

Spojrzał do tyłu, lecz nie wziął stamtąd paczuszki.

- A nie możesz mi po prostu powiedzieć, co to jest? - spytał.

- To maciupęńkie sportowe buciki. Nie większe niż napałek.

- Aha.

Kiedyś nie mógłby wytrzymać, by nie zajrzeć do prezentu.

Dzień był zimny i pochmurny, zapowiadano deszcz, lecz przez całą drogę spadło im na przednią szybę ledwie kilka zbłąkanych kropli. Noah słuchał radia - piosenkarze wrzeszczeli, rozkoszując się inwektywami.

Delia śpiewała sobie w myśli spokojniejsze kawałki - nauczyła się tej techniki przy własnych dzieciach. Właśnie zaczynała *Let It Be*, gdy dojechali do Miasta Seniorów.

- No, nie wytrzymam - jęknął Noah.

Przy frontowych drzwiach dwuskrzydłowych stał mający dobrze ponad metr wysokości drewniany bocian w paradnej niebieskiej kamizelce, z niebieskim tobołkiem. Z portyku spływały kaskady bladoniebieskich balonów. Tablica informacyjna w holu, na której zazwyczaj wisiały kartki z podziękowaniami od rekonwalescentów i ogłoszenia o wyjazdach autobusów do centrów handlowych w Yorku, oblepiona była kolorowymi zdjęciami niemowlęcia tuż po urodzeniu. Obok stały trzy dyżurne z żółtymi apaszkami na szyi, przyglądały się zdjęciom i rozmawiały o tym, jakie znaczenie ma rozmiar dłoni. Jedna twierdziła, że duże dłonie u noworodka oznaczają, iż kiedyś będzie bardzo wysokiego wzrostu, lecz druga upierała się, że taka zależność występuje tylko u szczeniąt.

Kiedy weszli do windy, była w niej już Pooky, która odbywała jedną ze swoich nie kończących się podróży. Dzisiaj jednak chyba doskonale wiedziała, że znajduje się na parterze. Nacisnęła dla nich guzik drugie.

- Jeżeli się pospieszycie, zdążycie na odbekiwanie.

- Och, to pani już go widziała? - spytała Delia, kiedy winda ruszyła w górę.

- Już dwa razy. Wczoraj czekałam z innymi w holu, kiedy przywieziono go ze szpitala. Mam nadzieję, że ten prezent to nie są buciki.

- Hm, coś w tym rodzaju - odparła Delia.

- Dostał już szwedzkie skórzane chodaki, dwucentymetrowe klapki i maluteńkie buty do jazdy na motorze. Nie liczę tych, które zrobiliśmy mu na drutach.

Winda zatrzymała się z lekkim podskokiem, drzwi się otworzyły.

- Poszłabym z wami - zawołała za nimi Pooky - ale muszę wracać do siebie i skończyć zabezpieczanie przed dziećmi.

Kiedy zadzwonili, drzwi otworzył Nat.



- No, jesteście! - zawołał. - Wchodźcie, wchodźcie! - Używał dziś laski, lecz mimo to prowadził gości do sypialni szybko i w podskokach. - James właśnie przekąsa - rzucił przez ramię.

- Mamy tu poczekać? - spytała Delia.

- Nie, nie, wszyscy tu są przyzwoicie ubrani. Bink, kochanie, przyszli Noah z Delią.

Binky siedziała oparta o wezglowie, ubrana, lecz bez butów. Kocyk udrapowany na jej piersi zasłaniał buzię niemowlęcia, widzieli więc tylko malutkie purpurowe uszko i puch na główce.

- Och, spójrz na niego! - szepnęła Delia. Zawsze kiedy patrzyła na nowo narodzone dziecko, czuła się tak, jakby otwierało się coś w jej piersi.

Noah jednak patrzył wszędzie, tylko nie na maleństwo. Wsunął ręce do kieszeni, wzrok wbił w odległy kąt sypialni. Binky mrugnęła do Delii.

- Noahu, chcesz go potrzymać? - spytała.

- Ja?

Odsunęła niemowlę od piersi, jednocześnie zręcznie układając kocyk. Dziecko miało zamknięte oczka, tęsknie poruszało usteczkami, które miały kształt pączka róży, mocno zaciśniętego. Rzeczywiście miało duże dłonie o długich przezroczystych paluszkach wsuniętych pod bródkę.

- No, proszę - powiedziała Binky, podając Noahowi małego. - Tylko musisz mu podtrzymywać główkę... o tak.

Noah wziął go niezgrabnym ruchem jak tobołek.

- To chyba niemarudne dziecko - orzekła Binky, zapinając się. - Spał prawie przez cały dzień, co jest cudowne, bo przecież miałam tylu gości. Noahu, dzwoniła twoja mama. Prawda, że to miło? Pozostałe trzy jeszcze się nie odezwały, ale mam nadzieję, że...

- Oj, nie myśl o tym, nie myśl, kochanie - przerwał jej Nat. - Co one nas obchodzą? - Gniewnie potrząsnął głową, jak to często robił, kiedy wspomniano jego córki. - Chodźcie usiąść w dużym pokoju.

Ruszyli za nim - Noah niósł Jamesa, stąpając bardzo ostrożnie i usiedli pośród niebywałego tu rozgardiaszu kapci, kolorowych kocyków i pude-

łek z prezentami. W mieszkaniu już unosił się wilgotny, słodki, pudrowy zapach niemowlęcia.

Binky rozpakowała buciki sportowe, roześmiała się i podała je Natowi, a na prośbę Delii wyjęła buciki do jazdy motorem. Był to prezent od jej synów, którzy twierdzili, że mają jej dość, lecz Peter urwał się ze szkoły, żeby osobiście przynieść prezent. Teraz Nat zaczął opowiadać, jak to było, kiedy jechali z Binky do szpitala. („Binky, przecież od początku mówiłem, żebyśmy się przenieśli na trzecie piętro”). Binky wspominała poród, który poszedł jak z płatka w porównaniu z poprzednimi dwoma. („Nie powinnam o tym mówić w mieszanym towarzystwie - zaznaczyła - ale od urodzin Petera nigdy nie wiem, kiedy powinnam iść zrobić siusiu. Mogę więc tylko na wszelki wypadek chodzić co dwie godziny”).

Noah wyglądał już na zupełnie wykończonego, Delia więc wstała, wzięła od niego niemowlę - był to pretekst, by przez chwilę potrzymać małe miękkie, zawinięte jak tobołek ciało - i zwróciła je Binky.

- Musimy jechać z Noahem na tę jego próbę - powiedziała do gospodyni. - Czy mogę w czymś pomóc? Zrobić jakieś zakupy? Coś załatwić?

- Nie, nie. Nat wspaniale mną się opiekuje - odparła Binky.

Delia przypadkiem wiedziała, że Nat najczęściej odczuwa bóle, właśnie prowadząc samochód, lecz był taki dumny z siebie, że teraz nie mogła tego powiedzieć.

Joel bardzo się denerwował przed podwieczorkiem dla mam. Delii przyszło do głowy, że chciałby mieć tam Ellie - ze względu na jej dryg do zabawiania innych na przyjęciach o określonym profilu. Kiedy jednak zaproponowała, że zadzwoni do niej i poprosi o jakieś pomysły, nie zgodził się na to.

- Po co mamy to robić? Przecież, na miłość boską, potrafimy urządzić prosty podwieczorek.

- Tak, ale może...

- Od Ellie przydałby nam się tylko przepis na kwadraciki cytrynowe - dodał.

- Aha, spytam o kwadraciki cytrynowe.

- Te z kruchą polewą. I spytaj o te jej kanapki z ogórkiem.

- Oj, ja też potrafię zrobić kanapkę z ogórkiem - odpaliła.

- No pewnie, oczywiście.

Po tej odpowiedzi zrezygnował z kontynuowania tematu - niewątpliwie się do tego zmusił. W piątek po południu, kiedy Delia ustawiła na kredensie w jadalni duży ekspres do kawy, zaczął wokół niej krążyć.

- Będą same kobiety - poinformował ją.

- Hm, domyślałam się, to podwieczorek dla matek.

- Jest wprawdzie jeden ojciec, ale wyjechał w interesach. Czyli w stu procentach przyjęcie dla kobiet.

Poszła nalać wody. On za nią.

- Ale będziesz podtrzymywać rozmowę, prawda?

Nie liczyła się z tym. Widziała siebie raczej w kuchni, niby jedną z tych dyskretnych gospodyń z dziewiętnastowiecznych powieści. Właściwie to nawet na to czekała.

- Hm... umm...

- Delio, przecież sam nie dam rady.

- Dobrze więc, spróbuję.

Okazało się jednak, że nie była mu potrzebna pomoc. Przyszło czternaście kobiet - po dwie na każdą salę spotkań w szkole. Jedyne ojciec nie mógł się stawić, podobnie jak jedna matka, której nie udało się zwolnić się z pracy. Wszystkie znały się, przeważnie już od dzieciństwa, łatwo więc podejmowały różne tematy tak im znajome, że można było odnieść wrażenie, iż rozmawiają utrwalonym przez lata szyfrem.

- No i jak w końcu postanowiła Jessie?

- No tak, jak wszystkie myślałyśmy.

- Do diabła!

- No tak, ale to nigdy nie wiadomo... może się okaże, że wyjdzie z tego to samo, co córce Sandersonów.

- No tak, to jest myśl.

Delia miała na sobie granatową dżersejową sukienkę, zakładała bowiem, że podwieczorki bywają eleganckie, lecz kobiety były ubrane w spodnie, nawet dżinsy, a jedna włożyła podkoszulek z nadrukiem KOMPOST TO COŚ. Wszystkie okazywały przesadne zainteresowanie osobą Delii. Wciąż podchodziły do niej i zadawały pytania.

- No, jak tu się pani podoba? Jak Noah radzi sobie z tym wszystkim? Już się przystosował?

Kiedy odpowiadała, głosy w pobliżu cichły, a panie stojące dalej przysuwały się.

- Ojej! Pan Miller musi być strasznie z pani zadowolony. I pomaga pani w korepetycjach! Udziela ich pani najmłodszemu Brewsterów! Pan Miller zawsze narzeka, że nie może znaleźć odpowiedniej liczby korepetytorów.

Teraz wiedziała, jak muszą się czuć nowe uczennice pierwszego dnia w szkole. Grzecznie jednak odpowiadała, z uśmiechem na ustach, trzymając przed sobą dzbanek z herbatą niby bilet. Bay Borough bardzo jej się podoba, Noah dobrze sobie radzi, a jeżeli chodzi o nią samą, to więcej nauczyła się od uczniów, niż oni od niej. Normalne odpowiedzi. Mogłaby ich udzielać przez sen. Tymczasem Joel stał, rozmawiając z dwiema kobietami w drugim końcu pokoju. Z namysłem kiwał głową i od czasu do czasu marszczył czoło. Już się nie denerwował. A kiedy podszedł z talerzem ciasteczek, powiedział:

- Delio, świetnie ci idzie.

- Dzięki - odparła z uśmiechem.

- To chyba najlepszy z naszych podwieczorków.

- O! Ale kwadraciki cytrynowe to wkład Ellie, pamiętaj. Była taka miła i...

W tej chwili jedna z kobiet spytała Joela, co planuje na Jesienny Bazar, Delia więc uciekła do kuchni.

Zrobiła porządek, wytarła blaty, włożyła kilka naczyń do zmywarki. Kot schował się pod stołem, wywlokła go więc stamtąd, przytuliła i po-

drapała za uchem. Przez moment obserwowała, jak duża wskazówka zegara ściennego wyraźnie przeskakuje naprzód - z piątej osiemnaście, na piątą dziewiętnaście i piątą dwadzieścia. Czas, by zaproszone panie przypomniały sobie, że powinny wracać do domu i przygotowywać kolację. Istotnie, usłyszała nawet, że gwar zmienia barwę - słychać było coraz wyższe tony pożegnań.

- Czyżbym nie miała ze sobą torebki?

- Czy ktoś widział moje klucze? I nagle:

- A gdzie jest Delia? Chcę się z nią pożegnać. Musiała puścić George'a i pójść do gości, odprowadzić

wszystkie panie do drzwi. („Naprawdę było mi bardzo miło. Z przyjemnością dam swój przepis"). Wróciła do jadalni. Joel wyłączał ekspres, a kobieta, która najdłużej została (znajdzie się taka na każdym przyjęciu), z pedanterią segregowała łyżeczki, oddzielając czyste od brudnych.

- Ależ proszę to zostawić - poprosiła Delia. - Mam swój system.

fak szybko przywołała na pamięć stare formułki: „Mam swój system. Ale to naprawdę drobiazg. Naprawdę to żaden kłopot".

Kobieta nie miała ochoty wychodzić, stała przez chwilę zaglądając do torebki, jakby szukała instrukcji, dokąd ma się następnie udać. Była matką trojaczków, jak Delia przypadkiem usłyszała - trzech chłopców i wszyscy trzej właśnie zaczęli samodzielnie prowadzić samochód. Łatwo więc było zrozumieć, dlaczego nie spieszyło jej się do domu. W końcu jednak zaczęła się żegnać.

- Dziękuję bardzo obojgu państwu. Podwieczorek był wspaniały. - I posyłając Joelowi uśmiech, zwróciła się do Delii: - Jak on pomaga! Gdybym swojego męża poprosiła, by posprzątał, uważałby, że żartuję. Poirytowałby się i poszedł sobie do kolegów.

Joel parsknął, dopiero kiedy wyszła.

- Poirytowałby się! - powtórzył jej słowa. - Deprymujące, prawda?

Delia nie była pewna, co właściwie go zbulwersowało. (Ale przynajmniej nie zauważył, iż ta kobieta niewątpliwie uważała ich za parę). Zaniośła stertę filiżanek do kuchni i zaczęła ustawiać je w zmywarce.



- Wiesz, do czego dojdzie - odezwał się Joel, stawiając dzbanek od ekspresu na blacie. - Stopniowo coraz więcej ludzi będzie mówiło „poirytował się” w znaczeniu „był poirytowany”, uważając, że to w stu procentach to samo, podobnie jak myślą, że „zamieszkały” i „zamieszkany” też oznaczają to samo. Zanim się obejrzymy, pojawi się to w słownikach, nawet bez adnotacji „niepoprawne”.

- Ale może jej naprawdę chodziło o powiedzenie, że mąż przez chwilę się poirytował - zastanawiała się Delia. - Może właśnie okazał zdenerwowany, może dał wyraz złości na nią, bo poprosiła go o pomoc.

- Nie, nie, chcesz wszystko sensownie wytłumaczyć, ale jestem przekonany, że chodziło jej o to, że „był poirytowany”. Wszystko tak się zmienia - ciągnął. - Mówimy coraz dziwniejszą angielszczyzną.

Spojrzała na niego. Obręcał przewód wokół ekspresu, chociaż dzbanek nie został jeszcze ani opróżniony, ani umyty.

- Tak, zauważyłam, że na ogół właśnie to stanowi dla ciebie problem - powiedziała.

- Słucham?

- Bo na ogół nie chodzi ci o błędy gramatyczne, zwracasz uwagę tylko na podstawowe. Bulwersują cię nowe znaczenia, zmiany. Na przykład „czujesz?”, wciąż nadużywane „jak gdyby” i „ciepły prąd”.

Joel wzdrygnął się. Za późno. Delia uprzytomniła sobie, że o ile pamięta, to nigdy w jej obecności nie mówił o „ciepłym prądzie”. Wyrażenia tego użyła Ellie w swoim wywiadzie. Szybko więc zaczęła mówić dalej.

- Prawdopodobnie połowa słów, jakich używasz, też nie tak znowu dawno temu nabrała nowego znaczenia. Pojawiają się nie bez powodu. Na przykład „wieśniacki”, „kapela”, „ekipa”, „zabezpieczać”, „logistyka”.

- „Logistyka” to przecież stary wyraz.

- Ale używa się go w nowym znaczeniu. Na przykład Pomfret też włączył go do swojego słownictwa. A ja pomyślałam: „Właściwie dlaczego nie?” Czy czasami nie odczuwasz potrzeby, żeby pojawiały się nowe znaczenia? Na przykład, żeby jakoś inaczej móc nazwać...

- Piegi - przerwał jej.



- Piegi?

- Te mniejsze od zwykłych piegów - wyjaśnił. - I nie takie ciemne. Te jak złoty pył.

- Hm, i również... hm, na przykład pomidory - powiedziała zbyt szybko. - Jest gatunek tych prawdziwych i są te zupełnie inne, sprzedawane w supermarkiecie, w tym samym kolorze co dziaśła w protezach. Powinny mieć nową, zupełnie inną nazwę.

- Podobnie jak otoczka, którą zauważa się u kogoś, kogo dopiero naprawdę zaczynamy widzieć.

Nic na to nie powiedziała.

- Ten ktoś staje się taki wyraźnie widoczny - ciągnął Joel. - Wydaje ci się, że czujesz każdą tętnicę tego kogoś i jej pulsowanie pod skórą. I myślisz wtedy: „Nagle ona stała się...”, ale jak to nazwać? Może „strukturalna”? Ale ta struktura widoczna jest gołym okiem.

Oczy jego nabrały bardziej miękkiego brązowego zabarwienia, a długie wyłobienie warg stało się bardziej kształtne, bardziej delikatne.

- Ojej! - krzyknęła. - To Noah?

Noah pojechał jednak do Ellie i miał wrócić dopiero późnym wieczorem. A poza tym miała go podwieźć pod drzwi frontowe, nie od kuchni.

Niekiedy Delia, mówiąc do siebie: „Do ślubu Susie pozostało już tylko dziesięć dni”, czuła, że dostaje dreszczy ze strachu. „To wszystko będzie takie krępujące. Jak ja spojrzę im w twarz? Nikt mnie nigdy nie uczył, jak w takiej sytuacji się zachować”. Kiedy indziej znów rozumowała całkiem inaczej: „Phi, ślub to ślub. Będzie pełno gości, którzy posłużą jako bufor. Mogę po prostu spokojnie stać, wdychając i wydychając powietrze. To nic wielkiego”.

Przez jakiś czas myślała, że Susie poprosi ją, by przyjechała wcześniej, nawet o kilka dni, aby pomóc w przygotowaniach. Wtedy przynajmniej by się nie czuła jak gość. Mając na to nadzieję, rzucała się co rano na dostarczoną pocztę, odchrząkiwała przed podniesieniem słuchawki, kiedy

dzwonił telefon, zwlekała z powiadomieniem Joela o swoich planach, póki się nie dowie, na jak długo ma wyjechać. Susie jednak nie wyraziła takiej prośby.

Czasami Delia zastanawiała się, czy w ogóle pojechać. Na co miałyby się tam przydać? Nawet nie będzie im brakować jej osoby. W kilka dni po ślubie któreś z nich może najwyżej powiedzieć: „Słuchaj! Wiesz, kogo nie było? Delii! W tej chwili dopiero przyszło mi to do głowy”.

Innym razem znów wyobrażała sobie, że zupełnie nie mogą jej się doczekać. „Delia!” - zawołają. „Mama!” - będą wrzeszczeć, pędząc na ganek, drzwi same za nimi się zatrzasną, wszyscy oplączą ją ramionami.

Nie, to obraz do skasowania. Bardziej prawdopodobne, że spytają: „Co ty sobie wyobrażasz? Co tu w ogóle robisz? Myślisz, że możesz sobie ot tak spokojnie wrócić, jak gdyby nic się nie stało?”

Musi pamiętać, by wziąć zaproszenie, bo a nuż się przyda.

Z Joelem temat wyjazdu poruszyła w niedzielę przy śniadaniu, czekając do ostatniego dnia na wiadomość od Susie. Poza tym niedzielę uznała za odpowiedni dzień, ponieważ w domu był Noah - łąpczywie pożerał naleśniki z mąki gryczanej - rozmowa więc nie mogła zejść na zbyt niebezpieczne tory.

- Joelu - zaczęła - nie wiem, czy już ci o tym wspominałam - a doskonale wiedziała, że nie wspominała - ale jutro muszę wziąć wolne na cały dzień.

- Tak? - Opuścił gazetę.

- Muszę pojechać do Baltimore.

- Do Baltimore?

- O rany, Delio! - wykrzyknął Noah. - A ja przyrzekłem trenerowi, że jutro podwieziesz nas kilku na trening.

- Ale nie mogę - odparła.

- O rany! To co my zrobimy?

- Trener coś wymyśli - odezwał się Joel. - Jeżeli chciałeś komuś zaproponować usługi Delii, powinieneś najpierw ją spytać, czy może. - Mówiąc, przyglądał się jednak twarzy Delii. - Czy to... czy coś się stało?

- Nie, jadę tylko na ślub.

- Aha.

- Ale to ślub, na którym bardzo bym chciała być, ślub w rodzinie, wiesz, pomyślałam więc, że jeżeli nie masz nic przeciwko...

- Oczywiście, że nie - odparł. - Mogę cię odwieźć na autobus?

- O, dzięki, ale jadę samochodem - powiedziała. - Okazuje się, że Baltimore jest na trasie podróży handlowych pana Lamba.

Joel prawdopodobnie nie miał pojęcia, kim jest Lamb, lecz powoli skinął głową, ciągle jednak patrząc na wyraz twarzy Delii.

- No więc tak! - zakończyła sprawę. - Aha, zakładam, że wrócę wieczorem. Może na kolację, ale nie jestem pewna. Wracam autobusem. W lodówce więc zostawiłam sałatkę z kurczaka. Obok stoi miseczka z surówką z kapusty z „Rick-Rack”, ciasteczka są w szufladzie z chlebem... Ale myślę, że do tego czasu powinnam wrócić.

- Mam wyjechać po ciebie na dworzec autobusowy?

- Nie, Belle po mnie wyjedzie. Zadzwoń do niej z Salisbury.

- Przecież możesz do mnie zadzwonić.

- Nie, naprawdę nie mam pojęcia, kiedy... może będzie późno czy coś w tym rodzaju. Może wrócę we wtorek, nie wiadomo.

- We wtorek?! - zdumiał się Joel.

- Jeżeli przyjęcie się przedłuży.

- Ale na pewno wrócisz? - spytał.

- No tak, oczywiście.

Teraz również Noah zaczął jej się uważnie przyglądać. Patrzył znad naleśników, otworzył usta, lecz nic nie powiedział.

Około południa wybrała się na spacer, z zamiarem zakończenia go w restauracji „Pod Herbem Bay”, gdzie chciała zjeść lunch, kiedy tylko zmęczy jej się noga w kostce. Rano padało, lecz teraz świeciło słońce, powietrze było parne, ciepłe, żałowała, że ma na sobie sweter. Ściągnęła go iniosła w ręce, wymachując nim swobodnie. Gdziekolwiek spojrzała, mia-

ła wrażenie, że widzi znajome twarze. Pani Lincoln pomachała do niej ze stopni kościoła metodystów, T.J. Renfro, przejeżdżając na ryczącym harleyu, zawołał:

- Co słyszeć?!

Na Carroll Street wpadła na Vanessę z Greggim, paradujących w takich samych żółtych błyszczących płaszczach od deszczu.

- Delia! Właśnie miałam do ciebie dzwonić - zaczęła Vanessa. - Chcesz jutro pojechać ze mną do Salisbury?

- Oj, przykro mi, ale nie mogę - odparła. - Muszę jechać do Baltimore.

- A po co?

- Hm, moja córka wychodzi za mąż.

Powiedziała o tym również Belle, lecz nic więcej, toteż nagle poczuła, że musi z siebie to wszystko wyrzucić.

- Wychodzi za ukochanego z dzieciństwa, a ja okropnie się przejmuję, jak mam się zachować na tym ślubie, chociaż naprawdę bardzo chcę na nim być. Jej ojciec uważa, że Susie za bardzo się śpieszy, ma dopiero dwadzieścia dwa lata, a ja twierdzę...

- Dwadzieścia dwa! To ile miałaś, kiedy ją urodziłaś? Dwanaście?

- Dziewiętnaście - odparła Delia. - W zasadzie wyszłam za mąż zaraz po liceum.

Vanessa skinęła głową, zupełnie jej to nie zdziwiło. Zapewne dlatego - jak pomyślała Delia - że większość dziewcząt w Bay Borough też wychodziła za mąż zaraz po ukończeniu szkoły. I mniej więcej w wieku dziewiętnastu lat rodziło dzieci. A potem gdzieś po drodze gubiło mężów. Vanessa zadała tylko jedno pytanie:

- Co kupujesz na prezent?

- Najpierw zobaczę, co im się przyda.

- Tak, to najlepsze wyjście - stwierdziła Vanessa. -Greggie! Puść tego robaka, niech sobie idzie. - I znów zwróciła się do Delii: - Tak samo zrobiłam, kiedy miałam kupić coś mojej koleżance. Najpierw wymyśliłam ręczny mikser, ale pomyślałam, że lepiej poczekam, no i dobrze zrobiłam,

bo kiedy poszłam do niej z pierwszą wizytą, stwierdziłam, że w calutkiej kuchni nie ma w ogóle ani jednej miseczki czy pojemnika Tupperware.

Nad błyszczącym płaszczem połyskiwała na twarzy Va-nessy warstewka potu, jej oczy wyglądały czysto i wyraziście, białka miały wręcz niebieskawy odcień. Delia nagle poczuła, że pragnie ją przytulić.

- Och, naprawdę strasznie bym chciała pojechać z tobą do Salisbury! - powiedziała.

- No to następnym razem. Tam kupujemy jęczmień w hurcie. Z niego robimy babciny balsam na kolkę.

- Balsam na kolkę? - spytała Delia.

- Dla niemowląt. Łagodzi kolkę, popołudniowe niepokoje i nocne-zachcianki.

Delia żałowała, że nie robią podobnego balsamu dla dorosłych.

Śniło jej się, że jest w Bethany i idzie plażą. Przed sobą widziała autostradę, zwężającą się i ciemniejące pasmo piachu, aż zamieniło się w asfalt. Tam stał, prażąc się w słońcu, jej stary plymouth. Sam otoczył ją ramieniem i poprowadził do samochodu. Posadził za kierownicą. Delikatnie zamknął drzwi i wsunął głowę przez otwarte okno, żeby jej przypomnieć o uważnej jeździe. Obudziła się i leżała, wpatrując się w rój plamek ciemności nad łóżkiem.

Z pokoju Noaha dolatywał ją co pewniem czas suchy kaszel, za każdym razem ostry, jakby powstrzymywany - taki denerwujący nocny kaszel, nieustępliwy. Leżała przez jakieś pół godziny, zastanawiając się, czy ma wstać i zanieść mu pastylki z apteczki. Czekala, że może kaszel sam zaraz ustąpi.

Albo może chłopiec śpi, a nie chciałyby go budzić. Kaszel jednak nie ustępował dłużej niż na chwilę i znów zaczynał męczyć chłopca, kiedy już myślała, że zapanuje cisza. Nagle usłyszała skrzypienie podłogi, co oznaczało, że Noah nie śpi. Wstała i otworzyła drzwi.

- Noah? - spytała szeptem.

Niemal w tej samej chwili stanął przed nią Joel. Właściwie bardziej czuła, że to on, niż go widziała, podobnie jak niewidomi wyczuwają czyjąś obecność - stała przed nią wysoka, zwarta, masywna postać promieniująca ciepłem, w bladej jak księżyc piżamie, stopniowo wyłaniającej się z ciemności holu, nie oświetlonego oknem.

- Tak, Delio? - powiedział szeptem. Uprzytomniła sobie, że źle zrozumiała. „Noah” i „Joel”

brzmiały bardzo podobnie. To samo często się zdarzało, kiedy wołała jednego z nich do telefonu.

- Myślałam, że to Noah - wyjaśniła.

- Nie, to ja szedłem do niego zajrzeć.

- Aha.

- Przyniosę mu pastylki na kaszel - powiedział.

- Dobrze.

Żadne z nich jednak się nie ruszyło.

Podszedł bliżej, wziął jej głowę w swoje dłonie. Podniosła twarz, zamknęła oczy, poczuła, że on przyciąga ją do siebie, obejmuje, zaciska w objęciach, dotyka ustami jej ust, nakrywa jej uszy dłońmi, tak że dociera do niej jedynie gwałtowny szum własnej krwi.

I nagły kaszel Noaha.

Odkoczyli od siebie. Delia cofnęła się, drżącymi rękami chwyciła za drzwi i zamknęła się w pokoju.



## Rozdział 19

Samochód Lamba był zgniłozielonym maverickiem z jednym pomarańczowym zderzakiem i anteną jak wieszak na płaszcze. W środku na tylnym siedzeniu stało kilka typów małych modeli okien - podsuwanych do góry, w drewnianych ramach, nie wyższych niż trzydzieści centymetrów. Dziewczynki z sąsiedztwa zawsze chciały się nimi bawić. Dno bagażnika wyłożone było płytkami plastikowymi, toteż kiedy Delia wsunęła głowę, wstawiając walizkę, miała wrażenie, że pochyła się nad błyszczącą taflą wody. Lamb poinformował ją, że ten plastik jest niemal niezniszczalny.

- Proszę położyć walizkę na płytki - powiedział. - Na pewno ich nie uszkodzi. Właśnie dlatego nasz produkt przebija jakością pozostałe na rynku. Kiedy wchodzę do domu, w którym są zwierzęta, kładę na podłodze płytki Rue-Ray, a pies czy kot chodzą sobie po nich, nie robiąc pazurami ani jednej ryski.

Delia wiedziała, że nazwa Rue-Ray powstała z połączenia imion pary małżeńskiej będącej właścicielami firmy -Ruth Ann i Raymond Swannowie. Mieszkali nad warsztatem przy Union Street, a Lamb był ich jedynym akwizytorem. Dowiedziała się tego wszystkiego jakiś czas temu od Belle, lecz wciąż chciało jej się śmiać na myśl o tych dwóch ściągniętych, zmyślnych R.

Zabawne wydało jej się również to, że Lamb okazał się bardzo rozmowny. Zanim dotarli do drogi numer 50, wyczerpał już temat okien zimowych (w jak wielkim stopniu tłumią hałas) i przeszedł do prezentu ślubnego dla Belle (miał to być zainstalowany pełny komplet płytek Rue-Ray), a potem do filozofii, jaką się kierował w pracy akwizytora.

- Ważne jest, by wiedzieć - mówił, omijając traktor -że ludzie lubią przechodzić przez kolejne etapy danego procesu. Każdą czynnością rządzi stały zestaw kroków. Na przykład najpierw kelnerka daje ci rachunek, a dopiero potem wręczasz jej kartę kredytową. Mechanik opowiada ci wszystko o twojej pompie paliwa, a dopiero potem mówisz mu, żeby ją naprawił. Więc pytam swoich klientów: „Są tu przeciągi? Pokoje od pół-

nocy są zimniejsze niż od południa?" Wiem, że czują przeciągi. Sam słyszę, jak trzęsą im się te cholerne okna. Ale jeśli pozwolę ludziom najpierw opisać objawy... na przykład, że w dzieciennym pokoju jest tak zimno w nocy, iż muszą ubierać maleństwo w grube kombinezoniki z klapkami przykrywającymi rączki... to wtedy oni wiedzą, że został zachowany właściwy porządek rzeczy, rozumiesz? Wtedy staje się bardziej prawdopodobne, że dokonam sprzedaży.

Niestety, należał do tych kierowców, którzy odczuwają potrzebę spoglądania na rozmówcę. Wodniste, głęboko osadzone oczy patrzyły na Delię, chudą szyję w kołnierzyku miał skreconą w jej stronę, a ona, jakby wykonując całą robotę za niego, wlepiała wzrok w szosę. Zbliżał się rząd cyprysów, po nim od dawna martwy motel grzęznący w ziemi, rozwalony jak opuszczony kurnik, następnie kępa wypełnionego mgłą lasu, gdzie w pajęczynie gałęzi utkwily całe chmury. Tylko tu czy tam pobłyskiwały lekko pożółkłe liście, Delia więc mogła sobie wyobrazić, że jeszcze jest lato - to znaczy lato ubiegłego roku - i że nie straciła tych wszystkich miesięcy.

- Wiele osób nie ma o tym pojęcia, że akwizytor bierze pod uwagę takie sprawy - mówił Lamb. - Ale akwizytorzy to bardzo rozsądne typy. Moim zdaniem dzięki temu, że tyle jeździmy samochodem. Belle chciała, byśmy pojechali samochodem w podróż poślubną, ale ja powiedziałem, że nie jestem pewien, czy potrafię poświęcić jej dość uwagi, bo kiedy prowadzę, skupiam się w sobie.

- Hmm - mruknęła. Zdała sobie sprawę jednak, że w ogóle nie podtrzymuje rozmowy. - Ja byłam w podróży poślubnej samochodem.

- Naprawdę?

Zaskoczyła samą siebie; niemal się odwróciła, by sprawdzić, komu to się wyrwało.

- I nie przypominam sobie, żeby to nam przeszkadzało w zajmowaniu się sobą - dodała.

Spojrzał na nią. Sztucznie zakaszłała. Prawdopodobnie zrozumiał, że miała na myśli jakąś ryzykowną sytuację.

- Oczywiście mój mąż nie koncentrował się tak całkowicie na prowadzeniu jak ty.

- Aha - mruknął. - Tak, to chyba rzadkie.

W tamtych czasach w samochodzie Sama przednie siedzenie nie było przedzielone na dwa fotele, Delia więc siedziała przytulona do męża. Prowadził lewą ręką, prawą zaś trzymał na jej kolanie, lekko obejmując palcami jej obciążone nylonem kolano, palcami, których ciepło przesywało ją na wskroś.

Mijane domy wyglądały jak porozrzucane dowolnie domki w grze monopol. Im któryś był mniejszy, tym więcej widać było wokół niego karmników dla ptaków i gipsowych jeleni, tym schludniej wyglądały grządki i tym większe były talerze anten zainstalowanych z tyłu. Przemknęła brunatna sadzawka, zapchana mozolnie pnącymi się w górę pniami drzew. Pojawił się las. Kiedy była dziewczyną, słowo „las” miało niewłaściwe zabarwienie. „Taka-to-i-taka poszła do lasu z Takim-to-a-takim” - brzmiało najbardziej skandalizujące zdanie, jakie można było wypowiedzieć. Nawet jeszcze teraz widok wijących się ścieżek usłanych liśćmi przywoływał na myśl obraz... No właśnie.

Na miłość boską, co się z nią dzieje?

Zmusiła się do powrotu myślami do Lamba. Chyba mówił o psach. Że po ślubie mogliby z Belle kupić sobie psa. I zaczął rozprawiać o różnych rasach. Złote setery uważał za bardzo dobroduszne, lecz głupawe, z kolei labradory ponoć bez przerwy machają ogonami i zrzucają z mebli drobiazgi, a jeżeli chodzi o owczarki alzackie, to...

Krajobraz stopniowo się zmieniał. W pobliżu Easton zaczęły się pojawiać księgarnie i salony z europejskimi samochodami. W Bay Borough nie było ani jednych, ani drugich. Kiedy dojechali do Grasonville, szosa zrobiła się sześciopasmowa. Z boku przemykały ogromne kondominia, eleganckie sklepy z prezentami, małe porty jeżące się masztami.

Lamb w końcu stwierdził, że powinni mieć collie. Mogliby nazwać go Pinokio, bo przecież collie ma długi, wąski nos. Przejechali przez wiadukt nad Kent Narrows, porośniętymi trawą mokradłami. Delia pamiętała, że po-

konanie tego odcinka drogi zajmowało czasami ponad godzinę - czekało się dostatecznie długo, by móc wysiąść, rozprostować nogi i kupić arbuza, jeśli miało się ochotę - lecz tak było w czasach, kiedy jechało się tu przez zgrzytliwy most zwodzony. Teraz w mig przebyli ten odcinek i pędzili przez dżunglę przyfabrycznych sklepów, przydrożnych centrów handlowych, nowo budowanych osiedli z tablicami MOŻNA OGŁA-DAĆ! PROJEKTY INDYWIDUALNE! Potem ukazały się śliczne kruche bliźniacze przeszła Bay Bridge, które migotały w oddali jak sen, a Lamb postanowił, że Pinokio suczka będzie mogła raz mieć szczenięta, a dopiero później ją wysterylizują.

Po splukanym i wyblakłym Wschodnim Wybrzeżu teraz krajobraz wydawał się zielony i soczysty. Delia zdziwiła się, kiedy skręcili w drogę numer 97 - nigdy o niej nie słyszała. Rozluźniła się dopiero, gdy poczuła, że suną po nowej nawierzchni szosy, nie obudowanej jeszcze po obu stronach handlowymi frazesami.

Jakby nie było jej tu całe dziesięciolecie.

Lamb opowiadał, że Belle boi się psów, lecz jego zdaniem wszystko to sobie wbiła do głowy. Delia zadała w duchu pytanie, czy mogła to sobie wbić gdzie indziej. Głośno nie miała szans go wypowiedzieć. Twierdził, że niektóre kobiety lubią sobie ubzdurać takie rzeczy. Uśmiechnęła się do siebie. Z rozbawieniem patrzyła, jak szybko szczęście stało się dla niego czymś oczywistym.

Autostrada Baltimore - Washington była tak zatłoczona, że Delia zebrała się w sobie, jakby to miało pomóc samochodowi szybciej się precisnąć. Patrzyła przed siebie na kontur zabudowań Baltimore na tle nieba - kominy, makaro-nowate rampy i wielopoziomowe skrzyżowania, potwory zbiorników. Zaczęli mijać fabryki o szarych oknach i magazyny z falistej blachy. Wszystko miało wygląd przemysłowy -nawet nowe boisko baseballowe na podporach o geometrycznych kształtach, oświetlane szkiele-  
tami świateł.

- Panie Lamb, hm, to znaczy Horace - odezwała się. - Nie wiem, dokąd dokładnie jedziesz, ale wystarczy, jeżeli podwieziesz mnie na dworzec kolejowy. Wezmę taksówkę.

- Nie, Belle mówiła, bym cię odwiózł pod same drzwi.

- Ale jest dopiero... - Spojrzała na zegarek. - Jeszcze nie ma dziesiątej - powiedziała - a muszę tam być o jedenastej.

- Nie, wykluczone. Nie ruszaj się. Belle nigdy by mi nie wybaczyła.

Wdałaby się bardziej zdecydowanie w sprzeczkę, gdyby się nie obawiała, że głos zacznie jej drżeć. Nagle poczuła, że jest bardzo zdenerwowana. Żałowała, że nie ma na sobie innej sukienki. Było ponuro, lecz cieplej, niż się spodziewała, leśna zieleń jej sukienki więc wydawała się za ciężka. A poza tym... w typie panny Grinstead. Na szczęście jednak wzięła ze sobą inne ubrania. (Zastanawiała się, co może być gorsze: ubrać się nieodpowiednio czy ciągnąć ze sobą walizkę na ślub. I jak większość niepewnych uczennic wybrała walizkę). Może kiedy już dotrze do domu, będzie mogła się zaszyć w którymś pokoju i przebrać.

Lamb zwrócił się do niej z pytaniem, w którą ulicę skręcić.

- W Charles Street - odparła, jak najkrócej się dało. Miała wrażenie, że brakuje jej powietrza w płucach.

Jakie skryte wydawało się to miasto! Jakie osobliwe i zamknięte w sobie! Po wszystkich tych superautostradach Charles Street wrzynała się pomiędzy wysokie budynki jak wąziuteńki strumień w głębokim jarze.

Otworzyła torebkę i poszukała zaproszenia od Susie. Jest, całe i bezpieczne.

Lamb podziwiał teraz campus Uniwersytetu Johna Hopkinsa. Mówił, że jego kuzyn studiował tu przez semestr.

- Naprawdę? - mruknęła Delia.

Powiedział, że on sam nie miał możliwości studiować, lecz gdyby miał, to z pewnością wykorzystałby ją w dobrym celu. Delia chciała, by zamilkł. Wszystko, co mówił, było bowiem takie ni w pięć, ni w dziewięć, takie zupełnie nie na temat. Przelykała ślinę, lecz coś utkwilo jej w gardle i nie chciało ustąpić.



Kiedy powiedziała, żeby skręcił w lewo, musiał poprosić, żeby powtórzyła.

- Co? - spytał jak głuchy starzec. Jak irytujący głuchy starzec.

Na czerwonym świetle przy Roland Avenue miarowo zbliżała się do nich uprawiająca biegi młoda kobieta z długimi ciemnymi włosami związanymi w kok. Palce prawej ręki delikatnie zaciskały się na dwóch palcach lewej. Mężczyzna w tweedowej marynarce do jazdy konnej przeszedł przez ulicę z malutkim pieskiem. („Z takim psem bym nie wytrzymał, nawet gdyby mi za to płacono - oznajmił Lamb. - Równie dobrze mógłbym mieć komara”). Powietrze było zielonkawe, fluoryzujące, jak gdyby zbierało się na burzę.

Pokazała Lambowi, gdzie znów powinien skręcić, przed którym domem zaparkować. (Czy właśnie ich dom tak wyglądał w oczach nieznamych: taki brązowy, taki garbaty, taki posępny?).

- Otwórz tylko bagażnik, sama wyjmę swoje rzeczy - zdecydowała.

Niestety, on musiał wysiąść z samochodu, przejść do tyłu i godzinę wyciągać jej walizkę.

- Dzięki! Do widzenia! - powiedziała, lecz mimo to nie mogła się ruszyć.

Stał jak wmurowany, chwiejąc się w długich zdartych butach, wpatrzony w jej dom.

- Bez problemu byśmy sobie poradzili z tym okrągłym - nagle stwierdził.

- Słucham?

- Z tym małym okrągłym oknem nad tym czymś nad schodami. Rue-Ray produkuje też okrągłe okna.

- To świetnie - odparła i podała mu rękę, żeby w końcu odjechał. Stało się jednak coś dziwnego. Trzymając wiązkę jego palców jak gałązki, patrząc na zęby wyszczerzone w pełnym zadumy uśmiechu, nagle z całym niezrozumiałych powodów zaczęła już za nim tęsknić. Poczula, że właściwie chciałyby z powrotem wsiąść do jego samochodu i odbyć z nim resztę podróży.



Na podjeździe stały cztery pojazdy: buick Sama, poobijana fioletowa furgonetka, volvo Elizy i mały czerwony samochód sportowy. Drzewo morwy zaczęło już tracić jakby przeżute liście. Delia musiała omijać żołądździe na ścieżce. Nikt nie pomyślał o tym, by pozamiatać.

Okiennice były zreperowane, lecz nowe deszczułki miały inny kolor - jaśniejszy, mniej soczysty odcień brązu, jak gdyby raz je pomalowano farbą podkładową, a potem o nich zapomniano. Na ostatnim stopniu prowadzącym na ganek leżała nowa sizalowa wycieraczka, a przy drzwiach stała owinięta w folię donica żółtych chryzantem.

Zapukać czy po prostu wejść?

Zapukała. (Jakoś nie potrafiła zadzwonić). Nikt nie otwierał. Zapukała głośniej. W końcu sama przekreśliła gałkę i wsunęła głowę do środka.

- Dzień dobry?

Nie wyglądało to zbyt zachęcająco jak na dom, w którym za czterdzieści minut miał się odbyć ślub. Hol był pusty, podobnie jadalnia, chociaż (jak stwierdziła, wchodząc dalej) stół był nakryty białym obrusem. Postawiła walizkę, chcąc skierować się do kuchni, lecz w tym momencie w jej drzwiach ukazała się Eliza z kubkiem czegoś gorącego. Tak była zajęta niesieniem tego kubka, że dopiero po chwili spostrzegła Delię.

- Och! - wydała okrzyk i zatrzymała się.

- Wiem, że przyjechałam za wcześnie - powiedziała Delia.

- Och, Delio, Bogu dzięki, że jesteś!

- Co się stało? - przestraszyła się, lecz zarazem była wdzięczna za to, że ktoś jej potrzebuje.

- Susie rozmyśliła się! - krzyknęła Eliza przez ramię. Szła w stronę schodów.

Delia chwyciła walizkę i ruszyła za nią.

- Rozmyśliła się, jeśli chodzi o ślub? - spytała.

- Tak twierdzi.

- A kiedy to się stało?

- Dziś rano - rzuciła za siebie Eliza, wchodząc na górę. Miała na sobie nową sukienkę w kolorze karmazynowym, o linii A, której, zdaniem Delii, nigdy nie mogłaby sobie kupić, a na nogach lakierki na obcasach porbrzękujących o pręty na schodach. - W nocy spała w swoim starym pokoju - mówiła - a rano, kiedy tu przyjechaliśmy, spytałam Sama: „Gdzie Susie? Jeszcze nie wstała?”, a on na to...

Delia była zdezorientowana. Co to znaczy: „w starym pokoju”? A gdzie jest jej nowy pokój? Kto się kryje pod zaimkiem „my” i skąd te osoby tu przyjechały?

Nie widać było ani śladu Sama. Ani śladu.

Dotarły już na piętro, Eliza, trzymając w obu dłoniach kubek, wślizgiwała się przez uchylone drzwi sypialni Susie.

- Spójrz, kogo przyprowadziłam! - wykrzyknęła. Delia postawiła walizkę i weszła za nią.

Najpierw przykuł jej uwagę sam pokój. Cały w falbankach i kretonie w kwiaty, odkąd przestał być pokojem Lindy, teraz wyglądał jak pusty szescian, któremu nie nadawały bardziej miękkiego wyglądu ani zasłony, ani dywaniki. Stały w nim tylko składane łóżko i brzydka komoda o zaokrąglonych krawędziach, przyniesiona ze strychu. Susie siedziała po turecku pośród płataniny koców, miała na sobie piżamę w paski. Wokół niej siedziały na łóżku, chociaż były kompletnie ubrane, nawet za elegancko: Linda, jej bliźniaczki i pękata młoda kobieta, której imię Delia miała na końcu języka. Widząc przybyłą, podniosły twarze niby tarcze w pogotowiu, lecz ona patrzyła tylko na Susie.

- Mama? - powiedziała córka.

- Cześć, kochana.

Pochyliła się nad dziewczyną i przytuliła ją, wchłaniając ten właściwy tylko jej zapach, podobny do zapachu kopru. Nadal trzymając ją w objęciach, usiadła obok na łóżku.

- Mamo, nie chcę wychodzić za mąż - oświadczyła Susie.

- To nie wychodź.

- Delio Grinstead! - zaskrzeczała Linda. - My usiłujemy wlać jej odrobinę oleju do głowy. Masz coś przeciwko temu?

Linda miała na nosie przepołowione okulary - coś całkiem nowego. Bliźniaczki urosły o kilka centymetrów. Patrząc na ich koronkowe sztywne sukienki w kolorze mięty, ledwie muskające kościste szkielety, doszła do wniosku, że dziewczynki mają być druhnami. Wszystkie widziała bardzo wyraźnie, niesamowicie dokładnie, co do szczegółu - aż nie potrafiła tego zrozumieć. Jej oczy wciąż od nowa wpatrywały się w Susie, spragnione widoku jej potarganych włosów, słodkiej okrągłej bródki i pulchnej dolnej wargi.

Ta obca młoda kobieta też miała na sobie koronki w kolorze mięty. Była to siostra Driscolla, no właśnie, siostra Driscolla. Miała na imię Spencer? Nie, Spence. Siostra Driscolla: Spence Avery. Spence i Driscoll Avery.

- Zupełnie identyczna historia zdarzyła się mojej kuzynce - mówiła Spence. - Wszystkie na pewno pamiętacie Lydię. Płakała przez całą drogę do ołtarza w kościele świętego Dawjda, a teraz jest niebywale szczęśliwa, jej mąż to gruba ryba w stolicy.

- To mnie zupełnie przybija - powiedziała Susie do Delii (wyszło to jak „przewija”, jakby Susie przedtem płakała). - Bo posłuchaj. Właśnie podpisaliśmy umowę na dwuletni wynajem tego jakiegoś tam mieszkania w okolicach portu. Od wczoraj wieczór dzwonię do tego agenta, ale wciąż włącza się tylko sekretarka. Nie chcę powiedzieć, dlaczego dzwonię, bo mógłby nie oddzwonić. Wiem, że gdybym z nim porozmawiała... Nagram się trzy razy, mówiłam, że to pilne. Prosiłam, żeby natychmiast zadzwonił, ale nie zadzwonił! Jest po dziesiątej, nie zadzwonił, więc zawsze będę miała na głowie to mieszkanie!

Lamentowała.

- Ojej, ojej - jęczała Eliza - napij się herbaty, proszę...

- Na miłość boską, Susie, agent to drobiazg w tym wszystkim! Zajmę się tym, tylko daj mi jego numer - odezwała się Delia. - Będę dzwoniła, póki się nie dodzwonię.

- Naprawdę? - spytała Susie. Podskoczyła, ciągnąc za sobą koce, i podeszła do komody. - Poczekaj, zaraz znajdę... No, jest, nazywa się Bright. Powiedz mu, że przepraszam... że wiem, mówiłam, że chcemy je wynająć, ale teraz proszę, żeby to unieważnił. Jeżeli ma choć odrobinę ludzkiej przyzwoitości.

- Możesz stracić zaliczkę - stwierdziła Delia, czytając wizytówkę podaną jej przez Susie.

- Delio! Na Boga! - zawołała Linda. - Możemy teraz omówić tę sprawę?

- Ciociu Lindo, ja nie wychodzę za mąż - zaproponowała Susie. - Po co więc tracić czas na dyskusje? Czy ktoś widział moje dzinsy?

Biegała po pokoju, szukała pod łóżkiem, wyciągnęła stamtąd podkoszulek. Podłoga była taka błyszcząca! Delia nie mogła tego nie dostrzec. Nagle przypomnieli jej się robotnicy, którzy robili remont przed wyjazdem nad morze ponad rok temu, i tym bardziej poczuła się jak osoba obca. Skrętnym ruchem postawiła torebkę na kolanach, by zajmować mniej miejsca. Mimo to Linda i tak ją widziała.

- Powiedz jej, Delio - rozkazała.

- Co mam powiedzieć?

- Powiedz, że wszystkie narzeczone tak się czują. Czyżby? Jeśli chodzi o Delię, to wcale tak nie było.

Przed ślubem myślała tylko o tym, aby Sam nie umarł, zanim zostanie jego żoną. *Narzeczone zamordowany w przeddzień ślubu* - tak pisałyby gazety. Albo tak: *Tragiczny wypadek w drodze na zaślubiny* - i Delię ominęłaby szansa na szczęście doskonałe.

Nigdy nawet przez chwilę nie wątpiła, że będzie doskonałe.

Susie ubierała się, nonszalancko odwrócona twarzą do ściany zsunęła górę piżamy i zapinała szary pikowany staniczek. (Przyzwyczajona do szatni z szafkami, najwyraźniej nie czuła się skrupowana, przebierając się na czyichś oczach). Plecy miała pięknie opalone na irysowy brąz, mocne jak pień drzewa. Przeciągnęła podkoszulek przez głowę, roztrzepała włosy, ociągając się, podeszła do walizki leżącej na podłodze i pochyliła się, by przejrzeć jej zawartość. Wszystkie kobiety na nią patrzyły.

- Susie ma bardzo ładną suknię ślubną - odezwała się w końcu Eliza, nadal z kubkiem w ręce. - Prawda, Susie? Pokaż mamie.

- To kretyńska sukienka - orzekła Susie, lecz odwróciła się, przeszła przez pokój i otworzyła drzwi szafy. Wybuchnął z niej kłęb białego szynfu. Bliźniaczki wstały, jakby pociągnięte za sznurki, i z otwartymi ustami popłynęły w stronę szafy. Susie zatrzasnęła drzwi. Przez szparę od strony zawiasów wysunął się przejrzysty biały trójkąt.

- A welon? Pokaż jej welon - popędzała dziewczynę Eliza.

Susie posłusznie podeszła ciężkim krokiem do kosza na śmieci.

- To jest mój welon - powiedziała, wyciągając kilka strzępów cienkiej mgiełki i pocięty w strzępy biały wianuszek z jedwabnych różyczek.

Obie ciotki zatkało.

- Boże Wszechmocny! - jęknęła Spence.

- Pozwólcie, że go wymodeluję - powiedziała Susie. Zarzuciła sobie strzępy na szyję, przechyliła głowę, przymknęła oczy i wystawiła język.

- Susan Grinstead!!! - wrzasnęła Linda.

- No - rzuciła spokojnie Susie, zdejmując stroik z szyi. - Siedzimy z Driscollem na dole wczoraj wieczorem i oglądamy film. Zrobiono z tego historię na miarę całego kraju, jak powinny wyglądać ostatnie godziny mojego panińskiego życia w domu przodków.

- No i jak powinny wyglądać? - Eliza domagała się szczegółów.

Susie wrzuciła wianek do kosza.

- Więc siedzimy oboje w gabinecie jak za dawnych czasów - mówiła - a tu dzwoni telefon. Jakiś chłopak z liceum, słyhać, że wspiał się już na najwyższe szczyty odwagi. Odchrząknął i mówi: „Hm, dobry wieczór. Mogę prosić Courtney?” Ja na to, że to pomyłka. Nie mija dziesięć sekund i znowu dzwonek. Ten sam chłopak. „Hm, dobry wieczór. Czy mogę prosić...” A ja: „Musiałeś pomylić numer”. Siadamy z powrotem... Driscoll wypożyczył *Koszmar na ulicy Wiązowej*, uważa, że to najwybitniejszy film współczesny... no, a tu znowu dryń, dryń. Driscoll mówi: „Ja odbiorę”. Podnosi słuchawkę. „Taa?” Słucha przez chwilę i mówi: „Masz pecha, gościu. Courtney nie chce mieć z tobą nic wspólnego”. I rzuca słuchawkę.



- Ojej, to podłe! - niechcący wyrwało się Delii. Eliza przygryzła sobie język. Wszystkie patrzyły na siostrę Driscolla.

- Hm, przepraszam, Spence - powiedziała Delia. - Ale naprawdę! Biedny chłopak!

- Tak, to było podłe - zgodziła się Spence, strosząc spódniczkę. - Ale tacy są faceci. Co na to poradzisz?

- Nie chodzi o to, że tacy są faceci - zaprotestowała Susie. - A jeżeli tak, to tym bardziej nie powinno się wychodzić za żadnego z nich. A już na pewno nie wyjdę za Driscolla. A ty go nie broń, Spence Avery! Po tym na pewno już niczym nie naprawisz jego obrazu w moich oczach.

- A nie mógłby przeprosić? - spytała Therese.

- Kogo przeprosić? Na pewno nie mnie. To nie moje uczucia zranił. Nie, teraz wszystko rozumiem - powiedziała Susie. Chodziła bez celu po pokoju, w podkoszulku i spodniach od pizamy. Stała przed lustrem, wzięła garść włosów i szarpnęła, po czym powędrowała dalej. - Rozumiem wszystko to, czego przez cały czas starałam się nie zauważać. Na przykład, kiedy szykujemy się do wyjścia, on pyta: „Jak wyglądam?” Ja na to: „Dobrze”. A on mówi: „Dzięki” i wychodzi, w ogóle nie wspominając o tym, jak ja wyglądam. Albo kiedy coś mu opowiadam, nie pozwala mi tego zrobić po swojemu. Zawsze musi przerwać i jakoś... to zmienić. Na przykład mówię: „Ta ojca pacjentka przyszła dziś do sklepu...” A on mi przerywa: „Zaraz, zaraz. To ty wiesz, kim są pacjenci twojego ojca? Czy to nie jest pogwałceniem tajemnicy zawodowej?” Albo: „Chwileczkę, poprosiła o to, wymieniając nazwę firmy czy nie?” Albo: „Powinnaś jej powiedzieć, że...” Aż czuję, że mam ochotę krzyknąć: „Cicho! Zamknij się! Zamknij się, daj mi opowiedzieć do końca. Żałuję, że w ogóle zaczęłam!” A jeżeli chodzi o mój sklep...

Jaki sklep? Delia jednak nie zdecydowała się zadać tego pytania, żeby nie postąpić jak Driscoll.



- Nigdy mnie w tym nie wspierał. No, na początku tak, bo myślał, że to tylko moja fanaberia. Uważał, że mi przejdzie. Ale potem, kiedy pożyczyłam pieniądze od babci...

Eleanora pożyczyła Susie pieniądze? (Nigdy tego nie robiła). Dziewczyna musiała zauważyć zdumienie na twarzy matki, bo wyjaśniła:

- Och, otworzyłam taki, no, interes. Nazywam to „Dom w Pudełku”.

- Kochany interesik! - dostroiła się do niej Linda.

- Pisał o tym magazyn „Baltimore” - uzupełniła Eliza, - Notka długości sześciu centymetrów.

× - Przeprowadziłam się do swojego mieszkania - Susie opowiadała De-  
lii. - Po tej hecy z tatą. Znaleźliśmy z Driscollem mieszkanie przy St. Paul  
Street. Hm, sama bym nie mogła sobie na to pozwolić. Szukałam pracy,  
ale najpierw chciałam się urządzić, wiesz? Kupić rzeczy do kuchni i takie  
różne. Wzięliśmy trochę mebli z domu, ale rzeczy nie, na przykład rondli  
i tak dalej. Nie mieliśmy nawet szpachelki. No i zaczęłam latać po skle-  
pach i wydawać majątek, którego nie miałam. W jednym znalazłam jed-  
no, w innym drugie... I nagle powiedziałam: „Czy nie byłoby wspaniale,  
gdyby sprzedawano kuchnię w pudełku? Takie zakupy w jednym skle-  
pie”. I od tej pory zaczęłam o tym myśleć. No, a teraz mam mały sklepik  
zaraz za terenem targów. Ma najwyżej z metr kwadratowy, ale...

- Jest śliczny! - wykrzyknęła Linda.

- I sprzedaję te pudła: kuchnia w pudełku, łazienka w pudełku... Po  
prostu kupuję rzeczy w hurcie, robię z nich komplety i dostarczam,  
wiesz? Rozwiesiłam reklamy na wszystkich tablicach ogłoszeniowych we  
wszystkich kampusach w promieniu wielu mil. Mam otwarte siedem dni  
w tygodniu i haruję jak wół. Dlatego wyznaczyłam ślub na poniedziałek.  
Nie chciałam stracić weekendowych klientów. A teraz mam zamknięte  
do piątku. To straszne. Ale Driscoll traktuje to tak, jakby to było jakieś  
hobby. Kiedy usłyszał o pożyczce od babci, to od razu zasunął: „O, ko-  
chanie, chyba nie chcesz zadłużyć się po uszy?” I powiedział też: „Chyba  
nie masz wilczych oczu, kochanie?” Deprymował mnie i zniechęcał. Jego  
zdaniem nie nadaję się do tego. Nie uważa, że mam dość rozumu, aby

poradzić sobie z zakupem dla studentów zwykłej zasłony do prysznic i kilku głupich kólek, na których można ją zawiesić.

- Słuchaj, Susie, jesteś niesprawiedliwa - powiedziała lojalnie Spence. - On tylko się stara cię chronić.

- Plus to, że po całym mieszkaniu walają się wyplute przez niego pestki - zauważyła zbuntowana narzeczona.

Nagle Eliza postawiła kubek na komodzie, jakby to była ostatnia kropla.

- Przerwałam więc *Koszmar na ulicy Wiązowej* - mówiła dalej Susie - oddałam mu pierścionek i powiedziałam, żeby się spakował. Zadzwoiłam do agenta, ale chyba było już za późno. Przepraszam, że wszystkie tu się zjawiłyście nie wiadomo po co. Tacie tak powiedziałam: „Co jest trudniejsze: odwołać ślub czy wnieść sprawę o rozwód?”

- Ale gdzie w ogóle podziewa się Sam? - spytała Eliza. Delia ucieszyła się, że ona sama nie musi o to pytać.

- Poszedł się ubrać na ślub - wyjaśniła Susie.

- Ale przecież mu powiedziałaś...

- Owszem, powiedziałam, że się rozmyśliłam, ale on zamknął oczy, a potem stwierdził, że musi iść ubrać się na ślub.

Tak, to typowe dla Sama. Delia wstała.

- Muszę zabrać się do roboty.

- Ale do jakiej? - spytała Eliza.

- Muszę zadzwonić do agenta.

Ruszyła w stronę drzwi (najbliższy telefon był w pokoju Elizy).

- Delio, na Boga! Zgadzasz się na to? - upomniała ją Linda.

- A co poradzę? - spytała - Mam zaciągnąć ją siłą do ołtarza?

- Mogłabyś z nią rozsądnie porozmawiać, na miłość boską!

- To nie jest propozycja „teraz albo nigdy” - odparła Delia (w rzeczywistości, mówiąc to do Susie, która stała oparta o komodę i patrzyła z zainteresowaniem na matkę). - Jeżeli Susie nie jest pewna, czy chce dziś wyjść za Driscolla, to może to zrobić jutro, w przyszłym tygodniu albo w przyszłym roku. Po co ten pośpiech?

- No tak, ona może sobie tak mówić - zwróciła się Linda do pozostałych. - Nie musiała się splukać na trzy bilety samolotowe.

Delia cicho przekręciła gałkę, zamykając za sobą drzwi.

W tej samej chwili po przekątnej holu nagle otworzyły się drzwi, w których stanął Sam. Wyciągał sobie mankiety spod marynarki. Dostrzegł ją, zatrzymał się. Przedzielały ich schody z werniksowaną balustradą. Delia czekała, stojąc w miejscu.

- Jak to? Delia?

- Cześć, Samie.

Miał na sobie ten wyszczuplający elegancki czarny garnitur, który kilka lat temu kupili na wyprzedaży. Na twarzy może schudł. Wszystkie jego rysy zawierały linię prostą - szare oczy miały prosty wykrój, nos wyglądał jak strzałka, usta rysowały się prostą linią, póki się nie dostrzegło (na co była przygotowana), że kąciki unoszą się w górę. Okulary zsunęły się za nisko, co też nie było niczym nowym, a kiedy sięgnął ręką, by je poprawić, wyglądał tak, jakby nie wierzył własnym oczom.

- Nie wiedziałeś, że przyjadę? - spytała.

- Wiedziałem.

- Hm... chyba słyszałeś, że Susie nie wychodzi za męża.

- Owszem, wychodzi - powiedział. Obszedł balustradę - nie, nie po to, by podejść do żony (choć już zrobiła pierwszy krok, by wyjść mu na powitanie), lecz żeby zejść na dół.

- Będziemy postępować zgodnie z planem - rzucił w górę, schodząc. - Ona zejdzie na dół.

Spojrzała na niego znad balustrady. Przez jasne włosy na ciemieniu widać było skórę obciążającą czaszkę. „Gdybym zobaczyła go w tłumie, powiedziałabym, że jest jednym z wielu zmęczonych starzejących się mężczyzn” - pomyślała. Naprawdę jednak wcale tak nie uważała.

Zmusiła się, by wrócić - do pokoju Elizy.

Tutaj również wyczuła odmianę. Meble były te same, na komodzie jednak nic nie leżało. Na stoliku nocnym tylko stał posępny, staroświecki czarny telefon. Eliza zmieniła pokój czy co? To był jej pokój od urodzenia.

„Wiedziałem” - powiedział. „Będziemy postępować zgodnie z planem” - powiedział.

Cóż, nie ma sensu nad tym się rozwodzić. Położyła wizytówkę na stoliku nocnym, podniosła słuchawkę i wykręciła numer.

- Mówi Joe Bright - odezwał się cienki męski głos. -Nie mogę teraz podejść do telefonu, ale proszę zostawić wiadomość po sygnale.

- Panie Bright, tu Delia Grinstead, matka Susan Grinstead. Czy może pan jak najszybciej do mnie zadzwonić? W ważnej sprawie. Mój numer...

Kiedy odłożyła słuchawkę, na dole rozległ się dzwonek do drzwi.

- Dzień dobry, proszę, wejdźcie - powiedział Sam.

Następnie usłyszała jeden z tych przeciągłych, wprawiających w zakłopotanie głosów należących do jednej z rezydentek Roland Park. Natychmiast poczuła, że traci całą pewność siebie. Nie była dobrze umalowana, miała zbyt skromną sukienkę, a kiedy spoglądała w lustro Elizy, twarz jej wyglądała na nieukształtowaną, dziecinną.

Może jednak tylko to sobie wyobrażała, bo kiedy zaczęła schodzić na dół (starannie stawiając kroki i trzymając na prawdę wysoko podniesioną głowę), wszyscy patrzyli na nią z pełną szacunku uwagą.

- Pani Grinstead! Jakże miło! - wykrzyknął pastor, skromnie ubrany w tweed.

A rodzice Driscolla przerwali pogawędkę z Samem.

- Doktorze Soames, bardzo mi miło, że pana widzę -odezwała się. (Zważywszy, że do kościoła chodziła tylko w najważniejsze święta, była pełna podziwu dla siebie, że pamięta jego nazwisko). - Dzień dobry, Louise. Dzień dobry, Malcolmie.

- O, dzień dobry, Delio - powiedziała Louise Avery, jak gdyby widziały się wczoraj. Była twardą jak podeszwa kobietą z grzywą złotych włosów zaczesanych od czoła.

- Nie sądzę, byś przywiozła ze sobą odrobinę słońca -powiedział jej mąż (starszy, niższy, ze zmarszczkami wokół oczu).

- O - zdziwiła się Delia, spoglądając za niego w stronę drzwi. - Czyżby padało? - spytała.

- Nie, nie, na pewno wytrzyma - orzekła Louise. -Dziś rano powiedzia-  
łam do Malcolma: „Ślub w domu ma przynajmniej tę jedną dobrą stronę”.  
Wyobrażasz sobie, co by było, gdyby mieli uroczysty ślub w kościele?  
Albo w ogrodzie?

- Nie... zupełnie sobie tego nie wyobrażam - odparła Delia.

Spojrzała na Sama, lecz on właśnie wkładał złożony parasol doktora  
Soamsa do stojaka i wcale na nią nie patrzył.

Może ślub po prostu odbędzie się bez panny młodej -pomyślała. Czy to  
będzie zgodne z planem?

W dużym pokoju przed kominkiem stały wszystkie krzesła. Zapewne  
tam zajmie miejsce doktor Soames. W pokoju stołowym Linda z Elizą  
ustawiały talerze z ciastem. W kuchni bliźniaczki z zachwytem przyglą-  
dały się Driscollowi. Mówił o miodowym miesiącu.

- Powiedziałem Susie, że powinniśmy po prostu wpaść do Obryckiego  
na kraby. Niech to będzie nasza podróż poślubna, zresztą akurat w stylu  
ślubu. A ona na to: „Może w ogóle byśmy wzięli na wynos?” Ale w końcu  
postanowiliśmy wyjechać na trzy dni do... Ojej, pani Grinstead! Dzień  
dobry!

- Dzień dobry - odpowiedziała. Była zdziwiona, że widzi go w takim  
dobrym nastroju. Miał na sobie granatowy garnitur z czerwoną różą w  
butonierce, a twarz jego - jak świeżo wyszorowana - miała nieprzytomny  
wyraz.

- Ach, czy rozmawiałeś... rozmawiałeś dziś rano z Susie?

- Ależ, pani Grinstead, nie ogląda się panny młodej przed uroczystością  
- powiedział, kiwając palcem.

- Zgadza się, ale porozmawiaj z nią... może przez telefon.

- Rany! A gdzie są ci moi mistrzowie ceremonii, pani Grinstead? Ktoś  
ich widział?

- A kto jest mistrzami ceremonii?

- Ramsey i Carroll.



- Hm, nie. Oj, mam... mam nadzieję, że ktoś pamiętał o tym, by ich' obudzić - powiedziała. Ani jeden, ani drugi nie wyzbył się jeszcze nawyku sypiania do południa.

- Może mogłaby pani na nich zadzwonić? - powiedział Driscoll.

Mając głowę zajęętą ślubem, w pierwszej chwili pomyślała, że chodzi mu o zadzwonienie takim dzwoneczkiem, który nosi się na palcu. Tępo na niego spojrzała.

- Po co wam mistrzowie ceremonii, jeżeli ma być tylko rodzina i jest z kilkanaście krzeseł - zauważyła Eliza, która właśnie przepływała obok z trójpoziomą paterą do tortu.

- Ktoś przecież powinien podać rękę tym cudownym druhnom - powiedział Driscoll, zerkając na bliźniaczki.

Marie-Claire zachichotała, a Therese posłała mu uroczyste, pełne uwielbienia spojrzenie, prostując się w swoim wigwamie z koronki w kolorze mięty.

Delia dała za wygraną i powędrowała do kuchni. Pójdzie sprawdzić, czy Susie ostatecznie postanowiła wyjść za męża, czy nie. Nigdy nie wiadomo, może się zdecydowała. (W tym towarzystwie bowiem było równie prawdopodobne, że właśnie wkłada swój magicznymi sztuczkami zrekonstruowany welon). Jeżeli okaże się, że tak jest, Delia pójdzie sprawdzić, czy chłopcy wstali i są ubrani.

Chłopcy jednak byli już na dole, ubrani w garnitury stali przy drzwiach frontowych. Wyglądali zdumiewająco dorośle - Ramsey o kwadratowej szczęce wydawał się niemal dostojny, a Carroll jak zawsze żyłasty, lecz wyższy i o bardziej wyrazistych rysach twarzy. Przy nich stała Velma, dziewczyna Ramsey'a, w różowej sukience o fasonie odwróconej malwy, ledwie zakrywającej jej krocze, a przy niej kręciła się córeczka (Jakże ma na imię? Aha, Rosalie) w sukience koloru akwamaryny.

- Cześć, mamó - powiedział Ramsey i ucałował Delię w policzek.

Carroll pozwolił, by go objęła.

- O, dzień dobry! Jak podróż? - powitała ją Velma.

- Świetnie - odparła.



Najwyraźniej wyglądało na to, że tak już będzie. W umysłach ludzi zajmowała wygodny kącik jako kolejna żona ekscentryczka, która mieszka w kondominium w Ocean City czy hoduje konie na farmie w Wirginii, a tymczasem jej mąż wypełnia swe codzienne obowiązki w Baltimore. Nikogo to nie obchodziło.

Przeszła koło gromadzących się gości, uśmiechając się i mamrocząc pod nosem pozdrowienia. Robert, wuj Sama, uścisnął jej rękę, lecz dalej słuchał relacji Malcolma Ave-ry'ego z najnowszych rozgrywek golfowych. Sam pomagał cioci Florence rozebrać się z czarnego gumowego płaszcza, który wyglądał tak, jakby sam mógł się utrzymać w pozycji stojącej.

- Skąd będziemy wiedzieć, że zaczyna się uroczystość? - odezwał się głos przy boku Delii.

Należał do Eleanory, która miała na sobie szarą jedwabną szmizjerkę.

- Och, Eleanoro! - wykrzyknęła, obejmując jej szczupłą postać.

- Dzień dobry, kochanie - powiedziała teściowa, poklepując ją po ramieniu. - Jak miło, że przyjechałaś!

- Oczywiście, że przyjechałam. A mogłam nie przyjechać?

- Zastanawiałam się, jak ma ruszyć orszak - gładko zmieniła temat Eleanora. - Ma być jakaś muzyka? Susie wykazała godny podziwu rozsądek, jeśli chodzi o przygotowania, ale skąd mamy wiedzieć, kiedy wejdzie panna młoda?

- Eleanoro, nie jestem pewna, czy w ogóle się pojawi - powiedziała Delia. - Twierdzi, że po ponownym zastanowieniu się...

- Aha. W takim razie pewnie chcesz lecieć i wszystkiego dopilnować - odparła Eleanora, zupełnie niezrażona. - To biegnij, dam sobie radę sama.

- Może rzeczywiście powinnam tam pójść - stwierdziła Delia i wbiegła na schody.

Susie była sama. Ubrana w dzinsy i sportowe buty, leżała na łóżku, czytając magazyn „People”. Niedbale podniosła wzrok na Delię, która zapukała w ramę okna.

- O, to ty - powiedziała. - Dostają świra tam na dole?

- Hm, właściwie to... nie bardzo zdają sobie sprawę z sytuacji - odparła Delia. - Susie, mam tu przysłać Driscolla?

- Tutaj Driscolla?

- Stoi tam w garniturze ślubnym i czeka, by się z tobą ożenić.

- A niech to! - Susie opuściła czasopismo. - Przecież go poinformowałam czystą angielszczyzną.

- Jego rodzice też tu są. I doktor Soames...

- Rozmawiałaś z agentem?

- Zostawiłam wiadomość na sekretarce.

- Mamo, to jest naprawdę, naprawdę bardzo ważne. Jeżeli nie unieważnią tego wynajmu, to do mnie przyjdą po pieniądze, zdajesz sobie z tego sprawę? To ja na tym się podpisałam. Nie chciałam mówić tego przy siostrze Driscolla, ale nie mam grosza przy duszy. Już zadłużyłam się na ślub... czterysta dwadzieścia osiem dolarów. Nie dziękuję temu swojemu kochanemu tatusiowi.

- A na co dokładnie poszło te czterysta dwadzieścia osiem dolarów? - z ciekawości spytała Delia.

- Na moją suknię, welon i bukiet, który leży w lodówce. Ciocia Eliza wybuli za poczęstunek. Naprawdę proszę cię, idź zadzwonić do Brighta. Jeżeli nadal go nie będzie, to nagraj się, że to sytuacja absolutnie gardłowa.

- No dobrze, ale czy mam tu przysłać Driscolla?

- On wie, gdzie mnie szukać.

Z powrotem zabrała się do czytania. Delia już wychodziła, ale w progu się zatrzymała.

- Jak to się stało, że w domu takie zmiany?

- Jak to zmiany?

- W twoim pokoju nie ma mebli, a pokój Elizy wygląda jakby... nie zamieszkały.

- No bo jest nie zamieszkały - odparła Susie, przewracając stronę czasopisma. - Teraz mieszka tu tylko tata.

- Co?

- Nic nie wiedziałaś?

- Nie, nie wiedziałam. A co się stało?

- No wiesz - zaczęła Susie - niech zbiorę myśli. Najpierw pokłócili się Ramsey z tatą o... nie, zaraz. Najpierw pokłócili się Eliza z tatą. Ona twierdziła, że poszło o to, iż nie dał jej znać, że nie wróci na kolację, ale tak naprawdę to ona uderzała do niego, i to w taki sposób, mamó, że byś nie uwierzyła. Było to żałosne. My, wszystkie dzieci, mówiliśmy jej to, ale ona udawała, że nie wie, o co chodzi. A tata jak to tata, zajęty tylko swoimi sprawami, zupełnie nie zwracał na nią uwagi. Więc któregoś dnia rozpętała kłótnię z całkiem innego powodu i obrażona poleciała w odwiedziny do cioci Lindy, a kiedy wróciła, poinformowała nas, że wyprowadza się na dobre. Mieszka teraz na Calvert Street, tam zatrzymała się Linda z bliźniaczkami. Aha, i potem pokłócili się Ramsey z tatą. Dlatego że tata przypadkiem do Velmy zwrócił się „Veronica”, a Velma twierdziła, że zrobił to specjalnie. Ramsey więc z hukiem do niej się wyprowadził. A potem wprowadził się do nich też Carroll, bo któregoś wieczoru przegapił swoją godzinę policyjną. Kiedy wrócił, tata chodził tam i z powrotem, wyobrażając sobie, że Carroll miał wypadek na drodze, i powiedział... No, a o mnie to już wiesz. Wyprowadziłam się w lipcu, tuż przed Ramseyem.

- Tak, chyba ja... - mruknęła Delia ni w pięć, ni w dziewięć.

- Więc zadzwonisz, mamó, do tego agenta?

- O tak, oczywiście - odparła i po chwili wyszła.

W starym pokoju Elizy przysiadła na skraju łóżka, podniosła słuchawkę i zapatrzyła się w dal.

Było to niesamowite, że Sam chodził po pokoju tam i z powrotem. Przedtem zawsze ona maszerowała tam i z powrotem, a on wyśmiewał się z niej i mówił, żeby się uspokoiła. „Jak możesz teraz zachować zimną krew? - odpowiadała w takich wypadkach. - Co właściwie płynie w twoich żyłach?” I zawsze jej się wydawało, że uśmiechał się wtedy, usatysfakcjonowany i zakłopotany, jakby usłyszał od niej komplement.

Wykręciła numer agenta.

- Tu Joe Bright - odezwał się nagrany głos. - Nie mogę teraz podejść...

- Tu znowu Delia Grinstead. Bardzo proszę o telefon jak najszybciej - powiedziała. I żeby spełnić życzenie Susie, dodała: - To sprawa gardłowa.

Na dole panował gwar, jak gdyby goście zrezygnowali ze ślubu i po prostu zaczęli przyjęcie. Kiedy schodziła, aby się do nich przyłączyć, nagle rozmowy ucichły i wszyscy w oczekiwaniu zwrócili się w stronę schodów. Uśmiechnęła się do nich. Teraz cieszyła się, że ma na sobie suknię w kolorze leśnej zieleni, ponieważ tak ponętnie kołysała jej się wokół kostek.

Przeszła przez hol, kierując się do dużego pokoju, i wszyscy ruszyli za nią. Pewnie uważali, że daje im sygnał. I rzeczywiście, Carroll - zabójczo przystojny w garniturze mistrza ceremonii - dogonił ją, podał jej rękę i poprowadził do krzesła na samym przodzie. Po chwili obok znalazła się Eleanora, którą przyprowadził Ramsey.

- Posadź ciocię Florence na prostym krześle - szepnął Ramsey do Carrolla. - Mówi, że znów zaczynają boleć ją plecy.

Delia słyszała normalne odgłosy wydawane przez publiczność na widowni - pokasływanie, szelest sukien. Rodzice Driscolla usiedli na kanapie. Doktor Soames zajął miejsce przed kominkiem, uśmiechając się łagodnie do wszystkich zebranych. Z górnej wewnętrznej kieszeni marynarki wyciągnął kartkę.

- Skończyły się fanaberie panny młodej? - szepnęła Eleanora do Delii.

- Hm... um... niezupełnie.

Błada córeczka Velmy wybrała sobie fotel, który był dla niej tak wysoki, że nie dotykała podłogi swoimi pantofelkami od Mary Jane. Młody człowiek, którego Delia nie знаła, niewątpliwie więc był to jakiś krewny Driscolla, posadził Elizę na kanapce w wykuszu okna. Przy niej klapnęła Linda, której nikt nie eskortował, i od razu zsunęła z nóg płaskie pantofle.

- Przyjdzie? - spytała bezgłośnie, kiedy Delia na nią spojrzała. Ta jednak tylko wzruszyła ramionami i z powrotem się odwróciła.

Driscoll stanął już obok doktora Soamsa i dłużył przy butonierce.

Druhny zbiły się w gromadkę razem z mistrzami ceremonii, kiedy już ostatni z przybyłych gości został posadzony na swoim miejscu.

Sam pochylił się nad Delią. Nie widziała, że się zbliża, lekko więc odskoczyła.

- Mam nastawić płytę? - spytał.

- Jak to płytę?

- Susie gotowa?

- Och... nie, nie wydaje mi się. Wyprostował się i spojrzał na nią z góry.

- Nie powinnaś więc czegoś zrobić?

- Na przykład?

Nie odpowiedział. Usta miał suche i pobladłe. Delia wygładziła spódnice i oparła się, by obserwować rozwój wydarzeń.

Nigdy przedtem nie zdawała sobie sprawy, że zmartwienie można komuś zwalić na kolana, jak przedmiot. Powinna to zrobić dawno temu. Dlaczego tylko Sam zawsze miał ten przywilej?

Podszedł do adaptera w kasztanowej szafce tuż obok niej. Nacisnął guzik i po chwili rozległ się dźwięk rogów. Delia rozpoznała fragment z *Masterpiece Theatre*. Osobiście wybór wydał jej się niestosowny, utwór brzmiał zbyt triumfalnie. Słyszając lekkie prychnięcie z prawej, zorientowała się, że Eleanora jest podobnego zdania. Pozostali goście siedzieli jednak w uroczystej ciszy. Sam wyszedł z pokoju. Delia słyszała, jak jego buty przemierzają hol, a potem skrzypią po schodach. Przecież ten ślub został zaplanowany jako dokładna powtórka jej własnego - ojciec panny młodej sprowadzi ją ze schodów, potem przejdą przez dwuskrzydłowe drzwi i znajdą się na środku dużego pokoju, wprost pod niezdarnym mosiężnym kandelabrem.

A jeżeli panna młoda nie będzie czekać w holu na górze?

Kroki zmierzające dalej zagłuszyła muzyka. Albo może Sam zatrzymał się na szczycie schodów, kiedy już się znalazł poza zasięgiem wzroku gości? Może w ogóle nie poszedł porozmawiać z Susan? To by było nawet bardziej do niego podobne. W każdym razie trąbki nadal rozbrzmiewały, a goście popatrywali na siebie z uśmiechem („Jaka to nieoficjalna, ro-



dzinna uroczystość" - zapewne myśleli). Nagle znów rozległy się kroki - po schodach w dół. Każdemu jednak musiało przyjść do głowy, że panna młoda nie mogłaby schodzić tak gwałtownie i z takim hukiem.

Wkroczył Sam i stanął przed doktorem Soamsem. Delii przemknęło przez myśl, że może bez względu na wszystko chce kontynuować uroczystość - złożyć przysięgę w imieniu Susie. Zwilżył jednak wargi i powiedział:

- Panie i panowie...

Delia wyciągnęła rękę i podniosła ramię gramofonu. Przynajmniej tyle mogła zrobić, skoro Sam zdecydował się ogłosić, iż ogromnie przeprasza, jest mu przykro, że wszyscy się fatygowali, ale ślub zostaje odrobinę odłożony.

„Odłożony" było, zdaniem Delii, optymistycznym określeniem. Goście jednak uznali to za naprawdę niewielką zmianę planów, jeśli chodzi o parę narzeczonych. Linda gniewnie oświadczyła, że ona z bliźniaczkami mają zarezerwowane bilety na samolot za dwa dni w godzinach południowych. Muszą lecieć, bo bilety są bezzwrotne, ma więc nadzieję, do cholery, że Susie weźmie to łaskawie pod uwagę. Doktor Soams, przekładając kartki swojego kalendarza, mamrotał coś o umówionych spotkaniach, wizytach, funduszu budowlanym... wreszcie jednak stwierdził, że pod koniec tygodnia sprawy lepiej wyglądają, właściwie całkiem dobrze.

Nawet matka Driscolla, która wyglądała na bardziej zmartwioną od pozostałych osób, właściwie głównie martwiła się o przyjęcie, które miała wydać po podróży poślubnej.

- Jak uważasz, pobiorą się do soboty wieczór? - spytała Delię. - Mogłabyś może jakoś podpytać Susie? Mają przyjść pięćdziesiąt trzy osoby, nasi najbliżsi przyjaciele. Oczywiście ty również, jeżeli tu zostaniesz.



- Może kiedy skończą rozmawiać, Driscoll coś więcej będzie wiedział - odparła Delia. - Jak tylko zejdzie na dół, poproszę, by z wami się skontaktował.

Driscoll bowiem poszedł na górę porozmawiać z Susie. Gdyby ktoś pytał Delię o zdanie, to odpowiedziałaby, że chłopak powinien był tak postąpić na początku.

Deszcz, na który od rana się zbierało, właśnie zaczął padać. Wszyscy goście więc po wyjściu przed dom pędzili do samochodów. Najpierw odjechał doktor Soams, potem wuj i ciotka Sama, razem z Eleanorą. Następnie siostra Driscolla z bezimiennym mistrzem ceremonii, a na końcu rodzice.

- Oj, już myślałam, że na zawsze utknę w tym małym sportowym samochodzie Spence! - zawołała Eliza i wymiotło ją, a za nią Lindę z bliźniaczkami.

Ramsey i Carroll pozostali i deptali Delii po piętach, kiedy wynosiła do kuchni talerze z poczęstunkiem. Czyli Velma z Rosalie również zostały. Chociaż nie narzucały się swoją obecnością, tylko poszły do gabinetu oglądać telewizję. Tymczasem Sam ustawił na miejscu meble w dużym pokoju, a Carroll opowiedział Delii cały film, który widzieli z Ramseyem. Ten facet - jak mówił - utknął w czymś w rodzaju zakładki czasu, w której musiał bez przerwy od nowa przeżywać ten sam dzień. Delia pomyślała sobie, że biorąc pod uwagę wszystkie tematy, jakie mogliby dzisiaj poruszyć, Carroll dokonał zdecydowanie osobliwego wyboru. Fruwając tam i z powrotem po kuchni i owijając folią talerze, bez przerwy wydawała z siebie pomruki:

- No tak... uhum... aha.

Carroll deptał jej po piętach, tak że kiedy chciała ruszyć się w przeciwnym kierunku, musiała go ostrzegać. Ramsey też nie stał zbyt daleko.

Nagle wszedł Sam, niosąc obrus zebrany pośpiesznie w bezkształtny tobołek, i atmosfera się zmieniła. Carroll zacinał się, usiłując dalej ciągnąć swoją opowieść. Ramsey nagle bardzo się zajął zamykaniem drzwiczek

szafek kuchennych. Obaj jednak obserwowali Delię, nawet nie patrząc na nią.

- Obrus - powiedział Sam, wręczając jej tobolek.

- Och... aha... dobrze... dzięki - wyrzuciła z siebie. -Tylko zaniosę go do... - I odwróciwszy się na pięcie, ruszyła przez spiżarnię i w dół po schodach do piwnicy.

Mimo że tego obrusa absolutnie nie trzeba było prać.

U podnóża schodów czekał kot, uparcie się w nią wpatrując. Vernon zawsze uciekał do piwnicy, kiedy byli goście.

- Vernon, tęskniłeś za mną? - spytała, pochylając się, by położyć mu dłoń na okrągłym miękkim łebku. - Też za tobą tęskniłam, malutki - wyszeptwała. Mruczał przesadnie, jak to koty mają w zwyczaju, kiedy chcą powiedzieć ludziom, że wszystko jest w porządku.

Usłyszała, że ktoś przechodzi przez spiżarkę i idzie po schodach. Wstała i podeszła do pralki. Vernon gdzieś się rozplynął. Pralka była pełna wilgotnych rzeczy, lecz mimo to Delia wepchnęła do niej obrus i niewiele myśląc, do wlotu na górze wlała płyn do prania.

Z tyłu za nią odrząknął Sam.

- O, to ty!

- Cześć.

Zajęła się pralką, wybrała odpowiedni program i przekreśliła chroboczący programator. Zaczęła lecieć woda, nad głową zabrzęczała rura. Za pokrytym warstwą brudu oknem listki bluszczu podskakiwały pod ciężarem spadających na nie kropli deszczu.

- Jak tylko zejdziesz na dół Driscoll - zaczęła, odwracając się do Sama - wezwę taksówkę, ale pomyślałam sobie, iż poczekam na niego, żebym mogła pożegnać się z Susie.

- Dokąd chcesz wziąć taksówkę? - spytał.

- Na dworzec autobusowy.

- Aha. - I po chwili dodał: - Głupio jest brać taksówkę, jeżeli przed domem stoi tyle samochodów. To znaczy nie chciałem powiedzieć, że głu-

pio, tylko że... mogę cię odwieźć. Albo jeżeli wolisz, to Ramsey. Jeździ twoim plymouthem.

- Tak? - spytała. - No i jak mu chodzi?

- Dobrze.

- Nie nawala już elektryka? Tylko na nią spojrział.

- No to dzięki - rzekła. - W takim razie chyba poproszę o podwiezienie, jeżeli to nie za duży kłopot.

Nie zapytała, kto ostatecznie ją odwiezie.

Wrócili na górę po schodach, Delia szła pierwsza, myśląc o tym, by poruszać się z wdziękiem, za nią Sam. W kuchni nikogo nie było. Stół w stołowym wyglądał ogołocony. Sam nie pomyślał o tym, aby po zdjęciu obrusa z powrotem postawić na nim świeczniki. Hol też był pusty, lecz zatrzymali się w nim na chwilę i spojrzeli w górę, gdzie panowała cisza.

- Nie wydaje mi się, by zmieniła zdanie - wyraziła wątpliwość Delia.

- Przecież to tylko zdenerwowanie przed ślubem.

- Ja uważam, że ona naprawdę tak myśli, całkiem poważnie.

- A pamiętasz, jaka była w dzieciństwie? - powiedział Sam. - Dostawała tych różnych fanaberii, pamiętasz? Na przykład, kiedy się uparła, że pójdzie do przedszkola w pizamie w kowboje. Ty się nie zgodziłaś, a ona zeszła na śniadanie w bieliźnie. A potem, kiedy udawałaś, że tego nie widzisz, w końcu przed wyjściem ubrała się w spódniczkę.

- W spódniczkę i górę od pizamy. Musiałam ją chociaż częściowo zasłonić bandaną, to znaczy zasłonić zapięcie - przypomniała sobie Delia. - Poszłyśmy obie na kompromis, to co innego.

Wzruszyła się jednak. Nie była pewna, dlaczego. Może dlatego, że jej osoba tak wyraźnie wybijała się w całej opowieści, jakby Sam zrobił kiedyś notatki, jak ona postąpiła, a potem po latach usiłował postąpić tak samo.

Jeszcze chwilę została w holu, na wypadek gdyby chciał jej coś powiedzieć, lecz widocznie nie miał takiego zamiaru. Odwrócił się i poszedł do dużego pokoju. Delia najpierw wygładziła sukienkę i poprawiła pasek (aby nie wyglądało, iż za nim goni) i dopiero wtedy ruszyła do pokoju.

W gabinecie nie paliły się światła, wszyscy siedzieli w ołowianoszarym mroku i oglądali telewizję - Velma i chłopcy na kanapie, Rosalie na podłodze między stopami mamy. Kiedy Sam z Delią weszli, wszyscy się zwrócili w ich stronę.

- Co jest na lunch? - spytał Carroll.

- Na lunch? - powtórzyła Delia.

- Umieramy z głodu!

Spojrzała na zegarek. Było po pierwszej. Zerknęła na Sama po podpowiedz (kuchnia już nie należała do niej, wyżywienie rodziny też nie do niej należało), lecz jej nie pomógł. Nagle na górze rozległy się kroki.

- To Driscoll - powiedział Sam.

Rosalie została, by dalej oglądać serial, lecz pozostali wyszli do holu. Velma i chłopcy podnieśli się, w wyszukany sposób okazując nudę, przeciągając się i wykonując powolne ruchy, żeby nie okazało się, iż są nadgorliwi. Wszyscy zebrali się u stóp schodów i czekali, aż Driscoll zejdzie.

Miał bardzo roztargniony wyraz twarzy, włosy zmierzwione i tłuste, krawat przekrzywiony. Kiedy znalazł się już na ostatnim stopniu, potrząsnął głową.

- Nie będzie ślubu? - spytała Delia.

- Hm, tak po prostu bym tego nie ujął.

- To jak?

- Mówi, że mnie nienawidzi, że nie jestem dobrym człowiekiem i że teraz rozumie, iż nigdy mnie nie kochała.

- A więc nie będzie ślubu - Delia dumiała na głos.

- Ale mówi, że jeżeli będę chciał, by zmieniła zdanie, to będę wiedział, co zrobić.

- A co powinieneś zrobić?

- Nie wiem - odparł Driscoll.

Sam prychnął i ruszył do dużego pokoju.

- Może wyślij jej kwiaty - podsunęła Velma. - A może śpiewany telegram?

- Naprawdę nie wiem. Spytałem: „A nie możesz mi podpowiedzieć?”  
Ona na to: „Sam na to wpadniesz. A jeżeli nie, będzie to oznaczało, że nie powinniśmy się pobierać”.

- Może wyślij jej balon z nadrukowanym liścikiem -wpadła na kolejny pomysł Velma.

- Ale co miałyby być w tym liściku? - spytał.

- Driscoll, o ile wiem, twoja mama chce z tobą porozmawiać - powiedziała Delia.

- Aha, dobrze - odparł stłumionym głosem.

Stał, zastanawiając się przez chwilę. W końcu wzruszył ramionami i wyszedł przed dom - bez płaszcza od deszczu, bez parasola, bez niczego. Padał taki ulewny deszcz, że jego krople odbijały się od balustrady ganku.

- Zaangażuj faceta od tekstów reklamowych! - rzuciła Velma, kiedy już go nie było.

- Mamo - odezwał się Carroll - możemy coś zjeść?

- Zaraz coś przygotuję - odparła.

Równie dobrze może się tym zająć. Zwłaszcza że nikt inny do tego się nie zabierze.

Delia przygotowała posiłek na tacy dla Susie i zaniósła jej do pokoju. Dziewczyna spała, leżąc na zasłanym narzutą łóżku - co nie było wielkim zaskoczeniem. Należała do osób, które uciekały w sen jak w narkotyk. W okresach stresu potrafiła przesypiać całe dni. Odmienność dzieci zawsze wprawiała Delię w zachwyt. Traktowała to jak coś w rodzaju premii - możliwość przeżywania, obserwowania z bliska całkiem odmiennego sposobu bycia.

- Susie, kochanie - powiedziała i córka otworzyła oczy. - Pomyślałam sobie, że na pewno chce ci się jeść.

- Dzięki. - Dziewczyna z trudem podniosła się do pozycji siedzącej.

Delia postawiła tacę na jej kolanach.

- Same twoje ulubione rzeczy. Piernik z serem, ciasteczka babci Żydówki...

- Wspaniale, mamó - powiedziała Susie, roztrzepując serwetkę.

- Ciasteczka cytrynowe, babeczki z musem czekoladowym...

Susie spojrzała na tacę.

- Musiałam skorzystać z jedzenia przeznaczonego na poczęstunek po ślubie - wyjaśniła Delia. - W kuchni nie było zbyt wiele zapasów.

- Aha... To znaczy, że wszyscy to jedzą?

- A wolałabyś, żeby nie?

- Nie, nie - odparła za szybko i wzięła do ręki ciasteczko.

Delia poczuła się zażenowana.

- Chcesz, byśmy to wszystko schowali? Jeżeli zamierzałaś... hm... tylko przesunąć ślub na jakiś bliski termin, to pewnie...

- Przecież powiedziałam, że nie! W porządku.

- A właściwie, jakie masz plany? Nie chcę na ciebie naciskać czy coś w tym rodzaju, ale Driscoll wspomniał, że... Pytam tylko dlatego, żebym mogła sobie zaplanować swój wyjazd.

Susie spojrzała na nią w połowie kęsu.

- Chodzi o moją pracę i w ogóle - wyjaśniła Delia.

- Ale wyjeżdżaj sobie, jak tak ci zależy! - wybuchnęła Susie.

- Nie chodzi o to, że mi...

- Zdumiało mnie, że w ogóle przyjechałaś! A niech cię z tą twoją głupią pracą, tym twoim przyjacielem i nową rodziną!

- Ależ, Susie...

- Odpływasz sobie plażą i zostawiasz tatę, a on wałęsa się po domu jak jakiś duch... i swoje dzieci... osierociłaś, i musiałam zupełnie sama urządzić sobie ślub, bez mojej własnej matki!

Delia patrzyła na nią.

- Co on takiego zrobił, mamó? - dopytywała się Susie. - Czy to on? A może my? Co było takie straszne? Dlaczego od nas uciekłaś?

- Kochanie, nikt nic nie zrobił - uspokajała ją Delia. - Nie chodziło o nic konkretnego. Nie chciałam was skrzywdzić, nawet nie chciałam was opu-



ścić! Ja po prostu... jakoś bezwiednie od was się oddzieliłam, a potem nie znalazłam powrotnej drogi.

Wiedziała, że to kulawo brzmi. Susie słuchała w milczeniu, spoglądając znad ciastka. Delia przypomniawszy sobie jej list - udawaną wesołość wszystkich wykrzykników, wymuszone niewymuszone: *Na razie!* i *Ścisłam* - i poczuła, że zbiera jej się na płacz.

- Złotko moje - powiedziała - gdybym wiedziała, że chcesz, bym ci pomogła przy ślubie, wszystko bym zrobiła! Naprawdę wszystko!

- Czy możesz jeszcze raz zadzwonić do agenta? - zapytała tylko Susie.

- Tak, oczywiście - odparła, wzdychając. Pochyliła się, ucałowała córkę w czoło i wyszła.

Niedziałanie i zwlekanie (dzięki którym najpierw tak bardzo oddaliła się od domu) pomogły jej przetrwać popołudnie, w oczekiwaniu, aż Susie zejdzie na dół. Czas jednak mijał, a kiedy w końcu znów poszła na górę sprawdzić, co robi córka, zastała ją śpiącą. Na podłodze obok stała niemal nie tknięta taca.

Sam prawdopodobnie był w swoim gabinecie - co robił, nie miała pojęcia, ponieważ nie widziała, żeby przychodzili pacjenci. Pozostali przebywali w drugim gabinecie i oglądali telewizję, usiadła więc obok Velmy i udawała, że też ogląda. Z oglądaniem telewizji było o tyle dobrze, że wszyscy, niewiele myśląc, w sposób naturalny opowiadali różne rzeczy, zapominając, że Delia słucha. Dzięki temu dowiedziała się, że Carroll trzykrotnie umawiał się na randkę z jakąś Holenderką, że profesor historii uczący Ramsey'a wziął się na niego, że Velma obiecała Rosalie manikiur w salonie piękności, jeżeli mała przestanie obgryzać skórki. Delii przypomniawszy się czasy, kiedy na zmianę z innymi mamami woziła dzieci do szkoły i dzięki temu znała najnowsze plotki, dzieci bowiem nie brały pod uwagę tego, że kierowcy mają uszy.

O Susie nikt nie wspomniał.

Sam stanął w progu, a kiedy spojrzała w jego stronę, spytał, czy ma pojechać do sklepu po coś na kolację. Poczowała, że choć to było absurdalne, sprawiło jej przyjemność.

- Tak, pewnie, że tak - odparła.

Wszyscy zaczęli prosić o swoje ulubione dania - kurczaka z estragonem, sałatkę z grubych klusek z bazylią. Poszła do kuchni sporządzić listę zakupów. Czekala, że Sam zaprosi ją na wspólną wyprawę do sklepu, lecz tego nie zrobił.

Zadzwoiła Eliza - po raz drugi w ciągu dwóch godzin.

- A gdzie w tym wszystkim jest Driscoll? - spytała. - Tylko mi nie mów, że zostawił ją w spokoju.

- Nie, to inaczej wygląda - odparła Delia. Rozmawiała przez telefon w kuchni, nie musiała więc zniżać głosu. - Nie wiem, co myśleć. Susie śpi jak kamień, Driscoll zniknął, a my wszyscy po prostu siedzimy tu i zastanawiamy się, co będzie.

- Zapamiętaj sobie moje słowa - powiedziała Eliza. - Jutro przed zachodem będą już małżeństwem. Lindzie też to powiedziałam. „Nawet nie będziesz musiała zmieniać rezerwacji na samolot”. A ty? Chyba jeszcze nie wyjeżdżasz?

- Jeszcze nic nie wiem.

- Nie możesz wyjechać - odrzekła Eliza. - Zanim byś się obróciła, już byś musiała wracać.

- Może masz rację - stwierdziła Delia.

Tak naprawdę to nie potrafiła wyjechać ze względu na Susie. Cały czas widziała jej smutną twarzyczkę spoglądającą znad ciastka. Elizie jednak o tym nie powiedziała.

Zaraz jak tylko się pożegnały, zadzwoniła do Joela, lecz telefon dzwonił i dzwonił. Pewnie wyszli na kolację, machnąwszy ręką na to, co im przygotowała. Może siedzieli teraz w „Rick-Rack”. Nawet wiedziała, co zamówią i w jakim tonie potoczy się ich rozmowa - z ust Noaha będzie płynęła rzeka słów, Joel będzie udzielał mu neutralnych odpowiedzi. Jego

dłonie kołyszące jej głowę. Jego usta stanowcze, ale nie nalegające. Jego ciało napięte tak, jak gdyby każdym ruchem szukał jej odpowiedzi.

„Po urodzeniu dziecka - powiedziała Ellie - tylko się całowaliśmy, w najcudowniejszy sposób się całowaliśmy”.

Delia odłożyła słuchawkę.

Kiedy Sam wrócił ze sklepu<sup>1</sup>, spytała go (trzymając głowę wsuniętą do lodówki, rzucając pytanie za siebie), czy miałby coś przeciwko temu, żeby została do jutra.

- Dlaczego miałbym mieć coś przeciwko temu? - odparł.

Nie była to bardzo zadowalająca odpowiedź. Delia nie mogła jednak głębiej podrażnić tematu, ponieważ wparadowali Ramsey z- Carrollem - i popędzili do wypożyczalni wideo ponownie pożyczyć ten film o zakładce czasu - a potem Sam również wyszedł. Delia sama przygotowała kolację. Wszystko powróciło falą - dziwaczne narośla na gałkach kredensu, skrzypienie pochłaniacza nad kuchenką. Stała tu jednak ubrana w sukienkę panny Grinstead, w kolorze leśnej zieleni, i w staropanieńskich butach z paskiem przecinającym podbicie.

Susie pojawiła się na kolację. Usiadła przy stole zawinięta w koc, wyglądała jak mała dziewczynka obudzona z drzemki. Nie powiedziała ani słowa o ślubie i nikt też nie poruszał tego tematu. Potem wszyscy oglądali film, nawet Sam - jego okulary połyskiwały w ciemnościach. W istocie jednak obserwowali Susie. Za każdym razem, kiedy rzuciła jakiś umiarkowanie śmieszny komentarz, jej bracia wprost pokładali się ze śmiechu, Velma ze świstem chichotała, a Rosalie beznamiętnie jej się przyglądała badawczym wzrokiem.

Kiedy film się skończył, Ramsey i Velma wzięli małą i życzyli wszystkim dobrej nocy, a Carroll oświadczył, że równie dobrze może się prześpać w domu. Delia poszła z nim na górę powlec mu pościel. Kiedy strzepywała poduszkę, usłyszała, że Susie również jest już na górze. Tylko więc Sam pozostał w gabinecie. Dlatego nie zeszła na dół. Wróciła do szafy z pościelą, wzięła komplet dla siebie i posłała sobie w dawnym pokoju Elizy.

O wiele później, leżąc płasko na plecach, usłyszała kroki Sama na schodach. Przeszedł przez hol do swojego pokoju, nawet się nie zatrzymując na chwilę. Usłyszała, jak zamykają się za nim drzwi.

To idiotyczne, że poczuła się taka zraniona.

RS

## Rozdział 20

Ta cukiernica z dziurkami jak solniczka - mówiła Linda do bliźniaczek - to był prezent ślubny od waszej ciotecznej praprababki, Mercy Ramsey, dla jej siostry, która w 1899 roku wyszła za Isaiaha Felsona.

Delia zastanawiała się, skąd Linda może to wszystko wiedzieć. Na bliźniaczkach jednak nie robiło to szczególnego wrażenia. Z podziwem obserwowały Carrolla, który odwróciwszy cukierniczkę do góry nogami, wytrząsał z niej cukier do talerza z płatkami kukurydzianymi. Było wpół do dwunastej, a on dopiero teraz jadł śniadanie. Linda i dziewczynki zrobiły to już dawno temu, Eliza bowiem podrzuciła je tu w drodze do pracy. Sam prawdopodobnie coś sobie przygotował, zanim powędrował do swojego gabinetu, a Susie jeszcze się nie obudziła. Zapowiadało to dzień, w którym aż do samego wieczora koniec posiłku jednej osoby będzie się zajął z początkiem posiłku drugiej. Jeżeli chodzi o Delię, to podjadała co nieco przy każdej zmianie.

- Mercy Ramsey przyczyniała wielu trosk swoim rodzicom, ponieważ nigdy nie wyszła za mąż - mówiła Linda. - Pracowała jako maszynistka, jak to się wtedy mówiło, w kancelarii prawnej niedaleko portu.

Delia zerknęła na siostrę.

Carroll pałaszował płatki, a Marie-Claire jakby grzała sobie dłonie o cukierniczkę, która, prawdę mówiąc, wcale nie była taka okazała - urna w kształcie pionka z oksydowanego srebra. Therese wodziła palcem wskazującym po stole, rozgniatając rozsypane ziarenka cukru i przenosząc je na język.

- W naszej rodzinie w każdym pokoleniu znalazła się jedna dziewczyna, która nigdy nie wyszła za mąż - powiedziała Linda.

- W naszym pokoleniu będzie nią Therese - oświadczyła Marie-Claire.

- Wcale nie - zaprotestowała wymieniona.

- A właśnie że tak. Zadzwoił telefon.

- Jeżeli to moja szkoła, to jestem chory - powiedział Carroll do Delii.

- Carrollu Grinstead, na pewno nie będę za ciebie łgała - odparła matka. Zrzuciła kota z kolan i wstała, by odebrać telefon. - Halo?

- Delia? - To był Noah. Odwróciła się tyłem do wszystkich.

- Coś się stało? - spytała bardzo szybko.

- Przeziębilem się.

- Leżysz w łóżku?

- Nie, na kanapie. Gdzie jesteś? Dlaczego jeszcze nie wróciłaś?

- Wczoraj dzwoniłam, ale was nie było - odparła. -A właściwie to skąd wiedziałeś, gdzie mnie szukać?

- No właśnie! Nie zostawiłaś numeru telefonu! Musiałem dzwonić do Belle Flint. Powiedziała, że pojechałaś do rodziny, więc szukałem przez informację nazwiska Grinstead. I pierwsza osoba o nazwisku Grinstead to była taka pani, która mi powiedziała: „Szukasz mojej synowej” i poddyktowała mi... Przecież mówiłaś, że wrócisz wczoraj!

- Albo dzisiaj - przypomniała mu Delia. - Może złapię autobus... może dziś po południu. Będę wiedziała, jak tylko...

- Czy to agent?! - zawołała z góry Susie. Delia zasłoniła słuchawkę.

- Nie, to nie agent! - odpowiedziała córce i zwróciła się do Noaha: - Leż sobie na kanapie. Niedługo będę w domu. Do widzenia.

Kiedy odłożyła słuchawkę i odwróciła się do stołu, wszyscy na nią patrzyli.

- No! - rzuciła z ożywieniem. - No tak!

Wszyscy mieli taki wyraz twarzy, jakby przyłapali ją na przestępstwie.

Wszedł Sam w białym kitlu. Zrobił sobie przerwę na lunch, a tu pozostali siedzieli przy śniadaniu. Linda zajmowała jego miejsce, lecz się nie ruszyła.

- Czyż to nie jest dobry lekarz? - rzuciła kwaśnym tonem.

- Sam, co chciałbyś...? - spytała Delia, ale nie dokończyła. Bo przecież nie jej rolą było proponować mu lunch.

On jednak nie wziął tego pod uwagę i usiadł na miejscu Susie.



- Mogę zjeść cokolwiek. Może zupę - odpowiedział. Zdaje się, że żywił się zupami, ponieważ w szafce

głównie ich było pełno - specjalnego rodzaju: bez soli, bez tłuszczu, bez smaku, w puszkach z tańczącym sercem na etykiecie. Otworzyła grzybową z mleczkiem sojowym i wlała do garnka.

Sam spytał Carrolla, dlaczego nie jest w szkole. Zupełnie niewłaściwie do tego się zabrał, stosując metodę drażenia, która tylko rozjuszyła syna. Siedział zbuntowany, przygarbiony nad talerzem. Delia zauważyła, że dzisiaj jest jej trudniej rozszyfrować męża i syna niż wczoraj. Zresztą podobne wrażenie miała co do pozostałych osób zebranych w kuchni. U wszystkich jakby się rozplynęła gładka otoczka tego, co nieznanego.

Sam stwierdził, że mgliste prawdopodobieństwo ślubu siostry nie jest wystarczającym powodem, by wagarować.

- Co ty o tym wiesz? - spytał go Carroll. - Na miłość boską, niektórzy w mojej klasie zwiewają na rozgrywki Orioles.

- Uważaj na słownictwo, młody człowieku - upomniał go Sam.

Delia mieszała zupę. Wyobraziła sobie męża, jak przemieszcza się w powietrzu niby coś w rodzaju latawca czy serpentyny albo jak furkocze niby rękaw powietrzny, który zmienia kształt zależnie od kierunku wiatru. Z pewnego punktu widzenia był łagodny, z rezerwą i życzliwy, z innego - drobiazgowy i bez poczucia humoru. Nagle przypomniało jej się, że kiedy spojrzała na niego zza biurka tego ranka, kiedy widzieli się po raz pierwszy, przez ułamek sekundy jego twarz o drobnych kościach policzkowych wydała jej się zbyt wyrafinowana, zbyt zarozumiała. I wówczas Delia się zawahała. Potem zatarła w sobie to wrażenie i o wszystkim zapomniała na zawsze, a przynajmniej do tej chwili.

- Wujku Samie - przymilały się biliźniaczki. - Czy naprawdę nie mogłybyśmy ten jeden raz zostać w domu?

- Tylko ten jeden raz? - dokończyła Marie-Claire. Zanim Sam odpowiedział, usłyszeli dzwonek do drzwi.

Wszyscy spojrzeli po sobie, a kot czmychnął do piwnicy.

- Mnie nie ma - poinformował Carroll, mówiąc z pełną buzią.

W końcu Delia zmniejszyła płomień gazu pod garnkiem z zupą i poszła otworzyć.

Przez szybę pośrodku drzwi zobaczyła Driscolla Ave-ry'ego, który stał, patrząc w bok i pogwizdując. Pogwizdując! Na miłość boską! Delia otworzyła drzwi.

- Dzień dobry - powiedziała.

- Cześć, pani G.! - rzucił, wchodząc do środka. - Wspaniała pogoda.

Naprawdę była wspaniała. W ciągu jednej doby zawitała jesień, a wraz z nią przenikliwy chłód, co widać było na zaróżowionych policzkach Driscolla. Miał na sobie jesienny strój, weekendowy, chociaż był wtorek. Delia zamknęła drzwi, by nie wiało zimnem.

- Chodź do kuchni na śniadanie - zaproponowała. - A może lunch czy coś innego.

- Nie, dzięki. Muszę po prostu porozmawiać przez chwilę z Susie.

- Chyba już się obudziła, ale jeszcze nie zeszła na dół.

- Mogę więc wejść na górę?

- Hm, nie wiem, czy ona...

- Bardzo proszę, pani Grinstead. Chyba zrozumiałem! Wiem, jak ją przekonać, żeby za mnie wyszła.

Delia sceptycznie spojrzała na niego.

- Dobrze? - spytał tylko i nie czekając na pozwolenie, obrócił się na pięcie i zaczął susami wbiegać po schodach.

Rezygnacja ze śledzenia rozwoju wypadków wymagałaby prawdziwego hartu ducha.

Wróciła do kuchni, gdzie wszyscy na nią czekali.

- No i co? - spytała Linda.

- To był Driscoll.

- O, Driscoll! - wykrzyknęły bliźniaczki.

- Poszedł na górę porozmawiać z Susie. Odsunęły się na krzesłach od stołu.

- Nie ruszajcie się z miejsca - poleciła im Linda.

- A nie mogłybyśmy...?

- Jak będziecie się tam kręcić, nigdy nie dojdą do porozumienia.

Delia wróciła do kuchenki. Mieszała zupę, aż zaczęły się na niej robić bąble. Naląła ją do talerza - ponurą szarą cieczą, która wyglądała jak woda po zmywaniu.

- Zupa brunatna - powiedziała i postawiła talerz przed Samem.

To obwieszczenie samą ją rozśmieszyło, wydała więc z siebie lekkie parsknięcie. Sam zerknął na nią.

- Dziękuję ci, Delio - odrzekł po namyśle. Bliźniaczki dręczyły Lindę na temat swoich sukienek druchen. Pytały, czy mogą włożyć je teraz. Czy Linda mogła by je wyprasować, bo się pogniotły? Delia położyła łyżkę przy talerzu Sama, on zaś kilkakrotnie podziękował, zanim wziął ją do ręki.

- Idź przygotować książki - zwrócił się do Carrola. - Pół dnia w szkole to lepiej niż nic.

- Ale czekam, co powie nam Driscoll - bronił się syn.

- Driscoll nie ma z tym nic wspólnego.

- Przeciwnie, ma, jeżeli ślub by się odbył. A poza tym nie mam książek. Są u Velmy. Widzisz więc...

Sam zaczął jeść zupę, ostentacyjnie zachowując spokój.

- Przez całą jesień sam wyprawiam się do szkoły - powiedział Carroll. - Dlaczego pod twoim dachem nagle jestem traktowany tak, jakbym był dwulatkiem?

- Bo zachowujesz się jak dwulatek - odparł Sam. Carroll odsunął się od stołu. Krzesło zaszurało po

podłodze i niemal uderzyło Driscolla, który w tej samej chwili stanął na progu.

- Dzień dobry wszystkim - powiedział.

- Driscoll! - zaskrzeczały bliźniaczki. - No i co powiedziała? Powiedziała „tak”?

Powinny się zorientować, że tak się nie stało. Driscoll bowiem o wiele za szybko wrócił na dół, a poza tym niepomyślne nowiny można było wyczytać z wyrazu jego twarzy, która wyglądała bardziej posepnie, po-

liczki już się nie różowiły, dolna szczęka zrobiła się jakby bardziej potężna. Głęboko westchnął, odwrócił się i przez chwilę wydawało się, że chce wyjść, lecz tylko poszedł po krzesło do jadalni. Wciągnął je do kuchni, ustawił przy krześle Carrolla i ciężko usiadł.

- Ona mówi, że muszę to zrobić sam - powiedział.

- To znaczy co?

- Przez całą noc myślałem - ciągnął, jakby zwracając się do Delii, która odzyskała swoje miejsce na końcu stołu. - Myślałem sobie: „Czego chce Susie?” I dotarło do mnie, że muszę naprawić sprawę z tym facecikiem, który dzwonił. Ale jak on się nazywa, mogła wiedzieć tylko dziewczyna, do której dzwonił: Courtney. Więc dziś rano zacząłem dzwonić pod różne kombinacje numerów i szukać Courtney.

- Boże, zmiłuj się - jęknęła Linda.

- To nie było takie skomplikowane, jak się wydaje. Musiałem zamieniać tylko dwie cyfry. Przy jakiejś dziesiątej próbie trafiłem chyba na mamę Courtney, która mi powiedziała, że ona jest w szkole.

- Och - jęknęły jednocześnie obie bliźniaczki.

- Mówię więc: „Hm, miałem jej podrzucić notatki z historii, więc jeśli można, to podrzucę je po szkole. Czy nie ma pani nic przeciwko temu? I czy mogę prosić o adres?”

- Sprytnie - skomentował Carroll.

Nawet Sam wydawał się odrobinę zainteresowany. Przestał jeść zupę i patrzył na Driscolla spod uniesionych brwi.

- Na szczęście dla mnie jej mama się zgodziła - ciągnął Driscoll. - Od razu podała mi adres... niedaleko stąd. - Zamilkł na chwilę, bo nagle coś przyszło mu do głowy. - Carroll, nie znasz żadnej Courtney?

- Owszem, znam ich sześć czy siedem - odparł.

- A czy któraś z nich mieszka przy Deepdene Road?

- Nie wydaje mi się.

- W każdym razie - ciągnął Driscoll - teraz muszę tylko ją spytać, kto do niej dzwonił.

- Ale może ona nie będzie wiedziała, kto to był - zauważyła Delia.

- Chyba jednak będzie się orientowała. Ten ktoś musiał się koło niej kręcić czy dawać jakieś sygnały lub coś w tym rodzaju.

Sam z powrotem zabrał się do zupy, ale kręcił głową.

- Więc mój następny krok to rozmowa z Susie. Proszę ją, żeby po szkole poszła ze mną do Courtney. Przecież wiadomo, że nie mogę tego zrobić sam! Nieznajomy facet staje w drzwiach i zadaje pytania...! Ale Susie mówi „nie”.

- Nie? - zawtórowała mu Linda.

- No właśnie. Odesłała mnie na dół. Mówi, że sam mam sobie poradzić. Przyprowadzić jej tego chłopaka we własnej osobie. Tak powiedziała. Jeżeli chcę, by mi przebaczyła.

„Jeżeli chcesz dostać rękę księżniczki” - pomyślała Delia, ponieważ zadanie brzmiało odrobinę bajkowo. Zaczęło jej być trochę żal Driscolla, chociaż właściwie robił wrażenie kogoś, kto odzyskuje dobre samopoczucie.

- Teraz więc wszystko zależy od pani, pani G. - powiedział wesoło.

- Jak to ode mnie?!

- Czy może pani pójść ze mną po szkole do Courtney?

- Ależ, Driscoll, ja...

- To ja pójdę - zaproponowała Therese.

- Ja pójdę z Therese! - wtrąciła się Marie-Claire. Driscoll jakby ich nie słyszał.

- Pani Grinstead, nie wyobraża sobie pani, jak ja się czuję. Czuję się tak, jakby... moje płuca zatkała jakaś chmura! Najpierw myślisz, że ona ma coś w rodzaju napadu złego humoru, a napad trwa krótko, więc wściekasz się jak cholera i wyobrażasz sobie, że jeśli nie będziesz zwracać na to uwagi, to... ale nagle wszystko zaczyna do ciebie docierać. Zaczynasz się czuć naprawdę... jak by to powiedzieć... podle, ale zarazem jesteś wściekły, aż w końcu czujesz się tym wszystkim znudzony. To znaczy tak masz tego dosyć, tak dość przerabiania tego wciąż od nowa, tak dość siebie samego, że mówisz sobie: „Wiesz, popatrz na to z innej strony. Powinieneś się cieszyć, że się od niej uwolniłeś. Zawsze się zachowywała

w sposób irytujący". Ale po chwili mówisz sobie co innego: „Żeby tylko dała mi jeszcze jedną szansę! Jak to się stało, że wszystko zaczęło się wymykać z rąk? Kiedy zaczęło się psuć, że nawet tego nie zauważyłem?"

Sam odłożył łyżkę. Linda nagle westchnęła.

- No więc... dobrze - nagle powiedziała Delia. - Dlaczego nie miałabym z tobą tam pójść? Wątpię, czy naprawdę na coś się przydam, ale mogę spróbować.

- O Boże, dzięki, pani G. - wyrzucił z siebie DriscoII.

- Ale nie wiem, czy to się uda - wyraziła wątpliwość.

- Na pewno tak - powiedział, wstając. - Szkoła kończy się, załóżmy, za piętnaście trzecia albo o trzeciej. To przyjadę po panią o...

Delii jednak nie o to chodziło. Jej zdaniem Susie mogłaby nie wyjść za niego, nawet gdyby zdołał ją przeprosić. Tego postanowiła mu nie mówić. Nawet z nim się nie pożegnała, bo kiedy wychodził, zadzwonił telefon.

Tym razem dzwonił Joel.

- Delia?

- Tak - odpowiedziała beznamietnie. Spojrzała na rodzinę. Wszyscy patrzyli na nią - wszyscy oprócz Sama, który utkwiał wzrok w stole.

- Gdzie ty jesteś? - spytał Joel.

Pytanie zabrzmiało tak nielogicznie, że nie miała pojęcia, jak na nie odpowiedzieć.

- Uhm... - tylko mruknęła.

„Gdzie ty jesteś?" - tak kilka miesięcy temu spytał ją Sam i teraz zastanawiała się, czy za tym pytaniem kryło się to samo, co teraz u Joela.

- Wróciłem do domu, by zjeść lunch z Noahem - powiedział Joel, jakby odzyskawszy kontenans - a on mi mówi, że jeszcze nie wyjechałaś z Baltimore. Pomyślałem więc, że muszę się dowiedzieć, czy u ciebie wszystko w porządku.

- O tak. Naprawdę - odparła.

Chciałaby, żeby rodzina zaczęła rozmawiać, lecz wszyscy nadal siedzieli cicho.



- Ale zamierzasz wrócić, prawda? - spytał Joel. - To znaczy, kiedy będziesz mogła? Bo zajrzałem do twojej szafy... to znaczy nie chciałem wścibiać nosa, ale tak po prostu, jakby to powiedzieć, zajrzałem do szafy i okazało się, że zabrałaś wszystkie ubrania.

- Naprawdę? - spytała.

- Pomyślałem sobie, że może wyjechałaś na dobre.

- Nie, nie... tylko wszystko bardziej się przedłużyło, niż myślałam - wyjaśniła.

Sam wstał i wyszedł z pokoju.

- Mamo! Mamo! - zawołała Susie z góry.

- To nie agent! - odkrzyknęła jej Delia.

- Słucham? - spytał Joel.

- Przepraszam cię, Joel, ale muszę kończyć. Do zobaczenia niebawem.

Odłożyła słuchawkę.

- Ale masz powodzenie - zauważyła Linda.

Delia zaśmiała się - swobodnie, jak miała nadzieję, i zaczęła sprzątać ze stołu.

Kiedy weszła na górę, stwierdziła, że to prawda, iż zabrała wszystkie ubrania. Właściwie jednak nie całkiem. Gdyby bowiem Joel zajrzał do jej komody, toby zobaczył w niej tyle rzeczy, że nie miałby wątpliwości. Rzeczywiście, kilka ciuchów - ze względu na porę przejściową czy niezdecydowanie, jak się ubrać na ślub - spakowała dodatkowo, jakby wyjeżdżała na długi czas. Wyobraziła sobie Joela, jak stoi przed jej szafą i przesuwając puste wieszaki, ze zdumieniem marszczy wysokie czoło. Gwałtownie zatrzasnęła walizkę i zasunęła zamki.

Następnie ruszyła przez hol do pokoju Sama. Tutaj zostawiła naprawdę wiele. To dziwne, że kiedy się zastanawiała, w co się ubrać na uroczystość, nie wzięła pod uwagę starej garderoby! A może to wcale nie było takie dziwne -przecież jej stare sukienki były wszystkie zbyt zwiewne, w przedszkolnych pastelowych kolorach. Odwróciła się. Podeszła do ko-

mody i z górnej szuflady wyjęła zszarganą niebieską kokardę do włosów, agrafki, stare bilety - wszystko pokryte mgiełką talku. Parę okularów przeciwsłonecznych bez jednego szkiełka. Kupon na krem do rąk za pięćdziesiąt pięć centów. Przedarte zdjęcie modelki w sztywnej czarnej sukni futerale. Nie przypominała sobie, żeby kiedykolwiek nosiła sukienkę o takim fasonie. Przez dłuższy czas więc przyglądała się zdjęciu, aż w końcu przypomniała sobie, że kiedyś spodobała jej się ta modelka, nie sukienka. Wygięta w łuk jak sierp, z tą samą arogancką fryzurą, jaką miała Rosemary Bly-Brice.

Na schodach rozległy się kroki. Ukradkiem, jak złodziej, wsunęła szufladę. Odwróciła się - na progu stanął Sam.

- Och! - wydała okrzyk.
- Ja właśnie... Oboje zamilkli.
- Myślałam, że przyjmujesz pacjentów.
- Nie, już na dzisiaj skończyłem.

Wsunął ręce do kieszeni. Zastanawiała się, czy ma wyjść, lecz przecież zastawił sobą drzwi, więc byłoby jej niezręcznie.

- Teraz na ogół przyjmuję tylko do południa - wyjaśnił. - Nie mam wielu pacjentów. Chyba połowa już wymarła. Pani Harper, pani Allingham...

- Pani Allingham zmarła?
- Miała wylew.
- Ojej, będzie mi jej brakowało - westchnęła.

Sam uprzejmie nie wytknął jej, że już rok i cztery miesiące temu straciła wszelki kontakt z panią Allingham.

Łóżko było zasłane, lecz Sam - jak to mężczyzna - chyba nie potrafił przestrzegać zasady wsuwania narzuty pod poduszkę. W jego wykonaniu pas materiału smętnie opadał w stronę wezglowia. Chcąc wykonać jakiś ruch, Delia zabrała się do poprawiania narzuty. Zawinęła ją i poklepując poduszki, zgrabnie je uformowała.

- Chyba uważasz, że zniszczyłem praktykę odziedziczoną po twoim ojcu - powiedział.

- Słucham?

- Że doprowadziłem do tego, iż stała się cieniem własnej chlubnej przeszłości. Tak myślisz, prawda?

- To nie twoja wina, że ludzie umierają ze starości -oświadczyła.

- Moja wina polega na tym, że nie pojawia się nikt nowy - odparł. - Najwyraźniej brakuje mi troskliwości twojego ojca. Mówię ludziom, że dokuczają im typowa starcza niestrawność. Nie nazywam tego zaburzeniami w trawieniu. Nigdy nie należałem do lekarzy, którzy pochlebiają pacjentom i ich rozpieszczają.

Delia poczuła, że ogarnia ją znajome uczucie irytacji. „Nigdy bym nie pomyślała, że użycie określenia «zaburzenia w trawieniu» można uważać za pochlebstwo” - miała ochotę powiedzieć. Jak również: „Nie rozumiem, dlaczego za każdym razem, kiedy wspominasz ojca, musisz mówić takim pełnym goryczy, kąśliwym tonem”. Sztywnym krokiem przemaszerowała na drugą stronę łóżka.

- Dlaczego kulejesz? - spytał.

- Kuleję?

- Mam wrażenie, że bardziej obciążasz jedną nogę.

- O, to stało się kilka miesięcy temu i niemal już mi przeszło.

- Usiądź na chwilę.

Usiadła na skraju łóżka, on podszedł, przyklęknął przed nią i zsunął jej but. Opuszkami palców przebiegł po podbiciu - z wprawą, zręcznością i precyzją, które przeniknęły ją aż do pachwiny.

- O ile wiem, to twoi pacjenci nigdy się nie skarżyli -powiedziała najbardziej miękko z tonów. - I zawsze nazywali cię świętym.

- Już tak nie jest - stwierdził. Szukając ścięgna, wyglądał przez okno, jak gdyby miał natrafić na kontuzjowane miejsce za pomocą słuchu, a nie wzroku. - Kiedyś wieczorem zadzwoniła pani Maxwell, skarżąc się na nieżyt żołądka, a ja jej powiedziałem: „Gdybym sobie pozwolił na takie rozmyślania, pani Maxwell, to też bym mógł sporządzić całą listę niedomagań. Oczywiście, było to obraźliwe. Chyba zabrakło mi tolerancji. A może nigdy nie byłem zbyt tolerancyjny. Nie jestem z natury specjalnie... wylewny. Bra-

kuje mi, jak by to powiedzieć, radości.- Słowo to w odniesieniu do Sama rozbawiło Delię. Uśmiechnęła się, lecz nie zauważył tego, bo obmacywał jej kostkę.

- To boli? O, to? - spytał.

- Trochę.

Przypomniało jej się, jak Joel dokładnie w ten sam sposób trzymał jej nogę. Jego dotyk jednak wydawał jej się wtedy taki obcy, taki zupełnie z nią nie związany - nawet nierzeczywisty, kiedy teraz nad tym się zastanowiła.

- Chyba dlatego ożeniłem się z tobą - mówił. Czyżby jej czegoś brakowało? - Kiedy się poznaliśmy, ty byłaś niezwykle radosna. A właściwie... niefrasobliwa. Teraz widzę, że wybrałem cię z zupełnie niewłaściwych powodów.

Lekko się odsunęła.

- Siedziałaś na tej kanapie - ciągnął - obok swoich dwóch strasznych sióstr. Eliza wygłaszała kazanie o morskich wodorostach i toksycznych dawkach witamin, a Linda rzucała słowami takimi jak *louche* i *distingue*. A ty byłaś taka nieśmiała, śliczna i niezaradna, tylko się uśmiechałaś do swojego kieliszeczka sherry. Miałaś takie rozedrgane kontury. Pomyślałem sobie, że z tobą sobie poradzę, a potem nigdy nie przestałem sobie zadawać pytania, dlaczego tak chciałem być o tym przekonany.

Puścił jej nogę i przysiadł na piętach.

- Wstań, proszę - powiedział. Wstała. Zmrużył oczy. -Jest tam lekkie zgrubienie. Chyba musiałaś zerwać sobie więzadło. A one goją się bardzo powoli. Jak to się stało?

Stało się przez jej niezaradność, przez rozedrganie konturów, lecz nie chciała tego powiedzieć. Tak czy owak, jego myśl toczyła się własnym torem.

- Kiedy zniknęłaś - mówił - policja najpierw nam współczuła. A potem doszła do wniosku, że zrobiłaś to celowo. Wtedy zauważyłem, że zaczyna się zastanawiać. Hm, trudno ich wszystkich winić. Sam się zastanawiałem. Kiedy Eliza wróciła po odwiedzinach u ciebie, spytałem:

„Chodziło o mnie? Miałem w tym swój udział?” Może niewłaściwie się wyraziłem o tym twoim przyjaciolem? Może za bardzo gderałem na temat kremu z filtrem? A może napawał cię obrzydzeniem mój tors, na którym posiwiały włosy. Może chodziło o anginę pectoris, bo wiem, że to może być męczące.

- Co? - zdziwiła się. - To już naprawdę niesprawiedliwe!

- Nie, nie, przecież na jakiś czas się wyłączyłem. Co dwie minuty badałem sobie puls. Chyba obawiałem się, że mogę paść trupem jak mój ojciec. - Wstał, dokładnie otrzepał sobie kolana, chociaż się nie pobrudziły. - Ale Eliza twierdziła, że nie chodziło o żadną z tych spraw, które wymieniłem. Mówiła, że jesteś zestresowana. Do dziś dnia nie wiem, co przez to rozumiała.

Nie *bardzo też rozumiem* - pisał wtedy - o jakie „*napięcia*” chodzi. Żałowała, że wyrzuciła ten list. Może jego ton nie był taki chłodny, jak jej się wydawało? Zastanawiała się, co Sam wykreślił, pamiętała, że tych skreśleń pod koniec listu było coraz więcej i coraz mniej przecinków, jakby Sam pędził na łeb na szyję ku ostatniemu zdaniu - które tak dokładnie skreślił, że zupełnie nie mogła go odcyfrować.

Zaczął dzwonić telefon stojący na szafce nocnej, lecz żadne z nich nie podniosło słuchawki, i w końcu ucichł.

- Chodzi o to - powiedział Sam - że człowiek zaczyna sobie zadawać wiele pytań... czy tu źle postąpiłem, czy tam?... i w końcu dochodzi się do wniosku, że cały czas źle się postępowało. Przez całe cholerne życie. Ale teraz, kiedy zbliżam się do jego końca, zbyt szybko posuwam się na przód, by się zatrzymać i je zmienić. Po prostu... mknę do końca.

- Mamo?! - zawołała Susie.

- Zupełnie jak w tym starym show Jackie Gleason w telewizji - kontynuował. - Tym, który zaczynał się najazdem kamery na port i kontur miasta na tle nieba. To było Miami? Manhattan? Długi ślizg po szklistej wodzie... Tak właśnie wyobrażam sobie śmierć. Bez hamulców! Bez trakcji! Nie ma czasu, by zawrócić!

- Mamo, telefon!

Delia nie przestała wpatrywać się w twarz Sama.

- No, odbierz - powiedział jednak. Nadal się nie ruszyła.

- Delio, telefon.

Po chwili podniosła słuchawkę.

- Halo? - odezwała się.

- Delia?

- Och, to ty, Noah.

Sam przygarbił się, odwrócił do okna.

- Jeszcze nawet nie wyszłaś z domu? - pytał chłopiec.

- Nie - odparła, patrząc na Sama. Oparł się czołem o szybę i patrzył na podwórko. - Dopiero po południu będę wiedziała, jak mogę wszystko zaplanować - powiedziała do Noaha.

- Ale już jest popołudnie i smutno mi samemu! - wyrzucił z siebie. Zdaje się, że w chorobie znów stał się tym otwartym dzieckiem, które poznała. - Nikt mną się nie opiekuje! Przyjechał dziadek, ale nie mógł zostać, i skończyły mi się już pastylki na kaszel.

- Znajdziesz następne pudełeczko w... Twój dziadek? Przyjechał do Bay Borough?

- Na sekundę.

- A po co?

- Powiedział, że wybrał się na przejażdżkę, i zaraz wyszedł. Mówiłem mu, że jestem chory, ale co to go obchodzi? Tata twierdzi, że nawet nie mam gorączki, a mama może przyjechać dopiero po pracy. I zepsuł się telewizor.

- To poczytaj książkę - poradziła mu. - Niedługo wracam do domu. Albo dziś wieczorem, albo może jutro. Przekaż to tacie, dobrze?

Wydał z siebie teatralny jęk, lecz ona w tej samej chwili się pożegnała.



- Przepraszam - zwróciła się do Sama. - To był...

- Przecież to oczywiste, że masz obowiązki - przerwał jej. Ruszył w stronę drzwi.

- Sam?

Zatrzymał się i odwrócił.

- To był tylko mały chłopiec, którym się opiekuję - wyjaśniła.

- Domyśliłem się - powiedział, jakby nie ruszając ustami.

- Jest przeziębiony.

- I musisz wracać do niego do „domu”.

W głosie miał to coś uszczypliwego, ściągniętego, stalowego, co zawsze sprawiało, że skręcało ją w środku, lecz zmusiła się do zachowania spokoju.

- No bo tam przypadkiem mieszkam.

- Delio, może daleko mi do doskonałości, ale przynajmniej sam siebie nie oszukuję - powiedział.

- Jak mam to rozumieć?

- Nie chodzę i nie próbuję cofnąć wskazówek zegara - odparł. - Nie strząsam z siebie swoich własnych dzieci, kiedy zaczynają z nimi być problemy, i nie szukam w zamian nowego małego dziecka, które łatwo się wychowuje.

Patrzyła na niego.

- Kolejna twoja bzdurna teoria! Co ty o tym wiesz? Może z nim wcale nie jest tak łatwo? Może tak samo trudno!

- No, jeżeli tak, to też może go z siebie strząsnęłaś.

- Wcale go z siebie nie strząsnęłam, tylko przyjechałam na ślub Susie. I wracam tam... jak tylko będę mogła, pozwolisz, że dodam. Nie mam zamiaru strząsać go z siebie!

Patrzył na nią z kamiennym wyrazem twarzy.

- A czy powiedziałem, że masz taki zamiar? Szukała w głowie odpowiednich słów, lecz on wyszedł.

Jedną ze słabości Delii było to, że kiedy ogarniał ją gniew, zbierało jej się na płacz, co tylko jeszcze dolewało oliwy do ognia. Obijała się więc teraz po kuchni, powstrzymując łzy. Zmywała naczynia, a Linda dreptała za nią, żeby ją pocieszyć.

- No już, już - mówiła. - Przecież cię kochamy. Twoja krew cię kocha. Uważaj, to ostatni babci talerz do zupy. Nie opuścimy cię.

- Nic mi nie jest - powiedziała Delia, wycierając niecierpliwie oczy wierzchem dłoni. Zmoczyła gąbkę. Okropnie ją było czuć kolendrą, jakby zatęchła w szafce.

- Nie powinnaś go tolerować! - rzuciła Linda. - Usuń go stąd! Powiedz, żeby się pakował! To nasz dom, nie Sama. To ty powinnaś tu mieszkać.

Delia się roześmiała.

- Naprawdę? A z czego mam żyć? - spytała. - Gdyby nie Sam, to dawno już byśmy straciły ten dom. Jak myślisz, kto płaci podatki od nieruchomości? I za konserwację, i za wszystkie nowoczesne urządzenia?

- Jeżeli wycięcie krzewów w pień nazywasz nowoczesnym urządzeniem, to rzeczywiście - prychnęła Linda. - Dla mnie to narzucanie innym swojej woli. I czy wiesz, że chciał pomalować okiennice na czerwono?

- Na czerwono?

- Na strażacki czerwony, jak powiedział Elizie. Chociaż podobno ostatnio zawiesił ten plan. Ale tylko pomyśl! Przecież czerwone okiennice wyglądałyby jak starzec z ufarbowanymi włosami. Zauważyłaś, że zabrał się do tego wszystkiego, kiedy dostał ataku serca?

- Bóli w klatce piersiowej - odruchowo poprawiła ją Delia.

Weszła Susie ubrana w dżinsy i granatowy sweter Carrolla.

- Kiedy lunch? - spytała.

- Lunch? No...

- To poszukiwacz złota - powiedziała Linda do Delii. - Miał na ciebie oko, jak tylko tata przyjął go do pracy.

- Kto to był? - spytała Susie.

- Sam Grinstead, a kto inny? Zaplanował sobie, że ożeni się z twoją mamą, zanim ją w ogóle poznał.

- Naprawdę?

- Och, Linda - zaproponowała Delia. - Jeżeli chcesz rozmawiać w ten sposób, to powiem ci, że ja też zaplanowałam, iż za niego wyjdę. Siedziałam za tym biurkiem i tylko wzdychałam, żeby pojawił się ktoś i mnie wybawił.

- Od czego wybawił? - spytała Susie. Delia nie odpowiedziała.

- A twoja własna babka? - mówiła dalej do Lindy. - Wyszła za Isaiaha, żeby uciec przed TeBe. A uczciwy syn drwala ożenił się z księżniczką dla jej królestwa!

- Kto to był T.B. ? - zainteresowała się Susie. - O jakiego drwala chodzi? O czym wy w ogóle mówicie?

Linda podeszła do siostrzenicy i przyjaźnie ją objęła za ramiona, tak poufale, że Delia poczuła się wykluczona.

- Gdyby twoja mama miała choć w połowie tyle rozumu co ty - podsumowała Linda - toby wykopała stąd tatę, znalazła sobie pracę i z powrotem zamieszkała w Baltimore.

- Ja już mam pracę - oświadczyła Delia. - Mam swoje życie gdzie indziej!

Bay Borough przepłynęło jej teraz w oddali niby malutka, błyszcząca, zatłoczona, niebieskiej barwy bańka, taka zawoalowana i mglista, że równie dobrze mogła jej się śnić.

- Mam nadzieję - mówił Driscoll do Delii - że kiedy Courtney usłyszy, iż ktoś do niej dzwonił, od razu będzie wiedziała, czy to był ten facet, któremu dała swój numer. Chodzi mi o to, że przecież trzy razy dzwonił do biura numerów. Więc wiadomo, że nie wziął numeru z książki telefonicznej, tylko źle zapisał. Nie uważa pani?

- Hm, chyba tak mogło się stać - odparła Delia. Właściwie to było to wielce prawdopodobne, lecz nie potrafiła wykrzesać z siebie dość energii, by dać wyraz swemu przekonaniu. Stali na zimnie od czterdziestu pięciu

minut. Od czasu do czasu rzucała przez ramię tęsknym okiem na biały szalowany dom Courtney, lecz przecież już dzwoniłi do drzwi i nikt nie otworzył. - Driscoll - powiedziała - czy przyszło ci do głowy, że Courtney może mieć zajęcia sportowe po szkole? Pamiętam, że Susie w niektóre dni wracała do domu po zmroku.

- To będziemy tu czekać do zmroku - oświadczył. Przechodzili inni uczniowie - chłopcy ze szkoły Gilma-

na, w koszulach i krawatach, dziewczęta w akwamaryno-wych mundurkach Bryn Mawr czy inne, w niebieskich, ze szkoły Roland Park.

- Powinniśmy trzymać taki napis jak ludzie na lotniskach - stwierdziła Delia.

Driscoll spojrział na nią spode łba.

- Nie mogłeś przyjść tu z Pearce? - spytała Delia.

- A kto to Pearce?

- No przecież twoja siostra, na miłość boską!

- Ma pani na myśli Spence?

- Tak, przepraszam, Spence.

Roześmiała się, a on znów spojrział spode łba.

- Spence jest w pracy - powiedział. - Ale i tak wątpię, czy chciałaby tu przyjść. Uważa, że nie powinienem się żenić.

- Ach tak?

- Dlaczego to panią tak dziwi? - spytał. - Nie tylko pani jest przeciwna naszemu małżeństwu.

- A czy ja mówiłam, że jestem przeciwna?

- Ale tak się pani zachowuje. Bardzo niechętnie tu pani szła, wolałaby pani, żebym wziął kogoś innego.

- Po prostu zmarzłam - powiedziała Delia.

- Do pani wiadomości: cała moja rodzina uważa, że lepiej by dla mnie było nie żenić się.

Delia poczuła się dotknięta.

- No, bardzo ci dziękuję!

- O, wszyscy bardzo lubią Susie - ciągnął. - Ale wie pani... „Po co się w to wdawać z tymi Grinsteadami?” ... bez przerwy mnie pyta mama.

- Naszej rodzime niczego nie brakuje!

- Nie, oczywiście, że nie, ale... - Odprowadził wzrokiem zbite w gromadę uczennice. - Musi pani przyznać -ciągnął - że wy wszyscy jesteście tacy... wszystko robicie inaczej. Nie zadajecie się z innymi, trzymacie się z boku, żyjecie sami i udajecie, że to normalne. Udajecie, że wszystko jest normalne. Jesteście tacy skryci i gładcy, zamazujecie fakty, niczego nie wyjaśnacie.

Delia ponownie nabrała powietrza w płuca. Mógłby wyliczyć ich o wiele gorsze wady, lecz nie wiedziała, jakie dokładnie.

- Hm, to, co wyliczyłeś, ja uważam za cechy pozytywne, nie za negatywne.

- No widzi pani? Właśnie o to mi chodzi!

- I kto to mówi! - zawołała Delia. - Ktoś, czyj ślub został odwołany, a potem ten ktoś, jak gdyby nigdy nic, przychodzi w przekonaniu, że i tak się odbędzie! To nie jest zamazywanie faktów?

- Ja przynajmniej nie uważałem, że jestem tylko gościem - odparł Driscoll. - Gościem, który wchodzi w ostatniej chwili, jakby panna młoda była tylko przelotną znajomą.

- Przyjechałabym wcześniej, ale nikt mnie nie zaprosił!

- No, właśnie, znów to samo!

- Co znaczy „to samo”?

Do krawężnika podjechał samochód combi, w którym aż się roiło od twarzy. Wsiadła dziewczyna z naręczem książek.

- Dzięki! - zawołała. Samochód zatrąbił i odjechał.

- Courtney? - spytał Driscoll. Dziewczyna zatrzymała się na chodniku.

Delia skądś wiedziała, że Courtney okaże się blondynką. Była wysoka, szczupła, o złotej skórze, ubrana odpowiednio niedbale - miała szykowny żakiet, lecz podkolanówki jej opadły.

- Tak? - spytała.

- Nazywam się Driscoll Avery. Przed kilkoma dniami odebrałem wieczorem telefon do ciebie.

Courtney przechyliła głowę. Ostrzyżone na pazia włosy ślicznie opadły na jeden bok.

- Dzwonił jakiś facet, to była pomyłka - opowiadał Driscoll. - A teraz moja narzeczona jest wściekła, ponieważ zachowałem się... no, pewnie trochę jak cham. Muszę więc cię spytać, czy wiesz, kto mógł do ciebie dzwonić.

Courtney spojrzała na Delię.

- Jestem mamą jego narzeczonej - wyjaśniła. Słowo „narzeczona” kojarzyło jej się bardziej z kimś w śmiesznej czapce karnawałowej niż z Susie. Czowała, jak przybiera niewzruszony wyraz twarzy kłamczuchy o szeroko otwartych oczach. - Driscoll mówi prawdę - powiedziała. - Przysięgam. Zadzwoił jakiś chłopak, prosił Courtney, a Driscoll powiedział mu, że nie chcesz z nim rozmawiać.

- Tak powiedziałeś? - Courtney zwróciła się do Driscolla. Z jej twarzy zniknął uśmiech. - A gdyby to był ktoś, na czyj telefon nie mogłam się doczekać?

- Na przykład kto? - spytał. - To znaczy, że był taki ktoś?

- Tak, Michael Garter.

- Dałaś mu swój numer?

- Nie, ale jest w książce.

- I myślisz, że to on dzwonił?

- Może. Niewykluczone. To znaczy na pewno! - jakby coraz bardziej przekonywała samą siebie. - Za dwa tygodnie jest ta impreza - zwróciła się do Delii.

- Ale nie podawałaś mu swojego numeru? - spytała.

- No nie.

- Myśleliśmy, że to był ktoś, komu podałaś numer.

- Nie, ale jest ta duża impreza. I Michael Garter to ten mój znajomy. Jest drugim z najsilniejszych facetów w swojej szkole.



- Ale... - zaczęła Delia.
- No to wspaniale! Chodźmy stąd! - rzucił w tej samej chwili Driscoll.
- Ale czy podawałaś komuś numer? - nalegała Delia.
- Ojej, faceci bez przerwy proszą mnie o numer telefonu. Wie pani. I podaję, ale jakoś tak z grzeczności. Nigdy bym się z żadnym nie umówiła.
- A podałaśbyś zły numer? - Delia nie ustępowała.
- No pewnie, jeżeli któryś jest... hm, zupełnie nieinteresujący.
- Wtedy byś po prostu przestawiła kilka cyfr, tak?
- No tak.
- A ostatnio to ci się zdarzyło?
- Chyba z takim facetem z naszego kółka chrześcijańskiego.
- A jak on się nazywa?
- Ale wydaje mi się bardziej prawdopodobne, że dzwonił Michael Garter - obstawiała przy swoim Courtney.
- Powiedz jednak, jak się nazywa ten chłopak z kółka chrześcijańskiego...
- Paul Cates. Ale to taki... wsiok. Jakby pani go zobaczyła, to wiedziałaby pani, co mam na myśli.
- Założę się o wszystko, że to był Michael Garter - powiedział uspokajająco Driscoll.

Courtney spojrzała na niego z uznaniem.

- No dobrze - Delia przeszła do sedna sprawy. - Po prostu podaj Driscollowi wszystkie możliwości, żeby mógł wytropić, kto dzwonił.
- A może mogłabym pójść razem z państwem? - zapaliła się Courtney. - Mogłabym pokazać, gdzie Michael Courtney trenuje futbol.

Każdy, kto miałby choć odrobinę rozsądku, najpierw by szukał Paula Catesa. W nadziei, że uda jej się przekazać to Driscollowi, Delia, patrząc na niego, zmrużyła oczy.

- Co? - spytał, ale szybko dodał: - Aha, a ten Paul Cates też gra w futbol?

- Coś ty! - obruszyła się Courtney. - Paul Cates i futbol, dobre sobie!  
Delia zbierała się do odejścia, poprawiając pasek torebki na ramieniu.

- No to pomyślnych łowów - powiedziała do Driscolla.

- Co, nie idzie pani z nami?

- Lepiej sobie sami poradzicie.

Już otworzył usta, by ją przekonywać.

- Miło mi, że panią poznałam - w tej samej chwili powiedziała Courtney.

Delia pomachała ręką i odeszła.

Była zadowolona, że będzie miała trochę czasu dla siebie. Zastanawiała się, czy jej życie rodzinne zawsze obfitowało w tyle wydarzeń. Jak mogła nie sfiksować? Przypomniało jej się jednak, że do tego nie doszło, przynajmniej w opinii Sama.

Przemykając przez Roland Avenue w kierunku południowym, minęła Biuro Podróży, Bank Komercyjny, Supermarket Eddiego. Pilnowała się, żeby nie patrzeć na przechodniów, bo mogłoby się okazać, że to są znajomi. A nuż pytaliby, gdzie się podziewała przez tyle miesięcy i jakie ma plany. A może - przyszła jej do głowy ważna myśl - może spotkałaby Adriana Bly-Brice'a. Zabawne było jednak to, że już nie potrafiła sobie przypomnieć jego twarzy, chociaż usiłowała.

- Delio - szepnęła Linda przy drzwiach frontowych - ktoś na ciebie czeka.

- Na mnie?

Delia poczuła, że się rumieni.

- Ale to starszy mężczyzna. Ma na imię Nat? - uspokoiła ją siostra.

- Aha.

Szła za Lindą przez pokój stołowy do kuchni. Nat siedział przy stole z Susie i bliźniaczkami, lecz kiedy weszła, wstał.

- No, nareszcie! - ucieszył się.

Poza Miastem Seniorów wyglądał starzej. Włosy miał tak siwe, że błyszczały, ciężko opierał się na lasce. Pewnie był to jeden z tych dni, kiedy miał nawroty.

- Nat? Wszystko w porządku? - spytała.

- Tak, w najlepszym porządku - odparł. - Dzień dobry, moja droga. - Ucałował ją elegancko w policzek, kłując brodą. - Ot, wybrałem się samochodem na kominki. Pomyślałem, że zaproponuję ci wspólny powrót.

- Na kominki... w Baltimore?

- No tak, pojeździłem tu i tam.

Było to dziwne, lecz nie drażyła tematu.

- To miło z twojej strony - powiedziała - ale nie wiem, kiedy dokładnie mogę wyjechać. - Zerknęła na Susie, która patrzyła na nią znad kubka z kawą. - Driscoll cały czas załatwia sprawę tego telefonu - zwróciła się do niej Delia.

Bliźniaczki szturchnęły jedna drugą.

- O, znam tę historię! - rzekł Nat. - Twoja siostra mnie w to wprowadziła. I jakie są postępy? Nieszczęśnik zidentyfikowany?

- Nie, ale zawężiliśmy krąg poszukiwań - odparła Delia. - Nat, czy w domu coś się stało?

- Spudłowałaś! Dlaczego wciąż o to pytasz? - zainteresował się. - Czy mężczyzna już nie może się wybrać na małą przejażdżkę?

Linda postawiła przed nim na stole kubek kawy. Nat usiadł ciężko na swoim miejscu.

- Dziękuję, moja droga - powiedział, odstawiając laskę. Zuchwale stała na swoich czterech nóżkach.

- Śmietanki? Cukru? - pytała Linda.

- Nie, dziękuję, piję czarną. - Zwrócił się do Delii: -Nigdy nie mówiłaś, że masz siostrę. I taką czarującą córkę! I dwie wspaniałe siostrzeniczki!

W jego zapale było coś gorączkowego, czego inni nie dostrzegali.

- Ma nie tylko córkę - poinformowała go Marie-Claire -ale także dwóch synów.

- Dwóch synów! - zdumiał się Nat. - A gdzie ich ukryła?

- Carroll schował się na górze, bo pokłócił się z tatą. A Ramsey mieszka ze swoją wyfiokowaną dziewczyną, ale nie znamy ich adresu.

Nat rzucił Delii pytające spojrzenie.

- Zgadza się - potwierdziła, śmiejąc się. - Musisz nam jednak wybaczyć, bo nikt tu nie jest szczególnie rozmowny.

- Ze mną wszyscy tu rozmawiają - powiedział, kierując się logiką.

- No tak, rozmawiają, ale...

Dała za wygraną i poszła nalać sobie kawy. Nat powrócił do odpytywania bliźniaczek.

- I wszyscy mieszkanie w tym dużym domu? To znaczy oprócz Ramseya, który mieszka ze swoją wyfiokowaną dziewczyną?

- Nie, nikt z nas tu nie mieszka! Tylko wuj Sam.

- Wuj Sam? To znaczy, że to własność rządowa? Bliźniaczki zarechotały.

- To wygłup! Wuj Sam jest mężem cici Delii. Poczwała, że Nat spogląda na nią, lecz się nie odwróciła, a bliźniaczki przeszły do osoby Elizy.

- Ona pali chwasty w miseczkach - opowiadała Marie--Claire. - A kiedy ma wszystkiego dosyć, wyciąga taką buteleczkę do wążania „Cierpliwość”.

- Jestem ciekaw, gdzie można coś takiego kupić -spytał tęsknie Nat.

Delia podeszła do szuflady ze srebrem, by wziąć z niej łyżeczkę. Wpadła na Susie, która niespodzianie tam się znalazła i czekała na nią, stojąc z jedną stopą w mokasynie na drugiej. Nonszalancki wyraz jej twarzy jednak ani na chwilę nie wprowadził Delii w błąd.

- No więc - powiedziała dziewczyna - wygląda na to, że Driscoll znalazł Courtney.

- Tak.

- I mówiłaś, że zawęził pole poszukiwań tego chłopaka.

- To znaczy Courtney podała mu kilka możliwości.

- Chyba więc będzie rozmawiać z tymi chłopakami.
  - Już się do tego wziął - rzuciła Delia. Sięgnęła do szuflady.
- Susie minimalnie przesunęła się w bok.

- Wygląda mi na to, że poszłabyś z nim - powiedziała.
- Ale jak widzisz, jestem tutaj - odparowała matka. Pomyślała, że Susie musi zależeć na Driscollu, a jeżeli tak, to niech się pobiorą. Jakaż ona, Delia, była naiwna, traktując poważnie ich zerwanie! A jaka mądra, dojrzała i praktyczna okazała się w porównaniu z nią Susie! Delia uśmiechnęła się do niej promiennie. Córka ostrożnie jej się przyglądała.

Powszechnie znana prawda, że matki mają niesamowitą zdolność czytania w myślach swoich dzieci, okazuje się niczym fascynującym w porównaniu z tym, jak świetnie dzieci czytają w myślach matek.

Bliźniaczki opisywały sukienki drухen.

- Wielkie miękkie kokardy...
- Wypchane ramiona...
- W takim samym kolorze jak pasta do zębów z fluorem, firmy Crest.
- No to muszą wyglądać niesamowicie - zauważył Nat. - I kiedy w nie się ubierzecie?

- Może dziś wieczorem - powiedziała Marie-Claire.

- Jutro - rzuciła w tej samej sekundzie Susie. Wszyscy spojrzeli na nią.

Ze wzrokiem Delii spotkała się z oporem.

- To znaczy, jeżeli Driscoll przyprowadzi tego chłopaka.
- Ale może uda mu się to już za dziesięć minut! -zawołała Linda. - Jeżeli się pośpieszy, możesz wyjść za mąż już dziś wieczorem.
- Tak, ale doktor Soames ma dla nas czas dopiero jutro o dziesiątej.
- Powiedział ci to? - spytała Delia. - Rozmawiałaś z nim? Kiedy?
- Hm, niedawno.

- Ale jeżeli nasz samolot odlatuje jutro w południe -wtrąciła Linda - a droga na lotnisko zabiera, zaraz, ile...

- Wygląda na to, że nie pojedziesz ze mną dziś wieczorem - stwierdził Nat.

Rozmawiał wesoło, lecz Delia nadal miała podejrzenia, że coś go gnębi. Spojrzała na pozostałe osoby, które wciąż usiłowały coś ustalić.

- Nat, powiedz, co naprawdę tu cię sprowadziło.

- Mówię ci, że nic!

- Jechałeś dwie godziny bez powodu?

- Dokładnie dwie i pół - odparł. - Na moście był mały korek.

Patrzyła na niego badawczym wzrokiem.

- Jak dzidzius? - spytała.

- Świetnie.

- A Binky?

- Zdrowa jak klacz zarodowa.

- Wie, że jesteś w Baltimore?

- Dzwoniłem do niej przed kilkoma minutami. Twoja siostra pozwoliła mi skorzystać z telefonu.

- A Noah jest przeziębiony - mówiła, nadal wężąc.

- Ma lekki katarek - zapewnił ją Nat. - Wpadłem do niego rano, po drodze. Grał w Tetris. Powiedziałbym, że nie leży na łożu śmierci.

- To prawda. Nie odniosłam wrażenia, że jest bardzo chory - powiedziała. - Może po prostu chciał mieć wolne.

- Pewnie tak - zgodził się Nat. - Każdemu z nas przydałoby się wolne od czasu do czasu.

Coś uderzyło o tylne drzwi. To wszedł Sam z dwiema torbami zakupów. Z jednej wystawała długa bagietka.

- Dostałem imbir - zwrócił się do Lindy - ale właśnie zabrakło szalotek.

- To nic, wystarczy zwykła dymka. - Linda wzięła od niego torby. -

Wystarczy, Delio?

- Do czego?

- Możesz zrobić swoje chińskie danie z dymką?

- Zawsze używam dymki - odparła Delia. - Ale...

- To dobrze. Bo jest nas tyle osób, że pomyślałam... byś zrobiła to swoje... Och, Sam, nie poznałeś się jeszcze z Natem, prawda? To Nat Moffat, a to jest Sam Grinstead. Nat, bardzo cię prosimy, byś został u nas na kolacji.



Możesz mi wierzyć, że chińskim daniem Delii można wykarmić cały pułk.

- Zostanę z ogromną przyjemnością - odparł Nat, ku zdumieniu Delii.

Wstał, żeby poznać się z Samem, trzymał się więc oparcia krzesła. Sam, który nie miał pojęcia, skąd nagle zmaterializował się gość, przybrał miły, niezbyt czytelny wyraz twarzy. Uścisnęli sobie dłonie.

- Cieszę się ze spotkania - powiedział.

- Ja też ogromnie się cieszę - odrzekł Nat. I rzucając Delii figlarne spojrzenie, dodał: - Wiele o panu słyszałem.

Jeśli chodzi o Sama, to cały ten wysiłek poszedł na marne. Tylko grzecznie się uśmiechnął.

- Mam czas, żeby przed kolacją przyjąć pacjenta? - spytał Lindę.

- Spytaj Delię, to ona kucharzy - odparła. Zwrócił się więc do żony.

- Obiecałem panu Knowlesowi, że go zbadam.

- Masz na to dużo czasu - odpowiedziała. Rozmawiali ze sobą bez kontaktu wzrokowego, jak

grające w sztuce postacie, których słowa przeznaczone są dla widowni.

Delii nikt nie musiał mówić, który chłopak dzwonił do Courtney. Jak tylko na niego spojrzała, od razu się domyśliła, że chodziło o Paula Catesa - miał słodki, naiwny wyraz twarzy i czuprynę rdzawych loczków. Nosił zbyt krótkie dżinsy, jego sportowe buty na zbyt cienkich podszwach wyglądały dziecinnie, a wełniana marynarka w kratę była z rodzaju tych, które chłopcy wkładają w szkole podstawowej. Podszedł za Driscollem do Susie, która siedziała na stołku i kroїła orzechy wodne do chińskiego dania Delii. Za nim weszła jeszcze na dokładkę Courtney. Stała zaraz za Driscollem i Paulem, wsunęła ręce do kieszeni żakietu i z nie ukrywaną ciekawością przyglądała się Susie. Ta odwróciła się do nich, ale patrzyła tylko na Driscolla.

- Susie, to jest Paul Cates - to mówiąc, spojrzał na chłopca. - Paul, chciałbym cię przeprosić. Kiedy tu przypadkiem zadzwoniłeś któregoś

dnia wieczorem, wprowadziłem cię w błąd, że zadzwoniłeś do Courtney, ale źle, źle, źle postąpiłem.

Paul promieniał.

- W porządku - powiedział.

Driscoll znów oficjalnym gestem zwrócił się do Susie.

- Czy teraz wyjdiesz za mnie? - spytał.

- Hm, chyba tak - odparła.

- Gorzko! - zawołała jedna z bliźniaczek.

- Pocałuj go! Susie, pocałuj go! - zawołała druga. Dziewczyna złożyła pocałunek w kąciuku ust narzeczonego.

- Naprawdę miło z twojej strony, że wykazałeś tyle zrozumienia - podziękowała Paulowi.

- Ale to drobiazg - odrzekł, rzucając Courtney jasne spojrzenie spod długich rzęs.

Dziewczyna tylko spojrzała na niego chłodno i przyglądała się znów Susie.

- Courtney, bardzo miło z twojej strony, że też przyszłaś - powiedziała narzeczona.

- Nic wielkiego. Poznałam się z twoim bratem Carrollem na imprezie wiosną zeszłego roku.

- Naprawdę?

- A moja koleżanka zaprosiła go na urodziny. Wszystko to sobie składałam do kupy, kiedy twój narzeczoney powiedział mi, jak się nazywasz.

Paul wyglądał już na mniej uszczęśliwionego.

- Zostaniecie na kolacji - wtrąciła się Delia. - Będziemy jeść chińskie danie, które samo się rozrasta.

- Ja chyba bym mogła - podchwyciła Courtney.

- Muszę zadzwonić do mamy - stwierdził Paul.

- Tam jest telefon - wskazała mu Delia i opiekuńczo poprowadziła za łokieć. Jakie okrutne i zbijające z tropu, jakie niemal jaszczurcze muszą

się wydawać chłopcom młode dziewczyny! Jakoś nie zdawała sobie z tego sprawy, kiedy sama była jedną z nich.

- Proponuję toast - odezwał się Nat. Podniósł swój kubek z kawą. - Za młodą parę!

- No, dzięki - rzekł Driscoll, nie mając bladego pojęcia, kim może być ten starszy mężczyzna, lecz bez trudu się dostosował, bo niezmiennie dopisywał mu humor.

- Cześć, mamó - zaczął Paul do słuchawki.

W tej samej chwili ze stołowego pokoju wszedł Carroll, a w tylnych drzwiach stanęła Eliza. Obojgu należało opowiedzieć wydarzenia ostatnich godzin. Eliza nawet nie miała pojęcia o magicznym zadaniu postawionym przed Driscollem.

- Kogo? Kogo przyprowadził? - bez przerwy pytała, w oszołomieniu ściągając brwi i przyciskając notes do piersi.

Courtney przysunęła się do Carrolla.

- Carroll Grinstead? Nie wiem, czy mnie pamiętasz? Bliźniaczki się upierały, że tym razem umalują sobie usta na ślub.

Delia przeniosła się z deską do krojenia w mniej zatłoczony rejon i zaczęła kroić imbir. Do chińskiego dania potrzebowała jedenastu miseczek z różnymi przyprawami, większość ich trzeba było posiekać na kawałeczki nie większe niż główka zapalki, wszystkie miseczki ustawić

rzędem, przygotować do szybkiego smażenia. Jak dotychczas udało jej się skończyć czwartą. Wprawdzie cieszyła się, że ma zajęcie. Kroiła, wykonując rytmiczne ruchy, bezmyślnie, a wokół niej wirował gwar paplalniny. Puk, puk - uderzał nóż o deskę. Puk, puk - i zgarniała wszystkie myśli, podobnie jak kopczyki imbiru do miseczki.

Rozsunięty stół wypełniał cały pokój stołowy. („Ten obrus pochodzi jeszcze z wyprawy ślubnej waszej babci - opowiadała Linda córkom. - Plamę zrobiła ciocia Delia, stawiając tam salaterkę z curry. Jej to w ogóle nie obchodzi, bo była ulubienicą waszego dziadka. Wszystkie te rzeczy

traktuje tak, jakby kupiono je w byle sklepie, na przykład u Woolwortha"). Rozłożono dwanaście nakryć - po pięć z każdej strony i po jednym u szczytu i na końcu stołu. Zastanawiano się, czy nie zaprosić Eleanory, lecz Susie nie chciała zapeszyć całego małżeństwa trzynastką. A kiedy zadzwonili do Ramseya, nikt nie odebrał telefonu.

- Courtney, posadzę cię tu pośrodku - powiedziała Delia. - A ty, Paul, siadaj obok niej...

Dziewczyna jednak najwyraźniej postanowiła siedzieć przy Carrollu, Paul więc utknął pomiędzy bliźniaczkami, które nie były tym niezachwycone. Reszta nadal stała, ciągnąc dyskusję, która rozpoczęła się w dużym pokoju - na temat drętwiejącej ręki pana Knowlesa.

- A czy tata nie powtarzał zawsze tego samego?! -wykrzykiwała Eliza. - Kiedyś mówił, że chciałby mieć słownik bólu. Bo ludzie przychodzą i opowiadają o „bąbelkach pepsi w żołądku” czy o „jękliwym i skamlącym kręgosłupie”!

- Driscoll, ty siadaj obok Lindy - rzuciła Delia, lecz on, udając, że nie może dojść do słowa, wpatrywał się w Elizę, a potem ukradkiem przyciągnął sobie krzesło, żeby usiąść przy Susie. Delia dała za wygraną. - Nat, po prostu usiądź -powiedziała tym razem i gość usiadł na krześle, obok którego stał, co nawet było zgodne z jej nie wypowiedzianym życzeniem, to znaczy po jej prawej stronie. - Proszę, nałóż sobie ryżu. - I podała mu salaterkę. - Wszystko stygnie - obwieściła wszem i wobec.

Eliza usiadła z lewej strony Sama, potrząsając głową na to, co on mówił.

- Kto to wie - ciągnął - może to wszystko można porównać... jeden zniesie ból wywołany zanokcicą, drugi przez raka. Wszystko ma podobny poziom, chodzi o to, ile kto może znieść.

- Samie Grinstead, przecież sam w to nie wierzysz! -zaskrzeczała Linda. - Co za dziwaczna myśl!

- Paul, możesz sobie nałożyć ryżu i podać dalej? -odezwała się Delia. - Wszyscy do stołu!

I nagle reszta usiadła. Chyba zabrakło im pary. Na chwilę zaległa cisza i właśnie wtedy Paul upuścił łyżkę, która upadła z brzękiem na stół. W uśmiechu zażenowania pokazał wszystkie zęby i podniósł łyżkę.

- Czy ktoś zna zdjęcia C. R. Savage'a? - odezwał się Nat. Dorośli grzecznie zwrócili w jego stronę twarze, na których malował się wyraz oczekiwania.

- To jegomość, który żył w dziewiętnastym wieku - zaczął Nat. - Używał starej metody mokrej płyty, jak to się mówi. Pamiętam zdjęcie, które zrobił pod koniec życia. Przedstawia jego pokój stołowy nakryty do obiadu w Boże Narodzenie. Sam Savage siedzi pośród pustych krzeseł i czeka na rodzinę. Krzesło obok krzesła, srebrne sztuce właśnie tak ułożone, nawet jest wysoki fotelik dla dziecka, wszystko przygotowane. Kiedy patrzę na tę fotografię, nie mogę się oprzeć takiej myśli: „Założę się, że w tej chwili tego dnia było tak dobrze, jak tylko możliwe. Po tej chwili wszystko mogło być tylko gorsze”. Pojawili się synowie i córki, sprzeczekali się o to, kto będzie jadł udko, strofowali dzieci za złe maniery przy stole, opowiadali sobie bolesne przeżycia sprzed piętnastu lat i dziecko rozkwiliło się na dobre, od czego wszystkich rozboleła głowa. Tylko że w tej uchwyconej chwili - Natowi zaczął drzeć głos - kiedy stuknęła okiennica, jeszcze to wszystko się nie zdarzyło, stół pięknie wyglądał, jakby wyśniony, a stary Savage czuł się taki szczęśliwy i taki... jakiego tu użyć słowa... taki... - Lecz głos całkiem odmówił mu posłuszeństwa. Nat zakrył oczy drżącą dłonią i pochylił głowę. - Taki pełen oczekiwań! - wyszeptał w talerz, a Delia, nie wiedząc, co zrobić, poklepała go po ramieniu. - Przepraszam! Przepraszam! - powiedział. Wszyscy siedzieli oniemiały. - Ha! - rzucił i wyprostował się, ściągając ramiona. - Chyba to depresja poporodowa - stwierdził i wytarł oczy serwetką.

- Nat ma trzytygodniowego synka - wyjaśniła Delia. - Nat, może...

- Ma malutkie dziecko? - spytała z niedowierzaniem Linda.

- A ja myślałem, że Nat to twój znajomy - zwrócił się Sam do Lindy.



- Nie, to mój znajomy - powiedziała Delia. - Mieszka na Wschodnim Wybrzeżu i właśnie mu się urodził synek, śliczny synek, musicie zobaczyć, jak...

- To najbardziej nieodpowiedzialna rzecz, jaką w życiu zrobiłem - oświadczył Nat chrapliwym głosem. - Co też sobie wyobrażałem? No nie, nie planowałem tego, ale... dlaczego na to pozwoliłem? Chyba dlatego, że uważałem to za szansę dla mnie... żebym w końcu został dobrym ojcem. Wiem, że tak było, bo niby dlaczego zakładałem, że to będzie dziewczynka? Dotychczas miałem same córki. Musiałem myśleć, że teraz wszystko urządzię całkiem od nowa, tym razem jak należy. Ale przy Jamesie jestem tak samo popędliwy jak przedtem przy dziewczynkach. Tak samo surowy, tak samo wymagający. Dlaczego nie może trzymać się oznaczonych godzin, dlaczego musi płakać o niebywałych porach... Och, najlepiej dla tego dziecka by było, gdybym odkuśtykał na trzecie piętro.

- Na trzecie piętro? Och! - jęknęła Delia. - Nat, nawet o tym nie myśl! - Jeszcze mocniej poklepała go po ramieniu.

Powinna była o tym pomyśleć na jego ślubie - mówiła do siebie w duchu - że ktoś, kto dochodzi do takich uniesień, musi skończyć we łzach. Jak za bardzo rozochoczone dziecko, któremu rodzice pozwalają zbyt późno iść spać.

- No tak - odchrząknawszy, odezwał się Sam. - Teraz to jednak bardzo często się zdarza, to znaczy bardzo często rodzicami zostają ludzie starsi. Nawet w ubiegłym tygodniu czytałem w... zaraz, gdzie to ja czytałem...

- Ważne jest, by pamiętać, że jest to wyznaczone nam zadanie - powiedziała Eliza dźwięcznym głosem. Siedziała obok Sama, żeby więc dojrzeć twarz Nata, musiała pochylić się do przodu i ominąć szereg twarzy o taktownie neutralnym wyrazie. - W moim przekonaniu każde z nas ma wyznaczone pewne zadania - ciągnęła. - I pod koniec życia...

- Aha, w „New England Journal of Medicine”! - triumfalnie wykrzyknął Sam.

- Czy mógłbym gdzieś się położyć? - spytał Nat Delię.



- Tak, oczywiście - odparła, odsunęła krzesło i podała mu laskę. - Przepraszamy - zwróciła się do pozostałych.

Wszyscy skinęli głowami, speszeni. Kiedy szła z Natem przez hol, niemal czuła, że za ich plecami odbywa się ukradkowa wymiana spojrzeń.

- Trzeba wejść na piętro - uprzedziła go. - Dasz radę?

- Tak, tylko idź z mojej drugiej strony. Przepraszam cię. Nie wiem, co mnie naszło.

- Po prostu jesteś zmęczony - odparła. - Mam nadzieję, że nie zamierzasz wracać dziś wieczorem.

- Nie, chyba nie powinienem. - Na każdym stopniu jego laska leciutko grzechotała, jak garść kuleczek. Łokieć Nata, w tweedowym rękawie był jak twardy węzeł.

- Pościelę ci łóżko - oznajmiła, kiedy weszli na piętro. - A ty powinieneś zadzwonić do Binky i powiedzieć, że zostajesz na noc.

- Dobrze - potulnie się zgodził. Przekuśtykał przez drzwi, które ona przytrzymała, i opadł na nakryty pokrowcem fotel.

- To był pokój mojego ojca - powiedziała i wyszła do holu, by przynieść z szafy pościel. Wróciła z całym naręczem. - Przy łóżku jeszcze stoi telefon, widzisz? Jeszcze z czasów, kiedy prowadził praktykę. Nawet kiedy już sam przestał przyjmować, zawsze mógł podnieść słuchawkę, gdy ktoś dzwonił do Sama, i włączyć się ze swoją opinią. Wiesz, nie znosił sytuacji, że miałby być całkiem ze wszystkiego wyłączony.

Paplała o byle czym, krzątając się wokół łóżka, wygładzając pościel, podwijając koce. Nat patrzył bez słowa. Może nawet nie słuchał, bo kiedy poszła po piżamę do pokoju Sama, wróciwszy, zastała go wpatzonego w czarno-niebieskie szyby.

- Tak naprawdę - ciągnęła, kładąc piżamę na komodzie - to nawet trudno by mi było powiedzieć, ile razy tak słałam to łóżko, a tatuś siedział tam, gdzie ty. Lubił mieć świeżutką pościel, zdjętą wprost ze sznurka, nawet wtedy, gdy już od dawna mieliśmy pralkę automatyczną z suszarką. Siedział w tym fotelu i...

- To podróż w czasie - nagle odezwał się Nat.

- Tak, chyba tak, w pewnym sensie.

On jednak najwyraźniej rozmawiał sam z sobą.

- Po prostu zwariowany, na wpół opracowany plan cofnięcia się w czasie - mówił, jakby ona niczego nie powiedziała - i przeżycia wszystkiego jeszcze raz. Ale niestety, konsekwencje spadły na Binky. Biedna mała!

- Poradzi sobie - stwierdziła stanowczym tonem. - No, za tamtymi drzwiami jest łazienka. Na półeczce nad umywalką są nowe szczoteczki do zębów. Czy może jeszcze czegoś potrzebujesz?

- Nie, dziękuję.

- Może przynieść ci kolację na tacy? Niczego nawet nie tknąłeś.

- Nie.

- Tylko pamiętaj, koniecznie mnie zawołaj, gdybyś czegoś potrzebował.

Pochyliła się, żeby ucałować go w czoło, tak samo jak we wszystkie te wieczory w przeszłości całowała ojca.

Następną osobą, która poszła spać, była Delia. Położyła się o wpół do dziesiątej, bo po kolacji oczy same jej się zamykały.

- Jestem wykończona - powiedziała do wszystkich. Całe towarzystwo nadal siedziało wokół stołu, nawet

Courtney, chociaż po Paula w którymś momencie przyjechała matka.

- Mam wrażenie, jakby dzisiejszy ranek był odległą prehistorią - oświadczyła Delia i poszła na górę do pokoju Elizy, tak wyczerpana, że musiała ciągnąć nogi za sobą, jakby miała do nich przywiązane wiadra z cementem.

Kiedy jednak znalazła się w łóżku, nie mogła zasnąć. Leżała, wpatrując się w sufit, leniwie głaszcząc ciepły kłębek kota, który ułożył się tuż przy jej boku. Na dole jak zwykle sprzeczali się Sam z Lindą. Rozbrzmiewał koncert Mozarta.

- A ja cię pytam, dlaczego by nie miał tego... - doleciał ją głos Elizy.

Kto by nie miał? - zastanawiała się Delia. Czego by nie miał zrobić?

Musiała już wtedy spać, lecz był to sen przerywany, płytki, miała więc wrażenie, że przez cały czas jednak nie śpi. Kiedy przebudziła się kolejny raz, nie zaskoczyło jej to, że dom pogrążony jest w ciemnościach i ucichły wszystkie głosy. Usiadła i pod odpowiednim kątem zwróciła zegarek do okna, by na cyferblat padało światło. Niezbyt wyraźnie widziała - była albo jedenasta, albo za pięć dwunasta. Bardziej prawdopodobna wydała jej się za pięć dwunasta, skoro w domu panowała taka cisza.

Podsunęła wyżej poduszkę i oparła się o nią, ziewając. Łzy nudy już zbierały się w kącikach jej oczu. Miała to być jedna z tych nocy, które ciągną się jak tygodnie.

Jeżeli ślub rozpocznie się jutro o dziesiątej rano, to prawdopodobnie skończy się przed jedenastą. No, powiedzmy, z bezpiecznym zapasem - o dwunastej. Na dworzec autobusowy więc zajechałaby około wpół do pierwszej, gdyby Ramsey ją podwiózł. Albo Sam, który przecież jej to proponował.

Widziała się na fotelu pasażera, Sam za kierownicą. Przypominali ludziki w samochodzie zabawce. Ludzik mąż i ludzik żona, obok siebie. Zwróceni do przodu, na siebie nie patrzą. Bo po co mieliby na siebie patrzeć, skoro już od dawna są poza kręgiem widzialności? Nie ma już nadziei na pełne podziwu spojrzenia ani na nieustanną adorację. Nie pozostało już nic widocznego poza ich powszednią, prawdziwą, swojską istotą, zresztą o wiele bogatszą.

O czym to myślała? Aha, o dworcu autobusowym. Złapie autobus około pierwszej, w Salisbury będzie o...

Łzy okazały się innymi łzami, nie płynęły z nudy. Wytarła je rękawem koszuli nocnej, lecz napłynęły nowe.

Odwinęła prześcieradło z kocem, uważając na kota, wymknęła się z łóżka i bosą podeszła do drzwi. Hol oświetlało tylko jedno okno, okrągłe, umieszczone wysoko. Do pokoju Sama musiała więc iść po omacku.

Na szczęście drzwi stały szeroko otwarte. Weszła tak cichutko, że niczym nie zdradziła swojej obecności. Wiedziała, że Sam nie śpi. Po tych wszystkich latach, oczywiście, że wiedziała, wyczuwała, że powietrze

wstrzymało oddech. Stała uważnie po chłodnych deskach, po szorstkim dywaniku i znów po chłodnych deskach - drogą tą wędrowała, odkąd nauczyła się chodzić. Leciutko, jakby nic nie ważąc, przysiadła na skraju łóżka, które kiedyś do niej należało. Zobaczyła, że Sam leży na plecach. Zaczęła odsączać jego białą twarz z kłębow pólmu.

- Sam? - szepnęła.

- Tak - odpowiedział.

- Pamiętasz ten list, który do mnie napisałeś do Bay Borough?

- Tak.

- Jak brzmiała ta linijka, którą wykreśliłeś? Poruszył się pod pościelą.

- Oj, powykreślałem wiele linijek. Ten list był strasznie pobazgrany.

- Ale chodzi mi o ostatnią linijkę. Tę, którą zakrzyżykowałeś, więc zupełnie nie mogłam jej odczytać.

Przez chwilę milczał.

- Zapomniałem - w końcu odpowiedział.

Miała odruch, by wstać i wyjść, lecz zmusiła się do pozostania. Siedziała bez ruchu i czekała.

- Myślę - wreszcie się odezwał - że może napisałem tam to... to, nad czym kiedyś zastanawiał się Driscoll. To znaczy, czy można było czymś, no wiesz, czymś cię przekonać, byś wróciła.

- Sam, wystarczyło, byś mnie o to poprosił - odparła. Odwrócił się do niej, a ona wsunęła się pod koce.

Przyciągnął ją do siebie. Wprawdzie nadal jej nie poprosił. Nie wypowiedział tylu słów.

Minęło sporo czasu, odkąd zasnęli, aż nagle zadzwonił telefon. Delia stopniowo wygrzebywała się ze snu. O tak późnej porze musiał dzwonić pacjent. Lecz Sam nawet nie zaczął w innym rytmie oddychać, wysunęła się więc spod jego ramienia i sięgnęła po słuchawkę.

- Halo?

- To pani Grinstead?

- Tak.  
- Dzwoni Joe Bright.  
- Głos brzmiał wyraźnie, trzeźwo i wesoło o tej nieludzkiej porze - spojrziała na budzik. Pierwsza dwadzieścia trzy.

- Tak? - powiedziała.  
- Jestem agentem nieruchomości - przypomniał.  
- Ach tak!  
- Dzwoniła pani? Pani i córka? Nagralyście się panie wiele razy.  
- Tak, tak - odparła, lecz nadal myśli jej się plątały. - To znaczy...  
- Nigdy bym nie dzwonił tak późno, ale mówiła pani, że to sprawa gardłowa. Dopiero teraz wróciłem z miasta. Zmarła moja teściowa, zupełnie nagle.

- O, współczuję - powiedziała. Usiadła wygodniej. - To znaczy, panie Bright, dzwoniłam, ponieważ... - Przełożyła słuchawkę do drugiego ucha.  
- Moja córka chciała się dowiedzieć... czy będzie jej wolno wbijać gwoździe w ścianę.

Panowała cisza.

- To znaczy, gdyby chcieli powiesić jakieś obrazki czy lustro... - dokończyła Delia.

- Aha, gwoździe - powtórzył Bright.

- Tak.

- Chciała się dowiedzieć, czy będzie jej wolno wbijać gwoździe.

- Tak.

- Hm - namyślał się. - Dobrze. Chyba tak. Ale pod warunkiem, że zwalniając mieszkanie, zagipsują dziury.

- Oczywiście, że tak! - odparła. - Nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Dziękuję panu. Dobranoc.

Przez chwilę milczał.

- Dobranoc - odpowiedział.

Odłożyła słuchawkę, wsunęła się pod koce. Była pewna, że Sam wciąż śpi, lecz nagle usłyszała, że z rozbawieniem poświstuje. Uśmiechnęła się. Daleko, przez centrum miasta przemknął pociąg. W domu zatrzeszczała

podłoga, a po chwili w pokoju, w którym spał Nat, rozległ się stłumiony kaszel.

„To podróż w czasie” - powiedział starszy pan.

Uświadomiła sobie, że wczoraj po południu usiłowała sobie przypomnieć, jak wygląda Adrian. Zaczęła od tego, że był podobny do jej kolegi z liceum, i dopiero teraz uprzytomniła sobie, że twarz, którą przywołała na pamięć, należała do Sama, nie do tego kolegi. Do młodszego Sama, pełnego zapału i nadziei, w dniu, kiedy po raz pierwszy przestąpił próg tego domu.

Wszystko było podróżą w czasie - całe ubiegłe półtora roku. W przeciwieństwie jednak do podróży Nata jej się udało. Bo jak inaczej można by ją podsumować, skoro Delia zakończyła ją w tym samym miejscu, z którego wyruszyła -w domu, na dobre z Samem. Skoro ludzie, których na ten czas opuściła, w pewnym sensie odbyli jeszcze dalszą wędrówkę?

Teraz tę czerwcową scenę na plaży widziała inaczej. Troje jej dzieci wpatrywało się w horyzont, z czujnością i napięciem wędrowców, którzy stanęli na skraju oceanu, gotowi rozpocząć swą podróż. A Delia, w oddali osłaniając oczy ręką, usiłuje zrozumieć, dlaczego odchodzą.

Dokąd bez niej idą.

Jak się z nimi pożegnać.